3 1761 08822279 9

Digitized by the Internet Archive
in 2011 with funding from
University of Toronto

http://www.archive.org/details/pismazygmuntakra02kras

Dostałam od wujcia Nys-
Z., 18 listopada 1921 r.
12 lat.

Tom II.

(1837—1859).

ZYGMUNT KRASIŃSKI
(OKOŁO 1855 ROKU)
Z DAGEROTYPU.

LP
K8965K Krasiński, Zygmunt, hrabia

PISMA
ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

ZA ZEZWOLENIEM RODZINY POETY WYDAŁ

TADEUSZ PINI

WYDANIE KRYTYCZNE ZUPEŁNE

ze słowem wstępnem

PROF. DRA JÓZEFA KALLENBACHA

TOM II.

(1837—1859)

Z portretem Poety w heliograwurze i podobiznami autografów

499054
26.10.49

WE LWOWIE
NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO.
WARSZAWA, E. WENDE I SP.
1904

Wszelkie prawa własności zastrzega sobie wydawca.

W drukarni Uniw. Jagiell. w Krakowie, pod zarządem J. Filipowskiego

SPIS RZECZY.

str.

Noc letnia 1
Pokusa 41
Dziennik z podróży do Sycylii 61
Trzy myśli, pozostałe po ś. p. Henryku Ligenzie . . . 83
Przedmowa wydawcy 85
Syn cieniów 93
Sen Cezary 97
Legenda 109
O Trójcy w Bogu i o Trójcy w człowieku 121
O Juliuszu Słowackim 191
Przedświt 207
Psalmy przyszłości 255
Psalm wiary 257
Psalm nadziei 263
Psalm miłości 269
Psalm żalu 285
Psalm dobrej woli 309
Dzień dzisiejszy 319
Ostatni 357
Nie-Boskiej Komedyi część pierwsza 377
Wstęp 379
I. Weneckie podziemia 425
Odmiany tekstu 499
Objaśnienia wydawcy 583
Ważniejsze omyłki druku 629

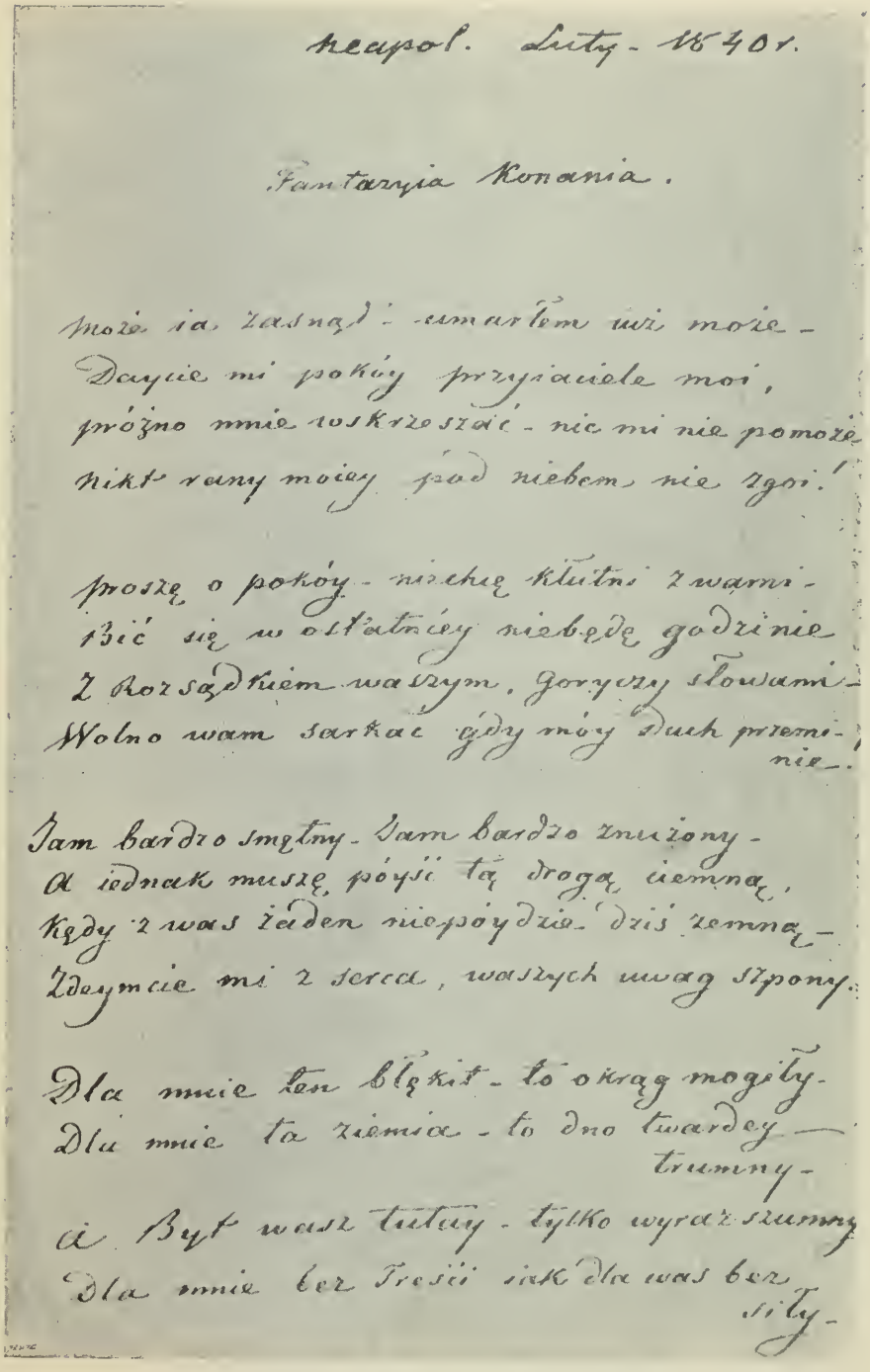
Neapol. Luty - 1840 r.

Fantazyja Konania.

Może ja zasnąd - umarłem już może -
Dajcie mi pokój przyjaciele moi,
próżno mnie roskrzeszać - nic mi nie pomoże
nikt rany mojej pod niebem nie zgoi!

proszę o pokój - niechcę kłótni z wami -
Bić się w ostatniéj niebędę godzinie
Z Rozsądkiem waszym, gorzkiemi słowami -
Wolno wam sarkać gdy mój duch przemi-
nie -

Sam bardzo smętny - Sam bardzo znużony -
A jednak muszę pójść tą drogą ciemną,
Kędy z was żaden nieszedł dziś zemną -
Zdejmcie mi z serca, waszych uwag stopy.

Dla mnie ten błękit - to okrąg mogiły -
Dla mnie ta ziemia - to dno twardej —
trumny -
a Byt wasz tutejszy - tylko wyraz szumny
Dla mnie bez treści jak dla was bez
siły -

Podobizna autografu »Dnia dzisiejszego«.

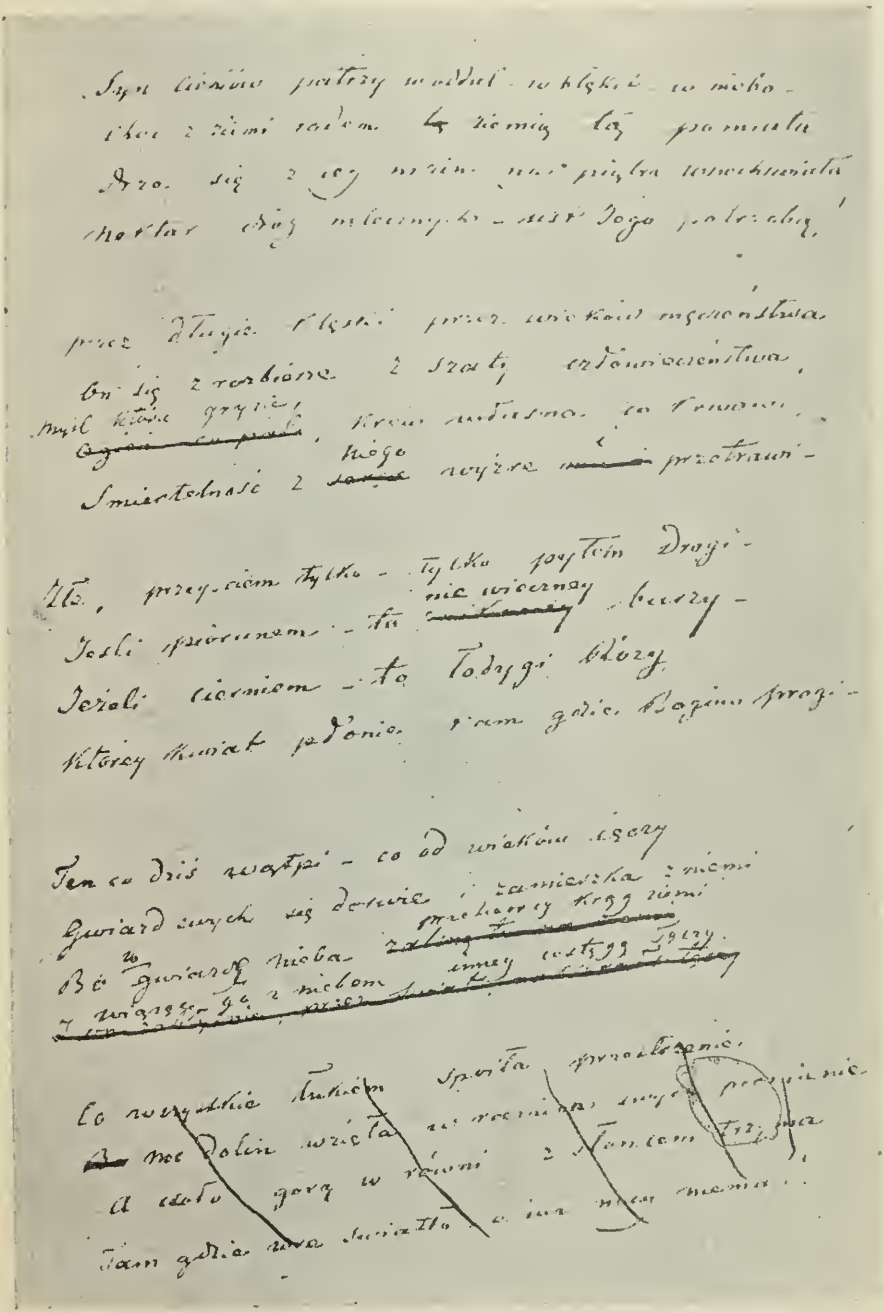

Podobizna autografu »Syna cieniów«.

~~[illegible]~~ maską. Będą mogli panu
[illegible] [illegible] osoby z [illegible]
towarzystwa. -

Młodz.

Szkoda, że stamtąd ni morza ni
tych niebios nie widać - ale, kiedy
książe chcesz, idźmy -

Bankier-Książe

Musisz pan ~~[illegible]~~ Hrabia mieć namiętności do
malowania krajobrazów, kiedy tak
ciągle się zajmujesz powietrzem i
wodą?

Młodz

Wcale nie - Lecz wzgląd Boga mi
i po za nich, osobliwie w tych
stronach, przebicia!

Bankier-Książe.

Aha! tylko dla tego - widzę, drogi Hrabia
exaltacyi pełen - zwyczajnie młodości,
wyobraźnia - I ja też taki sam byłem,
tylko że mi czasu nie starczyło do takowych
[illegible] - musiałem pod ojca okiem
w biurze siedzieć, do kantorka przykuty,
[illegible] [illegible] [illegible] - i nawet nigdy byłem
[illegible] stami nie

Podobizna autografu »Pierwszej

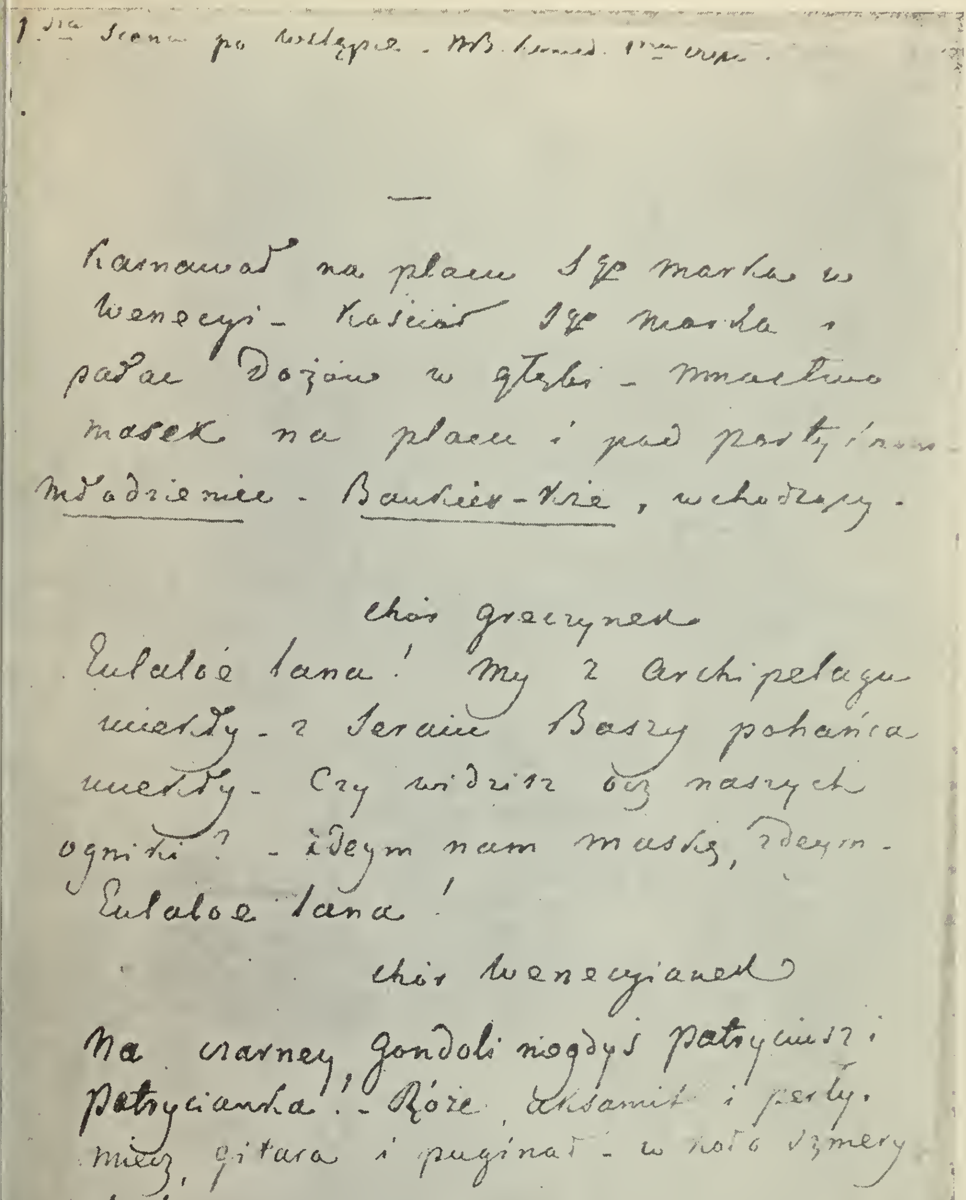
1.sza scena po wstępie. NB. koniec 1mej części.

Karnawał na placu Sgo marka w Wenecyi – kościół Sgo marka i pałac Dożów w głębi – mnóstwo masek na placu i pod portykami – Młodzieniec – Bankier-ktoś, wchodzący.

Chór greczynek

Eulaloe lana! My z Archipelagu niewiasty – z seraju Baszy pohańca uciekły – Czy widzisz ócz naszych ogniki? – Zdejm nam maskę, zdejm – Eulaloe lana!

Chór weneczyanek

Na czarnej gondoli niegdyś patrycjusz i patrycjanka! – Róże, aksamit i perły, miecz, gitara i puginał – w koło szmery fal!

po dziś dzień gondoła, po dziś dzień róże, po dziś dzień szmery fal – a ona gdzie? – i sama, pusta, czarna gondola po falach z tą wiązką róż płynie! –

ęści Nie-Boskiej Komedyi«.

NOC LETNIA.

Bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie!

Malczewski — Marya.

O, patrzcie na mnie, współziemianie, obywatele jednej ojczyzny, na mnie, idącą po ostatniej drodze — na mnie, ostatni raz patrzącą na światło Heliosa! — Drugi raz nigdy go już nie obaczę. — Śmierć, która w kolebce swojej wszystko usypia, wiedzie mnie żywą ku brzegom Acherontu — mnie żywą, mnie niepoślubioną, mnie, o której uszy nie odbiło się nigdy weselne pienie zaręczyn. — Acheron jeden tylko woła mnie do ślubu!

Sofokles — Antygona.

Jeżeli dotąd jedno dumne jeszcze
Bije gdzie serce na tej smętnej ziemi,
Za to samotne lub w walce z innemi,
Że się natchnęło w myśli święte, wieszcze,
Za to potwarzą ścigane dokoła,
Że nad sąd ludzi i praw ich zawiłość
Przeniosło swoją nienawiść lub miłość,
Nienawiść podłych — lub miłość anioła;
Jeśli to serce, co wiele kochało,
Jeśli to serce, co wiele cierpiało,
Dziś na kształt głazu ścierpło i zlodniało,
Lecz wrzkomo tylko, na zewnątrz, bo skrycie
Tli w jego wnętrzach nieśmiertelne życie
I żadna krzywda ludzka nie wyziębi
Skry, spadłej z niebios, co wre w jego głębi —
Jeśli to serce w samotnej żałobie,
Jak grób zamknięty, tak zamknięte w sobie,
Na świat spogląda nie mściwie, nie hardo,
Lecz z przebaczenia anielską pogardą —
— Gdziekolwiek jesteś, o serce mi znane,
Serce niewieście i prześladowane,
Gdziekolwiek jesteś — z blizka czy z daleka,
O serce dumne, o serce stroskane,
Weź to, co przyjąć możesz od człowieka:
Weź pieśń, po pieśni poznasz we mnie brata;
Ta pieśń z innego — tak jak i ty — świata!

Za to, żeś, Siostro, w fałsz nie uwierzyła,
W bożyszcze złota i w marę próżności,

Gdy świat ten zstąpił do grobu podłości,
Za to, żeś z światem w ten grób nie zstąpiła
O tej nikczemnej dziejów ludzkich dobie,
W świętem współczuciu i w świętéj miłości
Tę pieśń mej duszy ja poświęcam Tobie!...

VARENNA, 1840, 15 sierpnia.

I.

Widziałem, kiedy ją wiedli; — w białych szatach, z wieńcem na głowie szła w przerażeniu. — Kościół stał, jako ciemny cmentarz, przed jej oczyma. — Wszyscy się uśmiechali z radości, starzy i młodzi. — Dzieci, za aniołków przebrane, potrząsały kwiatami. — Sam biskup i powierne kapłany wesołym patrzyli wzrokiem, w sutych dalmatykach. — Lud się cisnął zazdroszcząc i chwaląc i życząc. — Ona jedna tylko milczała, z spuszczonemi oczyma, oparta na ręku służebnic.

* * *

I w jej kibici coś znękanego, bezsilnego było. — I w jej zrzenicach niejasno przebijał promień duszy. — I z jej ust, nieco rozchylonych, trudno się domyśleć, wyjdzie-li modlitwa czy skarga? — Idąc wzdłuż kaplic, podnosiła rękę i przeżegnać się chciała, pół-krzyże tylko kryśliła w powietrzu; — przed obrazem Bogarodzicy skłoniwszy głowę, znać przyklęknąć miała, lecz sił jej nie stało i szła dalej ku wielkiemu ołtarzowi, a wielki ołtarz stał w głębi, podobny do grobu.

* * *

Tam ojciec czekał na nią w kole krewnych i powinnych, z dumą w oku starem. — I słuszne miał prawo do pychy, bo cudniejszem dzieckiem nikomu Bóg nie opromienił schyłku życia. — Ona dotąd była jak naj-

milsza gwiazda nad jego zstępującą drogą; dziś tylko pierwszy raz w życiu zamglona — lecz on nie zważał na chwilowe zaćmienie, bo w tej dobijającej godzinie wszystkie jego marzenia dopełnić się miały. — Rzekł więc do otaczających: »Patrzcie, jak niewinna drży w niewiadomości szczęścia swego!« — i sięgnął wzrokiem tak, jak kościół długi, by ujrzeć, ażali nie przybywa pan młody — siwe brwi zmarszczył, nie dostrzegłszy go nigdzie.

* * *

Ale wnet znów miał spokojne i pogodne czoło. — O! złudzenia starców, jak posągi ryte z głazu, pośród ich dusz stoją — chyba śmierć je rozłamie, lecz nie strąci ich żadna przestroga na ziemi! Kto młody, ten malowne sny widzi w powietrzu. — Tęcze nad nim się krzyżują i znikają, wiara na przemiany precz idzie w zwątpienie. — U bliższych grobu twardsza nadzieja i żądze przezwane rzeczywistości imieniem. — Między prawdą a niemi stanęła opoka doświadczenia — siedzą na niewzruszonej, a strumienie życia, morza fal grających, pędzą tymczasem i mijają w dole!

* * *

Tam zwichnięte stery, poszarpane żagle, opadłe wieńce i serc spalonych popioły, wiecznym wichrem gnane, tłoczą się i giną w oddali! Tam gwiazd dżdże nieustanne z głuchym gasną szumem, a wszędzie modre szydzą piany i w nieskończoność garnie się rozbicie. — Lecz im nic do tego — sami wrośli w skałę i domy budują nad huczącą głębią — każda fala, co przelewa się w drugą, wydaje się im ołtarzem szczęścia i pokoju — potem córom i synom ludzkim każą ślubować na wierność przed niemi. — Ha! nim ci domówią przysięgi, już ołtarz pod drugim widnokręgiem płynie!

* * *

Teraz oblubieniec wpadł do kościoła, rzeźki i hoży, z drużyną pysznie ubranych, sam w narodowym stroju — lecz naród jego nie był starca narodem. — Tłum rozgina się na prawo i lewo, nizkiem witając go czołem; — ledwo raczył niektórym się odkłonić i, dzwoniąc o marmury posuwistemi kroki, stanął przy narzeczonej, klęczącej już teraz. — Ona nie zdołała powstać. — Ojcu jej znikomie usta na ramieniu złożył, potem rozmawiali przyciszonym głosem, starzec z królewską powagą, młodzieniec hasając rękoma. — Zwolna zbliżył się tymczasem biskup i zwolna zapalono gromnice na ołtarzu. — Wielkie w tej wielkiej świątyni stało się milczenie — na wieki rąk dwoje, dusz dwoje, połączyć się mają. — Dreszcz uroczysty rozbiegł się po widzach.

* * *

O szyby różnobarwnych okien rozpłonił się promień zachodzącego słońca. — Zdało się przez chwilę, że tam krwi potok płynie i pluska, aż zniżył się i skonał wśród zmierzchu, lecz ostatnim blaskiem drasnął głowę człowieka, stojącego samotnie w przybocznej kaplicy — przy nim leży na pomniku posąg rycerza. — On, jak drugi posąg, niewzruszony, przykuł się wzrokiem do ołtarza, kędy biskup przemawia do oblubienicy. — Co w jego duchu się dzieje, mrok na jego twarzy zaczaił — jednak, kiedy chwilowa łuna, co zgasła już teraz, przepływała po niej, każdy, co k'niemu zwrócone miał przypadkiem oczy, dostrzegł wyraz niesłychanej walki na tem czole wzniosłem — nikt jednak ni modlitwy ni westchnienia nie usłyszał, ni jęku. — Wargi ściśnione i boleść, kształtem uśmiechu zakrzywiona na nich — to jedno błysnęło i znów utonęło w cieniu.

* * *

Lecz kiedy świętym obrzędom stało się zadość, kiedy pan młody podniósł żonę a ona padła w ojca objęcia i ojciec ją niósł ku bramom kościoła i tysiąc gromnic szło za niemi i stopniami upływała ciżba

i kroków odgłosy wolniały, oddalając się, i wreszcie pustkami stanął przybytek — spiący tylko umarli w nim zostali i kilku żywych umarłych krzątało się po jego głębiach, zakonników kilku — wyszedł ów człowiek z kaplicy i, rozkiełznany, szybki, uderzył piersią o stopnie ołtarza, zerwał się i padł na nowo, aż wreszcie siadł, lampą, pozostałą nad krzyżem srebrnym, blado oświecony; — nie ku obrazom świętych zwrócone jego oblicza, ale ku bramie, którędy wyszli oni wszyscy. — Tam błękitu nocnego kawał i jedna gwiazda miga. — On w nią patrzy i sztylet z pod płaszcza wyciąga — i, patrząc w gwiazdę, z pochwy klingę bierze — i, patrząc w gwiazdę, ostrzy ją na zgrzytającem kamieniu.

* * *

Tak w snie magnetycznym, z odkrytą zrzenicą, nic nie widząc, nic nie słysząc, chorzy stąpają śmiało w księżyca promieniach — potęga, której nie czują, stała się niemi — ona im ręce zbroczy krwią nieprzyjaciół, ona ich odejmie brzegom przepaści. — Namiętność w słońca promieniach czerpa żary swoje, lecz równie pewno niesie, równie dziko pędzi!

* * *

I do owego człowieka zbliżył się mnich, przyklękając przed wielkim ołtarzem, potem rzekł: »Ktokolwiek jesteś, bracie, idź na spoczynek i nie mieszaj pokoju pańskiego!« Ale on mu nic nie odpowiedział. — Zatem szedł drugi i rzekł: »Precz z kościoła, bo świętokradzcą jesteś!« Ale on mu nic nie odpowiedział — aż trzeci przed nim stanął i zawołał: »Wyklinam ciebie i to żelazo, któregoś u stóp krzyża śmiał dobyć.« — A wtedy wstał winowajca i odparł: »Na te słowa czekałem, by cios stał się niechybny a rana śmiertelną« — i wyszedł powoli, powoli, jakby liczył kroki własne, wiedząc, że ostatnie na ziemi.

* * *

Tymczasem rozwiodła się po niebie noc tak przejrzysta i cicha, że każdy, co ją widział, uczuł w piersiach dreszcz rozkoszy, w duszy szczęścia przeczucie. — Jej cienia owionęły pola i gaje — jej gwiazdy weszły nad górami, jak duchów, w błękicie ukrytych, płonące zrzenice. — Ziemia w przepasce z ciemności wonią kwiatów tylko i westchnieniem wód odwdzięcza się im wstydliwie za złote spojrzenia. — Właśnie takiej nocy trzeba dla tak świetnych ślubów — od niej pocznie się długa wiosna obojgu szczęśliwym. — Czegoż im więcéj można życzyć na ziemi? — On wzięty u króla, pan wielu służebnych — ona, śliczniejsza od aniołów, wniosła w dom męża ziemie obszerne posagiem. — Matki nie znaleźć, któraby jej nie zazdrościła, młodzieńca, któryby mu nie złorzeczył; a ojciec stary dopiął myśli swojej — odtąd mu dni płynąć będą wśród uśmiechów córki i potęgi zięcia — a drobne wnuczęta, jak kwiaty, wyrosną mu na ścieżce przed grobem.

* * *

Sute też na zamku wyprawił wesele — nie wielu książąt na takie mogłoby się zdobyć. — Wysoko nad całą krainą beczki smolne i kagańce świecą z murów — na podwórcach tak jasno, jak we dnie, okna komnat otwarte, w komnatach sto harf gdy zabrzmi, trąby gdy zagrzmią, stóp tańcujących szum wzbija się i leci, porwane koła kręcą się, plątają, szaleją. — On sam obchodzi świetlice i zagrzewa gości. — Łza w jego oku nabrzmiewa, łza, co z trudów życia wydobywszy się, pod koniec dziękuje Bogu za tyle dni, co szły w krwi i pocie, kiedy w tym ostatnim można o nich wszystkich zapomnieć. — Wyszedł na przysionki i z ganku sypnął ludowi pełne misy srebra — wrócił i dyamenty przyszpila napotkanym dziewojom do łona. — Giermki, co za nim idą, garbiąc się pod ciężarem bogatego sprzętu, podają mu na przemian szable i złote łańcuchy, strusie kity i tureckie handżary — on na pamiątkę tego dnia niemi gości darzy. — Czasem też stanie, weźmie z rąk pacholęcia spory kielich i usta małmazyą odwilży —

potem idzie dalej, łaskawym ukłonem witając, łaskawym wzrokiem błogosławiąc wszystkim.

* * *

Teraz wszedł do środkowych gmachów, do wybitej przez wszystkie piętra sali, kędy gaj przyniesionych krzewów ściany oplatał w dole, w górze zaś stropami złotemi, gzympsami z marmuru wiły się sklepienia i na nich herby ojców jaśniały nieskażone, święte. — Stanął u wejścia i pojrzał, szukając dziecka swego — ale jej nie ujrzał wśród krążących par ani odkrył w tłumie patrzących. — Pan młody tylko pląsał od jednych pań ku drugim, naprzemian znikomym z tą i z ową połączony tańcem. — Po drugi raz w tym dniu ściągnęło się czoło szczęśliwego starca drgnieniem gniewu czy smutku — skinął na zgrajęę — rozstąpili się wszyscy — on przeszedł wśród nich i kroczył ku pomarańczowym drzewom, kędy pustkami stały w framugach siedzenia, lamowemi zasłane makaty. — Tam szukał córki chwil kilka jeszcze, aż zatrzymał się od razu, jakby nagłym uderzony bolem. — Siedziła ona z oczyma spuszczonemi ku wiązce róż, leżącej na kolanie, i odrywała ich listki, marząc o czem innem — wreszcie same ciernie w ręku się jej zostały.

* * *

Starzec cicho przystąpił i przewiódł na sobie, że łagodnym rzekł głosem: »Biedna matka twoja jakżeby dziś szczęśliwą była! — Za co Bóg nie dozwolił jej tego dnia doczekać?« — Drżąc, podniosła głowę, drżąc, ścisnęła mimowolnie ostatki róż w dłoni — potem nazad w pomieszaniu przypiąć je chciała do sukni; przyczepiły się ostre gałązki do rąbka i sterczały krwią jej palców zadraśniętych świeże. — »Czemu płaczesz, zapytał starzec, jedynaczko moja? — Wspomnienie matki nie mogło do tyla cię wzruszyć, boś jej nie widziała nigdy; w dniu twego na świat przyjścia ona odeszła do ojców. — Ah! tyś się skaleczyła, córko!« — I wziął

jej dłonie i wyjmował z nich drobne ostrza kolców. — Ona mu odparła: »O! nie to mnie boli, ojcze« — potem zaraz dodała: »Owszem to, nic co innego, ojcze!« — i zamilkła — łzy jedne po drugich spadały z jej lica. — On oparł się na jej ramieniu: »Widzisz, jaki stary jestem, drżą podemną kolana — prowadź mnie!« — i szedł z nią zamyślony, gotując się do mówienia, lecz słowa nie mówiąc. — Naokoło nich wszędzie woniały kwiaty i muzyka brzmiała.

* * *

W tej chwili odezwał się zegar, przybity do górnego gzypmsu — nad nim kuty ze spiżu siedział jedynowładzca wielu królestw dawnych; za każdem uderzeniem wychodził ze ściany posąg jednego wojewody i szedł kłaniać się umarłemu panu, potem znikał, roztwierającym się pochłonięty murem. — Przeszło ich dwunastu. — Wtedy z odległych komnat zamku wzniósł się chór niewieścich głosów, zrazu jak szum błędny i nierozgarniony, ale coraz wyraźniejszy, z dalszych sklepień przesuwający się pod bliższe, wołający na oblubienicę. — Ojciec sam wzdrygnął się w tej chwili, blednącą córkę porwał w objęcia i uchodził z przejścia w przejście, z izby do izby, z ganku na ganek, wszędzie swatek ścigany chórem, wszędzie chcąc przemówić, a nie mogąc słowa wypowiedzieć — i wszędzie naokoło woniały kwiaty i muzyka brzmiała.

* * *

Wreszcie stanął w kaplicy zamkowej, kędy jego naddziady w kamiennych spoczywają trumnach. — Gromnic kilka nad niemi się pali i zewsząd czarne spływają obicia, bramowane srebrem. — Ona z rąk starca przypadkiem na grób ostatni, najmłodszy, na grób własnej matki się stoczyła i siedzi, milczy, truchleje. — On rzekł do niej: »Bóg nie raczył po mieczu przeciągnąć mi rodu, kądziel tylko pobłogosławił w domu moim — lecz ten, który cię pojął, przysiągł imie nasze przybrać i dzieci twoje zwać się będą, jak ojcowie moi. — Szanuj szczę-

ście, którem Opatrzność cię uwieńczyła — pani równej tobie, pani tylu włości i skarbów, niema w całej ziemi naszej — pamiętaj więc być mężowi do śmierci posłuszną i wierną!«

* * *

Te słowa mówił głuchym głosem. — Zdawało się, że każdem z nich probuje serce milczącej — lecz kiedy nic nie odpowiadała, kiedy tylko coraz niżej spuszczała skronie i w końcu jej czoło utonęło w jej dłoniach i wieniec ślubny zśliznął się z włosów, on z jękiem zawołał: »Czy słyszysz? nadchodzą cię oderwać od łona, na którem wzrosłaś. — Pożegnaj mnie, mówiąc, żeś szczęśliwa!« — Lecz ona, cisnąc jeszcze mocniej ręce i kryjąc oczy, milczała. — »Dzięcię, ty chcesz, bym się położył obok tych umarłych i nie wstał więcej. — Dotąd w spojrzeniu ócz twoich błękitnych był mój spoczynek po burzach tylu — jedyną perłę moją oddałem w cudze ręce, bom chciał, by nieznanym zajaśniała blaskiem. — Co się dzieje tobie, dziecię? przemów do mnie słowo jedno — raz jeden się odezwij, choćbyś miała się skarżyć lub wyrzec, żeś nieszczęśliwa!«

* * *

I z przerwanym oddechem oburącz wsparł się na grobowym marmurze, czekając odpowiedzi. — Do połowy nóż tkwi mu już w sercu — jeden jęk, jedna łza, jedno jej wzdrygnienie może teraz to serce rozerwać. — Ona, wzniósłszy oczy, zdała się śledzić wyrazu litości na ojcowskiem licu i zdała się przez chwilę, wierzyć iż jeszcze nie wszelka zniknęła otucha. — Zsunąwszy się, klęka na głazach, modli się słowmi i całą postawą do niego. — Dreszcz gwałtowny odrzucił starca od pomnika żony. — »Co za imie wyrzekłaś? — Nie powtarzaj go! — Możem nie słyszał dobrze — milcz — milcz! — Nie — ty nie mogłaś myśleć o wygnanym niewdzięczniku, co teraz z wrogami na mnie spiski knuje za to, żem mu świetne losy gotował w przyszłości, za to, że był synem brata mojego! — a jeśli go żałujesz, jeśli kiedy

miałaś nędzną nadzieję, że ci pozwolę buntownika widzieć jub rękę mu twoją oddać, ah! wraz z nim i ty bądź przeklęta!«

* * *

Podniosła się dziewica. — Ona dotąd cierpiała w milczeniu, jak smętna ofiara, niesiona na mściwych bogów ołtarze — teraz odparła zimno i stanowczo: »Kochałam go, ojcze.« — Starzec nie dotrzymał tym cichym, śmiertelnym wyrazom. — Zakręciło mu się w głowie i zniszczony, jak wszystkie nadzieje, którym ufał, padł u stóp grobowca; — przez chwilę duch jego wraz z duchami przodków spoczął w nicości, a kiedy się przebudził, ujrzał nad sobą twarz bladą córki i uczuł jej uściski, wołające go nazad do życia, i usłyszał zarazem tuż nad sobą brzmiące ślubnej pieśni zwrotki; — próg kaplicy przechodziły szukające niewiasty i szły, śpiewając, i zwolna, śpiewając, otaczały oblubienicę śnieżnem kołem. — Za każdem słowem zbliżają się bardziej — ona chowa się pod ramionami jego.

* * *

Wreszcie objęły ją, porwały i wloką, sypiąc kwiaty na podłogę, paląc kadzidła i nowym hymnem głosząc wschód jej nowego życia. — Starzec stąpa za chórem z daleka, leniwo — i gdzie rozmijały się drogi, gdzie ją swatki unieść miały do ślubnej komnaty, stanął i nad zemdlałą znak błogosławieństwa ostatni raz kryśli — potem został sam jeden i ku salom godowym zmierzać zaczyna; — stopniami odzyskuje przytomność, wolą duszy prawdę, jakby sen zwodliwy, rozgania, a rozkazując jej nie być, uwierzył może, iż nie było jej nigdy. — Kiedy wchodził między biesiadujących, znów władał sobą i spokojna powaga leżała mu na twarzy.

* * *

Pan młody przemawiał do przyjaciół: »Wy, z którymi dni tyle przebyłem w obozach i na łowach, słu-

chajcie, drodzy, wam jeszcze i tę noc poświęcę! — Ślubuję nie spojrzeć na żonę moją, aż wejdzie pierwszy promień świtu. — Jak tam na niebie?« Do okna skoczył jeden z towarzyszy i krzyknął: »Księżyc dopiero w samym środku nieba.« — »A więc do was jeszcze i z wami« zawołał młodzieniec i wychylił czarę i rzucił, oprawną złotem, sadzoną dyamentami, przez stół najbliższemu. — Ciężka dłoń starca w tej chwili na jego spoczęła ramieniu; — obejrzał się i, chwytając za drugi puhar: »Zdrowie twoje, ojcze — rzekł — i wy wszyscy spełnijcie je ze mną!« Ale pan zamku nie podziękował, jedno wskazał zięciowi otwarte podwoje i dalekie zakręty, któremi szły niewieście postaci, wracające w milczeniu i ginące w cieniach. — Młodzieniec odparł, potrząsając płowych pukle włosów: »Patrz na tych wesołych i mężnych, co mi po dziś dzień służyli tak wiernie — przysięgą związałem się z niemi — do jutrzenki razem pić będziem i śpiewać! — Tę noc najpierwszą, najmilszą poświęciłem im.« — To mówiąc, porwał za dłonie obok stojących i krzyknął: »Za to podły buntowników motłoch ścigać będziecie w tych górach, póki mi rozkazów a wam ducha stanie.« — Wszyscy odkrzyknęli chórem: »Niech żyje książe nasz!« — Zrazu twarz starca pokryła się gniewu rumieńcem — ale te wyciągnięte ramiona, te dobyte do połowy miecze, ten zapał ich wszystkich myśli jego rozerwał — wspólna sprawa lepszą ich połowę zabrała. — Przyszłość i potęga, duma i nienawiść przesłoniły mu postać samotnej, płaczącej, opuszczonej — i sam dodał głosem, który niegdyś grzmiał pośród szczęku bitew: »Biada buntownikom!«

* * *

Dłużej jednak z gośćmi pozostać nie raczy — ponuro skinął na giermków. — Oni przed nim z pochodniami stają. — Młodzieniec na chwilę odbiegł swoich i teścia odprowadza aż do progów sali — teść go pożegnał zimnym wzrokiem wstrętu. — On wraca i woła: »Przez dobry kindżał mój, nie cierpię przymusu! — Świeżo-m pojął dziewoję, nie żadne kajdany. — Smutny księżyc

niechaj starym pannom zmarszczki srebrem krasi, mnie rumiane słońce wyda piekną żonę moją!« — I nożem greckim rzucił w złoty gwóźdź przeciwległej ściany — trzydzieści nożów dobyli z pochew towarzysze — żaden celu nie utkwił tak blizko — zatem, nalawszy pełne czary, piją chwałę wodza. — On stał się piękny krasą próżności na licach — ręką rozwiewa i głaszcze sobie włosy — żartami ściga towarzyszy, dowcipnie, ostro, brzęcząc i kłując, jak osa. — Oni mu odpowiadają szumem poklasków. — W takowych chwilach, duszą na zewnątrz podany, zwykł on wdzięcznie się ślizgać po samej życia powierzchni — krew mu się z serca przenosi do twarzy — tam ona łudzi rumieńcem — rysy grają — oko płonie; lecz w sercu pusto, jak u zalotnicy.

II.

W pieśniach waszych, ludzie prości, zapamiętana dolina w której raz ostatni wódz przemawiał do braci. — Ojcowie ją wasi odtąd nazywali »jarem pożegnania« — i dzieci wasze ją tak zwać będą, jeśli pieśń przetrwa jeszcze jedno pokolenie, jeśli mowa wasza nie zgaśnie wraz z wami.

Wśród trzech wzgórzów łagodnej pochyłości, których stopy kąpają się w tym samym strumieniu, a czoła odeszły od siebie, powiewając gęstemi krzewy, stanął w miesięcznych promieniach człowiek, co przed godziną wyniósł klątwę z domu bożego. — Wokoło na piętrach zieloności leżały rozciągnione lub jeżyły się w dół nachylone postaci, czarne od stóp do gardła, blade na twarzach, migającą tu i ówdzie uiskrzone bronią. — Znać czekali nań ci wszyscy, bo, jak się tylko ukazał, leżący powstaną, stojący schodzą niżej ku brzegom ruczaju, a z każdego wzgórza podnosi się sztandar i pływać zaczyna w powietrzu. — Lecz żaden okrzyk się nie rozległ. — On sam dopiero, kiedy usiadł na głazie, obalonym w poprzek strumienia, i głowę schylił i dłoń opuścił między cieknące fale, on pierwszy przerwał milczenie. — Głos jego szedł za szmerem wody, jak śpiew za wtórującą struną, a każde słowo, choć ciche, padało wyraźne na serca przytomnych.

* * *

»Na czas tylko byłem wodzem waszym. — Zapomnijcie o mnie, ale strzeżcie słów ostatnich, które powiem do was — w nich prawda, stara, jak te skały, jak te gwiazdy święta!«

»Od tysiąców lat ojcowie nasi posiedli tę ziemię — nie słychać, by kogo z niej wygnali lub ujarzmili na niej. — Jak kłosy niw, jak sosny borów, tak oni byli jéj synami — a pod cień ich szabel postronne garnęły się ludy, bo czego ucho nie słyszało, oko nie dowidzi, ale dusza mężnych kocha, Wolność — była ich udziałem«.

»Nadciągnął król południowy z służalców tłumami. — Zrazu zdradne sypnął uszom słowa, bardziej zdradzieckie sypiąc oczom skarby. — Różny od nas wiarą i mową, co Bóg rozdzielił, on to zespolić chciał, a gdy nie poszło mu po myśli, teraz nituje nas z sobą ogniem i żelazem! — Hańba miastom i panom dolin — w jaskinie gór, w jamy puszcz schronić się nie śmieli, poddali się najezdnikowi — lecz wyście do nich zeszli, jak do grobu. — Za to przyjdzie zmartwychwstanie na was!

»I już sam wróżbę lepszej przyszłości widziałem. — Jedenże od dwóch lat gród królewski spłonął? — Gdzie ciężkozbrojne najemniki, co nas zdeptać mieli? Wszak nad ich trupami słyszeliśmy w powietrzu dziękczynienia sępów i wilki noc całą skowyczały z radości! — Lecz, by odzyskać ojców spuściznę, długo wam trzeba jeszcze krwią ciała pracować!

»Teraz właśnie, gdyście z pokątnych tułaczy na groźne męże wyrośli, łudzić was zaczną królewscy różnemi ponęty — strzeżcie się kusicieli — obietnice ich, złote góry — ich dary, marne garści błota! — Wznieście oczy — dość miejsca dla dusz waszych po tych błękitach zostało — nie żałujcie więc szarej ziemi, gdy przyjdzie w boju umierać! — Lecz kto broń złoży, temu niechaj na zawsze twarz Boga czarną będzie z tamtej strony grobu!

»Nie rozsypujcie się po równinie, by gonić za plonem! — Aniół stróż wasz mieszka w tych górach. — Dopiero później przyjdzie pora łupów. Słuchajcie owych siedmiu, którzy mnie wodzem postawili nad waszemi

młodzieńcy! — Znękane siwym trudem ich prawice, ale rozum w nich króluje nad ciała gruzami. — Kiedy was zwołają, zbierzcie się co do jednego — kogo wam obiorą hetmanem, za tym idźcie w nieustraszonem milczeniu — i zwyciężajcie, jakoście zwyciężali ze mną! — Mnie inna dola porywa. — Jutro moje już nie na tej ziemi. — Bracia, ja żegnam was na wieki!«

* * *

Umilkł i zerwał się, widząc, że księżyc już wysoko stoi. — Oni schodzą ku niemu, a wiją się chyżo, a ślizgają się cicho i zewsząd go czarnem obwiązują kołem — potem, podszedłszy, bliżej staną i wołają: »Gdzie idziesz, wodzu nasz?« — On rękę wyciągnął ku łunie, co za wzgórzami blado płonęła. — »Stój ... to ogień wesela z zamku przodków twoich odbity na niebie! — My cię nie puścim do tych, którzy cię niecierpią, do tej, która cię zdradziła!« — Na te słowa on skoczył z głazu, krzyk jego przebił piersi wszystkich przytomnych: »Kłamcy, ona mnie nie zdradziła, bo dziś jeszcze spać przy mnie będzie, spać będzie na wieki! — Poświęciłem wam dom i dostatki ojców, życie i szczęście z nią — ale śmierć z nią sobiem zachował. — Nadeszła ta chwila moja — puszczajcie mnie!« — I przechodził wśród nich, pióra jego czapki wiatr niósł nazad, pukle ciemnych włosów i zwoje płaszcza nazad, ale on szedł naprzód i gdzie skinął dłonią, tam stawało się pusto. — Pomieszane wrzaski się wzniosły — jedni uklękli, drudzy pobiegli i znów w oddali murem przed nim stają — a wszyscy proszą, by się zatrzymał, obiecują porwać oblubienicę, świadcząc się Bogiem, że, choć w zamku dobór rycerskiego ludu, oni go zdobędą przed świtem. — On się zatrzymał — ucichli — głos jego się rozległ, wdzięczny, jak za dni dobrych, lecz stanowczy, jak na polu bitwy: »Dzięki wam, bracia, ale starca, spiącego w komnatach przodków moich, nie przebudzi szczęk szabel waszych. — Wzrosłem pod cieniem jego ręki. — On pierwszy usta moje nauczył imienia ojczyzny — on pierwszy serce moje zapoznał

z chucią bitew. — Nim zatkniecie na jego zamku sztandary te czarne, święte, moje własne, wprzód mi umrzeć trzeba! — Taki los mój — raz jeszcze: bądźcie mi zdrowi!« — I odszedł kilka kroków i dodał, jakby już nie do drugich się odzywał, ale sam do siebie: »Co ksiądz zwiąże, tego człowiek nie rozwiąże — chyba przeciąć musi!« — I mimowolnie wzniósł sztylet w górę — klinga kąpała się w miesięcznych promieniach, jak nowonarodzony meteor, świetlana i czysta.

* * *

Oni patrzyli za nim, potem szli za nim w milczeniu, opodal, z spuszczonemi głowy, bo wiedzieli, że co on raz wyrzekł, to bez chyby się stanie. — Oddawna krążyły przepowiednie, rokujące mu zgubę. — On sam nieraz, ściskając dłonie towarzyszy, mówił, że nie daleki dzień rozstania. — A nie od miecza wrogów w pobliżu, ni od ich pocisku w oddali poledz miał, ani też zgasnąć z niemocy na chorobnej pościeli. — Inną mu śmierć sny własne i cudze czary zwiastowały! — Pogrzebnie więc stąpali za nim spiskowi. — On już im wydawał się duchem! — Lecz kiedy zaczął wstępować na wzgórze, kiedy pióra jego czapki, z nad krzewów i skał powiewając, sunęły tu i ówdzie, przepadały i, znów bieleją, wznosiły się wyżej, rzucili się w pogoń. — Tak on i oni, piętrami murawy przegrodzeni, ku temu samemu wierzchołkowi się darli. — On pierwszy go dopadł. — Stąd widna jeszcze lepiej łuna i zamku wieżyce, a tuż pod nogami przepaść, grzmiąca hukiem wód śniadych, i pień sosnowy, rzucony mostem ze wzgórza na wzgórze. — Nim zdołal nań wstąpić, znów go otoczyli. — Rzucił się, odepchnął najbliższych i dwoma skokami po chwiejącem się drzewie dorwał się przeciwnego wzgórza. — Spadł lekko, pochylił się gibko i z olbrzymią siłą wyrywa pień z pod głazów, które go trzymają — wstrząsł go i puścił — pień, jak wahadło zniża się, przebiega przestrzeń i zawisa, ciężko tłukąc w skały, u tamtego brzegu. — Zdało się im, że błyskawica oczy im zaćmiła — przeszła teraz, lecz za

późno — darmo krzyczą i wyciągają ręce — już on się od nich tym jarem przedzielił na zawsze. — Raz ostatni czoło jego, oświecone miesiącem, widne w całej życia piękności. — Zdało się, że chce pobłogosławić ludowi swojemu, bo, trzymając zawieszone nad przepaścią dłonie: »W imie Boga, krzyknął, wieczny bój między wami a południowym królem!« Naokół dziesięć opok ten głos powtórzyło i głąb jaru powtórzył go także — w tej chwili sam wódz zniknął wśród krzewów. — Spiskowi przysłuchują się jeszcze, ale prócz szumu fal już nikt nie mówi do nich.

* * *

Nieszczęśliwy, teraz dopiero w oczach twoich błysła iskra szału! — Walczyłeś z nią, dopókiś był pod jarzmem spojrzeń bratnich, nie chcąc im po sobie zostawić słabości wspomnienia — lecz jak tylko stało ci się wolno i samotnie, zrzuciłeś powagę, jak płaszcz na ciernie drogi. Lecisz, gnany zemstą — zawieszasz się na urwiskach — sadzisz przez rozłomy. — Przelękła sowa z krzaków się podnosi, plaśnie skrzydłami i dalej zapada — lis, czatujący w świetle księżyca, milczkiem sunie w ciemniejsze gęstwiny — wilki stanęły z obu stron wąwozu. — Jak strzała przeleciałeś, nie słysząc ich skowyczeń — one przed blaskiem ócz twoich przypadły do ziemi. — Ty już stajesz na równinie. — Ognik przyleciał z przyległych trzęsawisk — zaśmiałeś się dziko: »Na wyścigi ze mną, przyjacielu!« — on obwinął się naokoło czapki twojej i strugą sinego światła oblał ci piersi. — Oba równej lekkości i równie znikomi, w uścisku bratnim chwilę pędziliście razem. — Lecz on pierwszy zgasł — ty znów, cały czarny, przez łąki gonisz i zbliżasz się do zamku naddziadów.

* * *

A zamek na wzgórzu jaśnieje setnemi ogniami. — Ogrody, schodzące ku równinie, leżą tak przejrzysto, tak cicho, tak sennie, że zdają się marzyć o szczęściu

oblubienicy — nad niemi płynie odgłos weselnej muzyki. — Lotna stopa wodza przylgnęła do murawy. — Zdało mu się, że usłyszał śpiewu początek — jego oddalone zwrótki były raczej snem niż jawem — ale w tej mgle dźwięków uchwycił wyraz głosów niewieścich, przypomniał sobie zwyczaj dnia ślubnego, podany od przodków — i lekszy jeszcze, niż przedtem, rzucił się ku ogrodom — oburącz wgryzł się paznogciami w szczeliny murów — oderwał się — zawisł — stopami na mchu się oparł — rękoma dorwał się bluszczów — i podbił się znów w górę i mur przesadził. Głucho zaszeleściały przyduszone trawy. — On z potrójną siłą powstał, dotknąwszy się ziemi, i na znajome puszcza się manowce.

* * *

Dęby, klony, modrzewie, wielkiego boru ostatki, suną czarnemi rzędami. — Tu i ówdzie poziome gąszcze, winnice, łąki i pieśń słowika i ruczajów szmery, dalej wierzby płaczące i w dole cisza wód błękitnych, podbita gwiazdami. — On wiek młodociany przeigrał pod temi drzewami, przepływał na tych wodach. — Lecz go nie zatrzymają teraz przeszłości wspomnienia — tylko w gaju rozkwitłych jaśminów, u stóp góry zamkowej, jęknął, przelatując koło głazu starożytnego. — Tu, wśród nocy, podobnych dzisiejszej, wymykając się strażom, objawiała się wygnanemu bratu dziewica — tu w jej oczach płonęła obietnica święta i pokój dotrzymań leżał na jej czole. — On goni dalej, a twarz odwraca za siwem kamieniem.

* * *

Wśród fontann i pomarańczowych drzew kryte sklepieniem wschody prowadzą do zamku — przez granitowe koronki ostrołuków padają na nie wzorem krat srebrnych promienie księżyca. — On, równie pewny swego czy na wypukłościach światła, czy na ciemności wyłomach, pędzi, wspina się, coraz wyżej się podnosi — wreszcie stanął na równi z zamkowym krużgankiem.

Tu pióra z czapki zerwał i wychylił z pod sklepienia głowę. — Pusto wszędzie — z lewej strony słychać pieśni i wrzaski — poznał, że od nich grzmią ściany sali godowej — na prawo milczenie, na prawo długi rząd okien, od księżyca tylko roziskrzonych, lecz w końcu krużganka, tam, gdzie się zaczyna baszta zachodnia, przez drzwi szklanne, rozwarte promień lampy się wymyka — i niby jęk czasem stamtąd się odzywa, ale taki nieujęty, gdy mimo przelatuje, że go raczej żądzą ducha uchwycić można, niż słuchem. — On go schwycił i wyskoczył z cieniów przejścia krytego, podobny zmartwychwstającym — i szedł, prosząc się kroków własnych, by milczały, szedł, opierając się o filary i poręcze, wszystkiem ciałem podany naprzód. — Lecz nim doszedł rozemknionych podwoi, kiedy już widział zasłonę, co, z nad nich się wyrywając, śnieżnie w powietrzu igrała, kiedy uczuł, że za taką cienką oponą śmierć i życie, powiązawszy dłonie, na niego czekają, stanął i położył rękę na sercu — bo mu się zdało, że serce z piersi wypada — palce spotkały się z zimnem żelazem sztyletu — ścisnął je, ścisnął i przystąpił z boku i przyłożył czoło do szyb drzwi gotyckich. — Dziwna, że nie pękło czoło!

* * *

Zrazu ujrzał tylko plamy czarne i iskry ogniste, co mu się z głębi mózgu własnego sypnęły — potem rozwidniać się zaczęło stopniami. — To obicie lazurowe wystąpi i znów mgłą zajdzie — to błyśnie lampa srebrna i zniknie. — Ogromne zwierciadło o ramach złotych staje przed jego wzrokiem — naszyjniki, łańcuchy, manele rozrzucone mignęły — przejrzał teraz — nic już nie drży, nic się nie krzyżuje. — Pod wiązaniem makat purpurowych na łożu siedzi oblubienica, sama jedna. — Znać chór swatek, odchodząc, poobrzucał ją kwiatami, bo pełno ich na jej włosach, na jej piersiach, a nogi, na kobiercu złożone, pod liściami róż toną. — Czasem westchnie, jak owi nieprzytomni sobie, co już nie myślą o doznanych bolach — czują je tylko —

sami stali się bolem. Wtedy kwiat jakiś osuwa się z nad jej łona i pada na ziemię — a jako fijałki, mirty i lilie spływają po jej śnieżnej sukni, tak za każdem westchnieniem łzy płyną zwolna po jej białem licu.

Drzwi oddalone skrzypnęły — mimowolnie odskoczyły jej ramiona — wyciągnęła szyję, jak łania, obudzona psów dopadających graniem. — Słucha, czeka, płonie. — I znów bliżej coś się ruszyło. — Zerwała się, uciekła w głąb komnaty, czepia się zasłon obicia, koło siebie je obwija i znów z pod nich się wymyka, bieży dalej, wreszcie padła na kolana, krzycząc: »Ty!« — Na więcej sił jej nie stało, w tem jednem słowie ostatnią nadzieję zamknęła i niewzruszoną na tem samem miejscu, w tej samej postawie została. — Nic już nie słychać — przepadły gdzieś kroki i głosy, co przed chwilą brzmiały. — Wtem nagle pękło milczenie. — Ten, którego wezwała, stanął przed nią i poderwał ją z ziemi, lecz nie przycisnął do serca, rzekł tylko: »Jestem!«

* * *

Ożyła i dziwnym uśmiechem zakwitła: »Wiedziałam, wiedziałem, że mi się w wyrocznej godzinie ukażesz! Lecz ty może mnie przeklął w sercu? — Wiem — ah, słuchaj, bo oni się nie śpieszą, nie nadchodzą jeszcze, słuchaj mnie! — Kiedy mnie wiedli do kościoła, szukałam cię wszędzie oczyma; kiedym klękła przed ołtarzem, szukałam cię myślą naokoło, bo oczy nie służyły, łzami na dół ciągnione — na zamku podczas tańców, kiedy mi wszyscy winszowali, słuchałam, czy twój głos ponad inne nie zagrzmi — i teraz jeszcze, kiedy każda chwila niosła mi konanie, a mogła zgubę przynieść, nie opuściła mnie wiara. — W odrętwieniu siedziałam, a duszy wzrok gonił za tobą po dalekich polach — czułam w sercu, że przebiegasz dolne ogrody — com czuła, ziściło się. Daj rękę, zbawiona jestem!« I uginając się, jak wysmukła latorośl, śmiało oparła się na jego ramieniu.

* * *

Kto widział we śnie duszę, wydartą piekłu, porwaną do nieba? Kto czuł, co być Bogiem na chwilę, gdy piorun szczęścia w serce uderzy? Wódz dotąd szedł myśląc, że spotka się z niewierną — teraz, gdy ujrzał, gdy usłyszał kochającą, zapomniał o zemście i śmierci, potężnym i nieśmiertelnym się staje. — Młodość jego dopiero dzisiaj się zaczyna — jednem jej skrzydłem miłość, drugiem będzie chwała. — Przez prochy ojców! on wróci do opuszczonych braci i za nim pójdzie ta, co, pewna ratunku, co, zwieszona na jego ramieniu, pasmo własnej przyszłości zdaje się oddawać mu w ręce! — Snujcie się, malowne chmury wyobraźni! — Piękne jesteście, bo was słońce życia ozłaca zachodem.

W gorączce, w omamieniu zawołał głosem dźwięcznym, głosem uwodzeń: »Czemuś tę obrączkę włożyła? Czyż nie lepiej było wyzwolić się ucieczką do tych gór przed ślubem? — Lecz i teraz one cię zbawią, bo ja w nich panem!«

* * *

»— Pytasz się o przeszłość, Boże! Boże! kiedy nam tak mało teraźniejszości zostało! Czy ty nie rozumiesz mnie? Czy ty wątpisz jeszcze o mnie? Wszak ci przysięgłam, że lud twój będzie ludem moim, a Bóg twój Bogiem moim — dotrzymam! Lecz wprzódy trzeba mi było pożegnać się z ojcem — nie przerywaj — kiedy nie ufasz, słuchaj do końca — dobądź miecza tylko — gdyby nadeszli, rzucę się w twoje objęcia! — Ah, ojciec przyszedł i prosił i błagał! — Ty wiesz, jak twardym głosem rozkazować umie — lecz na mnie on rozkazów nie wywołał z piersi sędziwej, piorun przekleństwa łzami przesłonił i wzdychał i skarżył na jedyne dziecię, że go strąca do grobu. — Książe, zięć przyszły, obiecywał przybrać imię nasze, prowadził służebnych pod zamek i wołał na ojca: »Oto będą twoi!« — Ojciec ukląkł przedemną i dłoń moją położył na siwych włosach — krew rozrywała mu skronie — widny był na jego czole konający sen życia całego, mara wielkości i panowania, wyciągająca ręce do mnie. Wtedy

zdjęła mnie nieskończona siła: wyrzekłam słowo przystania, oddałam rękę nieznanemu, obojętnemu, ah, niecierpianemu, bo u mnie niecierpiany każdy, kto twoich oczu niema, twym głosem nie mówi, szabli twej nie nosi i twoją myślą nie oddycha! — Miasto córki, pan tego zamku dostał syna. — Tysiąc obcych rycerzy wsparło starą rodu naszego budowę. — Teraz odejść mogę — teraz ci powtarzam: lud twój ludem moim i Bóg twój Bogiem moim. — Lecz ten lud, Bóg ten, lecz ta wiara moja, wiesz-li, jak się dzisiaj zowie?« — Młodzieniec, zaokrąglając ramiona koło jej kibici i patrząc w stronę krużganku: »Jak? Mów, jak?« zawołał. — Ona wtedy odparła głosem wyrzutów: »Nie wątp, że śmiercią! — Dopókim na ziemi, dopótym żona innego człowieka — odzyskać mnie możesz tylko w świecie duchów. — Lecz ścieżka doń nie długa, patrz, takiej samej dłuży, co żelazo twoje!«

* * *

To słowo »żona«, spadło z jej ust, jak kamień, na serce wodza i przebudziło go w śnie ostatnim, marzonym na ziemi. — Choć on ją mieczem przegrodzi od pogoni ojca i męża, on jej nie zasłoni od klątwy Kościoła, bo, co ksiądz raz związał, tego człowiek nie rozwiąże. — Ah, zimno i słabo stało się w duszy wodza. — Ta jedna chwila szczęścia, co już przeszła teraz, siłę mu wszystką odjęła. — Drży z bojaźni, jakby teraz dopiero ujrzał długą rękę śmierci, przytkniętą do serca kochanej. — Nie — on sztyletu na nią podnieść nie zdoła — jutro — pojutrze on legnie w pierwszym lepszym boju — a ona niech żyje — najpiękniejsza postać wśród ziemskich niechaj zostanie na ziemi! — Jęknął i porywa się z miejsca — ściany łamią się przed jego wzrokiem i plączą — on ucieka, lecz siostra doleci go u progu: »Co zamyślasz? Gdzie gonisz, niewierny? Albożeś nie przyszedł mnie wyzwolić, jedno wykraść i zhańbić mnie chciałeś?«

* * *

»O, nie zdradzaj — o, nie opuszczaj! — Za chwilę cudzoziemiec tu przyjdzie i skazi tchnieniem nieskażoną twoją — a jeśli objęciom wroga tu mnie sam wydasz, wiesz-li, jaka przyszłość? — On mnie zapędzi na dwór królewski, pomiędzy obce twarze i ułudy i pychy, by chlubić się z mojej urody, by pokazać panu swemu, że zerwał kwiat starożytnego szczepu! — A pan młody co pocznie? a sługa jego, mąż mój, co uczyni? — Patrz na starych! — Oni złorzeczą temu, co ubóstwiali za młodu, drogo cenią, czem gardzili niegdyś — kto ich przetworzył? — Czas, uczuć morderca, czas, róż świeżych na dawnych gruzach przemierzły ogrodnik. — Może on i na moje oczy rzuci zasłonę, za którą zniknie twarz twoja. — Będę sama, sama jedna. — Ty daleko, po skałach, w jaskiniach — zewnątrz wszędzie ponęta, nuda tylko w sercu mojem — i gdy ty się tułasz, rycerze królewscy może będą powtarzać imie moje przy puharach wina — może ich śmiechy kiedy dolecą twojego ucha i przeklniesz siebie, żeś mnie nie zabił. — Pchnij mnie w serce — wyrwij mnie potworowi!« — I w obłąkaniu wyciągnęła ręce, jakby straszne widmo odepchnąć chciała. »Patrz, na jego czole słowo »hańba« sadzone dyamenty — w oczach piekło błyszczy, a miasto ramion dwie syczące żmije — one pełzną przez powietrze — dotknęły mnie — opasały, głowy zanurzyły mi w piersiach i z serca mego, jak z czary, krew moją czystą, krew moją świętą piją!« — Tu padła na kobierce, stopy mu oblewając łzami i długiemi warkoczy.

* * *

Jak piórko ją podniósł: »Przez imie Bogarodzicy, nie dopełni się ziemskie przeznaczenie twoje. — Czysta wśród najczystszych, ty przeminiesz, jak płomień kadzideł!« — Tu znać pękło mu serce, bo rysy męskiego oblicza poszły w rozsypkę i skłonił głowę i do każdej łzy jej równie gorżką, równie niewstrzymaną przylał. — Lecz to był ostatni znak słabości czy wahania, walki czy żalu w nim. — Blada spokojność osiadła na jego twarzy — i przycisnął dziewicę do piersi: »Tym

pocałunkiem skazuję cię na śmierć — kto pierwszy dotknął liców twoich, a imienia nie zdołał ci wraz z tchnieniem ust przelać, z tego ręki zginiesz! — Nie w innej myśli szedłem, siostro, do ciebie — ale, kiedym cię ujrzał, pokusa szczęścia mnie uwiodła. — Daruj! Potem, gdym osłabł wśród marzeń, strach słabego ogarnął — przebacz mi! Teraz pokusa i strach odeszły na zawsze — teraz módlmy się — bo razem stąd odlecieć musiemy!«

* * *

»Nie!... ty zostań, by przewodzić ludowi twojemu! — Ja w czyscu czekać będę na ciebie cierpliwa i tęskna. — Rzucaj tylko czasem tam, kędy mnie pochowają, pióro z hełmu lub pierścień z kolczugi! — Grabarz spostrzeże się z rana i powie: Ktoś był tu w nocy, jeszcze ktoś pamięta o niej!« — I natężonym wzrokiem jaskrawo wglądała mu w oczy. — On jej przerwał żelaznym dłoni uściskiem: »Duszą własną duszę twoją przed sąd Boga zawiodę!« — i dodał żałobniej: »Czem mogłem, póki mogłem służyłem ludowi mojemu. — Sztandar jego zatknąłem na granicach zamków. — Teraz on przekroczy te granice. — Gdybym dniem jednym dłużej przeżył, wiesz-li, czyjebym włosy białe musiał rozwiać wichrem burzy? — na czyich podwórcach zasiąść jako sędzia i niszczyciel? — O, idźmy stąd razem, siostro — tam, kędy idziemy, przeciw starcom nie walczą młodzieńcy, tam niemasz zdrady i ucisku — tam i zemsty niemasz!«

* * *

Boskie uniesienie twarz jej owiało i rzuciła się w wodza objęcia — ni słowmi, ni łzami już dziękować nie zdoła, ale zdziera z palca złotą obrączkę wroga, idzie ku ślubnym wezgłowiom, na jednem z nich ją składa, potem odwróci się ku wodzowi: »Teraz tyś pan i mąż mój na wieki!« — i, spuszczając oczy, wnet uklękła i modlić się zaczyna modłami umierających. —

On ukląkł także — czasem wtórował jej słowom, czasem milczał w ponurej powadze. — Wtem obejrzy się ku otwarym na ganek podwojom i rzekł: »Już świtać zaczyna.« — W tej chwili obudzonych ptasząt głosy odezwały się z okolicznych gajów. — Ona zbladła. — »Oprzyj się na mojem ramieniu—spojrzeć na świat chodź raz jeszcze ze mną!« — Poszła za nim i stanęli oboje na progach krużganku.

* * *

Księżyc gdzieś za wzgórzem zamkowem kona — śniado błądzą jego ostatnie promienie po dolnych ogrodach — w powietrzu snują się wyziewy, niby płaszcze królewskie, niby dziewic zasłony, przetkane jutrzenki czerwienią. — Wszystkie obrazy i obietnice życia raz jeszcze w tej przedostatniej chwili stanęły przed ich oczyma — w pobliżu zaraz szmer i błysk fontann, wdzięczne kształty filarów, kwieciem umajone krzewy. — Dalej na wzgórzu bielejąca ścieżka ucieczki i las gęsty w dole — za lasem już otwarte pola — a dalej jeszcze w odbłyskach zorzy wolnych wierzchołki gór. Z pośród ich szczytów wejść miała dla bohatyra kiedyś gwiazda chwały, a teraz cały ten widnokrąg będzie mu tylko zapomnienia grobem! On wlepił wzrok w góry, a śmiało żegna się z niemi — ona z schyloną głową ciśnie się k'niemu, wzywając czy prędszego zgonu, czy spójrzenia miłości. — Darmo świat, budząc się coraz żywiej, coraz im głośniej radził, by czasu nie porzucali dla wieczności — nikt nie wie, co w ich duszach się działo. — Ona coraz bardziej ciężała na ramieniu brata, a z włosami jej ranny powiew igrał.

* * *

Wtem głosy rozhuzdane wzniosły zdrowie czyjeś w oddalonej sali. — On się wzdrygnął — ona może już nie słyszy — potem sypnęły się na krużganek gęstych stóp hałasy i z ukosa błysnęły pochodnie. — »Boże, zawołał, wszak dasz braciom moim zwycięstwo!« —

i uniósł zdrętwiałą w wnętrza ślubnej komnaty. — Po murach zamku odbite, wzorem piłek skaczą wiwaty podchmielonej zgrai. — Znać pan młody spieszy do żony z pierwszym dnia promieniem. — »Czy widzisz, krzyknęła, wyciągając ręce ku zwierciadłu, nie poznając już siebie samej, jaki piękny anioł mój!« — »Ah, piękny!« powtórzył wódz z głuchym jękiem i upadającą przycisnął do piersi, w drugiej ręce wzniósł śmiertelne żelazo. — W tej chwili odgłos szybkich, lekkomyślnych kroków dochodził drzwi krużganku.

III.

W komnacie, w której ojciec mieszkał, kędy dziad i pradziad mieszkali i umarli, siedział starzec na starożytnem ich łożu. — Ani raczył przysporzyć wygody sędziwemu ciału, szat nie zwlókł, sługi gniewnem odepchnął słowem, jedno łańcuch z medalem królewskim zrzucił z szyi, jedno szablę odpasał i oparł o stół dębowy. — Za łożem kaplica, wydrążona w ścianie, z ołtarzem i szczerozłotą lampą. — On nie odwraca się ku niej, by zmówić, jak co dnia, pacierz przed zaśnięciem. — On wie, że nie zaśnie dzisiaj. Czasem tylko, oczy wzniósłszy, patrzy na przodków obrazy, niewzruszonemi źrzenicami patrzące na niego, a gdy obieży ich koło, znów wzrok smętnie spuszcza na dół.

* * *

Wiecie-li, młodzieńcy, wy syny światła, kusiciele burzy, co się dzieje z duszą starców, gdy prysną ich rachuby, ostatnie ich miłości na ziemi? — O, nie, nigdy wam los tak gorzkiej nie podał trucizny. — Czas, jak niewolnik, niesie was na skrzydłach i przestrzeń skrzydłami rozrzyna — choć sto gwiazd zagaśnie z tyłu, sto innych przed nim zapala się dalej. — »Naprzód w nieskończoność!« oto hasło wasze. — Lecz oni pozbawieni jutra — już im trumna w poprzek progów leży, a jedna tylko gwiazda tleje nad źrzenicą. — Oni modlą się do niej: »Tyś słodka i poczciwa — nie uciekasz, jak księżyc w jeziorach młodości, ni pękasz, jak meteor ciepłych nocy letnich — po długiej

drodze dopierośmy twoje dobre światło ujrzeli — o, bądź nam wierną, o, świeć nad domem naszym, byśmy jeszcze żyć mogli na ziemi!« — Wtem prawda zstąpi w ich dziedzińce, przesunie się jak wąż ślizka, naga wśród zamkowych murów i dójdzie progu i siądzie na trumnie, wyrok zawodu śpiewając — na głos jej ostatni promień odrywa się z niebios i »noc wieczna« staje się na imie światu.

* * *

Patrzcie! Z babiego lata jednej śnieżnej pajęczyny nie zostało w ręku starca. — Czy słyszycie, jak łzy córki zaczęły padać mu na duszę zarzewiem? jak śmiech księcia, jej męża, brzmi przeciągle w jego uchu? Zerwał się z łoża i kroczy gwałtownemi kroki. — Darmo siedemdziesiąt zim przeciągnęło mu nad głową; on dumny dotąd, on nie odgadł tajemnicy życia! — Odmęt zgrozy, zemsty, wahań, postanowień wplótł mu serce na koło męki. — Króla i zięcia i siebie przeklina — lecz nie pęknie serce, zanim wejdzie pierwszy promień słońca!

* * *

Wreszcie styrane ciało padło na krzesło o złoconych poręczach i herbach. — Zniżyły się ramiona, opuściły nogi — oko odsłonione, martwe wlepiło się w przeciwległą ścianę. — Choć nie rusza ustami, wciąż mu się zdaje, że własny głos słyszy — choć leży w odrętwieniu, wciąż mu się zdaje, że zamku przebiega komnaty, aż stanie w sali godowej i znów ujrzy młodzieńca, siedzącego wśród zgrai. — »Precz mi stąd, książe, przybyłe z obcej ziemicy! — Przodki moje, powstańcie z grobów, otoczcie go rzędem! Czarny hetmanie, wytrąć mu puhar z dłoni, ty, kardynale rzymski, wymów nad nim klątwę rozwodu!« — I słychać szelesty stóp umarłych, ciągnące od zamkowej kaplicy. — Rozwarły się na oścież ogromne podwoje — wchodzą wywołani. — Pan młody porywa się do szabli,

a drugą ręką pije do umarłych. — Wtedy sam starzec szuka miecza, rzuca się ku mieczowi oddalonemu, wiszącemu na ścianie — prosi się Boga, by prędzej do miecza się dostać — na klęczkach się wlecze i pada i znów się wlecze, aż spotka kardynała w purpurze, zblakłej od wilgoci podziemiów. — Ten mu rękę zimną przyłoży do czoła i rzecze: »Co ksiądz raz związał, tego człowiek nie rozwiąże na ziemi«. — I zniknęły cienie — i rozwiała się sala biesiad — i znów on się widzi w własnej sypialni, na tem samem krześle. — Głucho, pusto, straszno. — W tej chwili druga uderzyła na zegarze wojewodów.

* * *

Straszno, coraz straszniej! Z kaplicy za łożem zielonawy odbłysk rzuciła lampa. — Przebóg! postać biała klęczy i jęczy na stopniach ołtarza — potem się odwróci i sunie ku starcowi; ręce jej w krzyż złożone na piersiach, suknia, jak szaty posągów, w tysiąc fałdów się łamie, ale się nie rusza. — Twarz znana, kochana kiedyś, twarz to żony nieboszczki. — Usta rozemknęły się na nowo, lecz głos nie, jak dawniej, rzewny i potulny, owszem rozkazujący i pełen wyrzutów. — On chciał jej odpowiedzieć, a nie mógł ręki wyciągnąć, jedno musiał iść po ciemnych zamku przejściach, tam, dokąd go wiodła — koło kaplicy, koło grobu własnego nie zatrzymała się, szła przez zbrojownię wśród pancerzy i hełmów, szła coraz dalej, aż do baszty zachodniej — wstąpiła na wschody; drzwi zaryglowane się przed nią, jak dwoje cichych ust, rozwarły — pociągnęła starca skinieniem. — On poznał skarbiec i w ścianie strzelnicę, wydrążoną nad ślubną pań zamku komnatą. — Tam mu umarła wskazuje, by stanął i patrzał.

* * *

Przebóg! przed łożem ślubnem, naprzeciwko zwierciadła, ujrzał córkę w objęciach zbrojnego męża — poznał płomienne oczy i wyniosłe czoło wygnańca —

dostrzegł nagi sztylet w jego ręku — usłyszał głos, brzmiący, jak dźwięk szklannej harmoniki: »Uderzaj śmiało, bo nie ty mnie zabijesz, ojciec już mnie wprzódy zabił!« — I postać niewieścia, to mówiąc, garnęła się pod żelazo rycerza. — Starzec wszystkie siły do krzyku natężył, lecz nie przerwał milczenia. — Dłoniami strzelnicę rozerwać usiłuje — zimny granit się nie ruszył — więc zdało mu się, że padł na kolana, że wołał do synowca: »Dam ci ją za żonę, będę walczył z tobą przeciw królowi, tylko mi jedynego dziecka nie zabijaj!« — to znowu, że prosi się córki: »Dziecię, dziecię, zlituj się, on będzie mężem twoim, tylko nie chciej umierać!« — Lecz oni go nie usłyszeli. — Sinem światłem oblały się ściany, lampy gasnąć zaczynają — wtem gwar słychać na krużganku. — Pan młody, podchmielony i skoczny, wpada do komnaty — przyrósł do kobierca — sięgnął ręką do boku — nie znalazł miecza, ogląda się, woła, lecz nikt nie poszedł za nim. — Strach nakształt żywej śmierci starca ogarnął. — Pan młody rzuca się na wygnańca. — Ten go odepchnął daleko, gdzieś aż pod same okno, pytając: »Czego mieszasz spokój umarłych?« — I coś błysnęło w powietrzu raz i drugi i trzeci. — Słaby krzyk wzleciał i uleciał — gasną lampy jedne po drugich — ostatnia nad zwierciadłem jeszcze się pali — w jej płomieniach postać zbrojnego męża i postać dziewicy, krwią zbroczone, gmatwają się, rosną, wreszcie upadły. — W tej samej chwili trzecia uderzyła na zegarze wojewodów i znowu ocknął się starzec w własnej sypialni, u stóp własnego krzesła.

* * *

Dokoła cisną się sługi i giermki z świecznikami — łoskot słyszeli, przybiegli, zastali go leżącym na kamiennej posadzce, z skaleczonemi rękoma. — On się zrywa i znowu pada, wołając: »Ratujcie dziewkę moją — zamordujcie syna brata mego!« — Oni go w pół biorą, dźwigają. — »Czy noc jeszcze, czy to dzień już? Gdzie jestem?« — i zatoczył się ku szabli, opartej na

stole dębowym; dobył ją, rekojeść przewinęła mu się w ręku, ostrze spadło na ziemię i wlecze się za nim. — Grube łzy z powiek mu pociekły. — Oni klękają przed nim, proszą o jaśniejsze rozkazy. — »Za mną, tylko za mną!« odpowiedział przerwanym głosem i, wpół niesiony przez nich, kwapi się ku drzwiom, wychodzi na korytarze, spieszy się, pasując się z niemocą, jak pływacz z falami. — Sługi, spoglądając jeden na drugiego, żegnają się świętym znakiem krzyża.

* * *

Tak za jęczącym, za mdlejącym, za obłąkanym ciągnęła drużyna w stronę ślubnej komnaty. — Sen, zdaje się, głęboki spoczywa na tej części zamku — przez rząd bocznych podwoi widać z daleka w sali biesiad porzucone stoły i dogasające światła. — Już też przez okna przejściów wkradają się przedsłoneczne świty. — Wtem nagle zatrzymały się pacholęta, niosący przed panem pochodnie. — Z zakrętu ciemnej galeryi człowiek pędzi im na przełaj — włosy jego rozczochrane, szata rozdarta, ni sztyletu w pasie, ni miecza u boku, i sine usta i śniade czoło, jakby śmierć nań wionęła, przechodząc, a on przed nią dotąd uciekał. — »Nie puszczajcie ojca na krok jeden dalej!« i dopadł starca i uchwycił go za ręce. — »Gdzie żona twoja?« — Pan młody padł na kolana: »Poczekaj, ojcze, wróć do twojej komnaty, tak rano śpiącej córki nie budź!« — »A więc mówisz: nie budź jej, a więc ona się przebudzi jeszcze? — Mów prawdę, człowiecze, bo zły duch mnie nawiedził snem strasznym. — Widziałem ją wołającą śmierci — a ty bezbronny, tak jak teraz, byłeś — i trzeci tam stał, który dziecię moje zamordował. — Powiedz, wszak to wszystko marnym żartem nocy, naigrawającej się z biednego ojca?« — Schylił głowę pan młody pod nieznośnym ciężarem tego pytania, drży całem ciałem, a wzniesionemi rękoma opiera się starcowi. — »Milczysz? ha! Bóg mnie skarał, żem się pokłonił królowi twojemu i szukał związków z obmierzłą krwią twoją, cudzoziemcze! — Teraz ja sam jeden zo-

stałem na ziemi!« Zadrżały na ten krzyk starca wszystkie serca przytomnych. — On chwycił miecz oburącz: »Milczysz? Ojcowie moi byli wrogami twoich — gdybym miał syna, byłby twoim wrogiem — córkęm jedynaczkę miał tylko — bierz ten spadek po niej!« — I spuścił miecz, ale żelazo wyrwało mu się z dłoni i roztrąca się o przyległe filary — na ten szczęk zerwał się pan młody i jeszcze starca wstrzymać usiłuje. — Pasują się oba, z podziwu i przerażenia nie podobni sobie samym, dzikich zwierząt wzorem. — Ale rozpacz sędziwe ramiona w żelazne kleszcze na chwilę przekuła. — Pan młody, choć tancersko gibki, już dźwiga na barkach dłonie przeciwnika, już gnie się we dwoje. — Starzec mdlejącego do reszty obalił i przekroczył przez rozciągnione ciało. — Teraz on już cudzej nie zażąda pomocy. Sam stąpa dalej, paląc się wzrokiem, olbrzymim cieniem łamiąc się na ścianach, w rozwianych szatach, z okropną śmiałością. — Słudzy garną się za nim, sklepienie odjękuje odgłosowi ich kroków. — Już ich tylko jedna świetlica dzieli od komory pań zamku — na drugim jej końcu widać na wścież rozwarte podwoje, za niemi część kobierców i ścian ślubnej sypialni i okno od krużganku, rozognione promieniami wschodu. — Zresztą pusto, głucho; słychać tylko szmer blizkich wodotrysków. — Starzec prosto śpieszy ku drzwiom onym i ku wschodzącemu słońcu.

* * *

A kiedy stawał na progu, ogromna, rumiana twarz słońca wlepiła mu się w oczy. — Zdało mu się, że widzi krwawe serce Boga w przestrzeniach. — Olsnął na chwilę, idzie dalej omackiem, aż tu znów ujrzał krew czerwoną na ziemi. — Wszystkie mary snu strasznego otoczyły go napowrót w jawu promieniach. — Tak, jak widział, że upadli, tuż przed nim rozciągnione leżą ciała córki i synowca. — Wzniósł ręce w górę wzorem tonących i bił niemi marne powietrze, jakby usiłował się wydobyć z tego piekła widziadeł — potem niewzruszony pozostał na miejscu. — Tymczasem tło-

czą się zewsząd do komnaty przebudzeni goście, służebni, lennicy, a każdy u wnijścia struchleje i w słup się obróci. — Wszystkich oczy skierowane na odwróconego pana i na zwłoki przebitych. — Oboje leżą u stóp ślubnej łożnicy. — Ramie wygnańca dotąd szyję siostry otula, jej głowa spoczywa na jego kolczudze, powyżej sztyletu, co tkwi mu w piersiach — nikt nie przywarł im powiek — w świetle coraz bielszem słońca szklnią się ich źrzenice, a krew wszędzie naokoło, i na pancerzu wodza i na piersiach oblubienicy ścina się już w czarniawe korale — nad tą krwią stygnącą twarze ich, oblane śniadym pokojem. — Jakby wspomnienie uśmiechu przystygło do ust dziewicy, niby cień dumy ociąga się jeszcze na czole rycerza. — Znać męka smierci lekką im była wśród zachwytu ducha.

* * *

Starzec jak stanął, tak stoi dotąd — nie jęknął, nie drgnął, nie pochylił się. — Przytomni, parci świeżemi przychodniami, zwolna muszą posuwać się naprzód półkolem — wstrzymują oddechy, oburącz trzymają szable, by nie zabrzękły, lękają się chwili, w której pan ku nim twarz obróci. — Wielki Boże! przed tą twarzą nie stanie im serca!

Jezus Marya! jakież to dziwo? — On przywitał ręką przytomnych ludzko i wspaniale, tak, jak zawżdy zwykł czynić — niby zadumany, niby nieświadom rzeczywistości, wpatrywał się w ich postaci i przecierał powieki, a ognista gorączka płonęła mu na licach. — »Wina węgrzyna — niech wypiję zdrowie obywatelskie!« — Nikt się nie ruszył — wszyscy skamienieli dokoła. — »Krew tę obmyć, nim moja dziewoja powróci!« — Nikt się nie ruszył — każdy głowę spuścił, nie mogąc znieść wzroku jego. — »Ha, wy nie wiecie, że to wszystko śni się nam. — Sen uparty, długi, przeklęty — ale wkrótce ranek być musi i przebudzę się«. — To mówiąc, szedł na krużganek. — Tu nagle zdał się inną zaprzątniony myślą; przechylił się przez marmurowe poręcze, patrzał w lewo i w prawo, potem

woła: »Mości Panowie bracia, chodźmy szukać państwa młodych! Dziwno, że na przechadzkę wyszli sobie tak rano«.

* * *

I zaraz zstępuje sklepionemi wschody, tą samą drogą, którą wczoraj synowiec wdzierał się na zamek. — U stóp wzgórza zerwał róż kilka: »To dla mojej dziewczyny — ciszej, wiara — ciszej — zejdziem ją niespodzianie w tym lasku i przywitamy dnia dobrego życzeniem«. Z pochylonemi głowy wszedł za nim orszak pod cienie jodeł i smutnych modrzewi. — Węzły ścieżek ściskały się i rozpuszczały na przemian, wiodąc w głąb ciemną, to na czyste smugi, to wbiegając na pagórki, zasute agrestem. — Starzec zaczął wołać córki po imieniu. — Echa naokoło naśmiewały się z niego, ludzie szlochali, idąc z tyłu za nim. — Nagle uderzył się ręką w czoło: »Zmora, zmora, a ja wierzę jej, jakby czemu dobremu — kiedyż wnijdzie mi prawdziwe słońce?« — I rzucił się ku blizkiej sośnie, objął pień rękoma: »Obudź mnie, obudź, twarda koro!« — Potem się odwróci i porwie najbliższego z orszaku za piersi i krzyczy: »Maro sługi, mocuj się z panem twoim — obudź mnie — obudź!« Przerażony sługa wymknął mu się i ucieka. — Westchnął starzec, wzniósł oczy ku niebu — wyraz przystania na męczarnią twarz jego pokornie oświecił, jakby za grzechy ten sen okrutny ofiarował Bogu. — Potem szedł spokojniej, a gdy uszło czasu trochę, znów rzecze: »Panna młoda pewno tam, nad jeziorem. — Za mną, wiara, dalej!«.

* * *

Owoż i słońce podbiło się w górę, owoż i rosa wysycha już na liściach a wód powierzchnia płonie wrzącemi blaski. — U brzegu zaczepione kołyszą się łodzie o herbownych flagach. — On przypiął sobie do pętlicy róże i chodzi po wybrzeżach z coraz żywszą na licu gorączką. — Nikt nie śmie przemówić, nikt

radzić, by wrócił do zamku. Przywykli słuchać woli nieugiętej pana i teraz jej hołdują, choć ona już nie z tego świata. — Im samym ten dzień wygląda nakształt ciemnej nocy — im samym do mózgu wdziera się obłąkanie! — »Może wsiadła na łódkę, popłynęła z mężem pomiędzy te kępy, za te wysepki? — Hej, sześciu z was bierzcie się do wioseł — i my też popłyniemy za nią!« — Usłuchali, on siadł na statek, odbili od brzegu. — »Czego jęczycie tak dzisiaj? — czy woda wam twardsza?« — Oni nic nie odpowiadają, tylko jadą prędzej. — Za niemi reszta dworzan, jak kto mógł, skacze w inne łodzie. — Dużo ich pojechało za starym panem. — Dużo zostało na brzegu, bo zabrakło czółen.

* * *

Wysepki kryły się jedne za drugiemi — każda wieńcem sitowiu opierścieniona. — Tu i ówdzie na nich olbrzymie głazy, dawne okrutnych bogów ołtarze, dziś obwisłe powojem. — Kiedy dopływała łódź, u steru której siedział starzec, zewsząd zerwały się z pluskiem i szumem dzikich ptaków stada. — Czarna z nich tęcza zawisła nad płynącemi — na każdym skręcie wodnego manowcu starzec klaszcze w ręce: »Tu, tu ją znajdziemy«, a gdy nikogo nie widać, pyta się powietrza: »Gdzie dziecię, dobre dziecię moje?« — Tak opłynął całą wysp drużynę i czystem jeziorem kazał jechać ku drugiemu brzegowi. — Lecz już teraz zamilkł, ster puścił, czasem rzuci się nagle w bok, a wielka bladość rozpościera się po jego twarzy. — Zanurzył ramie w wodę po łokieć i, słuchając szmeru fali, głośno się rozśmiał. — Stanęli wioślarze, czekają, ażali im nie każe wrócić. — On i słowa nie rzekł, jedno wstał i, odwróciwszy się, spoziera na zostawione z tyłu czółna, na ogrody i zamek, a ciągle ręką głowę przeciera lub drugiej dotyka się dłoni — wtem krzyknął: »Chcę się przebudzić — ja chcę się przebudzić!« — Oni zadrżeli. — On skoczył z sił wszystkich, ostatnich w głębinę. — Trzech natychmiast rzuciło się za nim,

tymczasem nadpływają tamci. — Wszyscy widzieli, co się stało, i patrzą na wodę, wirującą w miejscu, kędy zapadł stary pan z wiernemi sługi. — Wrócili po kilku chwilach pływacze, niosąc między sobą starca. — Na pokładzie pod flagą herbowną złożyli pana. — Lecz w nim już nie patrzeć życia, życie pod błękitami jeziora zostało!

* * *

Tak obce książe zagrabiło zamek starożytny cnego imienia. — Zwłoki teścia i żony uczciło pogrzebem— ciało wygnańca rzuciło gdzieś w nieświęconą ziemię. Potem wyprawiło towarzyszom stypę w onej samej sali, kędy noc pierwszą ślubu przemarnowano z kielichem w ręku, z żartami na ustach. — A gdy zorza błysnęła, na rączych koniach udali się wszyscy na dwór króla południowego. — Król z serca rad był książęciu, że rozległe imiona zagarnęło ślepym losu trafem. — Król dziękował losom, że ród odwieczny i potężny wygasł. — Lecz w górach pamiętają wodza, który spoczywa w nieświęconej ziemi. — Jego mogiła leży z tamtej strony zamku. — By nad nią krzyż pamięci zatknąć, wprzódy zamek szturmem zdobyć trzeba. — Od gór, na zwiady wysłane, latają ku wieżom orły i krogulce. — Lada dzień za niemi sypną się zbrojne męże, a inny pieśń zwycięstwa ułoży. — Ja wam podałem pieśń zgonu!

* * *

A ty, młoda dziewczyno, znikłaś jak myśl, co sobie konchy glinianej ulepić nie mogła na ziemi — skrzydła jej zawadzały — pozbyć się nie mogła skrzydeł! I poniosły cię one, dokąd wichry lecą, dokąd mgły żeglują, dokąd rwą się liście jesienne i wiją się szumy harfy i piersi westchnienia! — Na grobie marmurowym prochy twoje noszą imie cudzoziemskie, nienawistne męża. — Wokół, na zielonym świecie znikło-

mych, nikt już nie wspomina ciebie. — A nazajutrz po zgonie siedmiu starców cię przeklęło za to, żeś pociągnęła za sobą bohatyra duszę. — Nazwali cię oni szyderczem imieniem: »Kobieta«, kiedy mówili do zgromadzonego ludu — ale lud płakał i, rozchodząc się, wołał: »Wieczny odpoczynek daj jej Chryste Panie!«.

POKUSA.

Ach, mętne krwią i łzami pędzą życia fale
I na nurtach potoku słychać wieczne żale.
Z tyłu leżą, przeszłości mgłą obwiane, tonie,
Z przodu niebo dalekie krwawą łuną płonie,
A wokoło pływaczy tak zimno i ciemno,
Że każdy woła, płynąc: »Przekleństwo nademną!«

Matko, po sześćkroć zabita, matko nieszczęśliwa, jednym smugiem zielonym, łanem jednym kłosów ty pamięć obwiążesz i odtąd cierpieć, błądzić, kochać cię muszą syny twoje. — Za niemi grób od morza do morza, przed niemi, gdziekolwiek idą, zachodzące słońce, a idących przeklinają mocarze i kupcy!

Wzrosłych na łonie śmierci nie zrozumieją żyjący — pobledną twarze ludzkie przed wzrokiem upiorów — na odgłos ich stąpań płomień ognisk domowych pochyli się i głazy ogniska zamiecie — matka ukryje dziecko, żona uprowadzi meża, by nie podał dłoni przechodniowi — gwiazda im tylko wieczorna, gwiazda grobów uśmiecha się w górze!

Wszak święte było milczenie borów sosnowych?— a kiedy wiatr się podniósł, wszak wołał nad waszemi głowy szmerem tajemniczym, jak modły arcykapłana! — Boga waszego niema tu już nigdzie. — Tu szkielety z drewna, okute żelazem, podsycane parą, zaległy przestrzenie; — w powietrzu nie unoszą się orły, w zaroślach nie świegocą ptaki, rączego konia tu żaden z was nie osadzi na stepie i nie pojrzy z dumą, sam jeden śród świata!

Przechodząc więc, i wy im odwdzięczajcie się wzgardą; — kiedy was zawiodą do miast bez świątyń i zamków, pod domy białe tynkiem, którym wygoda prócz zielonych okiennic skąpiła ozdoby, powiedzcie: »Umarli!«

Kiedy na brzegach morza staniecie śród Żydów, Ormianów i Greków, swarzących się o podłe zyski, a grzmot, co huczy nad falą, niesłyszan przemija — »Umarli!«

Kiedy naokoło snuć się będą niewiasty, ciała, ubrane w suknie, a polot ich sukien, powiewem trącanych, duchowniejszy, niż dusza ich — »Umarli!«

Idźcie, płyńcie, jak szum nietkniętych borów! — Świat was nie pozna, bo wy z trumien rodem — i, zmartwychwstając, po drodze rzucacie szmaty całunów, a on na spadzistościach — on w purpurze potęgi schodzi do trumny!

I ujrzałem jakoby w cudownem widzeniu obraz, zmieniający się, jak długie życie, a znikomy, jako dzień jeden, co się pocznie rankiem, a prędko pod cienie wieczoru zaleci.

Ranek był dziwnie przejrzysty, wolen chmury wszelakiej. — Słońce wschodziło nad szeroką przestrzenią zieloności — przed domem na wzgórzu koń osiodłany rył murawę kopytem i rżał, chwytając w nozdrza powiew z doliny. — Obok stał młody, ledwo że młody pan jego, z iskrą światła w oku, równą dziennej jasności, z jedną nogą na strzemieniu, z drugą jeszcze na miękkiej domowej murawie — z jedną ręką na grzywie szumiącej, z drugą w dłoni człowieka, z którym się żegnał, nie wiedzieć, na jak długo, jednak nie na zawsze.

I z serca ku sercu szły naprzemian jednego i drugiego słowa. Starszy, ten, co stał i miał odejść pieszo, wzrok wbity trzymał w dalekie skały i bory za smugami zieloności. Tamten wzniesione miał oczy, całą pił błękit źrenicą i głos jego brzmiał, jak najpierwsze świeżej struny dźwięki. — Starszy przemawiał wolniej i surowiej, znać radził, przestrzegał i zaklinał — znać kochał mocno — znać wątpił nieco — a młodszy nie wątpił, przysiągł, rzucił się na szyję przyjaciela, wnet potem na siodło — i poleciał, poleciał, jak potok, z góry na dół, potem, jak strzała, po równinie. — Chmara sług sypnęła się z domu starożytnego i goni za panem.

Wtedy pozostały ukląkł i słyszałem to, co mi wiatr przyniósł z jego modlitwy: »Ojcze niebieski, dozwól

tej duszy rozkwitającej nie zwiędnąć na ziemi! — Nie wódź jej na pokuszenie, wszelkiego poddaństwa ludzkiego odsuń od niej znamię — niechaj Tobie służy tylko — Matce, po sześćkroć zabitej, niechaj służy tylko!« —

Tu umilkł klęczący i zdał się głęboko rozpamiętywać, czy przeczuwać, czy też modlić się wciąż jeszcze — aż ścisnął dłonie z sił wszystkich; i znów wiatr przyniósł mi słowa jego: »Ojcze niebieski, nie proszę cię za przyjacielem, byś mu osłodził mękę życia — on cierpieć musi, jako wszyscy na świecie. — Jedno uskąp mu, Panie, rumieńca wstydu i hańby słabości!« —

Po tych słowach ze wzgórza puścił się wędrowiec i szedł pieszo ku dalekim skałom, ku lasom czarniawym. —

Znów razem zeszli się oba, konny i pieszy, o południu dnia tego samego, przed wielką bramą miasta. — Już skwar słońca wypalił ciemnawe ślady na młodszego czole, już rosa muraw wyschła na jego strzemionach i rdza połysk ich stali szpeciła, a koń, przylatując zdaleka, stanął, jakby znużony, choć żarem jeszcze pryskały mu oczy. — Pieszy siedział na głazie, od stóp do głów siwy kurzawą. — Młodzieniec skoczył lekko na ziemię, rzucił mu się w objęcia i konia sługom oddał i wszedł bramą wielkiego miasta, wiodąc towarzysza ku pałacowi. —

Spoczęli oba w jednej z wnętrznych komnat pałacu. — Tam rozmawiali przyciszonym głosem, jakoby się lękali z za ścian ucha nieprzyjaciół. — Młodzieniec, na perskim kobiercu rozciągnięty, odwilżał usta w srebrnej czarze. — Starszy nie dotknął się puharu, kiedy mu go podawał przyjaciel, nie ścigał wzrokiem po stołach i ścianach, kiedy mu ich kosztowności wskazywał przyjaciel. — Wstał nareście i, wziąwszy młodzieńca za rękę, zawiódł go do okna. — Stamtąd całe miasto widne i tłumy snującego się narodu. — Miasto ogromne, dziwnie jednostajne i wybielone; — naród dziwnie silny, jednostajny, w czarnej odzieży. — Młodzieniec patrzał ciekawie, starszy wędrowiec westchnął

i rzekł: »Kiedy was zaprowadzę do miast bez świątyń i zamków, powiedzcie: Umarli!« —

Ale młodszy patrzał jeszcze ciekawiej: przejeżdżały niewiasty; jaskrawe były barwy ich sukien; każdą dwa rumaki ciągnęły, a jeden z nich odrywał się w bok i pędził, śnieżną zasłoną, gdyby żaglem rozpiętym, otoczon. — Starszy wędrowiec westchnął i rzekł: »Kiedy naokoło snuć się będą ciała, ubrane w suknie, a polot ich sukien duchowniejszy, niż dusza ich, powiedzcie: Umarli!« —

Ale młodszy nie zdawał się słyszeć słów przyjaciela. — Tymczasem na niebie zbierały się zewsząd ciężkie, spiekłe chmury. — Jakżeż ta godzina południa różną już od porannej była! —

A śród narodu czarnego zaczęli snuć się ludzie, przed którymi naród głębokiemi chwiał się ukłony. — Kuse ich stroje, migocące złotem, przetkane barwistemi wstęgi — długi, chudy oręż przy ich boku — grube piór czuby na ich głowach; — głosem twardym wołając, szli w potędze swojej i uderzali dzieci, pozostałe na drodze. — Jęły płakać dzieci, jął tłum się cofać i uciekać; oni jedni zostali na rynku, a coraz ich więcej przybywało — i kłaniali sobie samym coraz grzeczniej, coraz niżej, aż Jeden konno nadjechał i wszyscy upadli twarzą na ziemię. — Snać ten Jeden był panem życia i śmierci! —

Wtedy rzekł pierwszy wędrowiec: »On już na spadzistościach — on w purpurze potęgi schodzi do trumny«. — Lecz młodzieniec, wlepiwszy wzrok w jasne szaty jezdca, ich błyski pił całą źrenicą, tak, jak niegdyś błękit niebios, i nie zdawał się słyszeć słów przyjaciela. — Dopiero, kiedy ten drugi raz je powtórzył, zakrył on oczy dłonią i wyrzekł imię matki zabitej, jakby wspomnienie dzieciństwa. — Starszy, przyciskając go do piersi: »Nie patrz, nie patrz na nich!« — zawołał. — »Nigdy! nigdy!« — odparł młodzieniec i, zalany łzami, rzucił się znowu na wschodnie kobierce. — I usłyszałem modlitwę, odmówioną w duchu nad leżącym przez odchodzącego wędrowca: — »Ojcze niebieski, o południu tej strasznej próby, błagam cię za tym,

którego ukochałem. — Ojcze niebieski, teraz już o cud proszę Ciebie. — Osłódź tej duszy walkę życia — uwolnij ją od pokus, któremi inne otoczyłeś w tych miejscach, by nie upadła, jak owi dawni, najpiękniejsi w Twoich niebiesiech, strąceni za to, że zapragnęli potęgi!« —

Sam teraz, sam jeden śród miasta wielkiego został młodzieniec i musiał się bratać z ludźmi napotkanymi. — Na niebie już w ołowianą blachę zlepiły się chmury. — Co chwila zmieniają się kształty ulic i komnat i osób, a on wszędzie pomiędzy niemi oko moje ciągnie za sobą. — Niesłychane cierpienie zakrył on spokojnym liców pozorem. — Ciągle za nim wije się rój złych myśli, wzorem czarnych owadów — a po drugiej stronie leci rój dobrych w błękitnawe iskry. — Pierwsze osiadają mu serce i toczą je krwawo, drugie krew spiekłą wypalą z serca i rany zabliźnią — lecz nowe, coraz głębsze powstają. — Wszędzie niebezpieczeństwo i wszędzie męczarnia — niema komu się zwierzyć, dzieciom i niewiastom nawet kłamać musi; uczy się kłamstwa, jak arcydzieła sztuki, i posiadł je — i stał się panem spojrzeń, sztuki i łez i ruchów swoich, aż jasność, równa dziennym promieniom, znikła z jego źrenicy. — Boże! i same szaty jego stały się kłamstwem; zrzucił dawne, w których latał po stepie, wziął na głowę czuby piór i chudy oręż przypasał do boku; tłum jął przed nim się cofać i koń go własny nie poznał, gdy wchodził na podwórce pałacu swojego — pogłaskał mu grzywę, a on nie zarżał — chciał skoczyć nań, jak dawniej, a on dęba stanął. — Gniewem zdjęty, pchnął więc konia szpadą; szlachetny rumak oderwał się od słupa, krwią bryzgnął i uciekł, grzmiąc podków łoskotem. — Ślad długi iskier bruk osypał za nim i zagasł w zmierzchu. — Ach, już była nadeszła zmierzchu godzina! —

Wtedy po trzeci raz w dniu owym z przyjacielem spotkał się młodzieniec; — ujrzałem ich obu w kościele. — Ten kościół stał na ustroniu i krzyż na nim różny był od wszystkich innych, zatkniętych na

świątyniach miasta. — Ubogie ółtarze i stropy grubą powleczone żałobą, a trzy gromnice tylko paliły się śród szerokiej ciemności. — Jedną z nich wziął do ręki pieszy wędrowiec i patrzał na przyjaciela pełnym żalu wzrokiem. — Tamten zrazu nie mógł słowa wyrzec, bo zapomniał był słówmi głąb duszy objawiać; raz tylko krzyknął. — W tym krzyku cała ozwała się prawda — ducha, nie chcącego upaść, powolne niszczenie. — I złożył głowę na ramię towarzyszowi i spuścił powieki, jakby marząc, iż może uda mu się zasnąć na wieki w tej chwili. — Lecz towarzysz ocucił go i rzekł: »Za mną, za mną, byś sobie postać matki przypomniał!« — I poszedł przodem ku roztwartym drzwiom za wielkim ółtarzem. — Mroźny wicher buchał z podziemiów — gromnica przewodnika biła się z powiewem, w długie iskry rozczochrana. — I szli oba długo bardzo, coraz niżej zstępując do łona nocy, aż z ciasnego przejścia wydobyli się na głuche i niezmierzone obszary.

Ogniki nocne spadały czasem nakształt zlatujących gwiazd — czasem podnosiły się z dołu, jak wschodzące księżyce. — W ich świetle snuły się długie cmentarze jeden po drugim, a na każdego bramie tlało srebrne imie Ludu, który na nim leżał zamordowany. — Po kościach i czaszkach przechodził młodzieniec i czytał napisy. — Zdawało mu się, że cienie umarłych pomykają się przed nim spłoszone i, jęcząc, uciekają dalej — aż zrósł się z nich tuman, podobny do burzy, co chwila ogromniejszy, szumiący tysiącem smętnych pieśni rodzinnych. — Znać było jakoby migotanie szabel i przewiew sztandarów w powietrzu. — Łuny pożarów jak błyskawice rozlewały się w przestrzeniach i gasły na przemian, a coraz hyżej i coraz dalej toczył się wir Duchów, aż nagle spuścił się na dół, rozsypał się, jak zeschłe liście, przyległ do ziemi, jak letnia kurzawa, wołając: »Ojcze niebieski, zmiłuj się nad nami!« — Wtedy zatrzymał się przewodnik i klął przed wniściem do otwartego grobu, na którym imie po sześćkroć zabitej paliło się białym płomieniem; — a kiedy powstał, drżał od stóp do głów,

świętem przerażeniem zdjęty; a kiedy próg przestępował, zaczął płakać rzewnie. —

Smętne światło jesiennych pogód oświecało tamtejsze przestwory; — niby to wieczór już nadchodzi, a na wzgórzu, łagodnie pochyłem, leży trumna pod wysmukłą sosną; na jej szczycie orzeł przeszyty, w własnej krwi uśpiony — a w trumnie postać z krzyżem na piersiach, z zasłoną na twarzy, z okowami na ręku, z koroną na czole. I wzgórzów takich sześć po sobie, przedzielonych zielonemi smugi, kędy krew płynie na wzór szemrzących ruczajów, kędy oręż połamany zielskiem zarasta; a na każdem wzgórzu taż sama trumna i postać taż sama, jedno coraz więcej krwi, coraz na dłoniach leżącej cięższe łańcuchy i światło jesienne co chwila bledsze; wreszcie u stóp ostatniej wyżyny zmarzłe sterczą krwi potoki, na sosny konarach wiszą sople lodu i miasto zasłony śniegiem twarz umarłej przykryta. — Tam gdy doszedł młodzieniec, padł czołem na grudę zimową i przeklął życie! —

Dalekie pozostałych cieniów u bram grobu słychać westchnienia, płacze; wreszcie zapytały: »Czy skonała już po sześćkroć przebita, czy nie powstanie już nigdy i nas biednych nie wywiedzie?« — Starszy wędrowiec nic nie odpowiedział, bo okiem miłości patrzał na towarzysza w tej chwili i dźwigał go z ziemi ramieniem. — Wtedy powstało narzekanie wszystkich dalekich pomarłych ludów i jednym krzykiem ogromnym ciszę śmierci zrzucili: »Ojcze niebieski, Tyś zdradził nas, Tyś wydał nas piekłu, bo Swięta nasza skonała!« — Ale przewodnik odegrzmiał im z oddali: »Nie bluźńcie, bo Święta wasza oddycha jeszcze! — Widzę ją: śpi w trumnie ostatniej na zamarzłem wzgórzu — za niem już niemasz siódmego, tylko jedno jest: zmartwychwstanie.« — A ryk Duchów wołających opadł i przerzucił się w szmer cichy i słodki, jak początek nadziei. —

Wtedy spostrzegł młodzieniec niedojrzane dotąd za trumną obszary. — Tam pałał blask jutrzenki na błękicie bez końca, stamtąd było słychać szczęk jeszcze nienarodzonych bitew i pieśń zwycięstwa.— Lecz

zorza przez chwilę tylko jaśniała, chrzęst przez chwilę tylko dzwonił, milczenie i zmierzch i zimno wróciły. — Czas już odejść. — Oba wstąpili na wzgórze, pochylili czoła i usta na stopach postaci złożyli i z pod śniegu słabiuchny oddech ust jej zasłyszeli. — Potem tąż samą, widziałem, jak wracali drogą, strasznemi wiążąc się przysięgi. —

A starszy, żegnając młodszego u wnijścia do kościoła, rzekł dziwnie zaklinającym głosem: »Nie daj się uwieść tym, którzy chcą zgubić duszę twoją i wymazać imie twoje z rzędu słów zacnych na ziemi! — Pamiętaj, że, cokolwiek ujrzysz tej nocy, jest piekieł złudzeniem!« — I, położywszy dłonie na sercu młodzieńca: »Ojcze niebieski — zawołał — zlituj się nad nim i nademną, bo jeśli on tej okropnej próby nie wytrzyma, Ty wiesz, że ja sam jeden zostanę na świecie!« — Po tych słowach każden z nich różną poszedł drogą. —

Teraz już ciemna noc była w onem wielkiem mieście. — Mnogie po ulicach ruszały się tłumy, wszystkie w stronę jedną, kędy światło tysiącznych lamp wołało do zamku, brzmiącego wrzawą muzyki i tańców. — Po wschodach miedzianych, wiodących w górne komnaty, wspinają się młodzi i starzy, męże i niewiasty, wszyscy spiesznie, chciwie, jakby szli do nieba. — Powoli mijają godziny nocy, dłuższe, niż wszystkie poprzedzające dnia tego, a o którejś z nich ujrzałem młodzieńca na owych wschodach, z daleko starszą już twarzą, na której ślady przysiąg zręcznie się ukryły. — Cisnął się za nim orszak sług — rzucił im płaszcz swój i darł się wyżej strojny i wspaniały, gość, równy pysznym godom! — Lecz zaledwo wszedł i pojrzał na tysiące, pląsające w tych miejscach, na przepych rozwieszonych łupów, na oręże, pryśnięte i wprawione w sklepienia wzorem mozaiki, zbladł od gniewu i zgryzł wargi do krwi — ale tłumy lecące porwały go między siebie — tysiąc skrzypców, piszczałek i rogów pijanem powietrzem oblały mu głowę, woń kadzideł wkradła mu się do mózgu, jedwabne kobierce lubieżnie łaskotały go w stopy, co chwila innej barwy

światło grało mu w oczach — aż znękany, upojony siadł na uboczu i, pochyliwszy skronie, zamarzył się o licach niewieścich, o śnieżnej dłoni jakiejś. — Wtedy usłyszałem, jak biła jedna, długa nocy godzina. —

Kiedy podniósł oczy, ujrzał przez rzęd roztwartych podwoi w dalekiej świetlicy tron słonecznej jasności, górujący ponad morzem ruchomem tancerzy, a na nim siedział Jedynowładzca życia i śmierci pod wiązaniem z chorągwi. — Z jednej, rozdartej na szmaty, czasem kropla krwi padała, lecz nikt na nią nie zważał prócz młodzieńca. — Na ten widok wszystką siłą duszy odegnał wabiące mamidła i spojrzał wzrokiem czystym od pokus tak, jak w godzinie poranku. —

Wtem tłumy rozginać się zaczęły w prawo i na lewo — od tronu aż do młodzieńca wytknęła się szeroka ścieżka przez wszystkie komnaty. — I z tronu zstąpił pan zamku i szedł zwolna, jakby Bóg jaki, śród padających na ziemię; — prosto szedł ku siedzeniu młodzieńca, na krok nie zboczył, zbliżał się coraz bardziej, cudownie piękny i silny. — Tamten wstał i śmiało spojrzał mu w oczy — pan życia i śmierci nie zmarszczył brwi, owszem rzekł łudzącym głosem: »Chodź, przejdziem się razem — i dziwy ci zamku mojego pokażę!« — a kiedy młodzieniec stał, jak przykuty, on sam przystąpił, złożył pocałunek na jego czole i pociągnął za sobą. —

Z trumną matki, wijącą się przed oczyma, szedł młodzieniec, a ramie jego drgało krwi kipiącej biciem na twardem ramieniu mocarza, który, srogim głosem grzmiąc ku rozstępującym się, dziwnie miłym i szlachetnym wciąż przemawiał do towarzysza. — Wspominał o przeszłości, wymówił nawet imie matki zabitej bez wzdrygnienia, jakby jej śmierć nie ciężyła na jego sumieniu; nie zdał się na chwilę powątpiewać, że znikła już z ziemi na zawsze, i wskazał młodzieńcowi inną przyszłość, ogromną, wyrytą w księgach przeznaczenia — nęcił ku niej młode jego żądze, nie szczędził obietnic, a czasami udawał natchnienie, gdyby prorok Boga. — Od twarzy jego urodziwej, jak twarz Antychrysta, ku ziemi wzrok odwrócił nieszczęsny mło-

dzian. — Każde słowo kusiciela kroplą jadu padało mu na serce i z niej robak się wylęgał. — Tak przeszli razem długi szereg komnat śród ludzi, czołem bijących o malakity posadzek. —

Na drugim końcu zamku nagle na rozkaz pana spiżowe bramy się rozwarły i tysiące, podźwignąwszy głowę, chciwie poza ich progi spojrzały. »Oto skarbiec mój — rzekł mocarz — patrz i uwierz we mnie!« — A młodzieńcowi się wydało, że stoi na brzegu kopalni, ciągnących się bez końca. — Blask, bijący z ich jarów i urwisk, pożerał źrenicę; — toczyły się tam potoki płynnego złota i srebra, tęczą przeskakiwały nad nimi łuki z ametystu. — Słychać było gwizdy podziemnych płomieni, trzęsły się wzgórza, rwały się jaskinie, a świeże dyamentowe bryły lepiły się z ich gruzów. — Czasem też odzywał się jakoby krzyk konających, jakoby szczęk kajdan z głębi — i przesuwały się postacie ludzkie po tych smugach jasności, jak czarne plamy księżyca. — Wtedy oko pana w górze rudym płonęło gniewem, postacie wznosiły ręce i, tłukąc łańcuchami, przeciągle wołały o jedną kroplę wody, o jedną chwilkę odetchnienia. — On nie raczył im odpowiadać, a co chwila jedne padały w ogień wnętrzny kopalni, a drugie, równie okute i umierające, na ich miejsce wschodziły. — Zdało się młodzieńcowi, że rysy niektórych widział gdzieś dawniej na powierzchni ziemi, lecz błyskawice przesłoniły mu ich twarze — szum topniejących kruszców zagłuszył ich jęki — blask, równy pogodzie pustyni, wszystko zalał i pokrył. — Wtedy bramy spiżowe zawarto, a pan życia i śmierci, odchodząc, rzekł: »O dwunastej bądź w sali tronowej — tam zasiądziesz do biesiady przy mnie!« —

Teraz, gdziekolwiek udał się młodzieniec, witały go tłumy okrzykiem. — Byli i tacy, którzy mu rękę całowali za to, że dotknęła się dłoni ich pana. — Pytali się, jakie pieśni lubi, i wnet muzyka je grała — przynosili mu słodkie w czarach przejrzystych napoje. — On dziwił się i gardził zrazu, potem spojrzał dumnie i rozkazywać zaczął. —

W prześlicznej ustroni, śród pachnących krzewów,

na aksamitnych kobiercach spotkał pań zamężnych i hożych dziewic grono. — Ledwo wszedł, one go otoczą; każda go wita różanym uśmiechem, każda mu szepcze do ucha w przelocie i rzuca kwiatami na niego. — Gorączką nabiegły mu lica, uczuł, że zdołałby w zamku wroga być szczęśliwym, i to uczucie, jak piorun, strzaskało mu serce. — Ucieka — one gonią za nim, szumiąc powiewnemi szaty. — Przez dwie długie tej nocy godziny widziałem, jak splątany, pomięszany, walczący, prosił się czasami Ojca niebieskiego o siłę i cnotę, to znów w rozpaczy przebiegał sale godowe i szukał broni, by pchnąć się w piersi — ale nie znalazł jej nigdzie! — Były inne, w których, odwróciwszy się do czarownych postaci, przeklinał je i lżył, rozdzierał ich muślinowe przesłony i deptał nogami. — One, płacząc i korząc się, wołały: — »O, raz, raz tylko powiedz, że jedną z nas kochasz!« — Wreszcie krzyknął w obłąkaniu: — »Kocham!« — Porwał w objęcia cudzego rodu dziewicę, wrzące usta złożył na jej ustach, a ona go powlekła do sali tronowej. —

Tam pan życia i śmierci zasiadł był na nowo pod zdobytemi sztandary. — Uderzyła jakaś nocy godzina — dworzany stanęli wokoło. — Zwinęła się w górę makata, kryjąca drzwi platynowe. — Herold zawołał na czekających za progiem, a weszli posłanniki królów wschodu i zachodu. — Długo w uroczystym stąpali przewodzie, a każdy składał u stóp tronu urnę szczerozłotą, napełnioną popiołami tych, którzy, walcząc w świętej sprawie, po różnych stronach świata polegli; — a kiedy przeszli wszyscy, wstąpił wódz zbrojny w książęcych gronostajach i ostatnią urnę postawił na ziemi. — Młodzieniec ujrzał imię matki zabitej na jej wypukłości — stało mu się ciemno przed oczyma — nic nie widział przez chwilę, nawet kraśnej towarzyszki — słyszał tylko zapytanie pana: — »Czy zaprawdę umarli i nie powstaną?« — i odpowiedź posłów wszystkich: — »Zaprawdę nie powstaną nigdy.« — A wtedy przystąpili dworzanie i, po obu stronach sali na słupach z czarnego granitu rozstawiwszy urny, płomień do ich wierzchów przytknęli. — Zapaliły się prochy sinym ogniem, bla-

de dymy powiły się w powietrze i poniosły panu woń śmierci. —

I zdało się młodzieńcowi, że wszystko, co widział o godzinie zmierzchu, snem było; zdało mu się, że te tłumy są świata panami, a król ich wszechmocny na zawsze. — Przez wszystkie zamku komnaty jeden stół się podniósł i stanął śród urn płonących. — Dziewica prosiła oblubieńca, by zasiadł do biesiady; pan, schodząc z tronu, sam skinął na niego i miejsce mu wskazał — i wszyscy, którzy tam byli, gdy dwunasta biła, zasiedli do onego stołu. —

Prosto młodzieńcowi w oczy stał słup, dźwigający matki popioły. — Ile razy nań spojrzał, puhar upuszczał na ziemię; lecz mu go nazad podawała narzeczona. — Jednak coraz groźniej i straszniej pasował się duch jego obłąkany, usiłując powrócić do dawnych wiar i nadziei; ale wszystko, co go otaczało, grubą zasłoną ćmiło mu poznanie. — Zatrute krążyły zdrowia — on na cześć pana wychylać je musiał — osłabły piersi, dreszcz rozwiązał członki; skronie, zimnym potem zlane, pochyliły się; ludzie, urny, sklepienia pogmatwały się przed jego wzrokiem. — Głosy rozmów, dźwięki muzyki, słowa oblubienicy pomieszały się w okropny hałas, nieznośny mdlejącemu; — i tak minęły przedostatnie godziny.

On żył jeszcze, ale nędznem serca biciem, kiedy ostatnia uderzyła, jak grzmot, ponad jego głową. — Rozemknął powieki — płomienie urn dogasały. — Pan życia i śmierci, nachylając się ku niemu, uśmiechnął się łaskawie: — »Gościu biesiady mojej — rzekł — czas, byś mi przysiągł na służbę i wyrzekł się starożytnego imienia!« — i rzucił mu przez stół garść dyamentowych krzyżów, dodając: — »Noś to na pamiątkę moją!...« — Herold stanął przy młodzieńcu i rotę wyrzeknięcia się czytał z księgi czarnej, a konający powtarzał słowo po słowie, nie słysząc własnego głosu. — Głowa jego opadała na łono oblubienicy, usta jeszcze się ruszały, ale już bielmem zachodziły oczy — i wymówił tak wszystkie wyrazy aż do ostatniego. — Lecz zaledwo skończył, wstał pan życia i śmierci: »Sługo

sług moich — zawołał — śmierć od powrozu kata cię czeka, jeśli kiedy złamiesz przysięgę...« — potem roześmiał się gardłem całem. — Podniósł się nieszczęśliwy, a za pierwszem spojrzeniem spotkał urnę matki — lecz miasto jej nagrobku inne tam już słowo stało: »Hańba!« wyczytał młodzieniec. — »Hańba!« krzyknął, zrywając się z miejsca ostatkiem sił — »Hańba!« odrzekły mu tysiące z tyłu, z przodu, z boków — »Hańba« powtórzyły zamku sklepienia od sali tronowej po skarbcu kopalnie; — a jedni z pośród tłumu zaczęli nań wołać jego nowem, cudzoziemskiem imieniem; — drudzy, skacząc naokoło, przypinali mu krzyże. — Inni kazali mu, by się im kłaniał; inni, by deptał po niedopalonych matki popiołach!

Tu mu krew napowrót pchnęło do serca i rzucił się naprzód, rozbił otaczających, wyleciał z komnaty, szuka wzrokiem narzeczonej — ona gdzieś w oddali stoi, już oparta na ręce drugiego, i szydzi także. Jak może więc, sunie poza posągami, przepada w framugach; lecz zaraz go wykryją i znów uciekać musi — w sto manowców zamek plącze się przed nim, a nigdzie schronienia: wszędzie naokoło obelgi i groźby, a w nim samym przekleństwo! — Obrócił się ku wrogom, pasował się długo, aż zrzucili go pod stopy i przeszli po nim, śpiewając mu pieśń jakąś z stron jego ojczystych. — Gdy powstał, inni nadbiegli, a on wyzywał ich jeszcze, aż spieniony, krwawy, znów zacznie się cofać i szukać wyjścia z zamku. — I bił się i tarzał i biegł i padał aż do pierwszych świtu brzasków — wtedy runął ze wschodów miedzianych i stoczył się na podwórzec zamkowy.

Tu go uchwyciły silne ramiona i uniosły daleko, aż na stopnie kościoła, widzianego o godzinie zmierzchu. — Teraz już blizki wschód słońca — lecz dla młodzieńca nie będzie drugiego poranku na ziemi!

On odzyskał przytomność i w niemej rozpaczy stał na wschodach przed starszym wędrowcem, który rzekł ponuro: — »Wiem, że w innym czasie i na innem miejscu mógłbyś był zajaśnieć bohatyrem — ale śród ciężkiej próby, naznaczonej ci od losów, nie umiałeś

być cnotliwym. — Widoma rzeczywistość przemogła w tobie nad niewidomą, świętą, wiekuistą prawdą; — zgubionyś!« — »Wróć mi konia« — krzyknął młodzieniec — wróć mi szaty stepów i dawną broń moją, a ujrzysz, jak mścić się będę krzywd bratnich i własnego shańbienia!« — I czepiał się rąk przyjaciela i zawieszał mu się na szyi, gorejąc wściekłością; — a tamten smutniej jeszcze odpowiedział jemu: — »Czas głośnej walki nie nadszedł. — Długo jeszcze dni milczących poświęceń trwać muszą, a choćbyś się doczekał sądu i zmartwychwstania, policzą cię właśni bracia w poczet odrzuconych. — Stamtąd, czy słyszysz? już wrogi gonią za tobą! — Jeśli cię schwytają, przez resztę życia ty będziesz ich woli służalcem, ich zbrodni spólnikiem, ich żartu igraszką. — Jeden tylko, jeden ratunek pozostał dla ciebie« — i dobył sztyletu. — Młodzieniec zrozumiał i z dziką odwagą rozdarł szaty nad piersiami. — »Uderzaj! — zawołał. — Umieram synem matki, po sześćkroć zabitej — cześć jej na wieki!« — Jęknął wędrowiec i w tych nagich piersiach żelazo utopił; — padł bez krzyku nieszczęśliwy w pierwszych promieniach wschodzącego słońca, o tej samej porze, o której wczora, pełen nadziei i siły, pchnął był konia z góry na dół, wpoprzek stepów życia. — Upadł, a oko jego, gasnąc, błysnęło dawną iskrą światła. Klął przy ciele towarzysz i wzniósł w górę załamane ręce. — »Ojcze niebieski, Ty wiesz, że go śród wszystkich najmocniej kochałem na ziemi. — Pókim mógł, broniłem go od pokus piekła; a gdy upadł, w pierwszej chwili upadku duszę jego wydarłem wrogom i posłałem Tobie. — Ojcze niebieski, zbaw ją w wieczności, a niech ta krew, przezemnie wylana, połączy się z morzem krwi niewinnej, co jęczy u stóp tronu Twego — i wraz z nią spadnie na głowy kusicieli!« — Po tych słowach widziałem, jak sam drasnął się pod serce zelazem i na kamieniu ponad głową umarłego czerwonem ostrzem napisał: »Z ręki przyjaciela.« — Wtem wrzaski walącej zgrai huknęły w pobliżu — porwał się wędrowiec i, uchodząc, znikł z przed oczów moich w przybytku kościoła. —

Tak przeszedł i zakończył się ów dzień jeden mojego widzenia!

O matko, po sześćkroć zabita, kiedy wstaniesz ze snu, kiedy znów zasiądziesz nad łanami zbóż, śród zielonych borów od morza do morza, a w chwili odmłodnienia przypomnisz sobie długą zmorę śmierci, straszne widziadła męczeństwa — nie płacz, matko moja, nie płacz nad onymi, którzy polegli w imieniu twojem na rodzinnych lub zamorskich niwach! — Choć sępy i wilki rozdarły ich zwłoki, oni szczęśliwi. — Ani płacz nad tymi, którzy śród katów w głuchych umarli podziemiach — choć im kaganiec więzień jedyną gwiazdą, choć im twarde słowo ucisku ostatniem na ziemi pożegnaniem było — oni szczęśliwi. — Ale uroń łzę litości, o, uroń łzę, matko moja, nad losem tych, których rozum blichtrami fałszu złudzili morderce twoi, nie mogąc serc ich oderwać od ciebie przemocy rozkazem! — Oni, matko, oni więcej wycierpieli, niż reszta synów twoich. — Omylone nadzieje jak noże przeszyły im piersi, w okręgu ich ducha odbyło się tysiąc walk nieznanych i krwawszych od bitew, co grzmią w obliczu słońca chrzęstem stali i łoskotem dział. — Widmo twoje służyło im za cień własny; lśniące oczy wrogów sprowadzały ich pochyłością lodu ku głębi zimna wiecznego, a na każdem urwisku, zatrzymując się, płakali za tobą — aż serce wyschło im z tęsknoty, aż wychudły im ręce i nogi w niewoli bezwidomych kaj-

dan; — i stali się jako trupy żyjące, sami śród nienawistnego ludu, sami w domach własnych, sami jedni na szerokiej ziemi. — Matko moja, ty nad dolą ich, ty nad męką mąk wyrzeknij ciche słowo przepomnienia! —

DZIENNIK
Z PODRÓŻY DO SYCYLII.

1839. Albano, 18 kwietnia w nocy.

Chciałbym ci zostawić wszystkie myśli moje; chciałbym ci napisać słowo, w któremby cała dusza moja się zawarła, słowo, któreby ci wypowiedziało wszystko, com czuł i marzył blizki, wszystko, co przecierpię daleki od ciebie, byś, kiedy mnie już nie będzie, spojrzeć mogła na nie, jakby na drugie serce, podobne do owego, które ciebie kocha. Ale takiego słowa niema — trzeba jedność uczucia na wiele słów rozdrobić, by pojętną się stała. Zamiast więc jednego słowa potężnego, wszechwładnego, zostawię ci zapisanych kart kilka i jeszcze w nich nie znajdziesz tego, co chciałem, byś miała po mnie; słabo i blado w nich się odbije to, czem byłem tobie, czem będę i jestem!

Otóż zacząłem pisać do ciebie w Albano. Patrzę na Kampanię rzymską, dawną znajomą, dawną przyjaciółkę, pobratałem się z nią w smutnych chwilach; ona mi zawsze wierną była i wszystkie natchnienia mojej młodości urodziły się w niej i jej ponurą barwę noszą. Dziś ona mi się pogodną wydała, wiosna wszędzie się zieleni na jej ogromach. Chodziłem długo po Villa Barberini, niegdyś pysznej, dziś zarosłej zielskiem, sadzonej ogromnemi sosnami, wielkiemi i smutnemi, jak Polska.Ku Rzymowi, gdzie dotąd jesteś, wytężałem wzrok, ale Rzymu nie podobna ujrzeć, mgła w oddali go zakryła; widziałem tylko Kampanią, podobną do szarego morza i z drugiej strony morze podobne do białej Kampanii. Te dwie nieskończoności przypomniały mi, że ty nie lubisz myśleć o nieskończoności. I w rzeczy samej

jest coś strasznego w każdym ogromie — w każdem pojęciu wiecznego życia lub wiecznej przestrzeni. Ale ten strach mija, gdy porwie nas wstręt do skończonych rzeczy, gdy zwrócimy uwagę na wszystkie nasze bole, pochodzące właśnie z tego, że żyjem ciągle wśród skończoności. Wtedy nieskończoność, jak świeży napój, jak ocean, przeznaczony nam do wypica, zstępuje w duszę naszą i odświeża nas. Chciałbym objąć cię ramieniem i z tej Kampanii rzymskiej porwać cię do niebios.

* * *

Neapol, 23 kwietnia po południu.

Przeklęte miasto, nagie, jak pustynia, bez cienia, bez przytułku, bez domu, krzykliwe jak przedpokój szkolny, gdzie smagają uczniów, niespokojne, a jednak nie ożywione i głupie! W tem powietrzu roztopiona siarka i węgiel, jak trucizny padają na nerwy; w blasku tego słońca jest coś wściekłego, w zieloności tych drzew coś niedoszłego, zatrzymanego przed czasem, w kształcie ich gałęzi coś garbatego. W wejrzeniu tego ludu jest coś niemęskiego, słabego jak dzieciństwo, a ohydnego jak zepsucie i zgnilizna; ich wesołość jest błazeństwem, ich namiętności błahościami; z rzędu zwierząt nie podnieśli się jeszcze do godności człowieka, a rząd zwierząt, do którego się liczą, nie zachował nawet ozdób i sił, któremi natura dzikie płody swe obdarza; są to swojskie psy, osły, barany, a czasem między niemi tu i ówdzie zdarzy się ostryga dla urozmaicenia widoku. Gdyby jeszcze te psy, osły i ostrygi chciały spokojnie leżeć i milczeć, ale broń Boże: co chwila ryczą, biegną, skaczą, piszczą, zazierają, puszczają fajerwerki, kłócą się o funt makaronów lub klaszczą w dłonie, kiedy się poliszynel albo król na ulicy ukaże.

Wśród nich żyć nie podobna, wśród nich kochać jest męczarnią, bo miłości potrzeba pewnej powagi, pewnej ciszy; miłość albowiem obraźliwą jest; łacno ją

skaleczy, łacno w ból ją wprowadzi i w tęsknotę każdy widok niezgodny z tem, czego ona pragnie, z tem, co ona czuje. Na rzymskich cmętarzach lepiej nam było: tam ludzie milczą i nie słychać odgłosu ich kroków, kiedy przechodzą; tam nocy czarne i pełne pokoju; tam wszystko nosi cechę wieczności, tu wszystko jak czas rusza się i hałasuje. Kampania dobrą dla nas była: ruiny kochały nas, grób Augusta strzegł nas, księżyc, co zazierał przez okna i siatką srebrną oplatał błękitną kurtynę, był nam przyjacielem. Marzyłem w jego promieniach, żem już nie na ziemi i nic marzenia tego mi nie przerywało. Jakbym się był dostał do świata Duchów, do snów wiecznych świata, tak sennie, złoto, milcząco wszystko tam płynęło i wiązało się. Jest coś nieśmiertelnego w tych wspomnieniach moich!

A tu wszędzie i w każdej chwili ciśnie mi się do serca omdlenie, zwątpienie, smutek, śmierci przeczucie, nieszczęścia przewidywanie, rozdziału rozpacz. Każden ich krzyk straszy ciebie i w mojej duszy się odbija. Nienawidzę tego światła zuchwałego, tych nocy jasnych i głosami ludzi zapełnionych, tych przechadzających się żołnierzy, tych ulic budowanych z jednej strony domami a z drugiej morzem; nie cierpię ich, bo ciebie straszą, bo czuję dreszcz ręki twojej i włosów twoich, kiedy ci rękę ściskam. O, uspokój się i zapomnij, żeś tu!

* * *

28 kwietnia, na statku parowym o kwadrans na 10.

Z najwyższego pomostu patrzę raz jeszcze ku tobie, wytężam wzrok mój, wyciągam wszystkie myśli moje ku tej dalekiej, czarnej wstędze, co wije się na brzegu — to Villa Reale. Zdaje mi się, że dostrzegam jeszcze Bellevue, ale pewno raczej sercem, niż źrenicą. Statek porze szybko wody, otchłań z lapis-lazuli podemną. Rozwieszają żagiel w tej chwili — tęskno mi, że jeszcze prędzej popłyniem. Sam jestem wśród tej nieskończoności i modlę się z westchnieniem do Boga o ciebie. Bądź zdrowa, bądź spokojna i nie czarnej myśli; niech

błogosławieństwo moje, niech cała dusza moja oderwie się od tych piersi i zostanie z tobą — kiedy wrócę, oddasz mi ją!

* * *

29 z rana.

W tej chwili w czarnej oddali, gdzieś wśród wyziewów pokazała mi się Sycylia. Jeszcze pięć godzin drogi nam zostało. Noc była południowo-łagodna, księżycowo-złota; przeleżałem ją na pokładzie, marząc o tobie i wywołując postać twoją ze srebra fal. Dziwnie promienie miesiąca krążyły wraz z cieniami po tym kołyszącym się statku; chmury i gwiazdy zdawały się podnosić i zniżać na przemian, kłaniały mi się z nieba. Wśród nocy zajaśniał wulkan Stromboli z daleka, jak krwawa pochodnia, przez chwilę wybuchnął nad tym ogromem wód i zgasł — i już płomienia ni razu nie widziałem. Snuły się pod statkiem delfiny, dorady także czasami z głębi morza wyzierały. Powiadają, że w chwili konania one zwykły się stroić w najśliczniejsze farby, że stają się tęczami na falach. Lubię je za to — piękność i śmierć rzadko zlewają się razem.

Z tyłu i po bokach morze było szare, z przodu tylko szedł przed statkiem trójkąt łusk złotych, odbicie księżyca na falach, przeciągnione w nieskończoną oddal, podobne do tych ócz boskich, co po katedrach jaśnieją nad wielkim ołtarzem. W powietrzu było coś wiośnianego. Tęsknota moja za tobą z gorzkiej przeszła w tkliwą, prawie w szczęśliwą: zdało mi się, że widzę cię uspioną i że błogosławię snu twojemu. I każda fala niosła mi obraz twój, póki się nie rozbiła o boki statku; wtedy następna porywała ciebie i znowuś płynęła ku mnie pomieszana z światłem księżycowem, ze zmierzchem nocy, z pół-cieniami chmur, z iskrami gwiazd, bo wszędzie, gdziem spojrzał, tam ty być musiałaś, tam ty byłaś, jakoby drugie morze, drugie niebo naokoło duszy mojej, także zagięte sklepieniem!

Ale gdy ranek wrócił, gdy weszło słońce, gdy oni

wszyscy zaczęli się ruszać i rozmawiać, gdy statek przemienił się z łódki fantastycznej, niesionej ku szczęśliwszym brzegom, w bat pełny ludzi z kapitanem i restauratorem, stało mi się, jakobym już ciebie nigdy nie miał obaczyć. Ci ludzie mi twój obraz przesłonili, zabrali mi ciebie!

Zeszedłem do kabiny, słyszę ich nad moją głową, śmieją się i krzyczą, przeszkadzają mi pisać; nie mogę przy odgłosie ich rozmów wylać całej duszy ku tobie. By modlić się Bogu, trzeba mi pustych kościołów, a jako przed Bogiem, tak i przed tobą sam jeden być muszę.

* * *

12-sta z południa.

Przybliżyła się Sycylia, prawie schodzi się z Kalabryą. Drzewa jednego nie znać na brzegach, same wzgórki piaszczyste, ale odwrócić się trzeba, tam z tyłu widok jedyny. Na granicy, gdzie morze styka się z niebem, Stromboli się wznosi i dymi ku niebu. Nic więcej nie widać na tej ogromnej błękitu przestrzeni. Zdaje mi się w tej chwili, że świat ten cały z wody błękitnej, a na nim tylko wyspa jedna, tylko wulkan jeden; zdaje mi się, że potop zalał ziemię, nic nie zostało po ludziach, tylko ołtarz ten ogromny, stawiony przez olbrzymów, stoi dotąd, a na nim dopala się ich ostatnia ofiara. Gdy ten płomień zgaśnie, gdy ten dym się rozwieje, będzie cisza na świecie, będzie tylko ołtarz jeden martwy i morze jedno i nad niemi Bóg jeden.

* * *

30 kwietnia z rana — Messyna.

Messynę dzieli od Kalabryi odnoga morska, do rozlanej wielkiej rzeki podobna. Na wzgórzach kalabryjskich rząd chmur zasiadł wczoraj i przymilał się Messynie ślicznemi farbami. Miasto to różne od wszystkich innych. Zwykle każde miasto, choćby w najgórzystszym położeniu, choćby na szczycie skał lub na przesmyku morskim, oddziela się od natury, wycofuje się z jej

łona, stawia między nią a sobą widome, dotykalne granice; Messyna wszędzie zlewa się z naturą, wrasta w naturę, jak Centaur w grzbiet konia: każda z tych ulic długich i pięknych nie kończy się, nie kona u stóp zielonej góry, ale zdaje się z nią spływać, zdaje się w tę górę nieznacznie przechodzić. Chmury lekkie, muszlinowe, ze szczytu wzgórzów się podnoszą i nad domami się nachylają, jakby nad pokrewnemi swemi.

Z jednej strony ulicy San Ferdinando stoi rząd bram wielkich, wyglądających na port, w równych odległościach od siebie; przez każdą widać morze i okręt ten lub ów i dalej wzgórze to lub owo na brzegu kalabryjskim. Każda z tych bram, jak ramy obrazu, chwyta i przytrzymuje część okolicy. Wszędzie w ogrodach pomarańczowe, cytrynowe drzewa, na murach aloesy, kaktusy, powietrze takie lube, jakby z innego świata. Lud blady, smagławy, w łachmanach, z płomienistemi oczyma. Żebraków mnóstwo; widok ich nędzy dzikiej znośniejszy jeszcze od wrażenia, jakie wywiera nędza wśród cywilizacyi, doszłej najwyższego szczebla porządku i samolubstwa. Tu żebracy pod błękitem nieba biegną, krzyczą, wyciągają dłonie, wloką się zgarbieni, rzucają się wściekle na rzuconą jałmużnę; ale żaden z nich, jak w Anglii, jak w Londynie, nie usiądzie zgłodniały na ziemi i pisać nie będzie ostatkiem sił na kamieniu: *Starvation come.* Widziałem takiego, co czytał taki napis i patrzał na piszącego w jednej z zatraconych ulic Londynu.

To okropne, szekspirowskie *Starvation come,* to przystanie na śmierć, to wywoływanie śmierci z głodu, przyszło mi wczoraj na pamięć, gdym chodził po Messynie, otoczony żebrzącym ludem, dziećmi na szczudłach, lazzaronami bez nóg i rąk. Oni przynajmniej, choć głód czują, wierzą jeszcze w życie, wierzą, że nie dadzą im umrzeć inni ludzie. Tu zarobek i przemysł nie stał się jeszcze jedynym prawem życia; w Anglii, temu, co pracować nie może, czy z własnej czy z losu winy, śmierć prawną się stała i wydaje się prawną.

Taka jest różnica między naturą a kupiecką cywilizacyą; w pierwszej jest nieporządek, chaos, niespo-

kój, ale zarazem jest życie; w drugiej porządek, rozum, rozgraniczenie i opisanie wszystkiego, ale zarazem egoizm i śmierć blizka. My, Polacy, szczęśliwiśmy, bo umiemy łączyć z nieporządkiem rozbujałego życia wszystkie pojęcia cywilizacyi; działamy zawsze w naturze, to jest, jak na istoty ożywione przystało, a zdolni jesteśmy myśleć głęboko, myślą krajać sfery najwznioślejszej matematyki, myślą objąć myśli wszystkich innych ludów świata. Takie połączenie gotowości do wszelakiego czynu z bystrością idealną, jest nam właściwym darem. Jest to dar wiecznej młodości i w rzeczy samej, w Europie starej kto młody dotąd? My i tylko my!

Takie myśli snuły się po głowie mojej przez chwilę, gdym przechodził rynki i ulice Messyny. Wszedłem potem na wschody, wiodące na wzgórze, gdzie stoi klasztor San Gregorio. Klasztor stawiany z maurytańskich altan wysmukłą lekkością. Kościół wewnątrz cały z mozaiki, chór kratami obwiedziony, jak w hiszpańskich klasztorach. Z bram kościoła widok przecudny. Czemuż ty w tej chwili nie jesteś tu ze mną, tu na tej wyżynie, tu na tych marmurowych schodach, pod chłodem tych dwóch kolumn korynckich? Patrz! Świat jest pięknym, świat roztoczony leży przed nami, a muszę mu powiedzieć: »brzydki«, muszę go odepchnąć od oczu, bo ciebie tu niema; bo tylko rozum mój pojmuje, że to byłoby pięknem, gdybyś wraz ze mną patrzała. Lecz serce tej piękności nie czuje, serce jak bryła lodu stoi zawieszone wśród tej natury, słodkiej i ponętnej, serce jak igła magnesowa odwraca się ku morzu w stronę Neapolu.

Ot, patrz, patrz ze mną razem!

Naprzeciwko ciągnie się Kalabrya. Czy widzisz te wzgórza, jakby nożem u wierzchołka ścięte na to, by te chmury mogły wdzięczniej położyć się na nich? Czy widzisz ten wielki rozlew błękitny? To morze, co się ścieśniło w rzeki koryto, a tam znowu się rozszerza, jednem ramieniem fal odpiera Sycylią, drugiem Kalabryą i wraca do swojej nieskończoności. Już wieczór blizki. Już na tych chmurach płonie odbita purpura zacho-

dzącego słońca. Jakie dymy przejrzyste, białe, jakie farby pstre, szare, złote, co chwila odmienne; pod spodem zielone wstęgi, cienie obłoków, chodzące po spadzistościach gór, światła smugi, wijące się pośród nich, a niżej, tam, na samym dole, na samym nadbrzeżu, białe domy Reggio. Tu, u stóp naszych, tłum messyńskich gmachów; zdaje się, mógłbym chodzić po tej dachów płaszczyźnie, gdybym skoczył z tych schodów; zdaje się, mógłbym dotknąć tych przelotnych chmur, co zewsząd powstają, gdybym ręce wyciągnął.

I tak stopniami gaśnie dzień, widzę ostatnie chwile słońca odbite na kalabryjskich wybrzeżach, na kalabryjskich chmurach, jakby w zwierciedle. Coraz zwierciadło bledsze, ciemniejsze. Ah, gdyby nagle mi się w niem twoja postać pokazała, gdyby na tle tych wyziewów choćby na jedną chwilę powiew sycylijskich wiatrów odmalował rysy twarzy lub kształt kibici twojej! Takby ci pięknie było tam, wśród tych różanych promieni!. Pokaż mi się! Czy moja wyobraźnia słaba, czy ty niedobra, że cię obaczyć nie mogę?...

* * *

1 maja, Messyna.

Wczoraj dzień cały strawiłem w górach, zapoznałem się z sykulską naturą: tak samo dziwaczna i pomieszana, jak dzieje tej wyspy. Na tej ziemi wszystko się zjawiało, wszystko rosło bujnie, rozkwitało świetnie, nic się nie utrzymało nigdy, nic owocu nie wydało. Greckie i kartagskie osady wypleniły pierwotnych mieszkańców; Rzymianie Greków i Kartagów pomordowali; później Muzułmanie, Normandy, Niemcy, Francuzi, Hiszpanie przechodzili tędy i, kilka dni zabawiwszy, niknęli jak mary.

Ta ziemia niegościnną a zarazem ponętna jest; kto jej się dotknął, ten doznał chwil kilku dobrych, ten posiadł znikomą rozkosz lub potęgę i zginął. Już w starożytności głośne były syreny na progach wyspy, spiewające słodko dla wciągnienia żeglarzy w wiry Scylli i Charybdy. Ten symbol powtórzył się nieraz w rze-

czywistości. Ta wyspa rodu wulkanicznego pożera i truje tych, którzy na niej budują mieszkania swoje; nikomu nigdy ojczyzną ni domem nie była, a niektórym służyła za biesiadę, nad którą wisiał miecz Damoklesa, a wielu innym za grób, na którym pali się mogiła, Etna. Po każdem plemieniu, co tędy przeszło i zaginęło, ślad jakiś musiał się zostać jednak. Te ślady zrosły się z sobą, powikłały się razem w języku mieszkańców, w architekturze miast.

Katedra messyńska zawarła je wszystkie w sobie. Jej brama strojna w gotyckie liście, gałęzie, zwierzęta, na dwóch lwach mistycznych opierają się jej filary. Sądzisz, że wejdziesz do czarnego przybytku, do mieszkania ostrołuków (ogives), pod wiązania oświecone malowanemi szybami — a tu spotykasz rzymskie kolumny, białe jak u pogan, i złote kapitele, świetne, jak w arabskich meczetach. Ołtarze wszystkie sadzone florencką mozaiką. Gdzieś w głębi kościoła znów przebija grób, podobny do niemieckich, nadreńskich, rycerskich pomników. I tak co chwila miesza ci się wszystko przed oczyma. Każdy naród, co odwiedził Sycylię, zdaje się wołać z podziemnych katedry lochów: »Poznaj mnie, to ja jestem!«

Taki los wysp wszystkich. Czem oasis w pustyni, tem są wyspy w historyi narodów: miejscem wypoczynku i przechodu zarazem. Już to zjednoczenie dwóch sprzecznych żywiołów, już ta ich wodno-ziemna natura oznacza, że raczej przeznaczone dziejom Rozmaitości niż Jedności. Morze huczy na około nich, dziś przynosi do brzegów okręta, jutro trupy z tych samych brzegów zabiera.

Otóż i zewnętrzne kształty natury sycylijskiej zupełnie odpowiednie temu, co się działo w tych miejscach. Tu Europa zdaje się przelewać w Afrykę: ciągnie się łoże wyschłego potoku, na jego żwirach mruczą strumyki, z boku młyn wodny się kręci, jak w Alpach, skała się piętrzy, świeżą zielonością ubrana, jak w Tyrolu, już zdaje się, że usłyszysz brzęk dzwonków krowich; wtem z drugiej strony staje kopiec przed tobą, kopiec nagi, wyschły, żółty, kaktusami ogrom-

nemi okryty, a liście kaktusów, obrócone ku słońcu, błyszczą suchym połyskiem afrykańskich roślin. Dalej nad brzegami potoku w piętra sadzone sady cytryn i pomarańcz włoskich; podejdziesz w górę, nad pomarańczami blade i smutne oliwne drzewa snują się jedno za drugiem, jakby szły za pogrzebem, a wyżej jeszcze, na samym cyplu wzgórzów, łączki zielone, kwiatki polne te same, co na polskich i niemieckich niwach, drobne łany zasianej pszenicy i len, rozkwitły błękitnawo.

Rzadki tu i ówdzie robotnik rolę tę wysoką pod chmurami uprawia; gdzieindziej znowu chodzi strzelec i przepiórek z psem szuka. Twarze tych ludzi zczermałe, okopcone od słońca; ile włosów na ich głowach, tyle zmarszczków na ich twarzy. Język ich niezrozumiały. Bóg jeden dojdzie, ile tam greckich, arabskich hiszpańskich i francuskich słów mowę włoską nakształt roju robaków stoczyło. Kobiety osobliwie zeszpecone przez skwar słoneczny, podobne do murzynek. Jakiegoś cierpienia wyraz odbija się na ich licach, siedzą pod pomarańczowemi drzewami niewzruszone, smutne z kudłami białych włosów na czole, w milczeniu i boleści.

Ale już coś hiszpańskiego przebija w układzie tych ludzi: nie jest to jeszcze hardość hidalgów, duma kastylska, nie żebrząca nigdy, w podartym płaszczu, nie odkłaniająca się samemu królowi, ale też neapolitańskiej podłości nie spotkać już tutaj. Żebrzą jeszcze, ale krótko, nie ścigają pół mili za podróżnym, by wyjęczyć od niego bajoka, nie tyle się z nimi po sklepach targować trzeba, a za szklankę wody, za ogień do cygara, za przytrzymanie konia nie żądają nic.

Ze szczytu wzgórzów, pomiędzy które byliśmy weszli z Jerzym, ujrzałem widok rozległy i wielki pięknością swoją. I znów mi przyszło żądanie do serca, niukojone pragnienie obaczenia ciebie, bo każda piękność, którą widzę, zdaje mi się akkordem muzycznym, szukającym dopełnienia — dopełnienie, to ty! Wzrokiem objąłem morze i ląd sycylijski, Etny jednak nie dojrzałem. Dzikiemi zakręty wzgórza ucie-

kały w głąb wyspy, wszędzie łoża potoków jak bite drogi podnosiły się od brzegu morza w górę; wszędzie nad niemi pagórki się nachylały, jak bukiety zieloności, żółtemi kwiatami upstrzonej. Jasna pogoda przypomniała mi wiersze te Byrona:

I niebo tak wszystkie chmury zdjęło z siebie,
Że ledwo nie widać Pana Boga w niebie!

Morze ściemniało, prawie granatowego koloru było. Wykwitały na tem tle granatowem śnieżne piany rozbijających się bałwanów. Było w tym obrazie coś bogatego, przepysznego; przypomniały mi się arabskie powieści o przestrzeniach z lapis-lazuli perłami sadzonych, o namiotach, jak świat wielkich, z błękitnego muslinu. A gdym oczy odwrócił, by spojrzeć na wyspę, gdym ujrzał owe dzikie i spokojne wzgórza, umajone tchnieniem wiosny, zdające się kiwać na mnie krzewami, bym poszedł tam, gdzie one idą, w te doliny, gdzie nikogo niema, gdzie tylko strumień rozmawia z strumieniem, gdzie tylko rozbójnik, albo rozkochany wyżyć potrafi — uczułem, że Sycylia, co nikomu domem nie była, mogłaby nam być schronieniem — i zaraz stanęła mi przed wyobraźnią wieża starożytna, pusta, w której Emir jakiś mieszkał niegdyś, zawieszona na urwiskach skał, płotem żywym z aleosów ogrodzona, samotna wśród gór i lasów kasztanowych, stóp Etny niedaleka, z oknami kratowanemi, z ostatkiem maurytańskich arabesków na ścianach, z welonem bluszczu, z przepaską róż dzikich, nad wodospadem, zlewającym się na dół, jak wstęga atłasu białego. I podałem ci rękę i weszliśmy oboje do tej wieży mojej!

Wyspo niegościnna, odpowiedz, byłażbyś mi przytułkiem? Czybyś zdołała zakryć mnie od oczu ludzkich i mnie, który nieznałem nigdy spokojnego szczęścia, dać długą ciszę i niezatrutą miłość? Głos jakiś mi szepce do ucha, że tam, za kręgiem tych wzgórzów, są milczące pustynie, które byłyby mi siostrami; tam leżą prochy narodów, co niegdyś biły się o tę ziemię i władały nią i pomarły; tam snują się po księżycowych

nocach duchy Arabów, wiernych Konradynowi; oneby mnie i ją oprowadziły po manowcach tych puszcz, a w czarną noc, zasutą chmurami, słup płomienisty nad Etną byłby nam przewodnikiem.

Lubię, wyspo, twoje łagodne powietrze, twoje czyste niebo, twoje pamiątki i wulkan twój — o godzinie nieszporów co dniabym ukląkł na twoich murawach i modlił się, wspominając starego Procydę. I onaby uklękła i ze mną razem westchnęła do Boga.

Takbyśmy żyli oboje, nie znani od obcych, nie pamiętani przez swoich, na tym cmętarzu ludów!

O śnie dziki, namiętny, jasny, czego mię dręczysz? Już czuję jej dłoń w mojej, już ją wiodę pomiędzy te skały. Teraz zasłaniam jej czoło przed tem gorejącem słońcem, teraz znowu siadam z nią w chłodzie i cieniu nad tym ruczajem, wśród poziomych dębów, wśród sosen, do palm podobnych, okolony rzędem wysmukłych cypryssów. Ona lubi kwiaty. Ot, wszystkie kwiaty ziemi do stóp się jej tłoczą. Powiedz, co wolisz, czy rozkwitły aloes, czy prostą małgorzatkę, czy tę różę świeżą, stulistną, której tu nikt nie zasiał, którą wiatr posadził? Patrz, sama tu jesteś, nie słychać głosu ludzi, nie widać śladu ich stóp na piasku! Przywiodłem cię tutaj. Bóg mi darował tę pustynią, Bóg mi darował te wzgórza, to morze, to powietrze, to niebo. Tyś panią świata tego. Poczekaj, aż wejdzie księżyc, aż zamigną gwiazdy, aż te fale rozkołysane zasną w miesięcznych promieniach, aż głos wodospadów, wołający z tych dolin, stanie się muzyką wśród milczenia nocy; wtedy mi powiesz, czy lepiej ci było na brzegach, któreś opuściła? Czy ta samotność nie jest świętą, boską? Czy tu Bóg nie większy, jak tam? Czy serce twoje nie szersze? Czy ciało twoje nie leksze? Czy myśl twoja nie łatwiej wdziera się w nieskończoność? I dodasz jeszcze słowo jedno — słowo »kocham«; żadne go ucho nie podchwyci, żadne go prawo ludzkie nie potępi; chyba go skały ściana odbije, pieczary sklepienie powtórzy i powiew przelatujący poniesie ku niebu na skrzydłach. I wstaniem, i pójdziemy dalej!

O śnie mój namiętny, jasny, jak światło południo-

we, czemu znikasz? Czemu ten żagiel biały, co się ukazał na morzu, przerwał mi marzenie? Widzę, czuję, że sam jestem. Ona nie przypłynie takim żaglem do mnie. Ja muszę wrócić do niej, tam, gdzie lampy salonów się palą, gdzie ludzie mieszkają razem, choć jedni nienawidzą drugich. Lecz gdziekolwiek ona, tam i ja będę. Śnie sycylijski, bądź mi zdrowy! Życie mnie w inną stronę porywa. Zejść trzeba z tych gór, niech ten dzień prędzej się skończy, niech Sycylia z oczu mi zniknie, niech morze niesie mnie nazad, niech mnie rozbije u stóp jej domu, bylebym ją ujrzał i powitał raz jeszcze!

I, schodząc z tych wzgórzów, wyryłem na murze blizkim drogi messyńskiej, wyryłem ostrzem sztyletu, darowanego mi przez ciebie: »Polak tu był«. Kiedyś przyjdzie może na to miejsce ktoś z Polski rodem i przeczyta i rozraduje się w duszy!

* * *

2-go maja, na statku — w nocy.

Jak żagiel szary zwinęła się Messyna z przed oczu naszych i znikła. Przepłynęliśmy Charybdę i Scyllę; far messyński cisnął ku nam strugę światła i został z tyłu. Koła nasze wrą znów na morzu szerokiem, gwiazdy nad sznurami masztów się snują; z pod kół naszych także sypią się gwiazdy wśród piany śnieżnej, gwiazdy fosforyczne jedne po drugich bryzgają, jak klejnoty, spadające z rozerwanego naszyjnika.

Morze takie gładkie, ciche, do szyby szklannej podobne, słychać tylko szum kół; wiatru niema na jedno westchnienie. Mgła łagodna, na pół przejrzysta, zalega widnokrąg, środek nieba tylko czysty. Księżyc wschodzi od strony Sycylii, nieśmiało wychyla się z za jej nadbrzeżów, patrzy się na nas jak anioł, pierwszy raz posłany na ziemię.

Aniele złoty, pobłogosław tym prześlicznym, uśpionym wodom — zlej na nich skrzydeł twoich promienie, przemień je w srebną nieskończoność, niech twój uśmiech odbije się na tych mgłach, co, jak zasłony

dziewicze, świat opasały! Idź dalej, wzlatuj w niebo, o aniele mój!

* * *

2-go maja z rana.

W tej chwili spojrzałem na nurty, które statek parowy zostawia za sobą. Usiadłem sobie w łódce, przyczepionej z tyłu okrętu, wlepiłem oczy w dół. Suknia, w której pierwszy raz w życiu oglądałem ciebie, przypomniała mi się: z wierzchu jakoby siatka z piany się toczy, pod nią przeczysty błękit, gaza srebrna na niebieskim atłasie. I gdziekolwiek statek dotknie się morza, tam morze się przemienia w taką suknię twoją.

Palermo około 12-tej z południa wyjrzało ku nam z ogromnej zatoki, wieńcem skał otoczonej. Na prawym boku stoi skała św. Rozalii, podobna z daleka do zamku niebotycznego, o dwóch wysuwających się basztach, z zielonemi ogrodami w dole. Zaraz na pierwsze spojrzenie znać, że tu panowali Araby, syny słońca i gorejących marzeń, mistrze w sztuce przemieniania głazów twardych w przejrzyste koronki, w ulotne filary. Madonna dela Catena na brzegu samym stoi za bramą miasta, na pół ukryta. Nic zarazem piękniejszego i śliczniejszego nigdym nie widział. Sam pałac dożów nawet mniej ponętny; jest w tym kościele powab nieopisany, jest coś tak wysmukłego, tak świeżego, że zdaje się powieścią z tysiąc i jednej nocy, w kamień przekutą. Ogromu w nim nie patrzyć — ni zbyt wysoki ni szeroki, ale doskonale miarowy, jak muzyka akkordów zgodnych, wznosi się na filarach maurytańskich i haftami marmurowemi się kończy. Gdybyś go ujrzała, pewny jestem, żebyś go zaraz wygrała na fortepianie lub wyśpiewała głosem; drzemiącebyś w tych murach pojęła dźwięki i rozczarowałabyś je, obudziła je, popłynęłyby na wolność w głosie twoim!

Teraz podaj mi rękę i oprzyj się na mnie! Czy widzisz ten wierzchołek ostry, szary, tu i ówdzie zie-

lonością przypruszony? Tam żyła i skonała św. Rozalia, tam grób jej w jaskini, tam dostać się musim. Chodź za mną!

Po tej drodze brukowanej, którą ludzie rzucili na spadzistość skały i podparli arkadami, podobnemi do wodociągów Kampanii rzymskiej, po tej drodze przykrej, kaleczącej stopy, wznoszącej się coraz wyżej w pustynie powietrza, stąpaj ostrożnie! Nie patrz na te olbrzymie kaktusy, co rosną po bokach, nie patrz na te urwiska i pieczary, nie chciej się schylać po te dzikie kwiaty, którycheś nigdzie indziej nie spotkała! Nie podnoś oczu, by ujrzeć skrzydła ptaka, którego jęk słyszysz nad tą jaskinią; ja ci powiem, jak on wygląda, ja zbierać będę kwiaty za ciebie, ty idź powoli, by cię ślizka nie podchwyciła droga, byś stóp miękkich nie rozkrwawiła na tej grudzie kamiennej!

To zgasły wulkan, stojący wśród własnych ruin jak trup olbrzyma otoczony stosami mniejszych ludzkich trupów; nie zrósł się dotąd żużel z żużlem, głaz z głazem, ale leżą jedne na drugich, przy drugich, piętrzą się w górę, rozstępują się w rozłomy, jak sterczące kości szkieletu, jak powalone gruzy miasta — ślad zniszczenia wszędzie widomy. Choć zieleni się trawa, choć powiewają bluszcze, nie mogą one zakryć piętna śmierci i w harmonią życia przerobić tych szarpanych, rozbitych, przy sobie rozrzuconych, nie z sobą spojonych rozwalin.

I coraz wyżej, wyżej coraz pnie się droga nasza. Kształty skał coraz dziksze i podobniejsze do cudów. Stań na chwilę, odpocznij i spojrzyj! Niby to łąka, a na łące kamień grobowy przy kamieniu, jak na żydowskich cmętarzach. Tam dalej — czy widzisz? zda się, że cały naród mnichów w kapturach i długich szatach padł twarzą na murawę i leży niewzruszony aż do końca świata. Jak z chmurami na niebie, tak z głazami na skale tej: w co chcesz, możesz je przemarzyć.

Dziko, pusto! Czy nie straszno tobie? Czy ci się nie wydaje, że na równinę już nigdy nie wrócim? A gdyby te wszystkie głazy nagle się podniosły, ożyły

wiły się i pląsać koło nas zaczęły i porwały nas w twardy taniec, niosąc nas ku otchłani, ku morzu? Gdyby w tej chwili wulkan się obudził i lunął na nas lawy potokiem? Gdyby olbrzymy przydeptane, jak wieść starożytna głosi, górami Sycylii, powstały i to jarzmo skał zrzuciły z karku? Albo gdybyśmy głodną śmiercią w tych puszczach umrzeć mieli?

Ot! spojrzyj w tę stronę, a roztopią się czarne myśli, jak kropla rosy w piękności widoku. Patrz! Raj kwitnie tam w dole. Patrz! Oto masz Sycylii równinę, pokrajaną lśniącemi drogami, prostemi jak promienie słońca; oto masz ulice, sadzone z cyprysów, ogrody, obeliski, pałace, fontanny. Gdzieżeś podobne murawy widziała? Gdzie ślicznej rozkwitające drzewa? A między górami rozstępującemi się zwierciadło morza przebija, jakby początek świata marzeń. Teraz odwróć się i spojrzyj nazad na drogę, którąś przyszła! Palermo całe tam leży pod tobą na brzegach wód śpiących; korona gór ciemnych nad miastem, wyziewy z ich szczytów się odrywają i jak wielkie mary białe stąpać się zdają po morzu. Tak niegdyś Chrystus wydawać się musiał, gdy wchodził na fale.

Lecz nas wieczór zaskoczy, spieszmy się. Jeszcze kościoła Rozalii nie widać, kaplice tylko nam zwiastują, że już nie daleki. Znowu oprzyj się na mojem ramieniu! Jeśliś znużona, obwiążę cię rękoma, poniosę cię do grobu świętej.

Wierzchołek skały okrążyć i obejść trzeba. Ten zakręt, to ostatni, już więcej w górę wstępować nie będziem, u końca tej ścieżki pochyłej widzę już ściany klasztoru, widzę kolumny kaplicy, nad którą skała półsklepieniem się załamuje, a na tem sklepieniu bluszcz się wije i tu i ówdzie błyszczy samotny kwiatek.

Czy ci się muzyka Roberta nie odezwała w pamięci? On w tych lochach wywoływał czarne duchy, on z grobu, do którego idziem, zerwał palmę czarodziejską. Tu synowica Wilhelma Normanda, najpiękniejsza z dziewic sycylijskich, przepędziła długie lata, modląc się z tych urwisk do Boga i pokutując w tej

jaskini. W dzień śmierci nikt nie był przy niej, dopiero po wielu latach ciało przedziwnie zachowane strzelcy w jaskini znaleźli; powiadają, że zdawała się lubym snem zdjęta.

Czy widzisz te mozajki, wkute w ściany chropowatej skały, i ten ołtarz przepyszny i te obrazy hiszpańskich królów, a tu zaraz obok twardą, dziką opokę i bluszczu wieńce i w głębi ciemną pieczarę z stalaktytami i z drugim ołtarzem, pod którym leży posąg marmurowy w tej samej sennej postawie, w jakiej umarła święta leżała?

Jabym tu chciał klęknąć i pomodlić się za ciebie! O ty postaci, która ze mną jesteś i nie jesteś, ty, coś taka daleka i blizka zarazem, duchu tej, którą kocham, gdzie mi zniknęłaś w tej chwili? Tak ciemno w tej grocie! Kląkłem; ten, który jest ze mną, myśli, że się modlę do świętej Rozalii, on nie wie, że się modlę do ciebie, że cię błagam, byś mi się na nowo ukazała!

* * *

3-go maja. Ziza.

Czy pamiętasz, droga? Marzyłem wieżę Emira, niedaleko Etny, a teraz znalazłem moje marzenie urzeczywistnione w tych miejscach. Znalazłem zamek arabski. Ta dolina zowie się Concha d'oro. Szmaragd nie zieleni się jaśniej. Zewsząd góry, tam morze, tu całe Palermo. Osiądźmy w tym pustym zamku, bądźmy następcami Kalifów! Czemuż nie mogę zerwać róż wszystkich z tego ogrodu i zanieść ich tobie? Bluszczu tylko trochę wziąłem z nad tej słodkiej fontanny, z nad tej wdzięcznej fontanny, co sączy się dźwięcznie w tej sieni maurytańskiej, freskami malowanej, napisami hiszpańskimi zapełnionej, sklepieniem z framug nakrytej. Bluszcz ten dam tobie, niech ci będzie talizmanem wspomnienia. Ile razy nań spojrzysz, pamiętaj, że chciałbym był ci darować ziemię i niebo!

Zizo, Zizo moja, czy ty wiesz, co ja marzę w twych murach? Ot! w tej sali byłaby jej sypialnia. Tam, na tym tarasie, ułożyłbym jej siedzenie z kaszmirowych

wezgłowiów, stamtądby patrzała na ten amfiteatr gór, a wieczorem chodzilibyśmy, podawszy sobie dłonie po tym ogrodzie, w którym słowik teraz spiewa. Głupi słowik, że spiewa, kiedy jej tu niemasz!

* * *

Morreale.

Chciałem z grobu króla Rogiera kawał porfiru wziąć dla ciebie, ale strażnik pilnował i nie dał. Katedra pyszna, kolor arabski, jasno-zielony z złotemi gwiazdami na sklepieniu; ołtarz tylko jeden; znać że Normandy meczet tu zastali, meczetu nie tknęli, tylko krzyż czarny, chrześcijański, zatknęli w nim. Za katedrą dawną jest ogród Emirów. Wyschły fontanny, kwiatów już tam niema, zostało się tylko 216 filarów, które portyk kwadratowy podpierają, a każdy mozajką, podobną do tyftyku, sadzony, każdy inakszy, z inną podstawą, z innym kapitelem, to w liście, to w kwiaty, to w głowy ludzkie, to w skrzydła ptaków. Te wszystkie kolumny każę zabrać stąd i przenieść do Zizy; tam one cię okrążą i krzykniesz, spojrzawszy na nie: »Jakie ładne!«.

* * *

4-go maja, na statku.

Sycylia znika mi z oczu. Tam raj, ale bez mego anioła. Bez smutku więc raj porzucam i śmieję się z niego, bo jutro, jutro czeka mię szczęście, czeka mnie uśmiech jej, wzrok jej, uścisk ręki jej! Morze, ty mi drogie, kochane, ty mi dobre dziś jesteś. Ty mnie niesiesz ku niej; przeklinałem cię niedawno, dziś ci błogosławię! Nie zasypiaj mi tylko, nie chciej naśladować gładkości zwierciadeł, ale bądź mi na bałwany rozdarte, pianą okryte, wichrami zorane, porwij ten statek i pędź go — niech zagrzmi burza, byleby burza wiała w stronę Neapolu!

Czyż ona myśli o mnie? Czy jej tęskno było? Czy wyjdzie jutro z rana na brzeg morza, by spojrzeć ku

mnie, kiedy będę przypływał do miasta? Kto mi na to odpowie?

Nikt — tylko serce moje własne; ono czuje, że ona jest ze mną, ono wszędzie na tych skałach i w tych katedrach czuło, że ona jest ze mną. Zaprawdę, duch twój w każdem miejscu, w każdej chwili był ze mną. Z tobą odwiedziłem tę wyspę, tyś mi szeptała do ucha: »To piękne«, ilem razy dziwił się temu na com patrzał. Uścisk twej dłoni owiewał chłodno moje palce, gdym kwiaty na Monte Pelegrino zbierał dla ciebie; usta twoje niewidomie przepływały nademną w powietrzu, gdy wiatr mi przynosił woń pomarańczowych drzew i sycylijskich kwiatów; w szumie fal zasypiających słyszałem moje imię, powtarzane głosem twoim; gdy światło księżyca wpadało do mego pokoju, zdawało mi się, że wchodzi postać twoja. Tobą tylko żyłem i jedynie byłem tylko z tobą!

TRZY MYŚLI

POZOSTAŁE PO

Ś. P. HENRYKU LIGENZIE

ZMARŁYM W MORREALE 12. KWIETNIA 1840. ROKU.

PRZEDMOWA WYDAWCY.

Regestra, listy do przyjaciół i instrukcye dla officyalistów, pisać, pisałem — ale co innego ni umiem, ni chcę, ni potrzebuję; — a czemu dziś biorę się do pióra, ba, do druku, pokrótce opowiem.

Na wiosnę tego roku przypłynąłem z żoną i dziećmi do Sycylii, sam nie wiem poco i naco — ale za co, to wiem. — Ja wiem i mój komisarz, pan Ordasowski, chociaż siedzi w Polszcze. — Święte przysłowie — »gdy czego zechce się kobiecie to i sam szatan nic nie wskóra«.— Zachciało się żonie mojej do Włoch. — Z kraju mnie więc powlokła aż do Florencyi, skąd chciałem powracać, a z Florencyi do Rzymu, skąd chciałem powracać, a z Rzymu do Neapolu, skąd chciałem powracać: aż tu, patrzaj, dalibóg musiałem z nią popłynąć morzem, do Palermu! Przeprawa jaka taka, w nocy wiatr się zerwał; niech mu Pan Bóg nie pamięta, ale tak kołysał się ten okręt parowy, że aż wszystkie gwiazdy nieustanne nam dygały pokłony na niebie — ale co prawda, to prawda — nad rankiem cudne znów było powietrze. — Zatoka, gdyby tylko błękitna, ale to aż granatowa — góry, wyspy, zdają ci się pendzlem malowane na niebie — a samo Palermo, miasto duże i porządnie stawione — lud tylko gałgański, skacze, biega, piszczy, wrzeszczy, żebrze, kradnie, zdziera, czy na ulicy, czy w gospodach, zwyczajnie Włochy, aż pfuj, do licha!

Lecz nie o tem mowa — podróży pisać nie myślę — niech moja żona, jeśli się podoba Jejmości, napisze. — Uczyła się języków, umie grać i śpiewać, czyta fran-

cuskie romanse Balzaków, Szatobriandów i wielu innych, którzy mnie nudzą — ona może pisać. — Ja chcę tylko po prostu powiedzieć, jakom się dostał do tych rękopismów, które dziś wydawać muszę.

O trzy mile włoskie (pół naszej ukraińskiej) od Palermu jest wioska Morreale, w której mówią, że tam kiedyś mieszkali królowie sycylijscy. — Gdyby nie katedra i cmętarz i parę pałaców, toby nie było na co patrzeć — niema nawet zajezdnego domu — brudno, pusto, ciasno. — Dalibóg-ci, u nas lepiej! Żona moja koniecznie prosi się tam jechać. — Album bierze z sobą, chciała rysować widok — ja biorę dubeltówkę, bo mówili, że niebezpiecznie, nająłem powóz, sadzam dzieci, pojechaliśmy. Niema co mówić — znać, że człowiek już za morze się dostał — wszędzie koło drogi wzgórza krągłe, jak głowy cukru, najeżone w kaktusy, w aloesy — kwiatów czerwonych, jakich nigdzie niema, krocie — cyprysów tyle, co dzid kozackich — a powietrze ma w sobie coś mydlanego, niby kapie ci do płuc, jak przedziwna oliwa, wyborne dla suchotników; szkoda, że od urodzenia zawżdy miałem piersi, jak mur.

Jedziemy więc, bardzo powoli, bo wciąż pod górę. — Żona siada na przodzie patrzeć na dolinę w miarę, jak się odkrywała. Ja fajkę palę — pułkownik Wilczek, któregom tej zimy spotkał w Liwurnie, wracającego z Orientu, dał mi dwa funty tytuniu — mówił, że Sułtan innego nie kurzy. — Nic smaczniejszegom na życiu nie palił.

Przyjeżdżamy wreście — musieliśmy stanąć w kawiarni, bo gospody niema. — Ledwośmy wysiedli, dwóch, trzech, czterech, dziesięciu obdartych, jak z pod ziemi, wysypało się hultajów — każden krzyczy, że jest przewodnikiem, Ciceronem, jak to tam ich zowią; — musiałem ich sam rozganiać, bo żonę moją chwytali za suknią, wrzeszcząc »moro di fame«, co znaczy, »umieram z głodu«; a potem »Complimentate me!« co znaczy »daj co«, bo u Włochów kompliment, to miedziak — a jeden z nich, mniej obszarpany, poznał, że my Polacy (okropny węch mają Włochy do cudzoziemców) i, wysunąwszy się, rzekł do mnie, ja zaś po włosku nieźle rozumiem

i gadam, choć nie lubię tej komedyi, z łacińskiego języka przerobionej; otóż ten Włoch prawi do mnie:

»Eccelenza (niema z czego się pysznić, bo wszystkich tak mianują), ja znam Polaków, ja zaraz poznał, że Signor z tą piękną Signorą po polsku mówi. — O, Polacy, to dobrzy panowie — niech im Madonna Santissima zdrowie daje!«

Zdziwiłem się nicpomału i mówię: »Kiedyś taki sprytny, to cię biorę na Cycerona«; a innych odpędziwszy, poszedłem zaraz z żoną i z dziećmi do katedry, pytając się po drodze Włocha, jakimby on sposobem znał język nasz?

A ten mi zaraz bajać zacznie, że tu niedawno umarł na suchoty młody Polak, co, przypłynąwszy z Malty, mieszkał sześć miesięcy w Morreale, znać dla zdrowia. Że go wszyscy znali, codzień widywali, kiedy w południe wychodził, opierając się na ramieniu służącego, z którym rozmawiał tym samym językiem, co ja z żoną — że ten służący nigdy słowa po włosku nie mógł się nauczyć — że tylko o swoim panu mówił »Liienza, Liienza!» i płakał przed ludźmi, bo codzień pan gorzej się miał, chudł i bladł, aż nareszcie umarł; a służący go na cmętarzu pochował.

»Cóż to znaczyło to Liienza?« zapytałem się.

»A to było imie młodego pana« odparł mi Włoch.

»Pleciesz — nigdy żaden Polak nie zwał się »Liienza« — to chyba Włoch, jak ty sam«.

A hultaj mój kiwnął głową i powtórzył, zaklinając się na bożka Bachusa, że to był Polak i że zwał się Enrico Liienza.

»Prowadź na cmętarz, ty! — zawołałem. — Zobaczym — jeźli prawdę mówisz, piastra — jeźli kłamiesz, kijem, by cię nauczyć nie mieszać Włochów z Polakami!«

A on przystał, pewny swego i wesół jak chłop, co idzie do karczmy — lecz chciał bałamucić — wprzódy katedrę nam pokazać.

»Na cmętarz!« krzyknąłem, już zły, a chcąc skądinąd prawdy dociec, czy też może być, by leżał wśród samych Włochów sam jeden, biedny, szlachcic polski. —

Jeśli tak, to warto nasamprzód pójść do niego — a ciekawości i antyki na potem!

Żonę więc pod rękę, córkę i syna naprzód, i walę za Włochem — Włoch do klasztoru. — »Gdzie ty tam idziesz?« pytam. — On mi prawi, że cmętarz w środku klasztoru. — »Kiedy tak, to idź!«

I prawda — prowadził nas, poganin, przez korytarzy malowanych mnóstwo — chciał freski tłómaczyć — ja go ręką w plecy, ale delikatnie. — Co mi tam freski, kiedy o kilka kroków dalej Polak leży! — Aż tu weszliśmy w ogromny czworobok, bez dachu, otoczony rzędami kolumn — ładne kolumny, cienkie, jak grube trzciny, dziwnie wyrabiane u spodu i góry, w grona winne, ptasie dzioby, głowy ludzkie, a każda obwiedziona mozaiką zieloną i złotą, gdyby pasem perskim.

Żona moja zaraz powiedziała, że to architektura po Maurach — nie w ciemię bite były te Maury, kiedy takie marcypany stawiali.

W środku czworoboku, na łące pełnej róż i cyprysów, kamień po kamieniu białym, pomniki, figle, posągi — aż w głowie się kręci. — Lecz to na potem wszystko; choć żona chciała oglądać, ja nie dałem i pcham Włocha przed się — a mój wiercipięta, skacząc przez groby i krzewy, bieży do kąta pod murem i krzyczy: »Eccolo!« i wyciąga rękę, mówiąc znów: »Complimentate me!«

Dalibóg, gdy się zbliżę, gdy spojrzę, znak święty krzyża uczyniłem. Czym mógł się spodziewać?... Oto stał przedemną krzyż drewniany, nizki, ledwo że ostrugany, a na nim napis farbą czarną:

ZGON HENRYKA LIGENZY.
1840. ROKU, 12. KWIETNIA.

»A co, nie Liienza, a co, nie piaster?« zawołał Włoch.

Ja mu trzy rzuciłem i, zdjąwszy furażerkę, mówiłem Zdrowaś Marya, a potem zacząłem przypominać Imości, że to niegdyś wielka familia była w Polszcze, z osiem kartek w Niesieckim jest o niej; ileż to dygnitarzy i senatorów z tego gniazda wyszło — a teraz

co? — pożal się Boże! — Ostatni, bo nie słyszałem, by inni jeszcze to imie nosili w kraju; a może są, którzy go noszą, ale nie wiem o nich. — Tak, zapewnie, ostatni z Ligenzów tu leży za morzem, na wyspie, wśród obcych, prawda, że pod cieplem niebem i między kwiatami — ale co mu po tem niebie i kwiatach!

Syn mój starszy, Kazio (młodszy, Tadzio, został w domu z guwernantką) i moja Teodolincia (matka tak ją przezwała, choć ją ksiądz wyraźnie ochrzcił z wody i z ceremonii Barbarą, Urszulą), oboje uklękli i pacierz zmówili.

Tymczasem żonie mojej przyszło na myśl, by zaraz kamień uczciwy sprawić p. Ligenzie wśród tych magnatów włoskich, bo aż wstyd, że szlachcic polski tak nago śpi na cudzej ziemi, z takiem krótkiem słowem, przez poczciwca służącego niezgrabnie napaćkanem — i zaraz też, bo dowcipna kobieta, zaczęła, chodząc wzdłuż i wszerz, inny napis, zdaje mi się wierszami, układać.

A ja wołam: »Moja panno kochana, trzeba naprzód do wsi wrócić, tam o wszystko się dopytać, wywiedzieć, z kamieniarzem się rozmówić — i dopiero wtedy pisać, a nie teraz, gdy jeszcze nic nie wiesz!«

Włochowi zatem obiecuję dobry kompliment, jeźli mnie zaprowadzi do gospodarza, u którego mieszkał p. Ligenza. — Włoch zaraz idzie, słowo w słowo żyd faktor u nas. — Żonęm z dziećmi zostawił na cmętarzu. — Tak Imość chciała, mówiąc, że będzie czytać na grobie włoskim jakiegoś poetę Niemca.

Co niechlujnych i ponurych kątów w tym Morreale, to strach. — Wreście doszedłem do porządnego domu, na wzgórzu, z ogrodem, skąd widać miasto Palermo i całą zatokę — anim patrzał — gospodarz stał na progu i jadł melona — mój Cyceron mrugnął na niego. — Już to oni sobie zaraz tam na migi wszystko, co chcieli, powiedzieli. — Gospodarz jednak wyglądał na poczciwego i łebskiego ćwika — z żalem prawić zaczął o panu Ligenzie:

»Signore, szkoda tego młodego pana. — Taki był cichy spokojny, wspaniały! — Żył miernie, ale regularnie

płacił za wszystko — grosza długu nie zostawił — prawda, że i grosza na pogrzeb także, ale ja i służący pochowaliśmy ciało. — Mówiłem służącemu: Zostań z nami, wykieruję cię na Vetturyna — ale on nie chciał ani się po włosku nauczyć, ani tam zostać, gdzie pan na jego ręku skonał, i odpłynął pierwszym statkiem — nie wiem, gdzie — podobno do Francyi — ale i on niedługo pożyje, bo po śmierci pana rozpił się z rozpaczy«.

Wtedym się zapytał, czy nie zostawił p. Ligenza jakich papierów lub rzeczy.

Gospodarz, jakby sobie nagle coś przypomniał, wziął mnie za rękę i przez wschody zawiódł do porządnej izby na drugim piętrze.

»Tu mieszkał — na tem łóżku umarł, patrząc się w morze i na »Concha d'oro« (tak przezwali sobie dolinę, w której leży Palermo), a przed śmiercią sam widziałem, jak pieczętował swój papierów i zasuwał potem w głąb tej szafy. — Służący pewno o nich zapomniał, bo gdy stąd ruszał, był jak waryjat jaki«.

To mówiąc, otworzył szafę. — Prawda, pod półką leżały papiery — wziąłem — ołówkiem na wierzchu napisano było: »Ostatni ślad myśli znikającej. — Jeźli kiedykolwiek wpadnie w ręce Polaka, niech czyni z nią, co mu się podoba — ja chciałbym, by ją wydrukował«. I nic więcej, tylko te słowa i owe trzy ułamki, które w niniejszym tomiku wydaję.

Przyznam się, że, czytając je, mało com zrozumiał — nawet nic zupełnie, prócz dobrych chęci. — Są to, i każdy powie to samo, co ja, dziwaczne szusy umierającego na suchoty, bo jużci, pytam się wszystkich w obec i każdego z osobna, co te wiersze o »Cieniach« znaczyć mogą, gdzie, jak twierdzi żona moja, która je na czysto przepisywała, raz to niby o człowieku, to znów o Panu Bogu mowa? co te widzenia Chrystusów, te święte Piotry, co padają, kiedy Świętego Piotra na własne oczy widziałem i wieki jeszcze stać będzie, bo tak mocno stawiony, jak żaden inny kościół na świecie — co ten niby kardynał, niby Jan apostół, co papieża żegna i błogosławi — a to wszystko smalone duby. — Ale darmo, woli ostatniej p. Ligenzy musiałem dopełnić, kiedy mi

Opatrzność jego dziełka tak dziwnie do rąk wtrąciła. Z umarłym nie można, jak z żywym! Czy umarłemu co wyperswadujesz? A kiedy już tak żądał, niechże i tak będzie! Tęskno mi było za nim, serdecznie tęskno — gospodarz mnie odprowadził aż do cmętarza. — Idąc, plótł rozmaite szczegóły o nieboszczyku — powiadał, że był śniadej cery, bardzo zapadłych ale świetnych oczu i dziwnie powolnych ruchów — lecz że, kiedy raz się rozgniewał, na trzy miesiące przed śmiercią, to Włocha, który z nożem gonił za żoną, jak to zwyczaj u nich, gdy porwał za piersi i wstrząsł, to Włochowi aż krew z nozdrzy i z ust buchnęła. Zresztą nigdy nikt go niecierpliwym ni złym nie widział. — Często grywał na fortepianie, który sobie z Palermu sprowadził. — Lubił całe nocy czuwać i grać — to mu nawet mocno szkodziło. A na kilka dni przed śmiercią zawołał gospodarza do siebie i, biorąc pałasz, kosztownie oprawny, rzekł do niego: »Nie mam już z czego płacić tobie — wkrótce już za nic nie będę potrzebował płacić. Sprzedaj ten pałasz i weź, com ci winien!« a gdy to mówił, miał łzę dużą w oku.

»I cóżeś wasan uczynił?« zapytałem gospodarza.

»Sprzedałem« odpowiedział.

Mało com Włochowi w oczy nie plunął, osobliwie, kiedy mi zaczął opisywać pałasz. — Zdaje się, stara to broń była, po Ligenzach; na rękojeści turkus — na klindze krzyż i imie familijne.

Jeszcze mi się tęskniej i smutniej zrobiło,

Ale czem był p. Ligenza, ale gdzie ostatni raz widział się z swojemi, czy miał krewnych jakich, czy odbierał od nich listy, czy przepędził życie w kraju, czy za granicą, czy teraz tylko z Malty, czy z innych stron odleglejszych tu przybył? tego na żaden sposób dociec nie mogłem, bo i sam gospodarz nic a nic o tem nie wiedział.

Zatem nie wiele żonie do nagrobku pomogłem, gdym wrócił na cmętarz — ale już był w jej głowie napisany. Ułożyłem się z p. Balduccinim (tak zwał się gospodarz), by mi wynalazł rzeźbiarza. — Sztukę marmuru białego kupiłem, a po tygodniu, gdym wrócił z Palermu, by przekonać się, czy mnie też czasem nie

oszukali Włochy, zastałem na cmętarzu kamień mój z napisem żony mojej, zaraz przy krzyżu, który zostawić byłem kazał — bo co sługa na grobie pana postawi, to święte. — Po tem Bóg sądzi, że to dobry pan być musiał!

A napis nasz taki:

TU. ZASNĄŁ. DO CZASU.
Ś. P. HENRYK. LIGENZA.
NARODEM. POLAK.
Z ZNAKOMITEGO. NIEGDYŚ. W RZECZYPOSPOLITEJ.
RODU.
ŻYCIEM. NIEZNANY.
ŚMIERCIĄ. WŚRÓD OBCYCH.
NA WYSPIE. DALEKIEJ.
GODZIEN. ŻALU. I MODŁÓW.
POCHOWANY. PRZEZ SŁUGĘ.
WIERNEGO.
POMNIKIEM. UCZCZONY.
PRZEZ. PODRÓŻNYCH. ZIOMKÓW.
KTÓRZY. GO. NIGDY. NIE ZNALI.
TYLKO. MYŚLI. JEGO. CZYTAJĄC.
UCZULI. ŻE. ON. BYŁ. ICH. BRATEM.
NA ZIEMI.
A TERAZ. ŻE. O NICH. MODLI SIĘ.
W NIEBIESIECH.

Tak żona moja chciała; trochę tam kadzidła co do tych myśli czytanych — no — cóż robić? — lepiej podchlebiać umarłym, niż żywym!

Com miał powiedzieć, powiedziałem — napisałem. — Ale kiedy to już ma pójść do druku, to jedno jeszcze dodam, że mi się we Włoszech dwie tylko rzeczy nadzwyczaj podobały: — podpora w Koloseum, postawiona przez papieżów, by te stare mury nie gruchnęły, i błota pontyńskie, całkiem do naszej Pińszczyzny podobne; — chciałbym był w nich polować, ale czasu nie miałem.

Niechże Bóg teraz świeci nad duszą pana Henryka Ligenzy — com mógł, uczyniłem dla niej!

Pisałem w Szafuzie na przejezdnem 1-go lipca 1840 r.

STEFAN, SZCZĘSNY, BOGDAN MIELIKOWSKI
przydomku i herbu »Gozdawa«.

SYN CIENIÓW.

5. Tedy Aniół, któregom widział stojącego na morzu na ziemi, podniósł rękę swoją ku niebu.

6. I przysiągł przez Żywiącego na wieki wieków, który stworzył niebo i to, co w niem jest, i ziemię i to, co na niej jest, i morze i to, co w niem jest, że, czasu już nie będzie.

Objawienie Św. Jana, Roz. X.

Syn cieniów patrzy w otchłań, w ziemię, na dół.
Moc go nieznana z ciemni wyrzuciła,
Dzika wilczyca piersią wykarmiła —
I pod Tytanem stęknął ziemi padół.

Poszedł wpół senny i darł się po górach.
Zawisł; ssie wilgoć na gór szczycie, w chmurach,
Aż mgła wisząca pęknie u skał szczytu
I światło spadło z krainy błękitu.

Pójrzy syn cieniów w oddal, w górę, w niebo,
Wyciągnął ręce do wyżyn wszechświata —
Choć z ziemi rodem, już ziemią pomiata,
Nektar gwiazd mlecznych ust jego potrzebą.

Ale nim wdzieje szaty człowieczeństwa,
Nim się rozbierze z powicia natury,
Musi z nią walczyć i znosić tortury
Olbrzymie, straszne, Tytanów męczeństwa.

Aż z starożytnej odmętu zawiei
Wyjdzie przemienion i »Jestem« zawoła;
Ludzka mu piękność wyjrzy wtedy z czoła,
W sercu zakwitnie kwiat błędnych nadziei.

Choć Boga tylko zna on gniewu panem,
Choć pozór dotąd mu prawdą jedyną,
I przeciw losom brata się z szatanem —
Ta dola płynie, bole te przeminą!

Przez długą pracę ludzkiego męczeństwa
Znów się rozbierze z szaty człowieczeństwa,
Myśl, która truje, krew własna, co krwawi,
Glinę mu z serca wyżre i przetrawi —

Cierniów koronę przywiąże do skroni
I łzę miłości nad bracią uroni,
Cierpiąc i wierząc w Ojca niebieskiego,
Jak duch nieszczęsny — lecz wolny od złego!

Aż znów się zbudzi odwieczna Tęsknota,
Dni zwątpień wrócą, pokusa się wzmoże,
Znów mu się wyda, że z niego sierota,
Rzucony oślep na zaguby morze.

Ale złe przejściem — tylko pyłem drogi —
Jeśli piorunem — to doczesnej burzy —
Jeżeli cierniem — to łodygi róży,
Której kwiat płonie tam, gdzie Bogów progi!

Ten, co dziś wątpi, co od wieków jęczy,
Gwiazd swych się dorwie i zamieszka z niemi,
Bo w gwiazdę nieba przetworzy krąg ziemi,
Wiążąc go z niebem innej wstęgą tęczy.

Stąpaj więc dalej, o synu światłości,
Stąpaj ku światów nieodkrytych stronie!
Wszystko, co żyje, świeci, dźwięczy, płonie,
Twojem na drogach twej nieśmiertelności!

Coś myślą pojął, dosięgniesz ramieniem —
Ujrzysz na oczy, coś przeczuł natchnieniem —
Z strun twojej lutni rozpierzchnięte dźwięki
Wezmiesz, jak perły widome, do ręki,
Gdy wrócą kiedyś świeże i stwardniałe,
W życie wcielone, z próżni zmartwychwstałe,
Na wieki wieków dane tobie — tobie,
Coś marzył czasem, że twój koniec w grobie!

A hańbą ową nie dręcz się, pielgrzymie —
Gdziekolwiek idziesz, tam wre anioł życia;
Twarz jego czasem w czarnym śmierci dymie,
Lecz jak kwiat róży, nim wyjdzie z ukrycia,
Jak uśmiech dziecka, nim błyśnie z powicia!
Bądź znów, jak Tytan, wielki — silny — dumny!
Wszędzie kolebki — niema nigdzie trumny —
I wszędzie niebo — niema nigdzie ziemi —
I wszędzie Bogi — nad tobą i w tobie,
Na każdem miejscu i o każdej dobie;
Byłeś — nie jesteś, lecz znów będziesz z niemi.
Aż kiedyś ujrzysz, jak z lazurów łona
Jasność jasności, Bóg Bogów powstaje,
I znów do niego wyciągniesz ramiona,
I on cię porwie w inne — dalsze raje.

Znów za nim pójdziesz ty, anioł, ty, święty,
Lecz on ci jeszcze będzie niepojęty —
Choć w innem ciele, choć na skrzydłach gromu,
Coraz to chyżej i wyżej niesiony,
Ty tęsknisz dotąd — boś nie znalazł domu —
I świat twój jeszcze nie jest nieskończony.

Choć wstęgi mleczne u stóp twoich płyną,
Jak niegdyś ziemskich oceanów fale,
Ty, na nie patrząc, nowe czujesz żale:
Wiesz, że i one, jak tamte, przeminą.
Dotąd ci czegoś brak, synu światłości!
Choć latasz wolny po światów przestworze,
Cień twoich skrzydeł dotąd w nim się toczy,
Mgła niepamięci dotąd ćmi ci oczy,

Ostatek bolu w twojem sercu gości,
I jeszcze wołasz na Boga: »Ty — Boże!«
Duch twój dopiero u progów wieczności.
Aż przejrzysz Pana, jakoś ty przejrzany,
I poznasz siebie — a w tej samej chwili
Noc niepamięci w tobie się przesili —
Wspomnisz nareście, żeś z Panem nad pany
Duch ten sam, jeden na wieki i wszędzie,
Co *jest* już teraz — ni był, ani będzie!

Bo pierwsze wszystkie kształty przeminęły —
To sen twój mijał, jak fal miliony —
Ten sam ty byłeś, lecz nieprzebudzony,
Boś śnił o falach, co w tobie płynęły;
Teraz żyć poczniesz — boś uczuł, żeś razem
Potęgą marzeń i marzeń obrazem.
W jednem wspomnieniu po długim pogrzebie
Tyś zlał się z sobą — tyś przypadł do siebie.
I wszystkie dusze, co wierzyły tobie
I przez ciąg wieków spać się kładły w grobie,
Coraz to wyżej, z grobu w grób, na zmiany
Wschodząc i żyjąc — do ciebie wróciły.
Tem są na końcu, czem w początku były: —
Świat jeden ducha, z twoim duchem zlany. —
Lecz każda dusza na *ciebie* wyrosła
I siebie samą w twoje łono wniosła
I wie o sobie — że stała się synem
Równym ci, Ojcze, i wiecznie Jedynym.
Bo w każdej Jeden Ty jesteś, o Panie!
I w każdej wołasz »Ja«, a oprócz Ciebie
Nigdzie nic niema i nic nie powstanie!

Teraz myśl, kochaj, stwarzaj wieczne niebo w niebie!

SEN-CEZARY.

1. Choćbym mówił językami ludzkimi i anielskimi, a miłościbym nie miał, stałem się jako miedź brzękająca albo cymbał brzmiący.

2. I choćbym miał proroctwo i wiedziałbym wszystkie tajemnice i wszelką umiejętność i choćbym miał wszystkę wiarę, tak, żebym góry przenosił, a miłościbym nie miał, nicem nie jest.

List pierwszy Św. Pawła do Koryntyan. Roz. XIII.

Cienie zewsząd w duszy mojej i wokoło oczów moich. — Głos mnie zawołał po imieniu: »Cezara, Cezara!« i wyszedłem i idę, sam nie wiem, gdzie, ale za tym głosem pójdę, jeśli trzeba, aż na koniec świata.

Widzę wieżę czarną przy wielkim kościele — kazano mi wejść do niej, wstępuję ciasnemi wschody — głos przedemną leci i woła: »Cezara, Cezara!«

I nagle grube mury stały się jakoby hafty, jakoby rąbki, jakoby kwiaty z kamienia; pośród ich liści i kielichów światło miesięczne się wkrada. Im wyżej, tem więcej takich kwiatów, tem wysmuklejsze, przejrzystsze i światła też coraz więcej przybywa. — Głos wciąż woła: »Cezara, Cezara!«

Okrążyły mnie poręcze granitowe — przepaść bezdenna podemną — nademną dzwonnica, pleciona przezroczysto, róże gotyckie, kładzione na różach, arkady, podesłane arkadom, świat ostrołuków, pnący się ku niebu — a przez każden z nich gwiazdę jedną widać

a przez jeden z nich księżyc złoty, szeroki, tam daleko, tam, nad górami.

Głos wstąpił w dzwonnicę i jak słowik, ukryty w gaju, woła na mnie: »Cezara, Cezara!« Okolica, jak świat szeroka, roztoczyła się przedemną. Zdało mi się, że widzę pomieszane wsi, miasta, wzgórza, doliny i bory uspione; księżyc nad niemi płynie, wszystko się stało bladem złotem i ciszą!

Wtem z pod stóp moich nagle, od razu, wzbiły się dźwięki poważne, jakby organów szum, pomieszany ze śpiewem ludu. I coraz głośniej i coraz pełniej te akkorda wschodzą z dolnego kościoła — idą do mnie — otoczyły mnie.

A za każdym akkordem światło miesiąca żywszem się staje, gwiazdy się rozszerzają, jak źrenice coraz większe, ognistsze — niebo całe jak jedno morze jasności wisi nademną — ziemia cała jak jedno zwierciadło, kędy się ta jasność odbija, leży podemną — wieża tylko i katedra tylko czarne, jak skała czarna!

I wszędzie, wszędzie ujrzałem jakoby tłumy narodów, przechadzające się po tej jasności — usłyszałem krzyk ich mowy i odgłos ich stąpań; — szli, nie zawracając — gdzie się spotkali, tam wrzask się wszczynał, a czasem wznosiła się pieśń błoga pokoju — i szli coraz dalej w nieskończoność widnokręgu; — księżyc już teraz jak ogromne, krwawe słońce gorzał nad niemi, a gwiazdy wszystkie patrzały z góry, jak kołujące księżyce.

I ujrzałem pośród narodów garstkę ludzi, ubranych w szaty żałobne, garstkę ludzi ujrzałem, niosącą sztandar, na którym napisano było: »Naród«, ujrzałem ostatnie pokolenie wielkiego plemienia, idące zwolna, jakby za pogrzebem, idące także w nieskończoność — a gdziekolwiek spotkało się z drugiemi tłumy, torujące sobie drogę ostatkami szabel. — Wielu z nich dźwigali szczątki łańcuchów na nogach i dłoniach, byli bardzo bledzi i bardzo znużeni — nieśli dzieciątka konające w ramionach, inni w objęciach trzymali zemdlałe niewiasty, podobne do umarłych aniołów. — Wielu z nich znaczyli ślady swoje krwią, z ran płynącą; i na ich pier-

siach głębokie rany widziałem — na ich czołach jakoby wieńce cierniowe — w ich ręku jakoby krzyże, zwiędłemi kwiaty oplecione, a milczeli tak, jak groby milczą — bez krzyku walczyli — bez jęku padali — bez pieśni zwyciężali — bez narzekania szli dalej na na nową bitwę i śmierć tę samą!... Długom patrzał, czy też kto ich nie przywita miłosiernem słowem lub uściskiem bratnim. — Lecz nigdy i nigdzie nikt im ręki nie podał, nikt z drogi się nie usunął, by mogli ci umierający przejść w pokoju. Tłumy narodów, jak mury czarne, stawały w poprzek im — jak potoki czarne, płynęły przeciwko nim — jak stada drapieżnych ptaków, pastwiły się nad ich obalonemi ciałami.

I żal serce mi objął i łzy do ócz mi się cisną. Zrozumiałem katedry ponure jęki, owe podziemne akkorda, bijące ku niebu — one grały pogrzebną pieśń ludu tego! — A głos z wnętrza dzwonnicy zaszumiał ku mnie: »Cezara, Cezara, oto lud, co schodzi z ziemi i nie powróci nigdy«.

A gdym spójrzał znowu, oni bili się, otoczeni zewsząd i już bez nadziei — bo ów księżyc, jasny jak słońce, oblewał ich promieńmi, a nad ich wrogami wisiała jakoby mgła, połyskami przetkana. — I było im bardzo ciężko i skwarno. — Wszystkie kule i cięcia prosto w nich trafiały, ich miecze, ich groty, daremno błądząc w cieniach, wrogów zabijać nie mogły. I było im nieznośnie gorzko.

I każden z nich wzniósł w górę dziecię swoje i rzekł, »Leć do Boga, sieroto!« — A zdało mi się, że na chwilę zbladł księżyc i z nad ich głów się odsunął — i przepaść jakaś lazurowa wydrążyła się w niebie — i w nią wleciały owe wszystkie maleńkie, jak rój białych aniołków — wlecieli i zniknęli — i zamknęło się niebo i znów księżyc roziskrzył się krwawym blaskiem i walka na nowo się rozpoczęła na ziemi.

A umierających coraz mniej, umarłych coraz więcej widzę. Jednak żaden dotąd nie rzucił broni, nie klął, nie błagał przebaczenia — nie zdał się na hańbę niewoli! Słyszę głosy wołających tłumów: »Żyjcie i bądźcie naszemi sługi!« Umierający wstrząśli

korony cierniowe na czołach i odpowiedzieli jednym, wielkim krzykiem, jak gdyby ostatniem wyzwaniem do boju.

Krąg wrogów, jak pierścień żelazny, ścisnął się koło nich, nad tym pierścieniem druga obręcz z dymu i błyskawic zaokrągla się w powietrzu — wtedy każden z umierających rzekł do zemdlałej niewiasty, którą trzymał w objęciu: »Obudź się i powiedz, czy chcesz żyć dłużej odemnie?«

A owym aniołom bladym roztworzyły się oczy i każda odrzekła z westchnieniem: »Ziemia wasza, ziemią naszą i grób wasz, grobem naszym. Tam razem z wami mieszkać będziemy.« I uśmiech miłości nieskończonej zakwitł na tych wszystkich ustach. I każden z umierających, jak stał z podniesionym mieczem, tak utopił go w piersiach tej, którą kochał — potem złożył jej ciało na murawie i pobiegł naprzód, ku wrogom — i znów się straszna walka rozpoczęła na ziemi!

I zdało mi się, że z tych postaci białych, leżących na zielonej murawie, powychodziły dusze lekkie i srebrzyste, w wielkim smutku, i, jak wieniec lilii nadpowietrznych, zawisły tam w przestrzeni i płakały nad tymi, którzy, walcząc, ginęli — i nad tymi, którzy jeszcze dotąd zginąć nie zdołali, nad ostatkami wielkiego narodu.

Głos słowiczy jęknął z dzwonnicy: »Cezara, Cezara, patrz, patrz, bo to ich ostatnia godzina!« Katedra zadrżała od akkordu, co wzbił się z jej lochów. Ten akkord, jak piorun, co bije z głębin ziemi ku niebu, rzucił się i rozległ się wszędzie i, znów zebrawszy się razem, pieśnią żałobną wyżej podniósł się, i wyżej jeszcze, i słyszałem go wciąż nad sobą, jakby, doszedłszy kończyn świata, jeszcze brzmiał tym samym dźwiękiem rozpaczy tam, gdzie gwiazdy świecą i gdzie ten krwawy księżyc błyszczał.

A gdym oczy obrócił ku ziemi, ujrzałem tłumy narodów, przechadzające się, jako dawniej; na miejscu, gdzie owa garstka poległa, już trupów ni krwi ni broni nie było — murawa zieleniała. — Usłyszałem jakoby śpiew ptasząt w krzewinie — jakoby szmer ruczajów

w oddali — uczułem jakoby woń spokojnych kwiatów, lecącą stamtąd, i zdjął mnie strach, że tak cicho na tak wielkiej mogile.

A głos anielski mój zawołał na mnie: »Cezara, Cezara, patrz, co zostało się po nich!« Ja w stronę głosu spójrzałem — a księżyc był znów mały i śniady — gwiazdy drobne i migające, okolica ta sama, co na początku, wieńcem wzgórzów otoczona, białych wiosek zasiana milczeniem.

Głos woła ciągle: »Cezara, Cezara!« ale zdało mi się, że wyszedł z dzwonnicy i ciągnie mnie nazad ku wschodom wieży. I szedłem za nim, coraz niżej zstępując, szedłem wśród dużej ciemności, w tęsknocie ducha mojego — i nie wiedziałem, kędy idę, czułem tylko po wzrastającym smutku, że chyba do grobu.

I obrócił głos, wzdychając, ku przejściu, pełnemu blasków odbitego światła. — Szum dziwny słychać, jakoby szelest wielu liści suchych, wijących się pospołu w lekkim wietrze — jakoby mowę wielu głosów, przyciszanych bolem — jakoby skargę przebudzonych w trumnie i zasypiających znowu.

A głos rzekł: »Cezara, teraz módl się za nich!« — i ujrzałem przed sobą wnątrz katedry bardzo długiej, nad którą stałem, jak gdybym stał na podniosłości chóru i z chóru zaglądał w tę głąb pełną kaplic, ołtarzy, filarów, ławek czarnych i lamp, płonących przed obrazami, przed posągami, tu i ówdzie nad pomnikiem rycerza, tu i ówdzie nad chrzcielnicą, nad amboną, wszędzie u stóp i na szczytach słupów gotyckich i na arkadach i wzdłuż ostrołuków — ale ich promienie przyćmione były i zwiędłe, jakoby od łez, wiszących w powietrzu — od mgły ledwo widzialnej, co się przesuwała w przestrzeni.

I ujrzałem pośrodku katedry wielki otwór rozwarty, jakoby wstęp do podziemnych grobów, czekających na kogoś — i ogromny kamień leżał przy tym czarnym otworze, kamień ogromny, biały, jak alabaster, i długą taśmą krwi obrąbiony, krzyżem krwi pośrodku znaczony, a pod krzyżem było to słowo ,także krwią napisane: *Naród.*

I pusto było w tym wielkim kościele. — Wtem zdało mi się, że słyszę jakby przeczucie muzyki tajemniczej w sercu, i z serca mego na jaw powschodziły słabiuchne dźwięki — i już teraz chwytam, słucham nuty, do kropel kapiącej rosy podobne — i z nich powiązała się plecionka szmerów melodyjnych — i ta wielka katedra rozpłakała się dźwiękami.

Każden jej ołtarz, każden filar, każden głaz jej posadzki zadrgnął, jak struna — każden jej posąg jęknął, ale pieśnią; i ta pieśń rosła spokojnie, poważnie, jakby śpiew duchów niewidomych, cierpiących serdecznie i serdecznie modlących się o ulgę, o sen zapomnienia, o miłości i litości trochę — do wielkiego Boga.

Wtem grzmot z organów uderzył — raz tylko — i rozwarły się bramy katedry — i głos mój rzekł do mnie: »Cezara, Cezara, patrz, bo to oni wchodzą!«

I szli polegli, szli umarli, szli jeden za drugim, sztandar swój niosąc, jak za dni życia, trzymając w objęciach pozabijane anioły swoje — trzymając w ręku pęknięte oręże; szli, jak mgły chodzą, bez szelestu, szli ze spuszczonem czołem, pełnem wspomnień bolu. — Dzieciątek ich tylko nie było z niemi — ale, jak tylko przestąpili próg katedry i zaczęli stąpać w stronę wielkiego ołtarza, tam, kędy zdało mi się, że widzę biały posąg Chrystusa, tam, kędy zdało mi się, że marmurowych aniołków grono wychyla się ze sklepień — ot! muzyka stała się miękką i tkliwą, jak szczęścia wspomnienie — ot, jakieś wieńce nagle błysnęły w powietrzu i róż białych tysiące spadły na posadzkę — ot, tych aniołków grono motylich skrzydeł opasało się tęczą i każden rączki wyciągnął, oderwał się od sklepienia, zawisł w powietrzu i, ważąc się w powietrzu, jasnemi oczętami zdał się szukać i poznawać, a poznawszy, leciał ku nim, ku nadchodzącym i skrzydełkami wieńczył głowy ojców poległych i matek, uspionych snem śmierci.

A męże podnieśli czoła i uśmiechnęli się, poznając przemienione dzieci — a matki, rozemknąwszy oczy, krzyknęły z radości i z objęć mężów zstąpiły na ziemię i, podnosząc dłonie ku tym aniołkom, nazywały je po

imieniu, wołały każda swojego i, wspinając się na palcach stóp, ustami goniły te nadpowietrzne twarzyczki, przesuwające się, jak kwiaty i gwiazdy, nad niemi.

Aż drugi raz zagrzmiały organy — wtedy w pustych ławkach usiedli męże i odetchnęli, jakby po męce życia całego — przed niemi koło stopni wielkiego ołtarza usiadły niewiasty i wnet zdały się na nowo bardzo blade i niewzruszone i głęboko spiące. — Męże, broń poskładawszy na ziemię, zdjęli z głowy korony cierniowe i podnieśli je w stronę posągu Chrystusa; ale nic wyrzec, ale o nic prosić nie mogli, bo ich piersi przebite były i usta oniemiałe z bolu i znużenia.

A lampy ciemniały coraz bardziej — mgły, zstępujące z sklepień, wiły się nakształt całunów — gromnice gasły jedna za drugą — tony owe miękkie i tkliwe cichły pod jękami organów. — A im ciemniej i huczniej się stawało, tem posąg Chrystusa, ów biały, wysoki, daleki, bielał i rósł bardziej przedemną — aż cały kościół zanurzył się w mrok szary — aż przestrzeń cała przemieniła się w grzmot nieustanny, podobny do huku trąb archanielskich. — I postać owa wysoka, daleka, nad wielkim ołtarzem jasną, blizką, żywą, zstępującą się wydała. — Ona jak słońce — oni wszyscy czarni i cały kościół czarny i drżący, jak drzewo w wietrze jesiennym. — A postać zstąpiła i stanęła nad samemi niewiasty i pojrzała ku mężom siedzącym — a wzrok jej była to jasność biała, jak dyamentu.

Niewiasty się podniosły i, zasłaniając oczy rękoma, westchnęły: »O panie, oddaj nam dzieci nasze!« I męże, padłszy na ziemię, zawołali: »O panie, oddaj nam Ojczyznę naszą!«

A postać zstąpiła jeszcze niżej i oni wszyscy, powstawszy, szli za nią, a ona wiodła ich ku roztwartym grobom, nie tykając ziemi stopami, ale płynąc i unosząc się.

I pierwsza w grób zstąpiła, jak słońce, co zachodzi, w grób ten czarny, mówiąc: »Odpocznijcie — kamień nad wami, jak nademną, zasunięty będzie!—Alboż ja nie przy was? Czemu się wahacie?« I oni wszyscy

zeszli i zniknęli, wszyscy aż do ostatniego, idąc za postacią Chrystusa. — I widziałem, jak się podniósł ten głaz ogromny z napisem *Naród* i zapadł nad niemi.— I ostatni grzmot uderzył — i zgasła ostatnia gromnica.

A wśród ciemności usłyszałem jakoby chór duchów, śpiewający ostatnie pożegnanie im:

»Złóżcie dłonie na zimnej pościeli — złóżcie czoła na trumny węzgłowiach — niech ostygną rany wasze — niech odpoczną serca! — Zapomnijcie, aż przyjdzie na was i na ziemię waszą powtórnej wiosny godzina!«

»Ten sen będzie siłą wam; bo Pan czuwa nad waszemi trumny i czeka, aż chwile przeznaczone miną. A teraz pokój wam — teraz zaśnijcie głęboko!«

I stało się wielkie milczenie — a głos, który mnie strzegł, powtórzył z cicha te same słowa, co pierwej: »Cezara, Cezara, patrz, co zostało się po nich!« — A ja, nic nie widząc, zapytałem: — »Co?« — A głos rzekł znowu: »Patrz — oto ślad jeszcze po nich na ziemi!«

I naglem ujrzał jakoby modrych wyziewów gromadę, a w samym środku ich jakoby obraz malowany, powiewany powiewami wiatru — ujrzałem twarz niewieścią i całą postać niewieścią, na pozór przemijającą — a doskonale piękną, z smutku wiecznego wyrazem na czole. — Jej szaty, lekkie jak myśli, na wzór myśli tęsknych naokoło niej płynęły, takie białe! — Jej wzrok wbity był w próżnią przestrzeni. — I dumny był ten wzrok, choć łzawy — i harde to czoło, choć obarczone cierpieniem — i uroczysta ta postać, choć do snu nikłego podobna.

A głos zawołał na mnie: »Strzeż jej, Cezara, bo ona siostrą tych, którzy, walcząc, polegli! — Ona jedna ocalała, by piękność rodu tego nie zaginęła całkiem na ziemi.«

A gdym drugi raz spójrzał, uczułem, że kocham ją — i zdało mi się, że idę za nią w świat mi nie znajomy, gdzieś pośród mgieł jesiennych, gdzieś w puszcze stroskane, kędy słychać potoków przesłonionych

szumy, kędy liści zżółkłych kręcą się tumany i orzeł jakiś, krwią zbroczony, mgłę przecinając, prowadzi panią swoją.

A ona stąpa, zawsze równie blada i lekka i piękna, zawsze równie samotna i smętna i dumna — zawsze do snu podobna, a jednak widna ciągle — ciągle błądząca, ciągle w milczeniu — a ja strzegę jej wiecznie. I gdzie ona pójdzie, tam i ja pójdę — i gdzie ona spocznie, tam i ja usiądę — i gdzie ona zniknie, tam i ja zniknę z nią razem!

I zdało mi się, że dni i nocy mijają, jak fale białe i jak fale czarne jednego potoku. — Czasem widzę widmo słońca za chmurami, czasem księżyc, przesuwający się na szczytach gór — niekiedy poza mgłą słyszę miast dalekich gwary — i w górze pieśń przelatujących Duchów — i gdzieś w dole, pod stopami, zdało mi się, że słyszę płacz kopiących w kopalniach — i niżej jeszcze śmiech podziemny szatana.

Lecz nie słucham, lecz nie patrzę. — Ja tylko idę za nią. — Zmierzch nas wieczny otacza — smutek nas wieczny pojednał — nadzieja ta sama nas wiedzie. — Ona czasem odwróci oczy od przestrzeni, w którą patrzy, od przyszłości, w którą zagląda, i spójrzy na mnie — ona czasem rozemknie usta i zawoła: — »Cezara!« — czasem z mgły śnieżną dłoń wychyli, a ja dłoń tę chwytam i opieram na sercu, aż odpocznie anioł mój. — I tak idziem w nieskończoność. — Jeśli ożyć mamy, ożyjem — jeśli zaginąć, zginiemy. — Gdzieś słońce to samo świeci, gdzieś grób ten sam czeka na nas — a idziem, niepewni, czy w stronę słońca, czy w stronę mogiły. Tylko Bóg nam dał, że idziemy razem!

I nie zliczę czasu i nie powiem, jak, lecz zdało mi się, że już część życia mego ubiegła, a sen mój trwał, w dalsze mnie coraz uwodząc pustynie — a miłość moja coraz większą była i smutek jej coraz większy także!

I nie pomnę, gdzie, i nie pomnę, kiedy, wydało mi się, żem ujrzał cypel skały, ponad mgłę wymknięty. — I Duch tam siedział, podobny całkiem do czer-

stwego, starego człowieka, tylko że mu z ramion wisiały bezpiórne skrzydła, jak u nocnych ptaków.

A siedząc na urwisku, trzymał harfę o jednej strunie i zaśpiewał:

»Wstrzymaj się, niedoświadczony — tu granica między krajem życia a padołem śmierci! — Jeśli ją przekroczysz, dusza twoja osłabnie na wieki.«

A jęk żelazny z owej struny się rozległ i strach mnie ogarnął.

»Opuść tę, która nie ożyje nigdy — piękność jej tylko przeszłości wspomnieniem — nie wierz, gdy spójrzy na ciebie lub rękę ci poda, — bo iskry miłości niema w tej źrenicy — bo siłę uścisków los wybrał z tej dłoni!«

I znów uderzył w jednostrunną harfę.

A postać stanęła i obróciła twarz ku mnie. Wszystkie sny niedopełnione, wszystkie zabite nadzieje jej rodu, całe życie ich, cała duma ich i zgon ich i sen ich teraz w grobie, razem, w jednej chwili odbiły się na niej.

A Duch znów zaśpiewał:

»Wracaj i żyj pośród ludzi żywych! — A ja tu z nią zostanę i śpiewać jej będę śpiew mój bez nadziei na tej strunie ostatniej — bo inne, przebrzmiawszy, pękły. — Wszystkie razem niegdyś zwały się wiarą, odwagą, kochaniem — ta, jedyna dzisiaj, zowie się nicością.«

I zdało mi się, że powstał i harfą rozcina mgłę na prawo i w lewo — i odsłoniły się za skałą wielkie cmętarze, stosy kości i stosy próchen, koni szkielety i psów szkielety i sępów szkielety na ostatkach zwłok ludzkich, ubranych w płaszcze, w ornaty, w korony, wśród pancerzy i mieczów i siodeł — i rozwalone kaplice i ruiny bez końca na brzegach zamarzłego morza — i chmury niewzruszone, jakby drugi taki sam ocean, ścięty mrozem na niebie.

A Duch wskazał w tę wielką przeszłość i, rozśmiawszy się, wskazał znów ku drugiej stronie skały — a tam rozwiodła się zieloność i błękit zaświecił — tam na tysiącach wież tysiące sztandarów,

każden w barwach wiosny, tam białe kłęby pary i słupy żywe dymu.

Ale wnet oczym odciągnął i znów je wlepiłem w twarz postaci.

I zdało mi się, że, zebrawszy ostatek sił, ona postąpiła naprzód, jakby dójść jeszcze chciała do tego brzegu ruin — by przynajmniej wśród umarłych ludu swego rozemdleć się i zniknąć.

Duch szczytu skały, Duch złego, Duch, co mnie kusił, rzekł do mnie: »Wybieraj!«

W tej samej chwili głos jej zawołał: »Cezara!«

A jam poszedł za nią, za tą, która nie powróci nigdy na śmierci cmętarze.

Śnieg krąży nad nami, jak grób nadpowietrzny. — Orzeł, co leciał przed nią, padł na umarłe sepy i skonał. — Ledwo już dostrzedz mogę płynących jej włosów — daremno szukam raz ostatni jej dłoni wśród cieniów. — Ta, którąm ukochał, wśród zawiei znika!

I sen mój się nie przerwał — uczułem wszystkie męki rozdziału, wszystkie próżnie nicości. — Zdało mi się, że ich postać Chrystusa oszukała, zstępując z niemi do grobu, bo oni już się nie przebudzą — i że ta, którą strzegłem, oszukała mnie także, bo zostawiła mnie wśród umarłych na wieki. I usiadłszy na brzegach morza tego, prosiłem się duszy mojej, by wyszła ze mnie.

A głowęm trzymał w ręku, a przez palców szpary widziałem na lodach cień owego Ducha z harfą, przechadzający się w oddali. — I przechadzając się, śmiał się ze mnie.

Potem, usiadłszy na wzgórzu śnieżnem naprzeciwko mnie, zaśpiewał:

»A co teraz?«

I z pod stóp jego zerwało się stado kruków i każden z nich, ciągnąc mi nad głową, powtórzył, krakając: »A co teraz?«

I zdało mi się, że ze stosów kości i z głębi ziemi zmarzłej wydobyło się to samo słowo:

»A co teraz?«

Duch wtedy bez żadnego brzęku zerwał ostatnią strunę i rzucił ją pod lody, mówiąc: »Wieczność się zaczęła.«

I zdało mi się, że duszę własną przeklinam, konając.

Wtem głos dawny, głos anielski, co mi śpiewał na tej cudnej wieży, odezwał się gdzieś — czy w głębiach serca mego, czy za temi chmurami.

A jam się zerwał i wołam: »Ratuj mnie, bo konam; a konam, boś ty zwiódł mnie!«

Lecz słowik mój, lecz aniół mój na to: »Cezara, Cezara, czemu żałujesz, żeś życie poświęcił dla umarłej? Alboż nie wiesz, że jest zmartwychwstanie? — A jakżeż zmartwychwstaną serca umarłe, jeśli ich nie ukochają żywe i krwi im swojej nie udzielą połowy? Ta, co zabrała życie twoje, odda je tobie, bo śmierć jej była tylko złudzeniem. Patrz!«

Jak nowonarodzoną gwiazdę, ujrzałem postać, wschodzącą z kończyn widnokręgu. — Uczułem, że będę nieśmiertelny, bom nieśmiertelną ukochał — i koło mnie z prochu dźwigali się mężе i widmo Chrystusa bielało nad niemi w powietrzu. — Zamknąłem oczy i padłem twarzą na ziemię wśród zmartwychwstających.

LEGENDA.

18. Zaprawdę, zaprawdę, powiadam Tobie: »Gdyś był młodszym, opasowałeś się i chodziłeś, kędyś chciał; lecz gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce Twoje, a inny cię opasze i poprowadzi, gdziebyś nie chciał.«

. . . . . .

20. A Piotr, obróciwszy się, ujrzał onego ucznia, którego miłował Jezus, pozad idącego, który się też był położył przy wieczerzy na piersiach Jego, i rzekł był: »Panie, któryż jest ten, co Cię wyda?«

21. Tego ujrzawszy Piotr, rzekł Jezusowi: »Panie, a ten co?«

22. Rzekł mu Jezus: »Jeślibym chciał, żeby on został, aż przyjdę, co tobie do tego? Ty pójdź za mną!«

Ewangielia według Św. Jana. Roz. XXI.

Zdało mi się, że w samą wigilią Bożego Narodzenia wychodzę z bram Rzymu i że idę przez Kampanią. — Pogańskie tam grzały się groby w promieniach słońc — ranek był — niebo czyste, jak zawsze, i pustynia smutna, jak od wieków.

Szedłem dzień cały, niesion ducha potęgą. — Stare wodociągi, póki mogły, szły za mną, lecz jam poszedł dalej. — Bluszcze, jak zielone żłoby Chrystusa, szumiały po świątyń ruinach. — Leciały nademną białych ptaków stada — przedemną w dole pełzał gad błyszczący. — Huk morza zaczął wołać na mnie.

A kiedym stanął na ostatniem wzgórzu ziemi —

kiedym ujrzał wody, słońce już zachodziło — a daleko na wodach stała plama czarna, jakby żywa, coraz większa i lecąca ku mnie — wreszcie ogromna, gdy słońce zgasło, a zmierzch padać zaczął.

Wielki to i posępny okręt, bez płócien i masztów — a wszystkie fale kołami rozbija na pianę — i z pośrodka jego bucha słup dymu, który leci nazad w nieskończoność.

Coraz to ciemniej — on, jak widmo czarne, toczy się w przestrzeni, grzmiąc — dwa ogniki nocne spadły przed nim w morze — głos wtedy z pokładu się odezwał: »Czy dziś ostatnia wigilia Bożego Narodzenia«?

Ja, w duchu przerażony, odparłem ze wzgórza: »Zaprawdę, dziś wigilia jest«; i wnet stanął okręt przy samych brzegach, blada para rozwiodła się nad nim, żużle i iskry sypnęły się z jego boków — w świetle czerwonem zajaśniał pokład na znikomą chwilę.

Stały tam postaci w karmazynowych czapkach i w płaszczach bielejących — usłyszałem niby zgrzyt łańcuchów — zdało mi się, że pada ciężki most, długi most, od okrętu rzucony do brzegów — po nim w ciemnościach wiją się te postaci i dążą ku mnie.

A gdy niedaleko już były, zapytały jednym głosem: »Kędy droga do Rzymu?«

Jam odparł: »Niema tu drogi — tu pystynia«. A oni odrzekli: »Prowadź nas zatem!« — A kiedym się wahał, znów się odezwali cichym i tęsknym głosem: »Myśmy ostatki szlachty polskiej. — Anioł pokazał się nam, anioł nie podobny tym, których oglądały ojce nasze, bo miał skrzydła bez blasku i welon żałobny na czole — lecz wiemy, że on z nieba zesłan — a on nas tu posłał. — Długośmy płynęli — wielkie tam były wichry i słoty na morzu — lecz dopełni się wola Pańska, jeśli dziś o północy staniem w bazylie Piotra«.

A ja im na to: »Idźcie za mną, nieszczęśliwi ludzie!« — I nazad ku miastu od brzegów morza stąpać zacząłem, drżąc i modląc się, jakbym przechodził przez cmętarz, a z tyłu za mną wstawali umarli.

Wiatr się zerwał, a żadnej chmury nie widać —

gwiazdy wszędzie lśnią na ciemnem, na głębokiem niebie — w dole taka czarna równina! Szare tylko czasem mijamy mogiły — czasem bladych gruzów zaspę — czasem wodociągów bramy — z daleka słychać wielkich trzcin szelesty — w górze niekiedy krzyk nocnego ptaka — i bliżej, gdzieś wśród rozwalonych grobów, tam, szmery podziemne.

Oni idą za mną, z tyłu — czuję na moich barkach ich piersi oddechy — a chyżo stąpam, bo oni się spieszą — słyszę, jak ich czapek kity łamią się w powietrzu — jak ich płaszczów fałdy wiją się z wiatrami.

I zdało mi się, że widzę ognik, błądzący w oddali — wnet drugi i trzeci — a gdym jeszcze postąpił, ujrzałem wielką mnogość świateł na równinie. — Przesuwały się one, dążąc z stron różnych, a ku jednej stronie — i oto zaczął gwar głosów wielu szumieć w pustyni.

A gdym podszedł bliżej, obaczyłem jakoby mnóstwo pielgrzymów idących przez Kampanią z pochodniami w ręku. — Łuna, koło nich rozpostarta, szła razem z niemi wśród dwóch wielkich ścian ciemności, a w niej wysokie krzyże i obrazy świętych i różnych narodów sztandary w powietrzu.

W sam środek tych tłumów wwiodłem hufiec mój — wtedym ujrzał zasępione lica ich — tych, którzy szli za mną, i jakieś natchnienie w ich oczach, ale nie życia natchnienie — i szable, na których się opierali, jak tamte pielgrzymy na kosturach swoich.

A ledwom wszedł z niemi pod światło pochodni, zdało mi się, jakoby stanęły tłumy, pytając ich: »Co wy za jedni i skąd idziecie?«

Oni się zatrzymali i dziwny uśmiech rozbiegł się po ich ustach — a odrzekli zaraz: »Azaż nikt nas nie poznał na świecie? «

Cichy szmer, szmer rosnący, rozległ się naokoło; zdało mi się, że wszystkie hufce pielgrzymów zawołały razem: »Znamy was — wyście ostatnie bohatery ziemi!«

Wtedy oni ciągnęli dalej: »Widzieliśmy anioła z czarną zasłoną na czole — on nam kazał spieszyć

do Rzymu — a wy, mówcie, czyście słyszeli głos jaki?«

Wzbił się wielki jęk tłumu, odpowiadający im: »Amen. — Ten sam anioł kazał nam domy porzucić — głos jego rósł nocą nad nami w powietrzu i nie dawał nam zasnąć. — »Dni onych, mówił, Chrystus raz ostatni narodzi się u grobu Piotra, a odtąd rodzić się już ani umierać nie będzie na ziemi«.

I umilkło mnóstwo i stało, jakby własnemi przerażone słowy.

Pierwsi Polacy ruszyli z miejsca, białe na ramiona zarzuciwszy płaszcze — Z wszystkich stron Kampanii coraz więcej tłoczy się pielgrzymów — już widne mury miasta — już słychać dźwięk dzwonów — a im bliżej, tem jaśniej, bo na bramach, na wieżach palą się wieńce świateł, i tem huczniej, bo tu i tam i jeszcze dalej jeden po drugim budzi się i grzmi każden kościół Rzymu.

Zdało mi się, że noc w dzień biały zmieniona — ulic, którem z rana opuścił, nie poznaję wcale. Tam, gdzie gruzy tylko, tam, gdzie puszczyk siada tylko, kołyszą się teraz snopy kwiatów i lampy płonące — i rzymski lud ciśnie się tłokiem, wołając: »Weselmy się, weselmy, bo Chrystus dzisiaj narodzi się nam!«

A gdy ujrzeli szlachtę polską, wstępującą w bramy, i pielgrzymów potok, płynący za nią, krzycząc, skakali z radości — pytają się tylko: »Czemuście tak ponurzy, goście? Jeśli was długa droga znużyła, odwilżcie usta sokiem pomarańcz! — Zrzućcie białe czapki i ciemne kapelusze — oto są myrtu gałązki — oto kamelie — skroniom je waszym rzucamy na wieńce!«

Ale w milczeniu i brew zmarszczywszy idą pośród nich Polacy, a idąc, mówią do mnie: »Gdzie bazylika Piotra? Nam spieszno — nam tęskno — wszak już blizka północy godzina?«

A ja ich prowadzę przez Forum. — Zdało mi się że amfiteatr Flaviana, ten pusty, ten ciemny, ten stary, jak ogrom światła stoi teraz, od stóp po olbrzymie szczyty kagańcami rozwieszon — każden listek bluszczu znać na nim — w jaskrawych szatach niewiasty i dzieci

przechadzają się po piętrach gmachu i, klaszcząc w dłonie, witają nas przechodzących.

I wszystkie łuki na Forum i wszyskie kolumny palą się, jaśnieją — i na wzgórzu ścianą z złotych ogni wznosi się Kapitol; od wielkiej łuny gwiazdy pomdlały na niebie.

Lud ciągle krzyczy: »Hosanna, Hosanna!« a pielgrzymy śpiewają psalmy pokutne. — Lud ciągle bieży i zawraca, brzdąka na gitarach, roztrząsa iskry w powietrzu — a samym środkiem morza tego my idziem czarno — powoli — w ducha żałobie.

Z wszystkich ganków, z wszystkich dachów ulicy spadły na nas fiałki i róże.

Już dzwon Kapitolu brzmi daleko z tyłu — a przed nami dzwon świętego Piotra odezwał się w przestrzeniach — on jeden, sam bije teraz — głośniej ponad wszystkie inne.

W stronę wołania tego spieszym się — most na Tybrze przechodzim — domy na brzegach, jak ciche pożary — rzeka, jak wstęga z płomieni. — Zamek Anioła najeżon działami — co chwila jedno działo to błyśnie, to zagrzmi.

Zawracamy teraz — już wchodzim na dziedzińce Piotra; — kopuła w lamp szkarłatnych tysiące ubrana — krzyż na jej szczycie, jak dyament — z obu stron kolumny dziedzińca wydały mi się kręcone z ognia — fontanny pośrodku, jak tęcz płynących dwoje — i lud wielki obaczyłem, czekający tam — i bramy kościoła rozwarte — i wnątrz kościoła, jakoby nieskończoność płonącej jasności!

Póki mogli, szli Polacy i pielgrzymi, lecz na wschodach, u stóp portyku, mnóstwo zewsząd zamknęło im drogę. — Stanąwszy, o przejście wołają — lecz coraz bardziej i z przodu i z tyłu i z boków zgraje ciążą na nich.

I powstały głosy Rzymian: »Alboż my nie pierwsi — alboż ten kościoł nie nasz od wieków i na wieki?« A wśród pielgrzymów inne słychać głosy: »Dotąd szlachta polska torowała nam drogę — czyż i ona teraz przed nami wejdzie do świątyni?«

I ujrzałem, jak Polacy wznieśli pałasze na znak, że się bronić będą — szczerym ogniem zaświetniały ich klingi w jaśni powietrza.

Lecz w tej samej chwili na krużganku Bazyliki, wysoko ponad ludem, ukazała się postać w purpurze, która rzekła, a głos jej donośnym był bardzo: »Puszczajcie tych, którzy dla wiary katolickiej niegdyś naród cudzy od śmierci zbawili, a późniéj za tęż wiarę poginęli sami! — Umarłych puśćcie naprzód!« I wzniósł rękę kardynał w prawo i na lewo, jakby tłumy rozdzielał — w dole rozdzieliły się tłumy — a on zobaczył i cofnął się nazad do gmachu.

A jam poszedł zaraz z Polakami prosto przez wschody, prosto przez portyk, w sam kościoł, i przez kościoł cały, aż przed wielki ołtarz, aż przed lampy, co się palą na grobie Piotra. Tu stanęli i, zdjąwszy karmazynowe czapki, białe płaszcze rozklamrowali na piersiach — przyklękli i modlili się, nagą broń trzymając w ręku.

Pogoda śnieżna marmurów jaśnieje w pustym kościele — dymy kadzideł srebrno, przejrzysto wstępują pod kopuły sklepienia, wiszące nad nami — na mozaikach posadzki rozrzucone kwiecia i palmy. — Ze wszystkich kaplic odzywają się chóry miękkich głosów, radujących się — tam, w dali, koło drzwi, zaczyna się przestrzeń napełniać. — Pielgrzymi idą przez ten świat śpiewu i światła, jako szli przez miasto całe, czarni i niepocieszeni. — Potok też ludu rzymskiego wbucha do Bazyliki, hucząc.

A gdy każden orszak zajął miejsce pod sztandarem swoim, przy ołtarzu swoim, przestrzeń ta wielka, cała, znów umilkła, jakby pustą była — śpiew ustał po kaplicach — a od strony Watykanu odezwą się trąby na znak, że papież zbliża się do nas.

Przechodzą środkiem kościoła wszyscy zakonnicy Rzymu, starce po starcach, i inne starce i znów starce jeszcze, w białych habitach, w szarych włosiennicach, z krucyfiksem w ręku — przechodzą biskupi w infułach, srebrne pastorały wlekąc za sobą, idą kardynały w ra-

żącej czerwieni — koło nich księża w dalmatykach i tłum śnieżnych dzieci, niosących wino, kadzidło i wieńce.

A gdy przelał się ten potok w stronę wielkiego ołtarza, tam, gdzie rozstąpiły się tłumy, tam na pustej ulicy między dwóma ścianami z żywych ludzi — które teraz uklękły nagle — szedł bardzo powoli siwy starzec w potrójnej koronie, z białą komżą na złocistych szatach.

Daleko za nim zostali się żołnierze i służba i tron, niesiony przez kapłanów — on sam jeden stał w środku ludu i kościoła — sam jeden stąpał ku wielkiemu ołtarzowi i zdało mi się, że każden krok jego trwa chwil wiele i że nigdy nie dojdzie do nas.

A gdy tak szedł wśród bijących czołem — niekiedy oczy przymykał, jakby ulgi oczom szukał od świateł tylu — czasem nad ludem kryślił, nie dokryślał, drżące znaki błogosławieństwa w powietrzu — aż, stanąwszy, westchnął i wzniósł ręce ku niebu, lecz nie mógł ich utrzymać — opadły.

Na to westchnienie ludzie głowy podniosą. Od smutku ojca wszystkich pobledli wszyscy — wtedy zdało mi się, że od wielkiego ołtarza zawrócił jeden z kardynałów, ten sam, który wpuścić nas kazał, i wzniosłym chodem poszedł ku starcowi starców i podał mu rękę, oczyma, jak błyskawicą, wskazując mu grób Piotra. — Starzec znów postąpił kroków kilka i wzdrygnął się — kardynał długich włosów pierścienic wstrząsł ruchem głowy na bok i znak dał tym, co zostali z tyłu; oni pospieszą, tron złoty niosąc.

Wtedy ojciec, który jest na ziemi, uchwycił bladą ręką za poręcze tronu i siadł na nim — a wzniesiono go zaraz w górę i trąby znowu grzmią w kościele — kardynał idzie przy tronie. — Lud zrywa się z ziemi — dzwon uderzać zaczyna — dwanaście razy zdało mi się, że zadrzały sklepienia — koło wielkiego ołtarza chmura kadzideł się wznosi — w niej papież na wschody wstępuje — a kardynał rzekł: »Chrystus się narodził!«

Zaraz z tłumu pielgrzymów wzbił się jęk żałosny: »Wszak nie sprawdzą się słowa anioła, że po raz ostatni?«

A lud rzymski krzyknął wściekle: »Kto śmie bluźnić w kościele Piotra?«

Jeden z szlachty polskiej wystąpił, wołając: »Oni nie bluźnią, a my się nie lękamy was — oni prawdę mówią — ja sam i bracia moi widzieliśmy smutnego anioła.«

A kardynał znów, jak książe potęgi, ręką skinął i rzekł: »Pokój ludziom dobrej woli, niech się modlą, bo msza się zaczęła — a czas krótki — a modlitw dziś potrzeba na ziemi i niebie!«

I my wszyscy zaczęli się modlić w wielkiem oczekiwaniu.

A ojciec nasz święty siedział przed nami na tronie.

Z kaplic znów wzniosły się głosy, gdyby chóry anielskie, pełne niebieskiej rozkoszy. Część nocy upłynęła — przyszli bieli kapłani i podali ręce ojcu naszemu — on z tronu zstąpił i poszedł ku ołtarzowi i wziął kielich w ręce, bo pora świętej ofiary nadchodzi — kardynał nalewa doń wina.

A w samą chwilę podniesienia, gdy wszyscy przypadli do marmurów, usłyszano jakoby głos w powietrzu, który wymówił »Jestem!« A gdyśmy, drżąc, podnieśli głowy, ujrzeli wszyscy wielką postać, opartą czołem na środkowej bramie, znikającą zwolna, coraz bardziej mglaną, a ręce jej były krwawe i nogi krwawe, lecz sama cała śnieżna — i, jak śnieg topniejąc, zniknęła.

Wtedy kardynał, gdy papież, trzymając jeszcze kielich w ręku, wzdrygał się, sam rzekł: »Ite, missa est!« a potem zawołał głosem ogromnym: »Czasy dopełniły się!« i, rozdarłszy purpurę na piersiach, rękę wyciągnął w stronę grobu Piotra, mówiąc »Obudź się i mów!«

Z każdej lampy nad grobem rzucił się język ognisty i wieniec płomieni rozkołysał się nad ciemnicą grobu — a z dna tej ciemnicy podniosło się ciało, z rękoma ku sklepieniom — i, stojąc po piersi zanurzone w grobie, krzyknęło: »Biada!«

A za tym krzykiem zdało się nam wszystkim, że sklepienia kopuły pierwszy raz się porysowały.

A kardynał rzekł: »Piotrze, czy poznajesz mnie?«

A ciało odpowiedziało: »Głowa twoja ostatniej wie-

czerzy spoczęła na piersi Pańskiéj i tyś nigdy nie umarł na ziemi.«

A kardynał odparł: »A teraz kazano mi, bym wśród ludzi zamieszkał i ogarnął świat i przytulił go do piersi, jako Pan głowę moją ostatniego wieczora.«

A ciało odparło »Czyń, jako ci kazano jest!«

Wtedy kardynał skinął znowu jak książe potęgi — a ciało powtórzyło: »Biada mi!« i zapadło z strasznym łoskotem, jakby w otchłań, nazad w grób swój i rwać się lepiej jeszcze w górze zaczęły sklepienia.

Nam wszystkim tak straszno się stało! — Jedna szlachta polska patrzy śmiałem okiem, oparta na szablach.

A papież w potrójnej koronie przykląkł na stopniach ołtarza i, jak posąg, niewzruszony klęczy.

Kardynał rzekł: »Wychodźcie wszyscy, i wy, i wy, i wy, i wy jeszcze, by żaden z was nie zginął pod gruzami tych murów!«

A ludy odrzekły zewsząd: »Prowadź nas Ty, któremuśmy się dzisiaj dostali w opiekę!«

I wzniósł się krzyk trwogi, bo coraz huczniej pękały sklepienia, bo wszędzie drzały kolumny i słupy, a lampy tłukły się w wietrze wielkim i gasły.

Wtedy kardynał: »Ojcze mój, czy tu się zostać chcesz?«

A starzec, rękę podnosząc i przytrzymując koronę, odparł głosem zbolałym: »Ja tu umrzeć chcę — zostaw mnie, synu!«

I lud wszystek usłyszał tę odpowiedź i krzyknął: »Uciekajmy!«

I pierwsi Rzymianie zaczęli się zrywać i uciekać.

I każden hufiec ruszył się z pod ołtarza swego z swoim sztandarem i jął uciekać.

Kardynał wtedy, przyklęknąwszy, raz ostatni złożył usta na czole starca i znak błogosławieństwa zostawił koło jego korony, gdyby wianek sinego światła w powietrzu, potem zstąpił i z przedziwną jasnością koło skroni szedł ku bramie kościoła. — Cały kościoł giął się w podrzutach, jak ciało umierające, ale on wzniesioną dłonią zatrzymywał rozdarte sklepienia nad ludem i patrzał, aż wyjdzie ostatni z ludu.

A przechodząc, rzekł do szlachty polskiej: »Ludzie, idźcie za mną!«

Nic nie odpowiedzieli.

On jeszcze głowę odwrócił i rzekł: »Idźcie za mną!«

Oni się nie ruszyli.

A gdy dochodził bramy, pędząc lud przed sobą, jako pasterz, raz ostatni jeszcze ręką skinął ku nim.

Lecz oni podnieśli tylko szable w górę, jakby na ich ostrzach wstrzymać chcieli spadające mury, i zawołali razem: »Nie opuścim starca tego. — Samemu gorzko jest umierać — a kto z nim umrze, jeśli nie my? Wy idźcie wszyscy — my nie umiemy uciekać!«

Kardynał zatrzymał się na samym progu i rzucił im zdaleka znak błogosławieństwa, wianek sinego światła także — i łzę miał tej chwili w oku, mówiąc: »Chwila jeszcze, a poginiecie!«

Lecz oni szli już wtedy ku wielkiemu ołtarzowi podać ręce klęczącemu i umierającemu — szli w białych płaszczach i w połysku szabel — a owe cztery kręcone filary ołtarza pękły, jak ścięte drzewa, i runęły — i baldakin spiżowy runął — i kopuła cała, jak zstępujący świat, biało spadała na ziemię.

I wszystkie portyki i pałac Watykanu i kolumny dziedzińca łamały się, rwały, w proch się sypiąc — i obie fontanny, jak dwa białe gołębie, przypadły do ziemi, konając, a lud uciekał coraz dalej, jak morze, wyparte z brzegów, i zdało mi się, że już ranek jest — że słońce dotąd nie wschodzi — i widzę tylko gwiazdę jutrzenki nad stosem gruzów tak wysokim, tak ogromnym, jako była niegdyś bazylika Piotra.

Wstępował na ten olbrzymi kopiec kardynał, a mnie się zdało, żem poszedł za nim, niesion Ducha potęgą.

A gdy on doszedł szczytu, zasiadł, gdyby na tronie, i spójrzał na świat — a wnet szaty purpurowe opadły mu z ciała i przemienił się w postać białą, łagodnem światłem osrebrzoną — i księga była w ręku jego — i schylił głowę ku jej kartkom i uważnie czytał.

A twarz jego była jakby przepojona miłości wyrazem, a pełna pokoju.

Zbliżyłem się zatem do niego i rzekłem właśnie

w chwili, gdy wschodziło słońce: »Panie, czy prawda, że ostatni raz wczoraj Chrystus narodził się w tym kościele, którego już dziś niema?«

A on z dziwnym uśmiechem, nie podnosząc ócz z nad księgi, odrzekł mi: »Odtąd Chrystus ani się rodzi ani umiera na ziemi, bo odtąd już na wieki wieków jest i będzie na ziemi!«

A ja, to słysząc, zbyłem trwogi wszelkiej i zapytałem się: »Panie, a ci, których przywiodłem wczoraj, czy na zawsze już leżą pod temi gruzami, wszyscy umarli koło umarłego starca?«

A ów biały święty odrzekł mi: »Nie trwóż się o nich! Za to, że wyrządzili mu ostatnią przysługę, Pan odwdzięczy im — bo zachodzący, tak jak wschodzący, umarli, tak jak żywi, są z Pana; — owszem, im lepiej będzie i synom synów ich«.

A gdym zrozumiał, ucieszyłem się i Duch mój się przebudził.

O TRÓJCY W BOGU

I O TRÓJCY W CZŁOWIEKU.*

* Uwagi o tym traktacie, pióra XX. Kajsiewicza i Semenenki, znajdują się w »objaśnieniach wydawcy«.

W stosunku do nas w tem Łaska boża, że nas Bóg stworzył, to jest, że nam bytu udzielił. W tem Rozum i Logika boża, że nas nie od razu doskonałymi i dopełnionymi stworzył, czyli skończonymi istotami, ale, owszem, nieskończonymi nas stworzył, bo od samego początku poczynającymi z możnością postępowego rozwijania się, przytem wolnymi, więc tem samem zmuszonymi zasługiwać się, to jest siebie samych dotwarzać, by rość ku Niemu. W tem nareście Miłość boża, że nas ostatecznie zbawi, czyli, że w miarę zasługi naszej bytu nam odmierzać będzie, czyli, co jedno jest, że nas opatrznie doprowadzi do żywota wiecznego, który jest niebiańską wszystkich władz naszych harmonią, dostrajającą się coraz wyżej, który jest postępem, nie przerwanym już śmiercią, który jest przemienianiem się następnem, coraz przedziwniejszem, duszy i ciała, przy wszelkiej świadomości i z własnej woli Ducha, do którego dusza ta i ciało należą.

Z łaski więc bożej osiągniemy byt, którego wyrazem w nas jest ciało.

Z Rozumu bożego osiągniem świadomość tego bytu, wiedzę jego niezbędnych warunków, praw i celu, czyli duszę; bo czemże dusza, jeśli nie myślą i wiedzą? A o czemże myśl myśli, jeśli nie o bycie?

Z miłości wreście bożej dojść mamy do najściślejszego pojednania się bytu z myślą, zmysłowości z idealnością, ciała z duszą, czyli stać się Duchami żywymi, nieśmiertelnymi, przeznaczonymi do Anielstwa i wszystkich innych przetworzeń się duchowych, w nieskończoności żywota, tu, i tam, i wszędzie.

Z tego trojakiego stosunku Boga do nas i naszego nawzajem do Boga — Trójca Święta wynika. Pierwsza Jej osoba odpowiada Wszechbytowi, którego przymiotem Wszechmoc. Druga — Wszechmyśli, której przymiotem Wszechświadomość czyli Wszechrozum. Trzecia — Wszechżyciu, czyli Wszechduchowi, którego przymiotem Wszechmiłość. Na obraz tej Trójcy bożej każden z nas jest także Trójcą każdochwilną, każdy z nas jest bytem, myślą, życiem, czyli Duchem współcześnie, a zarazem i przeto właśnie, że Duchem, jest osobistością całką, czyli Jaźnią, tąż samą i jedną! W Trójcy bożej osobą Łaski dla nas jest pierwsza osoba, Ojciec, Stworzyciel, później nazwan Jehową, który stwarza nas, bo stwarza — Łaską albowiem to, co danem dla niczego, tylko dla tego, że danem. Jest ona, bo jest. To samo o sobie sam wyrzekł Jehowa — to samo każden byt, który istnieje już, a nie pojął się jeszcze, wyrzecby musiał — więc gdyśmy Go nie pojmowali, tak do nas mówił Jehowa.

Osobą Rozumu dla nas, przyczynowatości i wynikliwości, nakazującą nam pracę i zasługę, czyli kształcenie się i postęp, jako drogę logiczną, konieczną, jedyną do niebios, to druga osoba, to Wszechwładność i Wszechmyśl boża, Słowo odwieczne (Logos), które, wcielone, nazywa się: Chrystus — i Chrystus też właśnie objawił rodowi ludzkiemu prawo wieczne zasługi i postępu na to, by ród ten mógł dojść do Anielstwa. Chrystus już nie tak, jak Jehowa, jest, bo jest tylko, bez wyrażenia żadnego powodu, żadnej przyczyny ni pochodzenia. Owszem, ród ciągnie z Ojca, a upadkiem ludzi spowodowan, na to, by ich wyzwolić, odkupić i zbawić, zstępuje w świat. Już tu objawia się powód, już tu logiczna konieczność, zasada wszelkiego rozumowania i wszelkiej filozofii.

Wreszcie osobą Miłości dla nas, spójnią żywą Łaski bez powodu z Rozumem, powód zawierającym, to Wszechżycie boże, kojarzące Wszechbyt z Wszechmyślą w Bogu, to trzecia osoba Trójcy bożej — Duch Święty. On w stosunku do nas wyraża najprzedziwniejsze zlanie się do harmonii Bytu, któryśmy dostali z Łaski,

i prawa postępu i zasługi, które nam Rozum boży przyniósł. — To zlanie się zaś harmonijne, oczewiście, że naszem jest objawieniem, bo kiedy byt otrzymany doskonale rządzim i ujmujem w prawo zasługi i postępu, cóż my osiągniem? Oto najwyższą harmonią, cel nasz ostateczny, żywot wieczny nasz, czyli uzupełnioną miłość Bożą ku nam i w nas. Zatem Duch Święty, wyrażający Wszechżycie w Bogu, dla nas wyraża Wszechmiłość i zbawienie. Oczewiście, że nie może inaczej, jak zarówno z dwóch poprzednich osób pochodzić — z Ojca i z Syna, z Wszechbytu i Wszechmyśli, z Jehowy i z Słowa, bo jest właśnie ich zlewem, ich przepajaniem się wiecznem, ich wzajemną jednią — zupełnie tak samo, jak w nas Duch nasz jest przepojeniem się bytu i myśli naszej, ciała i duszy naszej, tak samo, jak w nas żywot wieczny będzie przepojeniem się najwyższem Łaski, którą od Ojca wzięliśmy, i własnej zasługi naszej, której nam konieczność Syn wskazał.

Nie inaczej myślał o trzeciej osobie sobór nicejski, kiedy w wyznaniu wiary pod nią dopiero umieścił wszystkie nadziemskie nadzieje i anielskie następstwa ludzkości: uświęcenie ludzkich dusz, natchnienie proroków, jedność Kościoła powszechnego, zmartwychwstanie ciał, żywot wieczny i obcowanie świętych. — Chrystus też wyrzekł, że temu, kto bluźni przeciwko Duchowi Świętemu, odpuszczonem nie będzie, choćby bluźnierstwa przeciwko Ojcu i Synowi odpuszczono. Zatem w początku Łaska, a w końcu Miłość. Łaska tylko być może dla niebędących jeszcze. Miłość być tylko może dla będących już, ale jej godnych, ale na nią zasłużonych; pośrodku zaś i jako przejście konieczne od Łaski do Miłości, od Bytu pierwszego do najwyższego życia — Rozum. W stosunku do nas Rozum boży znaczy logikę żywota naszego, pracę, trud, zatem i cierpienie, i męczeństwo, słowem zasługę. I oczywiście, by stworzonych z Łaski przeprowadzić do godności Duchów niebiańskich, do Anielstwa, do żywota wiecznego, trzeba koniecznie było ich zasługi i stopniowego postępu, czyli trzeba było, żeby im jej

niezbędność Rozum boży objawił i nakazał, bo inaczej Łaska byłaby bezrozumna i Miłość wkońcu też ślepa, też bezrozumna, a zatem nie byłaby miłością żadną, tylko znowu Łaską. Więc nie byłoby żadnej odmiany ni rozwoju od pierwszej do ostatniej, żadnego przetworzenia, żadnego biegu życia, dziejów ni ludzkich, ni żadnych innych, wolnością swą poruszających się w czasie, byćby nie mogło. Na początku, w środku, w końcu tożsamość jedna, martwa, bezbarwna, nieskończona — jeden tylko stan, a jeśli go nazwiem Rajem, więc jeden Raj nieprzemienny, niewinny, ale głucho, nieżywo, zwierzęco niewinny — byt tylko sam bez rozbudzenia się myśli — ciało bez duszy. Przejście więc, a przytem rozdarcie i walka wewnętrzna, a stąd ból, a nawet i grzech, o którym święty Augustyn wyrzekł, że był »najszczęśliwszą winą« (felicissima culpa), nastąpić musiały. Tem rozdarciem, tą walką, tym bolem ozwało się życie, bo Bóg jest Bogiem nie martwych, ale żywych, pośrednikiem zatem w istocie w tem przejściu między Łaską a Miłością, Rajem a Niebem, czyli wiekami Jehowy a Ducha Świętego, między stanem bytu cielesnego a stanem pełni żywotnej, duchowej. Łącznikiem i usprawiedliwicielem ich obu musiał być Rozum boży, który, wcielony i objawiony w rodzie ludzkim, duszę i rozum ludzki obudził. Stąd Chrystus jest zbawcą, odkupicielem, pośrednikiem i, tylko przechodząc przez Niego, można dostąpić zbawienia. Jest prawdą, jest światłem słonecznem ziemi i w najwyższem znaczeniu drogą, jak sam wyrzekł o Sobie. Tą drogą tylko dostać się można do Miłości ostatecznej — a że w stosunku do nas ta droga jest trudem, cierpieniem, zasługą, zatem Chrystus musiał ją odbić, wyrazić, uczynnić, niejako upłaskorzeźbić życiem Swem i śmiercią Swoją. Wszystek trud i ból przejścia od Łaski do Miłości, od Raju, niepowrotnego już, do Nieba, nienadeszłego jeszcze, w Nim przedstawion i ukazan. Dla tego nie przechadzał się z pułkami anielskich Duchów po planecie tym, nie grzmiał w Majestacie potęgi bożej, ale zawsze działał po ludzku, podnosząc w sobie wszystkie ludzkie przymioty do

Boskości i takim sposobem doprowadzając naturę człowieczą w Sobie do zlewu harmonijnego z naturą bożą, niejako ułatwiając jej przykładem przejście do wyższych przeznaczeń, wykazując jej dowodnie, dobitnie, żywo, słowmi a najbardziej czynem, że powołaną jest do przebóstwienia się, skoro zgodzi się i przystanie w wolności swej do woli Boga. Dla tego nie zwycięstwem, ale przegraną ciągłą zwyciężał wszędzie — cierpliwością, umiarkowaniem, panowaniem sobie nieskończonem, łagodnością i tkliwością, a w pewnych razach stałością tak olbrzymią, że na gniew wyglądała święty, wszystkiemi sposoby, których skutek oddalony a niezawodny, a których ujęcie i przeprowadzenie zowie się mądrością, która nic nie opuszcza, która dźbła zbiera i z nich buduje piramidy, bo wie, że siła jej myśli wieczność przetrwa, gdyż myśl jej prawdą jest, a jej urzeczywiszczenie — dobrem, a kształt jej ostateczny niebieską pięknością. Nigdy inaczej nie działał, nigdy się nie spieszył, nawet na śmierć, nigdy dla ludzkiego oka nic nie czynił, jedno wszystko na zasianie ziarn swych w ludzką duszę, na to, by później w rzeczywisty kwiat wzrosły i owoc rzeczywisty przyniosły; nigdy, jak bohater, nie szukał ni wzywał niebezpieczeństwa, aż dopełnił posłannictwa Swego, aż to uwyraźnił, co miał uwyraźnić, uczynił, co miał uczynić; nawet unikał kilka razy schwytania i śmierci, na pokazanie ludziom, że i najwyższa ofiara, gdy nie dopełniona w chwili, w której istotnie jest najwyższą, z powodu, że uzupełnia i zaokrągla pełne działania życia, właśnie najwyższą nie jest i staje się tylko przełamanym, ale nie do Boga przez śmierć dociągniętym, żywotem. Życie Chrystusa jest Arcymistrzostwem życia. Nieskończenie łatwiej umrzeć podobnie, niż podobnie żyć, i dla tego też nikt po śmierci zaraz nie zmartwychwstaje i przemienionego, anielskiego ciała nie przybiera, bo zmartwychwstanie i przemienienie duchowe nie od śmierci, ale od życia zależą. On jeden tylko, bo żył ciągle, jak ofiara paląca się, i po takim żywocie bożym wśród ludzi skonał wśród Aniołów, po ludzku, krzyżowo. Wszędzie w Nim, w każdej Jego

chwili i czynie i słowie znać połączenie obu natur, przelewanie się ciągłe jednej w drugą — jednem słowem znać to przejście, o którem mówimy: przejście od cielesności do pełni ducha, czyli od natury ludzkiej do bożej. Lecz że wskazywał także i objawiał, do czego wiedzie ono przejście przez Rozumu drogę, że stawiał miłość ostateczną celem tej drogi, że ogłaszał żywot wieczny i niebiański za wynik jej konieczny, musiał też i wynik ten, czyli Niebo, wyrazić i uwydatnić w poczęciu się niepokalanem, w Transfiguracyi na Taborze, w Zmartwychwstaniu i Wniebowstąpieniu, w tych nadludzkich cudownościach a rzeczywistościach anielskich. Kiedyś wykaże się, i już w Nim objawionem jest, że prawem czyli przymiotem natury Ducha jest Cud, a raczej, że to, co my zwykliśmy nazywać Cudem, wprost i przyrodzono wynika z wykształcenia się Ducha, z podniesienia się jego, ale we wszelkiej rzeczywistości, ku Bogu. Podniesienie się zaś takowe zależy na wykryciu woli bożej — na to praca, na poznaniu jej — na to rozum, i na uznaniu jej i zlaniu własnej woli z nią — a na to wolność nasza. By Go pełniej ukochać, znać Go pełniej musimy, a poznawszy, odkrywszy, dorobiwszy się zasługą pracowitą Jego, ukochawszy Go zatem mocniej, bo wszystko, co z Niego odkryjem, coraz wyższą pięknością, mądrością i dobrem, musim wolną wolę naszą stosować do Jego Woli. Z Jego zaś woli Wszechmoc Jego płynie — o ile więc z cząstką tej woli się zlejem, o tyle udziału w tej Wszechmocy dostaniem. Im szerszy zakres, tem i udział większy. Udział takowy, do pewnej pełni doszły, zowiemy Cudem.

By pojąć, o ile można, czem Chrystus, trzeba, o ile można, pojąć, czem Bóg i czem druga osoba w Trójcy bożej. Bóg sam, w pełni swej uważan, jest Wszechduchem; we Wszechduchu wszystko się zawiera, co tylko jest, co tylko być może. Ponieważ wszystko, więc można o Nim powiedzieć, że nic takiego, czemby On nie był, ale że zarazem i odrazu jest wszystkiem, więc znów nic takiego, nad czemby i za czemby On nie był. Musi więc być Wszechrzeczą, musi być Wszechprawem jej,

musi być zarazem Wszechosobistością tej Wszechrzeczy i tego prawa, czyli ich jednością i życiem, a tem samem jakoby sercem wszystkich serc, duszą wszystkich dusz — ja środkowem wszystkich Jaźni. Wszechrzecz odpowiada Wszechbytowi, Wszechosobistość Wszechduchowi. Czemże będzie Wszechmyśl, ta druga osoba Trójcy bożej? Czemże w istocie Wszechmyśl w Bogu, jeśli nie wiedzą doskonałą Boga o Sobie, jeśli nie prawdą żywą Boga w stosunku do siebie — jeśli nie metodą, że tak się wyrażę, nie sposobem nie prawem, według którego Bóg się rządzi i żyje a więc wsze stworzenie się rządzić ma i żyć na podobieństwo Boga? Owóż, jeśli to prawo, ten sposób to pojęcie, które Bóg ma o Sobie i które samo jest Bogiem, jeśli to Słowo wiekuiste spłynie do ust ludzkich i przez nie drugim ludziom się objawi, a nie tylko spłynie do ust tych, ale zupełnie wcieli się w osobistość, kształty człowiecze noszącą — jeśli ta osobistość przeprowadzi to prawo przez wszystkie stosunki ziemskie, w żadnym szczególe żywota, ani w żadnym śmierci od niego nie odstępując, jeśli ta osobistość człowiecza, zawsze i wszędzie, w każdej chwili i zdarzeniu, pokucie i próbie, o godzinie tryumfu i o godzinie ucieczki, w każdem natchnieniu, w każdem słowie, w każdym przepisie danym, modlitwie przepisanej, przypowieści opowiedzianej, w każdym wydarzonym trafunku, w każdem działaniu, w każdym czynie dopełnionym, we wszystkich swych jakichbądź uczuciach, myślach, przywiązaniach i wstrętach, uniesieniach i powagach, odpowiedziach i zapytaniach, walkach i odpoczynkach, w każdej potocznej i każdej najważniejszej okoliczności, słowem we wszystkiem, cokolwiek głosiła i cokolwiek dopełniała, nie będzie nigdy czem innem, jedno tem prawem, tą Wszechmyślą, tą wieczną prawdą, tą drugą Osobą z Trójcy bożej, uwidomioną, przebywającą, żyjącą i umierającą na ziemi — jakżeż mianować oną osobistość ludzką i za cóż ją mieć?

Nie będzież że ona we wszelkiej prawdzie i rzeczywistości Bogiem, tym samym, co na Niebie, tylko, że nie na niebie, ale na ziemi? Nie będzież że ona

drugą Osobą bożą, weszłą w jaźń człowieka i jaźnią ludzką przyrosłą do drugiej osoby? — Jakżeżby tem być nie miała, kiedy tem, a nie czem innem właśnie jest — jest Bogiem, ale Bogiem śród warunków ludzkich, nie śród nieograniczoności boskiej, bo jest zarazem i człowiekiem. Bóg wcielon w człowieka, człowiek przebóstwion w Boga, jedno i drugie zarazem i w pełni, oto Chrystus, oto Bóg-człowiek! W istocie tylko druga Osoba Trójcy, to jest Wszechmyśl, czyli pojęcie, zrozumienie wszystkiego, mogło się tak wcielić i ukazać widomie na świecie. — Oczywiście, że ani Wszechbyt, którego przymiotem Wszechmoc, ani Wszechduch, który w każdej chwili wszechżyje, nigdzie nie ujętliwy, ni ogarnion, ni objęty, tego nie mogli.

Chrystus też nie stwarzał dróg mlecznych wkoło planety, stojąc na nim, ani też nie był jako tchnienie, jako napływ, jako wiew skądsiś, niewidomy, a uczuty tylko; rzeczywiście kształt i jaźń człowieka miał — we wszystkie więzy ciała ludzkiego się wwięził. Widzieli Go i dotykali się Jego, słyszeli Go własnemi uszyma, przytrzymali rękoma, żelaznemi gwoździami, istnie żelaznemi, ramiona Jego, istnie ludzkie, przybili do krzyża. — Druga tylko Osoba, której przymiotem zrozumienie wszystkiego, tak wcielić się mogła i ukazać — bo Wszechmyśl, choć do pewnego miejsca przywiązana, w danej chwili może wszechmyślić i prawdę znać.

Wszechidealność, czyli Wszechmożność wszystkiego,ta tylko osoba z trzech Osób Trójcy zdoła zstąpić w człowieka i człowiekiem być. — Chrystus był nią uczłowieczoną — nią, żyjącą na ziemi — nią, która wszędzie jest prawdą, tak w Bogu, jak w światach wszystkich, a zatem wszędzie Bogiem. Tym sposobem w Chrystusie stało się na wieki połączenie natury Wszechducha niestworzonego i Ducha stworzonego. Choć wniebowstąpił, nie odrzucił on, według Kościoła, ciała człowieczego, nieskazitelnego, które tu po zmartwychwstaniu był przybrał. W tem znak, że na wieki wieków łączy Sobą i w Sobie obie natury: nieskończoną i skończoną, boską i człowieczą. Słowo: człowiek,

w ogólnem znaczeniu tyle znaczy, co Duch stworzony, doszły do pewnej miary, do pewnej pełni w poznaniu Wszechducha i siebie — pod to znaczenie podciągnięte być mogą wszystkie dalsze stopnie duchowe, od nas ku Bogu idące — Anieli, Archanieli itd., itd., są to tylko rozwoje i przemienienia następne ludzkości — możnaby więc powiedzieć, że wszystko dalsze jest zawsze człowiekiem, tylko, że następnie wniebowstępującym. Otóż Chrystus na wieki pozostaje zarazem Bogiem i owym człowiekiem wniebowstępującym.

On na wieki łącznią obu natur i pierwowzorem tej łączni, owego wniebowstępującego człowieczeństwa.

Zaprawdę On zawsze na prawicy Ojca — lecz być na prawicy Ojca, to nie siedzieć w niewzruszoności — jeszcze raz: to ciągle wyżej wstępować i ciągnąć za sobą wszystkie Duchy i światy, by wniebowstępowały wraz. I czyż to właśnie nie jest wiekuistą Wszechmyślą Boga o Wszechświecie, o Wszechbycie, by wszystko, co z Niego, szło ku Niemu, a idąc, coraz bardziej nabierało samoistności i Jaźni, coraz bardziej zarazem i było sobą i było w Nim? — Któż taką możność wymyślił tym, których nie było jeszcze, nim stworzeni są? — Czyż nie Bóg? — a to wymyślenie, a ta myśl, to prawo, według którego to się stać może to właśnie w Bogu druga Osoba, a ta druga Osoba, wcielona w ludzką naturę, to Chrystus.

Na czemże więc to prawo wiekuiste, jedno i toż samo we Wszechduchu i we wszystkich duchach stworzonych, prawo wszechżycia i życia zależy? — Oto na udzielaniu ciągłem siebie drugim. Osoby Trójcy udzielają się sobie wiecznie nawzajem. Bóg wszystek udzielił się i udziela wciąż czemuś drugiemu, czyli stworzył i wciąż stwarza świat — stwarzać albowiem, to udzielać się czemuś, co nie jest, ale co będzie, kiedy mu się udzielę; każden czyn nie czem innem. W świecie stworzonym wszystko trwa, rozwija się, żyje wnętrzną mocą tego samego prawa. Nieustannie w tem, co »martwą naturą« dotąd zowiemy, cząsteczki ciał jednych udzielają się drugim, a na tym powszechnym przelewie zasadzon wzrost każdego ciała z osobna.

W Ludzkości stan społeczny, którego uświęcenie i wywyższenie celem Ludzkości, stan społeczny, mówię, jest właśnie tem udzielaniem się sobie duchów ludzkich nawzajem. Wszędzie i zawsze kto daje, ten odbiera — kto kocha, ten wzmaga się — kto z siebie się wylewa, czyli stwarza coś na zewnątrz, ten w tej samej chwili wyżej stwarzany sam. — Im Duchy wyższe, tem widoczniejsze działanie tego prawa w nich, tem wyraźniej, prędzej, dotkliwiej życie w nich wykwita za jego dopełnieniem, i to słuszna; bo tem tylko wyższe one, że od dawniejszego czasu go dopełniać zaczęły. — W niższych zaś okręgach udzielanie się bywa często cierpieniem, a najwyższe udzielenie się nazywa się poświęceniem, ofiarą, wreście i śmiercią. Udzielić się drugim na ziemi, to na pozór umniejszyć się, ubyć, osłabnąć, utracić coś z siebie, zniknąć nawet zupełnie — ale to złudzeniem tylko. Ta znikomość sama znikomą jest, bo w istocie tym tylko sposobem Duch żywy rośnie i nieskończeni się. Chrystus wyraził to owemi słowami: »Kto postrada duszę, ten tylko ją odnajdzie.«

Bóg przecież udzielił się światu, przelał się weń i wciąż tak czyni — a ubyłoż Boga? a osłabnąłże? — Gdyby osłabnął, gdyby się umniejszył, nie mógłby wciąż powtarzać tego samego, to jest wciąż stwarzać i wciąż już stworzone utrzymywać przy życiu. Owszem — prawdziwą naturą Ducha, im więcej stwarza, twórczejszym być. On każdym czynem swym silnieje, przez to, co wyda z siebie, mnoży się sam — tem, nie czem innem, nieskończoność jego. — Wypowiedział zatem Chrystus prawo Wszechducha i Wszechżywota, czyli Wszechmyśl Boga — a będąc zarazem nią samą, uczynił ją na ziemi tak, jak na ziemi najwyżej i najpełniej uczynić ją tylko można — udzielił się najprzedniejszem ludzkiem udzieleniem się, bo przelał się w ludzkość najpracowitszym żywotem i najboleśniejszą śmiercią! Ale też wnet ukazała się prawda prawa, które jest życiem prawem — bo zmartwychwstał widomie i widomie wniebowziętym jest.

Otóż, jako roślina przez światło koniecznie przejść

musi, by wyróść i dostąpić kwiatu, tak samo koniecznie i każden człowiek i ludzkość zbiorowa, cała, przejść musi przez Chrystusa prawo i uczynić je w sobie, by dostąpić zbawienia.

Zbawieniem zaś dla człowieka każdego jest żywot wieczny, stan anielski w wyższym świecie, niż dzisiejsza ziemia — dla ludzkości jest Królestwo boże na ziemi, czyli stan chrystusowego uspołecznienia.

Bez tej ludzkości na ziemi, nie przeszedłszy przez ono Królestwo tu, żaden Duch na ziemi nie dostanie się do żywota wiecznego. Bo czemże ludzkość, tak ukrólestwiona? Oto stanem zbiorowym wszystkich pojedyńczych ludzi, dowodzącym, że już dojrzeli na Aniołów. — Każdy więc przez Chrystusa nieodzownie przejść musi. Kto odrazu przezeń nie przejdzie, to jest nie uczynni jego w sobie, nie stanie się, jak on był, onem prawem żywem na ziemi — a któż od razu podoła? — ten musi tego warunku dopełnić gdziebądź i jakbądź — może kilkokrotną śmiercią i kilkokrotnym nawrotem do żywota na ziemi — może stanami pośmiertnemi, przegradzającemi żywot ziemski czy od innych ziemskich, czy też od wiecznego; stanami, nie wytłómaczonemi nam należycie dotąd. Kościół w przeczuciu swem takowe stany Czyścem nazywa. Może oboma tymi sposoby każdy będzie musiał przed sądem ostatecznym tego planety dorabiać się swojej, że tak powiem, Chrystusowości. Stan zaraz następujący musi być odwrotnicą zupełną stanu przed śmiercią, to jest życia na płanecie, w promieniach słońca. Musi tam być coś księżycowego. Noc miesięczna zwykle nas wprowadza w dziwną tęsknotę do umarłych i sami w jej świetle wyglądamy na błądzące i wpół tylko żyjące istoty — na sny jakieś o nas samych.

Oczywiście stan pośmiertny, wiodący od jednego życia ku drugiemu, czy to ku powtórnemu ziemskiemu, czy też już ku wiecznemu, w którem to wiecznem śmierci nie będzie, a nastaną ciała nieskazitelne, coraz wyżej przemienialne, nie może na żaden sposób, przejściem będąc między dwoma żywotami, być tym samym stanem, co stan żywota.

Musi to być pośredni, połowiczny, niedopełniony stan. Wszelkie albowiem przejście jest rozdarciem, rozstrojem, w pewnem znaczeniu oderwaniem, abstrakcyą, jest niejako wiedzą i myślą rzeczywistości, do której dąży się, a zarazem niemocą jej dopełnienia. Zatem jest niejako myślą, oderwaną od bytu, prawem, oderwanem od tego, czego jest prawem, choć nigdy zupełnego takiego oderwania być nie może i niema, jedno w przybliżeniu i przez porównanie — powstanie stąd coś żałośnego i błądzącego, coś szukającego ciągle, a nie mogącego nic znaleźć, nic urzeczywiścić. Nieopisana tęsknota, rzewność nieskończona, a przytem czczość i nuda, i smutek powinny się tu objawić — może przytem, jako odpoczynek i wytchnienie, sen, w którym marzeń wiele, owłada nieraz owymi błąkającymi się. To pewna, że z tej strony grobu widomim się ciałami, że byt nasz pierwszy uderza w oczy; z tamtej więc, podczas onego przejścia między jednym a drugim żywotem, musi się przeciwnie dziać: nie byt nasz z nas się wychyla naprzód i wyraźni, ale przeważa dusza nieuwyraźniona, albo raczej słabo tylko uwyraźniona, czyli, że kierunek myśli musi wtedy brać górę nad kierunkiem bytu w nas i, z tym bytem nie składając harmonijnego, pełnego Ducha, przemieniać naszą istotę w coś niezmiernie wątłego na czas i cierpiącego dotkliwie. Wszelka tam twórczość, wszelki czyn albo niepodobny, albo nieskończenie trudny.

Chęci tylko tam są, żądania tylko, wspomnienia tylko, skruchy, łzy, zgryzoty, wyrzuty, nadzieje, błędne przeczucia, wszystko, co tylko urodzić się może w duszy, ale nie przejść w ciało i rzeczywistość. Stąd wynika, że trudnem musi być dla umarłych całkowite przystąpienie do nas i zupełne uwidomienie się przed nami — dla tego najczęściej tylko wpływami na naszą duszę niedobitnie, błędnie znać o sobie dają — lub w snach się nam ukazują.

Sen albowiem jest stanem, zbliżającym nas do nich — ciało nasze obumiera, wola gaśnie, czynu wszelkiego możność nam odjęta.

Myśl tylko myśli i, biernie z czuciem połączona, marzy o rzeczywistości; połowyśmy siebie samych — duszami, od ciał odstałemi. Wtedy przychodzą do nas owe połowy pośmiertne Duchów, niegdyś nam znanych — przychodzą, lub my do nich idziem. — Sen, którego najwyższym wykwitem magnetyczny stan jasnowidzenia, dotąd grubą okryty zasłoną — ale niezawodnie jest on obrazem na ziemi ubytku w nas bytu po śmierci, jest widmem zagrobowej widmowości, odwiedzającem nas za życia. — Magnetyzm, czyli objaw stanu duszy, oderwanej od ciała, a do najwyższej potęgi swej doszłej w takiem oderwaniu, jest za dni naszych rozpoczynającą się nauką, która rozświeci nam świat umarłych. Kierunek każden oderwany, choć nie jest pełnem życiem ni Duchem, jednak posiada pewną potęgę charakterystyczną, sobie tylko właściwą — wyraża niejako w przesadzie i nadużyciu prawdę swoją wieczną i dlatego czasem, tak ją odbijając, olbrzymie wywiera wrażenie. Któż naprzykład kierunkowi bytu, oderwanemu od myśli, w świecie, który zowiem materyalnym, zaprzeczy potęgi?

Czyż w hukach grzmotu, czyż w gwałtach burzy, czyż w majestacie mórz, czyż w skrzącym wzroku orła, czyż w gibkości ruchów tygrysich, czyż w locie pędzącego konia niema elementarnej potęgi, która wszelką ludzką pod tym samym względem przemaga? W przeciwnym więc kierunku, w myśli, oderwanej od bytu, musi także właściwa temu kierunkowi znajdować się moc — ta moc nie wystąpi czynnie, na zewnątrz, jak w królestwie ciał, w naturze — ale biernie objawi się wewnątrz, bo myśl jest wnętrzem, a sen, magnetyzm i śmierć należą do Królestwa dusz. — Nic uczynić, ale wszystko sobie wyobrazić, wszystko myśleć myśl zdoła. — Świat zewnętrzny wrażenie na nią wywrze silniejsze, kiedy mniej bytu, zrosłego z nią, bo ona oddziaływać nie może nań, tylko go czuć i przyjmować go w siebie. — Stąd mar i obrazów snujących się nieskończona moc i tych wnętrznych obrazów nieskończony blask lub też piekielny koloryt. Jak przestrzeń

cała obrazowo przesunąć się może przed nią, tak i czas wszystek z wiekami swojemi — i wydaje się jej wtedy, że przez tysiące tysięcy lat cierpi, a że znowu jednak nigdy całkowitego oderwania niema, bo to byłoby nicością, że nigdy myśli bez pewnego bytu, duszy bez pewnego ciała niema, jedno to ciało niezmiernie błahem być może; oczywista, że ono ciało podzieli niejako losy przeważającej duszy, wielkiej może szybkości, lotności, przenikliwości dostanie, jednak przy tem zawsze uczuje się marnem, niezdolnem do żadnej pracy ni czynu, uczuje, że nie jest pełnią żywą i całą. Mniej więcej wszystko to już się nam przydarza w śnie i jasnowidzeniu magnetycznem. To jasnowidzenie kiedyś ściślej nas połączy z umarłymi, da nam wiedzę pełną o nich i ułatwi nam sposób przyniesienia im ulgi, pociechy, pomocy. Niezawodnie oni jej potrzebują, bo, zawieszeni między dwoma rzeczywistościami, jedną rozpamiętywują, a spodziewają się drugiej. Żałują za winy przeszłe, których jasne poznanie mają, lecz nie mogą ich zetrzeć. Sposobią się do przyszłego żywota powzięciem zamiarów lepszych, ale tych znów nie mogą urzeczywiszczać. Więc są, jakby nie byli. Będąc, czują, że nie są. Dość w nich bytu na uczucie — nie dość na działanie i tworzenie. Kto wie, czy się mogą oprzeć rozmaitym siłom natury, owidnokrążniającym ich? czy elektryczne prądy, czy wichrów rozpasanych wiew nie porywa tu i owdzie ich kształtów słabiuchnych? I tak miotani, myśleć tylko mogą i wzdychać, nic więcej! O, szczęśliwe Duchy innych Ludzkości, które już oblokły szaty żywota wiecznego w szechświecie!... którym już nie potrzeba kłaść się do kolebek i kłaść się do trumien, ani między ostatnią trumną a następną kolebką przemyśliwać w trosce, w mdłościach, w bezsile! U nich, dosłużonych i dokształconych już, przedziwna jednia i myśli i bytu, wyborny nastrój całości. Z tej harmonii wieczna twórczość, wieczny czyn wypływa, i to przyczyną, że śmierć od nich odpadła, że nie jest już im koniecznością każde wyższe stanowisko, do którego podnieść się mają, długo przedmyśliwać w sobie — ni też niższe, opuszczone, żalem odpoku-

towywać. I namby śmierci nie było, gdybyśmy tego nie potrzebowali. Stan umarłych jest stanem ciągłego namysłu, rozważaniem czynu przeszłego i kartowaniem czynu następnego. Musi zatem niezawodnie wyrób jakiś rzeczywisty, wyrób, który zdać się ma ich Duchowi później, odbywać się w tym pośmiertnym pół-żywocie. Urodzą się na nowo w taki sposób, z takiemi zdolnościami, jakie przemyślali, przepłakali, przewestchnęli, przemodlili, przenadziejowali lub przeodpokutowali w sobie przez ten czas czyścowy. Ale dopiero się wtedy urodzą, gdy nabędą siły do urzeczywistnienia tych myśli, do przetworzenia ich we władze i zmysły, które są kształtami żywotnego wcielenia. My, żyjący, zapewnie im do tego pomódz możemy. Energia żywotna nasza zapewnie skutecznie działać może na nich, jej pozbawionych, bo życia prawem, że się udzielać musi, chce, może. Tu wykazuje się, jak dalece wyższe pojęcie katolickie od protestanckiego, kiedy zaleca modlić się za umarłych, czyli wpływać na nich. Kościół w pogrzebowych modłach zawsze prosi dla nich *requiem aeternam;* zdaje mi się, że powinienby prosić tylko o *requiem* do czasu, bo właśnie spokój, jakoby sen poważny a miły, w świecie dusz, w świecie umarłych, błogim byłby do życzenia stanem. Kiedy zaś prosi się Boga o wiecznego coś dla kogo, to należy tylko o żywot prosić wieczny — o *vitam aeternam*, a to nie spokój i nie sen — to coś zupełnie różnego i nieskończenie wyższego, piękniejszego, lepszego! Ale do tego dojść tylko można razem, razem z wszystkimi żyjącymi i z wszystkimi umarłymi. Dzień pierwszy tego żywota — to dzień sądu z wszystkich sądów historyi ostatniego, dzień ostatni planety. Kościół wie o tem dobrze, bo sam twierdzi, że dopiero na dniu onym ciała nieskazitelne, chrystusowemu ciału wniebowziętemu podobne, obloką żywych i umarłych. Niepojętna więc, czemu tak często miesza jedno z drugiem, nad trumnami tych, co odeszli nie do świata jeszcze przeanieleń, ale dopiero do świata dusz. Bądź co bądź, módlmy się z Kościołem! O, módlmy się za nich! o, mówmy do nich! o, pamiętajmy o nich! I my kiedyś pójdziem, kędy oni dziś.

Ale gdzież się te ich smętne odbywają koleje? gdzież? bo jużci myśli zupełnie oderwanej od bytu niemasz i być nie zdoła, jakkolwiek kierunek bytu, zwątlon i umniejszon, trwa jednak i bytuje w umarłych. Zatem miejsca im potrzeba innego, niż nam, ależ miejsca zawsze. Czy nie w atmosferze planety lub czy nie na satellicie planety, na tym księżycu o posępnych a tkliwych promieniach, mieszkanie ich do czasu? dom ich, krążący dokoła domu, w którym ród ludzki obraca się koło słońca? dom ich, jak oni, wpółżywy, blady, magnetyczny? Przyjdzie chwila, w której to się wyjawi i odkryje, bo wszystek związek i zgodność wszystka między prawem, wyrzeczonem przez Chrystusa, a naturą, czyli bytem istotnym Wszechrzeczy, stanie się nam pojętną jasnością, odtajemniczoną prawdą, jakoby matematyczną pewnią. Będzie to właśnie uznana zgoda między Wszechmyślą i Wszechbytem, i to uznanie stanowić tem samem będzie dzień Ducha św., dzień pocieszyciela owego, który ma uwielbić Chrystusa. A czemże Chrystus uwielbion być może, jeśli nie pojęciem zupełnem światła przez ciemności, słowa, które było Nim, przez ludzi, i utworzeniem przez to pojęcie nowego świata ludzkości, Królestwa bożego, które wszystkie stosunki, dotychczasowo niechrystusowe, między ludźmi uchrystusuje i tem samem zbliżać będzie Duchom wszystkim dzień najwyższego ich rozwoju, a po dniu onym następny, żywota wiecznego? Chrystus nic nie dowodził, nie przeprowadzał wiary przez wszystkie okręgi nauki i kształtów społecznych. Jest w Nim moc wyższa nad wszystkie dowody. Jest ciągła twórczość boskich czynów — Bóg siebie inaczej nie dowodzi, jedno stwarzając wyborne i żywe dzieła. Pracy ludzkiej pozostawionem zostało wykazać dobitnie, dowieść sobie samej w całej naturze, we wszystkich dziedzinach życia i śmierci, we wszystkich okręgach umysłu i we wszystkich społeczeństwach konieczności prawa chrystusowego. Będzie to niejako objawieniem objawienia. Wtedy wytłómaczonym Chrystus zostanie; nie już ślepa wiara, ale wiedza jasna będzie go wiedzieć, a tak go wiedząc, wykona. I to będzie właśnie wylewem na ludzkość

Ducha św., który ułatwi wiekom przez zrozumienie dopełnienie Chrystusa, czyli przejście przezeń na ziemi na to, by do nadziemskich dostać się okręgów.

Uwaga. Kiedy się mówi o Trójcy bożej, nie należy zapominać, że w każdej z jej Osób obie pozostałe się znajdują: we Wszechbycie — Wszechmyśl, a zatem i Wszechżycie, we Wszechżyciu — Wszechbyt i Wszechmyśl; stąd ich wieczna spółczesność, stąd ich doskonała równość, stąd nie trzy Bogi z nich, tylko jedna wola we trzech osobach i jeden Bóg! W istocie, jakżeż jedną w oderwaniu od drugiej pomyśleć? — zupełnie niepodobna. Wszechbyt bez Wszechmyśli byłby chyba kamieniem, a skoro z Wszechmyślą, wnet z nich wynika i Wszechżycie. Wszechmyśl bez Wszechbytu byłaby chyba czczą abstrakcyą, czemściś, co niczem. Wszechżycie bez tamtych dwóch także niczem, bo ono właśnie z nich wypływa, będąc ich łącznią i zlewem. Ono ma je w sobie i samo o tyle sobą jest, o ile je ma. Zupełna więc równość tych osób i wieczne zachodzenie jednych na drugie. Dopiero ich oderwanie się od siebie i występywanie osobno zdarza się w historyi, odbywającej się w czasie. Wtedy już w stosunku do dziejów świata niejednocześnie w świat wstępują. Jest wiek, w którym Jehowa, jest drugi w którym Chrystus, jest trzeci, w którym zupełne zlanie się pierwszego z drugim, czyli Duch Ś-ty bardziej się objawia. Ale to zawsze jedna wola i jeden Bóg.

W trójcy ludzkiej, pojedyńczej, każdego z nas, podobnież nie jednocześnie i nie równo każda z osób jej, a zatem i ta jedna wola, i ten jeden Duch się objawia. Owszem, bywa walka i rozdarcie między nimi. By dostąpić do Ducha, trzeba rodowi ludzkiemu przez tysiączne i straszne przechodzić koleje, a jak jemu, tak i każdemu ze składających go osobników. Byt czyli ciało kłóci się w piersiach naszych z myślą czyli Duszą; Duch, długo uspion, niedokształcon, choć wciąż się przez tę walkę kształci, podobny do akordu, który musi z tych dwóch nut powstać, a nie może. Jednak i w trójcy ludzkiej nigdy i nigdzie ciała bez duszy,

lub duszy bez ciała, lub duszy i ciała, któreby zupełnie nie kształciły już Jaźni osobistej, czyli Ducha, niemasz. W naturze jeszcze bardziej oderwane i oddzielone od siebie, tej Trójcy, osobne kierunki — Ducha, choć on wszędzie wszystkiego podstawą, prawie nie znać. Wszystko się przedstawia pod postacią Wszechbytu, z przewagą Wszechbytu, jakby przyduszone Wszechbytu ciężarem, a Wszechmyśl i Wszechduch jakby w letargu: w człowieku zaś wszystko się przedstawiało pod postacią Wszechbytu i Wszechmyśli, walczących z sobą i rozdzierających się nawzajem, a Wszechduch tylko był jakoby utajony, jakoby w letargu. Jednak i w naturze nigdzie Bytu czystego, oderwanego zupełnie, pozbawionego myśli i życia, nie spotkać, bo taka abstrakcya istnieć nie może. Byłaby śmiercią istotną, a widzim, czujem i myślimy, że wszystko żyje. Najgłuchszy, najślepszy, najmartwszy kamień ma w sobie siły idealne (gdyby tylko siłę ciężkości, czyli atrakcyi) i wielkiego organizmu żywego planety jest cząstką. A dąży do tego, by stać się po wielu przetworzeniach Duchem i życiem. Myśl tylko i życie w nim przedstawione pod wyłączną postacią Bytu. Taki stan właśnie pierwszym początkiem stworzeń, pierwszym szczeblem ich, ale już zawierającym możności wszystkie dalszego rozwoju. Bo jużciż wszystko Duchem i żywotem, jedno w rozmaitych stopniach i kształtach. Możnaby powiedzieć nawet, że tylko Duch, tylko Duch jeden jest, a że byt i myśl, to wewnątrz niego rozdzielające się dwa kierunki, z których on sam się składa, wciąż się na nie rozkładając. Możnaby przyrównać te dwa kierunki do oddechu. Wyziewanie byłoby Bytem, wziewanie Myślą, a Duch, to owa pierś jedna, co oddycha podwójnym kierunkiem. Te dwa kierunki w Bogu są zarazem Trójcą i najabsolutniejszą jednią, w człowieku są one rozdzielone i przeciwpostawione sobie, ale na to, by się wypróbować w walce i przez walkę powrócić do siebie samych, to jest do Ducha. W naturze nie tylko rozdzielone, ale utajone, przeciążone przewagą jednego tylko kierunku, t. j. bytu początkowego, który jeszcze się nie pojął sam,

więc myśli nie rozbudził w sobie. Lecz, jak z świata natury wyrasta Jaźń człowieka, tak z świata Ludzkości wyrasta Jaźń anielska, dalszych, wyższych Duchów ród, a rody te coraz wyżej wracają ku Bogu. Zatem wszędzie ta sama Trójca i jeden Duch!

Oczywiście, że nie jedna osoba, oderwana z Trójcy bożej, ale wszystkie trzy razem, czyli Bóg sam, Duch boży wszystek, świat stworzył. Pisma słowa są: »I Duch boży unosił się nad wodami«. Tylko w stosunku do nas, stworzonych i zaczynających stąpać po drodze historyi, ukazał się Bóg nasamprzód pod postacią pierwszej z osób Trójcy Swej, t. j. pod postacią Wszechbytu (Ojciec, Jehowa, ten który jest, bo jest); inaczej być nie mogło, bo cóż same duchy ludzkie stworzone nasamprzód w sobie poczuły, czyż nie nadany im byt? Zatem odniosły go do źródła wszelkiego bytu, do Wszechbytu, do pierwszej osoby. Takim sposobem koniecznie w stosunku do stworzenia drugą Osobą Trójcy musiała wystąpić Wszechmyśl, czyli Słowo (Logos), bo w istocie, wziąwszy Wszechbyt za pierwszą Osobę, Wszechmyśl z niego się rodzi, jak syn, koniecznie jak syn z ojca, bo nad czemżeby myślała myśl, gdyby nie nad tem, co ją uprzedza — nad bytem? coby wiedzieć i rozumieć mogła, gdyby nie to, co przed nią istnieje, co właśnie jej danem do wiedzenia i rozumienia, t. j. Byt? Wreście obu tych poprzednich osób wzajemne zlanie się, to jest Wszechduch, czyli Duch Św., ma się objawić stworzonym, skoro sami dojdą do pojednania w sobie bytu swego z myślą swą, ciała z duszą i dlatego już ta trzecia osoba nie rodzi się z syna, jak syn z ojca, ale zarówno pochodzi z Ojca i z Syna, z Wszechbytu i Wszechmyśli, będąc właśnie ich przepojeniem się, czyli Miłością wzajemną. Takim sposobem w końcu zawraca się znowu do tego, co było na początku, w tych słowach: »I Duch boży unosił się nad wodami«. To słowo miga tylko i wraz, jak błyskawica, przepada na wstępie pierwszym »Genesis«, ale też, jak błyskawica z Wieczności, rozświeca wszystkie tonie czasu. Dla nas, stworzeń postępowych, zatem podnoszących się z trudem i powoli, dla nas, nie

obejmujących wszystkiego odrazu, jedno następnie przesuwających się piętrami dziejów i kategoryami wyobrażeń, Wszechduch ukazał się nasamprzód Wszechbytem, powtóre objawił się Wszechmyślą i tą drugą osobą swą wcielił się w Chrystusa; dopiero po tych dwóch koniecznych rozwojach ma znów Wszechduchem się wyjawić przed nami. Lecz dla siebie samego on był zawsze sobą samym, Bogiem jednym, całym, Duchem przenajświętszym, tym samym, który na początku początków świata »unosił się nad wodami«.

Naturą Wszechducha jest zawierać w sobie Wszechbyt i Wszechmyśl, wiecznie wyłaniać, wyradzać je w sobie i z siebie, z nich się składać i na nie się rozkładać i znów składać się z nich. My z Boga tylko znamy Wszechbyt, tylko znamy Wszechmyśl, ale Wszechducha, którego one są kierunkami, czyli osobami dwoma, nie znamy. Wszechbyt i Wszechmyśl po świecie rozlały byt i myśl — tem samem stworzyły świat i wciąż go stwarzają. Wszechbyt przez proroków się objawiał pod nazwiskiem Jehowy, Wszechmyśl się objawiła, w Bogu-człowieku, w Chrystusie, ale Wszechduch dotąd się nie objawił, jedno przez te objawienia, które są tylko jego kierunków objawieniami, a zarazem możnaby powiedzieć, że co chwila się objawia, bo świat i my dziełem jego jesteśmy, bo w bycie każdym drga jego Wszechbyt, bo w myśli każdej drga Wszechmyśl jego, bo w życiu wszelkiem drga jego Wszechżycie.

On właśnie jest Boga osobistością tą, która wiecznie za światem pozostała, tą, która wiecznie stwarza wszystko, co tylko stwarza się, tą, której myślą nie pojmiem, bo myślą tylko myśl pojąć można, której czuciem samem nie uczujem, bo czuciem tylko byt uczuć można, ale w którą wżyć się, wstworzyć się sami musim, bo we Wszechżycie tylko wżyć się można. Wżyć zaś, wstworzyć się w co, nazywam przez czyny, które są naszymi tworami (kreacyami), łączyć się z Czynem! Czyn jest znakiem, wynikiem życia. Życie objawia się przez czyn. Najwyższego życia czynem jest czyn najwyższy czyli stworzenie świata. Z tem najwyższem życiem my tylko analogicznym czynem łączyć

się możemy, tylko tworząc, czyli czyniąc wciąż, a gdy nasze twory czyli czyny dochodzić będą pewnego stopnia pełni, gdy w przybliżeniu jakiemśkolwiek staną się na podobieństwo czynu najwyższego, czynu bożego, czyli w nich będzie harmonia bytu i myśli, czucia i rozumu, kiedy, tak tworząc i czyniąc, sami staniem się Duchami żywymi, wtedy stworzym w sobie tem samem pełne obcowanie z Duchem bożym, czyli dostaniem się do stosunku dotkliwego, rzeczywistego, cochwilnego, z Wszechduchem; zarazem uczujem go w pełni, pojmiem go w pełni i wraz z nim, to jest z wolą jego, w jedni, czynić będziem. Kiedy mówię »w pełni«, zawsze rozumiem: w pełni przybliżonej, bo to tylko pełnią w porównaniu ze stanem naszym dzisiejszym, zawsze zaś ta pełnia będzie niedomiarą w porównaniu z wyższym stanem, z wyższą pełnią, ku której kierować się będziem, nieustannie rosnąc w Bogu, ale nigdy Go nie dorastając, bo On, jako Wszechduch i Wszechżycie, wiecznie, co tylko jest i być może, przerasta i oblewa wkoło sam!

Dotąd nie pojmujem dobrze znaczenia słowa »stwarzać«. Twórczość jest koniecznym wynikiem i przymiotem natury Ducha. Kto Duchem, ten tworzy i w istocie z niczego, bo tylko z siebie, a z siebie tworząc, mnoży się i silnieje sam. Już dziś my, słabi i nikczemni, na tej ziemi stwarzamy coś: oto postanowienia nasze, z których czyny nasze wypływają; prawdziwymi stworzycielami jesteśmy tych postanowień, które zgadzają się, albo też nie zgadzają się z prawem bożem, z wolą bożą. Tem samem, żeśmy wolni w woli naszej, w okręgu woli tej stwarzamy sami z siebie coś takiego, czego nie było przed nami, czegoby bez nas być nie mogło. Światy złego moralnego w taki sposób stwarzane bywały i bywają dotąd, ale to ujemne stwarzanie — to krzywa twórczość, to wszechmoc, że tak powiem: działająca w Nicość, zatem Bezmoc raczej. Kiedyś my inne światy, światy dobra i piękna stwarzać będziemy i to będzie naszym najwyższym stosunkiem do Boga. Jak On nas stworzył z niczego, to jest wylał z Siebie, tak my znów doszli do pewnego stopnia Duchowości żywej, wylewać Jego

prawo będziem z siebie i niem urządzać i stroić zewnętrzną naturę, na nowe lutnie, że tak się wyrażę, naciągać dawne życia struny. Według Jego woli świętej, z naszą zrosłej, będziem snuć z siebie samych następne dzieje żywota naszego wiecznego i wszystkie zewnętrzne kształty nasze, a tych naszych kształtów przeciągnieniem i zwierzchnią obwijką będą światy Wszechświata. My będziem ich wewnętrznemi żywotami, ich bijącemi sercami. One naszemi czynami, one szatami Boga, tkanemi przez nas, a im lepiej i głębiej Go poznamy przez ten czyn i twórczość tę naszą, tem On jeszcze się nam bardziej odkryje pięknym, mądrym, nieskończonym, zatem jeszcze dalszym, choć już będziem dotkliwie w Nim, jeszcze bardziej niedosiągniętym, choć co chwila dosiąganym, zatem wiecznie trwającym w stosunku do nas Ideałem, pomimo, że i rozwitą w koło nas rzeczywistością, zatem nieustawającą żądzą naszą, zatem i nigdy nie ustawającem ni mogącem zakończyć się życiem naszem. I to we wszelkiej prawdzie jest Miłością wieczną. Bóg albowiem jest możnością wszystkich możności, rzeczywistością wszystkich rzeczywistości. On wszechduchem przytomnym we wszystkich duchach stworzonych, tem przytomniejszym w nich, im one bardziej silnieją, im zosobiszczają się bardziej, im wolniejszemi i twórczejszymi się stają, bo wtedy podobniejsze do Niego, a On tem samem bardziej w nich. Nieśmiertelne osobistości, wzmagające się coraz bardziej, Jego osobistości nie szkodzą, i owszem. Ale trudno jasno pisać o wszystkiem, co dotyczy Wszechducha i Wszechżycia, bo dotądeśmy na planecie tym, my, Duchy nieuspokojone, my, Duchy rozdarte i rozdwojone, biedne, cierpiące, do wieków życia nie doszli, bytu tylko i myśli, ciała i duszy wieki przebyliśmy. Harmonijny Duch tylko o Wszechduchu powiedzieć może coś pewnego i niezawikłanego. Rozdarty zaś tylko przeczuwać błędnie potrafi, co spokój, nastrój, miłość i z nich wypływający twórczy czyn. Lecz i takie przeczucie już dobrem jest, już zatloną w nas iskrą Wszechżycia. Zatem w Bogu początkiem i końcem, Alfą i Omegą, wstępem i dopełnieniem, jest Wszech-

duch, pierwszą zaś stroną Jego, ukazującą się stworzonym ludziom, jest Wszechbyt, czyli pierwsza osoba Trójcy — To, co jest, bo jest i nic więcej, Jehowa. Z niej, jak z Ojca, rodzi się druga strona Wszechducha, druga osoba Trójcy, Wszechmyśl, która rozumie, czem jest To, co jest, a zatem tłómaczy i objawia istotę Ojca swego, i znów w rozwoju historyi ludzkości następuje tu zawrot do tego, co było przed początkiem stworzenia, do Wszechducha, czyli Trzeciej Osoby, o której, jako o Duchu Świętym, powiedziano, że zarówno od Ojca i Syna pochodzi; i oczywiście, że zarówno, bo dla nas składa się z nich, gdyż dopiero przez nich do niej dochodzim, a dla siebie rozkłada się na nich, bo przez nich niejako zstępuje w świat, gdy go stworzy.

Jednym z najdobitniejszych dowodów, że wszystko duchem i życiem, że wszystko pełną Trójcą, a nic niema, coby się tylko z jednego z jej kierunków składało, to to, że nawet w naszem rozumowaniu o świecie, o rzeczach stworzonych i o nas samych nigdy zupełnie rozgraniczyć nigdzie i oderwać tych osób nie możem, wiecznie, wszędzie na pomoc bytowi myśl, na pomoc im obojgu życie wzywać musim i nawzajem. A jeśli usiłujem koniecznie inaczej uczynić, jeśli, zamiast Ducha i życia, za podstawę wszystkiego uznajem czy byt oderwany sam, czy myśl czystą samą, mimo najlogiczniejsze i najdzielniejsze rozprawy dochodzim do najnielogiczniejszych i najnikczemniejszych wyników ostatecznych, do śmierci widnokrężnej, do ateizmu, do zaprzeczenia nieśmiertelności naszej, do nieuznania osobistości w Bogu, do prześlepienia wolności i w Nim i w nas samych, a wszystko jedno, czy ciąg rozumowania oprzem na bycie, czyli też na myśli czystej. Zawsze jednak wypadek sprzeczny z powagą, godnością i wiecznem natchnieniem duchowem rodu ludzkiego. I to bardzo naturalną rzeczą, bo, chcąc trafić do życia, nie trzeba, od trzeciej jego części zacząwszy, jej tylko się pilnować, ją tylko widzieć wciąż, ją tylko rozwijać, o drugich zupełnie zapominając. Filozofia francuska tylko bytu oderwanego, t. j. materyi, nie-

miecka tylko myśli oderwanej, t. j. Idealności czystej się trzymały. Obie doszły nie do Wszechżycia, ale do Wszechśmierci. Jednak świat żyje, jednak my żyjem: życie potężniejsze, niż systemata. Coby powiedzieć o muzyku, któryby albo, odrzucając wszelki generał-bas, tylko klawisze martwe rozważał, lub też, nigdy nie przypuszczając istnienia żadnych klawiszy, generał-bas tylko w milczeniu rozbierał i tę lub tamtą abstrakcyą nazywał Muzyką? — Trafiłżeby kiedykolwiek do prawdziwej muzyki? Jedno z zwojgaby mu wypadało zawsze: albo pisk, miasto dźwięku, nieznośny i wiecznie fałszywy, albo też zupełne milczenie. Muzyki zaś żywej, istotnej nigdyby się nie dopracował. Zupełnie tak samo się z tało z materyalistami i idealistami: pierwsi klawiszów się tylko pilnowali, drudzy generał-basu tylko i za ostateczny wynik wypadł im chaos lub nicestwo.

Otóż i w tem dowód, że Osób, w Trójcę połączonych, nie sposób oderwać od siebie. Wszędzie, czy w głębiach naszego rozumu, czy na powierzchniach zewnętrznej natury, one, że tak powiem, szukają się, żądają się, domagają się siebie nawzajem i dopiero żyją pełno, gdy się połączą i zleją razem. Wszelka martwość, wszelki ból, wszelkie rozdarcie wynika z mniejszego lub większego ich od siebie odłączenia lub między niemi rozstroju — wszędzie, zawsze zlać się pragną w jedno życie, w jednego Ducha. Jedna wiecznie w drugą się przelewa i przeinacza, byt rozkwita w myśl, myśl wciela się w byt, i życie nastaje. Z kończyn przeciwnych Wszechświata biegną ku sobie te kierunki: nieraz zdawałoby się, że, się spotkawszy, pasują się z sobą; lecz to pozór tylko, bo, jeśli walczą, to nie walka rozbratu — owszem — to walka, poprzedzająca zgodę, to tylko przejście, wiodące do celu wyższego. Ale skoro ten cel wyższy, nibyto ostateczny, otrzyman, skoro stanowisko pewnej pełni duchowej osiągnięte, całość harmonijna, stąd powstała, odkrywa natychmiast, że wyższa jest jeszcze Myśl od rzeczywistości, której się dobiła, czyli rodzi się natychmiast w tej Całości duchowej pojęcie idealne dalsze, niż jej teraźniejszość, i w stosunku do tego pojęcia sama

uznawa się znów bytem tylko i jako byt pragnie się z tą myślą, z tem pojęciem, rozbudzającem się coraz bardziej w niej, zlać do pełnej miary, czyli znów stać się innnym, wyższym Duchem. Nigdy więc nie przestają ukazywać się i rozwijać się nawzajem one Osoby Trójcy wiecznej w Duchach, czas zaludniających. Skoro Trójca w jakim Duchu się dopełniła przez pracę, walkę i rozwój następny, wnet znów się rozkłada na siebie samą, by dążyć wyżej. Duch, który z bytu i myśli wyniknął, znów bytem się czuje i myśl rodzi z siebie i zlewa się z nią w pełniejszego Ducha, i tak bez końca, a coraz doskonalej, wyborniej, olbrzymiej. Na ziemi i we wszystkich okręgach niższej Duchowości takie spajanie się bytu z myślą, takie rośnienie coraz wyższe, jakieśmy już wytknęli, najczęściej rozdarcia i walki postać nosi: stąd ból, stąd w niższych, dziecinnych, niemiarowych jeszcze organizmach śmierć, która przegradza jedne stany Ducha od drugich. Niezmiernie też powoli i nieznacznie zwykle odbywa się takie podnoszenie się i postęp bytów, już nastałych, do pojęć nie urzeczywiszczonych jeszcze, i urzeczywiszczenia ich przez zlanie się onych bytów z niemi w Ducha pełnego. Wieki upływają, wieki cierpienia, wieki niedochodzących prób, wieki ślepego boju, rozstrojnych działań na każdem stanowisku takowem. Jednak, im więcej się ich przebędzie, tem wzrost łatwiejszym i prędszym się stawa. Nie innym prawem i żywot wieczny rządzon, z tą jednak różnicą, że w nim nieskończenie łatwo i szybko Duch łączy się z coraz wyższem pojęciem, nie walczy już rozdarty sam w sobie, ale, wciąż myśląc wyższe dobro i piękno, natychmiast je wykonywa czynem. Na ziemi przemawia każda pasowaniem się i bólem, tam zaś łączeniem się namiętnem i najwyższą rozkoszą. Tu rość najczęściej tyle znaczy, co konać, często tyle, co umrzeć, tam znaczy tyle, co wniebowstępować.

Taką więc koleją coraz wyższemi Duchami stają się niższe, uznawają się bytem w stosunku do myśli, która, możnaby powiedzieć, objawieniem następnem i postępnem rodzi się w nich, bo Myśli naturą, że zawsze, jako objawienie, jakby Chrystusowość jaka, zstę-

puje i, uznawszy się takim bytem, zlać go, czyli podnieść go do tej myśli pragną. Gdy to pragnienie, czyli pomysł, urzeczywistnią, znów duchowej pełni pewnej, wyższej dostąpili. Ale żaden Duch ze stworzonych Duchów na jakiembądź stanowisku nieśmiertelnego rozwoju swojego Wszechduchem nie zostanie, Bogiem nie będzie. Może tylko stać się jednym z Bogów, którymi zaludnione niwy żywota wiecznego. Bóg a Bogi — to różnica bezmierna i prawdziwie nieskończona, bo tej różnicy nigdy końca być nie może; choć Bogi w każdej chwilce coraz bardziej się stają na podobieństwo Boga. Lecz podobieństwo do Boga zależy na tem, by przedziwnie rozumieć i czuć swoją osobistość, zatem różnicę jej od Jego osobistości. Blizkość do Boga więc na tem, by przedziwnie rozumieć i czuć dalekość swą od Niego. Bo wtedy w istocie rozumie i czuje Duch, co to Harmonia Wszechświata, czyli wtajemniczon jest w tajemnicę stworzenia, a tem samem w prawdę wieczną i w czyn wieczny. Więc, o ile je zna, łączy się z niemi, obcuje z niemi i sam je sobą wyczynia. To właśnie jest bóstwem dla Ducha. Możnaby powiedzieć, że się karmi Bogiem, i że przez ten pokarm własna jego Jaźń silnieje; zatem, jeśli sijnieje, nie przepada w osobistości bożej i z nią się nie zlewa w nierozdzielną jedność — martwą i głuchą. Jedność Ducha stworzonego z niestworzonym Wszechduchem żywą jest, a nie umarłą jednością, ona żywot coraz silniejszy nadaje. Im bardziej się z Bogiem łączysz, tem sam bardziej sobą jesteś; bo gdyby inny był tego łączenia skutek, tobyś nie ku życiu szedł, ale ku śmierci i Bóg w końcu końców byłby twoją śmiercią wieczną. Bóg tymczasem wcale przeciwnie twojem życiem wiecznem jest. Im więcej masz z Niego, temeś sam bardziej sobą samym, a zarazem i bardziej w Nim. Zarazem i dalszyś od przepadnienia na głucho w Nim, i bliższyś Jego tem, że jaśniej Go widzisz i święciej wolę Jego wykonywasz. On znowu jest Tym, z którego, im więcej dawa, więcej pozostaje. I ty Jemu wiecznie się poświęcasz, i On tobie dawa Siebie wiecznie. Lecz ty Jemu co innego poświęcasz, niż to, co On tobie daje. Cóż ty Jemu odda-

jesz wciąż? — oto wolę twą wolną, która właśnie jest tem, co stanowi twoją Jaźń, twoją osobistość; nakłaniając ją do zgody z Jego wolą, poświęcasz ją Jemu i tym tylko sposobem, straciwszy siebie, siebie odzyskujesz, to jest, wrastasz w byty i myśli, czyli w ciała i dusze, coraz doskonalsze. Czemże te ciała twe i dusze twe, tak nabyte poświęceniem się woli twej wolnej Jego woli? Czyż one twemi są? Nie, one zaczerpnięte w przepaściach Jego Wszechbytu i Wszechmyśli. Byt twój każden z Jego Wszechbytu, myśl twa każda z Jego Wszechmyśli. Zatem, jako ty Mu wciąż osobistość twoją poświęcasz, a tem samem i odzyskujesz, a spotężnioną, tak On znów tobie, jeśli tak godzi się mówić, poświęca Swój Wszechbyt i Wszechmyśl, a poświęciwszy, odzyskuje niejako w tem, że tyś Mu piękniejszem i szlachetniejszem wyrósł stworzeniem, że w tobie świat Jego wypiękniał, zakwitł, zarcydziełował się cudniej. On nigdy Osobistości Swej tobie nie poświęca, nigdy woli Swej przenajświętszej. To ty Jemu czynisz; ale wiecznie ci Wszechbyt Swój i Wszechmyśl, czyli ciało i krew Swoją, oddaje na pokarm i tak wiecznie, wiecznie i to stanowi Miłość Jego wieczną ku tobie i twoją ku Niemu, bo między tobą a Nim i Nim a tobą wiecznie krąży przelew udzielającego się żywota. Ty, że Mu oddajesz wolę swą, czyli osobistość, rośniesz, wzmagasz się, silniejesz następnie i ciałem i duszą. On przeto, że tobie oddaje z Wszechbytu i Wszechmyśli Swej część, tem trwa, żyje, coraz wyższy świat stwarza i wyższym udziela się Duchom; więc, coraz bardziej obcując z wyższymi Duchy, jak Pismo św. mówi, rosnącej chwale się Swojej przypatruje. Ale ta rosnąca chwała, to nie próżność, to nie umarła litera chwały. W tem wyrażeniu Pisma zawiera się całe Wszechżycie boże. Gdybyś był dla Niego niczem, lub tylko miał być marnego uczucia chwały zadowoleniem, nie byłbyś! Skoroś jest, skoro On cię stworzył, w istocie tyś na chwałę Mu stworzon. Ale ta chwała znaczy, że Wszechducha życiem jest wieczny Wszechczyn.

Zapewnie, mógł się bez niego obejść w Swej niezależności, ale nie mógł w Swej wolności, to jest nie

mógł, skoro obrał to, co najwyborniej się zgadzało z Nim samym, z Wszechmyślą Jego o Sobie samym. Prawem wtedy stał mu Mu się Wszechczyn, a tyś właśnie tym żywym wszechczynem, wraz z nieskończonością bliźnich ci Duchów. Im piękniejecie bardziej, tem więcej Wszechczyn Wszechducha pięknieje, tem bardziej przez was dzieło Jego bóstwa nabiera, więc tem bardziej On odpoznawywa się w was i może kochać was więcej; nie dla was więcej, bo was od początku najwięcej kocha, ale dla Siebie więcej i w tem życie Jego! Jeszcze raz powtarzam: Wy Mu Wolę, to jest osobistość swą, wiecznie poświęcacie, On wam nigdy Swej osobistości, ni woli Swej, ale wieczny Wszechbyt swój i Wszechmyśl swą, byście ciała mieli i dusze coraz wyborniejsze. Teraz więc zrozumiejcie, co w ostatecznem znaczeniu Ciało i Krew Pańska, udzielana wam. Zaprawdę, ciągle wy się nią poicie i karmicie: Pan żyje tem, że je wam daje, wy tem, że je bierzecie od Niego, i znów wy tem żyjecie, że wolę swą, czyli osobistość, poświęcacie Panu, a Pan tem trwa niejako, że ją od was bierze. Wiecznem udzielaniem się i czynem żyje i trwa i nieskończeni się Duch. Tylko z tą różnicą, że Osobistość Wszechducha udzielić się nie może nikomu, kiedy Duchów osobistości stworzonych udzielają się wciąż Wszechduchowi, poświęcając wolę swą woli Jego, lecz zarazem też przez to samo wyższej dorabiając się Osobistości! Bo nic z tego, co dasz Bogu, nicością ci płaconem nie jest. Za niższe, coś oddał, wyższe natychmiast oddanem ci. Znów tu słowa Chrystusa brzmią w pamięci: »Gdy duszę stracisz, dopiero ją wtedy odzyskasz.«

Tu się nam jeszcze kilka słów nasuwa o Żywocie wiecznym.

Zmysłowy kierunek ducha ludziego upatruje zawsze niebo w przeszłości i zowie je Rajem, bo Raj był niebem dla ciała ludzkiego. Umysłowy zaś kierunek Ducha upatruje Raj w przyszłości i zowie go Niebem. Niebo średnich wieków, kończące się na kontemplacyi i wiecznym spokoju, jest Rajem myśli. Duch zaś wszystek, Jaźń cała ludzka, powinna się starać, by ten

ideał przeszłości i ten przyszłości zlały się w jedno, wiecznie teraźniejsze życie. Owa teraźniejszość, zarazem rajska i niebieska, cielesna i duszna (bytowa i myślna) zacznie się przy ciał zmartwychwstaniu, w dniu, którym dokonają się losy człowieczeństwa. To właśnie to, co nazywamy Anielstwem. Raj, czyli doskonałość ciała, należy zlać z niebem, czyli z doskonałością myśli, a wypadnie doskonałość Ducha człowieczego, jako człowieczego, i nastąpi wnet przemienienie jego, czyli Przeanielenie, stan, w którym każda chwila teraźniejszości ma być świętą, wielką, już wielmocną. Raj był apoteozą ciał, Niebo dusz, Duchów zaś przebóstwienien będzie żywot wieczny, przemieniający się jeszcze, i to bez końca, ale już świadomie i wolnie, co chwila szerszy, miłośniejszy, piękniejszy, głębiej uczuty, mędrzej pomyślany, w urodziwszych kształtach upostaciowany. Raj był niebem na ziemi, Niebo Rajem za ziemią, za światem gdzieści. Żywot wieczny rajem i niebem jest zarazem, wszędzie, gdziekolwiek wszechświat, wszędzie gdziekolwiek Duch Pański, jest rzeczywistością ciągłą w nieskończoności, podzielonej na skończone chwile, byty, stany, które przelewają się w siebie, coraz chyżej, a ciągle postępowo. Każda granica ledwo się zjawi, już ją Duch przeskoczył. Każda miara ledwo nastanie, już w wyższą przechodzi, a to przy zachowaniu nigdy już niczem nieprzerwanej świadomości owego podnoszącego się ducha. Żywot wieczny jest stwarzaniem ciągłem samych siebie w Bogu, przez własną twórczość i łaskę Boga, jest miłością naszą, rozwijającą się coraz olbrzymiej ku Bogu, i Boga przez to samo ku nam, bo historya i rozwój wszystkich światów, wszystkich Duchów, to rozwój ich miłości ku Bogu. Coraz głębiej i goręcej zakochują się w Tym, który przedwiecznym i zawiecznym i nadwiecznym zarazem; w Tym, który najrozlańszą powszechnością i wiecznym przedmiotem, a zarazem najbardziej ześrodkowaną osobistością i wiecznym Sobą samym, wieczną Jaźnią, wiecznym podmiotem jest — w Tym, który wygląda, jako Byt, ledwo co obudzonym Duchem, jako prawo tego bytu rozbudzeńszym,

a jako Jaźń życia wszechświatowego, jeszcze bardziej rozbudzonym.

Im Go lepiej znają, tem więcej kochają, im więcej kochają, tem znają lepiej, im głębiej znają, im mocniej kochają, tem dzielniej stają się twórczymi na podobieństwo Jego, czyli tem bardziej czynią, a tem samem kształcą, budują, tworzą siebie samych, coraz doskonalej i wyżej. Jak posągi boże rosną w Bogu na wieki. Podnosić się i róść co chwila jest prawem ich żywota. Z miłości swej do Boga wciąż sami się przeradzają, rodzą się na nowo z siebie samych, wstępują w górę.

Oto ślub nieskończoności. Oto niepokalane poczęcie, powtarzające się wciąż. Oto rodzące się postępowo Syny boże, z Boga i z siebie samych. Oto Aniołów, Archaniołów, Serafów i Duchów wszystkich, coraz wyższych, rodowód i rodociąg. Ni do grobu schodzą ich kształty, ni też ze zgniłości wschodzą do kolebki, ale wiją się i rozwijają się i przetwarzają z mocy wewnętrznej, z ducha własnego, który się już posiadł i opanował całkiem wewnątrz, więc na zewnątrz przytomnie, swobodnie i zgodnie z wolą bożą działa i cudowni się. Cud stał się ich sposobem bycia.

Natura nasza ziemska dotychczasowa raczej jest cudem niesforności i gmatwaniny, a to, co zowiem cudem, raczej naturą naszą wewnętrzną, ostateczną, prawdziwą. Kto z Boga, ten do Boga i ten kiedyś, wcześniej czy później, być musi po bosku.

»A będziecie jako Bogi« rzekł wąż; biedny wąż— może myślał, że kłamie ludziom, a on im przepowiadał rzeczywisty ich cel! I wyszli z Raju ludzie.

I wyszli — i poszli — i dójdą!

Z całego powyższego ciągu myśli wypada, że, czy w świecie natury, czy w świecie Ludzkości, czy w światach żywota wiecznego, wszystko jest i być tylko może Duchem — ale rozmaicie stopniowanym i różnie przedstawiającym się według miary wyrobu własnego, czyli stosunku, zachodzącego między trzema onymi kierunkami, które istotę jego troistą, a jedną, zawsze i wszędzie objawiają! —

W onych światach wszystkich rozwijają się następne kształty tychże samych, jednych, żywych, nieśmiertelnych Duchów — w naturze uspione, jakby dzieci w powiciu, występują tylko pod Bytu postacią do myśli o sobie, czyli osobistości, jeszcze niedoszłe. —

W człowieczeństwie zaś duch każdego człowieka rozdarty walczy w sobie samym domową wojną. — Już Myśl obudzona, już wie o Bycie, już wie o sobie, ale Byt nie zgadza się z nią, nie przypada do niej. — Rozstrój między niemi — stąd niedoskonałe, wpół obumarłe, pasujące się w tem rozpadnieniu Życie. Brak Całości, mimo przytomność pierwiastków, z których ona powstawa. — Brak potęg osobistości, choć osobistość już nabyta. Dopiero w żywocie wiecznym następuje pojednanie i całość duchowa nastaje w pełni. Osobistość do najwyższego znaczenia dochodzi, wewnątrz już nie pasując się z sobą, występuje z olbrzymią mocą za siebie i tworzy na zewnątrz, tworząc zaś, tak wznosi się sama cochwilnie wyżej, czyli żyje prawdziwie. Prawdziwe albowiem życie jest ciągłym postępem w nieskończoność, mierne tylko dotychczasowe nasze przypuszcza cofania się

i upadki i zawody i nawroty i próby i pokuty. Piekielne zaś stanowiłby bezprzestanny upadek, nieskończone wzad odstępowanie. Ależ *złe* może być nieskończonem, kiedy w niem zarodu i warunku nieskończoności, t. j. twórczej siły, niemasz? Ktoby w tym kierunku odwrotnym od Boga doszedł aż do *śmierci wiecznej*, aż do *nicestwa*, najostateczniejszej granicy nietwórczości złego, cofania się i piekła, mógłżeby on, który z Boga wynikł, mieć *wieczną* śmierć oną wieczną? Nie — musiałby przebudzić się znów i znów zacząć zawód wiekuisty. W tem nawet sroższa kara, niż w *nicestwie* zupełnem.

Celem więc ostatecznym dziejów naszych planetarnych, ostatecznym dla nas, jako w kształt człowieczy ubranych, jest dostanie się do stanowiska, od którego rozpocznie się *żywot wieczny*. Do niego zaś doprowadzić nas tylko zdołają postępowo uzupełnione i wyczerpnięte naszym trudem wszystkie stanowiska pośrednie, zmierzające do dopięcia celu ludzkości jako ludzkości. Tym zaś celem Królestwo boże powszechne i już na ziemi święte, bo nie samowolą i swywolą, ale wolą ludzką, do Woli bożej przypadłą, ożywione — czyli nastrój chrystusowy, w czyn i rzeczywistość przeszły, nie już tylko pojedyńczych dusz się tyczący, ale całego człowieczeństwa, wszystkich praw jego, ustaw i urządzeń, a tem samem przemieniający ziemię w jedną wielką, żywą świątynię Ducha Świętego! —

Czemże więc ludzkość? — Oto wspólną pracą wszystkich ludzkich, pojedyńczych Duchów, ciągnącą się przez wieki planetarnej historyi, by wzajemnym wyrobem samych siebie dostąpić mogli szczebla onego w czasie, z którego wzlecą w swój *żywot wieczny*. Chcąc, czy nie chcąc, wiedząc o tem, czy nie wiedząc, zawsze wspólnie pracują i wypracowują się, bo muszą wspólnie — a muszą, bo są Duchami. — Duchów zaś prawem wiecznem jest prawo miłości, zależące na udzielaniu się nieustannem, wzajemnem. — W krzywem zaś pojęciu, czyli raczej niepojęciu rzeczy, na sfałszowanych torach historyi ukazuje się nieprzerwa-

nie konieczna wspólność, ale nędz i klęsk — miasto czynów miłościwych. Ludy i wieki nawzajem sobie przekazują jad nienawiści — późniejsze zdarzenia wywierają pomstę za przeszłe. — Za ojców odbywają się sądy wiekowe nad synami, wybuchają długo tajone wulkany, których pierwszego zarzewia ledwo dopatrzyć się można, bo stulecia nad niem się zwarstwiły. Krew jednych spada na drugich i nieubłaganie o krew drugą woła, póki jej nie dostanie — złe, nie mogąc się oderwać od wiekuistego prawa duchów, uwspólnia się, rozsiewa, rozpływa się po świecie z pokolenia na pokolenie, z epoki w epokę, i tem samem wykazuje, że z duchów wyszło i śród duchów krąży, bo warunku istoty ich i istoty miłości nie dopełnia.

Chrystus objawił ludziom ono wieczne prawo wszelakiego ducha — On wypowiedział przed nimi, że wspólność ich powinna być stowarzyszeniem nie złego, lecz dobra, że wzajemnie nie nienawidzieć się, ale miłować powinni, że wszechświat jest wspólnią odwiecznej miłości i że jedynie wzajemnem kochania działaniem dostaną się do królestwa, zapowiedzianego na ziemi, a stamtąd do żywota w niebiesiech, kędy już śmierci niemasz. — On założył Kościół powszechny, kościół żywych i umarłych, który właśnie obrazem jest Ludzkości, pojednanej w prawie bożem, nastrojonej i ożywionej tchem bożym, przez pierś ludzką przejętym. Kościół, to proroctwo uwidomione. To posąg granitowy przyszłości, już stojący na falach płynącego czasu.

Jeśli więc Ludzkość wspólną pracą duchów pojedyńczych, dążących do żywota wiecznego — muszą też być pośrednie okręgi, w których odbywa się wspólna praca Duchów pojedyńczych, wyrabiających samą Ludzkość w najwyższem jej znaczeniu, t. j. Królestwo boże na ziemi — bo bez osiągnienia tego stanowiska nie podobna przejść do następnego wyższego, t. j. do Żywota wiecznego. — Gdzież więc te okręgi pomniejsze? gdzie te szkoły duchów, wyrabiające w sobie rozmaite władze, idee, kierunki, zmysły, że tak powiem Ludzkości, z których nastroju i zgody

powstać ma żywy i doskonały organizm, który Królestwem bożem i panowaniem Ducha Św. na planecie tym zowiemy? —

Jako Ludzkość zmierza ku żywotowi wiecznemu, tak narody zmierzają ku Ludzkości — naród każden jest wspólną pracą wybranych na ten koniec Duchów, odwiecznie z bożej łaski z sobą połączonych, na wyrobienie jednej z idei, jednego z organów ludzkości. — Lecz prócz bożej łaski jest w narodzie każdym, tak, jak w pojedyńczym człowieku, wolna wola — z tych dwóch pierwiastków wciąż się składa Duch zbiorowy narodu, niemi rośnie, żyje, przez zgodę ich silnieje i dopełnia powołania swego — przez rozbrat ich niedorasta, słabnie, nie dochodzi do całej mocy przeznaczonej sobie osobistości i stawa się innych narodów pochłoniętą cząstką — ależ wtedy nie mógł nawet zwać się narodem, nie zasłużył na to miano, tak, jak liść nie był kwiatem jeszcze, ani kwiat też nie był owocem.

Taki lud był tylko do n a r o d u rosnącą możnością. — Narodem albowiem ten tylko zbiór duchów żywych, stowarzyszonych nazywamy, który już pojął w sobie cel, do którego dąży, t. j. Ludzkość w najwyższem jej znaczeniu i czynami historycznemi jej się poświęcał, czyli tak działał, by jej zjawienie sie i pełń przyspieszyć. — Jak dziecka nie nazwiem mężczyzną, tak i hordy, plemienia monarchii jakiej wschodniej lub miasta republikanckiego starożytnego nie nazwiem n a r o d e m. Domagały się one n a r o d o w o ś c i, ale jej nie dostąpiły. Znikły, jak zawcześnie umierające dzieci, a z ich zwłok dalsze usypały się pokłady, na których zjawiać się miały przyszłe narodowości świata. —

N a r o d o w o ś ć wysokim już jest stopniem towarzystwa Duchów, zdobytym wielą trudami i czasu długiego ciągiem. Żywe to już obcowanie ich między sobą, a do takiej siły nierozerwalnej, wnętrznej doszłe, że śmierć polityczna nie zdoła go nawet zniszczyć. — N a r o d o w o ś ć na planecie jest tem dla Ducha zbiorowego, czem dla pojedyńczego nieśmiertelność w nieskończoności Wszechświata: — niepodobieństwem

śmierci mimo pozór śmierci. Mówim: na planecie, na niwach historyi rodu ludzkiego, bo w istocie narodowość trwa tylko aż do dni ostatnich planety — gdyż jest tylko nutą, potrzebną do złożenia akkordu harmonijnego Ludzkości i jako Ludzkość cała tylko przysposobieniem Duchów pojedyńczych do Żywota wiecznego. Ale na planecie duchy pojedyńcze winny poświęcać i ciało i duszę, t. j. wszelki znikomy kształt swój i wszelką wiedzę swą, wszelką siłę umysłową, wszelki czyn swój duchowi zbiorowemu na to, by on rósł według bożych przeznaczeń. Za ojczyznę, za narodowość — za ludzkość winny męczeństwo znosić i rade gardło dawać, o ich rozwój i postęp chrystusowy nieustannie się starając — Chrystusowości albowiem ducha zbiorowego nie otrzyma się inaczej, jak przez Chrystusowość duchów pojedyńczych i nawzajem najwyższego pojedyńczych uświęcenia nie otrzyma się inaczej, jak przez organiczne zlanie się zbiorowych z prawem Chrystusa.

Czyn ogólny, społeczny, chrystusowy musi się wykonać i dopełnić w narodach, a przez narody w Ludzkości. Zatem duchy pojedyńcze, poświęcając się dla zbiorowego na ziemi, właśnie tego dopełniają, co ma ich wyrobić na dojrzałych żywotowi wiecznemu. — Oddawszy ciało i duszę dla narodu, dla ludzkości, tem samem ją odzyskują, bo naród się podwyższa i dzień Królestwa bożego się przybliża, zaczem i rozwiązanie Historyi rodu ludzkiego — a to rozwiązanie zależy na przeanieleniu pojedyńczych tychże samych duchów, doszłych ciągiem wiekowego wyrabiania się do pełni chrystusowej.

Naród więc każden jest całością duchową, zbiorowo żyjącą, która dąży do zlania się w jeden nastrój z innemi podobnemi, wcale swoich odrębnych przymiotów nie tracąc, owszem, przynosząc je w ich uzupełnieniu i najprzedziwniejszym rozkwicie do owego nastroju. Na to, by istnieć mógł Kościół ludzki powszechny, jeden, a z rozmaitych członków olbrzymio złożony i duchem bożym przenikły na ziemi. — Stąd wynika świętość i nietykalność narodowości. Jest ona wysokim

już bardzo szczeblem wykształtu społecznego Duchów, takim, który, skoro raz osiągnięty, już zatraconym być nie może — a zależy na dziejowej znakomitej przeszłości, pełnej walk, prób, ofiar — powtóre na poznaniu siebie samej wewnętrznem t. j. na poczuciu się do idei, którą ma przeprowadzić przez świat i urzeczywiścić w stosunku do Ludzkości. — Pierwsze t. j. przeszłości dzieje, w których szczególnie łaska boża pod postacią instynktu i natchnienia narodowego, jeszcze nie rozwikłanego, działała, z kolebki mitycznej i ciemnej wyprowadzając go na pole słoneczne Historyi i tam tysiącom zapasów go poddając, stanowi b y t narodu, jakoby ciało, już sobie ulepione przez wieki śród mnóstwa chorób, trudów, przypadków i zadanych ran, które sprowadzić zgonu nie potrafiły.

Drugie, ów rozbłysk, po wiekach wyrabiania się zstępujący weń, objawiający mu tajemnicę własnego b y t u t. j. pod jakim wiecznym prawem on przez Boga pomyślan i jakiem powołaniem w stosunku do całego człowieczeństwa naznaczon, stanowi m y ś l narodu — jakoby duszę jego, wiedzącą siebie, uznającą cel, ku któremu b y t s w ó j nakręcić musi.

Między temi obuma pierwiastkami, tą duszą i tem ciałem narodu, może nastąpić długa walka, zanim one przypadną do siebie i jednomyślnie w jedną wolę zrosną i jeden ten sam c z y n wywiodą z swej jedności. — Tu właśnie nastaje pole społecznych zaburzeń — rewolucyi, odmian w pojęciach prawnych, w pojęciach religijnych, w pojęciach o własności. Dopiero pojednanie harmonijne tych dwóch kierunków nada twórczą osobistość narodowi, uczyni go żywym członkiem Ludzkości, środkiem do ustalenia na planecie Królestwa bożego. — Dopiero na onem trzeciem stanowisku Duch narodu nieśmiertelny na ziemi zaświeca w pełni, podbiwszy sobie własne ciało i duszę, czyli zlawszy je w miłość jedną i jedno życie. To stanowi przyszłość dzisiejszą narodów, a tem samem i Historyi świata!

Jak wszelka pełna całość w świecie stworzonym, tak i historya rodu ludzkiego z trzech składać się musi okresów, z których pierwszy odpowiada B y t o w i, drugi

Myśli i walce jej z Bytem — trzeci walki tej przejednaniu i zrośnięciu stron walczących w jednego Ducha. — Dopiero po takim Trójcy rozkładzie w czasie i przestrzeni nastąpi jej nastrój w człowieczeństwie jako w człowieczeństwie i wyczerpnie się Historya zbiorowego Ducha ludzkości.

Świat starożytny, którego początek w podaniach o raju, dalszy ciąg w monarchiach despotycznych wschodu, kwiat najpiękniejszy w greckim umnictwie, a owoc najdojrzalszy w Rzymie, był okresem bytu w Historyi, był rozwojem ciała, dążącego do myśli i duszy swej, która do niego w pełni dopiero zstąpiła przez chrystusowe objawienie; w tym pierwszym okresie niema wyobrażenia o Ludzkości, a tem samem niema narodów. Są zewnętrzne tylko kształty, pozbawione wewnętrznej duszy, pasujące się z sobą bez wiedzy o tem, co wyrażać mają, bez pojęcia celu, do któregoby dążyć powinny, a zatem jakoby ślepych namiętności i przeczuć błędnych tylko nieustanna bójka. Państwa, jakiebądź one, czy monarchiczne, czy republikanckie, zawsze absolutnemi się objawiają, bo siebie same za cel ostateczny siebie samych mają i dla tego każą sobie poświęcać wszystkie inne, zewnątrz istniejące, ludy i wewnątrz siebie istniejących, własnych obywateli. Jeszcze wyobrażenie o godności i nieśmiertelności pojedyńczego Ducha każdego z jednej strony, ani też z drugiej o powadze i świętości Człowieczeństwa całego nie zabłysło. Nigdzie myśli o poświęceniu siebie samego dla celów ogólnych świata, ani też tej drugiej, że nikogo do poświęcenia się zmuszać zewnętrznie się nie godzi, ale że się każden wewnętrznie winien na to zgodzić, by się sam poświęcił dla innych. — Wolności więc żadnej, tylko ciągłe jarzmo, ucisk bez przerwy, wszędzie chuć zwierzęca, wszystko chwytająca dla siebie i pochłaniająca.

Stąd wszyscy cudzoziemcy za barbarzyńców czyli nieprzyjaciół uważani, a los wojny zamienia ich w zwierzęta, w niewolniki — oni sami, skoro traf w ręce zwierzęce ich oddał, uznają się przez ten zewnętrzny przypadek za spadłych z godności człowieka — nie czują

jeszcze Jaźni swej ludzkiej, wiecznej, nieobalalnej, niezatracalnej — kształt tylko zewnętrzny, rodzimy, ojczysty noszą na sobie, a skoro ten dotknięty, nadwerężony, nie wiedzą, na czem się oprzeć. Oderwani od kątka rodzinnego, od ojczyzny i pokolenia swego, bydlętami się stają. Zatem o człowieku w tym okresie stanowi nie to, czem się sam czuje i myśli, ale to, czem wygląda w stosunku do innych współobywateli, tam, gdzie ma Bogów własnych, swojskich, domowych. Skoro ten stosunek zewnętrzny przerwan, wszystek człowiek sam znika. Nikt ni Boga jednego ni Ludzkości jednej ani też narodowości rozmaitych, a jednak z ludzkością w Harmonią miłości połączonych, nie zna. Zamęt uderzających brył o siebie, brył martwych, nie prawami życia, ale tylko mechaniki rządzonych. Wciąż więc kruszą się i rozsypują te wszystkie zwierzchnie kształty jedne po drugich. — Hordy, ludy, plemiona pod pręgierzami, na których napisano »państwo«, to wschodzą, to upadają — nic trwałego, nic w kształtach swych rozmaitego, a w pojęciu swem jednego nie występuje — podbój jedynym środkiem skupiania. Zlepki społeczne podbojem rosną i, podbiciu ulegając, bez śladu znikają. Jeden tylko lud żydowski do upadłego broni narodowości swej, ale też wierzy w jednego Boga i wciąż prorocy mu o przyszłej, jednej ludzkości śpiewają — w nim przez wieki przeczucie Chrystusa się wypracowywa. — On jakoby obrazem przyszłych narodowości, rzuconym w świat!

Świat starożytny cały był zmysłowością zewnętrzna tylko, bez wewnętrznej podstawy i bez pojęcia celu, do którego wszelki duch zbiorowy iść powinien. Ślepy traf, albo-li też nieubłagana konieczność go porywała i najwyżej bóstwiła się nad nim. Stąd wszystkie prawa jego srogie, nie wyrażające stosunku żadnego między duszami, jedynie tylko stosunek, mogący zajść między ciałami, chodzącemi wprawdzie po ziemi, ale pozbawionemi serca i uczuć ludzkich — a prócz prawnego pojęcia żadnego innego na dopełnienie i złagodzenie tej wyłączności.

Stąd też i zguba tego okresu pierwszego historyi przez rozpustę cieleśną pojedyńczych i przez tę społeczną rozpustę państwa, zwaną niewolnictwem. Rzym oparłby się był napadowi barbarzyńców, gdyby nie odwieczne niewolnictwo, które wielką część jego ludności albo przerobiło na słabych i nieodważnych cieleśnie, albo też na dusznie już do ziemi i porządku społecznego nie przywiązanych i szukających pociechy w innym świecie — idealnym — roztwartym przez Chrześciaństwo. Hordy barbarzyńców nie liczne były, ni też wszystkie razem nie rzuciły się, jak potop, na rzymskie ogromne obszary. Dwie rzeczy w historyi bardzo podobne do siebie: rozsypanie się Rzymu i rozbiór Polski; ani pierwszego ani drugiej wszyscy ziomkowie nie bronili. Rzymu tylko legiony, Polski szlachta tylko.

Na ruinach tych czterech tysięcy lat zmysłowości został się nam kwiat niezwiędły, piękność, wprawdzie formy tylko, ale w tym wyłącznie zewnętrznym kierunku pełna i uwieczniona. — Jednak i tu godzi się uważać, że sztuka grecka, która owo uczucie piękności urzeczywiściła i przepotomniła, właśnie zakwitła przez popęd ludu greckiego do wyjścia z okręgów bytu i przejścia do okręgów myśli; na niwach umysłowych starożytności myśl grecka stanowi zasługę ludzką, a żydowskie natchnienie łaskę Boga. — Zasługa też owa ludzka odnalazła się cała w następnem objawieniu, w Chrześciaństwie — piękność zatem sztuki greckiej nie wyłącznie tylko ze zmysłów wynikała, choć im hołdowała przeważnie — w istocie byt w niej przemaga; ciała bogów urodziwsze, niż ich oblicza — na ich twarzach znać spokój raczej zwierzęcia, niż Ducha, bo żadnym ruchem wewnętrznym nie władnący; czoła ich nizkie, zrzenic pozbawieni, co z samej istoty rzeźbiarstwa wypadło, oczy marmurowe bez iskry żywota. Kształt tylko od stóp do głów anielski, ale na licach obojętność, brak osobistości, płci nawet rozeznać nie można; sen duszy nie rozbudzony znamionującem je piętnem.

Wszystkie mitologiczne wiary ubóstwiały Naturę, przejęte wrażeniem życia, rozlanego po niej, krążącego,

jak krew, po żyłach organizmu Wszechświata. Jedni Hebree o Bogu za światem mówili — ale twierdząc, że za światem i nad światem jest, odrywali go zupełnie od natury — wpadali na stanowisko, przeciwne stanowisku pogan. — Ci ostatnie tylko skutki widome życia bożego spostrzegali i te skutki rozmaite, wieloliczne, nadając każdemu postać całką i odrębną, ubóstwiali. — Tamci, nie zważając na te pulsacye niejako najoddalenisze serca bożego na świecie, tylko pierwszą oderwaną ich przyczynę za Boga czcili. — U jednych każden objaw życia bożego z osobna wzięty stawał się Bóstwem sam. — U drugich oderwany od świata Byt jakiś wieczny, wszechmocny, wszechgroźny, bez związku z stworzeniem, stanowił przedziwność bożej istoty. Dwie to były wyłączności i sprzeczności. Tam rozmaitość bez kojarzącej ją jedni, tu jednia bez ożywiającej ją rozmaitości; przez żydów jednak utrzymało się wyobrażenie o Duchu bożym osobistym, jednym, a tę osobistość połączyć ze światem i świat z nią związać prawem miłości i życia przyszedł Chrystus.

Wszechmyśl objawiając, tem samem Syn boży nadał duszę ludziom. Jego przepis jest prawem idealnem, według którego wszystko winno się rządzić, prawem udzielania się i poświęcenia, którego ostateczny wynik dla duchów pojedyńczych to żywot wieczny. Rozwojem zaś historycznym tego prawa na ziemi jest postęp Duchów zbiorowych, czyli społeczeństw ludzkich.

Świat starożytny tu się kończy. Myśli świat rodzi się nad światem dotychczasowym bytu, ale nim oba się rozpoznają, wysprzeczają, przewalczą, a potem pojednają i spłyną razem w świat jeden Ducha, ileż to wieków ujść musi? ileż przemian, klęsk, burz się zdarzyć? Ile krwi upłynąć z ciał, ile rozpaczy z dusz? — Oczewista, iż naprzód myśl owa, jako oderwana, wyrobi sobie swój okrąg czysto oderwany, stojący naprzeciw światu zmysłów — aż świat ten zmysłów przestarzały upadnie i zaginie — po tem zwycięstwie, oczewista, że myśl ogłosi się panią ponad wszystkim Bytem, ponad wszelką świeckością, że w swem oderwaniu pojmie siebie królową wszelkiego kształtu spo-

łecznego na ziemi. Nastanie rozdział i odgraniczenie obu światów, współcześnie istniejących, a jeden z nich wiecznie głosić będzie zwierzchnictwo swoje nad drugim. Zjawią się cesarz i papież, Kościół i świeckich państw dzielnice — duchowni i laicy. Będzie chciała myśl, oddzielona od ciała, wszelkiem ciałem pomiatać i niem jak niewolnikiem rządzić, wyniknie stąd, jak z wszelkiej niewoli, jak z wszelkiego ucisku, bunt ciała, bunt państw, bunt świeckich, zdarzy się reforma religijna, później reformy polityczne, rewolucye, prosto z niej płynące. Te znów w pierwszej chwili zapału i zwycięstwa zechcą ową myśl oderwaną zaprzeczyć, precz z świata wyrzucić, zatracić wszelki kościół idealny i religijne uczucie, aż znów po wielu pasowaniach się zacznie się przypominać ludziom, że na to, by dojść do zbawienia trzeba, pojąć w zupełności chrystusowe słowo, trzeba przez narody i Ludzkość chrystusową iść do Żywota wiecznego, a narody i ludzkość, w ten sposób urzeczywistnione, niczem inszem, jeno ureligijnieniem wszelkiej świeczczyzny i zeświatowieniem czynnem wszelkiej religijności, niczem innem, jedno zlaniem najnieoderwańszem Wszechmyśli bożej, objawionej przepisem Zbawiciela, z Bytem rzeczywistym ludzkich społeczeństw.

Okres, poczynający się historycznie od Chrystusa, a trwający dotąd, jest w dziejach tego planety właśnie przejściem od epoki Bytu martwego do epoki żywego Ducha na ziemi, od państwa despotycznego, wschodniego, głuchego, ślepego, niemego do Królestwa bożego, w którym ma zakwitnąć pełnia harmonijnego życia ludzkości, od religii mitologicznych i żydowskiej do pocieszenia rodu człowieczego przez Ducha, którego zesłanie przyobiecał Chrystus; i, będąc przejściem, ten okres nosi wszystkie jego znamiona, wszystkie cechy rozdwoju, rozdarcia, walki między Bytem a myślą, Ciałem a duszą świata.

Kościół i państwo, w starożytności zupełnie jedne, a jednością nierozwikłaną i martwą, tu się rozstąpiły, rozszczepiły, od jedności odbiegły, jako sprzeczne stanęły naprzeciwko siebie; każde z nich z osobna występuje

i kształci się. — Raz Kościół jarzmiony przez państwo — następnie państwo pod uciskiem Kościoła i znów Kościół poniżon przez państwo. Wszędzie i ciągle te dwa okręgi, czy jawnie, czy skrycie, wojują z sobą. W samym Kościele także ciągłe kształtowanie się, a zatem i walka jedności z mnogością, prawowiary z schizmą i kacerstwami; i nie tylko ta: żywioły organiczne uspołecznienia, demokratyczny kształt, arystokratyczny, władza monarchiczna, niższe duchowieństwo, biskupy, papież, sobory w niezgodzie, w przemianach i historycznem pasowaniu się — na drugiej stronie w państwie zupełnie to samo i jeszcze rozdarciej — świat ciała przejmuje od świata myśli, wszystkie jego ruchy, rewolucye, postępy, tylko, że nie rozprawami, ale potokami krwi rozlanej je sprowadza i oblewa — nie przypada doń, nie schodzi się z nim, ale, stojąc na uboczu, naśladuje go, tem samem mimo niezgodę powierzchowną wykazując wewnętrznie ukrytą konieczność, która go wiedzie do zlania się z nim w jednem, do harmonii z nim, do utworzenia z nim kiedyś jednej i tej samej żywej całości. — Wszystkie kształty rządowe w świeckich społecznościach za kształtami Kościoła się wyrabiają; przez długie wieki Kościół wyprzedza ciągle państwa. Feodalność świecka nastaje po okresie, w którym biskupy rządzili przewładnie, prawie się do Rzymu wcale nie odnosząc, przed reformą Hildebranda. Pomysł monarchii absolutnej przychodzi do głowy królom na trzy wieki dopiero po reformie Hildebranda, który absolutyzm i nieomylność papieską założył i urządził. Wreście po Lutra rewolucyi zaczynają się nowożytne nasze rewolucye, naprzód angielska, później francuska. — Kościół, ta świątynia myśli, unosząca się nad światem, w oderwaniu swem od świata własnym rządząca się nastrojem, a pomimo to z konieczności rzeczy tak ściśle, nieodzownie, cochwilnie związana z ziemią i w istocie dążąca do zupełnego wcielenia się w nią od początku samego swojej istności, losami swemi przygotowywa i niejako objawia później nastąpić mające losy i przeroby państw świeckich. — Rozstrój jego od trzech wieków wieszczym

jest znakiem rozstroju, zbliżającego się i do państw, ale dla obu będzie zmartwychwstanie w skojarzeniu się wzajemnem i powszechnej jedności.

Pośród zamętu, trwającego przez te wszystkie wieki, doskonale średniemi nazwane, kształcą się niewidomie prawie przyszłe żywe organa ludzkości — narody. Nikt o nich nie mówi i nie wie; świat pełen królów, książąt, panów, wszechmocnych osobników, bohatyrów rozbijających, a oni wszyscy, to tylko maski, znikome maski na twarzy narodów, a że nie dość wielkie na twarze tak wielkie, z nich spadają wciąż. Starożytność była wyrobiła i puścizną po sobie zostawiła zewnętrzne kształty państw, li tylko zewnętrzne w stosunku do drugich ciał politycznych (monarchie i rzeczpospolite); podczas średnich wieków wszędzie wewnątrz samych ciał politycznych objawia się pracowite burzenie się i wykształtywanie się stanów, rozdzielonych i rozmaicie do siebie się mających, szlachty, mieszczan, ludu. Stąd państw na zewnątrz i na wewnątrz nastrajanie się coraz porządniejsze; ale sameż państwa są tylko jakoby błądzącym kształtem, formą tylko, oderwaną od swej istoty, a zapowiadającą jej nadejście i panowanie w świecie; a tą państw istotą i rzeczywistością, dla której się wyrabiały i do której zastosować się muszą, bo inaczej ni powodu, ni celu-by loicznego nie miały, to narodowości. — Państwo nie może być ciałem, oblekającym choćby najpotężniejszego i najgenialniejszego człowieka pomysł — dowód na Napoleonie i Karolu Wielkim — tem mniej ciałem, rosnącym koło zdrady, kłamstwa, interesu prywatnego, jakiejś rodziny pojedyńczej, dynastycznej. — Państwo jedynie może być nastrojem żywym i trwałym, przybranym tu przez myśl bożą jakąś, a takowa tylko w narodowościach na jaw oczewiście występuje. W końcu dopiero trafia Duch ludzki i do początku — wieczne to prawo jego — zatem i tu, jak we wszystkiem, dopiero po wiekowym tworzeniu się zewnętrznych rzeczy kształtów trafia do samejże rzeczy, napotyka wewnętrzną, obowiązującą państw konieczność, bez której być państwa stałego, rozwijającego się coraz wyżej, postępowego, nie może.

Przez świat starożytny i nowożytny nagromadzone, czy zwierzchnie, czy wewnętrzne, nastroje, ustawy, prawa, kształty pokazują się tylko cząstkami, wzdychającemi do swej przyczyny i celu, bezwładnemi lub tylko chaotycznemi, niesprawiedliwemi, jak proch sypki rozlatującemi się, dopóki nie pojęte w tej swej przyczynie i celu. — Państwo być tylko może ciałem Ducha narodowego, a że wszędzie ciało poprzedza objaw duszy i wiedzy na ziemi, więc państwa musiały istnieć przed uznaniem się i poczuciem się narodowości; — państwa, ciała, szły sobie swoim torem — narodowości, dusze błądzące, męczyły się i trapiły swoim. Ileż to walk między niemi i było i bywa i jeszcze będzie! Ale wstępujemy w wieki, w których już niepodobnem się stanie taki rozdział dusz od ciał i prawa publicznego pierwszą zasadą się stanie wszelkiej narodowości istotnej upaństwienie, a wszelkiego państwa, nie na narodowości opartego, rozsyp. — Dopiero takie państwa narodowe zdołają być prawdziwie chrystusowemi i wiecznym powiązane pokojem czynnie zmierzać do Królestwa bożego.

Świat nasz dzisiejszy wynikł z trzech pierwiastków historycznych: z pokoleń słowiańskich i germańskich, nieokrzesanych, nie pojmujących się jeszcze, które na cesarstwo rzymskie się rzuciły, z gruzów, po tym cesarstwie pozostałych, i z myśli, uwidomionej w Kościele, myślą albowiem planety jest objawienie chrystusowe.

Przez ludy słowiańskie i germańskie dnieć zaczęła narodowość za ich pomieszaniem się z innemi, podbitemi od nich, pokoleniami, narodowość albowiem wszelaka potrzebuje rozmaitych pierwiastków. U początku dzieła i, tak, jak każde zjawisko harmonijne natury, zapładza się i rodzi w pewnych ciemnościach, śród bajecznych podań, w kolebce mistycznej, za dni nierozwidnionych, a pełnych kojarzenia się odmiennych żywiołów, wśród burzy olbrzymiej.

Z świata rzymskiego została idea prawnych stosunków zewnętrznych pomiędzy ludźmi i idea ojczyzny, wymagającej poświęcenia się obywateli dla świeckiego

celu, w tym właśnie czasie, kiedy chrześciańska nauka wołała tylko o poświęcenie dla celu idealnego, zaświatowego.

W Kościele Ludzkości powszechnej wciąż objawiała się myśl i jej związku z losami przyszłemi duchów naszych pojedyńczych, nieśmiertelnych, ku żywotowi wiecznemu się sposobiących.

Wszystkie te historyczne żywioły, przez ciąg wieków mieszając się z sobą, wyrabiały i wykończały, że tak powiem, ideę Narodowości, w której to idei, jak składowe pierwiastki chemiczne w ciele złożonem, same się odnajdują. Czemże albowiem ojczyzna, jeśli nie uczuciem serdecznem, nie zmysłowością Narodowości? Zdaje ci się, że kochasz ziemię lub miasto, ale ty, sam o tem nie wiedząc, kochasz cel Duchów wszystkich, który się wypracowywa pod takim a takim prawem, w tym a tym kształcie odrębnym, na tej ziemi, w tem mieście. Inaczejbyś ty tej roli i tych głazów nie mógł ukochać, a ludzkość, w jeden kościół przemieniona na ziemi, czemże, jeśli nie celem najwyższym, idealnym, przyszłym narodowości wszelkiej? jeśli nie ową świątynią do której każda z nich swoje znosi głazy i dla której rozbija skały, oporem stojące na drodze, na to, by wszystkie u końca wieków ziemskich we wszelkiej rzeczywistości weszły i zamieszkały w niej?

Powtarzamy: — Duchy zbiorowe, narody i Ludzkość niczem innem, jedno szkołą wychowawczą pojedyńczych Duchów, z której one przejść mają do żywota wiecznego.

W szkole odbywa sie przygotowanie do tej przyszłości i musi nauka o niej rzeczywistość jej samą wyprzedzić — musi w uspołecznieniu duchów zbiorowych zajaśnieć jakoby obraz żywota wiecznego pojedyńczych. Tem tylko utworem, arcydziełem swem na ziemi pojedyńcze uzdolnią się do żywota niebieskiego, nauczą się niejako warunków jego i metody. Coś podobnego, coś przybliżonego doń stawiając na ziemi, staną się dojrzałemi do niego samego — przecież Ducha przymiotem, że, stwarzając na zewnątrz siebie, tem samem stwarza się sam.

Na czemże więc zależy najwyższego życia pojęcie? Oto na takim nastroju, któryby, postępowo się podwyższając i rozwijając, zdołał przy ciągłem przeobrażaniu się zachować Jaźń jedną i tę samą czyli ciąg nieprzerwany świadomości o sobie. Nim pojedyńcze duchy przyobleką organizm, nie potrzebujący już umierać, by przeobrażać się, muszą dojść do takowego Duchy zbiorowe, czyli społeczeństwa ziemskie. Lecz jakżeż społeczeństwom ziemskim dostąpić takiej nieskazitelności planetarnej inaczej, jak oparciem się na tem, co zarazem ich prawdą wnętrzną i rzeczywistością widomą — na tem, co im powodem do bytu i zarazem bytu owego celem, na tem, co iściną ich z bożej łaski, od której nie mają ni mieć innej mogą, i zarazem wolnej ich woli i zasług polem — słowem na Narodowości? Niesposób inaczej, według praw rozumu, pojąć ni rządu ni ludu żadnego. — Dopiero narodowość, jak matka, jak ogarniająca przyczyna, wyłania i rząd i lud z siebie. — Skoro się tylko dąży do pojęcia harmonijnego, t. j. rozumnego i religijnego zarazem, musi wystąpić narodowość, jako warunek niezbędny wszelkiego państwa. Z nóg, rąk, głowy odciętej kilku ludziom chcieć jednego zlepić człowieka i kazać mu, by żył i chodził, byłoby równem szaleństwem temu, które zlepek z kilku posiekanych narodów zamyśla trwałym i statecznym ruchem natchnąć. Naród albowiem, to zbiorowy, żywy człowiek, który się ma do ludzkości, jak każden z nas do swego narodu. Życia przedrzyźniać ni udać nie sposób, tak, żeby się udanie udało! W świecie Ludzkości i historyi panują nie mniej wieczne prawa, jak w świecie natury. — Jeżeli ten, co źle siłę pary obliczy, musi wyskoczyć w powietrze, cóż dopiero ten, który żartuje z żywemi, duchowemi siłami człowieczeństwa? Podeptane, z tem sroższą oddziaływają potęgą i, im dłużej gwałcone, tem mszczą się straszliwiej. Zawarta w nich Wszechprzytomność Rozumu bożego, pokrzywdzona ich krzywdą, rozprężystsza się nazad z nieskończoną mocą. W takich to razach koniec przychodzi na mocarstwa i grom uderza w całe okresy historyi. Chrystus, na nowo przybity do krzyża

przez ludzkie dzieje, pełne zbrodni i błędów, nagle przybiera twarz i głos starożytnego Jehowy, i biada tym, którzy wtedy konać muszą wraz z rozpadającym się światem!

Wiek nasz, dziedzic wszystkich starożytnych, średnich i nowszych czasów, jest wiekiem narodowości, dochodzących do pełnej wiedzy o sobie, a za tem samem zabierających się do świadomego i samodzielnego działania. Nic ich od tego nie wstrzyma, bo, cokolwiek siebie pojęło, wnet przechodzi do okręgów czynu. — Historya wstecz się nie cofa, nigdy wstecz — ale ma dwie drogi, któremi przeznaczeń swych dopełnia — a obór między niemi do wolnej woli ludzkiego rodu należy. Jedną wszystko nastrojnie się odbyć może, wszystko światłem, mądrością, miłością, a cierpliwie i zwolna dojśćby mogło do końca — i tę ludziom wskazał Syn boży. Druga wiedzie przez otchłanie na przebój, klęski i zamęt za narzędzie ma — i na niej jeszcze więcej czasu stracić trzeba, bo naprzód zstępuje w dół i w ciemnice, by później dopiero, opamiętawszy się, powrócić w górę i wyrzec, że nad głowami ludzkiemi nie bez niebios jest. Lecz czy tak, czy owak, wieczne prawa boże dopełnić się muszą!

W tej chwili więc dochodzą narody do wiedzy pełnej o sobie, do przeświadczenia o prawowitości, nietykalności i samodzielności żywota swojego. Lecz, jako przed wiekami Duch pojedyńczy ludzki, choć od kilku tysięcy lat bytujący na ziemi, dopiero za ukazaniem się chrystusowej postaci dowiedział się o sobie samym z losów Jej żywota, że nieśmiertelny, że Ojca ma w niebiesiech i jaką drogą wracać ku niemu powinien, tak i teraz, by uzyskać pełnią wiedzy o sobie, Duchy zbiorowe potrzebowały pierwowzoru, któryby, sam będąc Duchem zbiorowym, zniósł widomie, dotykalnie, rzeczywiście wszystek ciąg losów, mogących dotknąć iakąbądź ziemską narodowość, i temi dziejami swemi właśnie objawił prawdę niepodobieństwa jego zgonu. Takowa zaś prawda, pierwszy raz wstępująca w świat, oczewiście, że tylko przez śmierć i odrodzenie udowodnioną być może — nim się zacznie żyć trwale bez

śmierci, przód ze śmierci zmartwychwstać trzeba, by wykazać wszystkim śmiertelnym i bratnim, że w istocie nieśmiertelnymi są. Pierwowzór takowy zatem, mający roztworzyć dzieje przyszłości, musi własnemi dziejami wszystkie chwile bytu, wszystkie konania, wszystkie śmierci i powstania z niej narodowego uwydatnić, bo dopiero z nich wszystkich razem życie najwyższe się składa i siła nieśmiertelności narodowej się wykazuje.

Konieczność takich pierwowzorów prawem wiecznem Historyi, to ona jest polem wszechrzeczywistości. Nic się w niej ni wiotko, ni łatwo nie odbywa, wszystko pomału, trudno, pracowicie, a nadzwyczaj poważnie i surowo się dzieje. Żadna myśl oderwana, żaden pomysł, nie usprawiedliwiony wykonaniem, żadna teorya sama przez się nie zdoła kierować losami świata. Musi wprzód wcielić się, niejako upłaskorzeźbić się w przestrzeni i czasie, musi żywym stać się przykładem, nauką, serce bijące mającą, z którego nie tylko pomniki idealne, ale i krew szczera, krew czerwona, rzeczywista się leje wszystkim na udział. I przed Chrystusem pewne zasady chrześcijańskie krążyły ponad światem. Tu i owdzie myśl o miłości wszystkich błądziła, popchnęłaż świat potężnie, ruszyłaż-że go z posad starych, nim w Chrystusie całe uwidomiło się i na krew rozpłynęło Słowo boże?

Przez święty trud i świętą mękę Chrystusa, przez przemienienie, zmartwychwstanie i wniebowzięcie Jego, każden duch pojedyńczy ludzki podwyższył się na członka, że tak się wyrażę, niewyrzucalnego już z nastroju Wszechstworzenia, bo, zrazu przez śmierć przechodząc, następnie odrzucić ma ten warunek niższych stanów Ducha i żyć świadomie bez końca. Otóż za dni dzisiejszych, gdy przepis chrystusowy rozlewać się zaczyna na okręgi zbiorowe, gdy widnokrężnie domaga się ziemskiego urzeczywistnienia i przez to samo historya wkracza na drogę, mającą dowieść ją do Królestwa bożego, musi podobnież w tym świecie ziemskim Ludzkości wynaleźć się członek niewyrzucalny, niezatracalny, podstawa żywa całej przyszłej budowy. Takową Narodowość tylko być może, ale nie dosyć

tak myślą pomyśleć, Historya musi dowieść tego czynem. Czyn, to wykazujący, czyli dzieje szczególnego narodu, tę prawdę odbijające, właśnie staną się pierwowzorem onym, powołanym do ustalenia na ziemi świętości narodowego żywota, a tem samem do rzucenia posad, na których oprzeć się ma przyszłość historyczna Człowieczeństwa.

Gdybyśmy jedynie samą władzą pojęcia chcieli dochodzić znamion, takiemu pierwowzorowi koniecznie przynależnych, i kształtu, najlepiej doń przypadającego, w jakiejże postaci, z jakiemże licem-by przed naszą wyobraźnią wystąpił? Jakiegożby c i a ł a czyli b y t u takowy Ideał musiał się domagać w przyszłości? Jakiejże m y ś l i czyli d u s z y, zstępującej weń, by go rozświecić za późniejszych dni swoich? Jakiżby rodzaj zgonu odpowiadał najlepiej warunkowi zmartwychwstania, zawartemu w jego losach i do jakiegoż Ducha przyszłego koniecznością-by mu zmierzać było, wśród trudów i bólów teraźniejszych?

Nasamprzód oczewista, że taki pierwowzór ziemskich narodowości da się tylko pojąć napiętnowany męczeństwem i prześladowaniem, skoro śmierć i zmartwychwstanie, a zatem i przejście od pierwszej ku drugiemu, czyli długie pasowanie się w grobie, niezbędnemi są jego objawu warunkami. Inaczejby albowiem nie był tem, czem być ma. Dowód nieśmiertelności narodowych nie wytrysnąłby z jego dziejów, jak woda żywota ze skały.

Powtóre, nie zdołałby żadnym stać się pierwowzorem, gdyby przed chwilą, w której zstępuje na łono śmierci, nie był już przeżył ciągu długiego wieków i dopełnił wielu czynów, stawiających go, mimo, że jeszcze w niepełnej świadomości dokonane, na czele ludów własnego plemienia, a w rzędzie najświetniejszych narodów innych plemion.

Byt jego przedśmiertny powinien zatem znakomitą jaśnieć chwałą, a tej być nie może bez starożytności dla narodu, gdyż nie sposób mu zbudować świat w dniu jednym dopełnionemi czynami. Z tych czynów wyrosłe, złożone, uzupełnione ciało jego historyczne, nim zadrgnie wiedzą o sobie i przetwarzać się nią

świadomie zacznie, musi bezświadomie przyrodzonym, bezpośrednim sposobem, czyli z łaski bożej, nosić już na sobie zarysy, zapowiadające wszystek dalszy rozwój przyszłości. Ta sama Jaźń, co kiedyś będzie, musi się odbijać już w tem, co było. Przemienienie ją kiedyś podwyższy, odnowi, uwielbi, ale nie zniszczy, nie strawi, nie zagubi.

Jakżeżby mogła później objawić się w całej sile swojej, gdyby jej wprzódy już pod pewną miarą i w mniejszej potędze nie było? Wolna wola wszelka i świadomość wszelka nie z niczego, ale owszem z czegoś już danego, z przygotowanych zasobów, z utworzonego już organizmu się wydobywa, niejako zaszczepia się na pniu z bożej łaski wzrosłym, oddawna już istniejącym bez dokładnej wiedzy o sobie.

Dzieje więc takowego pierwowzoru w odległe, aż bajeczne czasy sięgając, snuć się będą od samego początku czynami poświęcenia, odwagi i szlachetności. W czasach, w których polityka, w niczem słowa chrystusowego się nie pilnująca, rządzi światem, w których chciwość i samolubstwo jedynie o działaniu mocarstw stanowią, on, choć upaństwowiony także i szeroko-władny mniej więcej ciągle, nie świeckiej polityki, nie chytrości i podstępu w stosunku do obcych państw się trzyma, ale, o ile może, ewanielicznego przepisu.

Z natchnienia, z natury, wspaniałomyślnym i miłościwym bywa, nie napada ni grabieży postronnych, nie wynajduje szalbierskich, kłamanych praw do obcych posiadłości. Owszem, nieraz usuwa się od nadarzonych korzyści, skoro powleczone niesprawiedliwości pozorem.

Wszędzie, gdzie tylko zdoła, ratuje ujarzmionych od ucisku, na zewnątrz występuje ciągle jako naród-rycerz, jako naród-obrońca najwyższych celów i zasad okresu tego, w którym żyć mu się dostało. Zatem musi bronić chrześciańskiej wiary i ogłady od zamachu wrogów pogańskich lub też takowych, co, choć chrzest przyjęli, nie przejęli się jeszcze chrześciańską obyczajnością.

Na wewnątrz zaś własnego państwa, w stosunku

do ludów niedokształconych, własnej narodowości osiągnąć niemożnych, z których to ludów sam się kupi i tworzy, nie używa podboju ni gwałtu, ni bezprawia, jedno pociąga je wyższością uspołecznienia swojego, łagodnością praw, wolnością ustaw, słowem, mocą przykładu.

Uniami, nie łupiestwem i zdobywaniem podrasta, bo to jedyny chrystusowy środek polityczny upaństwiania się. Lecz na to potrzeba mu koniecznie między te ludy roznosić i przelewać wyższą oświatę, ową zdobytą na wiekach przez resztę Ludzkości. Sam musi naprzód się w nią przyoblec, a potem promienieć jej jasnością dokoła — stąd wypada, że się stanie jakoby przewodnikiem ciepła i światła duchowego między najwyżej stojącemi w tej Epoce lub poprzedniej, a niedojrzałymi, obecnie rozwijać się zaczynającymi, członkami Ludzkości.

By wszystkich onych warunków dopełnić, koniecznie pierś tego narodu dwa główne musi zawierać żywioły: wielką miłość Religii niebieskiej i również wielką miłość do ziemskiej wolności — i to nie oddzielone i powaśnione z sobą, jak w reszcie świata, lecz, owszem, połączone razem i, owszem, połączeniem już niejako wskazujące przyszłość całą Historyi, zapowiadające ów okres pojednania i Harmonii, którego rozpoczęcie kiedyś przeznaczeniem tego narodu, a którego piętnem zlanie się w jedno: świata z Kościołem i Kościoła ze światem. Obywatele więc w takim narodzie powinniby słynąć z głębokiej bogobojności, duchowni zaś z żarliwego obywatelstwa.

Im, równie, jak świeckim, wszystkie urzęda publiczne, bez żadnej nieufności powierzane będą. Stanu osobnego nie utworzą — nigdy nie spasorzytnią się naokół serca narodowego, owszem, zawsze przykład dawać będą przywiązania do ziemskiej ojczyzny i dla niej zaofiarują, ilekroć potrzeba, majątek i gardło.

Z tej samej przyczyny naród ten powinienby należeć do onego kościoła na ziemi, który jeden przez powszechności domaganie się wieczne i nastrój wewnętrzny swój wszystkie kształty możne uspołecznie-

nia zawierający, przedstawia obraz przyszłej, jednej, pojednanej Ludzkości, t. j. do kościoła katolickiego. — Przytem jednak nadużycia w innych stronach ziemi na łonie rzymskiego katolicyzmu zdarzone, jak n. p. inkwizycya i ślepy fanatyzm wojen różnowierczych, nieznane mu będą, lub, jeśli kiedy wyjątkowo zmaże się niemi, to oczewista będzie wszystkim patrzącym, że odstąpił od charakteru swego i że tem odstąpieniem, tą winą gotuje sobie zgubę, ową właśnie, która go doprowadzi do śmierci, przez którą przejść musi, by zmartwychwstać.

Z wszystkich tych wymagalności, którym ten naród dziejami swemi zadość uczynić powinien, łatwo się domyśleć treści jego usposobień i zdolności wewnętrznych. Jeźli ma być oświecicielem i wtajemniczycielem podrzędnych ludów, musi do najwyższego stopnia posiadać wykształconą i tkliwą władzę odbierania wrażeń i odebranych przerabiania i udzielania innym. Lecz wyższe wpływy tylko tak łacno doń przenikać będą, nigdy zaś niższe, barbarzyńskie, bo wtedy zamiast padwyższania niższych, sam-by się poniżył, ulegając ich działaniu. Nic zatem w jego charakterze wyłącznego nazbyt, z resztą świata chrześciańskiego na zabój sprzecznego ni dzikiego być nie może — on żadnemi przesądy, jakby murem chińskim, się nie oddzieli od Europy, żadne wysokie i trudne góry, żadne morza go od cywilizowanej części świata odgraniczać nie powinny. Ziemia jego sama w kształtach swoich powinnaby wyrażać na wszystkich swoich granicach nie przedział i odstrychnięcie się, ale zbliżenie się i zlew.

Na takiej ziemi równej zamieszkując, wspaniałością, uprzejmością, gościnnością, wyobraźnią nader żywą i obrazową, sercem szczerem, otwartem, gorącem, z resztą Europy obcować będzie — a w toku spraw ziemskich zwyczajnym wytsąpić muszą i wady, tych przymiotów siostrzyce, objawi się pozorna lekkomyślność, apostolskie niedbanie o dzień jutrzejszy, brak wyrachowania wypadków, szczególnie tam, gdzie podstęp i chytrość składają rachunku część najprzedniejszą.

Nigdy ten naród w przymierzach swoich z innemi

mocarstwami nie będzie się pilnował zysku bytowego, cielesnego jedynie, owszem, zawsze tylko z temi się zwiąże, które nienajdogodniejsze jemu pod względem korzyści jego osobistej, ale z których najwyższa spływa korzyść dla ogółu świata, t. j. z temi, które stoją w danym czasie na czele ruchu Ludzkości — i w miarę, jak ten ruch od jednych do drugich przenosić się będzie, i on też, idąc za światłem, przymierze z niem wieczne swoje przenosić będzie do innych narodów. Odwaga jego nie chciwa, ni napastnicza, nie godząca na żadne zdobycze materyalne, okazywać się musi lwią i bez żadnego namysłu, jakby natchnioną, skoro o cel jaki święty idzie. Stąd ten naród wystąpi Bohatyrem wśród innych. Bohatyrstwo cechą jego właściwą będzie zawsze i wszędzie, od najnieubłagańszych wrogów mu nawet przyznawaną. Niebezpieczeństwa nigdy nie obliczy ni się przed niem zatrzyma, ale prosto w nie się rzuci, Bogu, w którego wierzy namiętnie, poruczając wynik ostateczny sprawy — słowem, na niwach bytu przeszłego piętnem, go znamionującem, musi być uczucie wrzące i szlachetne, łacno obudzalne, dlatego też właśnie wyczerpujące się czasami i skore nibyto do znużenia — lecz zawsze i na wieki gotowe znów zatleć i goreć.

Kto przeznaczon drugim służyć i dopiero własną duszę odzyskać, gdy ją utraci dla drugich, ten dbać o siebie pilnie, porządnie, systematycznie nie może. Nie miałby potęg przeznaczenia swego, nie władałby środkami, zgodnymi z celem, mu postawionym — nie żyłby żywotem, tym właśnie, który przeżyć musi, by do śmierci się dostać, z której zmartwychwstanie powołaniem mu politycznem i religijnem zarazem.

Wadom więc i usterkom, które zgon na byt jego, na ciało jego, na przeszłość jego spuściły, niema się co tak bardzo dziwić. Zrozumieć je i pojąć trzeba, a to dopiero uskutecznia myśl czyli dusza narodu w chwili, gdy on do wiedzy o sobie i przeznaczeniu swojem dochodzi.

Powiedzieliśmy wyżej, że takowa chwila zwykle przynosi rozdarcie i w kształcie burzy się zjawia. W pier-

wowzorze, którego kształtów dochodzimy, ona musi przypadać właśnie, kiedy i śmierć polityczna, czyli odpaństwienie narodu, utrata cielesności bytowej, bo jeśli ta śmierć, to odpaństwienie, to rozwiązanie cielesne koniecznem, pytam, kiedyżby ono przypadło?

Gdyby przed zjawieniem się duszy, a tożby była śmierć wieczna i ciało, któreby duszy nie miało, ginąc, zginęłoby zupełnie, świadomości o sobie nie przeciągając poza grób swój. Również śmierć przypaść nie może, kiedy po walce duszy z ciałem zlew już ich nastąpił, rozdarcie ukojonem zostało i Duch się wykształcił, bo to początek dni nieśmiertelności. Zatem, jeśli śmierć w losach tego narodu koniecznością, spadnie ona na niego historycznie właśnie wtedy, kiedy myśl jego się rozbudza, kiedy zaczyna z świadomością sądzić o sobie i rozumieć przeznaczenie swe, i dlatego też właśnie śmierć owa będzie tylko śmiercią znikomą, śmiercią, która sama śmiertelna, a nie zagubą na zawsze — nowy wylew żywota, choć pod innym kształtem zdarzon w tej chwili, bo pod idealnym, a nie bytowym, już uratuje konającego od przepadnienia.

Dusza, rodząca się, gdy ciało umiera, zastąpi je i dzieje jej odtąd będą dziejami narodu.

Musi on zatem zejść z widowni politycznej, nie wyczerpnąwszy wcale wewnętrznych sił swoich, ni też nawet nie potraciwszy wszystkich zewnętrznych, bytowych, bo duszy oderwanej czysto od wszelkiego bytu, od wszelkiej podstawy cielesnej niema, ni być nie może — nie będzie więc ten naród ani do szczętu wyrzniętym, ani nawet podbitym długiemi wojny, wyssysającymi zeń zniszczeniem i pożogami samą rdzeń jego mocy. Ciało jego widome stanie się ofiarą potęg chytrych, cieleśnie odeń w tej chwili silniejszych, w konspiracyą szatańsko przebiegłą przeciw niemu związanych, czyhających na każdą słabość jego, powoli i wężowo wkradających się w jego serce, zwodzących go co chwila, wewnętrzną niezgodą go rozrywających, krzywoprzysięgających mu i obiecujących pomoc, a przynoszących zdradę, szczególnie przez zasiewanie zarodów waśni domowej w jego wnętrza, przez obalanie

wszystkich jego usiłowań organizacyjnych i korzystanie z jego nawyknienia do wielkiej wolności, zatem i do szczerości, otwartości, niestrzeżenia się i wielomówstwa. W chwili właśnie, gdy dusza mu się rodzi i zaraz głęboko przemyśliwać zaczyna nad naprawą ciała schorzałego, ono ciało ulegnie rozbiorowi i zewnętrzny wszystek widomy jego organizm zniszczeje pod ręką nieprzyjaciół — ale zato ręce owe sąsiednie, nieprzyjacielskie duszy, dopiero co zjawionej, uchwytać nie zdołają — nastąpi stan śmierci Ducha tego zbiorowego, podobny ze wszystkiem do stanu śmierci, któremu podlega wszelki Duch szczególny. — Dusza, oddzielona od ciała, z przewagą idealności swej, z niedomiarą bytu, wspominać zacznie przeszłość i rozmyślać nad przyszłością, przeszłe winy rozpoznawając, wytykać sobie błędnie drogę powrotu do życia, a to przy ciągłem cierpieniu, przy niesłychanych wysileniach, podjętych dla otrząśnienia się z niebytu, a które długo, długo bez widomego skutku pozostać muszą.

Będzie to niejako stanem czyscowym dla Duszy wielkiego narodu. Ciśniona zewsząd okrutnym jarzmem, zraniona codzienną niesprawiedliwością, cierpiąca, błądząca, gotuje sobie nieopisanym żalem i równie nieskończoną siłą idealną wiary i nadziei przyszłe, nowe ciało na dzień zmartwychwstania.

Co do przeszłości, rozważając byt swój przeminiony pozna na Historyi swej jakoby palec Boży położon, uzna, że pomimo grzechy i błędy najbielszą ma kartę w dziejach europejskich, najmniej skalaną zbrodniami, najściślej chrystusową, a to szczególniej dlatego, że najmniej myślała o sobie, że ciągle pomoc i ratunek niosła drugim i dla nich się poświęcała. Uznawszy to, poczuje się do niechybnego posłannictwa na przyszłość i zrozumie je, rozwijać tylko takowe może, wciąż poświęcając się i łącząc nadal sprawę własnego zmartwychwstania z sprawą wszelkiego dobra i piękna w Ludzkości, w jedno więc zleje myśl własnej niepodległości z myślą o niepodległości innych ludów i wolności świata. Ile razy zdarzy się sposobność, ona

odpowie na to hasło. Jęcząc śród Europy i zrywając się z grobu, to weń napozór zapadając głębiej, nie opuści żadnej pory walczenia z niesprawiedliwością, sobie wyrządzoną, a tem samem i całemu człowieczeństwu — nie będzie pola bitwy jednego, na którym losy świata się rozstrzygnąć mogą, bez jej przytomności. — Stawać na nich będzie ostatkami rozproszonemi ciała swego, jak mara tęskna, chcąca, a nie mogąca, lecz chcąca wiecznie i wierząca bez miary.

Któż się nie dorozumie, że z takowego stanu próby i cierpienia wynikną nieraz myśli i dążności przesadne, zbytnią wyłącznością napiętnowane, podobne do onych marzeń, których po śmierci każda dusza osobnicza doznaje, gdy jasno wprawdzie wie, że ją drugi żywot czeka, ale nie może działalnie odrazu wystąpić z potęgą czynu, przez odpadek ciała jej odjętą. To właśnie pasowanie się jak gdyby w próżni, ta właśnie niemoc mimo żądzę trwającą, to, a nie co innego, śmierci jest trudem — męką — ofiarą — jest onem przejściem utrapionem i smętnem z jednego życia ku drugiemu — jest dopełnieniem onego warunku rozdarcia, niższym Duchom położonego na to, by się na wyższe przeobrazili.

Nikt albowiem bez namysłu i rozmysłu, bez tysiącznych wahań się, dociekań, śledzeń, bolesnych zawodów, opadnień sił myśli i przemiennych dźwigań się jej nie dojdzie do przepojenia się Chrystusowością swą własną, obudzoną w nim przez objawienie Syna bożego, a zatem nie dostąpi wyższej rzeczywistości okręgów. — Duch zbiorowy narodu zupełnie taką samą kolej przebyć musi, jak osobniczy, jeśli zmartwychwstać ma i napowrót stanąć w kole żywych, upaństwionych, w czyny polityczne twórczych narodów — a jeżeli do tego ma stać się dziejowym pierwowzorem ich nieśmiertelności planetarnej, musi jego dusza odpaństwiona przepoić się w śmierci istotną Chrystusowością duchów zbiorowych, której dotąd na ziemi nie było, a której zależy na wcieleniu przepisów Chrystusa we wszystkie kształty wewnątrz- i międzynarodowe na

świecie. — Takie zaś wcielenie i zastosowanie, będąc nowym wylewem ducha chrystusowego z ciasnych granic, w których go dotąd świat trzymał, na wszystkie światа tego obszary, koniecznie dąży do utworzenia nastroju wznioślejszego, rozumniejszego i świętszego nad ten, któren, dotąd istniejąc na ziemi, kaleczył wszędzie prawo Wszechmiłości, a tem samem i wszechrzeczy natury. Nie inna wnętrzna, nieznana jakaś, świeżo narodzona, przewracająca wszystkie dotychczasowe wiary i pomysły, wydobywa się Siła, ale nowy do siły już objawionej, nieskończonej w sobie i coraz wyższego kształtu domagającej się, przypaść musi organizm na podobieństwo onych coraz doskonalszych machin, które w świecie natury nie odkryciem są nowej siły fizycznej, ale wynalazkiem, lepiej odpowiadającym wiecznemu prawu Siły już znanej i dlatego daleko wyraźniej ją objawiają, jej wywarcie się pełne a harmonijne na zewnątrz ułatwiając. — Lecz jako taka machina nowe przedstawia kształty i niedoznane nigdy wprzód wpływy Siły onej wywiera, bo niejako stała się dla niej ciałem o wyborniejszych zmysłach, z jej wewnętrzną prawdą zgodniejszych; takoż i podobny Organizm będzie w czynie i wszelkiej rzeczywistości nie odmianą, ale przemienieniem i rozszerzeniem Słowa chrystusowego. —

Będzie niem, niem samem, ale z posetnioną potęgą na świat się wywierającem, niem, ale w ruch i życie wprawiającem ogromy, niem, ale już w ciele zbiorowem, które miasto dwoma milionami ócz zapatrzone w niebo, milionami ust Boga chwali i milionami rąk planetę tego wypracowuje na ołtarz święty i niepokalany, ku ostatecznym celom swym biegnący w przestrzeniach. Niezbędnemi więc warunkami dla duszy, przystępującej do myślenia o takim organizmie duchów zbiorowych, nasamprzód pojęcie Chrystusa we wszelkiej prawdzie i zrozumienie wszystkich stosunków, wiążących Ludzkość całą, nie już tylko osobników, z Bogiem.

W duszy zatem onego narodu, myślą i tęsknotą pracującej w grobie, musi nastąpić przedewszystkiem

rozświetlenie religijne, musi się ono w niej wyrobić i jako łaska zesłana jej w natchnieniu i jako zasługa własnego jej idealnego trudu, domysłu, żądzy gorącej, smutku głębokiego — w jej wnętrzach musi się urodzić dzień obiecanej przez Chrystusa pociechy, dzień Ducha Świętego, który wytłómacza i uwielbia Chrystusa — w jej śmiertelnych ciemnościach musi dnia tego zajaśnieć widzenie — wiedza religijna na miejscu samej ślepej wiary wtedy się rozwidni, a przed wiedzą oną odtajemniczyć się muszą tajemnice, dotąd niezrozumiane lub zaprzeczone, nigdy zaś jeszcze nie odtajemniczone, bo odtajemniczenie wcale nie ujmą, ale owszem, rozwielmożnieniem się i uwielbieniem wszelkiej tajemnicy, gdyż prawda, dotąd przesłonięta, staje się za przesłon usunięciem gorejącą i widną, jak słońce. Odpadają od niej tylko wyziewy, nie składające wcale jej treści ni kształtu, jedno między nią a naszemi oczyma wiszące. Słońce samo nie może nie być, one zaś, tak jak wprzódy mogły być, teraz nie być mogą. Przejąwszy się prawdą oną, która już nietylko wiary, ale przekonania i myśli dowodzącej przedmiotem, a zatem jakoby podwojoną wiarą, dusza ta w grobowej idealnej twórczości swej przejdzie do wymiarkowywania i odkrywania środków, zapomocą których układ wszech świeckich rzeczy może do słów Zbawiciela przypaść na to, by one przestały być słowami tylko powtarzanemi, a przeszły do stanu czynów, czynionych we wszystkich okręgach ludzkiej zbiorowej działalności, w politycznych, handlowych, społecznych i t. d., i t. d., i stąd rósł właśnie ten świętszy porządek, ten harmonijniejszy nastrój narodów i Człowieczeństwa.

Nie inny cel, nie inne rozmyślanie, zadane z konieczności tej duszy, od ciała dawnego oderwanej, a ku nowemu się przysposabiającej w czyścowym swym grobie. Owóż przesada nieuniknięta, o której wspomnieliśmy wyżej, zapewnie na tem zależyć będzie, iż ta dusza w chwilach wielkiej goryczy niekiedy zażąda odrazu dorwać się następnego ciała i nie wymiarkuje,

że nie przeszła jeszcze przez wszystkie stanowiska śmierci. Patrząc wciąż idealną myślą w cel Ludzkości ostateczny, w Królestwo boże na ziemi, którego roztwarcie jej przeznaczeniem, wstęp doń pomięsza z jego najwyższym rozkwitem, czyli dni obecne z dniami, mającemi rozwiązać Historyą Człowieczeństwa.

Cel zatem w takowych chwilach pogmatwa ze środkiem, doń mającym stopniami dowieść, i zechce jednym podrzutem przeskoczyć przez wieki — widzenie ciągłe, że tak powiem, magnetyczne, zwykłe duszom, bytu pozbawionym. Widzenie przyszłości w dokonaniu już każe jej zapomnieć o wszystkich przedwstępnych kształtach i rozwojach uspołecznienia, oddzielających czas nasz od końca ziemskich czasów. Stąd wynikną wszystkie pomyłki duszy onej, która jednak za każdą odmylać się niejako musi i wzrastać w rzeczywiste prawdy pojęcie, w którem nietylko cel ujrzan i widzian, lecz i środek także doskonale poznany i opanowany.

W stanie śmierci największym trudem jest rzeczywistości ocenienie i powrót do niej, wszelki cel ostateczny, idealny daleko łatwiej się pojmuje. Stan wszelkiej duszy pośmiertny z wielu pomyłek się składa i one to stanowią ból śmierci, który w końcu przebyty i przezwyciężony być musi. I dusza ona narodowa, wiecznie zapatrzona w Ideę świętą, wielką, prawdziwą, wreszcie dojdzie ciągiem zawodów, cierpień i rozmysłów do możności odzyskania bytu, czyli utworzenia sobie nowego, a już nieskazitelnego ciała na ziemi.

Dopiero za tym powrotem na niwy widome a rozszerzone żywota wystąpi w chwale Duch narodowy, pierwowzorny dla innych, zgodny z prawdą idealną, odkrytą, zauważaną i udzieloną z łaski bożej w grobie. Nie będzie już waśni między wiedzą a bytem, duszą a ciałem. — Z nich jedna twórcza Jaźń narodowa zmartwychwstała — i ten duch zbiorowy wprowadzi ludy inne na drogę, wiodącą do Kościoła Ludzkości.

Żywot jego przeszły, męka, śmierć, oddział duszy od ciała i długie przemieszkiwanie w grobie innego nie mają znaczenia; właśnie są stanowiskami różnemi jego ducha, kształcącego się w świecie duchów zbiorowych, tak, jak duchy szczególne, ludzkie się kształcą, żywot swój żyjąc rozmaitemi życiami swemi, a ku żywotowi wiecznemu się kierując. On pierwszy nieśmiertelności narodowej dowiedzie pod warunkiem Chrystusowości narodu. On pierwszy tę Chrystusowość narodową wniesie w świat, tak, jak pierwszy Chrystus objawił nieśmiertelność pod warunkiem połączenia się z słowem bożem wszelkiego szczególnego Ducha ludzkiego. Odtąd w tę prawdę wierzyć będą Duchy zbiorowe, rządy, państwa, mocarstwa, ludy i przemienić się będą musiały na Chrystusowości zbiorowe tak, jak osobnicy przemienili się na chrześcijan przed dwoma tysiącami lat i to stanowić właśnie będzie wstęp do Królestwa bożego na ziemi, bez któregoby duchy nasze, jakośmy wyżej powiedzieli, do żywota wiecznego wyrobić się i dójść nie mogły.

A teraz zastanówmy się! — Jestże taki pierwowzór tylko przypuszczeniem naszego rozumu, tylko przewidywaniem czegoś, bez czego historya nie zdoła się obejść, a co dopiero później śród niej się objawi i rozwinie, albo-li też dokonywującą się już, wielką, pełną rzeczywistością, którą wszystkich oczy oglądały i której ran najniewierniejsze dotknęły się ręce? Istniejeż na ziemi naród ogromnej i wspaniałej przeszłości, za dni teraźniejszych obran z widomego ciała a duszą nie znękaną, wciąż z grobu się wydzierającą, obdarzon? — Naród mimo zawody i męki nieopisane pełen wiary i nadziei w przyszłość, pełen miłości silniejszej, niż śmierć sama, bo do czynów pośmiertnych i śródśmiertnych go wiodącej, tak, że owa wiara i nadzieja i miłość wyglądają na coś nadzwyczajnego w świecie, na natchnienie, z niebios płynące, na nowy, otwierający się związek religijny między człowieczą a bożą wolą, między uciśnionym, przekonanym, że musi sprawiedliwość wiekuista zstąpić w okręgi polityczne, a tąż sprawiedli-

wością, w nie niezstąpioną jeszcze? Gdzież naród, który jest a którego niema zarazem, który zniknął ze świata żywych, a co chwila przypomina się im, jednych zaś wtedy chwyta jakoby wesele niebieskie, a drugich złość piekielna i strach!? Na takowe zapytanie nie odpowież-że każde dziecię europejskie Polski imieniem? Zaprawdę, że niczyjem innem!

Coby z bezpośrednią pewnością dziecku z serca i z ust wyleciało, postaramy się udowodnić dalszemi uwagi. Wszystkie cechy naszego pierwowzoru, które były niejako idealną Treścią Polski, sprowadzim teraz do zmysłowych, że tak powiem, zdarzeń, z których-eśmy je wybrali. Będzie to zawrotem od Ideału, porodzonego przez Rzeczywistość, do Rzeczywistości, mającej tenże potwierdzić Ideał.

* * *

Polska poczęta w łonie Słowiańszczyzny i z niego urodzona na świat dziejów ludzkich. Jej stosunek do całej Ludzkości ściśle spojon z jej stanowiskiem śród ludów słowiańskich. Naszem zdaniem, ona najdobitniejszą wyobrazicielką losu, im wszystkim wspólnego, ona ich dążeń zbiorowych najwyższym duchowym wykwitem. W niej te ludy mają świadomość swoją, w niej i przez nią obcują z człowieczeństwem i całą przyszłością. Na dowiedzenie tego twierdzenia trza nam wprzódy należycie ocenić, na czem zależy historyczna Słowian osobistość — porównajmy więc ich z temi dwoma drugiemi szczepami: romańskim i giermańskim, które wraz z niemi od wieków Ląd europejski dzierżą.

Plemię romańskie, złożone z Włochów, Hiszpanów, Francuzów, a któremu ci ostatni przewodniczą, przechowało najwięcej podań ze starożytnego świata, jako też język, łacińskiemu najbliższy. Ślad w niem pogańskiego hartu i pogańskiej praktyczności. Zawsze i wszędzie bardziej zewnętrznego, dotykalnego kształtu, niż nieujętnej, wewnętrznej treści chciwe. To plemie szcze-

gólnie sięga celów doczesnych, w których żywioł świecki w oderwaniu od zaświatowego, wiecznego przemaga — a chcąc, co tylko pomyśli, natychmiast na oczy obaczyć, gardząc Ideą, któraby nie miała zaraz i odrazu w ciało się oblec, tem samem nie daje sobie czasu potrzebnego do obleczenia jej w ciało, jej odpowiednie — czasem znowu, wyczerpnąwszy kształt jakiś zwierzchni, a prześlepiając wieczną treść jego, z którejby następny wyprowadzić można, zarazem depce i po nim starym i po niej, co młoda na wieki; tak się zdarzyło z Chrześcijaństwem całem podczas Rewolucyi francuskiej. — Stąd ciągła, bezspokojna, porywcza działalność, łacno przeradzająca się w gwałt i okrucieństwo. — Nauka o miłości bożej dójdzie w Hiszpanii aż do tortur Inkwizycyi. — Nauka o wolności i godności rodu ludzkiego aż do giliotyn i rzezi we Francyi. W sztuce to plemie najlepiej pojmuje piękność klasyczną, miarę doskonałą, ale li zmysłowych, zewnętrnych zarysów. W religii niesyte obrzędów, czyli takoż zewnętrzności zmysłowych. — Czy w złem, czy w dobrem do ostateczności skore, zarówno zdatne do roli, przemysłu i handlu. Sławą wojenną głośne we wszystkich porach Historyi, ono śród epoki chrześciańskiej wyraża kierunek oderwany bytu, całą jego cielesną potęgę, a zarazem wyłączność i brak, dziejami swemi uwidamiając po starożytnemu, ono stara się o ziemską posadę, o Rzeczpospolitę, w którejby prawo, z samej woli ludzkiej zrodzone, bez związku i zgody z niebieską, rządziło szczęśliwie rodu człowieczego losem. Możnaby je nazwać w najogólniejszem znaczeniu plemieniem politycznem.

Wtóre, giermańskie, wbrew przeciwnego usposobienia, o kształt zewnętrzny mniej dbając, wewnętrznej treści się pilnuje — rozmaitością gardząc, o wykrycie Jedni idealnej we wszystkiem się stara, albo ją sercem wszędzie rozlaną uczuwa — a wtedy rodzi się w jego uczuciu rzewny mistycyzm — albo nad daną religii rozumuje, a wtedy w jego dziejach zdarza się Reformacya, albo też, daną odrzuciwszy, szuka innej, jedniejszej jeszcze, a wtedy w jego umyśle powstaje filozofia najidealniejsza, najoderwańsza i najmisterniej wypracowana

ze wszystkich na świecie. Czy w tem, czy w owem okręgu, dość na tem, że zawsze tylko nad Ideą duma, marzy, przemyśliwa — zawsze w nią się zatapia, jak w jakiej wieczności, a o świecie codziennych zdarzeń i czynów rada zapomina.

Stąd umysłowe bohaterstwo, graniczące z szałem, stąd i świecka uległość, sięgająca podłości nieraz. Protestantyzm w tej samej chwili, w której się z pod duchownej przemocy Rzymu wydzierał, w której ogłaszał wolność myśli człowieczej, dał się ułowić w sidła władzy świeckiej, uznał królów i książąt papieżami swemi. Do dziś dnia król jeszcze zwoływa synody jego i każe im budować świątynię nową z przeżytych już żywiołów. Kiedy romańskie plemię raczej przystanie na niewolę myśli, byle w stosunkach świeckich wszelką wolność osiągnęło, giermańskie łatwo się zgodzi na dotykalne jarzmo, byleby otrzymało niezależność myśli i prawo niepodległego w jej okręgach rozumowania. Papieża nie ścierpi za Alpami, ale każdego pana na własnej ziemi znosić cierpliwie będzie. Rozbrat, który z rozwojem chrześcijaństwa na świat przyszedł, uwiecznił się niejako i zosobiściał w krwi giermańskiej — przejściowy rozłam między myślą a bytem, duszą a ciałem stał się jakoby właściwą tego plemienia naturą. Wszystko przeczuć, zapowiedzieć, wywieść i wszystkiego dowieść potrafi — ale wszelkie wykonanie niesłychanem mu trudem. — Bierze się doń leniwo i smętno. — Czynami myśli wyprzedza innych, politycznemi zaś się ociąga i pozostawa z tyłu. Dusza jego poza wiekami przyszłości, a ciało daleko od niej się wlecze śród wieków przeminionych. Stąd ciągły z Francyą spór i tych dwóch tak sprzecznych skłonności długie nieprzepajanie się; w najogólniejszem znaczeniu nazwać by można ducha giermańskiego filozoficznym.

Śród tych dwóch plemion występuje trzecie, słowiańskie, nie goniące wyłącznie za doczesnemi przypadki ni też fanatycznie zapatrzone w światło oderwanej od świata mądrości, a temi trzema szczególnie naznaczone piętnami: że wszędzie zatrudnia je uprawa roli, że od wieków uciska je przemoc obcego czy swojskiego ja-

rzma i że głęboko wierzy w bezpośredni, nieustanny związek Wszechducha z Wszechświatem. Żyjąc śród niezmiernych pól, wielkiemi miastami nie obwarowując się od natury, bardziej, niż inne plemiona, zatrudnione przemysłem i handlem, pozostali Słowianie w ścisłem połączeniu z wszędobytem bożyn, po całej naturze rozlanym, a skądinąd ból, doznany przez wieki, przekonywa ich, że miłość bez czynów równie byłaby czczą i marną, jak czyny bez miłości okrutnemi i nikczemnemi. Cierpią, ale nadzieję mają, nie przystawszy w głębi sumienia na rozdział polityki ziemskiej od wiecznego pomysłu Bożego. Wszystkie ich najstarożytniejsze ustawy i obyczaje noszą znamię braterstwa, stowarzyszenia wspólnej pomocy. — Przed Chrześciaństwa przyjęciem już w nich coś chrześciańskiego — wielka cierpliwość, brak mściwości, przebaczanie uraz z rzadkiemi wyjątki snują się przez całą ich historyę. Choć bitni i dziarscy, zupełnie pozbawieni chęci zdobyczy. — Twórczość ich ani w sztuce, ani w filozofii, ani w przemyśle, ani w żadnych wynalazkach materyalnych nie wydatna, ale za to w najrozmaitszych kształtach uspołecznienia wewnętrznego towarzystw ludzkich widoma i wydającą inne porządki od obyczaju romańskich i giermańskich ludzi; we wszystkich słowiańskich wykształtach przebija dążenie do zapewnienia najrozleglejszej wolności każdemu osobnikowi, a zarazem jednak do najwalniejszego skupienia sił ich społem w jedną zbiorową, dążącą do jednego celu. Ta właśnie twórczość społeczna, w najdrobniejszych żyłkach i włóknach organizmów narodowych składająca swoje utwory, uratowała narodowości słowiańskie, mimo, że każda przechodzi przez chwilę, w której wygląda na spożytą, rozsypaną, zmarłą.

Obdarzeni więc Słowianie raz zmysłem zawiązywania się w braterstwa zbiorowe, powtóre wiarą w każdochwilne wywieranie się bożej opieki, niejako w ciągłe obcowanie potęg niebieskich z świeckiemi i stąd głęboką bogobojnością przejęci. Zatem już w ich rodzinnem usposobieniu tkwią owe dwa główne przykazy, zakon cały zawierające, zawsze dotąd w dziejach roz-

dzielane, choć je razem i nierozdzielnie Chrystus objawił, a które zarówno obowiązują i do miłowania Boga nadewszystko i do kochania bliźniego w równi z sobą samym; choć na nieskończoną ilość rozmaitych kształtów ten przepis dwoisty, a jeden, rozgałęzić się może, jest on jedyną, wieczną, tąż samą treścią wszelkiego żywota, jest spójnią wszystkich żywych pomiędzy sobą i wszystkich ich razem z wszechżywym Duchem. Jest właśnie Religią, bo wiąże, spaja, »religuje« wszystko, co tylko jest i być może. Dla tego też można plemię słowiańskie w porównaniu z politycznem, romańskiem, i filozoficznem, giermańskiem, oznaczyć mianem religijnego — a to właśnie w owem najobszerniejszem i najdopełniejszem znaczeniu, które nie dopuszcza rozdziału między prawem bożem w niebie a ludzkiem na ziemi, ale owszem, w jedną sprawiedliwość i ład godzi wszelki byt z wszelką Idealnością, wszelki świecki porządek z wszelkim duchowym, państwo z Kościołem, politykę z chrześciańską miłością, wszystko, co jest, z tem, co być powinno.

Już za czasów Chrystusa rzymscy mędrcy i statyści przezywali takie pojęcie święte Królestwa bożego albo utopią, albo też ciemnotą, a samych chrześcijan darzyli imieniem: *Lucifuga natio.*

Za dni naszych szczere, niewymuszone czucie słowiańskie, zawierające w głębiach swoich przeczuciową dążność do urzeczywistnienia takowych pojęć, podobnież do mędrców giermańskich i romańskich statystów potępione, wyśmiane, okrzyknięte za utopią lub prostoduszność. W istocie, do pewnej chwili w czasie, do pewnego rozwoju w umyśle ludzkości, zawsze wszelkie proste, niespaczone uczucie prawdy wiecznej bywa jakoby szaleństwem lub niedołężnością. Doznawa losów niewinnego człowieka, otoczonego mnóstwem rozbójników, którzy, w jednem z nim więzieniu zamknięci, nie mogą zasad jego pojąć i nawet jednomyślnem ich zaprzeczeniem serce mu i rozum w końcu mieszają. Dotąd źle, po świecku się wyrażając, kończyły się ludów słowiańskich koleje; ponad ich dziejami panowało ciągle ono Fatum, które łagodnych

i cichych prześladuje na ziemi, nim ziemia według słów Chrystusa dostanie się pod zarząd łagodnych i cichych. Prócz Moskwy nie urządziły się w twarde i srogie na zewnątrz mocarstwa, nie zagarnęły i nie wpoiły w siebie innych plemion, zbywa im na portach, na ludnych miastach, na giełdach, na zakładach i fabrykach wszelkiego rodzaju, na wszystkich bogactwach, wygodach, korzyściach, rozkoszach, któremi się cieszą inni na świecie. Na stanowisku li praktycznem, nie pytającem o nic dalszego nad potoczny, obecny wypadek, możnaby wyrzec, że nie udało się im na kuli ziemskiej, i dodać, że są: *Lucifuga natio.* Ależ w tem właśnie moc ich cała — oni najpóźniej wstępują w świat. Nieudanie się przeszłości, a przytem zachowanie istoty i wzrost życia codzienny wykazują przyszłe powołanie, ze wszystkiem zgodne: i z chwilą, do której doszła świata historya, i z żywiołami, danemi z łaski bożej, głęboko w ich charakter plemienny wkorzenionemi. Co przygotowało plemię romańskie i germańskie, każde z osobna i sprzecznie, to skojarzyć, to natchnąć iskrą życia przychodzi słowiańskie. Sprawiedliwość na ziemi nie już marzyć ani też gwałtownie próbami na chybi trafi rozprowadzać, ale osadzić i utrwalić przychodzi.

Tu porozumiejmy się jaśniej, rozprawmy się szerzej! W świecie osadzić i utrwalić to tylko można, to jedynie, przez co świat sam osadzon i utrwalon — prawda tylko przyjmuje się naprawdę. To tylko życiodajnem, co twórczem, a twórczem to tylko, co zaczerpnięte u źródeł, w których i cały nastrój Wszechstworzenia. Rozstrzygnęłyż kiedy rzeczywiście i spełna losami dziejowemi rodu ludzkiego Polityka lub Filozofia? — Kiedy kazano wiekom iść przez czas na przebój, iść naprzód w krwi i pocie czoła na zdobycie dobra, oświaty, postępu, kogoż usłuchały wieki? Platona-ż? Nie — stały na miejscu, póki namawiali tamci — ruszyły dopiero za Chrystusa skinieniem.

Co może byt, oderwan od myśli? Co potrafi myśl, oderwana od bytu? — Nie są sobą samemi, jakżebyż z siebie stworzyć co zdołały? Pełni żywota nie urodzi ni przebiegłość dyplomatyczna, ni najdzielniejsze bo-

hatyrstwo wojenne, ni żaden przypadek, okoliczność, wydarzenie na polu praktycznem, słowem żadna polityka, bo jej zbywa na świadomości ostatecznych powodów i celów i sama się przecież Trafu ślepego wieczną igrą uznaje. — Nie wyda też owej pełni z siebie żadna wiedza li idealna, żaden pomysł li teoretyczny, żadna filozofia; bo, choć świadoma powodów i celów, pozbawiona władzy ich wcielania, bo pojmuje wszystko, ale w żadnem zdarzennem ruchu nie bytuje, bo nareszcie wieczną jest niewolnicą nie ślepego trafu wprawdzie, ale nieubłaganej konieczności — konieczności własnego rozumowania — i im wynikliwiej, począwszy od wyłącznej zasady, ją przeprowadza, tem srożej się obłąkiwa. — Tym dwom rozkładnicom życia — temu, że tak powiem, ciału przedmiotowemu i duszy przedmiotowej Historyi, czegoś niedostawa, czegoś trzeciego na to, by mogły przyjść do siebie i przepoić się nawzajem w jedną całość żywą — przecież i w osobniku najwyższą potęgą ni ciało, ni dusza, ale on trzeci duch, co sprzęga je razem, z którego one są, a u których on żyje! — W nim dopiero osobistość, wolność, wola i, z niej płynący, stworzenny czyn. — Otóż w przedmiotowym świecie takim duchem, taką Jaźnią — taką osobistością twórczą ni Polityka, ni Filozofia, ale Religia — inaczej być nie może. Cóż dziwnego, że ta tylko potęga ostatecznie stwarza, której istotą jest związek i obcowanie Duchów stworzonych z Duchem Stworzycielem? Bez niej tamte obie wyrzec skutecznie słowa »stań się« do żadnego okresu historycznego nie mogą. — Ich właściwym trudem gromadzić przez wieki przybory, do chwili stworzennej potrzebne, lub na gruz dawnych epok rozkładać zwaliska. Jako ciału i duszy każdego z nas za długie prace najwyższą nadgrodą zdarzona w Duchu chwila natchnienia, chwila nieobalalnych postanowień, możność do wielkiego czynu, tak samo polityce i filozofii w świecie historyi za długie zasługi na polu czy zdarzeń, czy myśli, najwyższą nadgrodą objawienie religijne — możnaby powiedzieć, że Religia jest genialnością planety — w tej tylko chwili, w tej jedynie do

serc skończennych, jak grom zstępuje nieskończona miłość i wszelką moc polityki z wszelkim filozofii umem przetapia w jeden płomień razem. — Co bez miłości stać się może? Co bez miłości czy duchowi ludzkiemu czy archanielskiemu jakiemu się uda? — Ona ciału użycza lekkości myśli, myśli nadaje bytową dotykalność ciała — wtedy dopiero coś wykonać, czegoś dopełnić, coś zbudować można.

Plemieśmy słowiańskie religijnem nazwali, bo się nam zdawało, że właśnie takowa miłość nie tylko chwilowa, znikoma, ale ciągła, ale ubytniona, tkwi rodzimie w jego usposobieniu. — Dotąd żadna zbiorowość ludzka sama przez się, z przyrody swej, z charakteru swego, Religijnością przedmiotową nie była. — Zdarzały się tylko takie polityczne lub filozoficzne ogóły, a religia tylko, jak błysk, rozświecała świata ciemności i przemijała — nie osadziła się nigdy w żyłach, w muszkułach, w krwi, że się tak wyrażę, ludu jakiego. — Co nią nie jest właśnie, a ją udaje i przedrzyźnia, Fanatyzm, tak działał — wcielał się w Arabów, nienawidził, mordował i niszczył — ale miłość wiekuista, miłość chrystusowa nigdy dotąd — i dlatego też wszechmyśli chrystusowej na świecie, uprzedmiotowanej w państwie jakim, w jakim świeckim nastroju, nie było. Szczep słowiański na pierwszą taką urzeczywistnioną Religijność wygląda i rozwój jej pełny z siebie zapowiadać się zdaje. —

(Reszty brak).

O KRYTYCE W OGÓLNOŚCI.

(KILKA SŁÓW O JULIUSZU SŁOWACKIM.)

Krytyka jest siłą o dwóch kierunkach. Jeden nazwałbym dodatnim, drugi ujemnym — pierwszy albowiem uznaje i podziwia czyli twierdzi piękność, drugi przeczy ją, czyli brak jej wytyka i wykazuje, czemu to, co szpetne, nie domaga i w chorowitości swojej, choć stara się o piękność, właśnie jest niedopięciem jej, a tem samem jakoby niedorównoważeniem chęci i skutku, niestożsamieniem pomysłu i urzeczewiszczenia; — niedołężną na wieki pozostać musi każda krytyka wyłącznie tylko ujemna, zapatrzona ciągle w brak piękności, tak, jak ślepy człowiek w brak światła — bo wytyka tylko próżnie, niezapełnione życiem, a od życia twarz odchyla, jakby jej właściwym celem było budować gmach powtórny z wszystkich rozsypanych ułomności, wad, błędów i brzydot po świecie, kiedy owszem jej świętem powołaniem przykładać się do wzrostu i uzupełnienia tego drugiego, podpowietrznego gmachu, który unosi się ponad światem, a jednak z świata jest i świata się trzyma, jak kwiat wierzchni dolnej łodygi, jak malowne chmury widnokręgu planety, jak stan boski Ducha stanu podrzędnego duszy ludzkiej — tego gmachu, mówię, coraz rozleglejszego i wyższego, rosnącego w nieskończoność, a w którego kształty widome sztuka wciela od wieków i na wieki niewidomą ideję piękności.

Coś pięknego ujrzeć, ocenić i uznać jest jedną z najwyższych ducha rozkoszy, lecz takowej zabraniają sobie zwykle krytycy; — zajadłe, pogańskie serce wre im w piersiach, miłością chrześcijan nie przepoili się dotąd, kochają się wściekle w ujemnym siły swojej kierunku. Ten wyłączny kierunek nie za część, za środek,

ale za całość, za cel uważają; — gnani tej pomyłki wiatrem, gdy wysuną się z portu, gdy rozpuszczą żagle, płyną wprawdzie, ale po wielkiej nicości.

Otóż w niniejszej rozprawce postanowiliśmy, na przekór im, a na pociechę nam samym, trzymać się dodatniego kierunku — postaramy się, mówiąc o wielkim duchu poetyckim, któremu na imie Juliusz Słowacki, raczej wytknąć, w czem zasłużył się piękności, niż w czem przeciwko niej zgrzeszył; niemasz albowiem na tej ziemi znikomych ani życia bez grzechu, ani dzieła sztuki bez pewnej niedoskonałości, już stanowiącej, że tak powiem, koniecznością swoją tragiczność wnętrzną samego dzieła. Ta tragiczność wnętrzna dla artysty, gdy zanadto na jaw wysunięta, staje się komicznością dla widzów. Lecz my daleko tu stoim od wszelkiej takiego rodzaju śmieszności, owszem zdaje się nam, że w dziełach Słowackiego mimo wszelkie ujemne, przeciw nim wysypane, krytyki jest taka miara prawdy i piękności, że przez tę miarę ich wady zbawionemi i odkupionemi są — a gdzie zbawienie i odkupienie, tam życia zwycięstwo.

Lecz oddzielnie pojąć i ocenić Słowackiego nie sposób — nie tylko Słowackiego, ale nic na świecie, bo wszystko zasuwa się na siebie, bo każden szczegół, choćby wyglądał na całość, jest płynącą częścią wyższej całości. Słowackiego rozumieć można tylko w logicznem następstwie po Mickiewiczu, tym ogromnym *fiat lux* literatury polskiej; zatem zaczniemy *ab origine rerum*.

Przed Mickiewiczem — daj Boże, byśmy tą książką popełnili pomyłkę — przed Mickiewiczem, o ile nam widno i wiadomo, nie było poezyi w Polsce. Leżały tylko nagromadzone materyały, w takim się do niej mające stósunku, w jakim chroniki, biografie i pamiętniki mają się do prawdziwej historyi. Polska, póki jej sił stało, hasała na zewnętrznem polu życia. Czy w domu gospodarząc i biesiadując, czy na sejmach radząc i deklamując, czy na pobojowiskach walcząc i zwyciężając, w czynie nagłym, doraźnym, widomym zawżdy się kochała. Dopiero na ścieżce do grobu poezya się przed nią, jak kwiat, wykłuwać zaczęła, na samym grobie zaś z pączka przemieniła się w stulistną

a czarną różę, dziwą i ponurą wśród róż wszystkich. W tym kwiecie śmierci i życia zarazem barwa posępna świadczy, że z prochów wyrósł, że na gruzach rośnie, a coraz bujniejszy wzrost objawia, że żałoba nie jest nicością, że ból nie jest ostatecznym końcem i że z bólu zmartwychwstaje duch.

Czyn, którym duch nasz się objawił po rozebraniu się z ciała politycznego, zowie się Mickiewiczem. On pierwszy z odmętu rozbujałych fluktów, mówiąc Krasickiego mową, odgarnął polską ideę piękności i w kształt organiczny ją oblekł; potrzeba mu było na to tego, co jest treścią i zasadą w każdem tworzeniu, potrzeba mu było olbrzymiej, wnętrznej, rodzimej siły czyli energii. Siłą tylko skupiań, siłą dośrodkową, można niewidome zamienić na widome, to, co jest, ale bez ciała, zmusić do obleczenia się w ciało, a tem samem do objawienia się; stąd w średnich wiekach wyobrażenie o potędze nadziemskiej czarnoksięzników, tych praktycznych poetów, których zaklęcie kuło duchy niewidzialne w kajdany kształtów widomych; otóż podobnie zaklął Mickiewicz polskiego ducha poezyi i, jak Tytan, skupił go objęciem ramion, ścisnął go w żelazny pierścień natchnienia — a duch stał się dotykalną pięknością. Wszystko, co wprzódy, rozlane lub rozbite, pływało niesfornie lub opadało prochem, zeszło się w kształt sforny i rozumny. Stanął grunt poezyi naszej, opoka wnętrzna tego intelektualnego planety wychyliła się na jaw. Czem Alp ogromy, czem piramidy pustyni, czem wszystko, co zasadnicze i wzniosłe, a zarazem nieporuszone i wieczne, tem Mickiewicza dzieła — w nich nadewszystko przemaga siła dośrodkowa, siła wcielań i twierdzeń, wola i czucie i wiara; one są granitowym jądrem naszej literatury.

Lecz świat nie na jednej tylko sile stoi, nie jednem tylko wcieleniem się żyje. Gdyby przestał na tym jednym wyłącznie kierunku, stałby się nierozdzielnością, skupiłby się w punkt jeden. Czemże byłby planeta, gdyby drugiej siły przeciwnej, siły odśrodkowej, nie miał także w sobie? Jako pierwsza z łona niewidzialności go wywiodła, przybiła do przestrzeni, wkuła w byt, uczyniła

wielką i poważną rzeczywistością, groźną, podniosłą, arystokratycznie, że się tak wyrażę, zjednostkowaną i różną od wszystkich innych, tak owa druga mu przypomina, że z nieskończoności jest i w nieskończoność wrócić ma, rozdziela to, co płynne i lotne w nim, od tego, co zsiadłe i twarde, przemienia go po połowie w atmosferę rozszerzalną, górną, niebieską i na jej wysokościach coraz go lotniej grą światła, pędem elektryczności rwie i rozbiera, wołając wśród grzmotów: »Wszystko tem samem — wszystko równem sobie — wszystko ku temu samemu, przemijając, dąży.« A gdy tak, grzmiąc, woła, z republikańską ironią pisze światłem błyskawic na wierzchołkach granitu, na planety skroniach: »*morituri*«.

W każdej żywej, wielkiej całości te dwa kierunki razem istnieć muszą — ich harmonia zowie się życiem, ich sprzeczności są tylko złudzeniem; mogą wprawdzie w danym czasie na danem miejscu przybrać pozór walki — ale to zawsze doczesnem, nie wiecznem, cząstkowem, nie powszechnem zjawiskiem. Całość albowiem jest zgodą, nie bójką, pojednaniem, nie rozdziałem, dobrem i prawdą, nie złem i fałszem, i to, co walczy z sobą na tym padole, tam, ponad wszystkiemi padoły, w górze — ale nie w przestrzeni, jedno w górze pojęcia, w niebie ducha — wiąże się i zlewa razem w wielkie światło i w pokój serdeczny.

Zdaje się nam, jakobyśmy czuli, gdy czytamy dzieła Słowackiego, że w nich się objawiła ta druga konieczna, odśrodkowa siła, siła odwcielań i zaprzeczeń, której pęd, poczęty z dołu, a bijący ku górze, stara się, jak muzyka, ciągłem drganiem cząstek i roztapianiem kształtów wyrazić westchnienia wszystkich ciał natury i rwania się wszystkich myśli ducha ku niewidzialnemu światu nieskończoności. Zaprawdę, w kierunku tej siły coś panteistycznego przebija; onaby chciała, gdyby przemódz mogła i jedyną stać się panią świata, wszystko we wszystkiem stopić i porównać — samaby się rozwiała własnemi skrzydłami, utonęłaby i zaginęła w tem, ku czemu dąży, wszelkie stworzenie zatraciłaby w Bogu, jak w otchłani.

To, co ona ukochała, nigdy przy niej, nigdy z nią

nie przebywa, ale coraz wyżej i błędniej i dalej ciągnie ją za sobą; każde stanowisko ona musi przekroczyć, każdą formę podnurtować i do pryśnięcia przymusić, i jej samej ostateczną formą jest jej treśc własna, jest to, co stanowi formę oceanu, to, co rozprężliwość światła, to, co falistość elektryczności: żądza wieczna, ruch nieskończony.

Czem więc w naturze płynność i rozmdlewanie się, czem tęczy koło wodospadów umizgi, czem chmury co chwila zmienne, płynące na to, by przepaść i znieznacznieć, ale nie w nicości, jedno w niebie; czem błysk łusk, zakalających się na piersiach węża, czem przewrotność barw na tle opalowej białości, czem szmery rozmarzonych strumieni i szum daleki morza, czem gwary mnóstw wszelkich, nierozpoznalne, a wsiąkające w duszę, jakby prosto szły z wieczności — czem owe melodye śpiewu, które gasną, oddalając się coraz wyżej, coraz szerzej, jakby życie, z piersi ludzkich uwolnione, już wniebowstępowało, słowem, czem to wszystko, co już prawie zewnętrznego kształtu się pozbyło, lecz natomiast samą iścizną natury swojej prawie dotkliwie wyraziło — tem się nam marzy, że jest poezya Słowackiego w literaturze naszej. Każda jej cząsteczka misternej, filigranowej roboty, jak drobny kwiateczek. Jej ogół zaś, przez to właśnie, że siły odwcielań jest formą, jakom już wyżej dotknął, ma za formę ciągłe pojedyńczych cząstek stawianie i znoszenie, tworzenie i niszczenie i utrzymuje się następstwem tych znoszeń, raczej ruchem ciągłym niż postacią, tak, jak muzyka. Stąd ciągły pozór ironii i kaprysu, stąd pęd niewstrzymany, ale lekki, przejrzysty, na wskróś idealny. Stąd podobieństwo do tego, co Niemcy, przejąwszy od Anglików, przezwali »humorem«, czyli rodzajem, w którym mistrz stawia się na stanowisku panteistycznego Boga i ciągle stworzenia własne, jakby sny znikome, budując i rozwalając zarówno podług widzimisię swego, te ich wschody i zachody tragicznie lub komicznie, *serio* lub *buffo* uważać może.

Któż na przykład czytając »Szwajcaryą« i »Anhellego«, nie dozna mistycznej tęsknoty? Komuż te dwa arcydzieła

wnętrznej melodyi ducha nie zostawią po sobie jakby uczucia, że wszystko przeminęło, że, co światłem było, już nie jaśnieje, co różą, już się nie czerwieni, co łzą, już nie płynie, co chwałą, już nie połyska — ale tylko na ziemi, na tych murawach zwiędnienia, bo owszem znać, czuć, objawionem to głębiom ducha jest, że te wszystkie groby i kwiaty i lutnie i szable popłynęły wyżej — ot! tam gdzieś uleciały, roztopiły się, wsiąkły tam, dokąd ostatecznie każdej harfy rwą się dźwięki i okąd śnią każdej trumny marzenia.

»Balladyna« innego gatunku jest utworem; w niej poeta chciał wskrzesić pierwszą zorzę tego życia, którego koniec opisał w »Anhellim«. Łatwiej śmiertelnemu o śmierci, niż o rodzeniu się śpiewać. Śmierć przynależy się z prawa człowiekowi, tak, jak życie Bogu; przecież i Dantowi bardziej doma było w piekle, niż w niebieskich podniosłościach. Mimo tę trudność, już w samem pojęciu rzeczy zastrzegłą, wydaje się nam, o ile nam czucia i myśli starczy, że »Balladyna« odziana szatą niepowszedniej piękności — nowy to zupełnie utwór na widnokresie polskim; każda nowość razi, obraża nawet, zanim da się rozpoznać. Zadna nie odjęła się temu losowi na świecie. Dotąd też »Balladynę« ujemne tylko obarczały krytyki.

W tem bogi uśmiechnęły się łaskawie greckim plemionom, a później germańskim, że im dały epopeę w czas; co się w czas zdarza, bywa zawżdy wielkim i prawdziwym, co przed czasem, nosi zwykle znamie szału, a co po czasie, niestety, komiczności. Niepodobna odwlec rzecz o tysiąc lat i żądać po niej, by w zupełnie rodzimych barwach, w pierwotnej świeży, w nietkniętem dziewictwie na jaw wystąpiła; nie winą Słowackiego, że nie żył za dni Popiela, raczej winą czasów popielowych, że miasto szczurów i myszy nie porodziły wielkiego gęślarza, wieszcza, któryby, wiążąc słowiańskie plemiona, jak struny, w olbrzymią harfę epopei, był uwiecznił kolebkę naszą tak, jak Homer Grecyi kolebkę, tak, jak Niebelungów śpiew Germanii początek, tak, jak *Divina Comedia* katolicyzmu wiarę. Dziwny, bardzo dziwny los dostał się nam w udziele: umarli dopierośmy ściągnęli rękę do harfy! Wprzódy

miecz nam był jedyną harfą, aż dziś harfa stała się mieczem jedynym. O to skarzmy na nas samych lub na Bogi, ale nie na poetę, bo on się urodził w innych czasach, on, gdy śpiewa o Popielu, choć staje się Popielem, nie może być li tylko Popielem.

Do Popiela dodajcie dziesięć wieków cywilizacyi zachodniej. Z tej summy dopiero powstanie barwa popielowa, można w duchu Słowackiego, a kiedy wśród tej łuny światła zupełnie różnego, wstawszy z grobu nad Gopłem, przechadza się Popiel, nie podobna, by kolor jego właściwy nie gryzł się i nie ujadał z barwą otaczającej atmosfery, z duszą, oblewającą go, poety. Ta sprzeczność wyradza się w ironią, bo poeta sam wskrzesza zapomnianego, a gdy go wskrzesi, czuje, że ma nad nim władzę życia i śmierci bez końca, że go może sto razy z mogiły wywołać i nazad sto razy do mogiły zamknąć. Tak z Achillesem, tak z Sygfrydem niepodobna sobie wszechwładnie postąpić, bo Homer, bo duch skandynawskiej Eddy stoi tam nad niemi w przeszłości i świadczą im i strzegą ich na wieki. O nich dziecię każde wie, że na pół-Bogów wyrośli, a o transfiguracyi Popiela kto słyszał?

Więc obejście się Słowackiego z majestatem nadgoplańskim nie tylko pochodzi z dążeń samego mistrza, ale głębiej jeszcze zapuszcza korzenie w nieodbitą konieczność, która przymusza poetę do igraszkowania z tem, co przeszło, a, przechodząc, nie zostawiło posągu po sobie.

Humor, czyli ciągła mieszanina tragiczności i komiczności, wystąpić tu musi jako siła tworząca. Wszystkie wady i błędy, zawarte w nierozpoznalnej jeszcze i nierozwiniętej postaci Popiela przed dziesięcią wieki, a ciągiem tych wieków rozwinięte i dziś przeświadczone o sobie samych, zamienią się w dyabliki, w gromy, wcielą się w groteski, przychodzące pląsać koło tegoż Popiela. Co z niego się wymknęło, bo się wymknęło i temu nie poradzim, musi zewnętrznie stanąć przy jego boku w widomej formie, tak, jak w historyi następnie uwidamiało się, ale nie w poetyckiej, jedno w ludzkiej, rzeczywistej instytucyi i wypadków. Wyjdzie zatem na tę scenę pośmiertną i już przegraną król

Popiel zarazem tak, jak był wtedy i jakim się sam widział, i taki, jakim się stał później i jakim go wie poeta. Co tu mówim o Popielu, rozumie się oczewiście o całej treści tych czasów pierwiastkowych, których nikt nie schwytał i nie uwiecznił pod ściśle odrąbaną formą, kiedy przelatywały, a z których, wiemy jednak, żeśmy wyszli, my i wszystko nasze, i to, co nam życiem, i to, co nam śmiercią, i to, co nam chlubą i to, co nam kałem, i to, co nam wielkością, i to, co nam próżnym blichtrem jest.

W »Balladynie« dwa światy, pierwotny sławiański i dzisiejszy krytyczny, który nosi na sobie napis *consumatum est* — plączą się i spajają nieustannie. Ta przemiana kameleońska, ta zdrada migów i przemigów, ta rozpryskliwość baniek tęczannych, słowem cały »Balladyny« koloryt już sam w sobie stanowi formę, wiążącą tych światów różnice — a te różnice zetknęły się z sobą rzeczywiście, ale nie w zewnętrznej realności dziejów, tylko w wewnętrznej, sumienia samego poety. Gdzie ciągle dwie sprzeczne siły działają, tam nie kształt epopeiczny, posągowy, ale dramatyczny, ruchomy powstanie. Dlatego też »Balladyna« jest dramatem, ale takim, w którym nie tak osoby z sobą walczą, jak raczej dwie epoki, z których dawniejsza ciągle pragnie się objawić majestatycznie, a późniejsza zrywa jej koronę z czoła i sądzi ją sądem potomnych, tak, jak niegdyś mumie królów egipskich sądzili kapłani egipscy.

Typy jej wszystkie są szczerze polskie; któż nie uczuje, że wieczny szlachcic przemówił ustami znikomego Kirkora w tym wierszu:

»Czemu nie było mnie tam na Golgocie
Na czarnym koniu, z uzbrojoną świtą?
Zbawiłbym Zbawcę! . . . . .«.

Kto, patrząc na samą Balladynę, nie przypomni sobie, jakby echem wiekowem, słów Żółkiewskiego o nieszczęśliwej Marynie:

»Nadewszystko chce się babie carować.«

Któż w Grabcu nie pozna karczmy polskiej żywej, chodzącej po świecie pod ludzką postacią? Starożytni podobnie ogólne pojęcia lub szereg dziejowy zdarzeń

wcielali w postaci osobne, ludzkie. Mitologia wysnuła się z ogólnej władzy takiego wcielenia, wspólnej całkim ludom. Mity wtedy rosły, jak ogromne drzewa i skały pierwotnego świata, jak organizma, które sama natura wyprowadza olbrzymio i poważnie z siebie. Dziś inaczej — dzis pojedyńczy człowiek, dziś sam poeta musi mit cały ukształcić, a, kształcąc go, wie o nim. Zbywać więc tej krystalizacyi zawsze będzie na tej rodzimej harmonii, na tej świętej choć ślepej wierze w siebie samą, na tej powadze i niewzruszoności starożytnych form, które, o sobie nie wiedząc, nie mogły i o sobie wątpić. Znów tu pierwiastek uśmiechu, jak sam Słowacki się wyraża, ariostowskiego wydobywa się na jaw i »Balladyna«, tym wyrazem przepojona, wiąże się z ciągłych wibracyi, jakoby długi łańcuch woni i iskier i dźwięków, przesuwający się na wzór Goplany, uwiązanej u taśmy z żórawi, a topniejący w przestworach niebieskich.

Ale co w »Balladynie« wygląda nam na głęboką genialność, na wnętrzną energią sztuki, to jej wysnucie i wyprowadzenie z kilku wierszy pieśni gminnej. Jak najbujniejszy kwiat z marnego nasienia, tak ona z jednej zwrótki wykłuwa się, plemi, wstuliścia się i płonie, aż znów ją ogień niebieski pożre, aż, wyszła z niczego, z niewidzialności, wróci w niewidzialność. Niechaj tu nikt, gdy mówim z niczego, nie posądza nas o myśl, czyli raczej niemyśl nicestwa. Nicestwo jest grubym, niepojętliwym fałszem — ale to nic, skąd wszystko wyrasta i do którego wszystko wraca, stanowi tajemnicę nieskończoności. Jest to właśnie to, co jest, a samo z siebie jest, nie zaś z żadnej cudzej folgi lub zewnętrznego powodu.

W »Lilli Wenedzie« chciał nam stworzyć poeta Antygonę sławiańską — i zaprawdę, ta córa królewska z wiankiem białych kwiatów na skroni wygląda niewinnie, a posępno. O Lillo Wenedo, poskarz się temu, który cię w życie i piękność przyodział, że cię przymusił stąpać po ścieżkach, któremi chadzał biskup Gwalbert! Biskup, naszem zdaniem, podobny do mnicha dzisiejszego, ale żadnym prawem do owych olbrzymów ducha, co w pierwszych wiekach kościoła tak samo po

borach Germanii i Sławiańszczyzny rwali się za pasy z wiarami dzikich plemion, jak dawniej niegdyś olbrzymy ciała z potworami natury. Lecz skądinąd, o biała dziewczyno, podziękuj mistrzowi za braci — patrz, Lillo, wszystkie harfy rodu twojego ogłuchły, wszystkie trumny wasze darń lasów pokryła! Dwa imiona tylko doszły nam uszu: Lelum, Polelum. Oto jedyny dźwięk, pozostały z jęków tylu. Żebyś ty wiedziała, Lillo, co z tą jedyną pamiątką po was wyrabiali uczeni, kronikarze, historycy, pedanci, poeci — struchlałabyś, drugi razbyś się rozpłakała za całym ludem twoim. Darmobym ci opowiadał wszystkie ich domysły, twierdzenia, hipotezy, Kastor i Polluks. Powiedz, Lillo, prawda? nie rozumiesz? Wiedziałem, wiedziałem, o biedna i prześliczna, że te imiona nie obudzą w twoim sercu żadnego wspomnienia! Lecz kiedy wstaniesz z grobu w noc miesięczną, kiedy staniesz na leśnem rozłogu cała przejrzysta księżycem, o ty, nieskończona liczbo konwalii, w jedną przesnutych dziewczynę — i kiedy spojrzysz mi ciekawie w oczy, a ja ci powiem, że z Lela i Polela wydobył mistrz dwóch starożytnych bohaterów, przywiązał ich łańcuchem, kazał im się bić razem, a nierazem umierać — gdy pierwszy poległ, rzucił jego ciało w objęcia brata, i tak obarczony drugim sobą poszedł brat żyjący ku stósowi, na którym wasze wszystko, wasz świat i wiara wasza w dym się obróciły; wtedy ty się rozrzewnisz w prawdzie pamiątek i krzykniesz nagle: »Tak było, to brat mój!« i, odchodząc nazad do grobu, dodasz: »Niechaj zatem przestanie wyrzekać na mistrza dusza moja, że ją z tym starym Gwalbertem poplątał!«

Ze wszystkich poematów Słowackiego najdoskonalej wcielony, najściślej obrąbiony jest »Ojciec Zadżumionych«, choć mu tylko granicą obszar pustyni, a formą ciągła także śmierć. Jeśliś widział rysy Laokona, czytając to poema przypomnisz je sobie. Jeśli ci kiedy włosy powstały przed Ugolinem, pożerającym czaszkę arcybiskupa w piekle, tu po drugi raz rość ci i drżyć zaczną na głowie — a jednak ani u rzeźbiarza greckiego, ani u toskańskiego Gibellina w niczem nie zapożyczył się polski poeta. Oni ból ponad wszystkie bóle wydali

plastycznie, Słowacki, jak zwykle, raczej następstwem muzykalnem, niż kamienną postawowatością; a wśród tych poetyckich akkordów odzywają się tak mądre, tak głębokie, tak zarzynające duszę, że musisz rad nie rad po każdej łzie wylanej krzyknąć: »Wielki poeta!«

Potęga Słowackiego najbardziej w stylu zawarta. Styl jest najogólniejszą formą każdego utworu sztuki; nim, jak przędzą, i z niego, jak z materyału, snuje pasmo swoje całe poeta. Siła odwcielań, panująca i przemagająca w Słowackim, w tę tylko najpowszechniejszą ostateczną formę dokładnie wcielić się może. Styl Słowackiego to on sam, to ducha jego kierunek, roztapianie się nieustanne na wszystkie strony i ku wszystkim stronom. Stylem tym bije ciągle, jakby falami, o granicę wszech rzeczy, ciągle je podmywa i stara się odsunąć. Nikt tak smukle, gibko, fantastycko po polsku nie pisał; pokora, z którą wiersz mu niewolnikiem, przechodzi wszelkie prawdopodobieństwo; na króla nam wygląda, kiedy zacznie mowie polskiej rozkazować. Biegną k'niemu tłumem miary, rymy, obrazy, a on je despotycznym kaprysem posyła, gdzie chce — każe im płynąć, a płyną, wić się powoli, a pełzną, wzlecieć, a wzlatują i lecą, jak orły. Co krzyków dzikich i niewinnych śmiechów, co łez kapiących i śpiewów radości, co grzmotów rozłożystych i nikłych szmerów tam w każdej chwili rodzi się, przemija, umiera; aż prosi się język o folgi nieco, ale napróżno: mistrz go ujął i nie puści. Musi się on pod jego twórczem tchnieniem rozrabiać i przerabiać bez końca, musi wszystkie kształty przybrać, od prozy, nad którą poetyczniejszej w żadnym języku nie znamy, aż do wiersza krótkiego, doraźnego, co, jak nóż ostry, pada i utyka w sercu; wszystkie możne dyssonanse on przeprowadzi i rozwiąże — nic mu pod tym względem niedostępnego — nic, przed czemby myślał się cofać — i w tem nigdy nie znać ni pracy ni wymusu. To natura jego przedziwnie giętka, co, wewnątrz ciągłem rozruszona drganiem, na zewnątrz snuje się przegubami. W czarnoksięstwie stylu Słowacki stanął tak wysoko, że nikt wyższym nad niego, a równym rzadko kto.

O ileśmy sobie zamierzyli, oceniliśmy dodatnim sposobem dążność i formę tego przecudnego, choć nie we wszystkiem, pisarza. Gdyby kto tę dodatnią krytykę naszą zlał w harmonią z mnóstwem ujemnych, pisanych lub wyrzeczonych o nim, możeby z tego wzajemnego przepojenia prawdę całą wyprowadził. Zarzucają zwykle Słowackiemu brak całości, mówią, że ducha swego nie ściska dość w karby, że mu żelaznych, rozpoznalnych dość granic nie stawia. Ależ właśnie to wypada z tego, czem on jest, ze specyficznej jego natury, która odbija jedną z stron wszechświata — nie rzeźbiarzem, ale muzykiem się urodził, a w tej jego muzyce niesione nutami Beethovena, płyną farby Correggia, farby Rafaela. Jeśli wam Michała Anioła potrzeba, czemuż go żądacie? czemuż go wyglądacie wy, wśród których on się już objawił? — nie patrzcie naprzód, nie zazierajcie w przyszłość, ale owszem, odwróćcie się ku dniom, co ubiegły, a wasz Michał Anioł ukaże się wam — jedna z rąk jego spoczywa na posągu Litawora, a druga zawieszona w górze nad ciągiem postaci umarłych, narodowych, przekutych już także w posągi wiecznego wspomnienia. Tym uwiecznionym na imię: »*Pan Tadeusz*«, imię drobne i marne samo z siebie, ale wyrażające dla nas prawdziwą epopeę — na równie ogromną żaden z nowożytnych narodów dotąd się nie zdobył. Genialność Homera i dowcip Cerwanta w niej stopiły się razem; nie żądajcie zatem, by to, co się już stało, dopiero teraz zaczęło się stawać. Słowacki nie mógł być tem, czem nie jest, tem, co się przed nim odbyło. W logicznem rozwijaniu się sztuki polskiej on jest drugim momentem, a zatem różnym od pierwszego; idea tylko żywa i mająca dalej się rozwijać zawiera w wnętrzu swojem rozmaitość i tę objawia zewnętrznie form różnicą. Niechże więc z przypatrowania się i uznawania tej rozmaitości spadnie wam do serca pociecha — ona jest znakiem, że pęd jakiś konieczny niesie was naprzód — ona jest objawieniem tej prawdy, żeście nie martwe ciała, ale żyjące duchy — i że, idąc po smętnej drodze świata, w lepszą zasuwacie się przyszłość.

PRZEDŚWIT.

Ultima Cumaei venit jam carminis ætas:
Magnus ab integro seclorum nascitur ordo
VIRGILIUS. (Ecloga IV.)

Hodie scietis quia veniet Dominus et salvabit nos et mane videbitis gloriam ejus,
Miss. Rom. *in vigil. Nat. Dom.*

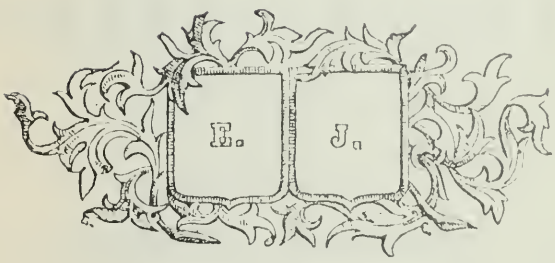

PARYŻ.

—

1843.

Podobizna pierwszego wydania »Przedświtu«.

Z Kras. Pisma, t. II. str. 207.

CIENIOM

HENRYKA LIGĘZY

ZMARŁEGO W MORREALE 1840 R.

POŚWIĘCA

KONSTANTY GASZYŃSKI.

PRZEDŚWIT.

A Jezus im odpowiedział: „Ojciec mój aż dotąd pracuje i ja pracuję.“

(Ew. Św. Jana, R. V. w. 17).

Za dni Cezara, poprzedzających wielki dzień Chrystusa, świat starożytny był doszedł do ostatnich wyników historyi swojej: — w Religii do zupełnego zwątpienia — w Filozofii do zupełnego obalenia zasad Polyteizmu. Augur śmiał się z augura — a grecki sofista z samego siebie. Krytyka rozumu zniszczyła wszelką wiarę dawną, wszelkie życie, żywiące śród Ludów, a nic równie żywotnego lub żywotniejszego na to miejsce nie postawiła. Gdzie tylko spojrzeć w świecie ducha, ruiny, swawola, rozstrój — »quot capita, tot sensus.« — Epikureizm, Stoicyzm, Platonizm przechadzały się, jak mary, po owdowiałych piersiach ludzkości. Z tylu wojen, proskrypcyj i rewolucyj wielkie znużenie było się zostało w sercach — wszystkie wiary polityczne spełzły na niczem; i plebejanin Maryusz, i patrycyusz Sulla nie zdołali urzeczywistnić myśli swoich — choć niesłychanym krwi ludzkiej rozlewem, gwałtami, niesprawiedliwością, terroryzmem, starali się dawnego i znikającego porządku kształty raz jeszcze z przeszłości wywołać i żywą teraźniejszością uczynić. — Śmierć tylko śmiercią wprowadzać można — jedno życie tylko nie broni się rzezią — nie wtłacza się na karki ludzkie jarzmem — ale żywotnie wstępuje w serce ludzkości, stawiając, a nie niszcząc, kochając, a nie każąc zabijać. Wszyscy ci wielcy, czy »zatraciciele«, czy »odnowiciele«, z ostatnich czasów Rzymu jednę cechę na sobie noszą —

pragną nieznośną postać rzeczy odmienić, ale nie wiedzą, ku czemu dąży historya świata. — Jedni trzymają się podania Grakków i chcą demokracyi — drudzy wierzą jeszcze w »Bogi Many« Appiuszów i marzą o arystokratycznej Rzeczypospolitej. — Takiem marzeniem obłąkany Brutus ojca własnego, największego ze śmiertelnych przed Napoleonem, zamorduje i nazwie to cnotą, a, konając, zwątpi o sobie, o ojczyznie i o bogach i krzyknie: »Cnota jest także złudzeniem!« — Dusza zabijającego się Brutusa, to najprawdziwszy obraz duszy świata całego naonczas. Słabość, niepewność, gorączkowa żądza czegoś lepszego i gorączkowe przerażenie po każdym czynie dokonanym, który do pożądanej przemiany nie doprowadził, oto są duszy takiej piętna — i z tych znamion łatwo rozpoznać, że świat ten blizki dnia sądu i przeobrażenia swego.

A nie tylko umysłowy stan ten bez wiary i daremnych tęsknot lub żalów świadczy o tem. Inna jeszcze występuje tu cecha — nad wszystkie ważna — dowodna — niechybna — choć z wręcz przeciwnego stanowiska zarwana, choć tycząca się tylko materyalnej strony ówczesnego człowieczeństwa; kiedy albowiem wszystko na polu Ducha się rozprasza, skądinąd, wszystko na polu materyalnych spraw i celów coraz bardziej się kupi, zrasta, ześrodkowywa. Rzym, choć rozdarty sam w sobie i już własnej nie mający idei, zwycięża, gromi, podbija wciąż — i staje się wreszcie człowiekiem jednym tylko, któremu na imię Juliusz Cezar — a człowiek ten ziemię nauczy jedności i wspólności; na pozór wojnami ją skaleczy, na pozór bratu przeciw bratu, synowi przeciw ojcu krótki miecz do rąk włoży — przejdzie Rubikon bezbożnik — powie: »jacta alea est«. — Cywilnej wojny ohydę śmiało weźmie na czoło swoje — Gallią o Egipt uderzy — Germanom pokaże błękit niebios greckich pod Farsalą — Greków za sobą porwie do Afryki — wszystko pomięsza, rozkrwawi, napełni świat szczękiem broni, krzykiem boju, nienawiści krzykiem — a jednak wszystko mimowoli, mimowiedzy połączy, pobrata; granit plemion, nie znających siebie, zetrze na piasek jeden,

ten sam, gładki i równy, jednego, uniwersalnego państwa. I o nim Żydzi myśleć będą, że on jest Messyaszem — i ziemia o nim pomyśli na chwilę, że on jej Bogiem. — Lecz wiecie, że on był tylko poprzednikiem jej Boga. Na polu historycznego czynu on tym aniołem, któremu przykazano usuwać zapory z przed stóp idącego Pana. — On świat przywiódł do materyalnej jedności, bez której żadne słowo życia rozejść się nie może — on ziemię, znaną podówczas, zamienił w jeden wielki i szeroki gościniec.

— A lat niewiele później któż zaczął stąpać po tej bitej drodze? Kto kazać i oznajmiać, że nowe życie już zesłane — i że zmarli nie umrą — i że Bóg, nieznany w Atenach, objawion w Hierozolimie? — Czy nie Piotr? — czy nie Paweł? — czy nie Jan Święty? — Szaleli następcy wielkiego Juliusza — prześladowali wiarę nową — żartowali śród biesiad ze słowa opowiadanego — chrześcijan przybijali do krzyżów — a nie wiedzieli, że trzeba było zniszczyć dzieło pierwszego z Cezarów, by zaszkodzić rozprzestrzenieniu się nowej religii — że to samo, co ich na »krótko-« i »krotochwilnych« bogów ziemskich wynosiło, torowało też drogę ruchowi, poczętemu z nieba — i że jedność materyalna państwa, które w sobie resztę świata pod nazwą prowincyj podbitych zamknęło, była podścieliskiem, warunkiem, zakładem, środkiem koniecznym postępu dla Chrześcijaństwa. — Dbali o tę jedność, pielęgnowali ją, bronili jej, o ile sił zniewieściałych im stało — a tem samem ślepo i bezwiednie opiekowali się coraz wyższym Chrześcijaństwa wzrostem. W ręku Opatrzności narzędziami byli — prawa historyi dopełniali, wiedzeni własnym pożytkiem, tak, jak handlarze i kupcy za czasów naszych — i tak z tylu szatanów widomych na ziemi każden był sługą bożych myśli — każden jedną cegłą więcej, rzuconą do budowy Kościoła. — Jako Imperatory przeszli oni, obarczeni przekleństwem ludzi — jako »cegły« zostali się — i dotąd potomni ludzie po nich deptają w historyi!

»Discite historiam exemplo moniti!« — Lat dwa tysiące upływa, a te same znaki rozciągnęły się po falach czasu — ostatnie podrzuty rzeczypospolitej rzymskiej odbiły się w strasznem, epileptycznem zadrgnieniu rewolucyi francuskiej. — Zerwały się cienie Maryusza, Sulli, Katyliny pod krwawą postacią Dantona, Saint-Justa, Robespiera — wreszcie dni Cezara przelały się w dni Napoleona. — A chrześcijański Cezar, wyższy całą ubiegłą epoką od poprzednika, przepełniony wiedzą siebie samego i celem, któremu kwoli Duch boży, kierujący dziejami, go zesłał, rzekł, umierając na skale wygnania: »Odemnie liczyć się będzie nowej ery początek.« W tem słowie zawarta prawda i jego i całej przyszłości. — Lecz nim ta prawda się rozwinie i dopełni, nim ze stanowiska napoleońskiego przejdzie świat do innego, całkowitszego i świętszego przeobrażenia się, musi się sam wyczerpywać, jak wyczerpywał się starożytny, musi sam się zaprzeczać, jak zaprzeczał się starożytny. — Nie od dzisiaj, nie od wczoraj ruch ten postępowy w »niszczeniu,« zawrót ten głęboki w zastanawianiu się nad sobą samym począty. — Od Grakków świat pogański nie spoczął, aż usłyszał obietnicę Chrystusa — od Lutra nowożytny nie ma pokoju — cywilną ogromną wojną i myśli i miecza rozlamuje się coraz bardziej — i on też nie spocznie, aż dojdzie nie już do usłyszenia, ale do zrozumienia i dopełnienia obietnicy Chrystusa!

W okręgach religijnych wszedzie rozbrat. — Kościół katolicki jakby snem od wieków trzech, od ostatniego soboru ujęty — schizma grecka w dziecinnym kształcie pierwotnego chrześcijaństwa na tysiąc kacerstw rozerwana — protestantyzm sam siebie rozwiązujący i mówiący: »Consummatume st!« W okręgach filozoficznej wiedzy pewność — ale »braku« tylko — dowód, ale krytyczny tylko, że przeszłość nie zdolna potrzebom ludzkości zadosyć uczynić. — »Wściekło-flegmatyczne,« że tak powiem, zaprzeczenie filozofii niemieckiej, do najwyższego bezkształtu doszło. Jednostronność »myśli« tknięta tą samą niemocą postawienia czegoś żywotnego, jak

wprzódy jednostronność »materyi,« której się trzymał ród Encyklopedystów francuskich. Stąd mniemań, teoryj, przypuszczeń, systematów zagmatwany rój, brzęczący nad Europą!

Wszyskich wieków, co przeszły nad ludzkością, marzenia, nadzieje, szlachetne wiary i straszne bluźnierstwa, herezye chrześcijańskie wszystkie, panteizm indyjski cały, dualizm perski, monoteizm hebrajski, idealność wyłączna i zmysłowość wyłączna; wskrzeszone razem i w tej mieszaninie wykształcone, ogładzone, jedne na drugie się zasuwające tak, iż trudne do rozpoznania — a wszystkie wołające do nieba o dzień sądu, o chwilę rozstrzygnienia, same proszące się o śmierć, by się prędzej przemieniły i, nową iskrą życia pojednane, zmartwychwstały młodemi napowrót. — Oto obraz umysłowej sfery czasów naszych!

Anarchia to taka okropna, że koniecznie dąży do przesilenia — żądza taka wielka, a dotąd daremna, że wzywa koniecznie pomocy Ojca, który jest w niebiesiech. — Kiedyż ta pomoc odmówiona była? Kiedyż Bóg opuścił Historyą, kiedy Historya wzniosła ku niemu ręce i językiem wszystkich ludów ziemi krzyknęła: »Pokaż się nam, Panie!«

Żądza nieskończona ciągnie za sobą wieczną tęsknotę i żal nieskończony — jak w osobniku, tak i w rodzie ludzkim zdarza się melancholia — ze zbiorowego człowieka także cieknie czasami pot krwawych udręczeń na górach oliwnych historyi. — Gdyby inaczej było, Ducha ludzkiego, własną wolą wyrabiającego się, by nie było — gdzieżby się podziała zasługa, którą on zasługiwa się w Czasie? Czemże ona, jeśli nie życiem tem jego w historyi, jeśli nie tym ciągiem pracy, podzielonej na momenta śmierci i z martwych z niej wstawania? A jakżeż się umiera, jeśli się nie zwątpi? A jakżeż się zmartwychwstaje, jeśli się nie uwierzy? — By nie umrzeć, na to Bogiem być trzeba — człowiekiem na to, by umierać. Gdy boży Duch połączy się z naturą człowieka, życie boże grób ludzki rozwala — Chrystus umarł i wstał z martwych.

I Epoce, wszczętej w słowie Jego, tak samo uczy-

nić potrzeba, nim zdoła czynem treści całej tego słowa dorównać. — Otóż ojcowie nasi stali na tej pochyłości, co wiedzie do grobu — nas dalej już losy zaniosły i głębiej złożyły — my w grobie — mylę się — my już za grobem!

Wszyscy wiecie to, bracia moi, żeśmy się urodzili na łonie śmierci — i od kolebki oczy wasze wzwyczajone poglądać na sińce zgonu, rozciągające się po ciele europejskiego świata. — Stąd ból wieczny, co toczy wam serca — stąd niepewność, co życiem waszem się stała. — Idziecie, a nie wiecie dokąd — i nie modlicie się już, jak za dawnych lat, jedno powtarzacie: »Źle nam jest.« Lecz wszelki koniec mieści już w sobie następny początek — dzień zgonu tylko poprzedza godzinę przebudzeń. — Alboż wy nie wiecie, że to chrześcijańska wiara — a jakożby miała omyloną być, kiedy z Boga jest? Więc patrzcie uważnie, a znaki śmierci przemienią się wam nagle w znaki zmartwychwstania!

Nikt średnich wieków nie nazwie cywilizowanymi — nikt naszego, aż dotąd, religijnym; — cywilizacya się poczęła w chwili, gdy wiara konała — cywilizacya jest to jedność materyalnego bytu, jest to wspólność interesów ziemskich, czekająca na zjawienie się Słowa bożego. — Patrzcie, jak rosła i ugładzała wszystko na to, by idące Słowo boże łatwiej się rozlało, prędzej się udzieliło z domu do domu, z kraju do kraju! — Czemże Napoleon, jeśli nie tym drugim w historyi Aniołem, co usuwa zawady z drogi Pańskiej, gdy już bliska godzina Pańskiej podróży? — Państwo jego universalne rozwiało się, jak złudzenie — on umarł na dalekiej wyspie, a syn jego jedyny w stolicy nieprzyjaciela. — Bracia pozostali i ród ich miernością; — gdy pomrą te ciała, nie zostanie śladu, że za życia każde z nich nosiło królewską koronę — a jednak mimo to pamięć tego człowieka nie pamiątką po umarłym, ale Duchem żywym i coraz potężniej żyjącym jest. — Co on pchnął do biegu, to teraz dalej się toczy — co ta dłoń, na chwilę wszechmocna, spoiła, to samo przez się coraz ściślej

się spaja i wiąże. — Zapoznane Ludy już się nie odpoznają — skupiony razem duch germański już się nie rozprzęże — włoski toż samo i hiszpański toż samo. On narodowości ziemskie przebudził z uśpienia.

Chrystus objawił ludziom ideę ludzkości. — Przed Nim prawdziwych narodów, oprócz hebrajskiego, nie było: bo nie znano celu, do którego dążą narody, ku któremu cięża, jak planety ku słońcu. — On to obiecał, że będzie na świecie kiedyś jedna tylko owczarnia i jeden pasterz; On to przykazał modlącym się do Ojca powtarzać te słowa: »Przyjdź Królestwo Twoje!« — i takiem westchnieniem od lat dwóch tysięcy my wszyscy prosimy Boga o uwidomienie się ideału ludzkości na ziemi!

Nic w nas naszego niemasz — wszystko od Stwórcy, myśl i ciało — Bóg nam niejako pożyczył nas samych. — Naszym jedynie użytek, jaki czynimy z tych udzielonych nam zasobów; naszym tylko czyn nasz, zasługa, którą stajemy się tem, czem mamy pozostać kiedyś w obliczu Boga, którą dopracowujemy się rzeczywistej i ostatecznej osobistości naszej. Lecz ona tylko na ziemi, tylko śród ludzkości położoną być może; ludzkość zatem, śród której zarabiamy na wieczny, przyszły żywot nasz, musi być sama wielką i świętą w bożym pomyśle harmonią, a nie znikomą marnostką, bez wagi i celu. Ludzkość na planecie i nieśmiertelność każdego osobnika za grobem są to dwa okręgi równe sobie, posługujące się nawzajem, nie dające się rozdzielić sercem, ani rozumem; każden drugiego pobocznicą, warunkiem, dopełnieniem, a oba zlewają się w trzecią, wyższą, samego Boga potęgę.

Lecz czemże jest planetarna ludzkość? Oto całością i jednością wszystkich możności Ducha człowieczego, wyrażoną widomie na tej ziemi przez zgodę i miłość członków swoich, to jest »narodowości.« Jako albowiem członki ciała ludzkiego są widomemi i rozmaitemi cząstkami niewidzialnego »Ja« ludzkiego, który je wszystkie spaja i im wszystkim panuje, tak samo narodowości widome muszą w rozmaitości swojej, a za-

razem harmonii, stać się kiedyś żywymi członkami powszechnej, że tak powiem katolickiej ludzkości:

»A wszystko sprawuje jeden i tenże Duch, udzielając każdemu z osobna, jako chce.« —

»Albowiem jako ciało jedno jest, a członków ma wiele, ale wszystkie członki ciała jednego, choć ich wiele jest, są jednem ciałem, tak i Chrystus!«

(Ś. Paweł. List do Koryntyan, R. XII. w. 11—12.)

Objawienie Syna bożego musi więc przechodzić wiekami ze stanu idealnego do stanu uwidomienia i rzeczywistości; na takim ruchu postęp zasługi ludzkiej, postęp człowieczeństwa zależy. —

Słowo chrystusowe nie mogło odrazu przetwarzać polityki pogańskiego świata, bo skład polityczny i byt społeczny epoki jakiej zależy oczywiście od stanu moralnego indywiduów, w niej żyjących; musiało zatem »schrześcijanić« szczególne dusze przed chrześcijanieniem stosunków między narodami i państwami. —

Ale za dni naszych osobnik każden chrześcijaninem jest i wszystkie stosunki między nimi chrześcijańskimi są. Gdzież dalej iść idei chrześcijańskiej? Oczywiście, w sferę nie dotkniętą, nie przerobioną dotąd, a tą jest sfera polityki. — Świat blizki nie wielkiej odmiany (bo nic ze słów Chrystusowych odmienić się nie może), ale wielkiego »przemienienia« się ich, głębszego zrozumienia ich, wyższego ich uwielbienia. — Już w tych wyrazach: »Oddajcież tedy, co cesarskiego jest, Cezarowi, a co boskiego, Bogu!« zawarty jest cały dalszy ruch człowieczeństwa. — Bo ponieważ wszystko »bożem« jest, musi stan rozdziału owego chwilowego między właścią cezarową a bożą coraz bardziej się zmniejszać i to, co jeszcze wczoraj liczyło się za własność Cezarowi, dziś być już policzonem za należne Bogu, aż stanie się państwo Cezara nicością, a Królestwo boże »wszystkiem.«

Świat już dzisiaj pojmuje, ku czemu garnie się historya; wie, że nią rządzi mądrość boża i że celem jej jest ludzkość, czyli cała powszechność, zgodna z wolą bożą, znająca i wypełniająca prawo, które Bóg jej

nadał. Środkami zaś do tego celu, narzędziami, członkami żywemi są »narodowości«, w których odbiły się, jako w najwyższym swoim rozkwicie, wszystkich plemion ludzkich różnice. — Czem nuty w akkordzie, tem one w człowieczeństwie: rozmaitością i zgodą zarazem. — Bez nich nie podobna pomyślić ludzkości, bo byłaby to wtedy jedność bez rozmaitości, a zatem właściwie nie żadna jedność, tylko martwa jednostka! —

Państwa są utworu ludzkiego, są zbiorem przysypkowym cząstek. Jedne narodowości są kreacyi bożej i dlatego właśnie nie państwa bez narodowości, ale narodowości upaństwione jedne tylko mogą być chrześcijańskiemi, czyli należeć do składu powszechnej ludzkości. — Już w średnich wiekach taki wysoki ideał byli pojęli papieże — i oni zapragnęli wszystkie stosunki polityczne uchrześcijanić w Europie. — Była jednak w ich pomyśle ta niedokładność, że pojmowali raczej zwierzchnictwo Kościoła nad świeckim bytem, aniżeli pojednanie się zupełne boskich rzeczy ze świeckiemi, woli bożej z ludzką wolą. — Ich ideał też rozsypał się. Kościół został na jednej stronie, polityka odbiegła na drugą — i od czasów Reformy zupełnie pogańską się stała. —

Tu machiawelizmu, tu dyplomacyi początek; interes ziemski ubóstwiony, boże Królestwo ścieśnione do progów Kościoła każdego. — Za murami przybytku wszechprzytomnego Boga już niema — umarli tylko śpią na cmentarzu — a dalej na bitych drogach świata stoją żywi — wojskowi, ministrowie, kupcy; pod niemi zaś — ucisk i niewola, albo bunt i zwierzęcy szał!

Wszystkie państwa na przekór narodowościom się tworzą; wszystkie państwa są rozćwiertowaniem jednej lub kilku narodowości na korzyść martwego ideału gabinetowego. — Idea chrystusowa, idea wszechmiłości zapomniana i gwałcona co krok; nigdzie jednak tak antychrystycznie, jak rozbiorem Polski.

Trzy państwa, wzrosłe nie według praw bożych, oparte li tylko na interesie samolubnym, na dyploma-

cyi, słowem na tem, co zowie się polityką, rozdzierają narodowość żywą, czyli jednego ze członków widomych ludzkości. — Tym czynem polityka przesięga za własne granice. —

Dziecko, kto mówi, że to polityczna zbrodnia — zbrodnia to daleko głębsza, bo religijna, bo przekraczająca za sfery świeckie i dotykająca okręgów bożych. — Państwo utworu ludzkiego, państwo, z gry chuci ludzkich powstałe, rozszarpać, byłoby to polityczną zbrodnią, ale narodowość świętą rozebrać i chcieć zabić, kiedy bez niej obejść się nie może urzeczywistnienie idei ludzkości na ziemi, jest targnięciem się przeciwko prawdzie bożej, prawdzie wiecznej: jest świętokradztwem! Tak samo, jak z drugiej strony — nieuznanie tego gwałtu, opieranie się tej bezbożności: jest religią!

W chwili rozbiorów stało się to jako »factum,« ale Duch Polski dopiero teraz wsumienił się w siebie, nabrał świadomości o sobie, uczuł się narzędziem, wybranem w historyi do posunienia jej postępu dalej. — Inaczej być nie mogło — prawo boże albowiem, skalczone i obrażone na tym świecie, musi mieć wewnętrzną siłę wyleczenia się z rany zadanej i wrócenia do właściwej postaci. W narodowości, której krzywdą najsroższej ludzkość pogwałcona — najsilniej zadrgnąć musi, najjaśniej zabłysnąć — idea ludzkości.

Płciowość, polarność jest prawem powszechnem, prawem jednem i wszechobecnem, tak w naturze jak w duchu, tylko, że pod coraz wyższemi kształtami się objawia; naprzykład biegun dodatni i ujemny w galwanizmie, planeta i słońce w porządku kosmicznym, mężczyzna i niewiasta w rodzie ludzkim, myśl i ciało w człowieku. — Prawo to na tem zależy, że jedna i taż sama siła w naturze, lub idea w Duchu, objawia się na dwóch ostatecznych końcach swoich niby to sprzecznie, a wtedy między tymi dwóma końcami powstaje działanie i oddziaływanie ciągłe, czyli ruch i życie tejże siły, tejże idei. — W stosie galwanicznym z bieguna dodatniego wypadająca iskra gdzież leci? w biegun ujemny. — Mężczyzna do kogoż się

ma, w kim się odbija? w niewieście. Myśl czem się wyraża? ciałem. Zawsze jedna połowa posługuje się drugą, przewciela się w drugą na to, by »całość« istnieć mogła. —

W podobnym, analogicznym stosunku dzisiaj mają się do siebie: nadchodzący postęp historyi i Polska; — koniecznym pierwszego warunkiem drugiej zmartwychwstanie. Gdzież więc musi najwierniej odbić się świadomość tegoż postępu? gdzież najżywiej zajaśnieć przewidzenie tej przyszłości? Zaprawdę, że w Polszcze. —

Trzeba było śmierci naszej; trzeba będzie naszego wskrzeszenia — na to, by słowo Syna człowieczego, wieczne słowo życia, rozlało się na okręgi społeczne świata. — Właśnie przez naszą narodowość, umęczoną na krzyżu historyi, objawi się w sumieniu Ducha ludzkiego, że sfera polityki musi się przemienić w sferę religijną — i że Kościół boży na tej ziemi to nie tylko to lub ono miejsce, ten lub tamten obrząd, ale cały planeta i wszystkie, jakiekolwiek być mogą, stosunki tak osobników jak narodów między sobą.

„Domini est terra et plenitudo ejus orbis terrarum et universi, qui habitant in eo.“ (Psal. 24—1).

Oczywiście tu nastąpi w sumieniu ludzkiem rozszerzenie obecności bożej. — Pan w całej sferze politycznej, kędy dotąd Go nie było, przytomnym się stanie, a narzędziem Jego Opatrzności do tego nikt inny, jedno naród polski.

Jedno z dwojga — albo święta przyszłość ludzkości przepada, albo warunkiem jej dopełnienia się jest życie Polski. — Słowo jedne, słowo chrystusowe, albo żadnych dalszych owoców nie wyda, albo gwałt, zadany temu świętemu słowu, dalej trwać nie może. — Taką jest prawda, ale prawda nie już interesu świeckiego, jedno bożego — przeto nazywamy ją religijną. — Ona musi ściślej jeszcze połączyć (»religare«) ziemię naszą z niebem!

Niechaj się o niej sumienie każdego Polaka przekona, niech pojmie myślą, co dotąd czuł sercem tylko, a zrozumie i wierzyć będzie, że tylko przez Polskę

zdoła się zasłużyć na ziemi i zbawić duszę nieśmiertelną, bo tylko w Polszcze i przez Polskę zacząć się opatrznie może nowy okres w dziejach świata. — Od tego zaś postępu zależy coraz wyższe dopełnienie się Objawienia chrystusowego w ludzkości. —

Dnia 17 marca 1843 roku.

Z ojców mych ziemi przez wroga wygnany,
Deptać musiałem obcych ludzi łany
I słyszeć z dala tych szatanów wycia,
Co ziemię moją okuli w kajdany;
Jak Dant — przez piekło przeszedłem za życia!

Z razu jam ufał, że Bóg miłosierny,
Na pyszne pyszny, ale wiernym wierny.
Z razu jam ufał, że za dni niewiele
Zlecą zesłane anioły-mściciele
I grób ten pęknie, co stoi śród świata,
Przyparty ręką olbrzymiego kata.
Lecz dni płynęły, upłynęły lata,
Darmo brzask walczył z ślepą nocy siłą,
Nie weszło słońce nad Świętych mogiłą
I coraz podlej na tej ziemi było!
Więc duch mój upadł w tę próżnią zwątpienia,
Gdzie światło wszelkie w noc wieczną się zmienia,
Gdzie trupem gniją arcydzieła męstwa,
Gdzie gruzem leżą wiekowe zwycięstwa,
I z dni tych wszystkich wybranej kolei
Wyrasta napis: »*Tu niema nadziei!*«

Ach, żyłem, żyłem w tej przepaści długo,
Miotan rozpaczą bezbrzeżną i wściekłą!
I śmierć mi będzie tylko śmiercią drugą:
Jak Dant — za życia przeszedłem przez piekło!
Lecz i mnie także zbiegła w pomoc Pani,
Której się wzroku czarne duchy boją;
I mnie też Anioł wybawił z otchłani,
I ja też miałem Beatricze moją!

O równie piękna, nad planety ciemnie,
Nie wzniosłaś skrzydeł twoich precz odemnie,
By zasiąść w niebie — bez bólu — niebiańska!
O równie piękna i bardziej chrześciańska,
Tam, gdzie ból rośnie, tam, gdzie łza się plemi,
Tyś z bratem twoim została na ziemi!
W jednych my cierniów chadzali koronie,
Krew moich dłoni krwawiła twe dłonie,
I z jednych trucizn piekielnego zdroja
My pili razem, o Beatriks moja!

A jednak, jednak mój jęk, twe westchnienia
Zmieszane, zlane, przebrzmiały na pienia!
Z dwóch smutków, w duszne spojonych zamęście,
Wzbił się głos jeden — a tym głosem szczęście!
Ach, szczęście wiary, ach, nadziei siła,
Co w serce moje przez wzrok twój wróciła!
Tak chmury ciemne, pełne łez na niebie,
Gdy w nadpowietrznym zetkną się pogrzebie,
Z ich płaczu światło wypada wnet gromem
I mgła się staje złotym Boga domem!

Pieśń tę więc zacznę, siostro, twem imieniem.
O, bądź na wieki ze mną połączona
Jednych pamiątek i uczuć pierścieniem!
My tu skonamy, lecz pieśń, co nie kona,
Powróci kiedyś wierna mnie i tobie,
By, jak stróż anioł, strzedz nas, spiących w grobie!
A może przyjdzie chwila, że, wskrzeszeni
W czasie dusz wszystkich, nie już w ciał przestrzeni,
Wstaniem, jej dźwięków znów spójni łańcuchem,
I żyć będziemy w serc ludzkich pamięci
Jak duch zbawiony ze zbawionym duchem,
Oboje czyści, świetlani i święci!

Czy pamiętasz nad Alp śniegiem
Rozwieszone Włoch błękity?
Nad jeziora włoskim brzegiem
Czy pamiętasz Alp granity?
Tam — z daleka — w niebo — przodem
Pną się ostrza kryte lodem,
A tu bliżej, a tu niżej
Poza wzgórzem spływa wzgórze,
Z winnic kapią bluszcz i róże,
Jednym rajem gór podnóże!
W wieczór, z rana — zwierciadlana
Fala pije niebios smug,
Na wód dole — na skał czole —
Jedna piękność — jeden Bóg!

Widzę jeszcze, widzę ciebie:
Z harfą stoisz na mej łodzi,
Gwiazd już kilka drży na niebie,
Z nad Alp szczytu księżyc wschodzi.
Widzę jeszcze, widzę ciebie:
Na twych strunach twoje dłonie,
Iskra natchnień skrzy ci z lica,
Światłokręgiem twoje skronie
Rozanielił blask księżyca.
W fal przezrocza, w sieć z promieni
Zewsząd postać twa ujęta,
Na błękitnem tle przestrzeni
Całaś srebrna — wniebowzięta!

Nabijaną światłem drogą
Łódka moja zwolna płynie;

Jakże lubo, jakże błogo
Na szafirów tych głębinie!
Za jeziora przezroczami
Majaczeją wzgórza, skały,
I ty ze mną i my sami
I tak piękny świat ten cały!

Nabijaną światłem drogą
Coraz dalej łódź ma płynie;
O! anieli czuć nie mogą
Co ja czuję w tej godzinie!
Takiem silny, takiem dumny!
Siostro moja, mnie się zdaje
Że w tej chwili ze snu trumny
Nasza *Święta* gdzieś już wstaje!

Coraz dalej twarz miesiąca
Nas prowadzi smugiem fal;
Płyńmy, płyńmy tak bez końca
W ciszę — w jasność — w błękit — w dal!

Wód zwierciadła, gór widziadła
Ziemia, niebo — jeden kraj!
Rzeczywistość się pomału
W świat przemienia ideału,
W sen ze srebra i kryształu.
Daj mi teraz marzeć, daj!
. . . . . .

. . . . . .
Bądźmy dumni, mój Aniele,
Bo, nim zstąpi cud i zbawi
Tych, co w dawnym drżą kościele,
Nam zwątpienie serc nie krwawi,
Nam nie brudzi czoła trwoga,
My podnosim wzrok nasz w górę
I, gdy widzim tę naturę,
W niej i za nią czujem — Boga!

My, w natchnienieniu wspólnych marzeń
Gnani wirem smętnych zdarzeń,
Idziem, kędy wiedzie droga!
Lecz w tej zmiennej życia męce
Gdy ściśniemy sobie ręce,
W niej i za nią czujem — Boga!

My, zabitej matki dzieci,
My, co nigdy nie widzieli,
Jak się matki oko świeci
I nad dzieckiem swem anieli,
My, z mogiły naszej rodem,
Po niej wiecznie krwawym chodem,
Jak upiory, stąpać musim!
Jednak w każdej życia dobie,
Za tym grobem i w tym grobie,
Wiarą w niebo — niebo kusim,
Pozywamy na sąd wroga,
Bo dzień sądu w piersiach nosim,
I ufamy, że wyprosim
To, co boskiem jest — u Boga!

Módl się ze mną, moja siostro!
Módl się, klęknij tu w pokorze;
Lecz patrz w górę śmiało — ostro,
Jak sierota spojrzeć może!
Wpatrz się w harfę tę bez końca,
W której księżyc, gwiazdy, słońca
Tkwią, jak szruby niewzruszone,
A od dołu aż do szczytu
Struny z światła i błękitu
Drgają, w bezmiar naciągnione!
Po tych strunach Duch przelata,
Na tych strunach Duch przegrywa
I w tej pieśni sam spoczywa:
Ta pieśń — zgodą, ciszą świata!

Słuchaj! W dźwięków tych wszechzgodzie
Brak jednego dziś imienia!
Patrz, w tych świateł wszechpogodzie
Brak jednego dziś promienia!
Módl się ze mną, wymów imie
Co wypadło z Lutni życia,
Wskaż tę gwiazdę, która drzymie,
Lecz nie zgasła w dniu rozbicia!
Wymów, wymów *Polski imie,*
Może słucha nas Duch boży
I stracony dźwięk ten przyjmie,
Znów do pieśni świata włoży!

Módl się ze mną, módl się śmiało
I spokojnie i bezpiecznie!
Jak Bóg w niebie — tak koniecznie
Bóg nas wcieli w drugie ciało!
Bośmy w żadnej zgonu chwili
Ducha nigdy nie stracili,
Próbę grobu my odbyli,
Prawem naszem — *Zmartwychwstanie!*
Dziś lub jutro dasz je, Panie!
O, dasz w Swej sprawiedliwości,
Nie, coś winien nam — lecz Sobie!
Bo któż w naszym wyżył grobie?

Kto nam dotąd w piersiach gości?...
Nikt na ziemi — oprócz Ciebie!
Żadna inna moc ni siła,
Jedno Twoja się zjawiła
Tu — po naszym w nas — pogrzebie!
Twoja wszechmoc tylko, Boże,
Cośmy znieśli, przetrwać może!
Twej potęgi tylko chwała —
Tak, jak Polski — jest bez ciała!
Duch Twój tylko jeden zdoła
Nie zatracić — w śmierci — Siebie.
Więc, gdy dzisiaj z ziemi woła,
Ty odpowiesz mu na niebie!

Gdym tak mówił, tyś uklękła,
Strunnym jękiem harfa jękła,
Bo o struny, które wkoło
Porozzłacał blask miesiąca,
Tyś oparła śnieżne czoło
I tak klęczysz wzdychająca!
Z za tej kraty strun twe oko
Patrzy mglisto i głęboko.
Na twych ustach słów już niema,
Tylko jedno drżące tchnienie
Całość duszy na nich trzyma.
Módl się siostro, módl westchnieniem;
Bóg wie dobrze, że westchnienie
Dziś Ojczyzny twej imieniem!

My umarli pośród świata
Z świętej do świata miłości.
On nam bratem — zbawić brata
Trzeba było z win podłości:
Przyjąć na się — nie grzech — karę!
My przyjęli — i widziano
Śród narodów Polski marę
Zstępującą w grób na trzy dni;
Dnia trzeciego się rozwidni
I na wieki będzie rano!

Ha! Myślicie, że, kto kocha
I umiera, ten już ginie?
Dla ócz waszych, dla ócz z procha,
Lecz ni sobie, ni wszechżyciu!
Kto w poświęceń zmarł godzinie,
Ten się przelał w drugich tylko,
Mieszka w ludzkich serc ukryciu
I z dniem każdym, z każdą chwilką
Żywy rośnie w tej mogile,
Jak uczynił Bóg, co w niebie:
Daje wszystkim, daje Siebie,
A nie traci na Swej sile!
Musi długo niewidzialny,
Lecz w serc głębi wciąż słyszalny,
Palić ogniem serc tych skazy,
Miękczyć łzami dusz tych głazy
I przez grobu męki, trudy,
Harmonijną pieśnią śmierci,
Choć rozdarty sam na ćwierci,
W jedną miłość spajać Ludy!

Ha! Wy dziwnie tu marzycie!
Wam, śmiertelnym, się zachciało
Nieśmiertelnych zabić życie —
Raniliście tylko ciało!
Śmierć i miłość — wy nie wiecie,
Że to jedno w Duchów świecie?
Wy, w piekielnej już topieli
Wyżej piersi zanurzeni,
Z Boga tylko to pojęli,
Czem objawił się w przestrzeni!
Myśl, co w mózgach waszych gości,
Myślą tylko ciał martwości!
Tu z was każden, jak morderca,
Chce pozbawić ludzkość serca
I kościotrup po niej nagi
Rządzić prawem równowagi.
Rozdajecie, jak świat wielki,
Wszystkim więzy albo sidła!
Nie tak — nie tak — bo duch wszelki
Ma w anielskie porość skrzydła!
Wiecznotrwały ten na ziemi,
Kto swą śmiercią życie plemi —
Lecz kto życiem swem śmierć daje,
Ten, gdy skona, już nie wstaje!

O wy nizcy, o wy ciemni
I okrutni i nikczemni,
Wy, przewiędłe w nicość dusze,
Bez ducha Faryzeusze,
Wy, kuszący piorun boży,
Aż was w prochu tu położy,
Wy, szpiegowie, i wy, katy
Z wypranemi od krwi szaty,
Wy, półśrodków sztucznych pany,
Co kładziecie żar na rany,
A gdy jęknie wam męczennik,
Ogłaszacie mu, że zmiennik —
Kłamcy wieczni z prawem waszem,
Czy z kupiecką zysku szalą,
Czy z bagnetem i pałaszem,

Wy, bożyszcza, którym palą
Dym kadzidła dzieci trwogi —
Ziemia waszym struta jadem,
Wyście tylko ziemi gadem,
Choć się macie za jej Bogi!

Nie znam na was hańby słowa!
Nie, że język mój ubogi,
Lecz, że boską ludzka mowa,
Nadto piękna — czysta — święta,
Bo z anielskich krain wzięta,
By was nazwać po imieniu!
Jabym rzucił w grzmiącem pieniu
Wam serc wszystkich wszechprzekleństwo
I, jak zemsty jędza wściekła,
Gnał was biczem żmij do piekła,
Starł wam z czoła człowieczeństwo,
Bladych, krwawych, skutych w pęta
Stawił w wieku sądnem kole,
By wydeptały na czole
Wam nadgrobek ten: — »Zwierzęta!« —
Ale w duchu jest pogarda,
Co ma także swe panieństwo,
I, gdy gardzi, nadto harda,
By znamiętnić się w przekleństwo!

Co zalewasz się tak łzami?
Co tak patrzysz bezprzytomnie?
Siostro moja, wstań, chodź do mnie!
Prawda z Polską — Polska z nami!
Nie klęcz więcej, spojrz wesoło —
Skroń mi oprzej na ramieniu,
Niechaj widzę twoje czoło,
Przebóstwione w mem natchnieniu!

Nim ten księżyc już ponury
Zstąpi całkiem za te góry,
Nim te gwiazdy się dopalą,
Nim powróci promień słońca

I przeminie czar, co trąca
Piersi moje nad tą falą:
Niech ci wyższy cud obwieszczę
Nad uciski, nad boleści!
O Aniele mój niewieści,
Słuchaj jeszcze... słuchaj jeszcze!...

Znasz ty miłość, która nęci
Wiecznie duszę w kraj pamięci?
Czy po nocach ciebie woła
Rodowego krzyk anioła
I twym oczom patrzeć każe
W dawno zmarłych żywe twarze?

Znasz zimowy step ten głuchy,
Gdzie śpią w grobach ojców duchy?
Gdzie w powietrzu twarz księżyca,
Jak trupiego widmo lica,
I gwiazd niema — tylko ona
W środku niebios, niewzruszona,
W jej promieniach przestwór cały
Znicestwiony, skamieniały?
Kędy spojrzeć, na wsze strony
Zaspy — śniegi — lody — szrony.
Strach, jak biało — pusto — marno!
Groby tylko, z głazu ryte,
Żadnym śniegiem nie pokryte,
Śród tej bieli stoją czarno!

A gdy wspomnień tajna wola
Myśl twą rzuci na te pola,
Zda się tobie, że bez końca
Po nich błądzisz nocną dobą,
I że wisi wciąż nad tobą
Ten przejrzysty trup miesiąca.
A za każdym twoim krokiem
Rozszerzają się te niwy —

Nieskończoność przed twym wzrokiem
I nad głową ten straszliwy
Krąg ci niebios także rośnie.
Coś pod ziemią brzmi żałośnie,
Cały cmętarz drga, jak żywy,
Z grobów wieją modły, jęki,
Głucho dzwonią gdzieś pałasze,
Twardych zbroic słychać brzęki,
Jakby dotąd ojce nasze,
Pomne życia, tęskne chwały,
Tam się w trumnach przewracały
Z boku na bok — i marzyły
Mękę Polski w snach mogiły!

Nie, co znikło, nie umiera!
Jak zaklęte czarem bóstwo,
Przeszłość wraca w jawu kraje!
Patrz, grób każden się roztwiera,
Umarłego ci oddaje! —
Antenatów blade mnóstwo,
Dawne króle, radne pany,
I rycerze i hetmany
Obwiązują cię dokoła.
Cmętarz z lodu i z kamienia
W sejm — w zjazd — w Polskę się przemienia!
Zgon się darmo wrył w te czoła;
Choć wzrok próchnem błękitnieje,
Znać w nim Wiarę i Nadzieję!
Patrz, z pod rdzawych tych szyszaków,
Z pod tych koron i kołpaków
Bije dotąd iskra ducha,
Senatorska tli wspaniałość,
Lwi się szlachty stara śmiałość
I niewoli wzgarda bucha!

Jam ich widział i szlochałem.
Na tej białej snów mych ziemi
Jam ich widział — i przed niemi
Tak, jak pada trup, padałem.
Na ich stopach kładłem skronie,

I podrywał ku nim dłonie,
Tam łzą — krzykiem — sercem całem
O zgon Polski ich pytałem
Ja, urodzon po jej zgonie.

Za co życie w życia chwili
Z taką pychą roztrwonili,
Że potomkom nie zostało
Ni potęgi, ni puścizny,
Jedno w zamian ich ojczyzny
Rozebrane kraju ciało?
Co ich wichrem takim gnało
Po dziejowej czasu fali,
Że, tak dbając o nas mało,
Krew nam i w tej krwi — śmierć dali?

Ledwom spytał, ich zbroice
Zagrzegocą w głuchy dźwięk,
Z wszystkich piersi wypadł jęk,
Wszystkich zmarłe te źrenice
Z pod tych przyłbic, jak gromnice,
Płoną ku mnie; — razem, górą
Wszystkie wzbiły się prawice,
Przesłoniły księżyc chmurą,
I tych bladych rąk sklepienie
Drży przysięgą potajemną,
Na słów moich zaprzeczenie
W niebo rośnie ponademną!
Tak, jak rosa z polnych kłosów,
Pot mi trwogi ścieka z włosów,
A na piersiach zmora siędzie;
Ni odwrócić mogę wzroku:
Tu — przedemną — za mną — z boku
Oni stoją tłumem wszędzie,
Zewsząd słyszę ich oddechy
I pogardy słyszę śmiechy.
Patrzą na mnie ci umarli,
Jak półbogi — a z ich lica
Patrzy wieków tajemnica

I z nich każden ją rozumie,
Więc mną gardzą w świętej dumie.
Aż pogardą mi rozdarli
Serce — i serce ze stali,
Gdy tak śmiechem mi łajali,
Pękłoby! — O tej snu porze
Ach, pamiętam, strasznie, smętno!
Więc, jak mogę, tak się korzę,
Aż znów zerwie się namiętno
Duch mój — krzyknę: »O ojcowie,
Zdejmcie ze mnie wasze gniewy!
Kto na świecie mi tym powie
Prawdę świętą, jeśli nie wy?
Jam was przyszedł pytać o nią,
Odpowiedzcie więc synowi!
Niech się Polska wasza dowie,
Że jej Duchy wasze bronią!«

Wtedy Hetman, co przy grobie
Oddalonym zwykle trzyma
Na szablicy ręce obie,
Żadnych pętlic złotych nie ma,
Ni turkusów w buzdyganie,
Jedno pancerz za ubranie,
A na rysiej z wierzchu skórze
Niasto haftów — kul przestrzały
I na licu — blizny duże
I na czole — hełm niecały,
On wódz zmarły, co tam zawsze
Na mnie oczy ma łaskawsze,
Choć z nich wszystkich najbutniejszy
I z nich wszystkich najsmutniejszy —
Jak stał cichy i ponury,
Nagle czoło wzniósł do góry,
Wyprostował się ogromnie
I szedł, jęcząc, zwolna do mnie.
Jam znów przykląkł — i wzwyż głowy
Usłyszałem głos grobowy:

»Ani z soli, ani z roli,
Ale z tego, co mnie boli,
Ja wyrosłem — i snać, tuszę,
Że ból tylko tam, na świecie,
Kiedyś pysznych w piekło zmiecie.
Komu dawa Pan katusze,
Obietnice temu składa.
Słowo Pańskie — żadna zdrada,
Ono musi zbawić duszę.
Jakie lądy, jakie morza
Jam zbiegł niegdyś — wiedzą ludzie.
Za dni moich źle już było;
Jak się mogło, tak służyło
Szczerą chęcią, w krwawym trudzie,
Braci szlachcie. — Łaska boża
Nas wegnała w te bezdroża:
Niechaj będzie pochwalona!
Bo ojczyznie mojej dała
Z piekieł ziemskich wynijść łona,
Nie żyć w innych ludów modle,
Raczej umrzeć — jak żyć podle;
Za to Panu wieczna chwała!

»Ty nie szukaj w ojcach winy,
Ty nie wdawaj się w szyderstwo,
Bo to potwarz i bluźnierstwo!
Azaż ty wiesz, jak z godziny
Dni się snują, jak z dnia wieki?
Tylko zmarły — co w żałobie
Tęskni, czeka, marzy w grobie,
A nie żywy — wiedzieć może,
Co czas blizki, co daleki,
Co noc wieczna, a co zorze
I co boskiej znak opieki.

»Gdyby niegdyś ojce twoi
Cudzoziemców świeckich chodem
Weszli byli do podwoi
Tego gmachu, który stoi
Wkoło Polski, a dziś pada,

Bylibyście dziś, jak oni,
Kramem tylko, nie narodem,
Sklepem śpiącej pełnym broni —
Wyście Duchem, co nią włada!
My nie mogli żyć w przeszłości,
Bo my znali się za gości
Innych wieków. — Wiecznie, wszędzie
Przez rozwarte dziejów pole
Los nas pędził w wyższą dolę,
Ku tej Polszcze, która *będzie.*
I przez ojców waszych życie
Porywani dotąd skrycie,
Mimo wiedzy — wy musicie
Ku Królestwu iść bożemu,
Co ma jaśnieć na tym świecie:
My szli tamże po staremu,
Wy dziś z młoda tam idziecie.

»Jedną spojnią, w jednym duchu,
Jak ogniwa na łańcuchu,
Pan powiązał ojców z syny.
Ni ten łańcuch kiedy pęknie;
Wszystkim razem dobrze, pięknie!
I z krwi naszej, z naszej winy,
Nim ten jeszcze wiek przeminie,
Wyjdzie *Ludów Lud jedyny.*
Błogosławcie ojców winie!«

I umilka Hetman mowca,
Znów wstecz idzie do grobowca.
Grobu głazy się rozwarły,
Śród czarnego ich przełomu
Ten umarłych wódz umarły
W granitowym znika domu.

I wnet w górze się roztrąca
Rąk nademną mgła wisząca,
W oczach tają mi widm twarze,
Step się łamie — niebo kruszy

Znów te wszystkie mi cmentarze
Zapadają w przepaść duszy.
Lecz drga w uchu, jęczy w duchu
Jeszcze z rana głos Hetmana;
Ze snu tego, rozwianego,
Myśl ta jedna — nie rozwiana.

Coraz smutniej już w przestworze,
Coraz czarniej na jeziorze!
Pogrzebowa z chmur przesłona
U gór szczytu rozwieszona
I w nią księżyc spadł — i kona.

Przebóg, siostro, co się dzieje?
To nie wiatru szum tak wieje!
Ktoś tam z cicha — płacze, wzdycha
Z nad wybrzeży jęk się szerzy;
W nocnym wietrze przez powietrze
Tysiąc jęków do nas bieży.
Już brzeg cały — wzgórza, skały
Brzmią modlitwy głuchej kołem.
Wielki Boże! czy być może?
Duchy ojców tu ściągnąłem!

Za wodami — tam, przed nami,
Jak sny lekkie, lekką zgrają
Na opokach się wieszają;
Jak płomyki — jak ogniki,
To się wznoszą, to zniżają!

Do strun, siostro! Uderz w struny!
By ich łacniej pieśń zaklęła,
W akkordowe graj pioruny,
Graj im: »*Jeszcze nie zginęła!..*«
Harfą — głosem — płacz, proś, szalej!
Pieśń rodzinna tu powinna
Przyprowadzić ich z oddali!

Widzisz, widzisz, usłyszeli!
Na ciemnościach tacy bieli
Z skał spływają już do brzegu!
Ot! w powietrznym już pochodzie
Po tej czarnej kroczą wodzie,
Jak olbrzymie słupy śniegu!

Czy to cuda?
Czy to złuda?
Dźwięk po dźwięku
Skrzy ci w ręku,
Harfa cała
Tli i pała,
Każda nuta,
Z strun wysnuta,
Przestrzeń trąca
Gorejąca!
I wzwyż fali
Pieśń się pali,
Ku mar stronie
Pędzi — goni
I wciąż płonie
I wciąż dzwoni!

Przewodowo — zwolna — święcie
Przez to dźwięków rozbłyśnięcie
Idą, idą wszystkie mary.
Patrzaj, patrzaj! W dziwnej chwale!
Wszyscy z trumien polskich rodem,
Idą — idą przez te fale
Chrystusowym do nas chodem!

Tam buńczuki, tam sztandary,
Śnieżne pióra i korony,
Katolicki krzyż wzniesiony;
W koło herby — tarcze — znaki
I tłum szabel — i szyszaki.
Przeciągają — patrz, tam żywa
Twarz z powietrza się wyrywa,

Twarz, czy widzisz? Anielicy!
Jak gwiazdeczka na ciemnicy,
W górze, w górze zawieszona,
Wschodzi — weszła — tli — drga — płonie!
Ot! z błękitów i szkarłatów
Już otęcza ją przesłona!
Na tle z pereł, na tle z kwiatów
Dyamentowa lśni korona...
W krzyż na piersiach zwite dłonie,
Złote gwiazdy na jej łonie;
Czy poznajesz ty, kto ona?
Witaj, witaj! — To królowa,
Po swym ludu długo wdowa,
I dziś wraca w tej koronie,
Którą w polskiej Częstochowie
Niegdyś dali jej ojcowie,
I tych ojców przez te tonie,
Patrz, prowadzi!

Nie graj więcej!
Z fal tych drugiej takiej tęczy
Nasza harfa nie wydźwięczy
Ni te Duchy tu przynęci!
Już ich tknęło światło boże
I gdzieś spieszą — zbrojnie — skoro.
Złotem wokół szklni jezioro,
Na ich hełmach błyska zorze;
W dawnym polskich bitew stroju,
Przebóstwieni — rozzłoceni
Przesuwają się w przestrzeni,
Jakby znowu szli do boju!
Srebrne skrzydła, w zbroję wtknięte,
Im z nad ramion w górę lecą,
Jak anielskie skrzydła świecą;
Turkusami zbroje spięte,
Z żywej stali rękawice,
Strusie pióra wyżej głowy
I dobyte do połowy
Damasceńskie ich szablice.

Każden oczy ma wzniesione,
W przeanielską patrzy Panią
I po falach stąpa za Nią
W nieskończoną jakąś stronę;
I miecz dławi w swej prawicy
Wyżej serca, na zbroicy,
Jakby miał się ku obronie
Tej, lecącej w gwiazd koronie.
A królowa ta nie z ziemi
Jak sen wije się przed niemi
Coraz dalej ...

Pani, Pani!
Wszak z pomarłem sług plemieniem
Ty zstępujesz do otchłani
Po raz drugi zdeptać węża!
Wszak z nowego wieku dnieniem
Sprawiedliwość się odnowi
I Ty powiesz szatanowi,
Że Lud polski Twój — zwycięża!

Uderzyła łask godzina!
Znowu Tobą i przez Ciebie
Myśl przedwieczna, żywa w niebie,
Żyć pod niebem rozpoczyna.
Płyńże, płyńże, Lilio boża,
Poza lądy, poza morza,
Nad piekielne wzbij się jary!
Świeć im oczu Twych spojrzeniem,
Niech przepada kłamca stary,
Który wieków był złudzeniem!
U stóp Twoich on polęże,
A ci zbrojni, polscy mężе
W pierś mu wetkną miecz ze stali,
Podeptają w imie Boga
Odwiecznego ludzi wroga.
Wszakżeć na to z grobu wstali!
Wtedy, wtedy na tym świecie
Wzrosną życia kształty trzecie!

Wtedy, wtedy nam z powieki
Pan łzy otrze — i na wieki!

Wiem już teraz, o ojcowie,
Gdzie z Królową tą w szkarłacie
Tak spieszycie — przemijacie!
Ale czyjże głos mi powie,
Kiedy nazad z tej oddali
Na tę ziemię powrócicie,
By i żywi w złotym świcie
Z letargowych trumien wstali?

Już daleko wy na fali;
Coraz dalej — coraz dalej
Ku wschodowi, ku jutrzence
Lśnią wzniesione wasze ręce!
Na te góry, na te brzegi
Dnia już padły jasne gońce,
Czerwienieją skał tych śniegi,
Mgła się płoni u wód końca,
Za nią pierwszy promień słońca!
I te białe ich seregi
Idą prosto w to wschodzące
Wielkokrężne, złote słońce!
Płoną, mdleją, nieznacznieją,
Już ich niema — z tych topieli
Poszli w światło i zniknęli,
Poszli z światłem — i z nadzieją!

Nic nie ujrzeć już w przestrzeni
Prócz lazurów i promieni.
Znów spokojna toń jeziora,
Znów te skały i te góry
I to niebo i te chmury
Tak, jak zawsze — tak, jak wczora!

Noc minęła — lecz z jej cieni
Wiara w piersiach się została!
Ni tej wiary los już zmieni;
Naszą, naszą przyszłość cała!

Chciałbym objąć te błękity,
Tych wód brzegi, tych Alp szczyty,
Ten widnokrąg objąć świata
I przycisnąć świat, jak brata,
Do mych piersi — bom szczęśliwy!
Wszystko moje, wszystko piękne!
Moje — ziemi, nieba niwy!
Z skał tych życia głos wydźwięknę,
Bo w mem sercu Słowo boże!
Wszędzie cuda — wszędzie dziwy
Ja roztopię się w przestworze!
Ja ci mówię — żem szczęśliwy!
Polska moja — Polska *będzie!*
Dzięki wszystkim i wszystkiemu,
W wieki wieków dzięki wszędzie
Bogu — Duchom — ludziom — tobie —
I umarłym dzięki w grobie
I każdemu, kto jest żywy,
Temu światu wszechcałemu
Wieczne, wieczne dziękowanie!
I powietrzu powiem: »Panie,
Dzięki Tobie — bom szczęśliwy!«

Wszystko ludzkie znika — ginie,
Prysła ziemskich chwil zawiłość,
Myśl już pląsa w tej krainie,
Gdzie wszechświatło i wszechmiłość.
Z dusz się naszych wzbił Duch trzeci,
Wyższy od nas — niepojęty,
Bo nam w piersiach wre i świeci,
A zarazem w górę leci,
Już z tych piersi wniebowzięty.

I w tej chwili przemienienia
O, pamiętaj, wspólnym wzrokiem,
Tej istoty trzeciej okiem,
Jej, nie naszym — my ujrzeli
Głąb rozkrytą przeznaczenia!

Czy pamiętasz? my widzieli —
Gdzie? — ja nie wiem, nie powtórzę —
Ni na dole, ani w górze,
Ni na wodach, ani w chmurze —
Lecz w bezdennej gdzieś topieli,
Gdzieś w odwiecznych świateł bieli,
W próżni — kędy się przed nami
Niewidzialne wskróś rozdarło,
Jak ocean się rozwarło
Ponad czasu przepaściami.
Oto nagle — tam — ujrzeli,
Jak się Polska, Polska cała
Jednem widmem zmartwychwstałem,
Archanielsko wielkiem, białem
Z dni przyszłości wychylała
I na głębi dni tych stała,

Jeszcze widna — niby ciałem —
Lecz już w wieczność przebóstwiona,
Nieśmiertelna — nieskończona!

Jak blask słońca, tak jej lice!
I z błękitu ma zrzenice —
A jej wzrokiem — błyskawice!

Nad jej czołem z krwi korona,
Wieniec wspomnień purpurowy,
Lecz już przeszły wszystkie bole;
I duch boży na jej czole —
Naokoło już świat nowy!

Na zerwanych jej kajdanach
Miecz, u piersi zawieszony,
Na tym mieczu trzy korony
Po trzech dawnych świata panach!

Choć już złego wiek skończony,
Na tej miecza rękojeści,
Oplecionej w trzy korony,
Rękę dotąd trzyma ona!
I ta ręka krwią znaczona
W chrystusowy znak boleści,
I z tych koron czasem błyska,
I ta ręka wtedy ściska
Miecz olbrzymi — a z tej ręki
Na pamiątkę wiecznej męki
Krew w Wieczności jeszcze tryska!

A tam za nią — tam, wysoko —
Tam, daleko — tam, głęboko —
Za nią — w czasie i w przestrzeni,
Na tłach z światła — na tłach z cieni,
I z stron wszystkich — wkoło, wszędzie —
Jak mgły w ogniu — w tęczach pary —
Zewsząd stają boże mary
Tego świata, który *będzie!*
Lecz już nie tak jasno-białe,

Mniej olbrzymie i wspaniałe,
Ni znaczone krwią przeszłości,
Bohatyrską krwią męczeństwa,
Tą boskością człowieczeństwa,
W znak królewski — śród Ludzkości.

Wszystkie płoną pierwszym wschodem
I potęgi — i zwycięstwa.
Każda — wielkim jest narodem,
Ale tylko z niebios rodem,
A nie rodem z swego męstwa.
Młody listek ich wawrzynu,
Nie wywiodła ich z cmętarzy
Nad zgon wyższa wola czynu,
Ni im dano, czem śmierć darzy.
Bo, jak ojciec, grób ich skrycie
Nie wyuczył ścieżek Pana;
Wtóra mądrość im nie dana,
Pierwsze tylko dane życie!

Patrzaj, patrzaj! Z chmur powodzi
Coraz więcej widm tych wschodzi,
Na ich skroniach róże wiosny —
Maj nadziei — maj żywota,
W ich spojrzeniach cisza złota,
Na ich ustach hymn radośny,
A pod niemi drży w przestworze
Szafirowych świateł morze.
I tam wszystkie przechylone
Z szczytu wieków swych patrzają,
Wszystkie, wszystkie, obrócone
W archanielskiej Pani stronę,
Coraz niżej się schylają.

Widzę — widzę — wzniosły ręce,
Rwą ze skroni życia kwiaty,
Rwą — ciskają życia wieńce
Pod Jej stopy — na Jej szaty!
Leci tuman róż w przestrzeni —
Na tem niebie każda róża

Nagle w iskrę się przemieni,
Wieniec każden tęczą tryśnie,
Spadająca kwiatów burza
W jedną zorzę się rozbłyśnie
I w powietrzny płaszcz z promieni,
W karmazynu wielką chmurę
Archanioła opierścieni —
Polskę moją — w jej purpurę!

Wszystkie, wszystkie Duchy-Ludy
Na szafirach swych dokoła
Pochyliły przed nią czoła
Jeszcze głębiej, niźli wprzódy!
Rozkochane — zachwycone
Widzę, widzę — już przyklękną,
W niej uznały boże Piękno,
Dadzą Jej świata koronę!

I przyklękły — i słyszałem
Głos, co woła w wiecznem niebie:
»Jak im Syna niegdyś dałem,
Tak im, Polsko, daję Ciebie!
Syn Mój jeden był — i będzie,
Lecz myśl Jego żyje w Tobie;
Bądź więc prawdą, jak On, wszędzie!
Ja Cię Córką moją robię.
Gdyś do grobu zstępowała,
Byłaś cząstką człowieczeństwa,
Ale teraz, w dniu zwycięstwa,
Ziemia Tobie powierzona
Imie twoje: *Ludzkość cała*,
Byś ją wiodła *czynu* torem,
Aż się staną jej plemiona
Jednym Ducha arcytworem!
Wzbij się w bezmiar nieskończony
Nad ubiegłych lat padołem,
Wtedy pójdą te miliony
Za planety archaniołem!«

I ujrzałem Archanioła
Postać, w bieli i w purpurze
Z nad klęczących ludów koła
Podnoszącą się ku górze.
Obrócone w zwyż Jej oczy,
Lecz ku Duchów-Ludów stronie,
Wyciągnięte na dół dłonie —
I tak znika wśród przezroczy!

W tę porwaną patrzą postać
Rozklęczone duchów grona;
Już nie mogą w dole zostać,
Już się wzięły pod ramiona
Pojednane — połączone —
Wzbić się muszą tam, gdzie Ona,
Wichrem bożym poniesiona —
W coraz wyższą — wyższą stronę!
I zerwały się pospołu,
Z szafirowych niw padołu
Za mą Polskę, jak za słońcem,
Popłynęły już do góry,
Narodowe, ziemskie chóry
Popłynęły tak, jak chmury,
Opasane tęcz tysiącem!

I ujrzałem wszechświat cały
Jak myśl jedną, która płonie
Skier milionem w jednem łonie!
Ach! widziałem bożej chwały
Wszechprzytomny kształt — bez końca,
Komet — planet — wiry, kręgi,
Nad wstęgami gwiazd — gwiazd wstęgi,
Nad słońcami — jeszcze słońca!
Wszędzie światów, tak jak kwiatów,
W lazurowym tym ogrojcu;
I przez światła oceany
Jeden życia dźwięk rozlany,
Pieśń wszechgrzmiąca — wszechjedyna
Niebieskiego świata — Syna,
O niebieskim Bogu — Ojcu!

I przez wszechświat ten do Boga
Szła Narodów ziemskich droga!
I wciąż Polska moja przodem
W nieskończoność z ludzkim rodem
Tam leciała!...

Czyje oko
Ją dosięgnie tak wysoko?
Kto uderzy ziemskiem czołem
Aż o stopy Stworzyciela?
Kto poleci z Archaniołem
Tam, gdzie Ludzkość się odwciela?
Już mi w piersiach serce mdleje —
Obraz znika — myśl się chwieje.
Siostro moja, czym w mogile?
Mnie tak słabo, konająco —
O, jam prosił tak gorąco,
Jam się modlił Bogu tyle
O tę jedną, jedną chwilę —
I ujrzałem!...

W tej godzinie,
O, pamiętaj, żeśmy byli
Na najwyższej dusz wyżynie —
Tam, skąd źródło życia płynie;
My u źródła życie pili!
Oko nasze już chwytało
To, co jeszcze bez imienia;
My na wolność rozpętali
Z głuchych więzów przedstworzenia
To, co jeszcze w nich drzemało,
I na chwilkę temu dali,
Co Bóg daje — kształt i ciało!
Siostro moja, my w tej chwili
Naszą wieczność już przeżyli!

Zrzuć więc smutek — zrzuć więc trwogę,
Daj mi rękę w jedną drogę!
Wiem, co trudu na niej jeszcze
I co bólu — i co klęski;
Ale ufaj w czucie wieszcze:
Już nam błysnął świt zwycięski!

W tę ojczyznę nieśmiertelną,
Mimo działów niepodzielną,
Na tę ziemię ukochaną,
Na tę naszą — naszą ziemię
Przyjdzie nowych ludzi plemie —
Takich jeszcze nie widziano!

By pogodzić świata dzieje
Z wolą Pana ponad pany,
Duch im prawdy z nieba dany
I z ich starą krwią się zleje!

Gdzie nam dotąd śni się *mnóstwo,*
Cząstek rozdział lub rozbicie,
Tam już dla nich jedno Bóstwo,
Jedna miłość i wszechżycie!

Krwią się brzydzą — choćby winną;
Duch już przez nich tylko stwarza,
I, gdy stworzy ziemię inną,
Niema na niej już zbrodniarza!

Niema także podrzędnicy,
Bo niewieście wkońcu serce

Po lat długich poniewierce
Błysło z pączka tajemnicy.

Dawne pany biorą sami
Swe za dłonie niewolnice,
By jak duchy iść z duchami
I wstępować na stolicę!
Przemieniony ten planeta
Już zapomniał, co kobieta —
Wie, co bracia i siostrzyce!

I świat nowy ten radośnie
Jak świątynia Panu rośnie;
W polskim kraju — w polskim raju,
Na wiekowych nieszczęść niwie,
Już nie pusto — ni żałośnie;
Nigdzie — nigdzie już nie ciemno,
Ani za mną, ni przedemną —
Wszędzie jasno — sprawiedliwie!
Zrozumiana przeszłość święta,
Zrozumiane czysca męki
I ten kielich z kata ręki
I te krzywdy i te pęta
I Duch złego, który kusi
Do podłości serce dzielne,
I to serce, które musi
Wstać z tej śmierci — nieśmiertelne!

Duch twój nigdy już nie skona,
Polsko moja przemieniona!
Ponad ziemskich szum zawiei
Tyś się wzbiła w kraj idei!
Inni pomrą bez nadziei
Śród otchłani lub w dolinie,
Lecz ty stoisz na wyżynie!
U stóp twoich czasu fala
Niech się pieni i przewala:
Wszystko przejdzie na potoku,
Wszystko zniknie na głębinie,

Co widome tylko oku,
Lecz Idea nie przeminie!

Ty nie jesteś mi już krajem,
Miejscem — domem — obyczajem,
Państwa skonem — albo zjawem,
Ale Wiarą — ale Prawem!
Ten już odtąd Bogu kłamie,
Kto cię zdradzi — kto cię złamie;
Bo myśl Boga w twojem łonie
I los świata — w twym Zakonie!

* * *

Wiekuisty ojców Boże,
Ty, co górny i daleki
Coraz jaśniej w nas przez wieki
Tu zstępujesz — i, jak zorze,
Z bram wieczności, w Czasu tonie
Skry Twe sypiesz, aż czas spłonie!
Teraz idzie znów Zaranie,
Które dajesz nam z miłości:
— I po grobach zadrżą kości
W szelest hymnu Tobie, Panie!

Darmo — darmo nasze wrogi
Ach! bluźniły, żeś bez serca,
I mówiły — żeś morderca!
Tyś umarłym wytknął drogi,
Co w niebieskie wiodą progi,
Aż wskrzeszonych zmienią — w Bogi!

Za ból ciała — za ból duszy,
Za stuletnich ciąg katuszy
Dziękujemy Ci, o Panie!
Choć my nędzni — słabi — marni,
Z naszej wszczęło się męczarni
Twe na ziemi królowanie!

My jak prochy — my jak pyły —
I wywiałeś nas z mogiły,
I nam rzekłeś: »*O tej porze*
»*Z was Ja wszystko nowe tworzę*« —
— Prochy, lecim już w przestrzenie —
I w piorunach Twego głosu:
»Światło, stań się!« — śród chaosu
Z prochów stały się — promienie!
I do świata, który kona,
Tyś nas posłał nazad w gości,
By, promyki z Twego łona,
My świadczyli o Przyszłości!

Wiekuisty ojców Boże,
Błogosławim Ci w pokorze!
Gdy wiek wieków się przemienia,
Przed Twym tronem nasze Duchy
Zapadają w przepaść skruchy,
W śmierć przed Tobą — z uwielbienia!

* * *

Alleluja! — Dniom boleści
Wnet skrzydłami zaszeleści
Anioł, zwiastun *dobrej wieści!*
Alleluja! — Moc szatana,
Co udawał ziemi pana
Już na ziemi pokonana!

Niby skryte zło w naturze,
Od początku walczył z nami,
Chadzał dumny w wiatrów chórze,
Wył na fali — grzmiał na chmurze
I zabijał piorunami!

Chwila jeszcze, a upadnie,
A gdy czoło w pył pokładnie,
Ze zwłok jego się przetworzy,
Przeanieli — wydobędzie

Inna postać — seraf Boży,
Co planety stróżem będzie
I przejasnych widzeń darem
Poza trumień czarnym jarem
Żywym wskaże białe Raje,
Gdzie Duch zmarłych zmartwychwstaje.

Wszystkie, wszystkie sprzeczne siły
W jeden nastrój się złączyły,
Jedna drugiej nie przeklina —
Wirująca ziemia jękiem
Już przestworu nie przecina,
Lecz, szczęśliwa, brzmi i śpiewa,
Harmonijnym śpiewa dźwiękiem!

Słabszych silny już nie gniecie:
Tak, jak w niebie — na planecie
Wszystko świętej woli słucha;
Martwa dotąd bryła Ludu
Już przekuta dłutem Cudu
W nieśmiertelny *posąg Ducha!*

Piersi ludzka, na śpiew się sil!
Wił się wieków rój
I walk mijał stek;
Lecz skończony bój,
I szczęśliwy wiek
Ujrzy chwilę chwil!

Nie widział wzrok ni słyszał słuch,
Jaka piersi głąb,
Jaki serca czar;
Myśli twórcza, zstąp,
Daj przebudzeń dar,
Niech się ocknie Duch!

Długo trwała snu tego moc;
Uwierzyli weń,
W wieczny ból i trud!
To przybytku sień —

To po wschodach wschód,
To zasługi noc!

Piersi ludzka, kędyż twój srom?
Spojrzyj w siebie — patrz!
Gdzie wrzał dawniej płacz,
Dziś z niebieskich łask
Drugi boży dom!

Rozszerzyła się piersi cieśń
W niezmierzoną błoń,
W jasnowidną toń!
Jeden z nieba kwiat,
Przyszłych wieniec lat,
Jedna w Bogu pieśń!

Tak śród przedświtów lepszego poranka
Marzył wygnaniec — marzyła wygnanka.
Co czuli w sercu, rzucili w te słowa;
Lecz słowo tylko — to marna połowa
Arcydzieł życia; modlitwa jedyna,
Co godna Stwórcy, od hymnu się wszczyna,
Lecz nie zna myśli i czynów rozdziału;
Co głosem śpiewa, to wciela pomału
W kształt dotykalny — aż tak, jak Duch boży,
Świat rzeczywisty wokół siebie stworzy,
Równy pięknością światom Ideału!
Taką nam odtąd modlić się potrzeba;
Bo, póki łódka na marzeń jeziorze
Fale natchnienia w samotności porze,
Myśl tylko weszła, nie człowiek, do nieba!

Cokolwiek będzie, cokolwiek się stanie,
Jakkolwiek pieśni nie pojmą szyderce,
My już w niej całe wyśpiewali serce
I tu jest nasze ze *Słowem* rozstanie!
Niech nucą jeszcze dzieciątka niewinne —
Harfy już nigdy, nigdy nie nastroję!
Drogi przed nami otwarte są inne:
Zginście, me pieśni — wstańcie, *Czyny* moje!

Lecz ty, Piękności, którą ukochałem,
Siostro jedyna w mojem życiu całem,
Ducha męskiego niewieści Aniele,
Czuwaj nademną — i zostań się przy mnie,
Aż zginę cząstką w trudów arcydziele —
Aż skonam zwrótką w poświęcenia hymnie!

PSALMY PRZYSZŁOŚCI.

Dam chwałę Bogu; prawdę powiem; niech boli, jako chce!

Teofil Szemberg: Wyprawa na Wołoszczyznę.

I.

PSALM WIARY.

29. A, odpowiadając, Jezus rzekł im: »Błądzicie, nie będąc świadomi pisma ani mocy bożej.
30. »Albowiem przy zmartwychwstaniu ani się żenić ani za mąż chodzić będą, ale będą jako aniołowie boży w niebie.
31. »A o powstaniu umarłych nie czytaliście, co wam powiedziano od Boga, mówiącego:
32. »Jam jest Bóg Abrahamów i Bóg Izaaków i Bóg Jakubów? Bóg nie jestci Bogiem umarłych, ale żywych«.

Św. Mateusz, Rozdział XXI.

47. Pierwszy człowiek z ziemi ziemski, wtóry człowiek sam Pan z nieba.
48. Jak jest ten ziemski, tacy też i ziemscy, a jaki jest niebieski, tacy też będą niebiescy.

Św. Paweł, List 1-szy do Koryntyan, Rozdz. XV.

Dusza i ciało — to tylko dwa skrzydła,
Któremi Czasu i Przestrzeni sidła
Duch mój rozcina w postępowym locie.
Gdy się zużyją przez chwil i prób krocie,
Opadać muszą — lecz on nie umiera,
Choć to się śmiercią nazywa u ludzi;
On zwiędłe zrzuca, a świeże przybiera
I, w nie otulon, znów na jaw się budzi!
A to się zowie: narodzin godzina!
I Duch mój, wziąwszy skrzydła niezmęczone,
Niemi znów leci — lecz już w wyższą stronę!
Tak coraz wyżej ku Panu się wspina,
Ciała i dusze własne poza sobą
Sypie, jak liście zżółkłe i strząśnięte,
Wciąga do siebie siły, im odjęte —
On sam wciąż żyje ich zgonów żałobą!

Za nim — przeszłości zmierzchające tonie,
Przed nim — rozwarte wszechbezmiarów błonie,
Przed nim świat wszystek, Czas, przestrzeń bez końca,
Piętra z dróg mlecznych i dni z lat tysiąca;
A dalej, wyżej, nad niemi — za niemi —
Ten, co jest wszystkiem i wszystko obleka,
Duch twórczy gwiazdy, anioła, człowieka,
Cel a początek i nieba i ziemi —
Ten, który zawsze i wyżej i dalej
Niedoścignięty nad wszystko się pali:
Spokój — a jednak razem siła tchnąca —
Blask najwyższego duchów, Ducha-Słońca!

K'niemu wciąż dążę — zrazu tam iść muszę
Przez piekła trudu, przez czysce zasługi,

Aż zacznę wdziewać i ciała i dusze
Bardziej promienne — i wstąpię w świat drugi,
W świat, co od wieków zwan okręgiem nieba,
I w nim letargów mi już nie potrzeba
Ani przebudzeń z grobu, by iść wyżej!
Tam żywot wieczny, żywot nieustanny —
Grób i kolebka konieczne są niżej,
Na tych planetach, gdzie świt Ducha ranny,
Gdzie człowiek Boga niemowlęciem jeszcze
I kwili tylko przeczucia swe wieszcze; —
Lecz dla aniołów śmierci nigdzie niema!
Przeszłość i przyszłość ostremi oczyma
Widzą i znają — dla nich przemienienie
To jedna chwila — to dalsze natchnienie!
Jak my na ziemi w godzinie zachwytu
Nikłą pieśń z serca czerpiem — tak tam oni
Kształt rzeczywisty czerpią z fal wszechbytu,
Szaty przemienne czerpią z życia toni
I coraz dalej ku Panu — ku górze
Lecą w królewskiej ciał i dusz purpurze!

Wkoło niebieskich coraz więcej darów,
Grzmiących dźwięczności i światła pożarów,
Mnożą się mleczne pierścienie i pręgi,
Coraz to szersze lazurowe kraje,
Przestrzeń pełniejszą potęg się wydaje —
Czas coraz bardziej się przeteraźniejsza —
A jednak przyszłość, co od końca dzieli,
W nieskończoności swej nigdy nie mniejsza. —
Bo Pan wszystkiego jest wszystkiem na wieki,
Choć coraz bliższy, on równie daleki!
Jego to, Jego żądają anieli!
Żądza bez miary, co chwila rosnąca,
Miłość bez granic — to życie bez końca! —

On ogniw wszechstworzenia wiązannym łańcuchem,
On Bytem, Myślą, Życiem — Ojcem, Synem, Duchem!
On jak Myśl w świecie mieszka i jak Byt wieczysty,
Lecz za świata krańcami On jest osobisty —

On Duchem świętym, jednym, który wie sam Siebie,
Rozlał się po wszech ziemi a został na niebie!
A my wszyscy i wszędzie Jego-śmy obrazem,
I, wstępując stopniami w coraz wyższe włości,
Żyć musim nieśmiertelnie, z Nim żyć musim razem,
Zrodzeni z Jego łona, żyć w Jego wieczności!
I, jako On nas stworzył, tak my tworzyć dalej
I z wewnętrza nas samych wyprowadzać światy,
By prząść Mu, jak nam uprządł, wiadomości szaty,
O ile możem, biedni, w anielskiej pokorze,
To, coś Ty nam dał z łaski — oddawać Ci, Boże,
A nigdy nie módz, nigdy, nic Ci oddać, Panie,
I tak żyć w Tobie wiecznie przez wieczne kochanie!

* * *

Lecz szkołą Duchów są Ludzkości dzieje —
Drogą do niebios planety koleje!
Na nim to, na nim pójdą zasłużeni
— A wszyscy razem — do innych przestrzeni,
Gdy Syn Twój, sędzia, zmartwychwstałych książe,
Losy tej ziemi w dzień sądu rozwiąże
I z nich anielstwo ludziom wypromieni!
A do dnia tego wiodące tu wschody
To w łasce Twojej poczęte narody! —
Garść im powołań sypnąłeś z wysoka —
W każdym z nich żyje myśl jakaś głęboka,
Co z piersi Twoich zesłanem jest tchnieniem
I narodowi odtąd — przeznaczeniem.
A są wybrane jedne przed innemi
By o twą piękność walczyły na ziemi
I, krzyż lat wielu wlokąc krwawym śladem,
Były śród świata anielskim przykładem,
Aż nie wywalczą straszną walką w grobie
Wyższego w ludziach pojęcia o Tobie,
Więcej miłości i więcej braterstwa
W zamian za tkwiący w piersiach nóż morderstwa!

Takim jest naród Twój polski, o Boże!
Kto cząstką jego, niech wie się Twej woli
Cząstką na ziemi — i, choć go świat boli

Tak, że aż zwątpić o nadziei może,
Niech w tem cierpieniu wytrwa niesłychanem,
Boć on, zaprawdę, w Twego ducha chrzczony,
Boć on, zaprawdę, Twym ziemskim kapłanem,
Jeśli się cierniów nie wstydzi korony,
Jeśli pojmuje, że kochasz bezmiernie
Synów tych, których koronujesz w ciernie,
Bo cierń, w krwi maczan, to kwiat wiecznotrwały —
I nim odmładzasz świat ludzkości cały! —

* * *

Chrystus wciąż w tobie mieszka, o Ludzkości,
W twych piersiach żyje, w twoich losach gości,
Krwią twą — krew Jego i ciałem twem — ciało!
Stanie się tobie, co Jemu się stało!
On wcielił w Siebie wszystkie twe koleje,
On ci objawił wszystkie twe nadzieje.
Zkądeś zrodzona? — Z przeczystej dziewicy,
Bo z myśli bożej w boże podobieństwo! —
Ku czemu idziesz? — Ku Ojca stolicy. —
Przez co przejść musisz? — Przez trud i męczeństwo!
A kiedy Chrystus nad Taboru szczytem
Już się otacza wieczności przedświtem,
Czy ty nie widzisz, co ten znak ci wróży?
Nim los twój ziemski w pełni się dokona,
I ty, Ludzkości, będziesz przemieniona!
Zostawisz w dole u stóp ciemnych wzgórzy
Wszystko, co zwodzi, i wszystko, co boli;
Zostawisz w dole szataństwo niewoli,
Zostawisz w dole kłamstwa opętanie,
Zostawisz w dole tajemnic zawiłość,
A weźmiesz z sobą duchowe poznanie
I serca wieczną, nieskończoną miłość
I z temi dwoma świętemi potęgi,
Jak Chrystus, w światła wzbijesz się okręgi!
Z czoła się twego grzech wszelki twój zetrze,
Jak pióra lekkie będą twe ramiona,
Ręce pokładniesz na białe powietrze
I w niem się ważyć będziesz — spowietrznionа! —

II.

PSALM NADZIEI.

16. A ja prosić będę Ojca, a innego pocieszyciela da wam, aby z wami mieszkał na wieki.
17. Onego Ducha prawdy, którego świat przyjąć nie może, bo go nie widzi ani go zna. — Lecz wy go znacie, gdyż u was mieszka i w was będzie.
18. Nie zostawię was sierotami — przyjdę do was.

Św. Jan. Rozdział XIV.

6. I widziałem drugiego Anioła, lecącego przez pośrodek nieba, mającego Ewangelią wieczną, aby ją zwiastował siedzącym na ziemi i wszelkiemu narodowi i pokoleniu i językowi i ludowi.

Objawienie Św. Jana, Rozdział XIV.

Dość już długo — dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal!
Czas uderzyć w strunę drugą,
W czynów stal! —

Wszystkim ciało dał Jehowa —
Duszę wszystkim Chrystus dał,
A Duch święty żywot chowa,
By wraz ciało z duszą zlał.

Ja wam mówię — niedaleki
Zbawiciela Objawiciel,
Niedaleki, nam przed wieki
Obiecany, Pocieszyciel!

Oto idzie już godzina!
Poznan będzie — Niepojęty!
Z Ojca weźmie, weźmie z Syna
I rozleje się Duch święty! —

A nie trony — ni korony
Pierwsze ujrzą Cię na niebie —
Lecz niewinnie umęczony,
Ten, o Duchu, ujrzy Ciebie!

Kto lat tysiąc wieku strawił,
Kościół broniąc od poddaństwa!
Milionową pierś wciąż krwawił,
Aż rozdeptał gad pogaństwa —

Kto śród ludów nie miał brata,
Ten, na czyim już pogrzebie

Były wszystkie króle świata,
Ten, o, pierwszy ujrzy Ciebie!

Bo choć krwawy, choć zemdlony,
Wzrok utopion trzyma w niebie!
A kto patrzy w Ducha strony
Ten, o Duchu, ujrzy Ciebie! —

* * *

Ni zmysł kupców, ni dłoń kata
Przeciw prawdzie nie pomoże!
O, przyjdź prędzej, wiosno świata!
O, przyjdź prędzej, Duchu-Boże!

Wszak my Duchy, Duchu Święty,
Wiecznie wstajem z własnych kości? —
Wszak, jak Chrystus wniebowzięty,
Wniebowstąpim w Raj miłości? —

Wszak my jedni i ciż sami,
Tylko coraz wyżsi, Panie?
I garniemy się wiekami
W ostateczne Zmartwychwstanie?

Jawem życia — czy snem w grobie
Z wiosny w wiosnę — wciąż ku wiośnie —
Kwiat niebieski, duch nasz, rośnie,
Wszyscy rośniem wciąż ku Tobie!

Kto opisze — kto opowie?
Bóg jest jeden — jeden — sam!
Przecież w Bogu dano nam,
Że my będziem jak Bogowie!

* * *

Lecz wprzód ziemia ta stroskana
Pokój przyjąć musi wszędzie!

Wszak, kazana w imie Pana,
Ewangelia wieczna będzie? —

Wszak z planety, co się rozciął
Na odłamków tyle — tyle,
Będzie jeden świat i kościół?
Daj nam, Duchu — daj tę chwilę!

Chrystusowy uścisk bratni
Gdy okoli wszystką ziemię,
Wejdzie, wejdzie wiek ostatni,
I ostatnie ludzkie plemie.

Żegnaj, ziemio, z bolem, z żalem!
— Wszędzie święte ze świętemi —
Nowe błyszczy Hieruzalem
Na padole starej ziemi!

Długa droga — trud był ślizki —
Krwi spłynęło i łez morze,
Lecz anielstwa czas już blizki —
— Pójdą — pójdą w Ciebie, Boże!

* * *

— Tak wam z krzyża, o plemiona,
Dziś proroczy polski naród.
Choć mówicie: »Ot, już kona!«
W nim przyszłości waszej zaród. —

Polsko, Polsko! Grób twój tylko
Był kołyską nowej zorzy,
Śród wieczności jedną chwilką
W której począł się dzień boży!

Czas już zedrzeć z wieku chmurę!
Idącego Pana chwalmy!
Rzucać palmy — rzucać psalmy —
Kwiaty na dół — pieśni w górę!

O! rzucajcie pieśni, kwiaty!
Oto idzie — idzie Pan,
A nie smętny, jak przed laty,
Wolny cierniów, gwoździ, ran! —

Przemieniony — z niebios szczytu,
Z nad wszechświata gwiezdnych ścian,
Jak widnokrąg wszechbłękitu,
Ku nam spływa — spływa Pan!

O! ten błękit pijcie duszą,
A wam wszystko zbłękitnieje!
Choć was męczą — choć was kuszą —
Uwierzycie w mą nadzieję. —

Niech was darmo nie przestrasza,
Że dziś podłość górą wszędzie!
Z wiary waszej wola wasza,
Z woli waszej czyn wasz będzie!

Nie powróci stara klęska —
Duchom — duchom tryumf dan!
Oto idzie moc zwycięska,
Panujący idzie Pan!

Dość już długo — dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal!
Czas uderzyć w strunę drugą,
W czynów stal! —

III.

PSALM MIŁOŚCI.

1. Chociażbym mówił językami ludzkiemi i anielskiemi, a miłościbym nie miał, stałem się jako miedź brzą-kająca albo cymbał brzmiący.
2. I choćbym miał proroctwo i widziałbym wszystkie tajemnice i wszelką umiejętność i choćbym miał wszystką wiarę, tak, żebym góry przenosił, a miłości-bym nie miał, nicem nie jest.

Św. Paweł. List 1-szy do Koryntyan, Roz. XIII.

Przeciw piekłu podnieść kord,
Bić szatanów czarny ród,
Rozciąć szablą krwawy knut
Barbarzyńskich w świecie hord,
Lecz nie — nęcić polski Lud,
By niosł Szlachcie polskiej mord!
Marne wrzaski — próżne mowy —
Z krwi i z błota stary świat!
My do innych idziem lat,
Promień z niebios spadł już nowy!

Gdy z kolebki Duch się budzi,
Niemowlęctwem wolnych ludzi
Giliotyna i grabieże!
Dzieciom luby wściekły gniew
I w wylaną bratnią krew
Wierzą, ciemne, w ślepej wierze!
Nie wolności dotąd człowiek,
To wolności wstało zwierze!
Lecz czas łuskom odpaść z powiek —
Czas już przejrzeć Boga wolę,
Czas anielski podjąć trud,
Czas odrzucić wszelki brud
I tem samem znieść niewolę! —

Nie jest czynem rzeź dziecinna,
Nie jest czynnem wyniszczenie. —
Jedna prawda boska, czynna,
To: przez miłość przemienienie!
Jeden tylko, jeden cud:
Z Szlachtą polską polski Lud,

Jak dwa chóry — jedno pienie! —
Wszystko inne złudą złud,
Wszystko inne plamą plam,
I Ojczyzna tylko tam! —
Jeden tylko, jeden cud:
Z Szlachtą polską polski Lud,
Dusza żywa z żywym ciałem
Zespojone świętym szałem.
Z tego ślubu jeden Duch,
Wielki naród polski sam,
Jedna wola, jeden ruch —
O! zbawienie tylko — tam! —

Kto chce iskier z czarta kuźni,
By przepalić czarta moc,
Ten świat w gorszą wpycha noc,
Ten mądrości wiecznej bluźni. —
Choćby nie był Moskal rodem,
Ten Moskalem stał się z ducha,
Ten mongolskich natchnień słucha —
Moskwa-piekło mu narodem. —

* * *

Szata Polski nieskalana,
Przenajczystsza i świetlana,
Jak niewinność trudu trudów,
Jako odkup wszystkich Ludów
Dotąd w Polski grobie leży. —
Ten, kto wzniesie pierwszy rękę,
By śnieg zetrzeć z tej odzieży,
Kto przemieni w zbrodnią — mękę,
Kto przekuje w nóż kajdany,
A nie w szablę — ten przeklęty!
Tego straszna gna pokusa —
Ni mu rozwój światów znany,
Ni objawion mu Duch święty,
Ni pamiętan Duch Chrystusa!
On bez myśli, on bez serca —
W Boga skarbcach nic nie kupi —

On nieszczęsny i on głupi
Jak kat każden i morderca!

Gdy zstępują w świat geniusze,
Innym sprawę wiodą torem!
Nikt przez mordy i katusze
Nie był wieków Dyktatorem!
Raczej żyją niebezpiecznie,
Raczej w końcu giną sami,
Lecz zwycięstwo ich trwa wiecznie —
A z nich żaden się nie splami
Terroryzmem, by do szaty
Purpurowej brał szkarłaty
Z braci swoich zżętej głowy —
Ani Cezar stary w Rzymie,
Ani Francyi Cezar nowy!
Każde krwawe w dziejach imie,
Ach, nosiła mierna dusza!
Słaby tylko rzeź wybiera,
Czy mu imie jest — Maryusza,
Czy mu imie — Robespiera!

W poświęcenia świętej dumie
Poprowadzi Lud do bitwy,
Kto prowadzić Lud ten umie:
Szlachta Polski — Rusi — Litwy!
Pierś-że czyja kwitnie w blizny?
Kto się palił wciąż ofiarą
Na ołtarzach tej Ojczyzny?
Kto nad Ludu błędną marą,
Nad przepaścią ciemną jeszcze,
Skrzył się cały w żary wieszcze?
Kto sam z władz swych się rozbierał,
Narodowi pootwierał
Przyszłe, wielkie bytu niwy?
Ani kupcy, ni Żydowie,
Ani mieszczan też synowie —
Lecz ród szlachty nieszczęśliwy! —
Ród, co nie znał z wrogiem miru,
Żniwem trupiem ścinan w boju

Lub zapędzan do Sybiru —
Oni tylko — dotąd oni,
Z Polską w sercu — z mieczem w dłoni —
Dniem i nocą bez pokoju!

Któż, zachwycon zdarzeń ściekiem,
Nie popełnił nigdy winy?
Chyba jeden — ten Jedyny,
Co był Bogiem a Człowiekiem!,
Jakiż naród — jakiż stan —
Wiekże jaki z czystem czołem
Krzyknąć może: »Jam Aniołem!
Jam nie zadał drugim ran«!

Lecz się grzechy mazać winny,
Gdy z grzesznika człowiek inny
Wylatuje śród cierpienia —
Tak jak Feniks, co się zmienia —
Nieśmiertelny — śród płomienia!
A wyleciał ptak ten nowy,
Syn zbudzonych z snu rozbiorem!
Ani zasnął ojców wzorem:
Zjeżył skrzydła — ścisnął szpony —
I w powietrzu gryzł korony,
Berła, miecze i okowy,
Które trzyma ptak dwugłowy!

Wszędzie, wszędzie na planecie
Braci moich ryty ślad!
Wy go słowmi nie zmażecie,
Bo tchnie w dziejach boży ład;
Ich za Polskę — ścigał świat,
Ich za Polskę — męczył kat;
Nie od wczoraj — od lat wiela
Pierś im palił skwarny brzeg
Lub krył oczy wygnań śnieg
I więziła Cytadela! —

Na alpejskich skał wyżynie,
Po śródziemnych fal błękicie,
Na italskim Appeninie,

Na hiszpańskich *Sierrów* szczycie,
Na germańskich niw równinie,
Po moskiewskich wszystkich lodach,
Na francuskiem każdem polu,
Po wszechziemiach, po wszechwodach
Sieli przyszłej Polski siew:
Boże ziarna, własną krew —
— I wy syny tego bolu! —

Tam Lud święty Szlachta święta,
Nie kto inny, prowadziła! —
A ją natchnień wiodła siła —
Bez niej dzisiaj wamby pęta
Ducha żarły, a nie ciało —
Bo Lud martwy sam — to mało:
Ogrom leży, a bez czucia —
Jeszcze trzeba iskry z nieba,
A nie z ziemi, do rozkucia
Marzącego w śnie olbrzyma —
I bez Szlachty Ludu niema! —

Z życiem wiernie przechowanem
Ona stoi na mogile,
W której zmartwychwstańców tyle,
Ona Ludu dziś kapłanem!
Dzierży w ręku moc ofiary,
Gróźb nie lęka się, ni kary,
Bo zdeptała wasz świat stary,
Świat zawiści — mordu — ciemna,
W którym tylko moc ujemna.
Wie się ona przeznaczoną
Do noszenia tu korony;
Lecz jedyną tu koroną:
Wylać Ducha na miliony,
Ciałom wszystkim rozdać chleba,
Duszom wszystkim — myśli z nieba,
Nic nie spychać nigdy w dół,
Lecz do coraz wyższych kół
Iść przez drugich podnoszenie —

Tak Bóg czyni we wszechświecie —
Bo cel światów — szlachetnienie.

Wy, co wyższe zniżać chcecie,
Patrzcie, patrzcie! — Od kamienia
Jak stopniami Pan przemienia
Duchy stworzeń. — Zrazu senny
Wszczątek życia, aż powoli
Wydobędzie się z niewoli;
— Walka trudna i trud boli —
Lecz podnosi się kształt zmienny,
Wreszcie przywian Duch z daleka
Wdziewa na się pierś człowieka.
Głaz, kwiat, zwierze śniły z cicha —
On ku niebu pnie już głowę,
Do aniołów pieśnią wzdycha
Między gwiazdy eterowe!

Wszystko, wszystko wiecznie, wszędzie
Rwie się w górę z bożej myśli!
Z wiecznym Bogiem ten nie będzie,
Kto inaczej świat swój kryśli.
Kto nie zszlachcić naród cały,
Lecz chce szlachtę zedrzeć z chwały,
Może chwilkę w gruzach siędzie,
Braci schłopi lub obali,
Lecz nie wzniesie Ludu dalej. —
Bo wszechświata prawom wbrew
Sennych zbudzi nie na ludzi —
Zbudzi sennych na zwierzęta;
Miasto świateł wielkiej burzy,
Ujrzy ziemskiej dno kałuży
I w niej polską, spiekłą krew!
— To nie polskie będą święta!

* * *

Powiedz orle, orle mój
Białoskrzydlny, niezmazany,
Skąd tych czarnych myśli rój?

One rosną — gdzie kajdany!
Ach, niewola sączy jad,
Co rozkłada Duchów skład!
Niczem Sybir — niczem knuty
I cielesnych tortur król,
Lecz narodu duch otruty —
To dopiero bolów ból! —

Wiecznie stoi Przywłaszczyciel
Przed wszystkich oczyma.
Tem, że stoi, już kusiciel;
Chyba Boga niema!
Sprosnościami hydnej dumy
Pomięszał rozumy,
Rozwiązuje sam sumienia
Przez ogrom cierpienia,
Sieje kłamstwo i ciemnotę,
Zmieni zbrodnią — w cnotę.
Bohatyrów on przekaci
Na trupach ich braci,
On przyuczy dzieci małe
Wierzyć w mord, jak w chwałę!
Wezmą sztylet mdłe panienki,
Jak różę, do ręki! —
Powie siostra: »Bracie, weź,
Bo zbawieniem rzeź«! —
Oszaleją jego szałem,
Rozwścieknę — wściekliznę!
Jak on, będą piekłem całem,
Nie niebem, ojczyzną!

Precz tym złudom, o ma Święta!
Złej godziny to są mary!
Ty zostaniesz niedotknięta,
Ty nie zbędziesz dawnej wiary,
Że ten tylko więzy przetnie,
Kto namaszczon cnoty znakiem,
Że na ziemi być Polakiem,
To żyć bosko i szlachetnie!

Niechaj szepcą Jezuity,
Niechaj wrzeszczą demagogi,
Że cel wielki a ukryty
Odwszetecznia podłe drogi —
Że, przypadków idąc kołem,
Wolno w bagna zajść szatana,
Potem dusza, w nich skąpana,
Znów odnajdzie się aniołem;
Że się zmaże hańby kartę,
Że królestwo boże z czarta,
Że wszechdobro złego warte,
Że wszechmiłość — zbrodni warta!

Precz tym złudom, o ma Święta!
A otacza cię ich wiele —
Wszystkie świata chcą zwierzęta
W zwierze zmienić cię, Aniele!
U stóp świętych twej Golgoty
Wszystkie złości zgromadzone,
Wszystkie Fałsze i Ciemnoty,
Wszystkie czarne wieku Duchy,
Ci z nożami — ci z łańcuchy —
A chcą wszystkie mąk koronę
Zwiać ci z czoła w piekieł stronę,
Byś zmartwychwstań wielkim czynem
Nie zabłysła Serafinem,
By krwi twojej i łez strugi
Nie mieszkały w przyszłem niebie,
By się na nic nie przydało
Chrystusowe w tobie ciało
Umęczone po raz drugi,
By z najdroższej Panu, z ciebie,
Pozostała w dziejach świata
Jakaś brudna tylko szata,
By ty znikła — ty, zbawczyni,
Córko boża, ty — daremno —
I w sławiańskich niw pustyni
Już na wieki było ciemno!

Jakież straszne ich postaci
Tych kuszących bezbożników!
Tysiącami wściekłych ryków
Proszą ciebie o mord braci!
Inni każą, w imie Cara
Wierzyć tobie — żeś ty mara!
Kościotrupie u nich lice —
Boże, Boże! — to upiory
Z cmętarzowej wyszłe nory!
W oczach żądła, nie zrzenice —
Pod żebrami serca niema —
W miejscu serca wąż się zżyma
I wyłażą z piersi gady,
Wszystkie hańby, wszystkie zdrady;
Obrzydliwym gnąc się ruchem,
Każda wije się łańcuchem,
Z drugą wiąże się w przestrzeni.
Już się coraz bardziej zbliża
Tłum plugawy ten do ciebie;
Łańcuchami żmij złączeni,
Do twojego idą krzyża,
Co na wzgórzu, w czystem niebie.
Już stanęli — wznoszą głowę —
Plwają śliny swe nieczyste
Na twe ciało promieniste,
Zarzucają z wężów wieńce
Na przebite twoje ręce,
Na twe stopy marmurowe!
Oni ciebie-by rozdarli,
Ciebie, przyszłą — ci z przeszłości —
Ciebie, żywą — ci umarli,
Co nie wejdą do twych włości! —

* * *

Polsko moja, Polsko święta!
Nad zwycięstwa stoisz progiem;
Kres to męki twej ostatni!
Niechaj tylko uwydatni,
Żeś wszechzłego wiecznym wrogiem —

Potem prysną śmierci pęta
I ty będziesz wniebowzięta,
Bo aż w śmierci byłaś z Bogiem!

Gdy ostatnia chwila
Zgon w życie przesila,
Najsroższy bój!
Szloch zwątpień — jęk skargi
Jęczą mrące wargi —
O Boże mój! —

W męczeńskiej twej sile
Pokonaj tę chwilę,
Ten zwycięż ból,
A wstaniesz na nowo,
A wstaniesz Królową
Sławiańskich pól!

Moskiewskie mamidła,
Obietnice, sidła
Nie zwodzą już.
Dziesięć Ludów czeka
Na myśl — lub człowieka;
Myśl twoja — tuż! —

Nie zsamobójczona,
Z własną krwią u łona
Brzed Bogiem stań,
By wziął cię z kolei
W poczet swych idei,
Tych świata pań! —

Dziś wschodni ląd
Dwóch bójkę wiar:
— Ty i Car —
Car, życia trąd —

Ty, życia prąd,
Ty, życia dar!

Niech miłośnie,
Jak ku wiośnie,
W twą patrzą twarz!
Bądź mistrzynią,
Co krzywości
Świata prości,
Przewodczynią
Wszechmiłości!

Grzech wszelki maż,
Łzę wszelką susz,
Depcz ziemski szał,
Rządź światem dusz,
Gardź państwem ciał,
Nieś dech Pana
Nieskalana
Żadnym kałem!
Ludy z trzody
Stwórz w narody,
Stań nad niemi
Ich na ziemi
Ideałem!

Przeciw piekłu podnieść kord,
Bić szatanów czarny ród,
Rozciąć szablą krwawy knut
Barbarzyńskich w świecie hord,
Lecz nie — nęcić polski Lud,
By niósł Szlachcie polskiej mord!
Jedno tylko, ach! zbawienie,
Jeden tylko — jeden cud:
Z Szlachtą polską polski Lud,
Jak dwa chóry — jedno pienie! —

Hajdamackie rzućcie noże
I oszczerstwa i bluźnierstwa,

By Carycy w grobie kości
Nie skleiły się z radości,
Trup nie parsknął w śmiech szyderstwa!

Hajdamackie rzućcie noże,
By nie klęły na was wieki,
Że cel wieków znów daleki,
Żeście w dumie — żeście w szale
Przewrócili losów szalę
I rozbili się na skale,
Kędy wiecznie się wyrodni
Rozbić muszą — bo na zbrodni!...

Hajdamackie rzućcie noże,
Jeśli w głębi serca wiecie,
Że w planety tego dzieje
Pan wciąż z niebios myśl Swą sieje!
— Nie przypadek rządzi w świecie —
Nikt nie stawia gmachu z błota,
I najwyższy rozum — cnota. —

Hajdamackie rzućcie noże,
Bo, gdy miną fale godzin,
Co nas dzielą od odrodzin,
Będzie Polska zmartwychwstała
Wszystkich zbójców przeklinała!
— Tamci lepsi — i mniej śmieli —
Skradli ziemię — czci nie tknęli,
Sławy wieków nie zatarli.
Niech głos ludów to opowie!
My jaśnieli, choć umarli,
Jako jaśnią aniołowie!

Hajdamackie rzućcie noże,
A gdy zagrzmi — o żniw porze,
Wtedy naprzód — w imie Boże!
Bierzcie szable — sierpy — kosy,
Dać żniwiarzom wszystkim grunt,
Rozpłomienić święty bunt!

Lecić będą, lecić kłosy,
Ziemię zbroczy gęsty wróg,
Twierdz i więzień prysną mury,
Duchem zatlon, ogrom zgorze
Jak suchego siana stóg,
A patrzący wiecznie z góry
Nie odwróci twarzy Bóg! —

IV.

PSALM ŻALU.

...mają oczy, aby widzieli, a nie widzą; — uszy mają, aby słyszeli, a nie słyszą...

Ezechiel, XII, 2.

Boć nie posłał Bóg Syna Swego na świat, aby sądził świat, ale aby świat był zbawion przezeń.

Jan, III, 17.

Psalm następny z następnego powodu:

Przeciw trzem poprzedzającym, a szczególniej trzeciemu, zaraz po ich ukazaniu się, zatem na niemały czas jeszcze przed bezbożnej pamięci miesiącem Lutym 1846 r. — napisano pieśń w podobnym ich kształtowi kształcie. — Ta pieśń w rękopiśmie, jedna z przedziwności języka polskiego, brzmiąca cudownemi dźwięki, a głębokiego mistycyzmu piętnem naznaczona, wyobrazicielką niektórych dążności i myśli, krążących po widnokręgach umysłowych Epoki naszej. — Jeden ją wybrzmiał z piersi swych — ale po wielu piersiach drzemią zawarte w niej tchnienia. — Nie sposób jej tu w całości wydać, bo imie wieszcza, który ją wyśpiewał, i wola jego o niej, — nieznanemi. Pokrótce więc tylko treść w niej leżących zarzutów i pomysłów się opisze. — Teć albowiem nie tylko są jednego wyłączną, rzeczywistą, ale zarazem pewnej liczby drugich wspólną, idealną własnością. — Kształtu się nie przywodzi — ideę tylko się podaje.

Pieśń owa w uroczych a ironijnych strofach zaczyna od zarzucania »Psalmowi Miłości« przeczuć zupełnie fałszywych i bojaźni, niczem nie usprawiedliwionej, przed pewnemi, wypaść mogącemi, klęskami — i zapowiada absolutnem twierdzeniem, że nigdy nic podobnego na ziemi polskiej się nie zdarzy. — Dalej, szydząc, utrzymuje, że chyba upiory snuły się wieczorem po drodze zadumanego szlachcica i plemion dawnozmarłych po księżycu mgliły się kurhany — lub też nad zasypiającemi oczyma pobłysk padł od czerwonych kotary firanek — stąd krwi widzenie, stąd strach złowieszczy, bo »Któż gdzie i kiedy nożem zagroził lub stanął ci sporem?« — Próżne mary — wcale ni mord ni rzeź —

ale z wieńca kwietnianego nadpowietrznych duchów obrywające się postaci, przelatujące w przestrzeniach — »A ty zląkł się, syn szlachecki«.

Po takowym wstępie Pieśń przechodzi do ocenienia stanowiska całej szlachty polskiej; — przyznając, że jej niegdyś było ze sto tysięcy, ma ją teraz za zupełnie już nieistniejącą i oświadcza, że wcale i nigdzie »jej niema«. — Że w głębiach czasu gotuje się wichrowy płomień, co, wybuchnąwszy, zgasi i zdmuchnie jak świecę wszelkiego szlachty onej przypomniciela. — Przyjdą światła jakieś boże, widzialne śród burz apokaliptycznych, pałające i rzucą się na lud i popchną go — a stąd cudowne powstaną strachy i przerażenia, żywe jakoby Śmierci, przechadzające się po ziemi — a w nich i z niemi będzie Duch!

»Słaby, mówisz, rzeź wybiera; a czy wiesz, co on, ten Duch, wybierze?« — Po tem zapytaniu pieśń, jehowicznem wzbierając natchnieniem — głosi, że zapewnie Duch on młody wybierze za środek wcielenia się swego ludów zatracenie — z wichrów, komet i płomieni okropne odmęty, w których króle drżą, matki ronią, ziemia się rozpada i gruzy po gruzach tylko chłonie; — a z onych zwalisk wszystkich korzysta Duch — którego definicya, że jest »wiecznym rewolucyonistą«.

Nad tak w pył i popiół rozsypanym światem nowa zorza unosi się w górze; — a pod jej blaskami, w jakichciś smętnych przestworach zatracenia, jęczy przeszłość historyczna kraju. — Nieskończone westchnienie słychać z tej otchłani ojczystych dziejów; — ale ponad nią wszechwładny Duch »uciska, mroczy i błyska«, aż stopniowemi uciski uzupełni nowego Boga i wiek absolutnie nowy.

Po takich przejściach kończy pieśń modlitwą gorącą i uroczystą o rychłe ziszczenie się dopiero co wyżej przytoczonych obrazów, z najmisterniejszą sztuką odmalowanych.

Na takiej treści wieszczby odpowiedzią następny »Psalm«.

I.

Więc strach, mówisz, mówił ze mnie,
Gdym przeczuwał, że się w Ciemnie
Zasuwamy, a nie w Zorzę,
I że Lud się zhańbi może?
  Prawdę mówisz — pewnem męstwem
  Ja się nigdy nie pochlubię;
  Ja przed bliźnich drżę męczeństwem —
  W otchłań spychać ja nie lubię; —
  Gdzie brud ujrzę, wnet mi serce
  Jakaś bojaźń chwyta boża,
  Braćmi nie są mi morderce,
  Szablę kocham — wstyd mi noża!
Jakbym zląkł się — na stolicy
Z gwiazd i tęcz Bogarodzicy,
Widnej w widzeń błyskawicy,
A mówiącej sprośne słowa,
— Samby zląkł się i Jehowa! —
Tak się lękam i truchleję,
Kiedy w polskie ma spaść dzieje
    Mord i srom!...
        Lepszy grom!
Zmartwychwstaje się z pod gromu,
Nie zmartwychwstaje z pod sromu!
  Tyś odważny — ja się boję
    Kazirodczych ran;
  Bojaźń moją — męstwo twoje
    Niech osądzi Pan!

* * *

Więc, gdy padać miały trupy
Twych nieszczęsnych braci,
Gdy z nich mieli zdzierać łupy
Chłopi — żydzi — kaci,
Kiedy ziarno, siane w śmieci
Od wersalskich dzieci,
Zdradą miało zejść niemiecką,
Więc i ty, jak dziecko,
W bańce własnych siedząc marzeń,
Nie przeczułeś zdarzeń?
Nie wcieliłeś się w to ciało,
Co tak cierpieć miało!
Ach, nie wziąłeś ran przed ciosem
W pierś twą magnetycznie,
Aleś jednym wciąż piał głosem
Tylko fantastycznie!
Wzrokeś wlepił w twe niebiosa; —
Ukraińska kosa
Na nich krzyżem wybawienia; —
Wkoło błyskawice —
Z światła cepy i kłonice
I wichry z płomienia!
A w otchłaniach, gdzieści w dole,
Z przekleństwem na czole
Polska Szlachta — polskie Pany,
Czyściec z świata zwiany,
Jak smętne bałwany
Czarne fale — siwe piany,
W burzliwą noc!
Tam Zborowskich ścięte głowy,
Topór i kloc!
Płacz bez końca — zgrzyt echowy —
Miłość — chwała —
Przeszłość cała,
Rozdeptana przez wiek nowy!

* * *

O mój wieszczu, stój!
Oto jutro rano

Na powstański bój
Polskie Pany wstaną —
Szlachta — której niema —
Bohatyrściej, niźli kiedy,
Wyzwie Trój-Olbrzyma!
Lecz z twych niebios spadną wtedy
Twoje tajemnice —
Cepy i kłonice —
Twój, oj! spadnie cud,
I tych Polski namiestników
Za kilka srebrników
Twój rozsieka Lud!
I strun twoich granie
Zagłuszy wrzask mordu —
I nic nie zostanie
Z twojego akkordu! —

* * *

Bodajbyś, wieszczu, był wieszczył prawdziwie!
Bodajbym, zdjęty przerażenia dreszczem,
Był kłamcą tylko — ty natchnionym wieszczem —
I plam nie było na ojczystej niwie!
Bodajby Polska nierozdarta, cała,
Tak, jak się czuła dniem przed rzezią jeszcze,
Pieśni twe, wieszczu, uwielbiała wieszcze,
A z moich marnych na gardło się śmiała!
Bodajbym nawet, zapozwan przed sądem
Za potwarz moją na Lud nieskalany,
Co żadnej hańby nie owrzodział trądem,
Usłyszał wyrok na śmierć lub kajdany —
I ty w trumfie stał z harfą twą złotą,
Urągający — i pytał: »A co to?« —
I mnie prowadził aż do rusztowania
Śród przekleństw gminu, co tobie się kłania
I milionowym dziękuje poklaskiem,
Żeś odgadł światła wschód czysty — przed brzaskiem!
Szlibyśmy oba — i szczęśliwsi oba —
Ty chwałą własną — ja Polski zbawieniem; —
Bo i mnie, wieszczu, wciąż śni się ta doba,

Lecz wiem, że wściekłość nie jest zduchownieniem,
Lecz wiem, że wszelka zwycięstwa godzina
Bić w sercu Boga nad światem zaczyna,
Nim tu narodom na świecie uderzy! —
Więc przed Nim stanąć narody wprzód muszą
Nie z rykiem zwierząt — lecz z anielską duszą;
Lud tylko święty Królestwo odzierży!
Przemień go, przemień w Króla i Kapłana —
Lecz zanim jeszcze nie przekrólewszczony,
Nie klękaj przed nim — nie kładź mu korony,
Lecz ufaj w szlachtę polską — i moc Pana! —

* * *

Ależ, wieszczu — boś ty wiary
Dni zaprzeszłych — tyś wieszcz stary!
Cóż o Duchu ci się śni?
Duch twój wiecznie grzmi w twej pieśni
Jak pogański Jowisz jaki,
Lub kataklizm śród natury,
Co świat chwyta na tortury;
To indyjskich bóstw oznaki!
Ducheże twój — Inkwizytorem
Lub wandalskich dni upiorem,
Co powtórzyć ma do joty
Historycznych kręgów zwroty
I z postępów wynieść tyla,
Tylko tyle, co Atyla?
Duch twój tylkoż myślą czystą,
A nie życiem istnem, szczerem?
Tylko rewolucyonistą,
Tylko Robespierem?
Filozofią — a bez serca?
Kościotrupem — a bez skóry?
O! tyś ducha jest oszczerca,
Bo go nie znasz; — tylko chmury,
Co go kryją, widzisz mgliste,
A nie światło jego czyste,
A nie kształty powietrzniane,

A nie ruchy przefaliste!
Te ci dotąd są nieznane.

* * *

Ciało jest konserwatorem,
Dusza — wieczną buntownicą,
I do siebie stoją sporem; —
Im pogody nie zaświecą,
Im niema pokoju;
Odkąd rajski wąż
Pchnął je do rozstroju,
Dusze z ciałmi nad otchłanią
Pasują się i ranią
Bratobójczo wciąż!
Ach! idee — i zwierzęta —
Anielice — i tygrysy!
I w tej walce bywa snadnie,
Że, gdy ludzkie rysy
Idea pokładnie,
Wnet i w Bogu ta poczęta
Oszaleje
I jej dzieje
Na tej ziemi
Szkaradnemi!
Potok krwi czerwony
Przez wszystkie Ojczyzny,
Gwałty i wściekliznу,
Upadki i zgony.
Wieńce kwitną dziś wawrzynem,
Jutro z nich ciernia korony —
Każden starzec-wiek strącony
Przez wiek drugi, co mu synem.
I ojcobóstwami
Ciągnie się i plami
Płynący Czas!
Któż zbawi nas?
Kto z żywiołów kłótni,
Z bitwy miejsc i lat

Harmonią wylutni,
Rytmu stworzy świat?
Ten, w kim głębie życią gorą,
Co nie duszą, w lekkość chorą,
Ani ciałem, w ciężar chorem —
Ten, co trzecim idzie torem,
W kim ciał i dusz wspólny ruch,
Ten, który tryumfatorem:
Święty Duch! —
Lecz on płynie — a nie skacze,
Lecz on wschodzi — a nie spada,
Ziemia pod nim krwią nie płacze,
On nie woła: »Biada!«
Arcy-światła w nim potęgi!
On zapełnia widnokręgi
Niewidzialne — a błękitem
Nad niziną i gór szczytem
Równo promienieje;
Rankiem budzi
Sennych ludzi
Na nadzieję!
I do ciemnej zbieży studni,
By wysrebrzał cień —
Aż się ranek wypołudni
W bieluteńki dzień!

II.

Moc Jehowy, nie gniew,
Zlana z myślą Chrystusa
W jeden wiew,
Iskra wiekuista,
Wiew bez końca,
Wskróś przez ziemie — słońca!
I oddech ten,
Tak, jak sen,
I przepływa
I porywa
I ciągnie za sobą
Okryte żałobą
Wszystkie wieki,
Jak kaleki,
Jak trupów rząd!
Gwar — jęk — i szum —
Wlecze się tłum:
Będzie sąd! —

* * *

Oto w dole
Jozafackie pole;
Jednej trumny wieko:
Niebios dach!
Łzy wiekom z ócz cieką: —
Wiekom strach!
A wszędzie w krąg
Widm krwawych ciąg; —

Przeszłości wspomnienia
Jak zmory chodzące,
Miecz potrząsające —
Jak anioły, gońce
Zatracenia!

* * *

Do kata-anioła
Każden z wieków woła:
»Zlituj się nademną!
Gdzież zbawień świat?«
A anioł-kat:
»Precz w otchłań podziemną,
Boś żył nadaremno,
Bo z wieki innemi,
Braćmi twemi,
Tyś nie zbratan! —
Ja cię znam —
Jam jest: — Ty sam —
A twój Szatan!«

* * *

W bezmocy,
Śród nocy
Wiek po wieku stęka —
Obalon przyklęka;
Leje się żar
Zgryzotnych kar;
Duszni i cieleśni
W krwi i pleśni;
Przepaść tuż,
A anioły w górze
Jak burze
Strącające już!
Nad dołem
Drżą potępieni;
By nie paść
W tę przepaść,

Wspierają się społem.
Jak łańcuch z pierścieni,
Łono na tonie
I zetknięte dłonie,
Twarze obok twarzy;
Miłość im marzy
Przy zgonie! —

* * *

Aż z męczarń doliny
Krzyk jeden, jedyny
Ziemskich wieków wstanie:
»W piersiach nam, o Panie,
Twoje strzały tkwią!
My piekielni,
Pókiśmy rozdzielni,
Ale biedni,
Gdyśmy w jedni;
Twąśmy krwią,
Twym obrazem!
Miej, o Panie,
Zmiłowanie!
Już my razem!« —

* * *

A gdy tak jęczą,
Od ich skruch
Niebo spłonie tęczą,
Głos im wpadnie w słuch:
»Oto idzie Duch!«
I ujrzą w przestrzeni
Zstępujący grom —
Świat się przepromieni
W dyamentowy dom!
Potępionych wieków ile,
Spada gromów tyle!
Wiek każden w piorunie,
Na złocistej łunie,

Co go niesie w dal;
On się pali,
Przepostacia.
Jak na morzu z fal,
Przepostacieni
Idą w mgle promieni,
A wszyscy jak bracia!
Oto z gwiazd korona,
Na czasie niesiona —
Ludzkości to wieca!
I Przeszłość zbawiona,
I Przyszłość zaświeca!

* * *

Znów po wszem lazurze
Stworzenny wiew —
Słychać w dole — w górze
Anielski śpiew: —
»Chwała z wieków w wiek,
Bo stał się sąd!
Łez krwawych ściek
Zmienion w światła prąd,
Z dni starych grzech
Już zwian, jak puch —
I wlał w Duchy dech
Wiekuisty Duch —
»I objął rząd!«

III.

Stój, o wieszczu, w takiej wierze!
Ni mów, że ty nie wiesz jeszcze
To, co Duch wybierze!
Tak nie mówią boży wieszcze!
Ze świętości Duch jednolit;
Ni mongolskich biczy,
Ni czerwonych Rzeczpospolit
W swe cuda nie wliczy!
Wolna tylko ludzka wola,
Gdy łza i nieszczera,
Taki tór obiera
I nim ziemskie brudzi pola.
Bo tak wolna, że aż zdolna
Drogi boże same
Przepiekielnić w zguby jamę;
Bo tak wolna, że aż zdolna
W imieniu braterstwa
Rozsiewać morderstwa,
W imieniu nadziei
Świat wytrącić z swych kolei,
By bez wstępnych sił
Zśliznął się po wiekach w tył!
Wie, że kłamie — a wciąż kłamie,
Obłuda — jej znamie!
I toć staszna wina,
Co ni Ojca ani Syna,
Lecz dotyka Ducha!
I z tej winy nie zmaże
Żaden ból ni skrucha

Ni żadne cmentarze!
Ach, nietylko wiek przeszłości
Faryzyjskie rodzi dusze —
Za dni naszych i przyszłości
Są Faryzeusze!

* * *

Powtarzacie: »Chryste, Chryste!«
A nie macie w sercu Jego; —
Jakżeż Ducha wam świętego,
Przejąć dobro wiekuiste?
Z was się każden nad odłogiem
Własnej próżni wspina Bogiem
Na paluszkach wzdętej pychy —
— I tak wy zwierzęciejecie. —
Bo, kto sam się bóstwi w świecie,
Ten na odwrót swego szału
Odczłowiecza się pomału,
Aż się stanie taki lichy,
Że, padając, dójdzie chyba
Do roślinnej istni grzyba! —
Lub też dziki — sępny — chory —
Miasto widzeń — widzieć zmory,
Miasto natchnień — czuć wściekliznę
Będzie; — zmąci wiary, dzieje,
Człowieczeństwo i ojczyznę,
Zwątp rozpaczy i nadzieję! —
Wtedy śród błędów swych pędu
Wezwie drugich do obłędu,
Za każdym się krokiem
Przenazwie prorokiem —
Zbawicielem — bożym bratem
I dusz wielu będzie katem!
Aż, nie wątpiąc, że się zbożył,
Że, jak Boga stwórcą znał,
Tak się stwórcą sam tu stworzył,
Coraz pełńszy własnych chwał
Pocznie wierzyć jadowicie,

Że mu sługą ludzkie życie:
Stanie się i katem ciał!

* * *

Nie tak z Duchem się obcuje,
Nie tak w Ducha się wstępuje!
— Gdy pochylisz kornie czoło,
Zadrży serce — drga szpik kości,
Z anielskiej rzewności —
I, klęczący, spójrzysz wkoło
Na niesprawiedliwości,
Klęski — smętki — gromy —
Babylony i Sodomy,
Ujrzysz Carów w chwale
Lub zdąsane ludu fale,
Świat zatracające,
I przyćmione w górze słońce,
I niebieskie mocy,
Wstrząśnięte śród nocy —
A uczujesz miłość trudu
I męki odwagę,
Wstaniesz ludzi zbawiać z brudu,
Kryć ich wstydy nagie.
I za rany — i za ciernie
Podziękujesz tkliwie —
I dotrzymasz wiernie
Na nieszczęścia niwie,
Śród podłości — niespodlony,
Śród krzywd — nieodmiłośniony. —
Wciąż twe usta Pana chwalą,
Wciąż pierś twoja twardą stalą,
Co się błyszczy nieskalalnie,
A twe oko płacze żalnie
Ponad każdym cudzym bolem; —
I tak stąpasz ofiar polem,
Nigdy w kłamstwa podziemnice,
Ciemnie i tajnice
Nie zstępując; — bo do Boga,
Wiesz, że jedna tylko droga; —

I jej światłem widny — biały —
Nie dbasz o wrogów nawały,
Co z lochów piekielnych
Czyhają na dzielnych,
Co, czarni i nocni,
Tylko zdradą mocni
I orężni pychą,
Zabiją cicho!
A gdy, stawiąc tak twe kroki,
Ty nie mówisz: »Jam wysoki«,
Ale czujesz, żeś wciąż niczem
Przed Pana obliczem,
Wtedyś ty dopiero
Duszą czystą, szczerą
I czynów łańcuchem
Połączasz się z Duchem; —
A z Boga, co w niebie,
Powraca do siebie
Miłości spływ —
I kiedyś, po męce,
W Jego pójdziesz ręce
Wszechwiecznie żyw!

* * *

I ja patrzę śród zamieci
W niebios kir —
I ja widzę, kędy leci
Zdarzeń wir!
Słyszę śród chmur
Zmartwychwstałych chór —
Ach! znany głos!
Lecz nie we krwi,
Którą zemsta leje,
Cel Polski tkwi. —
Zemsty dzieje
Zemstą tylko,
Chuci chwilką —
To nie Polski los!
Jej od Pana

Pomyślana
Cudniejsza cześć!
Nie pożogi
Ani trwogi
Ma światu nieść!

* * *

Tu Sybiry mroźne
I Iwany groźne,
A po drugiej stronie
Klubowe tyrany,
Kule strute — kwas siarczany —
Ludożercze bronie!
Boże, zmiłuj się nad wami!
Między dwiema szkaradami
Wstać ma Polska kojarznicą!
Dwóch barbarzyństw ma być spojem!
I to zwiecie — *Tajemnicą*,
To — wieków pokojem! —
W jedno zło jedyne
Wszetecznym poswatem
Siostrę giliotynę
Ślubić z knutem bratem,
Rozdeptać kościoły,
Pomieszać plemiona,
Sumienia anioły
Wygnać z ludzi łona —
I mieć Polskę tego *dzieła*
Czarną spełnicielką,
W krew truciznę jej lać wszelką,
By *sprawy* się jeła,
Trząść przed wzrokiem jej pochodnie
Wszechświata pożaru,
Obiecywać jej za zbrodnie
Nadziemską moc czaru,
Kusić dziejów anielicę,
By pod koniec męki
Odrzuciła świętych wdzięki,
Upiorowe wdziała lice

I, odkląkłszy z przed ócz Pana,
Zczerwieniona — rozczochrana
Zakochała się w Szatanie,
Świadczyła mu o tej chwili,
Jak pierwsi Chrześcianie
Niebiosom świadczyli —
To wasz pomysł — to *Rzecz* wasza!
Takie świty
Duch wasz skryty
Nam przynasza!

* * *

Wszak nie w takim stroju,
O wiekuisty Panie,
Do ostatniego boju
Polska twoja stanie?
— Nie jędza z niej przebrzydła! —
— W ustach z Twym pacierzem —
A nad jej pancerzem
Spływające skrzydła;
W jej dłoniach kształt dwóch mieczy
Z przedziwnej jasności,
Co nie rani, ale leczy;
I woła: »Ja się spieszę,
»Bo zapraszam w gości
»Do niebieskich włości
»Ludzkie rzesze!«

* * *

Lecz wprzód jeszcze sądy Pańskie:
Na czas, czasów zwrót
Rzeczpospolity szatańskie
I północny knut,
I trząść będą całym krajem,
Wytracając się nawzajem!
Patrz, świat, kat twój, Polsko, leży
Rozciągnięty w pyle!
Ten, co obrał cię z odzieży,
Urągał ci tyle,

Co, związawszy twe ramiona,
Dziki — podły — dumny —
Wbijał gwoździe ci do łona,
Jak do desek trumny —
Patrz, świat, kat twój, Polsko, oto
Zapadł w krew i błoto,
Od morza do morza
Porwał się do noża,
Bratobójczo się przewala,
Wije nakszałt gada,
Podnosi — i pada,
Aż, znękany, czci Moskala!

* * *

Zleć, o Polsko, zleć, aniele
W promienistem ciele!
Nie bądź katem twego kata!
Ach, śmiertelny pył,
Gdy raz w śmierci zstąpi kraje,
Tylko cnotą znów dostaje
Nadśmiertelnych sił!
A inaczej — rwie zatrata
W głąb tej samej kary
Ofiarników i ofiary.
Zostaje ruina
I nadgrobek na niej świata:
»Chrystus tylko z grobu wzlata,
Lecz nie Katylina!« —

* * *

Przyjdź, o Polsko, zleć, aniele
W promienistem ciele! —
— Pragnęli wolności,
A Boga nie znali!
Po ziemiach ich kości,

Ich prochy — na fali; —
A żyjących, co zostali,
Samo życie boli,
Bo w niewoli!
Z jednych ojczyzn — puste cisze,
Nad gruzami się kołysze
Bluszcz wietrzany;
A gdzieindziej w pysze
Sprośne pany,
Bez koron na głowie,
Lecz z rózgą ze stali,
I służą Jehowie
Lub z Schizmy powstali! —
Duchoborce — Roskolniki:
I po nocach słychać ryki
Rozrzynanych ciał
Na cześć Molochowi. —
Tak panują ludzie nowi,
Jak z tarpejskich skał
W zad przez dziejów wschody
Zepchnięte narody! —
I zlatują do ciemności
Coraz głębiej — dalej,
Bo chcieli wolności,
A Boga nie znali! —

* * *

Przyjdź, o Polsko, zleć, aniele
W promienistem ciele!
— Zwiesz się: »Bogumiła«,
Czerwonym sztandarem
I moskiewskim carem
Zarówno wzgardziła!
Od dwóch tych zatracicieli
Tak czarno w Europie!
Śród nawałnic na potopie
Jedna świecisz w bieli!

Ledwo stopa się twa zetrze
Z wierzchołkiem bałwanów —
I przemijasz przez powietrze
I ścigasz szatanów!
Przed dwóch mieczy twych jaśnieniem,
Przed twych skrzydeł tęczą
Obalają się i jęczą,
Jak przed Boga cieniem! —

* * *

Idź, o Polsko, idź, aniele
W promienistém ciele!
Świat nie poznał ciebie z lica,
Świat cię zabił — aż na mękę
Sam jest wzięty, a ty rękę
Dasz mu — jego męczennica!

Idź, o Polsko, idź, aniele
W promienistem ciele!
W tobie ludzkość przechowana!
Ponad złości i nad szały,
Ponad hańby i nad kały —
Tyś niepokalana!

Idź, o Polsko, idź, aniele
W promienistem ciele!
W dłoniach twoich nie puginał,
Gminnym uwieńczon wawrzynem,
Co pierś wroga porozrzynał —
— Innego blask oręża!
Bożoczłowieczym tu czynem
Duch tylko zwycięża! —
Nadziemsko ty hożą,
Boś boleści tu bo boleścią
A miłością bożą —
I powracasz z dobrą wieścią.
Wokół ciebie Zło się pieni,

Ty nie zważasz przecie,
Sypniesz z dłoni garść promieni —
I znów jaśniej w świecie!
Aż przelecisz wszystkie kraje
I światłością obosieczną
Śmierć odegnasz od nich wieczną.
— Tak się zmartwychwstaje!

V.

PSALM DOBREJ WOLI.

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie,
Z skarbu wiecznego miłościwej łaski!
Tysiącoletnie dałeś panowanie,
Ubrane w śnieżne, przechrześciańskie blaski
Nadeuropejskiej cnoty — Twego Syna
Dałeś nam pierwszym w świeckie wpoić dzieje;
Z Polski ojczyzna w przeszłości jedyna,
Co z piersi miłość, a nie rozbój, sieje,
Co mieczem — tylko świat ewanieliczy,
Gardzi grabieżą, nie garnie zdobyczy,
Spaja się z braćmi — a dumych roztrąca,
Lecz i tych jeszcze w jawnem świetle słońca.
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętemi czynami
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

* * *

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie.
Gdyśmy zstąpili z życia Kapitolu
W porozbiorowej doliny otchłanie,
Zmarłych żywemiś trzymał na walk polu;
Choć nas nie było, przecieśmy bywali
Ponadgrobowo — choć w grobie złożeni —
Na bojowiska każdego przestrzeni,
Z orłem ze srebra i szablą ze stali.
Do serc, wsmętnionych w cierpienia czyscowe,
Wlewałeś bicie śród nicestwa nowe;
Wiecznieś nas kąpał w jakiejś dziwnej cnocie.
Wrzkomo z nas trupy — a Duchy w istocie. —

Co elektrycznych nadziemnych strumieni,
Wszystkieś zgromadził wokół naszych cieni,
By nam powrotne, wstające z mogiły,
Na wstyd Europie ciało uiskrzyły.
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętemi czynami
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

* * *

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie:
Żywot najczystszy — a więc godzien krzyża,
I krzyż — lecz taki, co do gwiazd Twych zbliża,
Najwyższe dałeś w czasie powołanie.
Tchem dzieje świata Tyś przegiął, jak kłosy,
Do pełniejszego dla nas wszędzie żniwa; —
Ziemiś nam ujął — a spuścił niebiosy,
I serce Twoje nas zewsząd przykrywa.
Lecz wolną wolę musiałeś zostawić; —
Ty bez nas samych nie możesz nas zbawić,
Boś tak ugodnił wysoko człowieka
I naród każden, że twój zamysł czeka,
Zawieszon w górze, aż własnym obiorem
Człowiek lub naród jego pójdzie torem.
Z wolnością tylko Twój Duch się wciąż swata —
Nikt niewolnikiom w bezmiarach wszechświata!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętemi czynami
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

* * *

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie:
Przykład nieszczęsnej Twej Hierozolimy,
W której tak długo było Twe kochanie,
Aż się rozwiała w perzyny i dymy,
Rozdarta w sobie — a zemstą do końca
Przeciw ludzkości całej szalejąca.

I ona kiedyś być miała królową
Pogańskim katom, świecącą w koronie;
Lecz, że wciąż śniła o tych katów zgonie,
A dość Twych iskier nie miała w swem łonie,
By nad nich podnieść się życiem na nowo,
Odkrólewszczona — i stała się wdową
I dotąd płacze na Twojego Syna
Za to, że plemion toporem nie ścina,
Jedno krzyż wziąwszy w zmartwychwstałe dłonie
Światy obala, gdzie tym krzyżem wionie.
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętemi czynami
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

* * *

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie:
W ciemięzcach naszych sprośne gwałtu wzory,
Szkaradne rzezie i niecne zabory,
Za które dzieciąt przeklina ich łkanie,
Za które sami, z łaski Twej promieni,
Jakby z pancerza, już odpancernieni,
Stoją w nagości popełnionych czynów
Bez starożytnych na czole wawrzynów,
Z żałób największą okryci żałobą:
Hańbą serc własnych, zhańbionych — przed Tobą.
Nie drugich śmiercią, lecz własną bezpłodnie
Kończą na ziemi wszystkie ziemi zbrodnie.
Żadna z nich żadnych niema przywilei;
Król czy gmin jaki dopuści się zdrady
Słowu Twojemu — przepada z kolei;
Aniołów nawet przepadły miryady!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętemi czynami
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

* * *

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
My nad otchłanią, na ciasnym przesmyku;
Skrzydła nam rosną już na zmartwychwstanie,
Usta rozwarte do wesela krzyku,
Ku nam z błękitów, jakby z Twego łona,
Złote jutrzenki, jakby Twe ramiona,
Spieszą już na dół od nieba po ziemię,
By zdjąć nam z czoła wiekowych klęsk brzemię. —
Wszystko gotowe — wschód rozpromieniony —
Anioły patrzą — a tam, z drugiej strony,
Ciemność pod spadem bezgłębnym wybrzeża!
I pnie się — wzdyma — rośnie, ku nam zmierza
Przepaść — śmierć wieczna, w której niema Ciebie,
Co od początku złych i pysznych grzebie,
A sama pychą, i złością, i swarem,
I mężobójstwem onem, jak świat, starem,
I kłamstw i bluźnierst rozkipionym warem!
I wstała siwa w pasach z czerwoności,
W czarnych błyskawic czarnej jaśni płynie,
Rdzę z krwi pokoleń i gruzy i kości
Na swych topielach piętrzy ku wyżynie,
Gdzie wpół nad grobem, a wpół jeszcze w grobie
Stoim w tej pierwszej odrodzenia dobie.
Jeśli zawrotnym na nią spojrzym okiem,
Jeśli się jednym ku niej ruszym krokiem,
Wnet zórz nam światło poblednie na skroni
I Syn nad nami Twój łzy nie uroni
I Duch nie będzie nam Pocieszycielem:
Na dnie jej sobie nicestwo pościelem!
Zmiłuj się, Panie, broń nas, bądź Ty z nami!
Nie — darmo; — teraz tu stać musim sami!
Ach, wiem: ta chwila już do nas należy;
W ostatniej losów tej naszych przemianie
Żaden Twój Cherub nam w pomoc nie zbieży!
Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie! —

Lecz wspomnij, wspomnij, żeśmy dawne sługi,
Że, nim wiek począł się ten dziejów drugi,
My w przeszłym wieku Twój nakaz już czcili
I nie czekali chwil spełnionych chwili,

By uznać Ciebie za ziemskiego władzcę
W królowej polskiej — Twojej ziemskiej Matce!
Odkąd z mgły czasów naród wyjawiony,
Z ciał polskich polskich dusz wyszło miliony
Z Jej świętem w śmierci na ustach imieniem.
Niech im dziś Ona odwspomni wspomnieniem,
Niech, w wielką zmarłych tych ubrana chmurę,
Na twych niebiesiech do Ciebie się modli,
By nie związali nam stóp, dążnych w górę,
Szatani z piekła — lub też ludzie podli!

Spójrz na Nią, Panie, gdy z dusz onych rzeszą
Co wokół wieńcem powietrznianym spieszą,
Zwolna ku Tobie wznosi się bezmiarem!
Wszystkie się ku Niej gwiazdy rozmodliły,
Wszystkie, w przestworach wirujące, siły
Zmiękły pod smętnym rozrzewnienia czarem.
Coraz to wyżej, jakby na powieniach,
Wschodzi, niesiona na tych bladych cieniach,
Płynie w lazury, za dróg mlecznych chmury,
Płynie za słońca taka bielejąca,
Coraz to wyżej — do góry — do góry!

Spójrz na nią, Panie! — Śród Serafów grona
Oto u tronu Twego rozklęczona —
A na Jej skroniach lśni polska korona
I płaszcz błękitny zamiata promienie,
Z których tam przestrzeń, i wszystkie przestrzenie
Czekają; — modli się bardzo po cichu —
Poza Nią, stojąc, płaczą ojców mary;
W dłoniach Jej śnieżnych jakby dwa puhary —
Krew Twoją własną w prawym Ci kielichu
Podaje, Panie — a w lewym, co niżej,
Krew krzyżowanych na tysiącach krzyży
Poddanych Twoich, krew, płynną przez lata
Po wszystkich ziemiach pod mieczem Trój-kata.
I boskim, tamtym wzniesionym kielichem
Błaga drugiemu przełaski Twej, Panie.
Przepaść temczasem wielkim huczy śmiechem,
Podplanetarnych fal jej słychać granie;

Wężowych głębin splotami wciąż toczy,
Mgłą, wichrem, pianą zalewa nam oczy,
By nas prześmiertnić w kłamce i morderce
Nie widzi, marna, co dzieje się w górze —.
Nie widzi marna, że niczem jej burze,
Gdy takie za nas tam dręczy się serce!

O Panie, Panie! Więc nie o nadzieję —
— Jak kwiat się sypie; — więc nie o zgon wrogów —
— Zgon ich na chmurach jutrzejszych już dnieje; —
Więc nie o przestęp cmentarzowych progów —
— Przebyteć, Panie; — ani o broń władną —
— Z wichrów nam spada; — ni o pomoc żadną —
Zdarzeń otwarłeś już przed nami pole; —
Lecz śród tych zdarzeń strasznego wybuchu
O czystą tylko błagamy Cię wolę
Wewnątrz nas samych — Ojcze, Synu, Duchu!

O Ty najdroższy, wszędzie utajony,
Widny z za światów przejrzystych opony,
Wszech Ty przytomny, nieśmiertelny, święty,
W serc i gwiazd wszelkim mieszkający ruchu,
Co tak gwiazd bunty rozsiewasz na szczęty,
Jak serc przewrotność — Ojcze, Synu, Duchu,
Ty, coś rozkazał człowieczej iściznie,
By, nędzna siłą i kolebką mała,
Przez moc ofiary się wyanielała,
I polskiej naszej rozkazał ojczyźnie,
By wwiodła w miłość i mir ludy bliźnie
Niezatraconej prawości przykładem,
Choć wciąż pod głazów grobowych opadem
Wszystkich tych ludów otruwana jadem —
Ty, co w dziejowych odmętów rozruchu
Wściekłych piorunem przybijasz do darni,
A zacnych zbawiasz — bo zacni — z męczarni,
Błagamy Ciebie, Ojcze, Synu, Duchu,
Z prostotą dzieciąt, w niewieściej pokorze,
Przed Tobą dzieci i niewiasty, Boże,
A światu męscy; — my, co się nie boim
Od wieków walczyć przeciw wrogom Twoim,

Błagamy Ciebie razem z naszą Panią,
Co za nas Twego doprasza się słuchu,
My, zawieszeni pomiędzy otchłanią
A Twem królestwem, Ojcze, Synu, Duchu,
Błagamy Ciebie z wrytem w ziemię czołem,
Skronią już w wiosen Twych kąpani dmuchu,
Czasów pryśniętych otoczeni kołem
I państw ginących — Ojcze, Synu, Duchu,
Błagamy Ciebie: stwórz w nas serce czyste,
Odnów w nas zmysły, z dusz wypleń kąkole
Złud świętokradzkich — i daj wiekuiste
Śród dóbr Twych dobro — daj nam dobrą wolę!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętemi czynami
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

DZIEŃ DZISIEJSZY.

Iluż ich zwiędło w samym życia maju —
Czy w własnych domach — bez domu i kraju —
Czy na wygnaniu! — I milczeli długo
Z dziwnym uśmiechem nad zadziwem świata,
Co im chciał darmo Ojczyzną być drugą; —
Milczeli z dziwną litością przez lata,
Aż wpadli w niemoc; — lecz w skonu godzinie
Dan im wzrok w przyszłość cudowny, proroczy —
I oną Świętą widzieli na oczy,
Co nie zginęła i nigdy nie zginie!

Może ja zasnął — umarłem już może?
Dajcie mi pokój, przyjaciele moi!
Próżno mnie wskrzeszać — nic mi nie pomoże,
Nikt rany mojej pod niebem nie zgoi.

Jam bardzo smętny — jam bardzo znużony,
A jednak muszę pójść tą drogą ciemną,
Kędy z was żaden nie pójdzie dziś ze mną.
Zdejmcie mi z serca waszych uwag szpony!

Dajcie mym skrzydłom wybujać z tych cieśni!
Już i tak długo byłem z wami razem.
Wy życia tylko rozbitym obrazem —
We mnie brzmią głosy nieznanych wam pieśni.

Na co czekacie? czegóż jeszcze chcecie?
Czy, żebym przystał, że dobrze na świecie?
Czy, żebym płakał, że umieram młody,
Lub też zapragnął pośród ludzkiej trzody

Zostać i starzeć, zaprządz się do pługa,
Wić się po ziemi, jak ucisku sługa,
Czuć tylko w nocy, w dzień działać inaczej?
Niech Bóg wszechmocny przebaczyć wam raczy!

Nie pójdę w starych ojczyzny kościołach
Zasiąść do biesiad na braci popiołach
I katów zdrowie pić w Boga imieniu —
Wolę tu skonać w zgrozie i milczeniu.

Czemu patrzycie takim dziwu wzrokiem
Jakbym was urzekł szaleństwa urokiem?
Ja brat wasz — człowiek — ja na was spozieram
Z miłością brata — i cicho umieram

I prawdę mówię pod skrzydłami śmierci:
Kraj wam trzy sępy rozdarły na ćwierci,
A sprządz go nazad wolą nie umiecie!
— Z was niewolniki też dotąd na świecie. —

Darmo z natchnieniem czyn pogodzić chciałem,
Ciało w Myśl natchnąć i Myśl stworzyć Ciałem. —
Ah, nie czas jeszcze z lotnej marzeń wstęgi
Snuć węzły życia i wieńce potęgi!

Nad grobem świętym — nędznych waśni sporem
Nie chrystusowym płomieniem my gorem; —
Jedni w bojaźni swej się zasklepili,
Drudzy żądają gwałtu w każdej chwili. —

Śni się wrzeszczącym, że Lud się przez rzezie
Rzeką krwi bratniej do Raju przewiezie!
Boże pioruny — nie ziemskie trucizny —
Z upadku martwe dźwigają ojczyzny!

A czy wy wiecie — wy, na podłość chorzy
Lub na bezrozum — gdzie ten piorun boży?
On w piersi ludzkiej drga i zwie się »Miłość«
I on rozcina tu Losów zawiłość.

Tem, że się brudem szatańskim nie plami,
Mści się straszliwie ponad Szatanami,
Ryje na czole im potępień znamie
I z krzywd budowne cesarstwa ich łamie. —

Wiedźcież, gdzie zemsta, gdy tak zemsty chciecie!
Kto strachem wzgardzi — a nie tknie się zbrodni,
I wskaże światu świętość Polski w świecie,
Ten w arcy-zemstę czyny swe zapłodni. —

A czas zwyciężyć już, o przyjaciele!
Nie rozumiecie może — dni za wiele
Na martwych myślach wyście przeigrali —
I na wosk zmiękły wam serca ze stali.

O, pójdzcie — pójdźcie przez rodzinne sioła,
Przez łąk zielenie i przez kłosów fale;
Tam w kłosie każdym szemrzą ziemi żale,
Tam lilia polna o pomstę zawoła!

Szum tylko borów słychać tam w przestrzeni,
A w borach groby z zielska i kamieni,
A w każdym grobie męczennik spoczywa
I nad nim sosna hymn umarłych śpiewa. —

Na polach wokół najemne grabarze
Kopią w głąb ziemię — i broń poszczerbioną,
Obrazy świętych i stare ołtarze,
Na pył rozbiwszy, rzucają w jej łono,

By nie stał żaden przed oczyma ludzi
Pomnik dni dawnych — by ziemia ta cała
Nagim — bez krzyżów — cmętarzem się stała,
Gdzie z snu wiecznego mój lud się nie zbudzi. —

Ah, u bram miasta — patrzcie — tam, w dolinie,
Rota żołnierzy o brzasku godzinie
Strzelby nabija — i stoi — i czeka
Na wóz ten czarny — na tego człowieka,

Co zwolna jedzie w śmiertelnej koszuli,
Skazan od sędziów, by poległ od kuli
Za to, że, wygnan, śmiał wrócić na łany,
Gdzie ojców rola i braci kajdany!

Starców i sierot lud za nim się tłoczy —
Słońce z za wzgórzów wznosić się zaczyna —
Dzwon z wieży słychać — to zgonu godzina; —
Lud podniósł w niebo obłąkane oczy.

On zstąpi z wozu — on w jaskrawe słońce
Spójrzy, jak orzeł, i słów kilka doda:
»Chleb ten był gorzki i zatrutą woda,
Którąm żył tutaj — teraz na tej łące

Upaść mam ciałem, jak nieczułe brzemie.
Jedna myśl tylko mej duszy się śniła —
Tę myśl, jak ziarno, rzucam na tę ziemię;
Niech dziś się skryje — by jutro odżyła!«

Gdzież jestem? Mówcie! — Co się ze mną dzieje?
Ten obraz cały tak prysnął przedemną —
Mgła mi śmiertelna jakaś w oczy wieje!
Lud — łąka — miasto, zapada w noc ciemną,

Jakby mój naród zapadał w otchłanie!
Dni tylem płakał i prosił Cię, Panie,
O błysk nadziei! — Podajcie mi ręce!
Ja nie chcę skonać w tej Zwątpienia męce!

Trzymać mnie, ścisnąć — przykuć mnie do ziemi!
Ja tu chcę zostać z temi umarłemi —
Lub, nim odejdę, przeczuć w mojej duszy,
Że duch Zmartwychwstań ich prochy poruszy. —

Mówcie co do mnie — już nic nie wiem zgoła!
Czy tam nie widać mojego Anioła,
Który obiecał — czy to mi się śniło? —
Śnieżnem mnie skrzydłem przykryć pod mogiłą?

On stoi — widzę — niech chwilę poczeka!
Co będzie z Polską? — Patrzcie, do człowieka
Całkiem podobny! Czyż to twarz Anioła?
Nie — to mój Szatan, który na mnie woła!

Znam cię, dusz słabych siwy kusicielu!
Tyś przepsuł Wiarę — zatruł Miłość wielu; —
Wiem — ty przyszedłeś w ostatniej godzinie
Mnie prorokować, że mój naród zginie!

GŁOS SZATANA.

Ja jestem Rozum — ja jestem Konieczność.
Nie czas mi bratem, ale siostrą Wieczność; —
A choć mnie ludzie przezwali Szatanem,
Mój Duch swiat stworzył — i ja ziemi Panem!

Ostatni jesteś z wielkiego plemienia,
Ostatni jesteś z Bohatyrów rodu —
Żyłeś bez domu — umrzesz bez imienia —
Zwiany jest z ziemi ślad twego narodu. —

Matką ci mara upadłej swawoli,
A bracią twoją proch, co gnije w trumnie;
Życiem twem było — tylko konać dumnie
Lub siać łzy marne na nicestwa roli.

Śmiercią trza umrzeć! — Śmierć jest poświęceniem;
Gdy niepojęta — tylko wtedy karą,
A gdy ją pojmiesz, Rozumu ofiarą,
Przez zgubę cząstek całości zbawieniem. —

Tem bieży potok, że fale mijają —
Tem ogół stoi, że szczególni płyną —
Tem Ludzkość żyje, że narody giną —
I trwa tem Wszechświat, że światy konają.

Lud twój się dostał drugiemu ludowi
Na krew i pokarm. — Ojców twych puściznę
Wróg dziś przerobił na śmierć i zgniliznę;
On życie świata tą śmiercią odnowi.

Bo w piersi weźmie zagadkę przyszłości,
Którą rozwiązać nie wam było dano;
On ją rozetnie, depcąc wasze kości.
Śpijcie na wieki! — Wam Noc, jemu Rano! —

Lecz ty — odpowiedz! — na coś z umarłemi
Zawarł przymierze? Czemuś w blaskach słońca
Żyć nigdy nie chciał, lecz w czarnej zaciemi
Sny swe, jak lampy, rozstawiał bez końca?

Darmo się zżymasz, przegrałeś w tym boju.
Rozum na ciebie raz ostatni woła —
Przed koniecznością ugnij wreście czoła —
Zrzuć z duszy upór — a zaśniesz w pokoju!

Uznaj, że dobrze — i mądrze — i święcie,
Klęknij przed zgodą, widomą w zamęcie,
Co sprzęgła razem w okrąg nieskończony
Trumny pogrzebów i życia korony,

A w tem uznaniu schwycisz wieczność całą,
Myśl twą pojednasz z naszej myśli chwałą —
I wtedy będzie darowano tobie,
Żeś wprzód nam bluźnił — płacząc gdzieś na grobie!

JEDEN Z PRZYTOMNYCH.

Jakkolwiek straszny ten czarny Jegomość,
Zda się — rozległą ma rzeczy świadomość.

DRUGI.

Mógłby on dużo nam ująć cierpienia
Przez myśl tę nową, co sprawy tor zmienia.

TRZECI.

Kołowrot w głowie — i tamto — i owo —
Lecz czuję wielką odrazę sercową.

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Czemu bledniecie? — Obróćcie się ku mnie! —
Bracia, nie patrzcie w posępną twarz jego!
On duchem wprawdzie — ale duchem Złego,
Fałsze więc prawi nadęto i szumnie.

Ah, gdzie mój Aniół — ten siostrzany — biały —
Co miał przyjść po mnie? — Czemu nie przybywa?
Sam głos twój tylko pieśń zgonu mi śpiewa,
Lecz nie drżę, Duchu — boś nędzny — boś mały,

Boś jedną tylko Wszechżycia połową.
Niedopełnienie — wieczna twoja dola!
— Z ust twoich płynie wiecznej śmierci słowo,
Bo wiesz, co przymus — a nie wiesz, co wola!

Żądza serc wielu może pod mogiłę
Zstąpić, jak anioł — i anielską siłę
Wlać w kość i popiół — nazad stworzyć naród;
— Bóg w Wolę ludzi rzucił cudów zaród!

Byle się nigdy w pychę nie spodliła,
W cud się zolbrzymi, wciąż wzrastając Czynem;
Pycha — to karłów zbuntowanych siła —
Wawrzyn jej zwycięstw na krótko wawrzynem.

Taki dziś kwitnie na twych lubych czole;
Ich tryumf głosisz w człowieczeństwa kole!
Lecz wierzaj, Duchu: Ciału bez Idei
Nie zwiastuj nigdy nic prócz — Beznadziei!

Pogromcy wieków na dziejowej niwie,
Tak, jak my walczym, walczą nieszczęśliwie,
Jak my, po grobach żyją, nie na słońcu —
A czemuż — powiedz! — ich wygrana wkońcu?

Czemuż przed niemi na wydarzeń polu
Świat wreście zadrży z niewymownej trwogi?
Na niebie — z niebios pospadają Bogi,
Na ziemi — Cezar spada z Kapitolu?

Bo wciąż się z tobą pasowali, Duchu,
Gdyś na ucisków trzymał ich łańcuchu; —
Bo, wolni w wolnych głębokościach woli,
Przysięgli wtedy, że i śmierć nie boli.

Coś nieznanego stworzyli pod słońcem:
Stworzyli hańbę na wieki, dla ciebie,
Stworzyli ciało śród katów — a w niebie —
I krew, z żył wziętą męczarni tysiącem,

Która wciąż świadczy o Dobru i Pięknie! —
Mówże, u jakich piekieł znajdziesz proga
Moc, co się woli praw strasznych nie zlęknie,
Gdy cierpi w świecie — a poczęta z Boga?

I dziś, jak niegdyś, wytknięta jej droga
Łaską niebieską — i dziś zdoła wroga
Obalić ona — i zespoi razem
Słowo dni zbiegłych z przyszłych dni wyrazem.

Konieczność, Duchu, jest sługą wolności.
Ten żyć nie umie — kto prawa nie rości
Myśl wieczną wcielać, ale w swoje ciało —
A kto męczennik, temu się udało!

Zdejm z nas twój Rozum bez Czynu i Woli! —
Nie nam przydatny, tylko tobie k'woli,
Byś karki ludzkie, jak podłe bydlęta,
Na dół przeginał i kuł w hańby pęta.

Wieczna pokora w łzach i krwi — przed Bogiem,
Bunt nieśmiertelny w łzach i krwi — przed wrogiem,
To los nasz — zakon — to nasze sumienie —
Przeszłości chwała — przyszłości zbawienie!

Idź innych zwodzić! Tyś duch cudzoziemiec!
Gdy zbrodnię jaki gdzie spełni morderca,
Wraz ją uprawnisz teoryą bez serca; —
— Tyś idealny Moskal — chybaś Niemiec!

I prawdęś wyrzekł: ja żyłem na grobie,
Wszystkie kajdany wszystkich moich braci
Mnie krępowały, zmarniałem w żałobie —
Lecz Bóg mi wstydem twym ból ten odpłaci.

Zanim na łożu tem ciało me skona,
Zjawi się duszy mej dusza rodzona —
Zjawi się — wróci — obiecała przecie,
Raz mnie ostatni gdy żegnała w świecie.

Widzę, pamiętam: gasnąc na mem ręku,
Tak mi przyrzekła — i zagasła w jęku.
Mówię ci, Duchu, że z niebieskich błoni
Wróci tu do mnie i przyszłość odsłoni.

Precz ty uciekaj przed tem objawieniem,
Bo z ust twych wściekliżn lać się bedzie piana —
Albo też padnij mi tu na kolana
I Polskę uczcij serca nawróceniem!

Coś ty mi radził, ja ci radzę teraz,
Radzę, i szczerze; wielu zwieść i nieraz
Jeszcze ty możesz — lecz to nie wygrzebie
Z grobu przyszłości, ni twoich, ni ciebie.

Za to, że wiarą twą był topór kata,
Że twą pięknością co podłe a harde,
Skazany jesteś na plwociny świata,
Skazany jesteś na wieków pogardę.

Patrzcie, on znika! — Bracia, już go niema!
W sercach się waszych tylko strachu zima,
Na licu waszem tylko zwątpień znamie
Po nim zostało. — Ożyjcie — on kłamie!

Na walkę, bracia, na godność bez końca
Wyście skazani. — W ciepłem świetle słońca
Zwierzętom igrać, lecz wam działać trzeba; —
A przez Czyn — ziemi przychylicie nieba.

Jam ciężko grzeszny, wyznaję, o bracia,
Bom dał zamieszkać w sobie tej żałości,
Co z czucia wkońcu w krew się przepostacia
I myśl zatrutą przewciela w szpik kości.

Mnie smutek zabił, mnie gorzkie koleje,
Mnie gwałt namiętnych, nieskończonych marzeń,
Mnie krok leniwy ognuśniałych zdarzeń,
Mnie te dni naszych wciąż tak podłe dzieje!

Jam pił zanadto z krynic, mętnych łzami,
Za dużo trumien przeszło mi przed wzrokiem.
Wiek wołał: »Czekaj!« — rok ciągnąc za rokiem,
Codzień świeżemi witał mnie trumnami.

Wszystko, com kochał, w ziemi pogrzebałem!
Miłości moich krzyże tam, po błoniach,
Gdzie blade jeźdzce śpią przy śpiących koniach
Z orłem na piersiach sennem, krwawem, białem;

Gdzie leżą w węgiel rozsypane chaty,
A w bagnach rosną niezabudek kwiaty
I czajka woła — jak wprzódy — na dzieci,
I słońce cicho nad równiną świeci.

Wszystko, com kochał, w ziemi pogrzebałem;
Ciężko mi, ciężko pod wspomnień nawałem.
Czemu nie wraca moja utracona,
Ta, co mnie kocha za grobem? Gdzie ona?

Nikt z was nie widział piękności na oczy,
Bo piękność dotąd gdzieś jeszcze w zamroczy.
Zwolna kwiat ziemi z toni wieków wzrasta;
Lecz przyjdą czasy — lecz kiedyś się zjawi
Córka człowieka i Boga — Niewiasta,
I męskie serca od śmierci wybawi.

Ah, ona była nadejścia jej wskazem,
Zorzą przeczucia w ciemnych nocy kole
Wolnej a świętej, odbitym obrazem
Z nieba dni przyszłych — na tych dni padole!

Widziałem niegdyś, jak wszyscy klęczeli,
Plotąc jej z kwiatów więdniejących wieńce;
Ona, na sercu w krzyż złożywszy ręce,
Gardząc, mijała grono kusicieli.

Jak mgły pod słońcem, szaty się jej śnieżą,
Na ciemnych włosach z jasnych róż korona

I z czarnych rąbków na głowie przesłona,
Pod którą róże jak w śnie smutku leżą.

I tak szła zwolna przez tłum ludzki cały,
Jak siostra zmarłych — milcząca z żywemi,
Jak córka Bogów — samotna na ziemi,
Duch, wszystek z bólu i z promieni chwały!

Ah, teraz wszystkie, te wszystkie obrazy
Walą się na mnie, jak grobowe głazy.
Mówcie mi, bracia, spokojne pacierze —
W ostatnich zgonu podrzutach już leżę!
. . . . . .
. . . . . .

CHÓR PRZYJACIÓŁ.

Umilkł — już skonał. — Na grobie mu wieniec
Z cierniów złożymy i napis pod spodem:
»Choć żył na ziemi, nie był z ziemi rodem; —
Los jego — Rozpacz, a imię — Szaleniec.«

JEDEN Z PRZYTOMNYCH.

Co też za życie tego człeka było!
Ciągle mu tylko w mózgu się roiło
O nieskończonych błękitu obszarach,
A tu na ziemi o kochanek marach
I o ojczyźnie!

DRUGI.

To był patryota.

TRZECI.

Niema co mówić — lecz to stara cnota.

CZWARTY.

Cenię go mocno, ale ganię za to,
Że nigdy nie był dość arystokratą,
Bo tylko silny pierwiastek takowy
Może kraj podnieść w byt lepszy i nowy. —

PIĄTY.

Cenię go mocno, lecz nie cierpię za to,
Że nigdy nie był dosyć demokratą,
Bo tylko ostry ten pierwiastek zdoła
Ze zgniłych wyrwać nas przesądów koła. —
Tuszę, że Polskę niechybnie uzdrowi
Każdemu rzezią grozić szlachcicowi,
A potem — później — jeśli będzie trzeba,
To i dać paszport Ichmościom do nieba!
Krwi sobie utocz, gdy stoisz nad grobem —
W łeb sobie wypal, kiedyś mocno chory!
Takim się Francuz wciąż leczy sposobem,
A zdrów i silny — z niego więc brać wzory!
Żadnych półśrodków — precz z niemi do kata
Wolność i Równość *et cetera* świata,
Wreście komunizm — co bądź — wszystko jedno,
Bylem Ojczyznę uratował biedną!
— Wszak tak, Panowie?

SZÓSTY.

Mylicie się srogo —
Będzie nam tylko z panslawizmem błogo.
I oszukamy tak gracko Moskali,
Że ujrzą w końcu, iż my się dostali
Do steru rządów. — Wtedy krzyknąć: »Brawo!«
Oni nam będą, a nie my im, strawą.
Tak sztuki stanu radzi polityka. —
Żal mi niezmierny tego nieboszczyka,
Że się z tą prawdą minął oczewistą —
On był powinien umrzeć panslawistą!

SIÓDMY.

On był powinien umrzeć komunistą!
Pozwólcie chwilkę! Nad tym trupem szczerze
Powiem wam, bracia, w co ufam, w co wierzę. —
By zrzucić ucisk, nie łez nam i pisku
Ale gorszego trza jeszcze ucisku!
Despotyzm zbijesz tylko despotyzmem,
Nie liberalnym żadnym krytycyzmem.

— Czem postępowość? Nie zważać na prawa.
Kiedy, gdzie jaka przyjęta ustawa,
Celom się twoim na nic nie przydawa.
— Czem znów genialność? Ot, w jednym momencie
Przełamać naród w odmienne nagięcie
I, wciąż twórczości trzymając pochodnię,
Czuć się nad wyrzut wyższym i nad zbrodnię.
Cnotliwym ludziom zanadto wygodnie;
Żadnej wewnętrznej nie spełnią ofiary,
Nie narażają się na zgryzot mary,
Nie chcą się zhańbić i skalać dla Ludu,
Jak *Sen-Żust* — *Marat*, ci dwaj Święci Brudu,
I są spokojni nawet na szafocie.
To moralności jakby wielkie pany,
Co chodzą w uczuć jedwabiu i złocie!
A co z tej cnoty, gdy kraj podeptany?
Uwagęm oną zrobił mimochodem,
A nią dowiodłem, że, gdy Twórczość każe,
Słuszna wziąść nawet przemoc nad narodem,
I, że Tyranią marząc, źle nie marzę. —
Niech się wam serca zbytnie tu nie zranią,
Bo oczewiście komunizm tyranią,
Ni takiej znają niewoli na świecie
Ci, których Turek albo Chińczyk gniecie!
Przed komunizmu dopiero obliczem
Każden szczególnik w społeczeństwie niczem.
Własność przepada; twe włosy — twa skóra
Nie twe, lecz Rządu; — to mi Dyktatura!
Aleć wiadomo: sławiańskiej natury
Normalnem prawem żądza Dyktatury.
Myśl, pot, grosz wszystkich przez władzy przetaki
Wciąż przelatuje. — I władzy tartaki
Wciąż kraj piłują — ot, Centralizacya!
— Nie dość krwi tylko chcieć, jak demokracya; —
A któż krew przyjmie za co gdzie w zapłacie?
Wprzód, niż krew, pieniądz wojnę rozpoczyna;
W skarbie drga zwycięstw ukryta sprężyna,
A skarb oparty na dóbr konfiskacie.
Rząd gdy jedynym właścicielem będzie,
Zaraz się zjawi moc i pogrom wszędzie;

Ci wywłaszczeni wszyscy w jednej chwili
Jak lwy się będą — obaczycie — bili!
Nic tak człowieka w animusz nie wpędza,
Jak zwrót do stanu zwierząt: głód i nędza!
Mnie się to widzi lekarstwem jedynem.
Stare przysłowie: »Klin wybijaj klinem!«
Więc dla mas wynajdź jakby kształt Caratu,
Więc podnieś Moskwę jakby do kwadratu,
A taką Moskwą obalisz Moskala.
— Piekłem na Piekło. — Tak Duch świat ocala!

ÓSMY.

Patrzcie, panowie! — Na tej zgasłej twarzy
Jakby sen dotąd cierpienia się marzy;
Choć oko szklanne — choć jak z głazu warga —
Z ust i z ócz płynie jeszcze na was skarga.
Od wszelkich stronnictw napuszonej mowy,
Pełniejsze życia milczenie tej głowy,
Na której rysach się ból narodowy
Rozpostarł wszystek — on ból, co od wieka
Każdego w Polsce rozdziera człowieka.
Błogosławiony on ból, co dowodem
Nieśmiertelności — bo już z grobu rodem!
On ból czyscowy, opatrzny, obrończy,
Co nas, rozbitych, jak religia łączy,
Aż cud, nie zaznan w świecie, zeń wykwita:
Pośrednia polskich dusz Rzeczpospolita!
— Z takiej tajemnic i ofiar głębiny
Świętsze, ja tuszę, i prawdy i czyny
Wyjść na jaw muszą, niż gwałt, konfiskata
Lub rzeź gdzie jaka; czci — sił — czasu strata,
Małpiarstwo tylko starych zbrodni świata!
Co wy myślicie — ty — i ów — i drugi?
Zamiarów Bożych nieświadome sługi,
Wy, zdźbła przyszłości, z których każde śmiało
Prawi o sobie: »Jam przyszłością całą!« —
Wy mędrcy — twórcy — wy krzykacze — zuchy —
Wielkiej Idei studenty, nie Duchy,
Żaden z was kraju pod dłoń swą nie zgarnie; —
Nie na toć naród zniósł takie męczarnie!

Nie — nie zwycięstwem stronniczych mierności
Kończą się sprawy, w których Bóg sam gości,
Lecz Myśl się boża tutaj Dobrem zowie —
Dobrem zaś tylko jest Dobro, panowie,
A Brud jest brudem; — myj go sofizmami
Pierz i lat tysiąc — on zawsze cię splami!
Wszystko cochwilnie rusza się i zmienia
Prócz w piersiach ludzkich — ludzkiego sumienia!
Tu wynalazków daremna ochota!
Środków działania i w myśli i w ciele
Masz do odkrycia nieskończenie wiele,
Lecz jeden tylko w sumieniu tkwi: — Cnota!
Inaczejś, bracie, nie człowiek — lecz zwierzę!
Oto, panowie, w co ufam i wierzę. —
Żadna Genialność w tym razie nie nada,
Bo to nie moja ni twoja zasada —
To prawo światów, co światami włada!
To nie sławiańskiej wynik Dyktatury,
Lecz bożej w ludzką zstąpionej natury.
A nieboszczyka, owszem, chwalę za to,
Że komunistą, ni arystokratą,
Ni panslawistą, ani demokratą,
Ni jakiemkolwiekbądź innem przezwiskiem,
Co z klęsk ojczyzny tylko pośmiewiskiem,
Nie zwał się nigdy... Jeśli jakim znakiem
Znaczyć go chcecie, zwijcież go Polakiem,
Bo kochał Polskę oną wiekuistą,
Ziemsko-potężną — i anielsko-czystą,
W której się zaród wieków szlachetności
Tak dowielmożni i tak dochrześciani,
Że z niej się stanie jak duchowa Pani
Innych narodów! — On żył w tej miłości
I w niej też umarł. — Serce jemu wrzało
Goręcej w piersiach, niż u innych ludzi!...

DZIEWIĄTY.

Kogóż już teraz taki zapał złudzi?
Praktyki trzeba — sercem żyć za mało.

DZIESIĄTY.

Aha, tak — prawdę mówi obywatel;
Poszło już serce teraz w rząd bagatel,
I lepsza jedna z Londynu młockarnia,
Niż poetyczna wszystkich dusz męczarnia.

CHÓR.

Nie traćmy czasu, bo życie praktyczne,
Którem żyjemy, liczy w sobie liczne
Zajęcia! — Zatem, gdy już dni na niebie,
Bądź zdrów, umarły, pożegnamy ciebie!

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Dzięki wam, ludzie! — Jam nie skonał jeszcze.

CHÓR.

Jak? — Co? — Ty żyjesz?

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Ja z śmiercią się pieszczę.
Ból zwątpień przeszedł — noc ducha ustała,
Coraz mi płynniej ciąży ciężar ciała,
A już nie marzę, nie walczę, nie mdleję —
Cały w błękitną zmieniam się nadzieję.
Słodko umieram — słyszę głos Anioła —
Głos wiosen moich, głos tak dawniej znany,
Wiecznie pamiętan i wiecznie kochany,
Tu — przy mnie — wszędzie — nademną — dokoła!

CHÓR.

Nic my, na honor, nie słyszemy zgoła. —
Cieszy nas tylko, że cię myśl wesoła
Cieszy w tej chwili — winszujemy tobie! —
Może się kryzys w twej zjawi chorobie. —

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

O ty, nademną tak się kołysząca,
O ty, coś piękna pięknością bez końca,

Bo wiesz już Pana niebieskie wszechcele,
I na twem licu tej wiedzy wesele.
O siostro, błagam cię — słuchaj — niech oni
Ujrzą cię także — niech światło z twych skroni
W pierś im przepłynie — niech głos twój usłyszą!
Nastrój ich myśli ducha twego strojem,
By wrzask ich niezgód stał się odtąd — ciszą
I walczyć mogli zwycięskim już bojem!
— A co? — widzicie?

CHÓR PRZYTOMNYCH.

Jakież ciebie licho
Znów opętało? Leż spokojnie — cicho!
Wnet ci się nerwy wściekłym skręcą spazmem,
Gdy z takim będziesz gadał entuzyazmem.

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Czy ty mnie słyszysz? Siostro, błagam ciebie,
Zjaw się im wszystkim tu nagle, od razu!
Może ci na to bożego rozkazu
Potrzeba? — prośże — proś Ojca, co w niebie,
By ci pozwolił — módl się — módl — mów: »Panie,
»O co mnie błaga mój brat, niech się stanie!«
Nie bój się — dobry jest Pan — On pozwoli,
Byś im zwiastunką była Jego woli,
Byś słowom moim w mej śmierci godzinie
Dała świadectwo, które nie przeminie.
Bóg ciebie kocha, boś kochała wiele,
Najnieszczęśliwsza z niewiast człowieczeństwa,
Niewiasto polska niegdyś... Ty, męczeństwa
Duszo i iskro — a dzisiaj Aniele,
Słuchaj ty — wymóż to na sercu Boga —
Uczyń to dla mnie, o Siostro, o droga!
— A co? — widzicie?

CHÓR.

Wciąż się łudzisz marą
A nasze oczy widzą, co widziały:
Ten pokój, lampą wpół oświecon cały;

Fortepian — stolik — po ścianach broń starą,
A pod tem oknem ten splot róż, co wzrasta
Z tych donic kilku — wreście piec — i basta.

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Prawda, we wszystkiem dotrzymałaś wiary.
Póki na ziemi — kochałaś do zgonu,
A teraz z góry — aż z pod Boga tronu —
Przez zagrobowe wróciłaś bezmiary
I czekasz na mnie — i stoisz przedemną,
By mnie wprowadzić w noc grobu tajemną.
Prawda, o Siostro, a to wszystko na nic. —
Słuchaj — niech raczej w tę otchłań bez granic
Spadam bez ciebie — niech bez twej opieki
Tam błądzić muszę — może błądzić wieki!
A w zamian żądaj, by im się twa postać
Ukazać mogła i Słowo twe zostać
Z nimi wszystkiemi! — Śpiesz sie — wszak cierpienie
Me widzisz! Śpiesz się, ja woli nie zmienię!
Nie mem mi moje zbawieniem zbawienie,
Lecz ich i Polski. Było zostać raczej
Gdzieś była, Siostro — bo pomódz inaczej
Mnie ty nie zdołasz. — Krótka nasza radość,
Jeśli mej prośbie nie uczynisz zadość;
W jakibądź Zaświat odejdziem oboje,
Ścigać mnie będą zgryzot niepokoje,
Żem już gdzieś z tobą schroniony i żywy,
A kraj mój Polski dotąd nieszczęśliwy,
A oni wszyscy wciąż w kłótni i w błędzie!
I choćby niebie — źle mi w niebie będzie;
I będę gorzki — i będę okrutny —
I ty, choć aniół, będziesz aniół smutny;
Aż, patrząc na mnie, krzykniesz: »Nieszczęśliwam!«
Więc mnie wysłuchaj — raz jeszcze cię wzywam —
Wysłuchaj, Siostro — patrz — już dogorywam!
— A co? — widzicie?

CHÓR.

Co to za muzyka?

Strun niewidzialnych szum dźwięczy w przestworze
I dźwięk nam każden wskróś duszę przenika.

GŁOS W GÓRZE.

Wszechświęty Ojcze, Synu, Duchu — Boże!
Dzięki Ci, Panie, żeś w ostatniej chwili
Dał znów być razem tym, co razem byli
W życia przeszłości; — na ziemi on bratem
Był mi, a teraz go z umarłych światem
Przyszłam pobratać; — lecz, nim mu ust pieniem
Duszę odwiążę i jednem westchnieniem
Porwę go z sobą — wysłuchaj mnie, Panie,
Niech serca jego spełni się żądanie!

JEDEN Z PRZYTOMNYCH.

Już nie dźwięk tylko — wyraźnie brzmią słowa.

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Czemu się jeden za drugim tak chowa?

JEDEN Z PRZYTOMNYCH.

Słowo honoru! Gdybym wierzył w Boga,
Toby mnie zdjęła w tym momencie trwoga...
— Daruj mi, Boże, padam na kolana!

INNY.

Jakby w płomieniach cała stoi ściana!
O Jezu, biję się w piersi żałośnie;
Zgrzeszyłem, Jezu! — Jakżeż blask ten rośnie!

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

A co? — widzicie?

CHÓR.

Oszalejem wszyscy!
Czy my zbawienia czy też zgonu blizcy?
Widzim, ah, widzim bielejące szaty

I skrzydła widzim — i na głowie kwiaty —
Tyś prawdę mówił — twoja, ah, wygrana!

GŁOS W GÓRZE.

I będzie Polska — będzie w imie Pana!

CHÓR.

Umieramy po kolei!
Serca nasze, jak tłum liści,
Gdzieś niesionych wśród zawiei,
Opadają w dół zawiści;
Rwie nas w górę wir nadziei,
Umieramy po kolei!

GŁOS W GÓRZE.

Będzie Polska w imie Pana!

CHÓR.

Gdzie dusz naszych wieczna rana?
Już nas wnętrzny ból nie gniecie;
Piersi skaczą — myśl pijana
Od radości, co nieznana.
My umarli już na świecie!

GŁOS W GÓRZE.

Będzie Polska w imie Pana!

CHÓR.

Wszystko wokół — gdyby rajem —
Wszystko wewnątrz — gdyby siłą —
Tak nam dobrze — tak nam miło —
Święty Boże, zmartwychwstajem!
Pierś do piersi — do rąk ręce!
Zesplatajmy się, jak wieńce,
I rozwieńczmy się nad krajem!
Coraz jaśniej przed oczyma —
Jednym Duchem już się stajem —
Tam, gdzie Miłość, Śmierci niema —
Ah, kochajmy się my wzajem! —

GŁOS W GÓRZE.

Będzie Polska w imie Pana!

JEDEN Z CHÓRU.

Mgła przyszłości z serc nam zwiana.
Alleluja! — wraca życie;
Ojców Duchy, czy słyszycie?
O wy, niegdyś bardziej z Bogiem
Niźli Franki — niźli Niemcy —
W każdym czynie czuciem błogiem
Zbawiciele lub Rozjemcy,
Wy, zdobywce — lecz Uniami,
Których ludzka krew nie plami —
Wy, pogromce — lecz Tyranów,
Schyzmatyków lub Poganów —
Przez dziesięciu wieków burzę
Europejskich bram wy stróże,
Króle — Wodze i Rycerze,
Weszli z światem w Wszechprzymierze
Przeciw nocy, wiecznie ze dniem,
Czy pod Moskwą — czy pod Wiedniem —
Wy — jak w dziejach sny niebiańskie,
Wy — godzące sprzeczne tory,
Męczenniki wy chrześciańskie
I rzymskie Tryumfatory —
O, natchnijcie nas w tej chwili!
Wprzyszlić przeszłość — oto pora;
Niech skra wasza, co w nas chora,
W płomień zdrowia się rozsili!
Z głębi ludu — szlachty ród,
By wczłowieczać w Ludzkość — Lud.
Na to z bożej ją opieki
Wybierały los i wieki!
Póki przodem przed narodem
Poświęcenia stąpa chodem,
Żadna rana, w pierś zadana,
Jej nie zmoże; — nie pochowa
Żadna otchłań Kurcyuszowa —
Z tych otchłani ona rodem!

O Aniele, patrz, Aniele,
My tu wszyscy jedną bracią!
A kto ofiar spełni wiele,
Ten na ofiar pała czele,
I to — Arystokracyą!

GŁOS W GÓRZE.

Będzie Polska w imie Pana!

DRUGI Z CHÓRU.

O ty śliczna, o świetlana,
O motylu ty mój boży!
Niech się serce me roztworzy
U stóp twoich! — My nie kaci,
A wyrzynać chcieli braci!
Ah, bo błądzić — to rzecz łatwa,
Kiedy myśli smutek gmatwa.
Cudzoziemiec plótł nam dziwy:
Że, gdy szlachtę kto pogrzebie,
Ten na wieki już szczęśliwy; —
Aż ja wieszać chciał i siebie,
Bom sam szlachcic — jak Bóg żywy!
O Aniele, ja szalałem!
Jużci szlachta u nas głową —
— W niej mózg kraju — a Lud ciałem;
Zetnij głowę narodową,
Cóż zostanie-ć z pod obucha?
Kadłub tylko — co krwią bucha,
Aż się wrogom do stóp zwali.
I po tylu wiekach trudu
Ojczystego kadłub ludu
Będzie grzeban przez Moskali!
A pogrzebią go w koszary;
Pod carskiemi tam sztandary
Trupa pocznie się zgnilizna. —
W rój moskiewskich się żołnierzy
Przerobaczy, sprzeniewierzy —
Taka z mordu nam Ojczyzna!
O Aniele, aż strach bierze,

Żem tak długo żył w tej wierze.
Gwałtu — ratuj! — Co się znaczy?
Jak w śnie wszystko się majaczy!
Czy to głos mój? Ktoś mną włada —
Ktoś przezemnie inny gada!

GŁOS W GÓRZE.

Nie opieraj się daremno! —
Co oglądasz, mów!...

DRUGI.

Źle ze mną!
Krew się wzdyma przed oczyma —
I szumi, i wali,
I falą po fali
Posuwa się dalej.
Bladych ciał połowy —
Ręce — nogi — głowy —
W głowach, w piersiach — kosy — noże; —
Z czerwonych strumieni
Jeziora czerwieni —
Z jezior — jedno morze!
Wielki Boże!
Kędy spojrzeć — w wszechprzestrzeni
Krew kołysze się i pieni!
Już od pian tych rudej pary
Mrok w powietrzu rudoszary —
Sklep nieba po szczyty
Tym kirem obity —
Pośrodku twarz słońca
Jak lampa gasnąca —
I zgasła nademną.
Jakżeż teraz ciemno!
Tylko tam, gdzieś na chmur łonie,
W lądu stronie
Zorza płonie;
Tam, w oddali
Świat się pali!
Z płomienistych łun w przestworze

Jak drugie krwi morze —
W dole — gruzów trzask,
Nad łoskotem huczy grzmotem
Stu tysiąców wrzask!
A tu bliżej — w łun obwodzie
Na szkaradnej onej wodzie
Oto wioseł plask;
Setne płyną łodzie —
Wszystkie płyną w brzegu stronę,
Bagnetami najeżone;
— Bagnetów tysiące —
Działa — łąty tlące —
Śród dział trony i korony,
Flag purpury — i mundury:
To króle Europy!
Ha, na mordu fali
Jedni się zostali
Królowie i chłopy!
Szparko jadą ci mocarze —
Wesołe ich twarze --
Prosto — prosto w te pożary
Przez te krwi obszary
Wiosłują wioślarze!
I żelazo tych żołnierzy
Uderzy — uderzy
W chłopów ród,
I będzie się pasowało
Z ślepem ciałem ślepe ciało —
Z brudem — brud!
I będzie świat cały
Nad grobowym progiem
Bez Boga —
Ostatnim mu Bogiem
Wszechtrwoga!
Przed Strachu bałwanem
Zgniją ludzkie serca,
Wieku tego panem
Kat — szpieg — i morderca!
Na przemiany wszystkie klęski:
Dziś motłoch zwycięski,

Jutro górą król.
Wszędzie wstyd i ból,
Widnokrężna podłość wszędzie —
I nadejdzie dzień,
I wyciętej w pień
Żal wam szlachty będzie.

GŁOS W GÓRZE.

Zbudź się — zbudź się — w imie Pana!

DRUGI.

Światłość jawu mi oddana.
Aż się jeszcze trzęsę — pienię!
Kto w mych piersiach mówił za mnie?

GŁOS W GÓRZE.

Twój drugi »Ty« — twe sumienie,
Co nie mówi nigdy kłamnie.
Każden w sobie ma olbrzyma,
Który z prawdą — nie z nim — trzyma;
Wszechmoc drzymie w tym olbrzymie —
Jemu »Wieczny Cud« na imię.
Gdy opisze ciebie kołem
Twoich własnych żądz i myśli,
Tak płomienno ci je skryśli
I rozwiesi po przed czołem,
Że w nie patrzysz ócz twych wzrokiem.
Wtedyś sobie sam wyrokiem —
Wtedy bywasz i prorokiem.

DRUGI.

Serce pękło — myśl strzaskana.

GŁOS W GÓRZE.

Będzie Polska — w imie Pana!

TRZECI Z CHÓRU.

O ty jasna — Bogu miła!

Choć mi każda mózgu żyła
Wstydu żary na twarz cedzi,
Rwie mnie spojrzeń twoich siła,
Klękam — klękam do spowiedzi.
Dusza tylko się została
Narodowi, co bez ciała;
Bóg tej Duszy rosnąć każe
Ponad wszystkich klęsk cmentarze;
Jej to straży powierzona
Niw sławiańskich wszech-obrona.
A ja właśnie do niej — do niej
Zawołałem w burz godzinie:
»Patrz, nóż błyska — pieniądz dzwoni,
Od niemieckiej sprośnej broni
Krew twych synów płynie!
Zrzucaj z czoła cierniów wieniec —
Zstąp ty z krzyża, gdzieś męczona,
Stocz się w Cara, stocz, ramiona —
On twój odtąd oblubieniec!
Był ci wiecznym kusicielem,
Był zatracicielem; —
Żebrz, niech będzie dziś — mścicielem!
Konieczności taka droga.
Już czasy łaskawsze
Nie przyjdą od Boga —
Zesamobójcz się na zawsze!
Zatrać myśl twą i jej godła,
Z wiar twych tajemnicą
Rozwiedź się — wietrznico,
Zeschizmatycz się — ty podła!
Całuj, Lubieżnico,
Łańcucy i bicze,
Zwij siostrami pustyń dzicze!
Wszystko snem jest, coś kochała —
Snem twa cnota — cześć — wstyd — chwała; —
Zemsty jedną chwilką
Ukój boleść niewyleczną,
Zemsty żądaj tylko
I giń — śmiercią wieczną!
A być może, iż Traf ziści,

Że z bezedni tego błota
Jakie wznijdą i korzyści,
Polska zdatność a ochota
Górę wezmą. — Będą jeszcze
Z nas po carstwach urzędniki,
Radzcy stanu — pisarczyki —
A u dworu — dworu wieszcze.
Trzeba — trzeba, gdy Los woła,
Z człowieczeństwa wynijść koła,
Z chrystusowej zejść Kalwaryi
Do moskiewskich kancelaryi«...
Miłosierdzia, o Aniele!
Ja upadam — to za wiele —
Niepodobna ciągnąć dalej!
Mózg na węgiel mi się spali.
Daruj — daruj — ja tak szlocham
I tak Polskę moją kocham!
Na tej rzezi bratniej polu
Jam był rozum stracił — z bolu!
Lecz dziś dusza odzyskana —
Świadcz mi sama, o przeczysta,
Żem nie Moskal, panslawista!

GŁOS W GÓRZE.

Będzie Polska w imie Pana!

CZWARTY Z CHÓRU.

I ja płaczę, cudna Pani,
I ja łaknę przebaczenia! —
Ach, nie rozum, w klęsk otchłani
Sercem stracił był — z cierpienia;
Więc człowieka się połową
Stałem tylko — tylko głową.
I ta głowa, sierdząc skronie,
Słów nie swoich brzmiąca echem,
Z pysznym — zimnym — dzikim śmiechem
Tak wrzeszczała w braci gronie:
»Lat tysiąców Fałsz już zbity,
Rozwiązane Wiary Mity:

Wszech-idea wiekuista,
Wszędobecna — wszędojedna,
Lecz siebie bezwiedna,
Lecz bezosobista,
Absolutną matką — Ducha.
I ta wielka — ślepa — głucha,
W kształt się ludzki ubrać chciwa,
Dyalektycznych sprzeczni rojem
Przez naturę wskróś przepływa,
Aż się stanie w łonie mojem
Świadomością i ustrojem.
Ją to niegdyś Bogiem zwano —
Lecz się grubo omylano.
W niej pierwiastne tylko ciemnie,
Co brzmią błędnych czuć szelestem —
Dźwięk dopiero spełny — we mnie!
Ja Bóg bardziej — niż Bóg — jestem;
Jam ostatni kres wszystkiego,
Wszechświat ku mnie tęskni — zbiega,
Jam kwiat dobra — jam kwiat złego,
Jam jest Alfa i Omega.
Lecz mnie jednak na wsze strony
Pierś mej matki opierścienia —
Oczewiście — z niw istnienia
Wracam w byt jej nieskończony. —
Nicość czeka mnie — po zgonie.
Każden człowiek się z kolei
Znów rostapia w wszechidei,
Jak kropelka w morza łonie.
O zaświaty tylko pyta
Filozofia pospolita. —
Takie, bracia, wam odkrycia
Ja od pruskich niosę włości; —
Wiecznej myśli — brak jest życia,
Nam żyjącym — brak wieczności;
Poprzysięgam — choć się zżyma
Serce wasze — niema, niema
Boga ni nieśmiertelności.
Ludzkość tylko się odradza —
W Duchu ludzkim więc Wszechwładza!

Jak Jehowa rządził stary,
Dziś ja rządzę śród stworzenia:
Burzę wiary,
Spuszczam kary,
Na śmierć znaczę pokolenia.
A ze śmierci tych nasienia
Wyższej myśli wstaną ruchy.
Trzeba krwawe pchać ostrogi
W przyszłych wieków gnuśne brzuchy —
Żelaznemi niech kopyty
Roztratują stare byty!
Tak w Historyi jeżdżą Bogi.
Gdyby nie te jazdy,
Postępuby gwiazdy
Nie błysły nad światem —
Czyn mój miłosierny zatem.
Oto prawda rzeczywista
Tak, jakem Heglista.
Zastosować tylko święcie
Nam do Polski to pojęcie!
Kto posiada
Temu biada!
Egoista!
Ja rozumem jemu świecę —
On opiera się Logice —
Ślepota zuchwała!
Lecz upór ten skruszę —
Zrównam wszystkie ciała —
Zrównam wszystkie dusze —
Będzie sławy karta;
Choćby rozwiać gmach w perzynę,
Ja się stwarzam — w Katylinę —
Chcecie? — w Bonaparta —
Chcecie? — to i w Chrysta —
W cobądź... Hej! — ja komunista!«
Tak krzyczałem — tak — o Święta,
Nie bądź — nie bądź mi za sroga!
W myślne Niemców skuty pęta
Ah, wyznaję — jak zwierzęta,
Już nie czułem wokół Boga.

Choć mnie ust twych uśmiech rani,
Nie odwracaj się, o Pani!
O, patrz ku mnie, Światłolita!
Wzrok twój w niebo chwyta.
Wiem już, wiem, wiem: wszech-ubóstwem
Być samemu sobie Bóstwem!
Nie rozślubi żadna siła,
Co myśl Zbawcy ześlubiła. —
Nie my sami wiążem siebie,
Duch nas boży wiąże — bratni.
W nim moc pierwsza — cel ostatni —
Ojcem ojczyzn — Ojciec w niebie —
Królem Dziejów — jeden On;
Ja mych braci tylko brat,
Mnie nie wolno rzucać w świat
Ból i zgon.
Źle Ojczyznę — źle kochałem;
Polska dzielność:
Wierzyć tchnieniem piersi całem
W Nieśmiertelność.
Źle Ojczyznę — źle kochałem!

GŁOS W GÓRZE.

O boleści — o gorycze —
Waśnie — dumy —
Bezrozumy:
O serca stronnicze!
Wina skrusze — darowana;
Będzie Polska w imie Pana!

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

A tych kilku? — patrzaj, Siostro! —
Przemów do nich — przemów ostro!
Nie zgrzeszyli smutku szałem,
Ale hańbą — ale kałem;
Gdy nad matki krwawem ciałem
Kirgizowa jazda tętni,
Oni byli — obojętni!

GŁOS KILKU.

O, my bardzo biedni — marni —
O, my nędzni — szlamazarni,
My bez zbrodni i bez cnoty!
Nam się śniło w śnie ślepoty,
Że Car blizki — Bóg daleki
I że naród śpi na wieki!
Więc już tylko śród niewoli
Do przemysłu — handlu — roli —
Do dróg bitych — do farbiarni,
By utuczyć, co zostało:
To bez Ducha nasze ciało.
O my biedni — szlamazarni!

GŁOS W GÓRZE.

I wam daję pokój Pański,
Pokój święty — chrześcijański.
Lecz słuchajcie — azaż wiecie?
Zanim wynieśmiertelniałam,
Polką żyłam na tym świecie —
Wtedy wami pogardzałam.
I to wraca mi wspomnienie,
Gdy wam głoszę przebaczenie...

CHÓR.

Odrodzeni — świeży — nowi —
Czy męczeństwem — czy żelazem
Wszyscy walczyć my gotowi.
Przebacz wszystkim — równo — razem!

GŁOS W GÓRZE.

Przez was Myśl swą Pan żeźniwi
I będziecie żywi; —
Lecz bądźcie cnotliwi!
Po kryształach — światło boże! —
Sam Wszechmocny kłaść nie może
W pierś nieczystą — wieków zorzę.

CHÓR.

Ah, z rozpaczy nasze błędy!
Nim dokoła rozwiośniały
Nam promienie twojej chwały,
Okolała nas śmierć wszędy.
Prawem władnem ponad nami
Wiek ten uznał — Wszech-bezprawie;
W europejskich państw ustawie
Nam kazano — żyć zbrodniami,
Nam kazano — być szpiegami,
Nam kazano — wydać syna,
Wydać ojca — wydać brata,
Gdy syn — ojciec — brat przeklina
Niechrześciańskość tego świata. —
Kto z nas wyznał świętą Matkę,
Kto Czyn poniósł jej w ofierze,
Ten jak dzikie ścigan zwierze
Od mórz włoskich — po Kamczatkę.
Ah, okrutnie — ah, nieznośno!
W bożej nawet już świątnicy
Imie Polski — rzeczą śprośną!
Tylko imie to rzec głośno
Wolno było — z szubienicy!
Sprzysiężona ludzkość cała
Cześć i życie wziąść nam chciała.

GŁOS W GÓRZE.

Jej zapłaćcie, jak Syn boży
Jej zapłacił przed wiekami:
Za krzyż — wszechdobrodziejstwami!
Niech wasz przykład ją przetworzy!

CHÓR.

Już nam widno — już nam wiedno:
Tak do Polski — jak do Pana
Iść się musi drogą jedną,
Tą, co nigdy nie skalana!

GŁOS W GÓRZE.

Wszechświęty Ojcze, Synu, Duchu — Boże,
Twej łaski, Panie, potrójnej nad niemi!
Niech im zrozumieć w tym dniu dopomoże,
Jak sam ich wiodłeś ścieżki tajemnemi!
Łaski Twej — łaski — miłości Twej, Panie!
Oto już dawnych wyrzekli się kłótni —
Oto już drgają na Twej pieśni granie,
Jak strony różne — a tej samej Lutni.
O, przyśpiesz czasy! Niech przez tych strun dźwięki
Wieku przejściowe zakończą się męki,
By świat ten poznał, że Sąd i Zatrata
Na wieki mieszka w każdej zbrodni świata —
By świat ten poznał, że Twoja Uroda
Zejść i na planet potrafi niziny —
By świat ten poznał, że w końcu nagroda
Uwieńcza tylko poświęcenia Czyny!
Bo, kiedy próba minęła znikoma,
Znów chwale Twojej w Twojej Polszcze doma!
A teraz, Bracie mój dawny, jedyny,
Musisz ty, musisz w nieznane krainy.
Zdawna już twoja wciąż bije godzina,
I moja tylko do nieba przyczyna
Wstrzymuje dotąd ciebie w dnia promieniach.
Lecz już i we mnie mdleje wstrzymań siła;
Mówże więc do nich, com ci objawiła,
Kiedyś mnie ujrzał w pierwszych zgonu cieniach,
A, jako chciałeś, będę ci świadczyła
I pocałunku śmierci na twej głowie
Nie złożę, póki, co było w mem słowie,
Raz im ostatni twój głos nie wypowie!

CHÓR.

Srebrnem go skrzydeł obwiązała kołem,
Wzrok jej gdzieś w górze — lecz rąk jej promienie
Spuszczone k'niemu — i, spływając dołem,
Na skroń mu kładą niebieskie natchnienie.

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Ona mi świadczy — uderzcie w proch czołem!
Ja wam zwiastuję, że Polska nie będzie
Królestwem tylko lub Rzeczpospolitą,
Lecz nad państw świeckich skończenne krawędzie
Prawem miłości, rozlewalnem wszędzie,
Niedzielą wieków, na jaw wydobytą.
Nagle, jak poseł, ukaże się Ona —
I pośród mocarstw spodlonego grona
Przezwą ją ludzie: »Mocarstwem-Aniołem.«
Ja wam zwiastuję, iż Polska kościołem
Będzie na ziemi widomego Czynu.
Przed nią pobledną, potępione społem,
Królów uciski i wściekłości gminu
I będzie — będzie — w tej Polszcze i chwała,
O którą szlachta w dziejach harcowała,
I będzie — będzie — i wolność ludowa,
Ludziom romańskim i germańskim nowa,
Bo krwią rusztowań ni rzezi nie błotna,
A w wyższą dolę codzień wstępniej lotna,
Aż w ruch bezprzerwny; wraz i w spokój wielki,
Rozstrój i rozbrat pobratan już wszelki,
Aż religijnym stało się obrzędem
W Bogu Ojczyzny polskiej sprawowanie —
I Ludzkość poszła natchnień polskich pędem,
Panu się wszystka dała na mieszkanie —
I toć Ludzkości pierwsze Zmartwychwstanie!
A wszystko sprawia to, sprawia — Duch święty,
Duch Chrysta, z nieba nazad w ziemię wzięty,
O którym wasi marzyli ojcowie,
Gdy doń wznosili cochwilne modlitwy,
By się wprzytamniał czy w sejmy, czy w bitwy.
Lecz trud ich przerwan klęskami w połowie,
I do otchłani wy zejść musieliście,
By cel ten wieczny dopełnił się iście.
Duszę tam waszą od ciała rozjęto;
Dusza zapadła w czyscową tęsknicę,
Ciało przez zgonu przeszło tajemnicę,
Lecz Duch żył mocą, światu niepojętą.

I Duch ten wstanie z promienniejszem ciałem. —
Patrzcie tam — patrzcie! Europejskie święto
Zbliża się — zbliża, gromowym nawałem
Spieszą wypadki. — Już na dół się chyli
Złe, co was gniotło; źle ze złem w tej chwili!
Ten, co z serc waszych pasował się wiarą,
Dotknięt już zwątpień i rozpaczy karą;
Na czole jemu ciężka Pana ręka,
Jego się wszczyna — wasza kończy męka.
Przemarni żywot, kto piekła kapłanem:
Pan jeden wielki — Pan jeden jest Panem!
Czy nie słyszycie tych głosów tam w dali?
Wszystkie na Czasu już stworzonej fali
Płyną tu, płyną i krzyczą w podziwie:
»Smierć sama zmarła — a Zabity żywie!«
Zaprawdę, bracia, tęsknijcie cierpliwie!
Źli oszaleją zaślepienia szałem,
Olśną im oczy przed Boga oczyma —
Dziś są — a jutro spojrzycie: ich niema!
O, ja was żegnam — ja was tak kochałem,
A odejść muszę. — Ah, nie będę z wami,
Gdy w on dzień zabrzmi pierś wasza hymnami,
Gdy, to, co judzkie śpiewały proroki,
Zstąpią wam z góry tęczane obłoki,
Spłyną wam w dole miodowe potoki
I starych bolów zrzucicie zewłoki.
— Nie będę z wami... ledwom już na jawie...
Za mgłą mi czarną wy znikli już prawie.
Czy mnie słyszycie? Chciałbym was do łona
Przycisnąć, nim ten kształt mój skona.
Sercem i myślą ja wam błogosławię —
Ja błogosławię wam, ah, całym sobą,
Wolnością Woli i Losem istoty,
Wszystkiemi memi w Wszechświecie żywoty,
Kolei ziemskich przebytą żałobą —
Prochem tych, trumnie przeznaczonych, kości,
Pokutą, którą za grzechy odbędę,
Całą wiecznością mej nieśmiertelności
I niebem — jeźli ja w niebie zasiędę —
Wszystkiem, czem byłem — czem jestem — czem będę,

Wam błogosławię. — O, bądźcie mi czyści,
O, bądźcie święci, a, com rzekł, wam ziści
Sprawiedliwy Bóg! . . . . . .

GŁOS W GÓRZE.

— Już wszystko spełnione.
Za mną, idź za mną, nowonarodzone
Ty Grobu dziecię! W jedną idziem stronę. —

CHÓR.

Coraz wyżej, wyżej w górze,
Jak w dwóch głosów zgodnym wtórze,
Jeszcze nuta brzmi pieśniana....

GŁOSY GDZIEŚCI.

Będzie Polska w imie Pana!

CHÓR.

Jak kapiące dźwięku rosy,
Tają — mdleją — nikną głosy —
Pieśń już ledwo dosłyszana....

GŁOSY GDZIEŚCI.

Będzie Polska w imie Pana!

OSTATNI.

Z gór, gdzie dźwigali strasznych krzyżów brzemie,
Widzieli zdala obiecaną ziemię,
Widzieli światło niebieskich promieni,
Ku którym, w dole, ciągnęło ich plemie —
A sami do tych nie wejdą przestrzeni,
Do godów życia nigdy nie zasiędą
I nawet może — zapomnieni będą!

Bezimienny.

Życiam wiek cały przemarnił w więzieniu,
W nędzy — w chorobie — w ciemności — w milczeniu,
Pamięci ziomków coraz niewidomszy,
Tym, co mnie znali, coraz nieznajomszy,
Od kochających coraz mniej kochany,
Aż teraz pewno całkiem zapomniany!
Za to pod czarnem pogrzeban sklepieniem,
Żem, jak syn światła, niegdyś ziemi śpiewał
I pieśń, jak ziarno, w ludzkie serca wsiewał,
By równem memu odkwitła natchnieniem!

* * *

Byłem ja dumny — lecz dumny z dumnemi;
To nie popłaca na murawach ziemi.
Kto pognębiony — w tego bij — a wygrasz;
Lecz, jeźli pysznie z pychą władzców igrasz,
Jeźli w nich patrzysz, jak w dzikie zwierzęta,
Ponad któremi dan ci wzrok człowieka,
Straszna cię zemsta od tych zwierząt czeka,
I będziesz nosił — ty, człowiek — ich pęta.

* * *

Dni moje pierwsze to u losu wzięły,
Że skorym biegiem prędko przeminęły,
Jak bystre łodzie — jak orły lecące. —
Lecz biedne, biedne — same nie wiedziały,
Dokąd tak lekko i chyżo leciały,
Gdy jeszcze w górze świeciło im słońce,

I każda chwila była wiosny kwiatem,
I człowiek każden — siostrą albo bratem,
I świat, dziś głuchy — młodości mej światem!

* * *

Gdzie jest ten anioł, co groby odwala
Po męki próbach i skonu godzinie,
Gdy ranek trzeci zmartwychwstań nadpłynie?
— On Bogów tylko, nie ludzi, ocala!
Gdzie jest ten drugi anioł, który zdziera
Z bram mamertyńskich śród nocy zawiasy
I święte Pańskie z rąk katów wydziera?
— Lecz ja nie święty — i dziś inne czasy! —
Twardsza dłoń wrogów, niźli śmierć — bo ima
Żywego jeszcze — i w trumnie go trzyma,
Z której dla ducha Zmartwychwstania niema!

* * *

Duch twój albowiem, lotny gość Wszechświata,
On, co wprzód marzył pół-boże koleje,
Śród ścian więzienia tak osierocieje,
Że będzie szukał — ot, w pająku brata
I o dźwięk mowy ludzkiej błagał — kata!
Aż miną chwile — dni — miesiące — lata —
Żadne do ciebie nie zajrzą nadzieje
I duch twój w końcu na nic znikczemnieje.

* * *

Ileż ja razy sam z sobą walczyłem
I mrące myśli tchem woli cuciłem,
By się nie poddać umysłowej śmierci! —
Lecz, gdy raz rozpacz w dno mózgu się wwierci,
Strach, po tym gwoździu jaka krew się leje,
Jak mózg stopniami zsycha i więdnieje!
Serce też — serce do zgonu się skłania —

Nie pęka zaraz — kostnieje powoli,
Aż zbezsilnieją w niem wszystkie kochania —
I z wszystkich bolów ten najbardziej boli! —

* * *

Jak olbrzym, rwałem się za pas z nicością,
Z osamotnieniem — z brakiem życia — z czczością.
Krat się pytałem: »Mówcie, czy nie wiecie,
Co tam się dzieje na żyjących świecie?«
Lampę tę smętną brałem w sine ręce
I długom liczył popiołki jej knota,
By czemś odmiennem rozerwać się w męce.
Nic nie pomogło — jakaś mgła i słota
Codzień mi ciemniej duszę zalewały
I świat, wewnętrzny mój, zagasł mi cały
I samem został — bez natchnień — bez Ducha —
Skuty na zawsze do tego łańcucha,
Który te, wrosłe w kość moją, kajdany
Spaja z tym hakiem, wkutym do tej ściany.

* * *

O, dawniej — dawniej — starce ostrzegali:
»Pójdziesz ty z harfą twą brzmiącą, młodzieńcze,
W głuche przepaści, pod rygle ze stali,
Pieśń twa tam umrze i ty z nią, szaleńcze!
— Ludziom nic dzisiaj po dumkach wolności;
Darmo się zżymasz — im tylko potrzeba
Nienaruszonej handlu spokojności.
U nas mordują takich, jak ty, gości; —
Zginie, kto światu nosi wieści z Nieba.«
— Jam ich nie słuchał lub waśnił się z niemi.
Ha! — ja żyć chciałem, a nie gnić na ziemi!
Więc gnić mi przyszło pod ziemią bez końca.
Światłość mi wzięta, wszystkim jaśniejąca,
I, odczłowieczon, ja spadł tak głęboko,
A Bóg na niebie został tak wysoko,
Że mnie i Boga nie dojrzy już oko.

* * *

Tak — ja w najniższem twierdzy tej więzieniu,
Gdzie wszelkie życie zmiera w znicestwieniu;
Lecz tam nademną piętrzą się sklepienia
W inne, świetlejsze, wolniejsze więzienia.
I w nich szczęśliwsi mieszkają zbrodniarze,
Których łaskawiej rząd cesarski karze,
Boć matkę tylko — lub ojca — lub brata
Zamordowali — więc leksza ich krata!
Wolno im z okien patrzeć w bezmiar świata,
Wolno na wiosnę pić wichry krzepiące,
Gdy nad te śniegi powraca tu słońce,
— Im wszystko wolno — lecz mnie — co innego!
— Jam od nich gorszy, na Chrystusa rany!
— Jam człowiek — Polak — jam Duch zbuntowany,
Więc ze mnie Szatan w tem Państwie Dobrego!

* * *

Prawda, jam wskrzeszał prochy ojców stare,
By miękkie serca twardą pieśnią trumny
Przerzucić z podłej w wyższą życia wiarę!
Prawda, ja byłem szalony i dumny!
Jam się nie rodził synem czasu mego,
Bo wiek mój wiekiem był przejścia i złego.
A w tem złem przejściu osadzić go chcieli
Ci, którzy sądów bożych nie pojęli:
Książęta ziemi i ziemi handlarze! —
I, jak świątynia niegdyś Salomona,
Nim gniew Chrystusa wygnał z niej kramarze,
Cała kupiectwem żydów obluźniona —
Tak za dni moich stał gmach świata stary,
Blizki upadku — pełny win — bez wiary,
A w nim dwa tylko dusz kupieckich stany,
Igrząc, walczyły o prym na przemiany. —
Raz zysku chciwość — to znów wojen trwoga —
— I świat ten cały był Giełdą — bez Boga!
A jako szatan archanielskiej mocy,
Ponad tą Giełdą od lodów północy
Wzrastał już wtedy cień tego olbrzyma,
Który mnie dotąd w tych okowach trzyma.

A oni wszyscy — miasto dziarsko, razem
Uderzyć w wroga ogniem i żelazem,
Z żelaza tylko kuli dróg koleje
I w parach wodnych pokładli nadzieje.
Bo się nie bali ni Boga — ni sromu,
Lecz śmiertelnego pola bitew gromu —
I dobrze było Mieszczanom tym w domu!

* * *

Zostalić oni gdzie bruki, gdzie kramy
I tryumfalne nad targami bramy,
— A ja przepadłem śród moich szkaradnie;
Tak, jak śmierć nagła, wróg mnie pojmał — zdradnie.
— Myślim ostatniej nie zwierzył nikomu;
Ja z kochanymi się nie pożegnałem!
Nocą — bez śladu — cicho — pokryjomu —
Kibitek wściekłym uwieźli mnie cwałem,
I polskie tylko pamiętają gwiazdy
Te pierwsze, tajne, me pośmiertne jazdy!

* * *

U władz bezecnych stawili mnie sądu.
Sąd ze mnie szydził, żem mógł i na chwilę,
Polak bezsilny, zapomnieć o sile
Zgon lub zbawienie dającego rządu!
Więc car wraz z Bogiem na mnie za bezwiarę
Słusznie i święcie zesyłają karę.
I pójdę pieszo — aż za świat — w te lody —
— Rzeczpospolitej wnuk ja i swobody —
Pośród złodziejów skajdanionych trzody!

* * *

I takem poszedł do strasznych guberni
Pośród moskiewskiej podłych zbójców czerni.
A kat — pamiętam — wiódł konia przed rzeszą —
Ni siadł nań kiedy — wciąż szedł, jak my, pieszo. —

Na siodle leżał tylko knut rzemienny,
I kat powtarzał: »Instrument kazienny«
I głowom ludzkim bić kazał pokłony,
Jakby krzyż z siodła sterczał poświęcony.
— Tak mnie to carskiej wszechprzytomni godło
Na wskróś przez państwa bezmiernego strony
Ku północnemu biegunowi wiodło.

* * *

A owi łotrzy, fałszerze, złodzieje,
Wszyscy na lepsze odeszli koleje:
Zdjęto z nich okuć żelaznych pierścienie,
I rozlecieli się na *posilenie!*
Lecz jam się dalej wlókł pustyni błoniem,
Wciąż za tym katem i knutem i koniem,
A gdy na nogach i rękach kajdany
Coraz mi głębsze wyżerały rany,
Bywa czasami, do kata się modlę:
»Daj mi, człowieku, wytchnąć na tem siodle!«
A Moskaj: »Umrzyj, przeklęty Polaku,
Umrzyj, a nie tknij praw cesarskich znaku!«
Bodaj to umrzeć u wstępu męczeństwa!
— Lecz nie umiera się, gdy śmierć zbawieniem.
W dniu szczęścia skonasz — zginiesz w dniu zwycięstwa —
— Niezatracalnyś, gdy żyjesz cierpieniem!

* * *

Ah, gdzie rodzinne majowe obszary?
Gdzie zbóż mych łany — gdzie mych łąk moczary?
Gdzie bory sosen, szumiące nademną
Jakby modlitwą dziwną i tajemną?
Gdzie są skowronków powietrzne gadulstwa?
Gdzie stary kościoł, kędy śpią ojcowie?
Gdzie katolickie litanie pospólstwa?
Gdzie lud, co Maryą królową swą zowie?

* * *

Boże! gdzież jestem? — Boże! cóż się stało?
Toć w duszy mojej jest jeszcze zakątek,
Gdzie nie zagasła gromnica pamiątek?
Coś we mnie jeszcze ludzkiego zostało?
Lat już dwadzieścia — nie wiem — Ty wiesz, Boże! —
Jak martwy padłem na to śmierci łoże!
Wszystko, co było — co jest — i co minie,
W jednej się dla mnie ściemniło godzinie.
Lecz teraz nagle pobladły ciemności
I stróż mój anioł znów ze mną tu gości!
Łzy mi się cisną — dawno nie płakałem —
Dawnom nie marzył i nic nie kochałem.
Daj mi wspominać — daj kochać, aniele!
Co każden człowiek wziął na wieki w dziele,
O to cię proszę: na chwilę znikomą
Duszę mą własną zostaw mi widomą!

* * *

O myśli moje, czy wy dotąd wiecie,
Przed zgonem waszym co już dniało w świecie?
Jakiem przeczuciem pierś ludzkości cała,
Gdyście konały, o biedne — już drżała?
Wszak głos niczyi, a głos brzmiący wszędzie,
Zwiastował ziemi, co na ziemi będzie:
»Ludy przyklękną i króle oniemią,
Znów do poczętych zstąpi Niepoczęty!
Jak krąg błękitu, wiszący nad ziemią,
Nad rodem ludzkim zawiśnie Duch Święty!
Bo z głębi czasów idzie Wyjawiciel,
Obiecan niegdyś idzie Pocieszyciel,
Wszystkich krzywd ludzkich archanielski Mściciel!
I w nim myśl Pańska tak jasno zaświeci,
Że da planecie wiek planety trzeci!«

* * *

Takie już wtedy zewsząd biegły wieści
Po świecie, pełnym gwałtu i boleści;

Z góry je boscy szeptali anieli.
A my, Polacy — my dobrze wiedzieli,
Że tą postacią powtórną Messyasza
Nikt inny, jedno święta Polska nasza; —
Bo z mąk jej krzyża tyle krwi wyciekło,
Że ta krew ziemskie odkupiła piekło!
O, ja tak wierzył, że Duch mego ludu
Po trudach śmierci znów do życia trudu
Już wznosi skrzydła i chwyta miecz cudu!

* * *

Ileż to razy — ach, może zawcześnie! —
Boga przyszłości widziałem ja we śnie!
Bez krwi na ręku i bez krwi na łonie,
Ten sam, a inny, wiekom Chrystus płonie;
Twarz, jako słońce, a bielsze od śniegu
Szaty Go niosą w nadpowietrznym biegu —
I macza w światów wschodzącej jutrzence
Odkrzyżowane — wniebowstępne ręce.

* * *

A zwolna — zwolna — za Człowiekiem-Bogiem
Cudna pięknością i bez śladów zgonu
Idzie ma Polska i staje nad progiem
Obiecanego wszem ludom Syonu!
Oręż Cherubów w jej ręku się pali,
A tam, gdzieś w dole — gdzieś w głębi — gdzieś w dali —
Innych narodów zgromadzone koła —
I głos jej do nich z wyżyn świętych woła:
»O, do mnie — do mnie — wy bratnie plemiona!
Ból już przepada i znika pokusa,
Chrystus mnie wiedzie w głąb bożego łona,
Wy za mną idźcie w królestwo Chrystusa!«
A wtedy z dołu narodów chór śpiewa:
»O trzykroć, trzykroć — jak Bóg — nieszczęśliwa,
Męczarnia nasza przez ciebie z nas zdjęta!
I ty nam trzykroć święta — święta — święta!«

* * *

Ah, pomnę nieraz, w noc jesienną, ciemną
Głos matki zmarłej czy jakiego dziada
Z grobu się zerwie, wzbije się nademną
I przyszłość myślom moim rozpowiada.
A z jego szmerem przed oczyma memi
Snują się tłumem obrazy, widzenia,
Ciągną zwycięzcy wieńcami długiemi,
Słyszę milionów tryumfalne pienia,
Przechodzą białe — świetlane postaci
Sióstr zmartwychwstałych — zmartwychwstałych braci —
I śród nich stąpam i czuję sam siebie
W nieznanem jakiemś, pogrzebowem niebie!

* * *

— A kto wie? — może nad Polski mogiłą
Już się proroctwo snów mych dopełniło? —
Mnie tam, ach, tylko — mnie, trupa, nie było
Śród żywych duchów. — Ha, za temi kraty
W czas — w przestrzeń sięgam — głęboko — daleko,
Wskróś przez te mury, jak przez trumny wieko,
Czuję. — Tam wszędzie gwiazdy, wszędzie kwiaty —
Świat już z wolnością w wieczne pobran swaty.
Nad Alp wierzchołkiem i nad Tatrów szczytem
Jednym się niebo rozpromienia świtem;
Tam ludów zlanych jedno błyszczy morze,
I nad niem świeci Sławian Słowo boże.
Wiem — imię święte mej polskiej Ojczyzny
Dziś już imieniem całej Sławiańszczyzny!
— Tak duch zmartwychwstał z rozbiorów puścizny! —

* * *

Dreszcz w moich piersiach dziwny nieskończenie,
W każdej mi żyle drga, jak luteń drgnienie.
Krew moją słyszę, jakby się już cała
W dźwięk idealny jakiś przedźwięczała.
Lekko mi — lekko — prawie mi bez ciała —
Już mi te ciężkie nie ciężą kajdany —
We mnie — przedemną — jakaś światłość błoga,

Wynieśmiertelniam się z pod ręki wroga —
Ot, lochu mego przejrzystnieją ściany! —

* * *

Wszech mi obecność dana magnetyczna.
Widna mi przestrzeń cała okoliczna,
I widno — jasno — coraz szerzej — dalej! —
Co tych przestworów! — Jak fala po fali,
Tak uciekają. — Precz niebo za niebem
Zwija się — niknie — za chmur tych pogrzebem,
Co tak trumniano się tam w górze ciemi.
Błękit! — Ot, błękit! — Wiosna od zachodu!
Precz za tem piekłem z moskiewskiego lodu
Oto zieloność mojej polskiej ziemi
I tłum tam wielki polskiego narodu!
Powietrze barwne chorągwi tysiącem,
Wieca, zebrana — jak niegdyś — pod słońcem.
Wszyscy tam moi na polach bez końca
Szczęśliwi — złoci — w złotem świetle słońca!
Widzę ich — widzę — dotykam ich wzrokiem —
Zda się — ach, jednym tylko stąpnąć krokiem,
A ręką dotknę! — Nic, nic już nie boli —
Niech się napatrzę — napatrzę do woli!

* * *

Czy sejm się jaki walny rozpoczyna?
Ta cała żywa głów ludzkich równina
Zadrżała jednem, olbrzymiem wzruszeniem,
Jak drżą zbóż fale pod wiatru powieniem.
Nad głów rzędami podnoszą się wszędy
Rąk niezliczone i powiewne rzędy.
Ku tej północnej pokazują stronie —
Ku tej tu, mojej — i od razu — razem
Jakimś w powietrzu skinęły rozkazem
Te stu tysiąców wyciągnięte dłonie.

* * *

O, jakżeż dziarskie te hufce — te konne,
Co się na północ, jak skrzydlatą zgrają,
Od jasnych onych tłumów odrywają!
To jeźdzce moje litewskie — koronne.
Tłum gdzieś zostaje z tyłu — już go niema —
Bezmiar i oni tylko przed oczyma!
O, jakżeż pędzą! — Wciąż, jak błyskawice,
Sądzą przez wzgórza — mijają padoły,
Na północ pędzą — za wszystkie granice.
Zbawienia mego witajcie anioły!
Od bieli lśniecie i od karmazynu —
Skrzą wam z rąk szable, jak pioruny czynu,
I tak lecicie, o wy ptaki boże,
Moskiewskim stepem zwycięsko i dumnie.
— Car ni Czart żaden już dziś nie pomoże!
O ptaki moje, wy lecicie ku mnie!

* * *

Co na tej wielkiej, bezbożnej przestrzeni
Ohydnych świątyń na cześć Cara-Boga!
Co twierdz z krwi ludzkiej, wapna i kamieni!
W ileż to więzień wam się jeży droga!
Widzę, przed każdem stajecie więzieniem
I, zeskakując na chwilę ze siodła,
Straży anielskiem każecie skinieniem,
By was w podziemne te groby powiodła.
— Słychać krzyk życia w umarłych mogile;
— Mar nazad z wami, ah, powraca tyle!
I znów was pędzi dech bożej wszechmocy
Dalej i dalej . . . . .

* * *

Jak chwilki — dni, nocy!
Czy nocą czarną, czy o słońc rozświcie,
Rączo, bez folgi — widzę was — pędzicie.
Dobrze — ah, dobrze — jużeście wlecieli
Ze czarnoziemia do śniegów mych bieli!

Prawdaż? — Widnokrąg świata odmieniony:
Mgła — mróz — śmierć wieczna — same lody — szrony.
Lecz, Bóg mi świadkiem, coś z czoła im tryska,
Co rozpromienia pustyni mgławiska.
A żwawo, moi! — a prędzej! — a do mnie!
Jezu Ty Chryste! — jakżeż jadą gromnie!
Jakżeż im w barwach narodowych pięknie!
Ratuj mnie, Boże, bo mi serce pęknie!

* * *

Wszak gród moskiewski wy ten już widzicie?
Widzą — ah, widzą — skręcili się w biegu —
— Lecą piorunem — do rowów tych brzegu
Wkrótce dopadną na bram tych rozbicie!
Chwili brak jeszcze — jednej chwili mgnienia,
A Polska wejdzie do mego więzienia
Oddać mi, dla Niej stracone, me życie!
O, bądź pochwalon, wiekuisty Boże,
Że też się w końcu i złe skończyć może!
O, ja nie będę umierał w rozpaczy!
O, bądź pochwalon . . . .

* * *

Hej, bracia, co znaczy,
Że tak śród pędu osadzacie konie?
Dzicz, koczującą na pustyni łonie,
Wyście dostrzegli — wy z nią mówić chcecie!
— Ruszajcież z miejsca — krok jeden już przecie!
Z ciemnym tym czasu nie traćcie narodem!
Wyszli mchu trochę uzbierać pod lodem;
O niczem więcej nie słyszeli w świecie.
Czasem i Moskal w ich hordę się wbierze —
Lecz nie ufajcie — gorsze od nich zwierze!
Im się przynajmniej szczerość w sercu plemi. —
Czemuż tak długo mitrężycie z niemi? —
O bracia — bracia! . . . .

* * *

Przez powietrza ciszę
Każde tam słowo wymówione słyszę. —
Pytają moi: »Czy męczą się jacy
W tych murach czarnych skazani Polacy
Za to, że niegdyś im polska ich wiara
Nie dozwoliła uczcić Boga-Cara?«
A głos śród ludu jakiś odpowiada:
»Tu jęczy tylko sprośny mord i zdrada.
Innych tam więźniów niema, jedno tacy,
Co matkę — ojca zabili lub brata.«
Kłamstwo! ah, kłamstwo — nie wierzcie, rodacy!
— I znów głos moich ponad śnieg ten wzlata:
»Nie takich szukać my przyszli w te kraje; —
Polska jest świętą — świętym żywot daje,
Lecz matki, ojca lub brata morderca
Niech tu w moskiewskim dognije pogrzebie —
Bóg może zbawić takiego — lecz w niebie —
Polska na ziemi nie skłoni doń serca!«

* * *

Bracia, o bracia — zaczekajcie chwilę!
Ah, nie ściągajcie tak cugli ze wstrętem,
By gród przekleństwa bocznym minąć skrętem!
O, ja czekałem na was wieków tyle —
Męczarniom wszystkim sprostało me życie!
I pękł nad ziemią hart Moskiewskiej stali,
I wieki przeszły — i wy nadjechali —
I wy tak blizko — a mnie nie słyszycie!
Jam ojca, matki nie zabił — ni brata,
Jam nie kat żaden — jam wróg był Wszechkata!
Patrzcie — ja do was wyciągam ramiona!
Tędy — a do mnie — tu mych lochów strona —
Nie mogę pobiedz do was w mej bezsile —
Ten łańcuch trzyma — stójcie jeszcze chwilę!
Oto sprobuję — zwiędłe ręce moje
Sił mych ostatkiem w żelaza te wpoję —
Będę je targał i kruszył po trosze —
Tylko wy stójcie — na Boga was proszę!

Błagam o chwilę — błagam o pół chwili!
Stójcie! — Ah, biada! — już się w bok zwrócili
I spięli konie; — czy nie posłyszycie?
Obywatele! — ziomki! — dobrodzieje!
Ja tu — tu jestem, pod ziemią — tu skrycie!
Zawróćcie nazad! — Boże, co się dzieje?
Mgłą mi już wszystko — wzrok mój już nie może
Tych ścian przebijać...

* * *

O Boże! O Boże!
Znów tam po śniegu szorują kopyta —
Coraz to ciszej śnieg szumi, lód zgrzyta,
Odgłos tententów głuszeje w oddali —
— Nic już nie słychać — już mnie odjechali!
Wszak ja nie marzę? — ah, czy to być może?
Oni tu byli — oni właśnie byli —
Oni tu byli — i mnie zostawili
Śród ojcobójców — o zmartwychwstań porze!

* * *

Czy mnie słuch zmylił? — Nie koniż to rżenie? —
— Może czas jeszcze — a ja skrępowany!
Ha, czy nie wyrwę cię, haku, ze ściany?
Czy was, ogniwa, nie rozodpierścienię?
Naprzód, wy, piersi — naprzód, wy, ramiona! —
Tak — ot, tak, dobrze — lej się, krwi czerwona!
— Może czas jeszcze! naprzód! — ah, daremno! —
Coraz mi słabiej — w oczach już tak ciemno —
A nikt — nikt w świecie — nikt nie dopomoże!
I znów tak cicho — przestrzeń milczy wściekle,
Wszędzie spokojność w widnokrężnem piekle.
Gdzie wy jesteście? gdzie? — ah, czy być może?
Oni tu byli — moi właśni byli —
Moi tu byli — i mnie zostawili
Śród ojcobójców — o zmartwychwstań porze!

* * *

Wy bracia niby — nieprawda — wy katy!
Wy życia mego mi wzięli ostatki.
— Ah, czy ja ojca albo własnej matki
Nie zamordował gdzie, kiedy, przed laty —
I zapomniałem? — lecz wiedzieli oni —
I zostawili mnie w zatraceń toni?
Nie! — ah, to nie to — co innego jeszcze
Wynajdź, o myśli! — W mózgu gdyby kleszcze —
Gdyby sztylety; — chyba po tych głazach
Tarzać się będę w tych zgrzytnych żelazach —
Sam zgrzytający. — Co się ze mną dzieje?
Wiem — znam — rozumiem — czuję: ja szaleję!

* * *

Gdzież ja znów jestem? — Znów ta lampa tląca,
Znów za tą lampą noc lochów bez końca,
Znów to moskiewskie obrzydliwe łoże,
I nic — nic więcej — a Ty — gdzieś Ty, Boże?
— Nie wiem. — Wiem tylko, że tu głowę złożę; —
Jak pies, sam skończę — gorzej niż pies może.
Za co w wszechświecie mi być wdzięcznym komu?
W cara mieszkałem — umrę w cara domu.
Innej jam w życiu nie doznał opieki! —
Ah, znienawidzam wszystko, w co ufałem!
A już ma wola nie włada mem ciałem
I oczom moim tak ciężą powieki...

* * *

Na dalszą mękę — z tych ziemskich katuszy
Żywej nie pragnę żadnej wynieść duszy.
Miłości niema w świecie — ni za światem. —
Wszędzie szyderstwo, w którą pójdziesz stronę,
Jak nieskończoność, takie nieskończone.
Ni Bóg gdzie ojcem — ni anioł gdzie bratem,
Niebieskie, ziemskie — jeden zawód — włości; —
Ja się wyrzekam mej nieśmiertelności!
Ona ból tylko w ból drugi przemienia —
Mnie dość już złego — mnie dość już cierpienia! —

Ja chcę nicości — bo chcę Wybawienia.
Zapomnij o mnie, o Ty, Sworzycielu!
Z przepiekielnionych lat życia mych wielu
Tę jedną prośbę wznoszę Ci przy zgonie:
Niechaj nie będę tam, gdzie żywot płonie!
Duch mój w wieczności niech bez śladu zginie,
Jak pamięć moja w mej polskiej krainie!
Ah, nawet w Polsce nie będą wiedzieli,
Na jakiej konam śmiertelnej pościeli —
Nie będą nawet, że mi raz ostatni
Ręki nie ścisnął żaden uścisk bratni!

* * *

Polska! co? — Polska! — prawda, zmartwychwstała!
Wszak prawda, Panie? dziś już Polska cała
Już na śmierć w pętach, jak ja tu, nie czeka?
— Daruj więc, Ojcze, rozpaczy człowieka!
Dzikim uniesion bluźniłem ja szałem —
— Przebacz mi, Panie, ja Polskę kochałem —
I Ciebie, Panie, nie siebie — nie siebie —
Ona na ziemi żywa — a Tyś w niebie —
A więc umieram, błogosławiąc Tobie
Na zawsze — wszędzie — przed grobem i w grobie!
Z Twojem i Polski umieram imieniem
Na tych mych ustach, co będą kamieniem
Za chwil już kilka. — Święta Twoja wola!
Święta moskiewska ma długa niewola,
Święta okropność mej samotnej śmierci,
Gdy nie rozdarta już więcej na ćwierci
Ziemia mych ojców!...

* * *

Dzięki, żeś w widzeniu
Oczom ją moim pokazał na jawie; —
Dzięki Ci, Panie, że choć w tem więzieniu
Jam tych oglądał, co służą w jej sprawie; —
Dzięki Ci, Panie! — Otoś mi dał w darze,
Że ludu mego ja zamknę cmętarze.

Polski-m ostatni trup w carskiej pieczarze!
Dzięki Ci, Panie! — ah, sił już tak mało —
Klęknąć nie zdoła styrane to ciało.
W krzyż składam ręce — gdzież już strona nieba?
Tak czarno wszędzie — a po sercu jeszcze
Krząta się — czuję — jakieś tchnienie wieszcze.
Modlić się — modlić — modlić mi się trzeba
O Polskę moją!...

* * *

O Panie! O Panie!
Gdyś męczennicy Twej dał panowanie,
Niech na tej ziemi, po raz pierwszy, ona
Niepokonalne na ziemi — pokona!
Czego nie mogły żadne świata pany,
Szlachta — ni króle — ni lud — ni mieszczany —
Przemienne tylko — a równe — Tyrany,
Skoro tryumfu im błysły mamidła —
Niech ponad czasu, w dół rwące, otchłanie
Wyżej, niż pokus i pych wszystkich sidła,
Wyżej, niż ślepe fal losów igranie
Utrzyma w górze anielskie swe skrzydła!
Daj jej na wieki wszechmiłości siłę!
A jak zdeptała ciemność i mogiłę,
Zwycięży, żyjąc, nietrwanie żywota!
Nie — nie rozsypie się, jak z krwi i błota
Bryły państw wszystkich — bo w niej będzie cnota
I mądrość Twoja — a toć są okręgi
Arcy-zwycięstwa i arcy-potęgi.
Niech u narodów wszystkich się nazywa:
Ta, która szczęściem narodów szczęśliwa,
Więc nieśmiertelnie i władna i żywa! —
Niech lśnią jej czołu sławiańskie korony,
Niech w niej Twój Chrystus będzie uwielbiony
Przez czyn na ziemi — przez królestwo boże!...
— Coraz mi ciszej — toż i śmierć już może —
I owszem, Panie...

* * *

Coś się miga — bieli....
W pierś mi się ulga nieskończenna leje —
Smętne w pamięci tają życia dzieje —
Harfy! — gdzieś harfy! — widzę — ah, anieli!
Harf takich ludzie nigdy nie słyszeli —
O dobrej — dobrej mówią tylko wieści!
Coraz mniej smutku, coraz mniej boleści —
O Polsko! — dusza już moja nie ranna —
Gdzieści odpływa.... Hozanna! — Hozanna!

NIE-BOSKIEJ KOMEDYI

CZĘŚĆ PIERWSZA.

WSTĘP.

(Góry w okolicach Wenecyi — wschód słońca — na skale Aligier i Młodzieniec w stroju myśliwskim.)

MŁODZIENIEC. Patrz, przyjacielu, w jakiej purpurze Bóg dnia się zrywa! — Bodajby tak się rodzić człowiekowi i kiedyś tak ziemi panować! Patrz, jak ta biedna, ostatnia gwiazdeczka umiera! — Mówią, że tkliwe serca tak zwykły konać przed światłem geniuszu. O słońce, bywaj, bywaj! Zajrzyj w te jary, kędy dotąd lęgną się ciemności, i mostami tęcz połącz brzegi tych bladych potoków! — Tak mi świeżo — tak mi dobrze — tak bystro, ostro, tak daleko widzę — czuję, że dzisiaj nie chybię ni razu. — Giemza, co na tamtym wierzchołku mech gryzie, nie dożyje południa — ot, trąbki naszych od góry jodeł się odezwały — chodźmy!

ALIGIER. Ja tu zostanę. —

MŁODZIENIEC. Co tobie dzisiaj? Od kiedy słońce zaszło wczoraj, tyś do mnie nie przemówił słowa. Gdyśmy o północy zaczęli wdzierać się na skałę, w milczeniu stąpałeś stroną przepaści, znakiem ręki tylko ostrzegając mnie o niebezpieczeństwie — a teraz, gdy łowy się rozpoczną, gdy od grania psów zadrżą wszystkie kory sosen i ziemia i skały i Duch w nas — ty się ociągasz, ty nie chcesz być z nami?

ALIGIER. Czy nie wiesz, że o tej godzinie zwykłem modlić się do Pana? —

MŁODZIENIEC. To poczekam.

ALIGIER. Czy nie wiesz, że w samotności zwykłem modlić się do Pana?

MŁODZIENIEC. To powiedz, kiedy chcesz, a wrócę po ciebie!

ALIGIER. Wieczorem zastaniesz mnie na tem samem miejscu.

MŁODZIENIEC. Przez Boga żywego, człowiecze, chodź ze mną, proszę cię, chodź — bez ciebie nie będę umiał celować! — Aż na tamten szczyt nagi dostać się musim — tam kryształy rosną i dzikie zawieszają się kozy — chodź! Strzelcy mówią, że stamtąd świat cały widać.

ALIGIER. I stąd można świat cały zobaczyć.

MŁODZIENIEC. Jak?

ALIGIER. Zamknąwszy oczy i ukorzywszy ducha przed Panem.

MŁODZIENIEC. Znowu zatrąbili — bądź zdrów! Teraz z góry na dół, potem znowu w górę, w górę, aż pod te obłoki. — Aligier, serdecznie mi żal, że nie chcesz iść ze mną.

ALIGIER. Nie podawaj się tak naprzód — czepiaj się gałęzi — widzę przecież — widzę — tylko nie oglądaj się ku mnie — ostrożnie tam, koło wodospadu! —

Już on mnie nie słyszy. — Lotem ptaka leci, jak gdyby nie ciężał do ziemi. — Płocho, wysmukle, niedbale o pierwszej zorzy życia buja dziecię śmiertelne, podobne Duchom, które już nigdy o śmierci nie posłyszą — ale one znają tajemnice życia. Ono i o życiu nic nie wie. — Jak eter, z którego błękity uwite, zrość się może w bryłę ciemną lub w jasne słońce lub w nikłą parę, igraszkę powiewów, tak i ono wszystkiem być może lub niczem — wybranym niebios lub ofiarą piekła.

(Wznosi ręce)

Ojcze niebieski, onych dni zaciemniły się Twoje drogi na tej kuli ziemskiej. — Twarz Twoja zakryła się obłokiem. — Znów Cię ludzie szukają i znaleźć nie mogą. — Ty wschodzisz — Ty wejdziesz. — Czemu oni patrzą w sam środek niebios? czemuż nie na widnokręgi? —

Ojcze niebieski, ta chwila przejścia, to straszny zmierzch oczom, to straszna pokusa myślom, to straszny ból sercom ich! — Jeśli jej nie skrócisz, to wielu z nich poginie.

(Klęka)

Za tym Cię proszę, Panie, któregoś duszę mi powierzył. — Wysłuchaj o niej świadectwa mego! — Ona bezustannie, sama o tem nie wiedząc, ku niebu Twemu się wydziera. Zaród wszelakiej piękności, iskra Twoja, pali się w jej głębiach, tylko że ciało, jako mgła wielka, obeszło ją zewsząd — przez mgłę Duch, którego strzegę, szuka Ciebie.

I nie przejrzał dotąd, że Ty nie tylko wysoko nad nim, nie tylko głęboko pod nim, ale też i wewnątrz niego samego przebywasz. — Daruj mu więc, Panie, że tęskni za Tobą!

I oto smętno mi aż do śmierci, Panie, bo pora jego niewinności przemija — bo serce mu wkrótce rozedrze walka dobrego i złego, jedyna, straszna matka cnoty. Wspomnijże i o mnie, Panie — zmiłuj się nademną, miłując się nad nim.

(Zniża czoło do samej ziemi)

A nie proszę Cię, Ojcze niebieski, byś mu ujął co z trudów życia — wiem, że na wzór wszystkich wygnanych w świat, a przez świat wracających ku Tobie, on próbę fałszu przebyć musi, gdy pokusy wybije godzina. — Stań się wola Twoja — chłostaj go gradem boleści — poniż go śród ludzi — niech mu włożą kajdany na ręce — niech ciało jego wycierpi męczeństwo! — Jedno uskąp mu hańby podłości, jedno zbaw go od nocy wiecznej Ducha! —

A na to dozwól mi, bym go ostrzedz mógł w tej przedostatniej chwili!

— Niech dzisiejsza noc mnie słucha, gdy ją zaklnę Twojem imieniem — niech wyziewy dolin i pary potoków zlecą się do mnie, a ja z nich stworzę wiotkie postaci, natchnę je myślą Snu, który jutrzejszej nie dożyje Zorzy! —

Ale w nim będzie prawda wiekuista Twoja i prawda doczesna tej ziemi.

A ten, którego miłuję, wspomni kiedyś o Wiekuistej Twojej i za to Ty go zbawisz, o Panie!

(Chwila milczenia)

MŁODZIENIEC *(wchodząc)*. Cóż to? — Dotąd na tem samem miejscu, pod tą samą jodłą i dotąd się modlisz? — Daj mi rękę — wstań!

ALIGIER. A ty tak prędko wróciłeś, Henryku?

MŁODZIENIEC. Czy śni się tobie? Wszak porzuciłem cię o wschodzie słońca, a teraz, patrz, ono z tamtej strony nieba za cyple skał się chowa! — Tak prędko! — a od kiedym cię opuścił, trzy razy wzdłuż i wszerz przeszedłem lodnik Hewaldyny, byłem na wierzchołku tych gór i po trzykroć trąbką odzywałem się z parowu — musiałeś mnie słyszeć?

ALIGIER. Prawda — już wieczór!

MŁODZIENIEC. Dzień ci więc przeminął, jako jedna chwila?

ALIGIER. Szczęśliwy, komu tak całe życie mija — znać, on żyje w wieczności! Lecz cóż się z tobą działo? Co ta krew znaczy na twoich piersiach i na rękojeści noża?

MŁODZIENIEC. O małom nie zginął — to nie krew lekkiej giemzy lub niewinnego daniela — słuchaj tylko, a zarazem idźmy drogą naszą, bo strzelców wyprawiłem naprzód i, nim ich dogonimy, noc będzie! —

ALIGIER. Zstępuję za tobą.

MŁODZIENIEC. Otóż słuchaj! — Strzeliłem do dzikiej kozy, spadła z urwiska, potoczyła się aż na samo dno przepaści. Wołam więc moich Tyrolczyków, powiadam, wskazuję, ale żaden nie był, nie widział. — Zatem sam muszę iść do jaru po zgubę. I poszliśmy we trzech, obchodząc daleko, szukając przeprawy, coraz niżej na dół, aż w bory ciemne, wielkie bory sosen. — Czarno tam, a taki szum, jakby się każde drzewo modliło do Boga. — Idziem, a tu coś łamie się po gęstwinie, tuż przed nami, nie dalej, jak na strzał — może sarna, jeleń może — ja do strzelby — patrzę, zapo-

mniałem nabić — sięgam więc po nabój — aż w tej samej chwili niedźwiedź wydobywa się z zarośli — i stanął — i wietrzył — i ujrzał nas. — Moi od razu, razem oba wystrzelą — kule gdzieś po skórze tylko drasnęły niedźwiedzia. — Stanął dęba i, rycząc, sunie ku nam. — Oni krzykną na mnie i pierzchnęli — krzyczą jeszcze i co tchu na blizkiej sosny wdzierają się konary. — Sam jeden zostałem — nie wiem, czemu, bo jakiejże chwały człowiek dorwać się może w boju ze zwierzęciem? nie wiem, czemu, ale wstyd mi było uciekać. — Ojce moi nigdy, czy z łowów, czy z pola bitew, nie uciekali. Dubeltówkęm rzucił — nóż wyrywam z pochwy — a już kudłaty król boru siedzi mi na piersiach — jak człowiek chciał mnie opasać rękoma — pazury w żywe mięso mi ciśnie — natychmiast go pchnąłem w pierś i w pierś go pchnąłem raz drugi. — Za trzecim dopiero się obalił — padłem z nim razem, ale on już leżał podemną, bez ducha. Potem strzelcom w oczy plunąłem i darowałem im skórę zakłutego — na pamiątkę podłości.

ALIGIER. Pan cię obronił — za ocalenie podziękowałżeś Panu?

MŁODZIENIEC. Może nie słowami, ale całem serca czuciem, kiedym się zerwał, otrząsł i, rad, że żyję, wzniósł ręce do nieba.

ALIGIER. Są chwile, w których Pan więcej nie żąda od nas.

MŁODZIENIEC. Dziwna! — anim o tyle nie upadł na siłach — takim rzeźki, jak z rana. — Uważaj, Aligier, jak prędko schodzimy — już mieszkania ludzi niedalekie być muszą, kiedy to dziewczę tędy przechodzi! Hej! dobry wieczór, śliczna! — Czy nie słyszysz? czy się boisz? zatrzymajże się i daj mi konwalie, które trzymasz w dłoni! —

DZIEWCZYNKA *(przechodząc)*. Nie dam ich tobie, ale tamtemu. —

MŁODZIENIEC. A to dlaczego?

DZIEWCZYNKA. Bo całkiem wygląda, jak ten biały aniół, co stoi po prawej stronie Bogarodzicy nad naszym wielkim ołtarzem. — Lecz ty z innych stron

zapewnie, tyś nigdy nie był w kościele naszym, tyś nie widział tego anioła. *(do Aligiera)* Dobry wieczór! — Proszę cię, weź te kwiatki, panie!

ALIGIER. Dzięki ci, dziecię — bądź szczęśliwem, dziecię!

MŁODZIENIEC. A zatem jam brzydki, panienko?

DZIEWCZYNKA. I ty piękny, lecz nie tak, jak anioł.—

(przechodzi)

MŁODZIENIEC. Daj mi połowę tych kwiatów; zachowam je na pamiątkę, że proste dziewczę uczuło to samo, co ja, kiedym pierwszy raz w życiu cię ujrzał! — Prawdę mówi, prawdę — i nie tylko lica twoje urodziwsze, ale i Duch twój wznioślejszy od mego. — Aligier, czy pamiętasz tę pierwszą chwilę naszego spotkania? — ona mi w oczach, gdyby teraźniejsza.—

ALIGIER. I mnie równie, bo o tej chwili stałem się przyjacielem twoim. —

MŁODZIENIEC. Ot, widzę ten stary budynek, w którego salach tysiąc rówieników moich siedzi, a nauczyciele z katedr mówią do nas — widzę te, w węża załamane, wschody — i zakręt ten — i wschód ten sam kamienny, na którym mi się objawiłeś! — Nieprawdaż, harde było ze mnie chłopię, choć niedorosłe i wątłe na siłach. — Szedłem właśnie z domu, przechodziłem wśród nich wszystkich z dumą na czole, świadom, że mnie nienawidzą — lecz czemu, nieświadom. Ścisnęli się kołem i coraz mi ciaśniej — krzyczą: »Panicz, Panicz!« jakby hańbą być miało, że wskazać mogę, gdzie za ojczyznę gardło dał niejeden z Ojców moich i w jakim leży pochowan kościele.— Boże! w piersiach dziecinnych pierwszy raz wtedy piekło się urodziło — poręczy żelaznych się uchwyciłem — oni ciągną mnie na dół za ręce, za nogi, za płaszcza zwoje. Byłbym może pod ich stopy runął, ale tyś się ukazał — schodziłeś z góry taki sam blady, taki sam wysmukły, jak dzisiaj, tylko, że z okiem w płomieniach. Nikt cię nie znał — widywali cię tylko czasem i pamiętali wyraz twego czoła — krzyknąłeś — oni odpadli odemnie, jak liście suche odpadli ode-

mnie. — Daj rękę, Aligier, ja nigdy tej chwili, nigdy nie zapomnę!

ALIGIER. O niej możesz, Henryku, ale słów, którem wtedy wyrzekł, pierwszych słów moich do ciebie, nigdy nie zapomnij!

MŁODZIENIEC. Tak — czuję jeszcze twój uścisk — słyszę jeszcze głos twój: »Oni niesprawiedliwi. — Ty bądź więcej, niż sprawiedliwy — przebacz im w Duchu i kochaj ich w czynach!« — Potem zeszliśmy razem, a tyś, przechodząc wśród nich, spokojnym czasami powtarzał głosem: »Hańba wam!« —

ALIGIER. I od dnia tego nierozdzielni byliśmy. —

MŁODZIENIEC. I będziem do śmierci — bo od dnia tego wiem, żeś wyższy odemnie, i za to kocham ciebie.

ALIGIER. Do śmierci, mówisz?

MŁODZIENIEC. Tak —

ALIGIER. Ja umrę przed tobą! —

MŁODZIENIEC. Nie szpeć takiem uczuciem tej cichej godziny! — Raczej okiem całem pijmy to światło złagodniałe — piersią całą to letnie powietrze, woniami róż dzikich natchnione — patrz, te ostatnie promienie na śniegu gór, ta gwiazda, wschodząca nad szczytem skał, to uśmiech Boga nad nami — a ty ze mną, a ty przy mnie — czegoż więcej nam trzeba?

ALIGIER. Jeszcze raz ci mówię: ja umrę przed tobą. —

MŁODZIENIEC. Niedobryś — przecież już ojciec mi umarł — i matka i siostra śpią w trumnie — i wielu z tych, między któremi wzrosłem, odeszło na wieki — groby ich marzą o mnie w biednej, dalekiej ojczyźnie. — Sam jeden żyję, ostatni z rodu mego — a tybyś miał opuścić mnie także, pójść tam, gdzie lepiej, nie zostać się ze mną? — nie — nie, Aligier!

ALIGIER. Zaród śmierci czuję w tych piersiach — ale czyż żywych tylko umiesz kochać, a umarłych nie? Duch mój wszak nie umrze w tobie, choć postać moja odleci. Z serca do serca przeskrzydla się myśl. — Czegom pragnął, o com się modlił, ty wykonasz — a pragnąłem, byś był mężem śród ludzi — śród duchów niebieskich aniołem. Kiedy już, na te góry, na to niebo, na ten wieczór patrząc, radbyś czas w biegu

zatrzymać i wołasz: »Piękny, piękny!« — Henryku, pomyśl, jakim cudem na tym świecie dusza, na którą patrząc, każden wołać musi: »Ty piękną jesteś!« Braciom twoim daj szczęście takie! Bądź wśród nich arcydziełem!

MŁODZIENIEC. Czy mi ostatnią wolę zapisujesz? — Aligier, daj pokój — nie chcę słuchać tego! — Zwiałeś mi wszelkie przeźrocze z błękitu niebios — zasłona jakaś roztacza mi się przed oczyma — powiedz, gdzie jesteśmy? co to się znaczy? przecież już nam blizko było doliny? Dziś jeszcze, kiedyśmy razem o brzasku tędy przechodzili, krzyż tu na prawo gdzieś widziałem — gdzież się podział?

ALIGIER. Idź za mną! —

MŁODZIENIEC. Alboż znasz lepiej kraj ten odemnie? Ot, wschodzi księżyc, przyjaciel mój — on mi rozwiąże zagadkę. —

ALIGIER. Czekajmy więc!

MŁODZIENIEC. Przez Boga żywego! im więcej światła przybywa, tem bardziej niewidzianą nigdy wydaje mi się okolica. — Niech tylko opadną te wyziewy — tam, tam bieli się droga — nie — to mgły wstęga na łące! — Hej! czy niema tam kogo? Hej! Hola! odezwijcie się! — Wystrzelę — może nas usłyszą.

ALIGIER. Góry usłyszały i odpowiadają.

MŁODZIENIEC. Jaki grzmot echowy! — Czy pojmujesz, jakim my sposobem zabłądzili? — Zdaje się, szliśmy wciąż, jak się należy — wtem jedną razą, czy uważasz? potrojone skały — same niebo się odmieniło — tam morze z chmur jar zalało i, jak niewzruszony lodnik, świeci. Stąd wstają wyziewy, snują się, snują, aż w mózgu się zawraca. — Teraz ciemno, choć oczy wykłuj — ot, znów księżyc górą, a taki jaskrawy, przykry! — Aligier, ja już nie trafię do ładu!

ALIGIER. Czegoż więc czekasz dłużej? — idź za mną!

MŁODZIENIEC. Na lewo, tym ciasnym wąwozem?

ALIGIER. Takie natchnienie moje.

MŁODZIENIEC. Pójdę, gdzie chcesz; szukaj, krąż, wstępuj w górę, schodź w dół, wszystko mi jedno! — Nim zorza zejdzie, musim błądzić wciąż. — Nigdym takiej

nocy nie widział — kto wśród niej mądry będzie, ten albo wilkiem, tych puszcz dziedzicem, albo giemzą, tych skał panią. — Hej! gdzie ty? odezwij się!

ALIGIER. Tu, obok. —

MŁODZIENIEC. Przeklęta mgła buchnęła mi z pod samych stóp, zaćmiła oczy — a teraz sobie w górę płynie, do tamtych sióstr. — Patrzaj, czy to nie stary król na tronie, z berłem w ręku? — za nim zaraz wąż ogromny — nie — smok raczej — nie, już teraz czteroskrzydlny cherubim — a tam, ot tam w przedziale między skałami, widzisz, cały naród cieniów spieszy na sąd ostateczny! — A to co? na czemże się ja tak potknąłem?

ALIGIER. To wywrócone wrota, za któremi stary cmętarz leży.

MŁODZIENIEC. I właśnie księżyc teraz zaświecił, jak blady czyściec dusz nad tym cmętarzem ciał — przed chwilą jeszcze taki rzeźki byłem, lżejszy od powietrza, a w tej chwili tak mi ciężko, tak serdecznie źle — nie wiem czemu i skąd — chyba mnie te stare nieboszczyki urzekły. — Gdybym usiadł na tem kamieniu, zdaje mi się, zasnąłbym.

ALIGIER. Oprzyj się na mnie!

MŁODZIENIEC. Dobrze — bo kleją mi się powieki i chciałbym tu zostać.

ALIGIER. Dalej jeszcze trochę — aż do tej białej kaplicy! —

MŁODZIENIEC. Dobrze — ciszej nam będzie pod dachem, niż na wietrze tym. —

ALIGIER. Czemu więc stajesz? idźże!

MŁODZIENIEC. Boże! czy wzrok mój oszalał od jadu tych wyziewów? albo czy śpię już i śni mi się?

ALIGIER. Co widzisz?

MŁODZIENIEC. Czoło twoje dziwnie zżółkło w tych miesięcznych promieniach — oczy tak ci zapadły — wychudłeś — zdajesz mi się coraz starszy, wyższy — czy to ty?

ALIGIER. Ja, Henryku.

MŁODZIENIEC. Głos twój tylko jeden podobny do ciebie. Teraz marzy mi się, że wieniec laurowy błysnął

koło włosów twoich i krąży i znika i znów się pokazuje — odpędź go — ja się boję ciebie — nie pójdę dalej — sen mnie tłoczy ku ziemi — padnę — daj mi upaść! — Bóg widzi, żem twarz gdzieś podobną oglądał — gdzieś —

ALIGIER. Jeszcze kroków kilka. —

MŁODZIENIEC. Gdzie to było? — gdzie? — a znam ten wieniec, znam ten podziemny ogień w oczach, z innego świata przyniesion! — Taki obraz w sali godowej, w domu ojca, na obiciu w gwiazdy srebrne, na obiciu zielonem, w domu ojca... Tak — i ojciec mawiał, że przed laty człowiek ten zwiedził Piekło i Czyściec i w raju był... Mistrzu, mistrzu, gdzie mnie wiedziesz?

ALIGIER *(wnosząc go do kaplicy)*. Teraz możesz zasnąć.

SEN.

Zdało się młodzieńcowi, że się postać Danta k'niemu odwróciła i rzekła: »Kędy wiekuista Miłość i Rozum i Wola, stamtąd mnie posłano, bym ci pokazał piekło dni teraźniejszych — zbądź więc trwogi wszelkiej i, kędy idę, idź!« — I, jak słup bladawy, uniosła się postać w przestwór ciemny i po mglistych stąpała wyziewach, gdyby po falach nadpowietrznych. — Czasem z pod jej stóp wyrywał się nikły meteor, a stąd i zowąd podnosiły się szare brzaski i przepływały i gasły w oddali; — a duszy młodzieńca stało się bardzo smętno, bo nie wiedziała, dokąd idzie, a szła w nieskończoność i czuła, że w nieskończoność złego.

* * *

Postać zatrzymała się na szczycie góry jakiejś i niby we wnętrza jej zstępować zaczęła, a rozwidniało się stopniami i z obu stron drogi stały kute w skale ściany — przez ciasne strzelnice śniady świt się wdzierał — przy ścianach, na prawo, na lewo, zbrojni w jednakim stroju, wszyscy równi wzrostem, wszyscy jednakowi tym samym liców wyrazem — a ciągłym ruchem to garbią się, to prostują, czyszcząc żelazne lufy, które trzymają w ręku. Postać dotknęła powiek młodzieńca znikomym dłoni powiewem, mówiąc: »Przejrzyj — boć tu zaprawdę wstęp do piekła na ziemi!« — A wnet obaczył dusze onych wszystkich, napół z ciał wychylone, nie mogące ani wstąpić do nich napowrót,

ani też w pełni się oderwać — i, targając się, płakały: »Nam ni żyć, ni umrzeć — gdzie każą, iść musim — przeciw Bogu, a idziemy — przeciw braciom, a idziem — biada nam!« — I płacz ich był nieukojony. — Postać stanęła, pytając: »Mówcie, czem wy i jakie imie wasze?« — Lecz usta onych ciał wszystkich nic nie odpowiedziały. — »Gdzie ojczyzna wasza?« — A oczy onych ciał wszystkich podniosły się w górę, pełne podziwu. — »Gdzie dom wasz?« — a śród ócz tylu niektóre tylko upuściły łzę jakoby mętnego wspomnienia. — Lecz ramiona wszystkie coraz żywiej się ruszały, gładząc wciąż lufy i ostrząc kolce bagnetów — aż z nad niemych ciał odjękły wszystkie dusze razem: »Dziećmi nas jeszcze zagnano w świat — kazali nam zapomnieć o sobie, a drugich zabijać — kto się opierał, ten sam, jak zdrajca, kulą zabity, legł — a teraz nie pamiętamy, skądeśmy wyszły, ni wiemy, gdzie pójdziem.« — A na to im blada postać: »Dawniej, kiedy męże stawali do boju, znali, jakiej sprawie służą i czemu trzeba umierać — oni jako Bogi wojny, a wy jako jej bydlęta.« — I, jednem skinieniem rozerwawszy łańcuch zbrojnych, poszła postać ku wschodom, co się wiły w głąb. —

* * *

Za wieszczem zeszedł młodzieniec w ciemne podziemia — nagle potop światła roztoczy się przed nim, ujrzał mury czarne i kraty i obręcze z łańcuchami, wpojone do murów, i w lampach alabastrowych lubieżne płomienie i jedwabie kobierców na ziemi — i mnóstwo ludzi koło jednego człowieka, który na wyniosłem krześle, biały i wysmukły, jak niewiasta, przewraca kartki księgi czarnej. — Przed nim krzyż marmurowy, olbrzymi, pod same sklepienia — i rozpięty na krzyżu posąg Chrystusa. — Od stóp do głów wzdrygnął się cień Danta i rzekł: »U starych potępieńców nie spotkałem tego świętego znaku. — Oni przynajmniej nie umieli bluźnić Bogu Boga samego imieniem — ale patrz i słuchaj!«

* * *

Przełożony nad mnóstwem schylił się i ciągnął z pod stóp krzyża ciężkie wory złota. — Wszyscy, którzy tam stali, kołem przystąpią do niego — wszyscy wyciągnęli ręce — pot chciwości kapie im z czoła. On, im płacę rozdając, uczy ich, a głos jego piszczący i drgliwy, jak zgrzyt rylca po szklannem zwierciadle: »Gdziekolwiek się wkradniecie, bądźcie uprzejmi i słodcy — w domu starożytnego pana sypcie dumie pochlebstwa — w domu ubogim przymilajcie się nędzy! Gdzie mąż nęka żonę, pocieszajcie ją — gdzie ojciec synom skąpi, pożyczcie im grosza! — Wszędzie, gdzie silniejszy słabszego uciska, bądźcie słabszemu obroną, a wszystkie ich skargi i nadzieje, jak skarb ukryty, staną przed wami otworem! — Jeśli kto ponury i milczący, sami zacznijcie rozpaczać, a krzyk wasz obudzi głos jego! — Jeśli gdzie młodych spotkacie, drżących niecierpliwie do czynu, zwiążcie ich zaraz strasznemi przysięgi — dajcie im pod szaty tajemnicze oręże — bo z ludźmi, jak z kłosem: im pełniejszy, tem prędzej wykruszon! — A pamięć wasza niechaj będzie chciwa, ostra, nieskończona! — Gdy wiatr trąca liście po drzewach, obzierajcie się za tym szumem — szpilkę gdy znajdziecie na drodze, podejmcie ją i przynieście tu — więcej ona warta, niż miecz — bo gdzie miecz leży, tam już nie czas! — Kochajcie dzieci i bawcie się z niemi; — jak motyle na kwiatach, tak na ustach niedorośląt siadają czasem ich rodzin tajemnice. — Wiedza jest darem darów. — Ciała wszystkich w jednem się nie zmieszczą więzieniu, ale głowa jedna zdoła objąć myśli wszystkich i, jak wieczne więzień sklepienie, zawisnąć nad niemi. — Idźcie w świat!« — A owi wszyscy, ciężarni złotem, poznikali, jak mary.

* * *

Z drugiej strony lochu zwinęła się różana makata — drzwi się za nią żelazne roztwarły. — Weszli posługacze, wiodąc pod boki człowieka w łachmanach, który się wyprostował i ryknął, jak zwierzę: »Dajcie jeść, dajcie pić — wczoraj ojciec umarł z głodu — dziś rano

matka skonała — a mnie pali gorączka i ja umrę w nocy!« — Skinął przełożony, a wnet podniosła się naprzeciwko lazurowa makata, za którą błysnął stół, gnący się pod srebrem mis i kryształem czar. — Rzucił się zgłodniały — ale wstrzymali go: »Wprzódy przysiąż nam na wierność!« — »Jeść, jeść, a przysięgnę potem.« — Na to rozśmiał się wysmukły i wskazał na krzyż, a konający padł na kolana przed krzyżem.

* * *

I zdało się młodzieńcowi, że głos przełożonego wzbił się, jak syk węża: »Na Trójcę świętą i na mękę Pańską, co obaczę, co usłyszę, czego się domyślę, donieść tu przyrzekam, choćby jęk brata, choćby siostry westchnienie. — Jeśli co przyjaciele, jeśli co krewni knują, wypowiem — a niech ich gardło pod nóż kata się dostaje! — Gdybym co zataił, niech sam zginę, przybity do deszczek i rwany kleszczami, palon ogniem i pojon trucizną!« — Ale klęczący nie chciał powtórzyć słów onych i padł na ziemię, wołając: »Umieram!« a wysmukły odrzekł mu: »Umieraj!« — i, założywszy ręce, czekał.

* * *

Nastąpiło wielkie milczenie — i zdało się młodzieńcowi, że się sam pyta postaci: »Mistrzu, gdzie są dusze tych ludzi, że nie widzę ich, choć wzrok Duchów od ciebie przejąłem?« A postać: »W sprawiedliwości Boga nie znalazło się dość srogiej kary na nie — zatem, w wiekuistą puszczone pogardę, ztożsamiły się ze swemi ciałami. Im tylko śród wszystkich święty dar żywota odebran i, gdy te ich pierwsze ciała się rozwiążą, ich samych nie będzie już nigdzie.« Wtem podrzucił się zgłodniały w stronę zastawionej biesiady — »Przysięgnę« szepnął, sypiąc skry oczyma, a przełożony podał mu rękę i postawił go znów na kolana. — On zaczął przysięgać. —

* * *

I mara jakoby anioła z zasłoną na czole wyjrzała z przestrzeni, krzyż broniąc kręgiem skrzydeł swoich — i, dopóki trwała przysięga, stał aniół rozpostarty przed krzyżem — lecz go nikt z tych wszystkich widzieć nie mógł. — A gdy skonał ostatni wyraz przysięgi, gdy ciało zgłodniałe, wstawszy, wlokło się dalej, twarz anioła pokryła się wielką śniadością — i zasłonę rozdarł, wołając: »Dusza jedna, Panie, zginęła!« Ten krzyk na wskróś przeszył serce młodzieńca i zdało mu się, że musiał spuścić głowę z nieznośnego bólu.

* * *

Gdy oczy podniósł, wszędzie ciemności — a środkiem ich płynęły blade cmentarze, pełne sterczących rusztowań i kości niepogrzebanych, płynęły jedne za drugiemi, jak nawalne chmury. — Z nad nich wzbijały się jakoby tumany liści jesiennych z szumem żałobnym — pełno tam głosów mieszało się razem, a wszystkie skarzyły na donosicieli — i niewieści szloch i dziecinny płacz i mężów donośny jęk. — A cień Danta rzekł do nich: »Przyjdzie na was czas, niebożęta, i żyć będziecie podwójną wiecznością — waszą własną i tych, którzy was zgubili — bo z nicości, im przeznaczonej, wycofnie się duch i przejdzie do was. — Uciszcie się więc, o nieszczęśliwi!« — A gdy tak mówił, zapłakał sam. —

* * *

I napowrót szedł ku powierzchni ziemi, aż znów wstąpił pomiędzy zbrojne, którzy już stali teraz pod bronią, jak rzędy posągów. — Dźwięk trąb i bębnów odmierzał im spadkami czas i tryb życia. — Jedni odchodzili na spoczynek, drudzy, jak głazy, na ich miejsca się wbijali — inni, wziąwszy na cel leżących na ziemi więźniów, strzegli ich wiecznie z palcem na cynglu, z kolbą w piersiach, z okiem bez ruchu, nie oddychając. — Czasem gdzieś z tyłu, gdzieś po bokach, odzywał się huk rozstrzelania; — a w miarę, jak młodzieniec za wieszczem się posuwał, rozstępywały się ściany,

wykute w skale, coraz szersze chwytając przestrzenie, aż pobiegły każda w stronę swoją, na wschód i na zachód, póki dosiądz zdoła oko.

* * *

Pobiegły — cały przestwór, zda się, ogarnąć chcą — i rosną w szerz i rosną w górę, lgnąc do widnokręgu kamiennem obiciem, sklepieniu niebios podścielając się kamiennem sklepieniem, aż stał się gmach ogromny, jak świat, granitowy, szary, bez błękitów i bez zieloności. — A w tym świecie ujrzał młodzieniec jakoby marę słońca w wielkiem oddaleniu, przybitą do pochyłych gzymsów i świecącą wiecznie ukośnemi promieńmi. — A blask ich wydawał się raczej jak choroba światła, niż jak samo światło; — i w tej śniadości przechadzały się tłumy niezliczone, jakoby narody ziemi — i, jako huk mórz wielkich, gwar ich mowy tłukł w ściany świata tego i rozbijał się.

* * *

Dusza marząca, dusza młodzieńca zapytała: »Mistrzu, gdzie jesteśmy?« A on jej na to: »W świątyni, w której Ludzkość zamieszkała na dzisiaj, ale w której Boga niemasz.« — I wstąpił zaraz między zgrają ludzi, przy wejściu siedzących. — Każden miał przed sobą dołek, własność swoją, długi i głęboki, jak trumna — i nosił na głowie lampę, którą, schyliwszy się, ten ciemny dołek oświecał, wybierając zeń rozmaitych rzemiosł narzędzia. — I każden z nich pracował rękoma, z osłupiałym wzrokiem, jak u obłąkanych; — i ujrzał młodzieniec takich, co trzymali w palcach główkę od szpilki i mieli czoło wyżłobione zmarszczkami, jakby wszystkie lata nad zaokrągleniem główki tej przeżyli. — A ile razy godzina śmierci, bijąca w oddali, odezwała się na tem olbrzymiem sklepieniu, ten i ów tu i owdzie spuszczał głowę i z jękiem w jamę swoją się staczał. — Wtedy ich odwiązane dusze widnemi się stawały — jak modre obłoczki w kształcie kół

zębatych, stęplów, lewarów wznosiły się i płynęły równolegle do ziemi, wszystkie w stronę żółtego, odległego słońca.

* * *

A na widok wieszcza powstali ci ludzie, tłukąc lampy swoje i krzycząc: »Jeśliście Bogi lub czarty, a wszystko nam jedno, o których słyszeliśmy kiedyś, złota dajcie, złota!« I trzęśli się, jak kościotrupy, z wyciągniętemi rękoma. — Zapłoniła się blada postać Danta krwią gniewu i odparła im: »Opętane najemniki!«—a oni poupadali na ziemię, jak martwe bryły przed Duchem.

* * *

I zapłoniła się powtórnie postać, lecz jakoby krwią natchnienia, mówiąc: »Iżali mnie zrozumiecie, gdybym wam o przeszłości prorokował? — Kiedy ciało moje jeszcze z tamtej strony grobu w szczerym blasku słońca szło ku grobowi, byli także naonczas wyrobnicy na ziemi, a chorągwie ich cechów powiewały na krużgankach wież. — Szarłatem i wszelakim kamieniem drogim handlowali po jarmarkach miast — ale miecz tkwił, różaniec wisiał im u boku — ich ręka na wzburzonych falach umiała rudlować, na lądzie sypać niezdobyte szańce. — Srebro brali, a brud srebra zmywali krwią bitew! — Co wy dzisiaj z palcami jak wosk miękkiemi poczniecie, wy, których usta nie zmówiły nigdy pacierza, wy, bez sił na ziemi i bez nadziei w niebo, a łaknący złota?« — A chłopię śliczne, jak anioł, ale zwiędłe przed czasem od pracy rąk, przyczołgało się — i, głowę kładąc na stopach widma, rzekło po cichu: »Zmiłuj się nad nami! Co w dzień zarobim, w wieczór pożywamy — a nazajutrz o świcie znów robić musim. — Nie mamy czasu modlić się do Boga, jedno robić, by zjeść co, a nie umrzeć — i, ledwo co zjadłszy, znów robić, by jeść — zmiłuj się nad nami!« — A widmo stało się śniade, jako ten chłopiec, który mu włosami stopy obcierał i, wzniósłszy oczy w górę, westchnęło: »Przeszłość nie powróci,

dziecię; — módl się o przyszłość do Ojca, który jest w niebiesiech!« A chłopię odeszło, szemrząc: »W niebiesiech — może, ale nie na ziemi.« — Tamci tymczasem zgrzytali, tarzając się w kurzawie. — I cień Danta przeszedł śród nich, jak nawałnica, unosząc się dalej.

* * *

A inne tłumy w środku świata tego stały pochylone nad ogromnym otworem. — Twarze zazierających pływały w łunie czerwonej — grunt naokoło trząsł się od podziemnych huków — i zdało się młodzieńcowi, kiedy się przybliżył, że ujrzał jakoby łoże wyschłego jeziora, ocembrowane zewsząd kręgiem skalistych, prostopadłych ścian. — A od głów ludzkich czarno tam w dole, od głów ludzkich, miotanych, jak fale w burzy — a od węgli palących się krwawe światło tam, od węgli, dymiących, jak żużle wulkanu — i nieustannie wzbijały się stamtąd groźby i przekleństwa.

* * *

Jak matka dziecię przytula do piersi, tak widmo ogarnie młodzieńca rękoma i zleci aż na ciemne dno otworu. — Tam wrą i kipią dzikie postacie — ich lica zarosłe kudłatemi brody — rękawy podkasane, ramiona sine od nabiegłych żył — naprzemian kupią się i rozsypują — czołgają się po ciemnicy, jak żmije, to w blasku ognisk zrywają się, jak męże, gotowi do boju. — Koło najbliższego płomienia dwunastu, rosłych jak olbrzymy, uklękło — do pół ciała zdarli szaty z siebie; — trzynasty przybył z sztyletem w prawej, z czarą w lewej ręce i rzekł: »Poświęcę was« — olbrzymy nabożnie pochylili głowy, a on na ich barkach nagich, kędy odbłysk żarów się płomieni, ryje ostrzem puginału głoski krwawe. — Z nich żaden ni jęknie, ni zadrży. — Słowo »Równość« i słowo »Wolność« na każdego plecach ranami wykwita. — Wieszcz wtedy: »Patrz, jak ten człowiek zbiera w tę czarę krew, kapiącą z ciał braci, zbiera każdą kroplę jej! — Może

myślisz, że on ją zachowa jako świadectwo męki, lub okaże ludowi jako godło zemsty?« — A młodzieniec po cichu: »Mistrzu, czyż inaczej będzie?« — Głos widma rozległ się, jak łoskot podziemny: »Zaprawdę, on tę krew sprzeda kupcom na miejscu i o godzinie targów — przejdź więc i nie patrz na niego!«

* * *

A gdy szli dalej, rzesza jedna czarna wołać zacznie, zataczając się śród węgli gasnących: »Ehej, ehej! Czyż na zawsze ciemny padół mieszkaniem naszem? nigdyż się nie dostaniem na powierzchnię ziemi, do przybytku kupców?« — A druga rzesza, powiewem rąk budząc śpiące żary, przejęła głos pierwszej: »Do świątyni złotego słońca, kędy dostać i słodkich win i smacznej strawy i cienkich szat — do giełdy, kędy człowiek grą zdobywa potęgę, a od kolebki do śmierci rąk ni razu nie kaleczy pracą!« — A trzecia wylała pełne flasze oleju na ogień, krzycząc: »Bądźmy odważni, a wstąpim do giełdy narodów — przecież i u nas znajdą się piersi, jak mur, i kły, jak u drapieżnych lwów; — a długie gwoździe weźmiem z sobą, bo nie mamy szabel!« — Wtedy wszystkie zgraje razem klasnęły w dłonie, rycząc: »Choć opierać się będą inne plemiona, my się wedrzem na te brzegi kamienne. — Raz tylko, raz jeden niech nam losy zdarzą położyć się w raju bogaczy, na ich jedwabnych kobiercach! — Iżaliż lepiej może być w niebie, jako im na ziemi? — Bądźmy więc, jak oni, szczęsnymi przed śmiercią!« — A wtem wstąpił między wołające on człowiek z puginałem i czarą, wiodąc za sobą napiętnowane olbrzymy.

* * *

Mnóstwo przywitało go pijanym wrzaskiem, pytając: »Którego dnia wywiedziesz nas stąd?« — On odparł: »Poczekajcie jeszcze nieco, a przyjdzie godzina!« Olbrzymy podnieśli ręce; słyszano ich kości łom, krew świeża tryśnie im z ran, przysięga zagrzmi z ust: »Za

was zwycięstwo lub zgon!« — I przeciągnęli za wodzem w stronę jaśniejących szubienic, które stały długim rzędem, jedna w drugą gorejącemi kagańcami strojne.

* * *

A pod każdą klęczały chłopięta, po bokach siedzieli prawnicy i biegli w piśmie, ucząc je, jak mają imię naddziadów przeklinać. — Dzieci owe przekleństwa szemrzącym powtarzały chórem — a gdy które ucichło z niemocy lub zapłakało ze wstrętu, przystępowali nauczyciele z biczem w ręku, a ono, zasłaniając się rączętami, ciągnęło dalej. — Jak słup szary, stanął cień Danta przy tym smugu klęczących — i słuchał — potem nagle krzyknął głosem wielkim. — Prawnicy zbledli i zapytali: »Kto przemówił?« — A on na to: »Jeden z tych, którym złorzeczycie, wy, kłamcy, wy, obłudni — wy gorsi, niż podły gad, bo macie wzrost szlachetnych i mowę uczonych!«

* * *

»Patrzcie się w moje umarłe oczy — iżali nie pęknie wam serce ze wstydu? Wiecie-li, co wolność Ducha? Biada wam — wy znacie tylko, co wygoda ciał!« — I przywołał dzieci i rozciągnął ręce nad temi, co w pobliżu się cisnęły, i w stronę tych, co dalekie były, błogosławiąc wszystkim: »Nie wierzcie fałszom — wyście sługi — ale ojce ojców waszych byli wolnymi w prostocie serc swoich! — Wiara w Boga tarczą im była od ucisku ludzi. — Świeżość wiosny rozkwitała w ich duszach — w chacie równin, czy w zamku na szczycie skał oni byli sobą — kochali, kochając, lub walczyli, walcząc. — Dziś, jako świat wielki, tak miłości niema i, jako świat wielki, tak i walki niemasz.«

* * *

I zdało się młodzieńcowi, że jeden z prawników podniósł się i szedł do postaci trzymając dwie lufy

w rękach — a był jednooki, krzyczał: »Równość i mord!« i czapkę miał na bakier, a na niej wyszyte słowo: »Lud.« — Idąc, zataczał się, a gdy stanął, odwiódł kurki i zaczął mowę mieć, przewracając oko samotne i pieniąc sie na ustach. — Lecz postać przerwała mu: »Wrzask twój dźwięk marny, a nie żadna myśl; — nie krzykiem, lecz czynem, nie mordem, lecz nastrojem wszystkich stoi Rzeczpospolita. — Tyś zwierze, a nie Duch — i, zanim przeminie lat dziesięć, ty sam lud twój zdradzisz!« — Oko mówcy zaszło krwią i, truchlejąc, zniżył lufy żelazne, a cień Danta rzekł do młodzieńca: »Przechodząc, plwaj na tę duszę pogardą! Z fal ta najgorzej huczy, co się ma rozbić na piasku; — piersi ludzkie, to fale świata«.

* * *

A tu grunt zaczął niżej zstępować, a światło szubienic przyświecało jeszcze, ale coraz słabiej, aż ukazały się w dole inne gwiazdeczki, sine, niewzruszone, na wzór lamp, czuwających w szpitalu. — Każda z nich nad rogożą zatknięta — na każdej rogoży niewiasta i lud cały niewiast leży, jęczy, wzdycha, płacze. — Gdzieniegdzie ozwie się krzyk ostatni, śmiertelny — i znowu jęk, westchnienie, płacz, przeciągnion w coraz dalsze i głębsze podziemia.

* * *

Jedna z tych zerwała się przed widmem Danta, okręciwszy koło rąk włosy rozpuszczone i targając je; — a młodzieniec ujrzał jej duszę, wplecioną między te włosy, od głowy do rąk i od rąk aż do stóp spływającą z niemi w nieznośnych podrzutach. — »Mów, ty« krzyknęła »ktokolwiek jesteś, i ty drugi, mówcie wy oba, mężczyźni, czemu mnie z powierzchni świata zepchnięto do dołu? — Pókim ciało miała nadobne, chodziłam w promieniach słońca — ludzie dobrzy byli dla mnie. — Gdym zwiędła, jak kwiat, jak najpiękniejszy, wzięli mnie, zrzucili między gnijące, w ciemny

mrok, gdzie płacz i zgrzytanie. — Im, mężczyznom, kiedy zestarzeją, młodzi pieśni pochwalne śpiewają;— nam przede dniem śmierci na wiele dni jeszcze każą kłaść się do trumny. — Prosim się, skarżym się, wołamy. — Oni daleko, oni nie słyszą — potem konać zaczniem — oni jeszcze dalej, oni nie przyjdą nas pożegnać — i tak trzeba umierać.« A gdy mówiła, inne się dźwigały i wstawały, wołając: »Sprawiedliwości, sprawiedliwości!« — A za temi inne jeszcze, tłukąc się w pierś, szlochając, przeklinając — aż strugi łez z ócz ich spłynęły na włosy ich długie i z włosów kapały na ziemię z głuchym szelestem dżdżu jesiennego. — A słabsze lub bardziej znękane, ledwo się podniosły, znów upadały; — inne, tylko klęczeć mogąc, wlokły się na kolanach; — inne, twarz przez pamięć piękności zasłaniając rękoma, szły ku widmu, a z za ich palców ócz tylko dwoje gasnących świeciło.

* * *

Ujrzał wtedy młodzieniec kilku starców w czarnych, długich szatach, z kropielnicą w ręku, rzucających wodę na te wszystkie głowy i śpiewających głosem ponurym. — Jedne z niewiast spuściły czoło i cicho na rogoże pokładną się nazad. — Inne, przykląkłszy, całują tych starców w ręce i szepczą przed nimi nieskończone żale. — Ale ta sama, co pierwsza się zerwała, jeszcze gwałtowniej drąc włosy, krzyknie ku nim: »Tam, na powierzchni świata, mężczyźni już nie słuchają was, ale rzekli wam: Idźcie, bądźcie szpiegami kobiet umierających! Gdy dusze ich od ciał się odrywają, uciszajcie ich skargi! — Gdy klną nas, zamykajcie im usta, bo ich jęki niemiłe nam! Czasem z przepaści gdy wzniosą się razem, psują nam porę biesiady lub godzinę targów. — A wy poszli, zstąpili, przyszli. — Wy nas uczycie, jak cicho umierać. — Otóż ja umrę głośno, wołając: Duszęm miała, duszę mam, a na ziemi ciało mi tylko przyznali! Ty sądź, Boże, Ty, coś mi duszę dał!« — I dusza jej przed oczyma młodzieńca ostatnią konwulsyą wyrwała się z plecionki

jej włosów i poszła ponad lampy w ciemną przestrzeń, jak krwawe płótno, przekłute tysiącami igieł.

* * *

Wieszcz przechodził zadumany, nic nie odpowiadając, jakoby ze wstrętem. — Aż przyszedł do łoża białego, co stało na uboczu w wielkiej odległości od tych wszystkich innych. — Tam paliła się lampa na słupie marmurowym, pod krucyfiksem, i w szacie żałobnej odwrócona klęczała niewiasta. — Cień wieszcza się zatrzymał i, stojąc, milczał, jakoby w smutku głębokim.

* * *

»Mistrzu, kto ona?« zapytał się młodzieniec. — A cień mu na to: »Przed laty jednę tylko kibić podobną tej widziałem, raz na ziemi — a potem raz drugi tam wysoko, tam w niebie. — Gdy twarz obróci, kto ona, poznamy.« — I stał, nie przerywając modlitwy niewieście.

* * *

A młodzieńcowi się zdało, że obok czarnej klęczącej widzi białą klęczącą, zupełnie taką samą, tylko, że miasto długich włosów skrzydła dwa miała anielskie, cicho w krzyż zwite i złożone niżej ramion. — A na tych skrzydłach głębokie rany i w każdej ranie gwóźdź sterczący, tak, że się skrzydła rozwiązać nie mogą. — Po chwili obie te postacie zaszły jedna na drugą — i znów tylko czarna niewiasta klęczy. — Wtedy cień: »Oto skończyła modlitwę, bo jej śnieżna dusza zniknęła« i dodał, jakoby mimowolnie: »Beatryks.«

* * *

Czarna Pani obróciła się i rzekła: »Ta, która to imie nosiła przed laty, nic oprócz raju nie znała na ziemi, bo zgasła w pierwszej wiośnie życia — nic oprócz raju za ziemią, bo niebo zaraz ją wzięło do

siebie. — Ale mnie nikt pierwszej drugą nie zapłacił wiosną. — To nie moje imie!« — I, załamawszy dłonie, stała z twarzą bez krwi, białą, jak alabaster.

* * *

A gdy ją wieszcz zaklął, tak mówić pocznie: »Urodziłam się w ziemi, mlekiem i miodem płynącej, którą zwą dziś ziemią mogił i krzyżów — zwą też i ziemią niedoli. — Tam, w górze, wyście słyszeli o mnie. — Lecz języków tysiąc zatruło i rozszarpało imie moje, zanim doszło do was. — Zrazu zwali mnie rodzice: niewinną, śliczną, szczęśliwą — później nazwano mnie inaczej: niewolnicą!«

* * *

»Bo obyczajem świata mnie dzieckiem jeszcze, mnie bezmiłosną, wydano czy sprzedano za mąż. — O, zapłaczcie nademną i nad temi wszystkiemi siostry mojemi, które, nic jeszcze nie wiedząc ni czując, idą bezwolnie ciało i ducha oddać tym, co wszystko wiedzą i wszystko już czuli — ale którym wiedza nie przyniosła anielskiej jasności, jedno dała chytrość zgrzybiałą szatanów!«

* * *

»Wszystko zniosłam — bo wszystko znieść można na tej smutnej ziemi, prócz jednego uczucia: — pogardy! Kiedy ten sztylet wpadnie pomiędzy dusz dwoje, rękojeścią w sercu jednej, ostrzem w sercu drugiej utopion, jakżeż im dalej iść razem po drodze życia? Im, co już tylko tem jednem, tem śmiertelnem skute są do siebie żelazem? — Jakżeż codzień ten sam chleb łamać, czekając, aż śmierć wreście pobłogosławi, rozdzieli? — Kazałam sobie: nie — a musiałam — prosiłam się Boga, by nie — a musiałam pogardzać!« Tu, umilkłszy, znów stała niewzruszona, z twarzą bez krwi, białą, jak alabaster.

* * *

A gdy ją wieszcz znów zaklął — jęcząc, odrzekła: »Bogu w dzień sądu, Bogu samemu nie odpowiem. — Jedna ja wiem, jedna pamiętam! — Jakby dziś, widzę ten pałac, tę ulicę lip rozwonionych i za gałęźmi słońce zachodzące. — Czuję się pod temi drzewami, przechadzam się, jakby w letargu. — Wszak mówili tych dni wszystkich, że się coś gotuje na ziemi naszej. W powietrzu śród zapachu sianożęci pływało jakieś przeczucie, jak kiedy zaraza ma uderzyć, jak kiedy wielu ludzi ma powstać i walczyć i zginąć! — A mąż mój wysmukły i biały, jak niewiasta, przechadza się także i czeka na coś, na kogoś. Ach, czeka z uśmiechem nigdy niezapomnialnym!«

* * *

»Z różnych stron do ogrodu wsuwają się ludzie — znam i tego i owego i wszystkich — to krewni, przyjaciele, sąsiedzi. — On im ściska dłonie, coś obiecuje, przysięga. — Gdy słońce zaszło, prosi, by odpasali broń i siedli raz ostatni się naradzić. — Każden broń odpasał, usiadł na murawie. — On klasnął, znak dał — do syku węża podobny był gwizd jego. — Żołnierze zewsząd, żołnierze, żołnierze . . .«

* * *

»Nie pytajcie mnie — jam imie tego człowieka nosiła — jam mu była przysięgła na wierność do grobu — ja go wam nie wydam, jak on wrogom braci swoich! . . .«

* * *

»A teraz oto trzecie imie moje na ziemi: zhańbiona. — Wiecież wy, za co, o ludzie? Za to, że rozpacz rozerwała mi serce — a przyszedł dzień, w którym ukochaną zostałam; — za to, że w tym dniu uwierzyłam w Piękność i Dobroć i Rozum na ziemi — za to, żem umarłą podniosła głowę, żem krzyknęła: O, jakże

z trumny dobrze w niebo rość! — za to, żem święcie kochała!« —

* * *

I tu, umilkłszy, znów stała niewzruszona, z twarzą bez krwi, białą, jak alabaster. — A gdy ją wieszcz po raz trzeci zaklął, rzekła cicho: »Chodźcie za mną!« — i, zdjąwszy lampę z pod krucyfiksu, coraz bardziej się oddala od ludu niewiast leżących, wijąc się w jakąś przestrzeń podziemną, w lochy ciasne, a rozdłużające się żywotnie w miarę, jak ona rękę wyciąga i lampę podnosi. —

* * *

Wszędzie te same ściany, płaczące wilgocią — ciągle to samo sklepienie nizkie i duszne. — Szelestu jej stąpań nie słychać — żaden powiew nie igra z jej lampy płomieniem. — Młodzieniec idzie, a coraz mu tęskniej i zwiędlej i słabiej; — nibyto powietrze umyka się zewsząd, odpływa od niego — nibyto ciężar jakiś niewidomy głowę mu przygniata — nibyto w piersiach krew mu już stygnie; — i zdało mu się, że sam krzyknął: »Nie pójdę dalej!« —

* * *

A czarna Pani, obróciwszy się, rzekła, lampę mu nad czołem trzymając: »Jednej godziny nie możesz wytrzymać, ty, z rodu mężczyzn, ty silny i dzielny, tam, gdzie mijają i przeminą wszystkie lata moje — odejdź więc w pokoju!«

* * *

A wieszcz smutno się odezwał: »Gdzież ten, który kochał ciebie?« — Ona, spuszczając oczy, odrzekła: »Tam, gdzie go jego męskie losy zagnały — wyrwał mnie z samotności serca, a zostawił w ducha samotności — kochałam go, a opuścił mnie.« I wskazała na kamień daleki, bielejący śród tych ciemnic, mówiąc: »Tam już dusza moja, w własne skrzydła obwinięta,

pochowana leży — a to *Ja*, na które patrzycie, to tylko ciało, co dotąd nie umiało skonać.« —

* * *

I z wielkiego, smutku padła na kolana, wołając: »Ty, który wiesz, powiedz, czy z nami tak na wieki będzie?« — I pierwszy raz wtedy zapłakała.

* * *

A wieszcz, rękę położywszy jej na czole: »Wyście dotąd były jak lilije boże, co rosną, nic nie wiedząc o własnych barwach i woniach. — Oto idzie dzień, w którym się każda z was na myślącą różę przemieni. Wymkną się struny natchnienia z rąk mężczyzn i przejdą w dłonie wasze. — Oni, do stóp wam pochyleni, błagać was będą o jedną pieśń osłody — o jedno proroctwo nadziei, o jeden obraz piękności — bo ich dola trudów nieznośnych i twardych czynów wtedy dolą będzie. — Lecz wy, zapatrzone w Boga, nie spojrzycie na nich, nie usłuchacie ich płaczu. — Wtedy im serca pękną, jako wam od wieków.« —

* * *

»Wyrzecz jeszcze jedno słowo do mnie!« rzekła czarna Pani, modląc się do wieszcza wzrokiem. — A on: »Tak będzie, aż przyjdzie na was wtórej przemiany godzina — i znów podacie im ręce — i serca ich konające zbawicie miłością — i na zawsze staniecie się jako siostry ich, równe im na ziemi i w niebie«. — A gdy czarna Pani coraz rzewniej płakała, dodał: »Odwołaj duszę, a nie lękaj się — bo gdyby co zaginąć mogło, prędzejby w sądach Pana olsnęła męska gwiazda chwały, niż wyschła na próżno łza nieszczęśliwej.«—

* * *

A gdy klęcząca spokojniejszą się wydała, Cień ją opuścił — i szedł prosto ku grobowi, porywając mło-

dzieńca za sobą — i, gdy grób ten biały mijał, rzekł: »Zaprawdę, ona umrze w tych ciemnościach i tu odpoczywać będzie — bo czas idzie dopiero, lecz nie nadszedł dotąd.« — I, grób ten pobłogosławiwszy, niósł siebie dalej — nazad z głębi w górę. —

* * *

Aż przez otwór przepaści, wysoko, wysoko nad sobą znów ujrzał młodzieniec sklepienie granitowe świata. — W miarę, jak się dobywał z głębi, ono się rozszerzało w śniadem świetle swojem — słychać było stamtąd jakoby huk tysiąca rozkołysanych dzwonów — jakoby odgłos kroków spieszących się, kroków miliona— i stęki kamiennych posadzek pod niemi. — A gdy widmo stanęło u brzegu otworu i znakiem dłoni, jak wirem, przyciągnęło młodzieńca — on obaczył wsystkie narody ziemi, idące ku żółtemu słońcu i pod tem słońcem wystawę olbrzymią, czarną, na której trony jakieś w oddaleniu świecą. —

* * *

Jak gnane wyziewy, jak płynące koryta, jak pędzone trzody, tłumy prą się, rwą, rzucają jedne za drugiemi, wszystkie w tę samą stronę. — Dzwonów niewidzialnych dźwięk brzmi po całej przestrzeni — starce i młodzi, niewiasty i dzieci nadchodzą, przechodzą, mijają, pomieszani razem; — a starce proszą się młodych, by zwolnili kroku, by się zatrzymali na chwilkę, by ich wzięli z sobą. — Tamci ni się odwrócą, ni słuchać chcą — biegną. — I blade dziewice, stanąwszy i płacząc, proszą się braci, proszą się kochanych, by na nie zaczekali. — Oni się nie obejrzą — biegną. — I matki tam z niemowlętami na piersiach mijały, spieszące się — i nagle tu i owdzie dziecko, potrącone w biegu, zapłacze, odwinie rączki, spadnie na posadzkę. — Zewsząd inne następują tłoki — matka żadna się nie zatrzyma ni schyli, ale bieży dalej. — Nad takiem ciałkiem dziecięcia zdeptanem stanął młodzie-

niec, pytając: »Mistrzu, czy to już sądu ostatecznego godzina?« A widmo, twarz zasłaniając rękami: »To tylko godzina sądu kupców — to Giełdy i Targów godzina!«

* * *

I, rzekłszy, poniosło młodzieńca nawskróś przez świata przestrzeń, aż na tamten koniec, gdzie słońce ono i ona wystawa; — i zdało się młodzieńcowi, że stoi zawieszon w równi z tą wystawą, a niżej od słońca tego — i że go jakby skrzydła czyjeś utrzymują w powietrzu — a postać mistrza oblekła się w wielką pogardę i znikła.

* * *

A owo słońce było jakoby ze złota i ze sztucznych płomieni — a wystawa była z marmuru czarnego, wschodami wiodąca aż tam, gdzie górowały trony świecące. — Na nich siedzieli wybrani kupcy z wędrownych pokoleń wschodu, w długich szatach, z siwemi brody, z purpurową przepaską na czole; — a pod ich nogami leżały ogromne wory, pełne brzęczącego kruszcu. —

* * *

I czasem z tych leżących podnożów wyrywały się przerywane głosy, jakoby nalegania, prośby, wyrzuty. — I poznał młodzieniec, że w tych worach dusze kupców, ukryte i spętane, płaczą. — A w miarę, jak się nieszczęsne coraz bardziej skarzyły, wzrastał gniew siedzących — i, gniotąc wory stopami, zagłuszali jęki tych własnych dusz swoich.

* * *

A gdy się biedne uciszały, oni wolnym i chrapliwym głosem zaczynali radzić, wskazując czasem rękoma na odmęt ludów, ciągnący ku nim z stron wszystkich. — A nad idącymi narody wisiały w przestworze ogromy mgieł czarnych, poprzerzynane pasami

rudej jasności; — i przejrzał młodzieniec, że to był kształt wszystkich dusz ludzkich, zgromadzonych razem i lecących zbiorowo nad ludźmi — niby krew ulotniona, niby żużle roztopione, niby żar, dogorywający śród wielkich ciemności.

* * *

Pod tą łuną, jak pod piekłem nadpowietrznem, szły narody, na wzór kry huczącej, na wzór burzy, co grzmi. — Czasem wzbijał się krzyk padających, głuchy stęk duszonych i deptanych. — Jeden z kupców z tronu wstał — skinął — i wnet obok wystawy, na dole, rozsunęły się ogromne głazy, roztwarły się lochy i rzędem z pod nich, niemo, posągowo, powstawać i iść zaczęli żołnierze z bronią w ręku, z bagnetami u luf — i potrójnym szeregiem stanęli z obojej strony wschodów marmurowych.

* * *

Coraz więcej huku, łoskotów, jęków, nawoływań — każden ród, każde plemie, każda zgraja chce się pierwsza przecisnąć. — Ogromy, zbite z tysiąca rąk, głów i piersi przewalają się, zniżają, podnoszą. — To błyśnie krwawem światłem łuna nad niemi, to znów szaro i sino i marnie w powietrzu. — Jak trąby morskie, jak walący potop wód i chmur, już dochodzą do stóp wystawy. — Żołnierze zagrzegotali bronią i broń wymierzyli ku mnóstwom; — na chwilę wielka cisza nastanie — a inny kupiec wstał i zawołał: »Oto się targi rozpoczynają« — i dzwony bijące, raz jeszcze uderzywszy razem, oniemiały w przestrzeni.

* * *

Wtedy kupiec zapytał się ludzi o wypadki dnia zeszłego — a w miarę, jak mu z dołu głosy przełożonych nad ludami książąt i mędrców odpowiadały, donosząc o waśniach i rzeziach, o odkryciach i wyna-

lazkach, stojący za nim wspólnicy radzili i układali się — i znów wielka cisza nastała. — Słychać tylko szept głosów kupieckich w granitowym świecie. — Łuna nadpowietrzna zbladła, wszystkie dusze ludzi razem pobladły od oczekiwania.

* * *

A po chwilach kilku kupiec mówca ogłosił, o ile się podniosły jedne, a zniżyły drugie ceny na ziemi.— Wtedy z mnóstwa nie oddychającego wzniesie się nawałnica poklasków i złorzeczeń, krzyku i płaczu. — Jedne zgraje wołają: »Z głodu pomrzemy!« — a drugie: »Niech żyją kupcy wszechmożni!« — Jedne pląsają, wrzeszcząc: »My wygrali! wygrali!« — a inne: »O kupcy, o Bogi nasze, zmiłujcie się nad nami!« — I znów zaczęły się swarzyć i bić i mordować — znów jedne ciała poszły w dół, a drugie w górę, deptając po tamtych.

* * *

Trupów wiele ujrzał młodzieniec, stratowanych przed wystawą; — a po trupach, porządkiem przechodząc, zaczęli żyjący wstępować na marmurowe wschody. — Pierwsi szli książęta z berłem w ręku, z mieczem u boku, otoczeni wielkimi urzędnikami narodów. — Sklepienie z żołnierskich bagnetów wzniosło się nad ich głowami i strzegło ich od stóp wystawy po pół olbrzymich wschodów; — a tam kupcy zstąpili ku nim i, ścisnąwszy im ręce, wiedli ich wyżej.

* * *

Za nimi wstępować zaczęli wszyscy przemyślni świata — rękodzielniki i wyrobniki — lichwiarze i kramarze; — jedni nieśli towary, drudzy wory spore, inni jeszcze powiewne papierów zapisanych zwoje. — W miarę, jak dochodzili połowy wschodów, musieli stawać, a grzmiący głos z góry pytał się o imie każdego z nich. — Oni odpowiadali nazwą rzemiosła lub towaru,

lub rękodzielni, albolitеż liczbą jaką — bo własnego, ludzkiego imienia żaden już nie miał na świecie.

* * *

A za nimi, z morza czarnego ludów, oto wydobył się orszak zgarbionych i smętnych, trzymający w ręku, dźwigający na plecach dawne jakieś miecze, kolczugi i hełmy. — W tej samej chwili młodzieniec usłyszał w powietrzu: »Patrz na starej szlachty ostatnich potomków!« — I, obejrzawszy się, ujrzał znów widmo za sobą.

* * *

Orszak wstępował po wschodach czarnych, aż doszedł ich połowy i tam na szerokim stopniu marmurowym zasiadł. — Każden z tych ludzi wtedy zacznie nożem i młotem pracować koło zbroi, którą przyniósł — tłuc ją, rozrywać i łamać. — A widmo: »Patrz, jak wybierają damasceńskie złoto i perskie turkusy z ojcowskich tarcz — jak zamierzchłe dyamenty oddzierają od buzdyganów i szabel — by ślad ostatni starożytnej chwały ponieść kupcom na sprzedaż!« — A gdy tak skarzył cień Danta, oni odłamki rozbitych zbroic rzucali na dół — i powstał chrzęst wielki tylu hełmów, pancerzy i kordów, zlatujących po marmurze i roztrącających się.

* * *

A syny dzielnych wstały i szły wyżej, trzymając ku kupcom wyciągnięte dłonie, pełne proszku złotego i błyszczących klejnotów — a idąc, prosili się głosem uniżonym, by mogli wstąpić między książęta i handlarze. — Dano znak z góry, że wolno im — wtedy podziękują i, wzniosłszy głos, zaczną się targować o cenę kosztowności onych. — Ścięły się usta Danta i plusnęła z nich krew, a głosem grobowym zawołał: »Piekło dawnych ludzi nie bolało mnie tyle!«

* * *

I położył dłoń niedotkliwą na głowie młodzieńca, mówiąc: »Pamiętaj!« ... Ale w tej samej chwili zdał się znowu znikać i stopił się z przezroczem przestrzeni — i nie było go. —

* * *

Od środka świata, z podziemiów przepaści, wzbił się teraz posępny, wściekły wrzask, który przeleciał ponad głowy narodom i rozbił się o wystawę. — Książęta i urzędniki na chwilę pobledli — ale kupcom twarz się nie odmieni — rozśmieli się tylko, głaszcząc brody siwe.

* * *

Szły stamtąd olbrzymie postaci samym środkiem mnóstwa czarnego — szły na przebój i coraz bardziej rosły w oczach młodzieńca, aż poznał owych dwunastu poświęconych i ich wodza, trzynastego, który ich prowadził, sztylet w prawicy trzymając, a w lewicy czarę. —

* * *

A gdy zbliżał się do wystawy, twarz jego ponad głowami innych ludzi zdała się pryskać iskrami, nabiegać potęgą. — Przywiódł swoich aż na pierwszy wschód — tam kazał im posiąść i czekać. — Sam, nie pytając o żadne pozwolenie, a ręką odginając bagnety żołnierzy, wstąpił i w górę szedł — ogromny, niewstrzymany, potrząsając grzywą włosów, jak lew.

* * *

A jeden z kupców zeszedł k'niemu i wprowadził go aż na sam szczyt wystawy, w środek koła radnego. — W tej chwili zdało się młodzieńcowi, że nagle oczy olbrzyma pozbyły iskier i że gniew czoła jego mięknieje. — Jednak, stanąwszy śród kupców, krzyknął głosem, podobnym do grzmotu: »Od sponiewieranych, uciśnionych i nędznych raz ostatni przynoszę wam

pozew; — równy podział wszystkim, albo zgon wam!« — I głosowi temu odklasnęły zostawione na dole męczenniki — i głosowi temu wtórowały zgraje niektóre — i głosowi temu w oddali odkrzyknęła przepaść.

* * *

Olbrzym schylił się i obosieczny puginał rzucił na posadzkę — potem jeszcze niżej się garbił i spuszczał, aż czoło jego zniknęło z oczu narodów — i tak przełamany siadł na jednym z tronów kupieckich i cichym głosem zapytał: »Mówcie prędko — za tę czarę krwi wiele dajecie dzisiaj?« —

* * *

A gdy mu kupcy oznajmili cenę, którą byli naznaczyli, on odparł: »Nie dosyć za tę krew dzisiaj. — Alboż wy wiecie, co się dzieje w przepaści? Alboż wy śmieli kiedy zstąpić do niej? — Teraz tam zgromadzeni wyją i czekają na powrót mój, piersi sobie kalecząc i rwąc włosy z wściekłości. — Dziś, po tylu już zawodach znów zawiedzeni, może się zbuntują. — może już nie pochlebstwem, nie wymową, nie obiecankami, ale tym puginałem będę musiał ich spokoić — A wy się tu ze mną targujecie! O kupcy i pany ziemi, czyż błogi ciąg dni waszych nie wart trochy więcej złota?« — Kupcy mu na to: »Alboż nie codzień to samo nam mówisz? jednak, byś nie narzekał, krwi, którąś przyniósł, podwyższamy cenę.« — I, radząc między sobą, ofiarowali mu więcej. — Lecz on znów odparł: »Nie dosyć mi za tę krew dzisiaj!« — i, wznosząc czarę do góry, udał, że chce wstawać z tronu. —

* * *

Wtedy jeden z kupców z przepaski purpurowej na czole odpiął ogromny dyament i rzekł: »To gwóźdź z krzyża na Golgocie, co się tak przekrysztalił tej nocy, w której Bóg wasz skonał. — Nazajutrz zaraz z rana

prapradziad mój oderwał go z drzewa. — Odtąd chowamy go w rodzie naszym. Mów, czy ci dość tego dyamentu za krew twoich braci dzisiaj?« —

* * *

Olbrzym spojrzał — i wnet zniżył czarę — i krew z niej całą wylał na czarny marmur przed stopy kupcom, mówiąc: »Gwóźdź moim.« Żyd rzucił mu dyament do próżnej czary, która w jękliwy oddzwoniła dźwięk.

* * *

I porwał się wódz poświęconych i brał się nazad ku narodom świata. — Zstępując, złorzeczył i groził, aż przybył do swoich, którzy się podnieśli, pytając: »A co? kiedyż?« On dumnym głosem im odparł: »Wy tylko za mną idźcie teraz — dziś nie czas jeszcze — lecz przyjdzie godzina!« — I, pociągnąwszy ich za sobą, przerzynał się przez mnóstwo w stronę przepaści. —

* * *

Wtedy kupiec mówca oznajmił narodom, że wielki pokój i wszelka bezpieczność na ziemi — że każdemu godzi się wejść i zejść, handlować sprzedażą i kupnem. --- Na tronach w górze zasiedli wszyscy kupcy i wszyscy książęta — u stóp ich orszak szlachty pokładł się na marmurze — głowy oparli o brzęczące wory, z których dusze kupieckie jęczały — w garściach ścisnęli zdarte ze zbroic klejnoty — i tak leżeli niewzruszeni, bezbronni, ze zmarszczonemi brwiami, z dużą łzą w oku. A ludzie wszelacy tłoczyli się wschodami nieustannie to w górę, to na dół, jak dwa nurty przeciwpłynne — i powstał gwar waśniących się i godzących się; — a na dole mnóstwo, hucząc, sprzedawało i kupowało także. —

* * *

A były tam zgraje ponure i wołające, że chleb dzisiaj na zawsze straciły — ale nikt ich nie słuchał. — Stały tam całkie rzędy ludzi, jakoby chorych i trzęsących się od zimna, a żebrzących — ale nikt na nie nie spojrzał. — Leżały tam gdzieniegdzie ciała stratowane, ustami jeszcze ruszające i szemrzące: »Ratunku!« — ale nikt im ręki nie podał. —

* * *

A gdy tak działo się na ziemi, owa łuna dusz wszystkich, pluskając krwawemi połyski, coraz bardziej w przestrzeniach siniała. — Nakształt serc, co jedne po drugich pękają, gasły i przepadały wszystkie jej ogniska, światełka, promienie. — Wreszcie, czepiając się gzymsów granitowych, czarną kopułą dymu zawisła nad gmachu ścianami — i słońce ono żółte od niej się zaćmiło — i gmach ten niezmierny zczerniał widnokrężnie od postaw swych po szczyty swoje. — Kupcy tylko jedni na tronach śród tej nocy błyszczą. — I świat był jako Giełda jedna, ciemna — a oni jako króle świata.

* * *

I wszystkie te obrazy, zachodząc jedne na drugie, mieszać się i psuć zaczęły przed okiem młodzieńca. — Z mgły coraz posępniejszej i gęstszej znów wyjrzało widmo z twarzą smętną, lecz pełną pokoju — i młodzieniec usłyszał: »Odwróć się od tego piekła podłych!« — i chłód orzeźwiający, jakby powiew nocnego wiatru, z tym głosem Danta przemknął mu po skroniach.

* * *

Widmo ujęło go za rękę i poszło przodem — i szło po chmurach jakichsiś białych i cichych, śród zapachu niewidzialnego ziela. — Szafir nieba tu i owdzie się wynurzał — gwiazdki jakieś migały w oddali — aż znów jęk wielki przybiegł z za tych chmur i rozległ się po nich i skonał; — a ledwo skonał, drugi się

podniósł — i trzeci — i czwarty. — A srebrne chmury się rozsuwały, jak stado potrwożonych łabędzi.

* * *

I zdało się młodzieńcowi, że na jednej z nich został wraz z wieszczem — i że stamtąd, jak z wyniosłego ganku, patrzy na szeroką równinę i szczerych błękitów krąg, którym pełnia księżycowa przyświeca. — I zdawało mu się, że przed sobą, na polach onych, widzi wszędzie jakoby las z samych chudych i wysokich drzew — niby to sosny, a dziwnie obcięte — każda o dwóch konarach tylko i każda na osobnej mogile — a jęki nie ustawały — owszem, częściej zaczęły powracać — a każden z nich trząsł powietrzem, jak grzmot — jakby tysiąców ludzi, cierpiących razem, przedśmiertny, słysznokrężny krzyk. — Cień zapytał się: »Czy widzisz czyściec dni teraźniejszych?« — Młodzieniec na to: »Prócz niebios tych i boru tego nie widzę nic.« — Wtedy wieszcz, wznosząc powoli ręce: »Powtórny widzeń dar przejąć musisz odemnie, bo wzrokiem, którym przenikałeś podłych, ujrzeć nie możesz szlachetnych. — Lecz wprzód, coć powiem, wysłuchaj uważnie!« —

* * *

»Śmierci niema — są tylko straszne marzenia o niej. — Pan nigdy i nigdzie jej nie pomyślał, bo wszędzie i zawsze sam żyje. — Własnem znikczemnieniem tylko zadać sobie można wiekuisty zgon; — a kto umrze tak, temu życia ni grobu już niemasz — spodlił się do nicości i znicestwiał przez podłość. — Chyba po milionach lat coś rozbudzi się z niego. — Taki nie oczyszcza się ni zmartwychwstaje. — Lecz, kto odżyć ma, ten przemienić się musi; — każde przemienienie, do czasu nosi pozór śmierci. — Oto próba grobu!« —

* * *

»A w niej pełno szyderstwa i łez i bolu i złudzeń. — Osobniki i całkie plemiona i ludzkość i światy muszą ją wytrzymać — każdy nieśmiertelny musi się jej dotknąć. — Kto jej nie zniósł, ten zginął na zawsze.— Bądźże lwiego serca teraz, bo tych złudzeń kształty oto się rozwiodą przed tobą!« I, dłoń przykładając mu do powiek, tchnął na nie. —

* * *

I zdało się młodzieńcowi, że z każdej sosny boru tego wytryska przed nim postać ukrzyżowanego męża. — Ujrzał mnóstwo ciał, w powietrzu rozpiętych, krwawych, drgających; — coraz ich więcej i więcej. — W widmowem świetle księżyca tłumy ich za tłumami występują tu i tam i ówdzie i dalej jeszcze i dalej, jedne obok drugich, jedne za drugiemi aż pod sam widnokrąg się ciągną — cała przestrzeń żywa, głośna, konająca niemi. — I poznał młodzieniec, że to naród cały w chrystusowej męce rozwieszon nad własną ziemią swą — i łzy zalały mu wzrok. —

* * *

A Cień wtedy: »Nie odwracaj się, ale patrz, choć wstrętno ci! — By zwyciężyć ból, w ból wwiedzieć się trzeba. — Uważaj: w tym lesie niezmiernym pracą umyślną, potężną każda sosna odgałęźniona i przeciosana w krzyż! — Uważaj: każda podparta mogiłą z gruzu — a gruz ten, to żywych niegdyś kościołów i zamków dziś sucha kość! — I uważaj jeszcze: wszędzie między mogiłami jednakie odstępy — krzewów ni darni nigdzie! — Jak skały przebudowują w miasto, bory te przebudowano w jeden cmętarz mąk. — Doskonały kat tylko tak odmierza ból, tak porządkuje śmierć.«

* * *

I spojrzał znów młodzieniec i zdało mu się, że widzi po tych wszystkich mogiłach jakoby wstęgi mgły,

miesiącem osrebrzonej — a choć wiatru żadnego niema, to podnoszą się, to zniżają naprzemian, jakby cierpiące także i bezspokojne. — I poznał młodzieniec, że to szeregi niewiast i dzieci, w białych szatach pod krzyżami stojące. — I widać było ręce ich, wyciągnięte ku wierzchołkom drzew, gdyby mnóstwo skrzydeł bladych, chcących, a nie mogących wzlecić — i z niemocy opadały na dół — a wtedy wszczynała się drżąca, modlitwiana pieśń, którą pochłaniał płacz.

* * *

A krew kapie i kapie z góry na te tłumy śnieżne — i przelewa się przez nie — i ścieka pomiędzy mogiły; — a stamtąd słychać jakoby strumieni wzbierających szum. — I znów zdało się młodzieńcowi, że go Widmo upomina: »Nie odwracaj się od tych topniejących mnóstw i od tych czerwonych potoków! — Teraz idzie na wszystkie ukrzyżowane śmiertelny, przepływny dreszcz — skonać nie mogą, ale muszą konać tak, a ty widzieć to. — Rozkazujęć, patrz!«

* * *

A nim jeszcze spojrzał, już usłyszał jęk z tysiąca tysięcy krzyków, rozgrzmiewający się — i wszystkie drzewa od kończyn równiny zaskrzypiały — i wicher powstał od tylu głosów rozdzierających i wiał tu i tam. — Wszystkie ciała, jakby jednym bolu podrzutem schwycone, trzęsą się i szarpią, każde na krzyżu swym — i, jak po piorunie letni deszcz, tak wszędzie krwi gęstsze puściły się strugi. — I zwolna przemija ta burza mąk — stopniami umilka równina — znów na wszystkich krzyżach niewzruszenie, porządnie — wszędzie cicho znów — krwi tylko słychać nieustanny spad.

* * *

I oto przez powietrze przeleciał śmiech, rozrzynający je. — I spojrzał młodzieniec w stronę śmiechu

tego, pod sobą zaraz; — a tam na czystem polu, przed pierwszym rzędem krzyżów, czernieje kopiec wysoki z samych rozwalin i węgli, jakby ostatek miasta po wielkim pożarze — a z warstw popiołu wyzierają szczątki dział i połamana broń — i snuje się dym siny, opasujący stojącego na tych zgliszczach olbrzyma.

* * *

I w tej chwili promień księżyca wpłynął nań. — Znać koronę ze stali, jakby plecioną z łańcuchów — znać płaszcz żołnierski, kajdanami podpasan, tylko, że zamiast miecza bicz rzemienny wisi u kajdan tych i aż do stóp mocarza spływa. — A gdy jęk ukrzyżowanych się odezwie, on głowę wytęża, przysłuchuje się; — a gdy zabrzmi niewieści szloch, on odpowiada nań dłoni poklaskiem. — A cień Danta rzekł: »Doskonały kat! Słuchaj teraz, on ich kusić zacznie!« —

* * *

I zdało się młodzieńcowi, że przechylił się z nad kopca ukoronowany olbrzym i że rękę wyciągnął ku umęczonym mnóstwom, a drugą trzymał na pasie z kajdan i na biczu, jakby na orężu jakim — i wołał: »Wyrzeczcie się przeszłości i przyszłości, ojczyzny i Boga — uznajcie mnie przeszłością i przyszłością, ojczyzną i Bogiem — a, jakom kazał was powbijać na krzyż, tak każę z krzyża zdjąć! — Tłuszcze me przywołam i zdejmą — i naród szczęsny uczynię z was. — Dam jadła i napoju i wszelkiej obfitości moc. — Będą jeszcze ciała zdrowe, świeże, tyjące z waszych nędznych, podziurawionych ciał.«

* * *

Ale tłumy ukrzyżowane nie odpowiadały nic — zwykłym nawet nie skarzą się jękiem — krwi tylko wystąpił aż poza pierwsze krzyże szeroki prąd — i, jak bałwan morski w brzeg, uderzyła w kopiec,

a w bryzgu tym usłyszał młodzieniec jakoby słowo: *nie*. — I śnieżne tłumy niewieście nie odpowiedziały nic — tylko, gdy fala od kopca wracała, schyliły się i zerwały z ziemi dzieciątka swe — a całe rzędy dzieci onych, trzymanych w powietrzu, krzyknęły: *nie!* — A ledwo rozległ się ten tysiączny drobnych głosów szmer, wielka się jasność rozleje w przestrzeni — i młodzieniec oczy w górę wzniósł. —

* * *

A tam wysoko, wysoko, na samym szczycie nocnych błękitów, zdawało się, że z ponadniebnych głębi zstępują dwie drogi mleczne, przecinające się z sobą w jeden ogromny, jasno-biały krzyż — i na krzyżu tym widać było rozwieszoną postać, w coraz dolniejsze spływającą przestrzenie, z rozpostartemi nad światem ramiony, których łuk się rozszerzał i olbrzymiał co chwila. — I ujrzał młodzieniec na tem czole nadniebnem koronę cierniową, jakoby z palących się a cichych piorunów — i na tych dłoniach i na stopach tych ujrzał jakoby ran trzy, błyszczących jak trzy czerwone księżyce — i nieustannie z nich lały się jakoby tęcze krwi — i każda tęcza taka, spadając, przekraplała się na roje gwiazd, które rozsypywały się i świeciły po niebie. — I tak w chwale i krwi, ukrzyżowana i stwarzająca, coraz to niżej i niżej spuszczała się postać, rozsłoneczniając przestwory pod sobą — aż z dróg mlecznych, które ją niosły, stały się jak dwie bezmierne obręcze ze srebra, od wschodu na zachód i od południa na północ okuwające widnokrąg — aż z krwi płynącej stało się milion gwiazd, jakoby welon gwiazd, który przesłonił jej kształty. — I wzrok ócz jej tylko przebijał, jak dwie żywe błyskawice, które nie rozchodziły się na wszechświat, ale szły prosto na dół od nieba do ziemi i padały w pełni na ukrzyżowanych las. —

* * *

I w tem spojrzeniu bożem wystąpiły te wszystkie ciała blade i zbroczone i wszystkie te głowy, jakby trupie już, ze zgasłemi oczyma. — I zdało się młodzieńcowi, że widzi naród cały zamordowany, pływający w morzu niebieskiej jasności — i zawołał: »Za późno, za późno!« —

* * *

Wtedy cień Danta, przyklękły na chmurze, wstał i rzekł: »Zaprawdę, zaprawdę, tu czyściec dni teraźniejszych, bo wszelkie ciało na tych równinach umęczone — ale nad duszą narodu tego czuwa Najdroższy Utajony sam!« — A gdy młodzieniec płakał i bił się w piersi i ukoić się nie mógł, mistrz dodał: »Nie płacz nad nimi, ale nad tamtymi, nad szarym światem z granitu — bo tam piekło i rozpad i sądny zgon — a tu ból tylko! — Wszakem powiedział ci: z bolu zmartwychwstaje duch — z podłości tylko zmartwychwstania niemasz!« — A gdy tak mówił, zasuwała się kurtyna chmur — a równina i las i niebo i wzrok postaci niebieskiej znikały. —

* * *

Coraz to chłodniej i rzeźwiej i jawniej. — Wieniec, tlejący nad czołem Mistrza, zaczyna się roztapiać. — Młodzieńcowi się zdało, że widzi znów wnątrz jakiejś kaplicy i pola i góry i wschodzące słońce — i wyciągnął ręce, wołając: »O Mistrzu, Mistrzu, pokaż mi niebo — owo trzecie — na ziemi!« —

* * *

Cień Danta jeszcze raz skupił się w kształt i objawił całkiem śród napływającego światła. — Lecz głos jego był inny, jakby już daleki, już wracający w chwale tam, skąd przybył. — »Dotąd na waszym świecie piekło tylko i czyściec — ale duch Pana zamieszkał wam w piersiach — wyście jak przepaści — a w głębiach

waszych tajnie ukryte błękitu. — Wiarą wzbudźcie je w jaśń — skrzydłem woli świętej wznieście je w górę, wynieście na zewnątrz; — przed sobą, nad sobą, wokół siebie rozwidnokrężcie je Miłości czynem! — Wtedy ono trzecie zacznie widomieć na ziemi — lecz baczcie pilnie — żaden doń inny nie powiedzie tor — ni ślepy traf, ni przeznaczeń mus, ni swawoli dąs, ni żadnej pychy kłam! — A biada wiekom, jeśli gwałty niebożemi kusić się będą o dóbr bożych łup; — bo do tyla was uszanował Pan, Stwórca wasz, że wolno wam z Nim staczać bój i złem waszem zwyciężać Go; — lecz skoroście wygrali tak, wnet zwyciężony Wszechistny ucieka z was, a wam pozostaje w zamian wiekuisty brak, wiekuista śmierć, wiekuiste Nic. — Czuwajcie więc nad losami planety waszego!«

* * *

I, mdlejąc wśród światła poranku — srebrząc się ostatnim śladem w powietrzu — coraz to szerszemi kręgi — coraz to przejrzystszemi — jak wiry wód poruszonych — jak powiewów uciszających się tchnienia — jak sen, co przemija, poszła postać Danta w przestrzeń — w oddal — w blask słońca — poszła w niewidzialność nieskończoności.

KONIEC WSTĘPU.

I.

WENECKIE PODZIEMIA.

(Karnawał na placu Ś-go Marka w Wenecyi — kościół Ś-go Marka i pałac dożów w głębi — mnóstwo masek na placu pod portykami. — MŁODZIENIEC — BANKIER-KSIĄŻE, *wchodzący)*

CHÓR GRECZYNEK. Eulaloe lana! My z Archipelagu uciekły — z seraju baszy pohańca uciekły! Czy widzisz ócz naszych ogniki? Zdejm nam maskę, zdejm! Eulaloe lana!

CHÓR WENECYANEK. Na czarnej gondoli niegdyś patrycyusz i patrycyanka! — Róże, aksamit i perły, miecz, gitara i puginał — wkoło szmery fal!

Po dziś dzień gondola, po dziś dzień róże, po dziś dzień szmery fal — a reszta gdzie? — i sama, pusta, czarna gondola po falach z tą wiązką róż płynie!

CHÓR CYGANEK. Do nas, tu, do nas! Za groszaka przyszłość — za groszaka przeznaczenie — o groszak prosimy cię!

JEDNA Z CYGANEK. Stójże, młody panie!

MŁODZIENIEC. Czemu mnie zatrzymujesz, maseczko?

CYGANKA. Dajże rękę, daj!

MŁODZIENIEC. Chcesz przeczytać mi losy me?

CYGANKA. Co tu pokrzyżowanych ścieżeczek na dłoni tej! Wszystkiego podostatkiem — miłość — rozpacz — samobójstwo — burze — klęski — szczęście — natchnienie — szał. — Strzeż się kobiet, strzeż!

MŁODZIENIEC. Więc mnie puść, bym dopełnił przestrogi!

BANKIER-KSIĄŻE. Pan Hrabia pewnoś w życiu jeszcze takiego karnawału nie oglądał?

MŁODZIENIEC. W istocie, nigdy. Co za pstrokacizn tłum, co za mruczenie i pisk!

BANKIER-KSIĄŻE. Skorom też list, rekomendujący mi Pana Hrabiego od Rotmana i Spółki, prawdziwego króla giełd europejskich, zawczoraj odebrał — natychmiastem sobie ułożył w myśli służyć sam Panu Hrabiemu za przewodnika śród dzisiejszej uroczystości — wszak dobrzem uczynił? wszak zabawnie i miło, kochany Hrabio?

MŁODZIENIEC. Co mi tu najmilszem, to, że te błękity bez maski, że słońce to bez maski, że taką wonią fijałków rzucanych rozpojone powietrze, że deszczem róż wszystkie te poczwary między sobą się biją! A jaki ten kościół tęczano-mozaikowy! a jaką przepaską koronkowych filarów ten pałac obwiązan! a to morze dalej jakimże puklerzem jednym widnokrężnym ze srebra!

BANKIER-KSIĄŻE. Wejdźmy pod same portyki! — Tam najwięcej porządnych masek. Będę mógł Panu Hrabiemu pokazać osoby z tutejszego towarzystwa.

MŁODZIENIEC. Szkoda, że stamtąd ni morza ni tych niebios nie widać; — ale, kiedy książe chcesz, idźmy!

BANKIER-KSIĄŻE. Musisz Pan Hrabia mieć namiętność do malowania krajobrazów, kiedy tak ciągle się zajmujesz powietrzem i wodą?

MŁODZIENIEC. Wcale nie. — Lecz wzrok Boga mi z poza nich, osobliwie w tych stronach, przebija.

BANKIER-KSIĄŻE. Aha, tylko dla tego! Widzę, drogi Hrabia egzaltacyi pełen — zwyczajnie młodość, wyobraźnia! I ja też taki sam byłem, tylko że mi czasu nie starczyło do takowych spostrzeżeń. — Musiałem pod ojca okiem w biurze siedzieć, do kantorka przykuty, od rana po wieczór — inaczej nigdybyśmy książętami nie byli zostali — ale zupełnie taki sam byłem, gdym miał lat osiemnaście. Oto jeden z moich ajentów mnie szuka — na chwilę przepraszam Hrabiego. A co, Petruccio?

AJENT. Stoją metalliki sto dwa i ćwierć.

BANKIER-KSIĄŻE. Wstrzymać się jeszcze, aż dojdą sto trzy — wtedy puścić hurmem!

AJENT. A jak nie postąpią tak wysoko?
BANKIER-KSIĄŻE. Wątp o słońcu, że świeci, ale nigdy nie wątp, gdy ci zapowiadam ruch giełdczany jaki — za godzin dwie będą sto trzy!
AJENT. Ale, Jaśnie Oświecony Książe, gdy wszystkie od razu rzucim na targ, to mówią, że dom Pignatelli i Merecz ucierpi znacznie — może upadnie —
BANKIER-KSIĄŻE. Właśnie dlatego — właśnie dlatego — ruszaj!

(do młodzieńca)

To bardzo niedoświadczony jeszcze, nowo wzięty do mojej buchhalteryi pisarz — lecz się wykształci. I ja taki byłem, zupełnie taki sam, gdym miał lat osiemnaście. Czy widzisz, drogi, tego Arlekina?
MŁODZIENIEC. Widzę.
BANKIER-KSIĄŻE. Najpoufalszy mój przyjaciel, prawdziwy przyjaciel. Markiz, grand hiszpański pierwszego rzędu, kawaler runa złotego, kommandor Moncenigo, najstarszy szlachcic z całej Wenecyi.
MŁODZIENIEC. Z tym pół-łokciowym nosem, z temi brzęczącemi szmaty i tym czarnym z tyłu ogonem?
BANKIER-KSIĄŻE. Tak, ten sam, ten sam! Jak się masz, Moncenigo? Zaraz cię pod maską poznałem. A to, to przyjaciel mój, Hrabia z Polski, zarekomendowany mi zawczoraj przez Rotmana i Spółkę — zapoznajcie się, panowie! Przepraszam cię, drogi Hrabio, takie imię twe słowiańskie trudne, że nie mogę... Lecz już nas minął Moncenigo — poleciał za tą dziewczyną w różowem domino — na drugi raz zapoznanie. — Prawda, jaki piękny i gibki mężczyzna! — Przewybornie mu w tym stroju półdyablim, półarlekinowym!
MŁODZIENIEC. U nas w Polszcze, gdyby się tak przebrał, powiedzianoby, że...
BANKIER-KSIĄŻE. Ze co?
MŁODZIENIEC. Ot, na ustach mi się rozpłynęło —
BANKIER-KSIĄŻE. Ale powiedz, drogi — ciekawym nader!
MŁODZIENIEC. Roztopiło się.
BANKIER-KSIĄŻE. Ale proszę cię!

MŁODZIENIEC. Pozwalasz książe?
BANKIER-KSIĄŻE. Koniecznie wymagam — zabawnego coś być musi.
MŁODZIENIEC. Koniecznie każesz pan?
BANKIER-KSIĄŻE. Ale musisz, drogi! Mówże, cóżby powiedziano o najwytworniejszym z naszych elegantów, tak humorystycznie zamaskowanym?
MŁODZIENIEC. Powiedzieliby, Mości Książe, że ojców dziarskich znikczemniały syn.
BANKIER-KSIĄŻE. A to czemu? — Nie stracił ani grosza z ich majątku — dotąd wszystko ma!
MŁODZIENIEC. Powiedzieliby, że dopóki po waszych rynkach chodzą obce najezdniki przy pałaszach u boku a z pychą na czole, to wam nie za Arlekinów się przebierać, ale w milczeniu wybohatyrzać się na dawnej Rzeczpospolity mścicielów.
BANKIER-KSIĄŻE. Rozmaitość obyczajów narodowych! Hrabia i politycznie, widzę, egzaltowany — ja taki sam zupełnie byłem, gdym miał lat osiemnaście — a tego, tego czy też widzisz, tego mnicha z kosturem i w sandałach? To malarz pierwszy tutejszy — dobry dzień, Arpeggiani! Nie zapomnij obiadu u mnie we środę, punkt o siódmej! — Drogi Hrabio, ja sztuki, uważasz, protegują ogromnie. Po trzy razy w tydzień zapraszam wszystkich artystów, czy pędzlem, czy muzyką, czy rymami się odznaczają. Cóż chcesz, Hrabio! Gdy się miliony ma, trzeba być wspaniałym. Pieniądz dziś, czem było papiestwo dawniej. — Więc ma się obowiązki. — Trza też sypnąć czasem! cha! cha! cha! tak dalece, że ludzie, no, naturalnie pochlebcy, o mnie głoszą, żem Mecenasem tego miasta, inni, żem z Medyceuszów rodem chyba. — Może też nasze rodziny kiedyś tam się i powikłały! Cha! cha! cha! — Spójrz się na lewo, Hrabio!
MŁODZIENIEC. Co takiego?
BANKIER-KSIĄŻE. Śród tych dwóch rzędów masek, co się rozstąpiły, najpiękniejsza kobieta z całej Wenecyi idzie naprzeciwko nas!
MŁODZIENIEC. Ta, oparta na ręku onego wysokiego mężczyzny.

BANKIER-KSIĄŻE. Ta sama, w czarnej sukni, bez maski. — Szkoda tylko, niepowetowana szkoda, że od jakiegoś czasu chudnieje wciąż. Przypatrzże się jej! Per Bachcho! oto mi rysy! oto mi oko! oto mi chód! wielkiej damy chód!

MŁODZIENIEC. W istocie, coś królewskiego...

BANKIER-KSIĄŻE. A co?

MŁODZIENIEC. Kolana moje proszą się mnie, bym przykląkł. —

BANKIER-KSIĄŻE. Drogi Hrabio, bledniesz — czy słabo ci?

MŁODZIENIEC. Nie, nie! — o, słuchaj! Chciałbym w tej chwili być tą wiązką fijałków, co w twojem ręku — wziąłbyś mnie i rzucił pod stopy te!

BANKIER-KSIĄŻE. Widzę, żeś Pan Hrabia egzaltowany i co do kobiet. — Taki sam zupełnie byłem, gdym miał lat osiemnaście. — Zatem obowiązuję się kochanego Hrabię zapoznać z księżną. — Lecz teraz nie sposób, gdyż, znać, spieszy się, a potem, książe z nią — a to pan całą gębą i, mówiąc między nami, to — to...

MŁODZIENIEC. Przeszła! tak przeszła, jak sen!

BANKIER-KSIĄŻE. Jakżeż to powiedzieć? — to — to człowiek niezmiernie poważny, przytem niezmiernie grzeczny, ale szczególnym sposobem. Głęboko też rozumny — wielka figura — rozumiesz? nie wiem, jak ci to wytłumaczyć... to straszny człowiek! —

MŁODZIENIEC. Jakto?

BANKIER-KSIĄŻE. Tylko, na miłość Boga, nie powtarzaj nikomu, drogi Hrabio — ja, uważasz, szczerym, otwartym z tobą — boś mi pan Hrabia zarekomendowany przez Rotmana i Spółkę — mówię zatem, czegobym drugiemu nie powiedział, nikomu drugiemu, zarekomendowanemu przez inny dom, mniej kapitalny, nigdy, słowo honoru, nigdy nie powiedział! Ale też za to nie zdradź mnie przed nikim! Czy mi dajesz słowo honoru?

MŁODZIENIEC. Spójrz mi w oczy! Czym do zdrajcy podobny? Zważ przytem, Książe, żeś mi nic nie wykrył, wcale nic, powiedziałeś tylko, że to straszny człowiek.—

BANKIER-KSIĄŻĘ. Za wiele już i tak! — Chodźmy dalej, nie stójmy tu, nie spoglądaj pan tak za niemi — jeszcze powiedzą, że nie za panią, tylko za panem patrzysz, że jego ruchów pilnujesz! Bóg wie, czego ludzie nie wykłamią!

MŁODZIENIEC. Ale któż to, powiedz mi pan wreście!

BANKIER-KSIĄŻĘ. Książe Rahoga, bardzo znakomity człowiek. — Rusz się, Hrabio, z miejsca, w zakręt wejdźmy ten! —

MŁODZIENIEC. A ona?

BANKIER-KSIĄŻĘ. Księżna Rahoga, żona jego.

MŁODZIENIEC. Żona jego?

BANKIER-KSIĄŻĘ. Tak.

MŁODZIENIEC. Czy pewno żona jego?

BANKIER-KSIĄŻĘ. A jużciż! Co za pytanie?

MŁODZIENIEC. A więc żona, powiadasz, że żona?

BANKIER-KSIĄŻĘ. Powiadam, powtarzam, przysięgam, tak, jak że dwadzieścia tysięcy sześćset piędziesiąt i jeden Napoleonów w złocie, ni mniej ni więcej, leży w tej chwili w prawej szufladzie szafy mej bankowej. Roztargnionyś pan Hrabia — cóż w tem tak dziwić cię może?

MŁODZIENIEC. Dziwić, nie dziwi — ale boleć, boli!

BANKIER-KSIĄŻĘ. A to co?

MŁODZIENIEC. Dziwak ze mnie, nie lubię żon! Idźmy dalej! Ja już gdzieś tę postać powietrznianą spotkałem — ale gdzie, gdzie?

BANKIER-KSIĄŻĘ. Zapewnie w Rossyi, bo Rossyanka.

MŁODZIENIEC. Nie bluźń — nie prawda — być nie może!

BANKIER-KSIĄŻĘ. Na pewno wiem, że ani Włoszka ani Niemka, ani Angielka, że słowiańskiego jest pochodzenia.

MŁODZIENIEC. Polka być musi!

BANKIER-KSIĄŻĘ. A może być — podobno tak nawet, niezawodnie! — Tak, masz racyą pan Hrabia — istotnie, przypominam sobie teraz, jak mówiono niedawno, że spadło na nią dziedzictwo jakieś w Polszcze, ale w tej Polszcze, co to Rossyą jest.

MŁODZIENIEC. Zkądżeś więc był sobie Książe wyobraził, że Moskiewka?

BANKIER-KSIĄŻE. Alboż to nie prawie jedno?
MŁODZIENIEC. Tak, jak ateizm i religia jedno — tak, jak dźwięk twoich sztuk złota, a szczęk napoleonowej szabli jedno, mości Książe!
BANKIER-KSIĄŻE. Dla nas, Włochów, niema różnicy.—
MŁODZIENIEC. Ah, powiedzże mi jej imię polskie!
BANKIER-KSIĄŻE. Co tego, to nie potrafię.
MŁODZIENIEC. Chichotania tych masek mnie zarzynają. Co tylko wiesz, powiedz mi pan o niej!
BANKIER-KSIĄŻE. Opowiadano więc, że dziedzictwo jakieś niespodzianie spadło na nią i to w pobliżu dóbr znacznych, które sam książe posiada także w tamtym kraju — podobno gdzieś niedaleko miasta Odessy. — Nawet przydawano, że książe z tego bardzo zły.
MŁODZIENIEC. Czemuż zły?
BANKIER-KSIĄŻE. Usuńże się z drogi tym pędzącym Mandarynom! — Widzisz, słychać, że Książe wziął ją bez posagu, choć ze znakomitego domu — zwyczajnie z takiego, co to, uświetnion herbami i chwałą, nie pilnował interesów, nie przejrzał, jak my, finansiści, że tajemnicą, która władnie światem, pieniądz jest. Tak, drogi Hrabio. Ja się nieraz siebie zapytuję, gdy po nocach się przebudzam, jak Bóg świat stworzył bez pieniędzy. — Musiał mieć kapitał jakiś i sypnął nim! Czyż gwiazdy nie dukaty Jego? Cha! cha! cha!
MŁODZIENIEC. O księżnie, o księżnie mówmy!
BANKIER-KSIĄŻE. Zatem Książe, który sam posiada ogromne majątki wszędzie, w Austryi, Szląsku, Włoszech i tam, koło Odessy, zły był, że się ona dostała do czegoś własnego. —
MŁODZIENIEC. Nie pojmuję. —
BANKIER-KSIĄŻE. Rzecz jednak arytmetycznie jasna. Wszak majątek przynosi niepodległość, obdarza siłą, rozwija nawet rozum, pamięć, wolę, wyobraźnią. A wszystkie te dary boże w żonach plagami mężom. Miał, miał, na honor, z czego być zły książe! Teraz nią rządzić tak, jak dawniej, już nie sposób — deptać po niej już nie sposób — zamykać na klucz już nie sposób! Znajdzie przecię takich, co wybiją drzwi. Patrz, Hrabio, co to pieniądz znaczy!

MŁODZIENIEC. Alboż ją tak uciskał? męczył? więził?
BANKIER-KSIĄŻE. Ponure rzeczy opowiadają, a można wierzyć, bo zazdrośnik niesłychany i żelazny despota.
MŁODZIENIEC. Chyba ten Rahoga szatanem!
BANKIER-KSIĄŻE. Niedoświadczonyś, Hrabio! — Proszę cię, proszę i zalecam, ciszej mów — imion własnych nie wykrzykuj tak w głos na publicznem miejscu! Zmiłuj się! —
MŁODZIENIEC. Jemu samemu w oczybym powiedział!
BANKIER-KSIĄŻE. Możeby bezpieczniej było, niż za oczy — bo gotówby przebaczyć — a tak, gdy mu powtórzą, nie daruje.
MŁODZIENIEC. Alboż tu wszyscy jego krewnymi, przyjaciółmi, sługami?
BANKIER-KSIĄŻE. Nie — ale czemś innem, może.
MŁODZIENIEC. Czemże?
BANKIER-KSIĄŻE. Przedstaw sobie, drogi Hrabio, że u dworu ma wzięcie nadzwyczajne, niewypowiedzialne! Choć żadnegu urzędu oznaczonego nie posiada, gdy przychodzi, drzwi cesarskiej sypialni same z siebie odmykają się przed nim — a gdy wychodzi, panuje — wszyscy bledną — wszyscy biegną, gdzie skinie.
MŁODZIENIEC. Lecz tu nigdzie wkoło nas pod maską ni cesarza samego ni dworzan wiedeńskich niema, by, mnie podsłuchawszy, zaraz pobiegli mu donieść. Samych tylko widzę szalonych, zapustami pijanych, skaczących Turków, Indyan, Bogów i poliszynelów.
BANKIER-KSIĄŻE. Nachyl no bliżej ucha, Hrabio! —
MŁODZIENIEC. Słucham.
BANKIER-KSIĄŻE. A szpiegów niema może na tym rynku Świętego Marka?
MŁODZIENIEC. Jakto? Co mówisz? Tej kobiety mąż policyantem?
BANKIER-KSIĄŻE. Któż no bo takie rzeczy przypuszcza? skąd? jak? czym co podobnego powiedział? Ale gdzież tam policyantem! Alboż cesarz naprzykład policyantem? alboż gubernator miasta Wenecyi poli-

cyantem? a przecież i cesarz i gubernator czytują sprawozdania policyi!

MŁODZIENIEC. Więc czemże ten Rahoga? Raz mi powiedz już, a nie męcz!

BANKIER-KSIĄŻĘ. Opisać go dokładniej panu Hrabiemu istotnie nie potrafię. — Wie wszystko — trzęsie wielą rzeczami w państwie — i prześliczną żonę ma, z którą pana Hrabiego zapoznać się będę starał. Na kiedy, Hrabio, mam zapowiedzieć cię salonowi jej? bo, jeźli się nie mylę, jużeś zakochany! Cha! cha! cha!

MŁODZIENIEC. Pan ani pojęcia o nas nie masz. — Polska ojczyzna bajecznym ci krajem — nie wiesz, jakie kwiaty uczucia wydaje najrozdeptańsza ziemia Europy, orana lemieszem klęsk, łzami zroszona pokoleń. Nie domyślisz się nigdy spójni, co łączy jej ziomków. — Acz się nie znają naocznie, skoro Los ich zetknie, wiedzą zaraz o sobie, że równi i ciż sami bolem bezmiernym. Dość, że Polką ona, bym ja, Polak, na obcej tej ziemi zaraz siostrę w niej wyznał.

BANKIER-KSIĄŻĘ. Broń się, Hrabio, jak chcesz, ja twierdzę, żeś zakochany — cha! cha! cha! A dobrze robisz, choć trudna sprawa — dobrze, na honor! Jakaż to kibić! jakie nóżki! bravo! bravissimo! cha! cha! cha!

MŁODZIENIEC. Mości książe, muszę cię jeszcze ostrzedz o jednym narodowym obyczaju polskim.

BANKIER-KSIĄŻĘ. O jakimże?

MŁODZIENIEC. Polacy byli wesołymi niegdyś, ale dziś sponurzeli w grobie, nie lubią żartów. Za pierwszym tylko razem je znoszą — za drugim przestrzegają — za trzecim zaś albo sami giną, albo ginie żartujący z nich.

BANKIER-KSIĄŻĘ. Ale się nie gniewaj, panie Hrabio, ale się nie gniewaj! Jestem na jego usługi! — Jakżeż? — przez taki dom poleconyś mnie, przez Rotmana i Spółkę, dom wszechmocny, gruntowny, wiekuisty! — Anim myślał cię obrażać, panie Hrabio! Dajże mi rękę, daj! — Kiedy zechcesz, zapro-

wadzę cię do Rahogów — dziś, mów, o dziewiątej, chcesz?

MŁODZIENIEC. Dzięki najuniżeńsze księciu składam — odłóżmy nieocenioną łaskę księcia na później! Zresztą i sam trafię do nich, jeśli po myśli mi będzie.

BANKIER-KSIĄŻE. Tylko rozkaż, drogi — kiedy tylko ci się przyśni, o każdej minucie na twoje-m rozkazy!

MŁODZIENIEC. Racz, Książe, pozwolić, byśmy o czem innem mówili! — Widzę, znów ktoś za Księciem goni.

BANKIER-KSIĄŻE. Drugi mój ajent. — A co, Gregorio?

AJENT. Przed pół godziny do stu trzech się podniosły — natychmiast wszystkie sprzedaliśmy hurmem. Pignatelli i Maracz dołem — Wasza Ekscellencya górą!

BANKIER-KSIĄŻE. Doskonale, Gregorio! Wiedziałem, że stanie się tak. Pignatelli więc i Maracz niezawodnie dołem?

AJENT. Klnę się na wszystkich świętych, co w raju, że dołem!

BANKIER-KSIĄŻE. Jakże mi spać będzie miło tej nocy! — Wracaj do kassy, Gregorio! *(do młodzieńca)* Czemuś tak zasępił się, drogi Hrabio? Przykro mi, prawdziwie przykro! We mnie owszem humor naradza się wyborny — zdrowie jakieś mi bieży po ciele od stóp do głów. Zapusty, to pyszna zabawa — miasto Wenecya, to najpiękniejsze miasto Włoch! Na honor, Hrabio, że tak jest! Hrabio, bawże się! chodź ze mną do mnie na obiad! — ożywże się — obudźże się — odezwijże się!

MŁODZIENIEC. Raczysz książe się na mnie nie gniewać, że go pożegnam. — Dość mi zabawy na dzisiaj. *(Wychodzi).*

BANKIER-KSIĄŻE. Ale proszę cię, drogi mój, zostań! Gdzie się tak spieszysz, najukochańszy Hrabio? — Już odszedł — czy się wściekł? Jeszczem takiego

egzaltowanego nie widział. U tych Polaków siarka i saletra w żyłach miasto krwi — pewno z niego Jakóbin! Ja od razu człowieka przepatrzę — pewno Jakóbin! Nigdy się nie mylę — pewno Jakóbin, Jakóbin!

(znika śród tłumu masek)

(Pomieszkanie młodzieńca. — Sala o maurytańskich oknach z wysuniętym krużgankiem — palące się świece na stole — na krużganku ALIGIER — *drzwiami w głębi wchodzący* JAKOB).

ALIGIER. Jakżeż twe niebiosa dziwne, o Panie! Pędne, wirujące, żywe, a takie spokojne! I ta Wenecya jakżeż dziwna, o Panie! W balsamie promieni miesięcznych taka urodziwa, a taka umarła! Lecz pod tą srebrną niewzruszonością głębie tajemnicze także, a w nich pęd i ruch, tak samo, jak w górzę tam. — Ty sam wiesz, o Boże!

JAKÓB. Proszę też Wgo Pana...

ALIGIER. Toś ty, Jakóbie?

JAKOB. A juści, Wny Panie!

ALIGIER. Czego chcesz, mój Jakóbie?

JAKÓB. Proszę Wgo Pana, że też to mówią ludzie, iż naród w tych stronach nie taki poczciwy, jak u nas...

ALIGIER. Prawda poniekąd.

JAKÓB. Więc proszę Wgo Pana, bo dobrze już w noc, a Pan Hrabia nie wraca, więc ja się przeląkł i myślę sobie, żeby się nie stało szkody jakiej JWmu Hrabiemu.

ALIGIER. Gdzieś go zapusty zatrzymały — nie lękaj się!

JAKÓB. Boć to zawzdy tak, Wny Panie, bieda i bieda! Gdy weźmie, wychodząc, krócicę lub puginał, już dufa sobie, że i stu rabusiomby poradził — a kiedy czasem ja mówię: »Jasny Panie, weź z sobą Jakóba«, to jak spojrzy na mnie, to aż markotno się robi. A dobry, dobry pan, jeno upór taki w sercu u niego; —

żeby przynajmniej w słoneczku się kochał, ale to on, uważałem, Wny Panie, bardzo lubi gwiazdę wszelaką — przytem, skoro pełnia, toć już czekaj a czekaj, a on chodzi po dworze gdzieści i Bóg święty wie, co tam i do kogo czy gada, czy śpiewa coś. Dobrze raz, dobrze drugi, dobrze i setny, ale kiedyś kryska przyjdzie na Matyska, oj, przyjdzie!

ALIGIER. Cyt, czy słyszysz?

JAKÓB. Jakby plusk wioseł.

ALIGIER. Zbliża się odgłos ku zakrętowi kanału.

JAKÓB. Dałby Pan Bóg, żeby to on był!

ALIGIER. Z poza murów wysuwa się gondola.

JAKÓB. Proszę Wgo Pana, czy to JWny Pan?

ALIGIER. Czekajże — zdaje się, że on — tak — on sam.

JAKÓB. Więc, proszę Wgo Pana, pewno stoi i patrzy się w niebo, a nie na tych złodziei, co powożą.

ALIGIER. Nie zgadłeś na dzisiaj, bo właśnie rozmawia z niemi. — Zejdź i świeć mu na wschodach!

JAKÓB. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

(Wychodzi)

ALIGIER. Na wieki wieków, amen! *(Do młodzieńca)* Podnieś oczy, Henryku, ja tu, na ganku!

GŁOS MŁODZIEŃCA *z dołu*. Widzę, widzę — zaraz! Hej, Jakóbie, bram pałacu nie zamykaj, bo ten wioślarz idzie ze mną na górę i powróci jeszcze!

ALIGIER *(zbliża się ku drzwiom w głębi — młodzieniec i gondolarz wchodzą)*. Gdzieżeś tak długo się bawił?

MŁODZIENIEC. Pozwól, niech tylko z tym człowiekiem skończę! Zowiesz się?

GONDOLER. Ambrosio, na waszej Sygnoryi usługi.

MŁODZIENIEC. Gdzie zwykle stoisz z gondolą twą?

AMBROSIO. Tam, gdzie mnie wasza Sygnorya wzięła, u mostu Rialto.

MŁODZIENIEC. I pewno, mówisz, w pałacu Kornerów, gdzieś mi te pyszne filary oglądać kazał po księżycu, mieszka książe?

AMBROSIO. A któż tego nie wie w Wenecyi?

MŁODZIENIEC. Dwaś sfinksy także mi pokazywał

koło drzwi bocznych i coś napomknąłeś mi czy o sfinksach, czy o drzwiach tych — już zapomniałem.

AMBROSIO. Miałem zaszczyt mówienia waszej Sygnoryi, że temi drzwiami zwykle księżna w każdą niedzielę z rana wychodzi, by płynąć na mszę do San Giorgio.

MŁODZIENIEC. Tak — prawda — mówiłeś, że książe sam nigdy na mszy nie bywa.

AMBROSIO. Przepraszam waszą Sygnoryą, bo o tem ja nie wiem — zapewne bywać musi, jak każdy prawowierny katolik, tylko, że o innej godzinie; — alem mówił, że z rana w niedzielę każdą tamtemi drzwiami zawsze księżna sama jedna siada do gondoli i do San Giorgio płynie. —

MŁODZIENIEC. Być może; o tych sfinksach myślałem i słowa twoje pomięszały mi się. — Wszak jutro niedziela?

AMBROSIO. Niewątpliwie jutro.

MŁODZIENIEC. Niedokładniem obejrzał te sfinksy z porfiru — pyszne już w promieniach miesiąca — cóż dopiero we dnie, gdy się każden szczegół rzeźby uwydatni.

AMBROSIO. Przysięgają znawcy, że to dzieło Michała-Anioła samego.

MŁODZIENIEC. Masz za przejażdżkę.

AMBROSIO. Dziesięć razy więcej, niżliśmy się zasłużyli, ja i Beppo, Sygnoryi waszej. — Przez Adryatykę, i Dożowie dawniej nie płacili tak!

MŁODZIENIEC. To za sfinksy — bo, widzisz, i ja trochę artysta. Jutro rano bądź z gondolą tu!

AMBROSIO. Myśmy sługi — wasza Sygnoryo panem.

(Wychodzi)

ALIGIER. Stoisz i patrzysz się. — Cóż, Henryku mój, ręki mi nawet nie ściśniesz?

MŁODZIENIEC. Ah, powietrza, powietrza! Chodź na krużganek — mówić, gdzie te świece się palą, nie mogę!

ALIGIER. Otóż i stoim już w pełni niebieskiego światła.

MŁODZIENIEC. Wszak te wstęgi z wód jasnych, te z mostów obręcze, te gondole szparkie, jak strzały, czarne, jak trumny, rozkoszne, jak pośmiertne zbawienie, wszak te błękity, te gwiazdy, źrzenicujące po nich, ten księżyc, taki palący mnie, jak słońca wzrok, wszak to wszystko z miłości jest, miłością jest przed wiekami i na wieki? Wszak Bóg, nim stworzył świat, zakochał się w niestworzonym jeszcze — i dlatego stworzony taki przecudny? Wszak tak? O Aligier, co mi się dzieje też!

ALIGIER. Ty gorączkę masz!

MŁODZIENIEC. Powiedz mi, gdzie to było, gdzie to mogło być, gdziem ja ją spotkał już? A spotkałem raz, niezawodnie, tak, jakem żyw, spotkałem ją! I tak się męczę — i tak się znoję aż do krwi pamięcią — a nie mogę, nie mogę sobie przypomnieć.

ALIGIER. Ją? kogóż to?

MŁODZIENIEC. Jakto, jeszcze ci ja będę musiał opowiadać? Dziś, tam na rynku Ś-go Marka, z tym nieznośnym Bankierem-księciem idąc, naglem obaczył postać, gdzieś ujrzaną już... Zowią ją imieniem jej męża — jej mąż zwie się Rahoga — a ona Polką! Co? nie wiedziałeś, żem ją spotkał? To mnie dziwi! Ty mnie tak kochas, Aligier, a nie uczułeś nic?

ALIGIER. Ah, strzeż się!

MŁODZIENIEC. Czego? Czy tych uniesień niepojętych, co we mnie naradzają się tak, że wszechprzytomności bożej prawie dotykam palcami we wszystkiem — ot, nawet w tych tu promieniach, co tak pełzają ku mnie po marmurze tym!

ALIGIER. Rahogi i domu jego się strzeż!

MŁODZIENIEC. Czemu?

ALIGIER. Jeden z najzaciętszych wrogów polskiej Ojczyzny.

MŁODZIENIEC. I ona też? — Więc taki anielski kształt obłudą? płaszczem ciała promiennym, rzuconym przez Stwórcę na ramiona duchowi nieczystemu, świętokradczyni-Polce, która nienawidzi Polski? Nie może być! — Zaraz mi tu prawdę mów — nie kołysaj mi noża ponad sercem — utop od razu!

ALIGIER. Czym powiedział co na nią?
MŁODZIENIEC. Ah, jakżeż ty dobry, miłosierny — jaki ty uroczysty i święty w tem świetle miesięcznem; — ja tak cię kochałem zawsze, jak tak cię kocham! Więc ty przeciwko niej nie świadczysz, tylko przeciwko niemu?
ALIGIER. Przeciwko niemu tylko.
MŁODZIENIEC. Tem lepiej.
ALIGIER. Jakżesz »tem lepiej«, kiedy on mężem jej?
MŁODZIENIEC. Mężem jej a prześladowcą braci jej? Co za mąż? chyba kat tylko!
ALIGIER. Więc rad jesteś, że on katem jej?
MŁODZIENIEC. Nie — lecz jeśli on katem, to ona ofiarą — zatem ofiarę od kata obronić potrzeba! Cóżeś tak rękę w piersi wgniótł?
ALIGIER. Chore serce, jak zwykle, mi się przypomina — nie dziw! Bijąc, wszędzie obijało się o ukochanych błąd, o ukochanych szał, o ukochanych zgubę — i w tej chwili, teraz, uderzywszy o ciebie, odskakuje ranne błędem, szałem, może zgubą twoją!
MŁODZIENIEC. O, a ja taki szczęśliwy, a ja taki silny się czuję! Zda mi się, gdy spojrzę w tę noc, że tchuby mi wystarczyło na odwiedzenie wszystkich tych światów jednego po drugim — i że na progach samego Boga jeszcze nie padłbym zmęczony! —
ALIGIER. A jednak miasto nieśmiertelnej młodości, zawczesna starość właśnie blizka ciebie!
MŁODZIENIEC. Ja starym kiedykolwiek mógłbym być? Ja?
ALIGIER. Ty, i niezadługo!
MŁODZIENIEC. Skąd? jak? czem?
ALIGIER. Raj, migający w powietrzu, zaprowadzi cię aż do drzwi wroga — przejdziesz przez nie, nie błogosławiąc im — owszem przeklinając je. A to źle tak wchodzić do cudzych bram, gdy jędza konieczności lub anioł obowiązku nie wpycha nas do nich — i odtąd zacznie Duch więdnąć twój.
MŁODZIENIEC. O Aligier — oparty na poręczy granitowej, z głową na ręku, nie chcesz patrzeć na mnie i grube łzy u powiek ci się zawieszają, o Aligier!

ALIGIER. Jakżeż więc, o Panie! — Nigdy synowi człowieka nie wystarczy piękno, tak, jak w łonie Twojem spoczywa! Nieskończoność nie zagasi pragnienia jego — musi zejść do skończoności i szyderską pomyłką ziemię za niebo mieć, nieba właśnie szukając! To, z czego wszystko jest, Ideał, to, w imieniu czego sam zakochuje się we wszystkiem, niczem mu! I porzuci Ciebie, niestworzonego Stwórcę, dla stworzenia, co nie tworzy nic! Dopiero w dwojgu ócz śmiertelnych będzie wyczytywał, żeś Ty jest, Ty, coś w każdej z tych gwiazd wypłaskorzeźbion na niebie, Ty, coś w każdem dziejów powieniu szumiący po ziemi! — Jeden tylko śród milionów inaczej Cię poznał! Ah, prawdać, Panie, on Tobą samym był! — Lecz cóż z nami wszystkiemi, jeśli nie dobratnim się Jemu? O Panie! o Panie!

MŁODZIENIEC. To ty pierwszą siwiznę rzucasz mi na serce takim żalem okropnym twym!

ALIGIER. Tobie, człowiecze, we dwójnasób Ideału się dostało! Francuz, Anglik, Niemiec po połowie tylko Boga czują — nie dotykają ran Jego codzień w męczeństwie narodu, nie oglądają cudów żywota Jego codzień w niezłomnej odwadze narodu! — Oto skarb twój! — Co klejnotów w nim, co boleści, co ofiar, co zasług, co wspomnień, co nadziei, co nieśmiertelnych żądz! Nie dosyćże ci? Będzieszże mi jeszcze błąkał się po manowcach za ognikami — będziesz mi kwiatki zbierał po gajach i tracił czas i trwonił moc — kiedy w bór iść trzeba ogromny, ciemny, po skale, w górę, śród mgły, skarb ten krzyżowy dźwigając i krwią się własną przytrzymując u głazów, by nie odpaść w dół?

MŁODZIENIEC. Ah, tyś widzenia tego nie oglądał! A ja ci mówię, Aligier, że, jak Polska cała, tak ona, ta jedna Polka, jest bezmiarem nieszczęścia, ubranym w nadziemski wdzięk! Nigdym nic podobniejszego do przechodzącej Ojczyzny nie widział!

ALIGIER. Pochlebiaj, przebaczaj, kłam sobie samemu, dziecię śmiertelne! Zwołuj namiętności i zachcianki swe, jak car bojarów, i niech ci radzą: — »Naj-

jaśniejszy Panie, tak jest« — aż pierś własną poczynisz sobie przedpokojem, pełnym dworzan podłych — i wmówią w ciebie, żeś wielki, gdyś mały — żeś waleczny, gdy mdlejesz — żeś wolny, gdy zstępujesz w opętanie!

MŁODZIENIEC. Skąd gorycz taka?

ALIGIER. Bo mi się zakochujesz w sobie samym, łudząc się, że w drugiej istocie — i tem rozwiązujesz się sam z potęg istoty twej.

MŁODZIENIEC. Jakżesz powiem błyskawicy, co oblała mnie światłem: »Nie świeciłaś mnie«? — Czy nie wiesz, że tajemniczo a nieodwołalnie Duchy ciężą ku sobie? — W Bogu się może gdzieś znały i odnajdują się na tym świecie i znów po śmierci gdzieś będą razem. Ty wiesz o tem, lepiej odemnie wiesz!

ALIGIER. Wiem może — i dla tego właśnie płaczę nad tobą — bo czyś zbadał prawa krążących tych Duchów? — Czy wiesz, jak czasem, spłynąwszy do siebie, kometą oderwanym się stają, co przez wieki wieków odbiega od środka i zwiedza otchłanie wszechświata, nim zawrócić zdoła do porzuconego słońca? — Czy wiesz, ile tam Czyśców? a w nich ile przywiązań żałobnych? serc pękających wciąż? grzesznych postaci, porwanych wirami rozpaczy, darmo wołających śród mroku: »Przebacz nam, o Panie!« —

MŁODZIENIEC. Ja i stamtądbym ją wyniósł i zaniósł do Boga!

ALIGIER. Mówisz, mówisz, a nie wiesz, o Henryku mój! —

MŁODZIENIEC. Czegożże ty myślisz, że ja pragnę? Oto niech mi przyjaźni świętej da z serca swego trochę — a na toć jedynie, bym mógł nieco ulgi jej przynieść — nie żądam nic innego! — Ah, bo, Aligier, powtarzam, przysięgam ci, nigdym takiego wyrazu boleści nie oglądał w stworzonej ziemiance. Wystaw sobie marmur najniepokalańszy, paryski, blaskosiejny marmur — napisu żadnego — spojrzysz i powiesz: »Posąg medycejskiej być z niego ma« — a wtem znowu spojrzysz i patrzysz, aż to kamień grobowy

już i pod tą bryłą światła śmierć! — Więc klękaj i módl się i płacz — to ona!

ALIGIER. Nie dotykajże się grobów, kiedy wiesz, że obowiązkiem twoim żyć na to, by rozdawać życie twe braciom twym!

MŁODZIENIEC. A cóż pocznę, kiedy mi się śmierć kochać każe? Nie pycha, nie tryumf, nie połysk, ale ból, czy tu, czy tam, czy w braciach, czy w tej jednej z sióstr moich — zawsze smutek i ból mnie woła, mnie nęci. — Takie przeznaczenie me! Z tymi, co przegrali, grając w losy, wieczniem ja — bo beznadziejni być muszą, bo im potrzeba mnie!

ALIGIER. Iluż ich widziałem, a wszyscy tak samo! Tęskni, skrzydlaci, niepowstrzymani — w lazurowych przestrzeniach, niby człowiecze motyle — każdy z kwiatem swoim, obok niego latającym także; — aż kwiat z liści opadł, aż i motyl ze skrzydeł — w dół, żwir, piasek, pył — wtedy zlatują oboje z nadpowietrznych łąk — do prochu proch! Iluż ich widziałem, a wszyscy tak samo!

MŁODZIENIEC. Co ty tak żałobnie tym gwiazdom opowiadasz?

ALIGIER. Dzieje lekkomyślnych.

MŁODZIENIEC. Mojeż to być mają? O, nie szydź — daj pokój — powiedz mi lepiej, gdzie to ja ją widział już?

ALIGIER. O, biedny ty!

MŁODZIENIEC. Co?

ALIGIER. Powiedziałem: »O, biedny ty!« —

MŁODZIENIEC. Co mówisz?

ALIGIER. Nie rozumiesz-że już słów moich? — A czy pamiętasz też, com oznajmił ci, gdyśmy z gór zstępowali ku miastu temu?

MŁODZIENIEC. Co?

ALIGIER. I tegoś zapomniał — o ty nielekkomyślny!

MŁODZIENIEC. Nie, nie! Alem w tej chwili duchem całym czegoś szukał, wiesz, tak, jak czasem ucho nuty zatraconej szuka — a nuta nie wraca; — a za nią mimowoli coraz bardziej się odrywa nią, nie będącą,

prześladowany słuch. Lecz owszem, wiem o czem mowa — powtórz tylko!

ALIGIER. Pytałem się, czy pamiętasz jeszcze, com ci zapowiadał, gdyśmy z ostatnich gór schodzili w stronę miasta tego?

MŁODZIENIEC. A jakżeżbym nie wiedział? Obiecałeś mi, że mnie wprowadzisz do grona utajonych i tęskniących, w którym się duchu przyszłość wypracowywa.

ALIGIER. Czyś gotów?

MŁODZIENIEC. O każdej godzinie!

ALIGIER. Za trzy dni, o samej północy zaprowadzę ciebie. Wtedyć ujrzysz sam na oczy wszystkie dzieje ziemskie — porównasz je z jedną ziemianką — osądzisz, czy się godzi przy nich jeszcze marzyć o niej!

MŁODZIENIEC. Nie mówmy o tem! Daj mi twe błogosławieństwo, jak co wieczór — odejdę!

ALIGIER. Pierwszy raz w życiu lodowato mi w duchu przy tobie.

MŁODZIENIEC. Nie chcesz mi nawet dobrej nocy powiedzieć?

ALIGIER. Coś nad tobą zgubnego bardzo wisi w powietrzokręgu przeznaczeń, kiedy mi tak źle. Słuchaj — wyrzecz się jej — daj mi słowo, że...

MŁODZIENIEC. Przez Boga żywego, nie dam! O Aligier, czyś tyranem? Ja tylko dźwięk głosu jej usłyszeć chcę — nic więcej — i tegoby mi nie wolno było?

ALIGIER. Nic więcej?

MŁODZIENIEC. Sam się przekonasz — wierz mi! — Tylko dźwięk głosu usłyszeć, tylko myśl tej duszy przejąć — nic, nic więcej!

ALIGIER. On wierzy, i głęboko, że nic więcej!

MŁODZIENIEC. I cóżby ci pomogło nawet gwałtem duchowym przegiąć wolę mą? wydrzeć przyrzeczenie? Cóż nada gwałt? — po gwałcie bunt.

ALIGIER. Wiem i to.

MŁODZIENIEC. Kochaj mnie!

ALIGIER. Ponuro mi.

MŁODZIENIEC. O Boże, słowam jeszcze do niej nie wyrzekł, a już tak cierpię za nią!

ALIGIER. Masz, bierz, jak co wieczór, przyjaźni bło-

gosławieństwo! — Nie chcę, byś cierpiał dziś już, ty, co będziesz cierpiał tyle!

MŁODZIENIEC. Ah, dziękuję ci! Daj mi się rzucić w twe objęcia — tak — niech serce moje na twem chorem bije!

ALIGIER. Strzeż cię Pan, bo nie ustrzeżesz siebie sam, ni ja ustrzegę cię! Strzeż cię Pan! *(odchodzi ku drzwiom w głębi).*

MŁODZIENIEC *(idąc ku przeciwnym drzwiom).* A możem nie oglądał jej nigdy oczyma — możem tylko czuł ją gdzieś wkoło siebie, jak opasującą mnie strugę potęgi — aż teraz zoczyłem i zda mi się, że to nie pierwszy raz — a to pierwszy — oczom pierwszy — lecz nie pierwszy wiekuistemu bytowi? — Kto mi powie, gdzie ja z nią zetknięt już...?

(Ciemnia w podziemniach weneckiego pałacu — MŁODZIENIEC — ALIGIER).

MŁODZIENIEC. Zgasł ostatni błysk księżyca na tych wschodach — nic już nie widzę — słyszę tylko szum wody nad głową. —

ALIGIER. Trzymaj się ręki mojej — jeszcze nam głębiej zstąpić trzeba we wnętrzności ziemi!

MŁODZIENIEC. Czyż cię nie męczy ta droga, te wschody w gruzach?

ALIGIER. Każden spadek murów tu znam — wiem, gdzie stopień każden sypkim pyłem, wiem, gdzie inne jeszcze stoją cało — wnet też się i rozwidni. — Przeskocz tu, Henryku — tak — dobrze — teraz powoli i niżej i niżej coraz!

MŁODZIENIEC. Dziwnie! Skoroś tylko znikł z powierzchni ziemi, zda się, zdrowie ci wróciło — aż Bóg widzi, że te czarne przepaści mnie lubemi się stały. — Radbym w nich zostać, bylebyś tu żył ze mną razem, długo i bezboleśnie.

ALIGIER. Możebyś niegdyś był się tak dla mnie poświęcił — lecz teraz — o nie, nie! — boś już wstąpił w życie, a kto dotknął potoku, ten, przerobiony na fale, musi płynąć dalej — ani też, Henryku, takiego poświęcenia potrzeba. Tem silny jestem, tem zdrów w tej chwili, że chcę i muszę w świat przeczuciów i w świat Ludzkości cię wwieść — gdy wrócę rankiem na ziemi powierzchnią, ujrzysz mnie przy słońcu i znów powiesz: »Odchodzący«. — Lecz teraz nie myśl o tem — natęż ucho — wzrok zaostrz —

całym sobą bądź przytomny sobie! — Wschody się kończą — czy widzisz tę kroplę światła w oddali?

MŁODZIENIEC. Jakby zorzę maleńką, co usiłuje wzniść, a nie może.

ALIGIER. Chodźmy!

CHÓR DALEKI. Wy, co chcecie przeczuwać, wspominajcie! Wy, co stawiać Teraźniejszość i odkryć Przyszłość z jej szczytów, weźcie wprzód w głąb duszy wszystkie dni zbiegłe przeszłości! — Bo, choć odmienne dzieje i różnych zdarzeń moc, pomysł wieczny jeden i prawda jedyna. Ona Duszą, a Świat piersią Duszy coraz szerszą, większą — i jako człowiek jeden wolno się rozbudza ze snu, tak Ludzkość cała przez wieki. — I jako rozbudzający się rankiem coraz jawniej się widzi i czuje siebie, aż powie: »To Ja« — tak i tej ziemi Duch.

MŁODZIENIEC. Idźmy prędzej — podsuńmy się bliżej — zorza rośnie a rośnie!

ALIGIER. Słuchaj — znów spiewają!

CHÓR DALEKI. Każda Myśl, poczęta w Bogu, z Wieczności w czas i przestrzeń zesłana, jako cząstka prawdy, jako córka boża to samo cierpieć musi, co Bóg-Syn przecierpiał wcielony. Objawi się śród ludzi — opowie nieba część — i męczy się i krzyż swój nosi — i grób swój ma. —

Jedne zginęły przed czasem, jak święte Dziewice — inne w samej pełni sił padły, jak Bohatery. — Inne później doczekały trumny w poniżeniu, w nędzy, z wierzchołków zeszłe do katakómb życia. — Żadna nie skonała w białej szacie, w której zstąpiła na ziemię — żółcią i octem pojone, krwią zbryzgane, zniknęły.

Ale każda zmartwychwstała w następnej — każda z grobu się podniosła w innem, wyższem ciele.

Wy, co chcecie przeczuwać, wspominajcie! Wy, co stawiać Teraźniejszość i odkryć Przyszłość z jej szczytów, weźcie wprzód w głąb duszy wszystkie myśli zbiegłe przeszłości — bo dopiero tak z tych, co przeminęły, jak z tych, co przyjdą kiedyś, Całość prawdy jest!

MŁODZIENIEC. Coraz światła więcej — skądże ono przybywa? czyż znów sen cudowny mnie chwyta?

ALIGIER. Nie — wprawdzie wieki, jak sny, przelatywać zaczną, ale już nie wewnątrz, jedno zewnątrz ciebie — podstępuj wciąż!

MŁODZIENIEC. Co za jasność rażąca, południowa! aż skwarno mi! — co za gmachy w oddali! — Coraz mi bliżej do nich i one też, jakby cichym wiatrem niesione, przywiane, zbliżają się do nas. —

ALIGIER. Poznajesz je?

MŁODZIENIEC. Nigdym ich nie widział. —

ALIGIER. Czyż Ludzkość, na której łonie wzrosłeś, nie dała ci wieków pamięci? Czyż oczyma jej Ducha, wetkniętemi w duszę twą, nie możesz poznać kształtów, które na tym planecie istniały przed tysiącami lat?

MŁODZIENIEC. Przypomniałem, pamiętam! — ot, nadpowietrzne ogrody, a tam wystrzelone ku niebu gwiazdarnie — tu znów świątynia olbrzymia, krużgankami okręcona — jakiż kryształ wód! — gdyby palące zwierciadła! — jaka kwiatów moc — wszędzie palmy — to Eufratowy brzeg! — to Babylon!

ALIGIER. Czy widzisz tych w szkarłacie?

MŁODZIENIEC. Zgromadzonych u stóp wieży tej? — Złotem kapią im na głowach tyjary — gwiazdami zasiane ich szaty. — To chaldejskich wieszczbiarzów ród!

ALIGIER. Słuchaj, słuchaj!

CHÓR CHALDEJCZYKÓW. O czasie bez miary i granic, o światło niewzruszone, spokojne, wszystkich świateł Pra-ojcze, jakże daleko, daleko do ciebie! — Twój pierworodny Ormuzd i twój młodszy, zbuntowany Aryman wiecznie walczą wszędzie, pasując się czy w barwach tęczy, czy w sercu człowieka. My pragnęli wyzwolić się, wyczyścić, wypłonąć ku tobie — i niższe ludzie my porwać chcieli z ciemności ku Słońcu, ku Ormuzda błoniom! — A teraz, czujem, nasza siła znika — a teraz, czytamy, napisano planetami na niebie, że przyjdzie Zdobywca, dziki Pan, ot, przyjdzie! — Jadą na wozach — jadą i konno — ciągną pieszo, a zwycięzcy wszyscy — słabieje nasza

Myśl — przeinaczy się nasza Cześć — o, czemuż umieramy, kiedyśmy syny światła?

CHÓR DALEKI. Ale nie światłem samem. —

CHÓR CHALDEJCZYKÓW. Zoroaster, zesłannik Ormuzda, obiecał, że Ormuzd zwycięży kiedyś — i że sam Aryman, w ogniu pokuty przetrawion, wróci na łono Wszechświatła. — Lecz nas nie będzie już wtedy — nie będzie i jutro już! Daremno więc, daremno, o święta Jasności, my chcieli się wyzwolić, wyczyścić, wypłonąć ku Tobie!

CHÓR DALEKI. By żyć dalej, wprzód się przelać, wprzód się przewcielić, wprzód wam umrzeć trzeba!

MŁODZIENIEC. Co się dzieje z nimi, Aligier? Błyskawica ogromna, podobna do spadającej wieczności, oblała ich i mury i bramy i rzekę tę — wszystko, wszystko pożarła — jakżeż ciemno znów!

ALIGIER. Stój na miejscu, na tem samem, wciąż — wnet inny rozświetli się więk!

MŁODZIENIEC. Ten trzechstrunny, jednostajny dźwięk boli mnie — któż tak tam przegrywa?

ALIGIER. Na prawo spójrz!

MŁODZIENIEC. Za każdym dźwiękiem skądsiś ponury promień wytryska. — Niewidzialny księżyc gdzieś wszedł i podnosi się — już trzech piramid wierzchołki tleją nad pustynią — pod lasem obelisków czarny sfinksów tłum — wszak to Memnon tam w głębi ponad światłem siedzi?

ALIGIER. Zważaj na bramę wielkiej piramidy!

MŁODZIENIEC. Pełno mar z niej wychodzi i siada każda na granitowym grobie.

CHÓR EGIPSKICH KAPŁANÓW. U nas przechowana Tajemnica tajemnic. — My pierwsi poznali Ciebie, któremu na imię: »Był i jest i będzie.« Jak fale pod skałą, tak Czas i przestrzeń mącą się u stóp Twoich — a na tych mętach dobry Ozyrys, zły Tyfon i smętna Arneryda ścigają za sobą — ich tylko widzą oczy śmiertelnych, a Ciebie nie!

Czemuż, o nieskończony Ty, wymykasz się nam? Zwolna my chcieli zepsute plemię wiecznej prawdy nauczyć — zwolna Duszę odpętać od ciała, by poszła

radosna w niebieską ojczyznę. — Wszak my zachowali trupy, wszystkie trupy nasze, by lud przywykał do nieśmiertelności!

Czemuż więc teraz przybytek wstrząśniony, przed czasem z niego wylana nauka? Z ogromu Piramid, z Labiryntu skrętów Ty odchodzisz od nas ku innym stronom — kędy słońce zachodzi, tam potęga Twoja się przenosi — tam zawiśniesz nad weselszemi ludy — a my tu w goryczy wyschniem, my, najstarsze syny Twoje!

CHÓR DALEKI. Ale nie jedyne ni ostatnie.

CHÓR EGIPSKICH KAPŁANÓW. O, czemuż konamy, kiedy czujem, żeśmy zesłańcami Boga?

CHÓR DALEKI. Ale nie Bogiem samym — On jeden tylko nie umiera, by odżyć!

MŁODZIENIEC. Jaśń księżycowa wzrasta, wzrasta — a ich podchwyciły groby te i z grobami wraz zapadają w głąb. — Cóż to za jęk ogromny, taki dźwięczny, czysty?

ALIGIER. Wschodzące słońce drasnęło Memmona!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW. Z egipskich ciemnic, o Myśli ludzka, poniesiem cię w róż, myrtów i błękitów kraj. Tam, gdzie Zeus pokonał Tyfona — gdzie wąż potwór legł pod strzałami Słońca — gdzie na pianie morskiej Afrodyty kołysana postać — tam, gdzie na wzgórzach Pallady posągi.

Zwiń się, płowa pustynio, uciekajcie, piramidy, schylcie się, obeliski, przed pierwszą prawdziwą pięknością! Tu mądrość — tu Harmonia — tu wdzięczna Psyche odszuka Erosa.

MŁODZIENIEC. O, jakże ślicznie, ślicznie przemienia się wszystko! — Brzeg taki zielony — takie lazurowe morze — skały w tunikach z winnic — upoję się rozlaną wonią w powietrzu!

ALIGIER. Widzisz, wprost przed nami coś się śnieży, coś kształci. — Światło pracuje i buduje gmach — już na greckim wzgórzu wybłyska świątynia z marmuru paryjskiego, niepokalana Eleuzis!

MŁODZIENIEC. Brzęk lyr i cytar z niej słychać — a teraz Hymny wzniosły się. —

ALIGIER. Powoli zapełnia się dziedziniec.
MŁODZIENIEC. Z pod kolumn, z za gajów, z za posągów wychodzą przecudne postaci.
ALIGIER. Oto Hierofant tajemnic, ten w białych szatach, z sierpem złotym w ręku.
MŁODZIENIEC. A ten, ten?
ALIGIER. Który?
MŁODZIENIEC. Ten najpiękniejszy z nich wszystkich, ten szerokopiersny, wyniosły, podobny nieco do Chrystusa.
ALIGIER. Boski Platon.
MŁODZIENIEC. Tak mówiło mi serce. —
CHÓR ELEUZYJSKI. Duszo, zabłąkana w cielesności matniach, Dziewico, opuszczona na dalekich brzegach, oczyszczaj się, oczyszczaj i wzdychaj i tęsknij, a wrócisz do światu pierwowzorów, do Ojca twego i do matki Eimarmeny!

Patrz z za opony zmysłów, w którąś się oblokła, patrz, jako niebo to błękitne a ziemia ta kwiecista — z każdej fali odbłysków tysiąc — z każdego promienia barw mnóstwo — z jednego Boga bogów miryady rodzą się co chwila!
HIEROFANT. I te wszystkie bogi ziemskie, to siły tylko niebieskiego Boga!
CHÓR ELEUZYJSKI. I ziemia i niebo i gwiazdy pełne sił, piękne, rytmiczne, żyjące — czemże?
HIEROFANT. Cieniem tylko — odbiciem tylko Ideału.
CHÓR ELEUZYJSKI. Kochaj więc, o Duszo, Ideał nad miarę!
GŁOS PLATONA. Kochaj niezrównaną miłością i spłoń w tej miłości! Tam, u Niepoczętego nigdy, tam dopiero pięknie, nieśmiertelnie, miarowo! Znaj się — i, znając, wznieś motyle skrzydła; poniosą cię one do domu — a dom twój, rodzimy dom, to pierś boża, ludna wielkim ludem, ideami Wieczności!
CHÓR ELEUZYJSKI. Choć wiarę nam przynosisz i dajesz nadzieję, czemuż nam tak smętno?
GŁOS PLATONA. Bo dotąd nie macie Miłości!
CHÓR ELEUZYJSKI. Czemuż nam zaczyna się marzyć o końcu blizkim? Jak posąg Fidyaszowy z kości

słoniowej i złota, pryśnie Grecya nasza — i odłamki jej leżeć będą w popiele i w prochu.

HIEROFANT. Cel wasz, o dusze, nie na ziemi tej.

CHÓR ELEUZYJSKI. Szkoda nam jednak, o, szkoda helleńskiej ojczyzny — i widomych świątyń — i spiewnych igrzysk — i marzonych bogów — marzonych tak cudnie!

GŁOS PLATONA. Ujrzeć i kochać i rozłączyć się — znów pokochać i rozłączyć się znowu — to doczesna próba dusz, aż wieczne ukochają wiecznie.

CHÓR ELEUZYJSKI. Nie zjawiż się taki, co poratuje nas? Śmiertelnemi oczyma Miłości, której brak nam dotąd, nie ujrzemyż nigdy? Czyż z nią dopiero na Eteru spotkamy się błoniach!

CHÓR DALEKI. Bądźcie dobrej myśli, o biedne! — Na falach czasu Pożądaniec wieków już zbliża się do was.

MŁODZIENIEC. A teraz co? — te same wody — ale inne brzeg, inne wyżyny — jaskiń pełno — nigdzie śladu ludzi — tam wysoko cedry — tu, w dole, z włosem długim daktylowe drzewa. — Nad zmierzchającemi wzgórzami szczyt jakiś płonie purpurą i złotem. — Słońce musi z tamtej strony zatapiać się w morzu. — Aligier, cóż to za pustelnicy wschodzą temi ścieżki? — wszyscy, wszyscy idą na szczyt ten.

ALIGIER. To pierwsi zakonnicy Karmelu — ileż to razy witali i żegnali słońce z tych wierzchołków — ileż razy psalmem na tej puszczy modlili się Panu, Pana przeczuwając — i takie z lnu cieńkiego szaty nosili, o, takie! — i w ręku Harfy lekkie mieli, te same, te!

MŁODZIENIEC. Mówisz, jak gdybyś na tych górach ich był widział sam.

ALIGIER. A teraz świat już nie wie o Esseńczykach — o tych, co tak wyglądali zwycięstwa Duszy nad zmysłów potęgą! Ty pytasz, kto oni? — Zapomnieni zawsze ci, którzy zapowiadają. — Pamiętan tylko dopełniony Czyn!

CHÓR ESSEŃCZYKÓW. Ojcze nieznany, od obliczności świata, od pychy gnijącej my uciekli do Ciebie.

Bo Duch Twój nad przepaścią mórz — a gdzie milczy pustynia, tam mówisz Ty!

Wodą źródeł czystych plamę grzechu zmywamy ze skroni. Bogaczy i ubogich między nami niemasz — wszyscy my równi — wszyscy my bracia — wszyscy my syny Twoje.

Zmiłuj się! — jako te brzegi w mroku, tak lud nasz i wszystkie inne pobladły, zsiniały od brudu i kału.

Zeszlij Myśl czystą! niech wnętrznym żarem przepali i zniszczy ciało wszelkie — niech odrzuci je, jak popiołu garść — prorokom widny niegdyś Chrystos Twój niech zstąpi!

MŁODZIENIEC. Przyklękli — jednym krzykiem w niebo wszystkie zadźwięky Harfy.

ALIGIER. I ty przyklęknij a patrz!

MŁODZIENIEC. Nic nie widzę innego — nawet już ich widma stopiły się z nocą i brzęk strun omdlewa też.

ALIGIER. Przyklęknij, mówię ci!

MŁODZIENIEC. Teraz już nie widzę nic — tylko czuję twoją rękę na ramieniu — czemu gnieciesz mnie tak? Czy i ty klękasz?

ALIGIER. Jak w oną godzinę, której powtórzenie się zbliża.

MŁODZIENIEC. Jakto?

ALIGIER. Nie pytaj — tylko patrz! — A co? — obaczyłeś?

MŁODZIENIEC. Ah, kraj szaty tylko, znikający gdzieś w górze, w tem świetle bezmiernem — ah, stóp dwoje tylko, jak dwie gołębice śnieżne, wniebowstępujące!

ALIGIER. A teraz spójrz na dół!

MŁODZIENIEC. Oczy moje poleciały za tej szaty błękitem — ócz nie mam — przyłóż mi rękę do powiek!

ALIGIER. Grobu tego nie widzisz?

MŁODZIENIEC. Dzięki ci — przejrzałem. — O, piękne, śliczne Anioły, co przy grobie tym!

ALIGIER. A tam za niemi ta win pełna, a z win zbawiona przez Miłość, ta tęskniąca, ta czujna, ta siostra sióstr, co pierwsza lice Jego ujrzała po śmierci!

MŁODZIENIEC. Kwiaty jakieś, niby to lilie, niby to konwalie w jej ręku. Jak westchnienie przesunęła się,

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW. Płynący, bezprzerwny Czas rozstąpił się. — Z jednej strony dni przeszłe — wszystkie przyszłe z drugiej — a pośrodku nich Słowo wcielone — widomy Pan, Słup wiecznej jasności!

Syonie świętoszku, rozpustnico Grecyo i ciemiężco Rzymie, gdzie wy? Darmoście plemię ludzkie zatrzymać — darmo przepsuć — darmo zabić chcieli — nie zginęło! — Syn człowieczy skonał, zmartwychwstał Syn boży!

Odtąd żaden lud, co stał się Narodem, nie umiera na ziemi.

Odtąd żaden człowiek, co stał się Duchem, nie umrze w grobie. — Hosanna! Hosanna!

CHÓR DALEKI. Duszą i ciałem i Duchem potrójny a jeden, objawion Bóg — a niegdyś był Duszą jednemu plemieniu! — On stał się ciałem jednego Kościoła — On Duchem będzie nad jedną Ludzkością! — Hosanna! Hosanna! —

MŁODZIENIEC. Już grób chrystusowy mdleje, już rozwiewają się te cudne, anielskie postaci.

ALIGIER. Weź mnie za rękę, byś się nie potknął śród ciemności!

MŁODZIENIEC. O, gdzie ta szata w białym ogniu? gdzie te stopy? — teraz tak czarno znów!

ALIGIER. W tem miejscu zniżać się zaczyna sklepienie — schyl się!

MŁODZIENIEC. Gdzież idziem?

ALIGIER. W chrześciański świat, w drugą Dziejów część, do innych prób Ludzkości.

GŁOSY NADPOWIETRZNE. Na skale Piotra kościół budują dniem i nocą.

INNE GŁOSY. Wieki, jak dni — przez dni siedem budowali go, a ósmego opanował świat.

INNE. Bo żywe Słowo — Mądrość i Miłość — były w nim — Duch Święty w nim!

MŁODZIENIEC. Gdzież te głosy lecą?

ALIGIER. Przed nami lecą, dokąd i my spieszym. —

Teraz podnieść się możesz, tu już nie brak przestrzeni.

MŁODZIENIEC. Słyszę jakoby szelest stóp wielu, gromadzących się tam, gdzieś, gdzieś daleko, naprzeciwko nas.

ALIGIER. Nie zwodzi się słuch. —

MŁODZIENIEC. Żeby światła choć trochę!

ALIGIER. Licz kroków jeszcze dziesięć — i stań!

CHÓR DALEKI. Jak z tysiąc, rozkołysanych myśli opatrzna Rada, jak z mnóstwa żądz młodzieńczych wielki, męski Czyn — tak z zamętu ucisków i prześladowań, ze zgiełku marzeń i wątpień i kacerstw wzniosła się Piotra moc. — On pierwszym, najstarszym sługą sług chrystusowych na ziemi.

Pod jego stopami królów korony i czoła — w kolebce, jego prawicą kołysanej, Narody-dzieciątka.

I rośnie sam Ciałem, deptając po Ciele!

— I stało się! — Oblókł się w szarłarłat! — Zwielmożniał! — Zrzymianił się! — I oto już teraz zacznie się jęk ludzki skarżyć nań. Więc słuchajcie i patrzcie, wy, co Teraźniejszość znać chcecie i Przyszłość odkryć z jej szczytów!

MŁODZIENIEC. Jaki widok! — aż strach, Aligier!

ALIGIER. Tak, nie inaczej, tak za dni Albigensów wyglądały prowanckie równiny!

MŁODZIENIEC. Stada kruków w tem lazurowem powietrzu! — Sród tych oliwnych drzew wszędzie trupy — trupy — a tam dalej zwęglone stosy i czaszki i dymu ostatek!

ALIGIER. Wnet i żyjących obaczysz. —

MŁODZIENIEC. W głębi tej jaskini, zda mi się, błysnęły gromnice.

ALIGIER. Zwykle takim pochodem ciągnęli kacerze — tak, z wnętrzności ziemi występując, światło dnia witali.

MŁODZIENIEC. Jakie wyschłe, ponure twarze — kaptury — habity — każdy z mieczem i puginałem — straszni!

ALIGIER. Masz ich prześladowane obrzędy: stają półokręgiem — spowiada się jeden drugiemu — tamci

znów ręce sobie nakładają i wzywają Ducha w milczeniu.

MŁODZIENIEC. Ale jakżeż pogrzebnie, jakby raz ostatni!

GŁOS RYCERZA. Lecę od wielkiej rzezi — koń mój pada już i ja z nim padnę też — okrążyli was rzymscy — nim dzień się skończy, koniec wam! — Bracia, do widzenia gdzieś!

GŁOS NIEWIEŚCI. Dziecię u piersi i pierś, katolicką przeszyto mi strzałą — nie dowlokę się już do was. — Bracia, do widzenia gdzieś!

GŁOS STARCA. Czterech synów mi wczoraj spłonęło na stosie — Duch z nimi, Duch z wami! — Noc całą szedłem — usiądę, by umrzeć. — Do widzenia gdzieś!

KILKA GŁOSÓW. Kiedyż Paraklet obiecany przyjdzie?

CHÓR ALBIGENSÓW. Dla nas dziś, bo umrzem dziś, a światu kiedy? Jeden Ojciec w niebiesiech i Syn tylko wiedzą!

KILKA GŁOSÓW. Więc już nam nie mieć jutra żadnego na ziemi?

CHÓR ALBIGENSÓW. Po lochach kajdany, na rusztowaniu topór — oto jutro nasze! Odchodząc, przekrzywione słowo Chrystusa zostawiamy Rzymowi — połączył się Rzym z przemocą okrutnych i świeckich i będzie gnębił po świecku, aż sam zgnębion będzie.

KILKA GŁOSÓW. Chrystus porównał sługi i pany, męże i niewiasty, a kościół ukamienował nas, żeśmy chcieli być wolni i równi!

CHÓR ALBIGENSÓW. Puhar niedopity życia wysuwa się z rąk naszych — inne usta ku niemu się nachylą. O Templaryusze, w ręce wasze składamy go — przejmijcie go od nas! — Wy obalicie niesprawiedliwość i gwałt — wy doczekacie się Ducha!

KILKA GŁOSÓW. Czemuż opuściłeś nas, Panie? Wszak my prawe syny Twe, a dajesz zwycięstwo pasierbom!

CHÓR DALEKI. Na ziemi Sierotą, a nie Synem Pana, kto żąda zawcześnie, bo ten nie zna przedwiecznej Mądrości!

Lecz zaprawdę pasierbem Pana, kto rzezią zawczesnę

morduje westchnienia, bo ten nie zna przedwiecznej Miłości.

MŁODZIENIEC. Jakież jęki, jęków tysiące — zewsząd następują jeźdźcy z kopiami — tratują i żną ludzi, jak kłosy! — Czemu mnie trzymasz, Aligier? — na obronę im — na obronę! Po hełmach książęce, hrabiowskie korony — i krzyż — miły Jezu, krzyż Twój! Jezus Marya! krzyż wszędzie i pod nim wszędzie ludzka krew! Stamtąd wieniec pożarów już równinę opłomienił — przysuwa się — ścieśnia — dym zamglewa mi oczy — dym już, tylko dym, jak kurtyna, przedemną — a za nią zgrzytanie, płacz i psalmów kilka i ot, ten jeszcze krzyk!

ALIGIER. To było, a nie jest!

MŁODZIENIEC. Co? — gdzie? — magnetyczna siła jakaś mnie obwiodła i nęka — myśl zaczyna mi się psuć. — Wszystko, co widzę, takie na jawie, tak żyje życiem, tak umiera śmiercią!

ALIGIER. Człowiecze, czyż nawet obrazu znieść nie potrafisz, kiedy rzeczywistość znieśli bliźni twoi kiedyś? — To krew idealna, a już bledniejesz?

MŁODZIENIEC. Bo cudza, nie moja.

ALIGIER. Obróćże się ku mnie — już niema prowanckiej równiny — patrz, więzienie tylko i lamp kilka grobowych — i Mistrz wielki, skazany — i bracia, co za nim pójdą na stos!

MŁODZIENIEC. Ileż mi się razy dziecku śnił na białych tych płaszczach czerwony krzyż ten — i potępiony zakon kochałem za to, że potępiony.

ALIGIER. A teraz słuchaj słów, które starzec wyrzekł w samą wigilią śmierci — powtórzy je zaraz ten siwy kształt jego!

MŁODZIENIEC. Ten, ten, co się przechadza śród okutych i milczących?

ALIGIER. Widzisz, zatrzymał się i wzniósł ręce w kajdanach — oto mówić będzie.

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA. Templaryusze, syny i bracia! Wszak świętym był pomysł i święty z niego miał wytrysnąć Czyn? Od morza do morza, od wschodu na zachód jedna Rzeczpospolita, a w niej Królestwo

boże na ziemi! Jako ja wam, i wy mnie świadczcie w ostatniej godzinie!

Wszak nie na błąd was wiodłem; a choć pomrzycie, nie oszukałem was! Wszak my byli, wszak my żyli tam, gdzie urodził się Pan i w powiewie wiatrów nad oliwnem wzgórzem my słyszeli głos Jego?

CHÓR TEMPLARYUSZÓW. I jasną nocą, koło Golgoty przechodząc, widzieli postać Jego.

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA. Nie ukrzyżowaną.

CHÓR TEMPLARYUSZÓW. Z gwiazdami u dłoni, z gwiazdami na stopach płynącą w powietrzu.

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA. A choć nie mówiła do nas słowem, słyszeliśmy Ją, myśl Jej słyszeliśmy — i wiemy odtąd, że nie tylo człowiek jeden — nie tylo zbiór ludzi — nie tylo naród i narodów kilka, aleć wszystkie, wszystkie razem, toć Kościół powszechny!

CHÓR TEMPLARYUSZÓW. Wiemy i świadczym. — Jednać owczarnia być ma i musi: Ludzkość — i jeden-ci pasterz: panujący Bóg.

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA. A dziś co? Papież i Król, Król i Papież, jak dwa miecze bolesne w sercu jednem, w sercu świata! — Wszystko rozdarte, co spojonem być winno. — Za grobem niebo wydzielone ucieczką nieszczęśliwym — obecny czas żywem nieszczęściem uczynion — niebo i ziemia odgraniczone na wieki. Tam wola Pana. — Tu wola Papieżów i Króli!

CHÓR TEMPLARYUSZÓW. A jako na niebie i na ziemi jedna tylko jest!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA. Amen. Lecz my nie ujrzemy tego — nam czas się pochylić i w popiół rozsypać a nieśmiertelnymi być. O, szkoda na wieki! Wszystko w pogotowiu czekało — Europa z tęsknoty i nadziei drżała! Bracia, w ręce rycerzy, co zostaną na ziemi, a już zwać się, jak my, nie będą, w ręce wiernych braci, w ręce Różokrzyżowców oddajmy puhar niedopity Życia!

CHÓR TEMPLARYUSZÓW. W ręce ich oddajem go.

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA. Amen. *Gloria Deo in excelsis!*

CHÓR TEMPLARYUSZÓW. Niech wyzwolą ciało wszelkie — proch marny niech im zadrga życiem — kruszec niech się każdy przezłaca im w ręku — potęgą cudu wewnętrzny z zewnętrznym niech pogodzą świat! Niech Duch im pocieszycielem będzie, im i wszystkim na ziemi!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA. Amen.

ALIGIER. Noc ich owiała — czas ich pochłonął — za czasem w pogoń, Henryku — za mną, za mną, dalej!

MŁODZIENIEC. Wszystkich przemian ból, wszystkich zgonów żal razem spada na nas tej nocy.

ALIGIER. Kto nie umarł wszystkiemi zgonami, nie zmartwychwstał wszystkiemi zorzami Ludzkości, kto nie dorównał cierpieniem jej cierpieniom i statkiem jej wytrwaniu, ten nie obaczy od wieków zgotowanego dla niej Wesela. — Kiedy ci mówię, chodź!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW. Ponad wiekami lecim i patrzym i płaczem. O biada, biada! Rozpadło się słowo boże! — Kościół w opokę stwardniał, a Ducha ludzkiego morze milionem fal skacze ku niej — to odpływa wstecz — to przehucza mimo. — Opoka tu, a fale tam!

O biada, biada! Europejski Gmach trzęsie się — nie wyrósł na katedrę ni też wybudował się cesarskim Pałacem — na poły księży i na poły świecki, nie dociągnion do niebios ni doparty do wnętrzności ziemi, on runąć ma — a co gwałtu, co rozdarcia i bólu i smętku i wojen!

O biada, biada! Król czy kapłan, czy gmin, każden w dniu zwycięstwa bezmiłosierny! — Probują się — i na przemiany jeden tratuje po drugim. Coraz mniej Chrystusa w świecie — mniej Ducha żywego!

CHÓR DALEKI. Dziecię dom opuszcza, gdy w niem lata zakipią młodzieńcze. — Mąż dopiero kiedyś powraca do domu. — I z Ludzkością tak — a jej domem Bóg!

MŁODZIENIEC. Wszak możemy stanąć? — Przecież tam światło się już pokazuje i pewno śmierć czyjaś się rozpoczyna.

ALIGIER. Nie smętnij mi tak!

MŁODZIENIEC. Duch ochotny, ale ciało mdłe.
ALIGIER. Ten tylko Duchem, Henryku mój, kto zarówno duszę jak ciało swe umie nawlec na Wolę swą — oto jak giętką rękawiczkę na dłoń!
MŁODZIENIEC. Znów inne, inne upiory stają mi przed oczyma — ni wiem, przed jakiemi: czy ciała, czy duszy — zda się, widzę — i nie widzę znów!
ALIGIER. A ja ci mówię, że widzisz. —
MŁODZIENIEC. Witam was, krągłe kapelusze i czarne płaszcze, z pod których długi miecz się wymyka! Witam was, kuźnie i miechy i tygle i młoty! To wy, syny Templaryuszów, Alchemicy, Czarnoksiężniki, coście ziemię nurtowali, aż runął tron Sztuartów!
CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW. Ciało, jeślić nie od Boga, a jest, więc samo Bogiem — a jeślić od Boga, więc bożem być musi — i, jako Pana twór, żyje i wzdycha do Pana. Pokój ciału wszelkiemu — długo przeklęte i uciskane, ono wznieść się chce, ono rozbłysnąć w złoto, rozkwitnąć w różę Alchemii!

— Wolność i natchnienie, oto prawa nasze! — Natura, oto siostra nasza żyjąca, urodziwa. — Jak Chrystus nas, tak my ją odkupim, i wyszlachetnieje w miłości naszej. — Pokój jej i ciału wszelkiemu!
CHÓR MISTRZÓW. Jeszcze nie czas, nie czas!
CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW. A my już starzy, już strawieni pracą!
CHÓR MISTRZÓW. Wprzód jarzmo, gdziekolwiek cięży, prysnąć musi — czy z dusz na ciało, czy z ciała na dusze — w Kościele — w Państwie — w Ludzkości!
CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW. Nadaremno więc my ufali wam — gasną wszystkie ognie nasze nagle — w żużlach nigdzie nie znalazło się złota — perzyny tylko wiją się w powietrzu — i my, jak one, rozwiewamy się! O Mistrze, wyście nam kłamcami byli!
CHÓR MISTRZÓW. Świętąśmy prawdę opowiadali!
CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW. Alboż w Domu wiecznym już przez Merkura księżyc w jedno połączon ze słońcem? Gdzież kamień mądrości? gdzie Umarłych wskrzeszony Cień?
CHÓR MISTRZÓW. Póki królestwa bożego niemasz,

póki nie zstąpił Duch, póty Cudu nie będzie, póty Natura i ślepa i głucha. Więc gotujcie ścieżki Duchowi, starajcie się o Sprawiedliwość na ziemi! Przetwarzajcie społeczny skład! Dobądźcie mieczów i ostrzcie sztylety!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW. O biada nam! — pomrzem, a nie obaczym końca! Kwiat wszelki i złoto wszelkie nie dla nas, nie dla nas! Jako przodki nasze, ci wielcy, ci umęczeni, od których idziem, i my nie dopijem puharu żywota!

CHÓR MISTRZÓW. Inni was zastąpią, jeśliście małej wiary i skrzepłego ramienia. Teraz lać krew i własną i cudzą potrzeba — teraz rządy kruszyć i głowy królewskie zdejmować z nad karku europejskich ludów — teraz Kościół nowemi rozdzierać bólami, by uczuł, że żyje i ocknął się! — Inny wiek, inny trud — naprzód więc!

MŁODZIENIEC. O biedne, blade mary! Dobyły mieczów, a wyleciały im z rąk — schylają się, padły na ziemię, rękoma wiążą stopy Mistrzów. O, nic nie pomoże, gdy czyją minęła godzina!

CHÓR MISTRZÓW. Widzicie sami, proch już, tylko, sypki proch z was! Nie opierajcie się — nie zwlekajcie! — Wymówcie z własnej woli słowo, które przelewa z przeszłości siłę Tajemnic na przyszłość!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW. W czyjeż, czyjeż ręce oddać trzeba puhar życia?

CHÓR MISTRZÓW. W ręce Braci Mularzy oddajcie go!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW. Amen. — Niech przyspieszą królestwo lat tysiąca — niech im u końca zawodu z serc nie wymknie się wiara i nadzieja, jak nam!

MŁODZIENIEC. Straszne konanie!

ALIGIER. Zwątpienie i śmierć to najwyższa próba Duchów — ostatnia, która przez nie zwyciężoną będzie! Gdyby jej nie było, o całe niebo zmniejszałaby zasługa ich — a bez zasługi, bez trudu jakżeż stać się sobą samym? jakżeż nieśmiertelnym być?

MŁODZIENIEC. Mistrze odeszli — a oni leżą rozciągnieni — ognie ich dogasają nad ciałami ich. Gdzieś,

pomnę, Kartuzów widziałem tak pokładłych na posadzce kościoła wielkiego.

ALIGIER. Pokój umarłym — idźmy w stronę, kędy Mistrze poszli — nie odwracaj się — już tam tylko ciemności!

MŁODZIENIEC. Mnie umarłych żal.

ALIGIER. O dziecię! Umarłych, których zostawiłeś z tyłu, jeśli odnaleźć chcesz, to nigdy się nie oglądaj, ale owszem, patrz naprzód! Patrz przed się, a już oni tam przerodzeni, żywi, na błoniach przyszłości!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW. Nad wiekami lecim i patrzym i płaczem.

Rozdzieliła się Dusza świata, Kościół się rozdzielił, a wszędzie, czy w Rzymie czy w Augsburgu, Dusza pokłoniła się Ciału — Kościół pokłonił się Królowi! A Ciało świata w jednego Ducha nie zlewa się z Duszą. — Spyszniało — chce samem sobą żyć — porosło w sto głów, w sto koron — król tu i owdzie — król wszędzie! — Imię Europy, to król!

Podwalinami ich tronów głowy bohatyrskie ścięte — i każden z tych Bogów ziemskich zapomniał o niebieskim, że wszechobecny — a że córką Jego Ludzkość — a że jej synami Narodowie i że syny ku matce iść muszą, aż ją odnajdą i u stóp jej polężą w radości!

O narody, o wy, światła na ziemi, gaśniecie, gaśniecie! Ze zwłok waszych marne zlepiają się mocarstwa, trupy, ruszane iskrą galwaniczną Rządów.

I wszędzie Gwałt — i wszędzie Mus — i wszędzie Bunt!

CHÓR DALEKI. Patrzcie i zważajcie! — Od krzyża, na którym skonał Pan, piekielniejszej zbrodni i rzewniejszej męki nie było na planecie tym. Tam Bóg zamordowan w Człowieku — tu Ludzkość w Narodzie! Ale ufajcie, bo nieskończoną Zbrodnię odkupić musi nieskończone Dobro! Z Męki bez granic w jednym, wstać musi Życie bez miary we wszystkich.

MŁODZIENIEC. Na Boga, na Boga, zewsząd, z góry, z dołu, z boków wytryskują lampy i wieszają się po ścianach — wszędzie czarne obicia, przesłony, srebrne

orły wszędzie — i zgiełk sztandarów karmazynowych i kiry przejrzyste, latające w powietrzu. Czyjże to pogrzeb? Czy wszystkich na świecie tym?

ALIGIER. Zaprawdę, że Człowieczeństwa.

MŁODZIENIEC. I rozstąpiła się ziemia — i wznosi się z przepaści katafalk — jakiż wysoki, wielki — a zakryte na nim Ciało!

ALIGIER. Ci trzej, co wstępują zwolna po wschodach katafalku, oni oderwą całun — i ujrzysz.

MŁODZIENIEC. Jakby karłów trzech drze się do tej ogromnej Postaci. Cóż to oni mają w ręku?

ALIGIER. Berła — ale, miasto krzyża, zakończone bagnetem.

MŁODZIENIEC. A na głowie jakieś bardzo duże perły i korale?

ALIGIER. Tak — skrzepłe łzy i krew ludzką.

MŁODZIENIEC. Już dochodzą.

ALIGIER. Odrywają — patrz!

MŁODZIENIEC. Archanioł w dalmatyce białej z własnych skrzydeł od ramion po stopy. Umarły Archanioł, o Boże! — i skrzydła, spięte na piersiach trzema rękojeściami trzech mieczów, wbitych, jak trzy wielkie krzyże, w pierś!

ALIGIER. I to Imię ponad nim, napisane krwią świetlaną w powietrzu!

MŁODZIENIEC. Ah! — chciałbym ustami dotknąć się tej tęczy z krwi! — muszę coś pocałować — muszę choćby ziemię przed tem Imieniem!

ALIGIER. Podnieś się!

MŁODZIENIEC. Nie — chcę krzyżem leżeć — to mój, mój Archanioł, i ja wiem, że on nie umarł — trupy takiem światłem nie zieją wokoło. — On śpi tylko! — przezeń Bóg do mnie mówi i mówić będzie. — Ja z niego — ja cząstką tej bożej Piękności — tej świętości — tej sprawiedliwości i bolu! — To Ojciec mój i Matka moja — to moje wszystko! — Czemu mi nie dajesz spocząć w prochu? — nie zrywaj mnie tak!

CHÓR KARŁÓW. Zakryć znów całunem! zakryć i zakryć, bo oddycha! — a póki oddycha, porządku nie

będzie — pokoju nie będzie — nie zeżniem naszego żniwa i na snopach z ciał ludzkich nie zaśniem.

MŁODZIENIEC. Ani na chwilę jedną nie zaśniecie nigdy, ni tu na ziemi, ni tam w grobie. Nieśmiertelniście przez zgryzotę i hańbę, jako inni bywają przez wesele i chwałę!

ALIGIER. Widzisz, jak drżą i trzęsą się?

MŁODZIENIEC. I znów mi zakryli dobro moje, kształt mój wszechpiękny!

ALIGIER. Tyś wstał, a oni poupadali i tarzają się w prochu.

CHÓR KARŁÓW. Kiedyż, kiedyż przestanie serce bić w tej piersi, pod temi ostrzami trzema? Co chwila berły naszemi, jak młotem, przybijamy te rękojeści, a to serce je zawsze odpycha — i te skrzydła takie niepokalane, choć my je krwi potokami obleli. Co to znaczy? Miałożby być prawdą, że Duch czyjś, a nie ślepy Los rządzi światem tym?

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW. Nieprawdą! — Nieprawdą! — ni wierzcie — ni marzcie! Jest tylko Ciało czujące i przypadkowy Traf i Odmęt. — O Bogu myśl, to gorączka ciał — a mądrość ciał, to rachuba, to porządek, to władza na ziemi. Ze śmierci wielu żywot kilku jest. A ci kilku żyją, bo zabić umieją. Zabić, to owładnąć zamętem!

CHÓR KARŁÓW. Nazad spokój zstępuje nam w piersi.

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW. Światło z niebios, o najprzejrzystsze, najczystsze, spłyń zewsząd i, jak fale niosą, unieś, o, unieś Tego, który śpi do czasu!

MŁODZIENIEC. Niech się przyczepię do tych mar! niech mnie ten potop światłości zabierze ze Świętym moim razem! O Aligier, puść mnie!

CHÓR DALEKI. Od dnia śmierci Sprawiedliwego nie spocznie europejski świat, aż sam sprawiedliwym się stanie. Jak człowiek, któremuby wydarto serce, tak będą wszystkie narody bez tego narodu. Żyją, a wiecznie im życia brak. Są i nie są, bo nie mogą według bożej Myśli być. — I lud każden w rozpaczy będzie — i król każden w przerażeniu — i trząść się

musi ziemia pod krokami ich, a oni zataczają się po niej, pijani sumienia wyrzutem!

MŁODZIENIEC. A ci trzej gdzie?

ALIGIER. Nie światło ich zabrało — gdzieś musiały ciemności!

MŁODZIENIEC. Czemuż żaden piorun ich nie rozgniótł?

ALIGIER. Gdyby zaraz zginęli, nie podkopaliby sami własnego dzieła i ono puścizną po nichby zostało w świecie. Źli muszą być samobójcami własnego Złego! Na toć to, na to dni im przedłuża Pan, szydząc z nich, a miłosierny nam!

A teraz inni nadchodzą. — Słyszysz te dzikie wrzaski? Inni, nienawistni im, a wzbudzeni przez nich i równi im, bo światło, co świeci każdemu, Chrystus zgasł także w ich duszach. — Uważaj!

MŁODZIENIEC. Jakież mnóstwo! jakiż rozmaity strój!

ALIGIER. Ci pierwsi, z wzniesionemi szpadami w stalowe sklepienie, to Ucznie i Czeladniki — a Majstry mularze, widzisz? z tyłu idą, niosąc Biblią, węgielnice i cyrkle.

MŁODZIENIEC. A owi w kapłańskich szatach?

ALIGIER. Należą do stopnia Wybranych.

MŁODZIENIEC. A ci znów, z trupią głową i kośćmi i krzyżem na piersiach?

ALIGIER. Kawalery szkockie.

MŁODZIENIEC. Czyż to znów inni, ci kilku, ci ostatni, w płaszczach, co od krwi kapać się zdają?

ALIGIER. Najwyżsi Mistrze Illuminaci — a nazwisko ich: Odrodzeni.

CHÓR WSZYSTKICH MULARZY. *Mak benak!* ciało odpada od kości! *Mak benak!* Zwycięstwo lub śmierć! *Mak benak!* Wolność i równość!

CHÓR ODRODZONYCH. Zbliża się wyroczna godzina. Strach ogarnie kulę ziemską — rozedrze się w starej świątyni spróchniała zasłona. Przysięgacież nam na wierność do śmierci?

CHÓRY INNE WSZYSTKIE. Przysięgliśmy, przysięgamy, przysiężem!

CHÓR ODRODZONYCH. Dzisiaj nienawiści trzeba;

praca nienawiści, to nienawidzonych zguba! Bez litości będziecież ich gubić?

CHÓRY INNE. Będziemy.

CHÓR ODRODZONYCH. Wieki marzyły o duszy, a nie zdziałały nic. — Zacznijmy od ciała! — Nieskończony Ucisk tłoczy je.

CHÓRY INNE. Ciało, ciało wyjarzmiajmy wszelkie!

CHÓR ODRODZONYCH. Co w niebie, o tem nie wiemy nic — co na ziemi, to widzim, to czujem, to cierpim, to nas pożera i usychamy. By przepis chrystusowy mógł się urzeczywistnić, mniej dbajmy o tych, co noszą chrystusowy znak! To kłamcy, to szalbierze! Ich obalić, ich zatracić, a zacność moralna wcieli się już nie w usta kiku, ale w rozsądek wszystkich.

CHÓR WYBRANYCH. Rozsądek, to Ludzkości obiecany, jedyny Król!

CHÓR ODRODZONYCH. Przed nami więc idźcie przewodem! — My wami kierujem, wy losami ludów — kto z nami, ten nasz — z tym filantropicznie! — kto przeciwko nam, ten nie człowiek! — Z nim, jak ze zwierzem — kuć go i wiązać i wodzić i biczować — a wreście i zarznąć, jeśli zarznąć trzeba!

Teraz oto istna pora zapasów — miękkich włókien w sercu nie mieć! Tron, to deski i klej — Ołtarz, wapno i gruz!

CHÓR WSZYSTKICH MULARZY. *Mak benak!* Szkielet tylko zostanie nagi z europejskiego społeczeństwa — a my nowem mięsem i nową nawleczem go skórą — na ruinach wybudujem . . .

CHÓR ODRODZONYCH. O tem milczeć! — o tem my jedni wiemy! By stanąć mógł Salomona kościół, nasamprzód dawne gmachy zrzucić trzeba.

CHÓR MULARZY. Zrzucajmy, zrzucajmy! Naprzód — naprzód!

ALIGIER. Idźmy za tym orszakiem!

MŁODZIENIEC. Wszak już blizko nam do nas samych?

ALIGIER. Ot, tam, tam na końcu, w tych mgłach, wiszących za temi rzędami lamp, dni już nasze się kołyszą — ale od nich dzieli nas jeszcze potop klęsk i olbrzymi jeden Duch.

MŁODZIENIEC. Czyż koniecznie musim przejść przez to morze krwi i łez?

ALIGIER. Ni serca przystaniem ni rozumu — ale stopami musim — ale oczyma musim. — Nie wzdragaj się!

MŁODZIENIEC. Wszak się nie mylę — to Giliotyny? — W miarę, jak ciągnie orszak, z obu stron się podnoszą — ulica z Giliotyn! jaka długa — długa! — wszystkie w ruch się wprawiają — tu, tam i znów tu i znów tam i ówdzie noże łyskają, spadają! Z pod każdej błyskawicy głowa leci jedna. — Ileż nożów! — ileż głów ściętych! — niepodobna przejść!

ALIGIER. Oprzyj się na mnie!

MŁODZIENIEC. A ci dalej kroczą — zaczynają śpiewać!

ALIGIER. Pamiętasz? — dusza, gdy się rozwstrętni do ciała, ucieka na Tebaidę, wycofuje się od społeczeństwa ludzi, ah! nie żyjąc w innych, płacze nad sobą i więdnie! — a teraz patrz, czem ciało, gdy się oderwie od duszy, jak wścieka się i morduje! Tam i tu pełnej Miłości brak. — Tam samobójstwo, a tu zabójcza rzeź!

MŁODZIENIEC. Samobójców od zabójców wolę.

ALIGIER. O, Duchów przekładaj żywych — bo pora ciał i pora dusz minie, a Ducha uderzy godzina! — Tamte były tylko przedchwilami tej.

MŁODZIENIEC. Rozkaż — uproś, by mi te głowy do stóp nie leciały tak — choć każda rozemdlewa się, jak sen, źle mi, źle mi bardzo, o Aligier!

ALIGIER. Iść musim, iść musim przez królestwo zbuntowanych ciał — póki nie przejdziesz, ja cię nie poratuję. — O, wstrzęsły się posady świata. — Wieków cierpienia nagromadzały się powoli i cicho, aż buchnęły wulkanem! Raz tak było — musiało być — ale, o Boże Panie, o Wszechduchu Duchów, wszak nigdy się już nie powtórzy tak zwierzęcy dzień i zbrodnia takowa?

MŁODZIENIEC. Mdło mi — mdło! Co za ohydne larwy! co za katów posępny rząd! każden przy swojej pracowni! — i te kosze zbroczone, pełne — i te sine kadłuby — i ludu bałwany pstre, huczące z boków — co siekier, dzid, pałaszy! — a ten orszak zawsze taki sam, spiewny taki, świąteczny taki! — idą, idą coraz

dalej — sypnęli teraz kwiatami śród tego motłochu i trupów tych!

ALIGIER. Zbierz myśli — uważaj, jaki wyraz na tych wszystkich twarzach!

MŁODZIENIEC. Strach na ich czołach kipi! Strach z ich włosów się wyjeża! Strach z ich krwi pluska! Wszędzie Strach, jeden wielmożny Strach tylko! O, wstyd wieczny wam, żeście się mniej lękali Zabójstwa lub Śmierci, niż Strachu! Jedne tylko te noże nie drzą i nie bledną! — Podnoszą się i spadają zawsze równo! — ah, jakie czerwone, kapiące, bryzgające — o Boże mój! o Boże mój!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW. Biada dniom onym! — W imieniu Boga królowie jedną z Myśli świętych Boga, Naród śród Ludzkości żywy, rozćwiertowali — a teraz w imieniu Człowieka lud zarzyna króle i kapłany i wszelką władzę ludzką! — O biada, biada!

MŁODZIENIEC. Dzięki wam, nadpowietrzni! Teraz przejdę tą ulicą z rusztowań i nie upadnę. — Bliższych mi ojców i braci zabito — ukochańszych Duchów straciłem! — co mi do ludzi tych? — przecież w grobie i Archaniół mój!

CHÓR MULARZY. O Odrodzeni! o Mistrze najwyżsi! niema już komu i niema już kogo zabijać! Od pracy rumianej ręce opadły robotnikom i z nich każden położył się na rusztowaniu swem. — Czy słyszycie nad szmerem spływającej krwi ciężkie chrapanie katów?

CHÓR ODRODZONYCH. Idźcie dalej!

CHÓR MULARZY. Gdzie? — nie wiemy. — Dwie ostatnie Giliotyny tu stoją, a za niemi Ciemności! —

CHÓR ODRODZONYCH. Dalej — zawsze dalej!

CHÓR MULARZY. Nic się nie naprawiło dotąd ni dla ciała, ni dla duszy — pusto i smutno — para z krwi ludzkiej mgłą posępną wstaje naokoło nas — ślepniemy!

CHÓR ODRODZONYCH. Nie wszczynaż się tam choć jedna ścieżeczka? Nie błyszczyż przed wami choć jedno światełko?

CHÓR MULARZY. Nic nie widzim — tylko coraz ciemniej i wokoło nas i w nas samych!

CHÓR ODRODZONYCH. Budźcie śpiących! Budźcie robotników!

CHÓR MULARZY. Nikt się nie przebudza! Umarli bez głów leżą, jak drewna i głazy — żywi tak samo w letargu; co poczniem? co? — Za nami Śmierć głucha, przed nami Nieurodzonego Coś, jakoby Nicestwo! Gdzie wy nas zagnali? gdzie my jesteśmy? czem my? gdzie Bóg? gdzie ziemia? gdzie niebo? Czyż wszystko tylko Snem, pełnym złości i bolu?

CHÓR ODRODZONYCH. Nie płaczcie jak niemowlęta! — nie rozciągajcie się w cieniu rusztowań, po bruku! Stójcie na nogach! — Stójcie przez chwilę jeszcze!

CHÓR MULARZY. *Mak benak!* I nam już ciało odpada od kości! *Mak benak!* I my spocząć chcemy — choćby oprzeć głowy o głowy ścięte i pokotem leżeć z trupami a zasnąć! A wy bądźcie przeklęci, bo zdołacie śmierć roznosić, jak Bóg, ale, jak Bóg czyni, nie umiecie ani wskrzeszać, ani tworzyć! Przekleństwo wam, nie mogącym nic!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW. Oto zmiłuje się miłosierny Pan! — Wstańcie, wszystkie myśli Umarłych! wszystkie sny Spiących, gromadźcie się! Wszystkie tęsknoty pokolenia tego, wy niedoszłe, wy przerwane, wy, coście pragnęły, a nie podołały, zerwijcie się i krążcie nad krwi morzem tem!

MŁODZIENIEC. Czyż Sąd ostateczny się zaczyna? Ezechielaż wraca mi widzenie?

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW. Krążcie i zmięszajcie się — umiarkujcie się i przeniknijcie nawzajem — aż staniecie się duszą jedną i Wolą jedną i Czynem!

MŁODZIENIEC. Z głów tych, z tych piersi, z ciał tych wszystkich coś wybłyska — co chwila wzbija się i wiruje — to tli, to zagasa. — Jak ptaki nocne, polatują jakieś mnóstwa w powietrzu — słychać szum, a nie widać skrzydeł.

ALIGIER. Tak, na tej ziemi jeszcze serca tych, którzy

zniknęli, odżywają i przelewają się w innych. Toć pierwsze Zmartwychwstanie — a wtóre dopiero na dniu ostatnim Człowieczeństwa, kiedy każden znów o sobie powie: — »To Ja!« —

MŁODZIENIEC. Gdzie Giliotyny? gdzie czerwone kałuże? gdzie lud ten cały, co leżał na dole? Wszystko w górę wyparowało, jak w dzień letni po burzy — a w górze niby iskry przewiewne, niby perzyny, wyziewy, orkany, niby elektryczne, wężujące nurty! Gdzie my się dostali? — jakiż to nadpowietrzny świat?

ALIGIER. Alboż nie widzisz, co się dzieje? jak z żywiołów tych jedna Siła i kształt jeden promienisty się tworzy?

MŁODZIENIEC. Coś takiego, coś takiego!

ALIGIER. Coraz wyraźniej! — Nie poznajesz-że już postaci tej?

MŁODZIENIEC. Na tle odmętu on jeden, on jeden — taki całki — taki jasny — z orłów złotych, rozskrzydlonych żywy namiot ponad głową! — Uśmiech jakoby dobroci na ustach, a grom, zda się, wyskoczy ze skroni! — To Cesarz! — to Napoleon!

ALIGIER. To dusza Napoleona, w świecie dziejów ludzkich — jedna, a wieki zawierająca — jedna, a wszystka — Idea z milionów myśli, drgająca, wcielona! — a teraz Pan jej powie: — »Idź naprzód!« — i nic i nikt jej nie wstrzyma — i pójdzie — i drogę dalszą znajdzie wśród ciemności!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW. Kto mu równy z tych, co przemijali dotąd? Wszystko, co kiedykolwiek istniało w rozdziele, danem mu w spójni przedziwnej — i ciało Pół-bogów dawnych, niestrudzone, bezsenne, urodziwe — i dusza chrześcijańska bezdenna, a tęskna i rzewna — i Duch twórczy, czasu i przestrzeni magnetyczny Pan!

Wszystkie losy ludzkie w nim jednym się zbiegną! — Wszystkie trudy i tryumfy — potęgi i klęski — wesela i nieszczęścia! Jak świat z niczego, prosto z Boga stworzon, tak i on śród ludzi z niczego zjawi się i wzniesie! Bohatyrem będzie, jak grecki Aleksander — Imperatorem tak, jak rzymski Cezar — Męczennikiem,

jak Święty z pierwszych chrystusowych wiosen! I umrze, jak Mojżesz, sam jeden w obliczu Pana, umrze, prorokując o woli Pańskiej nad dniami przyszłemi człowieczego rodu.

MŁODZIENIEC. W słup ognisty skrzącemi skrzydły związały się orły — otoczyły go — palą się i kręcą — on z wiru tego wyciągnął rękę i, porwany, leci. — Miecz w ręce tej, jak płomień — Nicość się rozświetla — przestrzeń błękitnieje — znów w dole postaci ludzkie kształcą się, wyrastają, kupią. Widnokrąg coraz nieskończeńszy przed nim!

ALIGIER. Nie przed nim — bo on musi się rozwiać, ale przed temi tłumami, których on na chwilę Pasterzem!

MŁODZIENIEC. Co za organów olbrzymich śpiew?

ALIGIER. Słyszysz grzmoty bitew jego, przemienione w Harmonią wspomnieniem.

MŁODZIENIEC. Co to za czarne tam roje, czy warstwy takie niewzruszone?

ALIGIER. Widzisz, że w miarę, jak się Postać zbliża do nich, one zaczynają świecić się i ruszać?

MŁODZIENIEC. Prawda — jak żywe mielizny — i krzyki z nich się wzbijają — i błysk stali z nich tryska — rąk tysiące, tysiące widzę podnoszących się!

ALIGIER. Nie zasnęłyż były narody? Nie zasklepiłyż się były, jak gąsienice, one myśli boże w Europie?

MŁODZIENIEC. Z góry, ramionami, jakby magnetyzował je, przechodząc — jedne idą za nim — drugie zrywają się przeciwko niemu!

ALIGIER. Wszystkich, tych czy tamtych, on Wskrzesicielem. Odtąd ni króle ni ludy już władzy nie dzierżą — ale Narodowości i Ludzkość, a w imieniu Pana!

MŁODZIENIEC. Patrz, patrz! I on już blednie, choć coraz dalej leci — i on już blednie — już skręca się na dół! — Podbieżmy za nim!

ALIGIER. Nie dogonim tej postaci — przeżyty jej czas, odbyty jej trud — i Wieczność ją woła!

MŁODZIENIEC. Wirujące orły odpadają! Jak słońce nagie, sam pozostał — i zapada coraz niżej — niżej —

huki i wrzawy cichną. Widnokrąg zamierzcha znów. — Noc już teraz i milczenie — cóż dalej?

ALIGIER. My, bo chwila nasza uderza. Dosłuchaj tylko jednej zwrótki jeszcze!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW. Wyjrzyjcie z wnętrzności ziemi, wy, coście do nas się schronili, gdy Tytan zmiatał was, jak śmiecie, z nad europejskich niw! — Czas wam powrócić do dawnych dziedzin — spieszcie się nazad, o, spieszcie!

ALIGIER. Przypatrz się tylko, co za kształty jadą na tych trzech koniach, całe okłamione purpurą i szychem!

MŁODZIENIEC. Korony wysokie — długie berła, okręcone różdżką oliwną — płaszcze niżej strzemion, aż po ziemi się wloką!

ALIGIER. Teraz przeciągają blizko — wnurz oczy w nich!

MŁODZIENIEC. Ci sami trzej — tylko się nadęli, wspięli, rozdłużyli — obrzydliwe karły!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW. Nie jawnym już gwałtem, ale skrytym a wiecznym pracujcie — Święty pokój ogłoście — świętym skojarzcie się sojuszem! — Wszystko, co z was, niech zwie się święte! — święte! — święte!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW. Usłuchajcie prawdy — a może jeszcze dorośniecie miary człowieczego wzrostu! Jedziecie na wielką naradę. — Bądźcie sprawiedliwi!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW. Sprawiedliwości pokostem niesprawiedliwość umalujcie wszelką!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW. Jeśliście chcieli zabić to, co nieśmiertelnem, wyznajcie winę! — Nie dobijajcie, ale wróćcie Życie!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW. Udawać, udawać, że się wskrzesza zabitych — że się żałuje morderstwa!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW. Jako Chrystus kazał, bądźcie pierwszymi sługami Narodów, a nie pójdziecie w pogardę!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW. Tuczcie ludzi na karmne bydło — a sami wtedy tłuste szyje oddadzą w jarzmo wam!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW. Stańcie się Budownikami Woli bożej na planecie tym — w każdym kształcie społecznym uwidomcie wiarę — nadzieję — miłość!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW. Dyplomacyą — Policyą — Żandarmeryą!

MŁODZIENIEC. Zatrzymali konie — podali sobie ręce — słuchają.

ALIGIER. I przysięgają sobie.

MŁODZIENIEC. Tak cicho, że nic nie słychać.

ALIGIER. Gdyby na zacność i rozum i cnotę, toby głośno przysięgali.

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW. Ot, tak — dobrze tak — a teraz ruszajcie — lećcie, jak strzały zatrute — a dalej — a dalej!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW. Daremno! — Wężowego splotu rąk tych trzech żadna nie rozwiąże przestroga! — Ślub nierozerwalnym — lecz zaślubieni poginą.

MŁODZIENIEC. Poginą! — kiedyż? — Wszak od dość dawna już archanielska krew woła przeciwko nim! — Darmo przytulasz mnie do piersi, Aligier; dreszcz lodowaty mnie gnębi — ah, już żaden obraz nie tworzy się więcej — nic — już nic — tylko loch ten ogromny, podobny do grobu bez końca! Bohatyry, proroki, święci, szli i przeszli i zaginęli! Karły jedne trwają — ostały się — żyją! — O Aligier! Tylu natchnień i wieków takież więc rozwiązanie? A to nie mara ni sen. Jak tu, w tych głębiach, tak i tam, na równinach ziemi, martwo — ciemno — podle! — Mierność i Złość siódmym dniem Człowieczeństwa! Oto odpoczynek, dany nam!

ALIGIER. Nie bluźń, dziecię! — Niedziela człowieczeństwa to przemiana — to zmartwychwstanie ciał — to Anielstwo! Daleko jeszcze ludziom do niej! — Nie wiesz, co mówisz — nie wiesz, na jakiem miejscu drogi stoisz i ku czemu idziesz — ale oto dowiesz się!

MŁODZIENIEC. Alboż to nie nasz wiek już?

ALIGIER. Nasz — tak, jak wygląda, ale nie tak, jakim jest.

MŁODZIENIEC. Co mi wskazujesz?
ALIGIER. Z tej strony te dwie rozpalające się pochodnie.
MŁODZIENIEC. Jak dwa smutne księżyce! — ah, widzę jakieś drzwi ogromne pod niemi, drzwi żelazne w murze.
ALIGIER. Zbliżajmy się powoli — czytaj ten napis srebrny w górze!
MŁODZIENIEC. *Gens aeterna, in qua nemo nascitur.*
ALIGIER. Tu dopiero koniec przeszłości. — Za temi progi Teraźniejszość się wszczyna i zgromadzenie żywych Duchów marzy o tem, co stać się *ma*, bo stać się *powinno*.
CHÓR DALEKI. Witajcie, wy, co przystępujecie do obecnych czasów — wy, coście odbyli podróż wraz z Pielgrzymkami, Anielicami Pana — z Ideami Ludzkości!
MŁODZIENIEC. Jakżeż te głosy rosną — zbliżają się — mnożą! — Zda się, już obok nas brzmią te struny i spiew ten się rozlega!
ALIGIER. Sciana ta tylko od nich nas dzieli.
CHÓR. W imieniu Pana u tych podwoi przyjmujem was — a Pan troisty, choć jeden — i dzieje Planety troiste, choć jedne!
MŁODZIENIEC. Takich tonów nie słyszałem nigdy — powietrze całe w muzykę się rozedrgało. — Hymn ten w serce zstępuje, jakby wszystkich jęków serca Dźwięk Odkupiciel!
CHÓR. Nadchodzi wreście obiecany Dzień! — Wiek, który zwie się Pocieszycielem! Godzina, która zwie się Dopełnicielką! Nie na zawsze Chrystus był odjęty nam — nie na zawsze Światło Żywota zaćmione! — Oto uwielbion będzie przez Ducha Syn, a Duch z Ojca i Syna jest i obu miłośnie kojarzy!
MŁODZIENIEC. Kończyłem się już — a teraz znów w piersiach Nieskończoność czuję! O, błogosławione akkorda!
CHÓR. A jako w niebie, tak i na ziemi!
Wszystko, co przeszło, a bolało przechodząc, wróci, ożyje, podwyższy się, ale boleć już nie ma!

Myśli rozbratane, czyny sprzeczne, kolejne wieki uwielbią się i pokochają nawzajem.

Trzeciem Wszechmiłości tchnieniem Pan upomni się o planetę Swego — o ród człowieczy Swój upomni się Pan!

ALIGIER. Zapukam — drzwi się otworzą — ty zaraz wchodź za mną!

MŁODZIENIEC. Gotów jestem, jak do nieba! — ah, jeśli wszystko ma się ku odżyciu, toć i Archaniół mój!

CHÓR. Pokój nasz dajemy wam. — Wejdźcie!

Scena druga w weneckich podziemiach.

Ogromna sala. — Ściany i sklepienia obwieszone lampami. — W głębi na tronie wyniesionym PREZES *w todze białej — po prawej stronie mównica, wystająca ze ściany, ze wschodami. — Wzdłuż ścian po obu stronach* CHÓRY NARODÓW, *każden w barwach swoich.*— PANKRACY *na czele chóru polskiego.* — ALIGIER — MŁODZIENIEC.

CHÓR NIEWIDZIALNY. Kogóż wprowadzas do Zboru? czy tylko nie ciało, pozbawione duszy?

ALIGIER. Takie ciało kamieniem spiącym — kamienia nie wlokę za sobą, o ukochani!

CHÓR NIEWIDZIALNY. Może duszę bez ciała?

ALIGIER. Taka dusza czemsiś, co niczem, jak sen. — Snu nie przynoszę wam, o ukochani!

CHÓR NIEWIDZIALNY. Czem więc ten, który stoi za tobą?

ALIGIER. Żywym Duchem. — Duchem bez początku, bo z Pana wyszedł — i bez końca, bo ku Panu dąży napowrót, a nigdy nie stopi się z Panem. — Na pielgrzymkę nieskończoności duszę i ciało mu dano — on ciągle jeden, ten sam, niezatracalny — one tylko umierające i odżywające naprzemian. — Kiedyś, kiedyś on wraz z wami zrzuci ludzki strój i inny, wyższy przybierze w dzień ostatni przypomnienia i Sądu. Lecz wprzód losy planety, wspólne nam wszystkim, rozwiązane być muszą — i on wstępuje między was, by pracować i przyspieszyć wraz z wami wszystkie

dni poprzednie, wielkie, nadejść mające. — Ja was proszę, ja wam mówię: przyjmcie go!

CHÓR NIEWIDZIALNY. Niech nam powie imie zasłużone, święte, którem go ochrzcono, gdy człowiekiem się rodził!

MŁODZIENIEC. Henryk.

CHÓR NIEWIDZIALNY. Niech wyzna imie zbiorowe Duchów, dla których Pan chciał, by żył i umierał na ziemi, kiedy mu śród nich narodzić się kazał!

MŁODZIENIEC. Polska.

CHOR NIEWIDZIALNY. Nadpowietrzny chór przyjmuje cię, ni żąda żadnej od ciebie przysięgi. Tem, że jesteś, tem, że wiesz się Duchem, już przysiągłeś na wierność i Panu i człowieczeństwu i prawdzie. Tobie, nie im, biada, gdybyś upadł, gdybyś zwątpił, gdybyś zdradził. Teraz niech cię ziemskie głosy witają!

CHÓR IRLANDZKI. My, pierwsi na ziemi zrzucający jarzmo białemi rękoma — my, z wdzięczną wieścią przychodzący, że już miłosierni i cisi zaczynają zwyciężać, pozdrawiamy cię! Ufaj harfom tym — każda struna w nich mieczem — i one zdobędą wolność katolicką Erynu!

CHÓR WŁOSKI. My, trupy, do dna grobu przyparte podwójnej chwały popiołem i przykryte lazurami niebios, my, pragnący po raz trzeci żyć, pozdrawiamy ciebie — ufaj czarnym płaszczom naszym, choć to pogrzebu znak — i zielonym czapkom, bo to wiosny przeczucie!

CHÓR GERMAŃSKI. Rozdzieleni w ciele, ale jedni Myślą, my, Idei kapłany, my, co byli, a nie żyli, my, pragnący żyć, pozdrawiamy ciebie! Spójrz na nasze włosy i brody pierścienne — u greckich mędrców podobne się wiły — i ufaj tym rapierom, wziętym po gockich naddziadach!

CHÓR FRANCUSKI. Żyjący pozdrawiają ciebie.

CHÓR SŁAWIAŃSKI. O, wielu, wielu nas jest, jak fale wezbranych, jak dzieci tęskniących z kolebek ku słońca promieniom — a wszystkie kolebki nasze takie podobne do trumien! Sami nie wiemy, czy się rodzim, czy zmartwychwstajem, ale słyszym Głos, co

nas woła. Więc podnosim się, patrzym — a oto przed nami olbrzymi grób od morza do morza! — Niechże za nas odezwą się do ciebie ci, którzy w grobie tym — bo oni tam nie pokładli się na sen! Od lat stu ciemność im światłem — śmierć żywotem — rozpacz nadzieją. Naród-Król nas wszystkich, Naród-Duch plemienia naszego niechże wita ciebie!

CHÓR POLSKI. Trzykrotny bracie nasz, Duchu śród Duchów, Człowiecze śród Człowieczeństwa, synu Polski śród synów jej, pozdrawiamy cię! A jako Duchem teraz tylko pod postacią człowieka, tak wiedz, że człowiekiem ci być się godzi teraz tylko pod postacią Polaka — inną wdziej, a niżej bydlęcia upadniesz! Zawrzej więc w jednej piersi twej zarazem żywych i umarłych wszystkie potęgi! Obchodź się bez niczego, jak trup! O żadną próżność ni zysk ni pychę nie dbaj, jak trup! Wrzkomo żadnego bolu nie czuj, choćby ci gwoździami serce przebijano, jak doskonały trup, a wiecznie miej się do czynu, jak żywy, kochaj braci, jak żywy, jak żywy ufaj w Boga żywych! A teraz idź ku tronowi i przystąp i słuchaj!

PANKRACY. Wprzód jeszcze z rąk moich weź biały płaszcz i karmazynową czapkę.

ALIGIER. Wdziej, coć dają; to znak, że do ich grona należysz!

MŁODZIENIEC. I ty już tak?

ALIGIER. Przecież i ja do nich, dopókim na świecie, się liczę.

MŁODZIENIEC. A teraz?

ALIGIER. Tak, jak ci kazali, zbliż się do tronu!

PREZES. Patrzałeś na mary tych śmiałych, którzy po wszystkie czasy w głębiach ziemi opierali się rządzącym jej powierzchnią. — Niemi otoczony, przez dwa światy, co przeszły, przeszedłeś. Zrozumiałżeś, czem przedchrystusowy, czem pochrystusowy wiek? czego pragnęli w prawdzie tęsknoty wiecznej, a w fałszu nieraz użytych środków owi wszyscy tajemni, wyrywający się ku coraz dalszej przyszłości? — Mów, coś widział tej nocy!

MŁODZIENIEC. W pierwszych jej godzinach widziałem

ciało pogańskie wszelkie, tęskniące do chrześcijańskiej Duszy, aż dostąpiło objawu Niebianki.

PREZES. A w następnych?

MŁODZIENIEC. Widziałem rój myśli świętych, rozwieszon nad światem. — Lecz nie spuszczały się na dół, by osypać ziemię — niebieskie, kwitły tylko w niebiesiech.

PREZES. Dobrze, synu; i cóż stąd? wszak nie na tem był koniec widzeń twoich?

MŁODZIENIEC. Wtedy mnie otoczyła rozpacz ciał wszystkich — dawniej duszy nie znały, a teraz już urodziła się im — widzą ją nad sobą, a nie mogą jej do piersi ściągnąć — więc zaczną płakać, więc zgrzytać — więc i krwią pluskać.

PREZES. Umarłych zrozumiałeś skargi. Starożytni wyglądali dusz powszechnego kościoła — nowożytni powszechnego społeczeństwa ciał — a możeż jedno bez drugiego być? a ze zlania obu czyż nie trzecie wstanie? I tamtym i tym połowy tylko rozłożone Ludzkości, nie wszystka Ludzkość w sercu biła — połowy, to złudy, a czasem i zbrodnie. Całość tylko Rzeczywistością na ziemi, w niebie. — Wszak wiesz o tem?

MŁODZIENIEC. Wiem, Ojcze.

PREZES. Odpowiadaj dalej! Czy wierzysz w Ojca, w Słowo, w Ducha Świętego, w oną Trójcę przedwieczną, na której podobieństwo i obraz, Wszechświat i każda cząstka jego i każden z nas i wszelki drobiazg i wszelka arcy-potęga — kamyk czy Seraf — dostały w dziale Byt, dostały w dziale Myśl, dostały i Zycie?

MŁODZIENIEC. Wierzę w Nią.

PREZES. I wierzysz, że Słowo stało się ciałem, że mieszkało między nami?

MŁODZIENIEC. Wierzę.

PREZES. Jeślić człowiekiem był Chrystus, więc zjawił się na pewnem miejscu i o pewnej chwili. Jeślić Bogiem, to panował wszystkim miejscom i czasom. Jeślić Bogiem-człowiekiem, toć musiał ogarniać wszelkie losy planety tego. Czy pamiętasz, jak w wigilią męki

prorokuje o przyszłości człowieczeństwa, gdy oznajmuje ukochanym, że kiedyś Pocieszyciel przyjdzie?

MŁODZIENIEC. Obietnicę pamiętam.

PREZES. Ja ci słowa pisma powtórzę — kto przytomny, niech klęka!

CHÓR NIEWIDZIALNY. Ojcze, możesz otworzyć Ewanielią Jana. — Wszystkie chóry uklękły. —

PREZES. — »Mamci wam jeszcze wiele mówić, ale teraz znieść nie możecie.« — »Lecz gdy przyjdzie on Duch Prawdy, wprowadzi was we wszelką prawdę.« — »On mnie uwielbi, bo z mego weźmie, a opowie wam«. — Otoć, co rzekł Pan do wszystkich przyszłych wieków świata — i wiele ich odtąd przechodziło i przeszło już, a nie zrozumiały. Znać, znieść nie mogły dotąd.

CHÓR NIEWIDZIALNY. Ojciec księgę zamknął — możecie wstać.

PREZES. Wyższej przepowiedni nie było, niema ani będzie. Sam o Sobie samym świadczący Bóg — o Sobie, że się wleje w ziemię trzecim wlewem Swym! Za dni Jehowy proroki Ojca oglądały już Syna przed sobą — a Syn w chwili, gdy umiera, widzi już Ducha Świętego — i inaczej nie mogło być. — Człowiek zwierciadłem wieczności — więc i w dziejach człowieka na wartkiej kuli tej odbić się musi następnie ta Trójca, co wiecznie Sobie spółczesna na niebie — ale dopełnionaż obietnica Pańska? mów, synu, czujesz, dopełnionaż jest? — Jakiż wiek z tych osiemnastu wieków chrześcijańskich uwielbił Chrystusa?

MŁODZIENIEC. Żaden, żaden, Ojcze!

PREZES. Do nich wszystkich, do nich wszystkich jeszcze mówi Pan: »Znieść nie możecie«, bo ten Go tylko uwielbi, który przepis Jego we wszelkiej rzeczywistości uwidomi i udotykalni — a wtedyć chwała świata takiego, że z Boga jest, sama świadczyć będzie. — Więc cóż, synu, cóż? Wykonanie będzie zstąpieniem Ducha, Czyn sam Pocieszycielem. A gdzież czyn ten, czy widzisz go?

MŁODZIENIEC. Nie.

PREZES. Spójrz w siebie, on tam jest!

MŁODZIENIEC. Jakto, Ojcze?

PREZES. W twojej, jak w każdej innej, piersi.

MŁODZIENIEC. Jakto?

PREZES. Ani osobnikowi, ani narodom, ani Ludzkości Łaska wiekuista nie zdała się na nic, jeśli aż pod same niebiosa rąk nie podniosą ku niej — bo połową Stworzenia wola Stworzonych. Choć minęło, co minąć miało, choć dopełniają się czasy, choć Duch obiecan już przewiewa ponad ziemskim padołem — jeśli go sami nie wysłużym, nie wypragniem, nie wyczynim, jeśli siebie samych nie przeołtarzym Jemu, On nie zaświeci nam — i niepocieszeni zostaniemy.

MŁODZIENIEC. Cóż więc każecie?

PREZES. My dziś już nie rozkazujem nic — prawdę tylko objawiamy, a kto ją pojął, ten sam rozkaże sobie. — Jej więc teraz słuchaj! — Póki ciało z duszą nie zlane w jednego Ducha, póty czynu powszechnego niemasz — póty bitwą i zamętem dzieje Ludzkości. Wszędzie rozłam i rozpad i rozstrój — cząstki tylko — a każda, nienawistna drugiej, we Wszystkość zesamolubić się chce, wytępiając inne. Naród, państwo, stan, zasada, ustawa, prawo każde nie o postęp, ale o coraz starszą starość się stara. Co dłużej trwa, temu hołdują, nie, że święte, ale że obaliło przeciwników wielu — przedawniałość prawowitością. Wszelka nadzieja i wszelkie natchnienie buntem i świętokradztwem. Jak kat do szkieletu, siedzącego na stolicy, tak przyszłość wiecznie przystępuje do siostry swej, przeszłości — i wszelka Teraźniejszość, prochem jednej i krwią drugiej zbryzgana, dotąd nędz kałużą jest. — Wszak prawdziwie świadczę nieszczęśliwym losom planety tego?

MŁODZIENIEC. Ojcze, nieraz toż samo łzy mi moje pisały na twarzy, gdym czytał historyą — każden z ludzi, ale ze wszystkich najbardziej Polak, zaświadczy świadectwu twojemu.

PREZES. Tak żyć, to nie żyć, to konać wiecznie! Innem prawo Wszechżycia — ani umierać, by zaginąć i potępionym być — ani nawet umierać, by później z grobu wstać — ale ze siebie samego zmartwych-

wstawać wciąż, a bez omdlenia śmierci — oto rozwój Duchów, toć żywot ich wieczny! — Narody go na ziemi dostąpić powinny, nim każden osobnik go w zaświatach dostąpi — bo Człowieczeństwo czemże, jeśli nie szkołą — próbą aniołów? Alboż ołtarze Boga tylko pod katedr sklepieniem? — wszędzie: i w izbie poselskiej i na trybunale i w kole wyborów i w kole wybranych i na stolicy władnej i na rynku pospolitym i w rękodzielni i na giełdzie i w sztuce każdej i w każdej umiejętności Pan dojrzan, poznan, uczczon i wykonan być musi — być musi i będzie! Każden trud w posłannictwo, każden urząd w kapłaństwo się zmieni — i czcią Tego, który jest, będzie być i żyć! Czy czujesz we wnętrzach istoty twej, że się spodziewasz takiej przyszłości, że wierzysz w nią i kochasz ją?

MŁODZIENIEC. Od kiedy oddycham, każdem serca uderzeniem pożądam piękna, wyzwolenia, szczęścia — a żyję śród potwornych klęsk: — młodym nigdy się nie czułem — a ty mi świata odmłodnienie obiecujesz, Ojcze! Jakżeż nie mam wierzyć tobie i dziękować ci!

PREZES. Odpowiadaj mi dalej: — wszak Bogiem w jednym człowieku był Chrystus?

MŁODZIENIEC. Tak.

PREZES. A Chrystusem we wszystkich ludziach kto będzie?

MŁODZIENIEC. Ludzkość chyba.

PREZES. Ale kiedy? wszak nie wczora? nie dziś? kiedyż więc?

MŁODZIENIEC. W ostatniej, najwyższej chwili dopełnienia swego.

PREZES. A przez kogoż się dopełni? gdzie Członki tego Ciała, w którem jeden Duch? Jakież to obrzędy w tym kościele powszechnym, rozmaite a ustanowione od Boga? Gdzie barwy tęczy, z których ta białość świetlana powstanie?

MŁODZIENIEC. Wszak się nie mylę, Ojcze? wszak o narodowościach mówić chcesz?

PREZES. Powiedziałeś sam — a patrz, jak za dni

naszych wszędzie wola boża opatrznie kusi wolę ich! Jednym zewnętrznej niepodległości, drugim wewnętrznego ukojenia brak — wszystkie za wolnością tęsknią — a wieszże, o synu, co to Wolność?

MŁODZIENIEC. Słucham, Ojcze.

PREZES. Ten tylko wolność osiągnął, kto tak ducha swego wyarcydzielował, że już nie walczy ni z sobą, ni z drugimi, ale w sobie spokój ma, a z drugimi miłość — więc samoistny jest — więc dokonany jest — więc ze siebie samego wystąpić może, zdwoić się, ztroić, zesetnić w własnych utworach. Wolni tylko tworzą — i wolne tylko narody, jak lutnie różnobrzmiące, wydźwięczą z siebie Ludzkość, najdoskonalszy Wszechdźwięk swój. Niech więc nie zapominają o Miłości, bez której nic postawić i zbudować nie sposób — bez której Bóg, choć wszechpotęgą odzian, nie mógłby był stworzyć nic! Świat ich — niech tylko one będą! Jak z głazu posąg, niech tak się podniosą, a pod wewnętrznym własnej woli dłutem! Zaprawdę, zaprawdę niech pamiętają, że nie to, co niewzruszone i zbite, jak skała, mądrością na ziemi — ni też, co wściekłe i wysadzające skałę w powietrze, natchnieniem i Czynem — ale że istną świętością i wybornem pięknem to, co płynne wciąż, a wstępujące coraz w górę wyżej, to, co szersze co chwila, a jednak toż same, jak światła wschód nieskończony!

PANKRACY. Proszę o głos.

CHOR NIEWIDZIALNY. Co to znaczy?

PANKRACY. Naczelnik chóru polskiego prosi o głos.

CHÓR NIEWIDZIALNY. Czyż nie wie polskiego chóru naczelnik, że występkiem jest przerywać prezesowi, kiedy nowowstępującego naucza?

PANKRACY. Jeszcze raz domagam się o głos.

PREZES. Synu mój, zapominasz o prawach, podziemiami rządzących, i uporem narażasz się.

PANKRACY. A ty, Ojcze, nie narażaszże tej duszy młodocianej na zgubę, gdy o Miłości mówisz — i miasto hartu wtkliwiasz miękkość jej do serca?

PREZES. Milcz!

PANKRACY. Słuchaj mnie, słuchaj, Arcy-przewielebny

słuchajcie wszyscy, ilu was tu narodów i ludzi! Jeśliście z zachodu, wolno wam jeszcze i to marzyć tylko, że miłosierdziem chrześcijańskiem wielkich dopokoicie się Celów. Szlachtęście już zgiliotynowali jedni — w błoto i nędzę wepchnęli drudzy — dobrze, ale z bankierami finansistami, ale z mieszczaństwem waszem, tą powtórną pasożytnością na ludowem ciele, co poczniecie? Zresztą w tej chwili mniejsza o was, Zachodni. — Ja ze wschodu — ja Sławianin, ja Polak, więc powiem . . .

CHÓR NIEWIDZIALNY. Duchu niesforny, nakazujem ci milczenie!

PANKRACY. Jużem się odważył; — nie dam tego potomka Arystokratów lackich, tego z Antenatów rodem, omamiać Ideami, które kiedyś się dopełnią, ale przed których urzeczywistnieniem Sławiańszczyzna cała i Polska cała muszą wyglądać jako jedno morze krwi! — Niech młodzik rzeczywistość zna — niech tu zaraz zrzuca z siebie szlacheckiego człowieka — albo niech wychodzi, ucieka, nie ogląda się — a ze sobą naszych tajemnic nie bierze!

PREZES. Chyba twoich, zbuntowany Duchu, bo w naszych niema przykazu krwawego. — Jest święta i orężna praw świętych i pokrzywdzonych obrona — morderstwa nie znajdziesz!

PANKRACY. Słuchaj mnie, młodziku, ty, coś z ojców twych rodem, ty, co ojców masz! Otóż ja, który ich nie mam, ja, który chodzę po tej ziemi, jakbym się z niej prosto narodził, ze żwiru, mułu i murawy, tak, jak Tytany niegdyś a ludowi ludzie dziś, otóż ja powiadam ci: — z szlachtą polską i wszelką sławiańską koniec! — Jeśli chcesz, klękaj i mów »Zdrowaś Marya« nad ich grobem! — Wolno ci! A znam was — a wiem was — nie ustąpicie — wszystkoście oddać gotowi: i pół ziem waszych i brzęczący pieniądz — ale klejnotu — ale pamiątek — ale dumy, nigdy! Więc poświęceniem nowem znów dorwiecie się władzy, której wspomnienia Wieczność by sama nie zdołała wam z ducha wygluzować. O, ja nie z was, a znam was, jak wy sami się nie znacie. —

Więc co za rada z wami, z Urodzonymi? jedna tylko — trzeba was odurodzić, żadnemu nie przebaczając, żadnego z sieci śmiertelnej nie wypuszczając, by raz już krew wasza i szpik kości waszych rozłożył się chemicznie na wieki i zniknął w przestworach! — Dopiero będzie Równość i Lud, a wtedy, wtedy dopiero wszystko, co ten człowiek w bieli na tronie wyrzekł, prawdopodobieństwem się stanie — Miłość będzie możnością na tym globie. — Lecz nie wprzód! — Wara! — Rozumiesz, ty, ojców posiadaczu?

MŁODZIENIEC. Aligier, gdzieżem ja? gdzieś ty mnie przywiódł? — Ja wyzwę go...

ALIGIER. Jeśli kochasz mnie, milcz!

(Do prezesa).

Przyklękam na znak uszanowania i prośby — bo łamać przepisów nie chcę odezwaniem się. A pozwól, Ojcze arcy-przewielebny, na chwilę dozwól, bym na tę mównicę wstąpił i odpowiedział! — Ojcze, mnie idzie o tę duszę jasną i czystą, powierzoną mi — patrz, jak blednie ta twarz — patrz, jak gniew święty po żyłach tego czoła sinieje — jak ta ręka, powstrzymana od orężа, cierpi laokonowe drgania! — Ja muszę wstąpić i mówić, by go ukoić. — On pierwszy raz słyszy takie słowa!

PREZES. Zabronić ci, czego żądasz, nie mogę. Ów człowiek pierwszy stargał prawo.

ALIGIER. Dzięki ci, Ojcze!

(Wstępuje na mównicę)

PANKRACY. Teraz w żadne już rozprawy się nie wdaję, ja, chóru przywódzca! Wypowiedziałem nieunikalne. Kto sam słowem konieczności, ten na marne, ludzkie słowa nie odpowiada. Hej, Kiermaszu, albo ty, Blaumanie, jeśli im o sentymentalność i paplarstwo chodzi, stań naprzeciwko mównicy, patrz się w oczy temu melancholicznemu przyjacielowi onego młodzieniaszka i odpowiadaj za mnie!

KIERMASZ. Ja wnet odpowiem — ja!

BLAUMAN. Precz, Kiermaszu, ja lepiej potrafię.

INNY. Mnie głos dać — Blauman nie potrafi! —
INNY. Panie Naczelniku, mnie wybrać!
KILKU INNYCH. Mnie — mnie — mnie!
PANKRACY. Już się swarzycie — patrzcie, jak tamta część chóru, z szlachty starej, co się odsunęła na stronę, przystojnie i poważnie się trzyma, choć wściekli! — Z wrzaskami precz! — Ty, Blaumanie, mów!
BLAUMAN *(do Aligiera)*. Blady i wychudły stronniku Arystokracyi, ty, z mównicy tej przechylony, z wyciągniętemi rękoma — a muszę wyznać: ty piękny — boć to wiadomo, urodziwi jesteście i gładkie rysy wasze i dłonie białawe — pfuj, kobiety! — Ha! więc ty się oburzasz przeciwko temu wielkiemu obywatelowi, że ci serdecznie, szczerze oznajmił o wyrznięciu logicznem i nieodwracalnem Magnateryi lackiej? Jeśliś patryota, jeśli ci w sercu cokolwiek polskiego, ojczystego zostało...
PANKRACY *(po cichu)*. Nie mięszaj zbyt wyrazu Ojczyzny!
BLAUMAN. Czy i to arystokratycznem?
PANKRACY. Tak i nie — ale słuchaj się rady mojej!
BLAUMAN. O, ja ci powiadam, jeśli Ludzkości choć źdźbło drga w sercu twojem, jakżeż ty inaczej chcesz zbawić kraj polski, ciśnięty od trzech tyranów, a przez szlachecką kastę gorzej rozdeptany jeszcze? Wspaniałomyślną rzezią tylko możesz...
ALIGIER. Pankracy, Pankracy! — Naczelniku chóru polskiego, ty nie Polaku! Ty, co tylko powtarzasz »Lud, Lud« a nigdy »Naród« nie powiesz — ty, co chcesz wielkich rzeczy się przez siebie doczekać a od Boga nie poczynasz — ty, co za podstawę przyszłej budowy kamieniem węgielnem stawiasz mężobójstwo — ty, co, zawiścią zdjęty, starasz się ją przemienić w prawo wiekuiste Postępu i nadajesz nikczemnym chuciom piersi własnej imię Konieczności — ty, co ranić umiesz i jad w rany zadane zapuszczać, gdy spotkasz dziecko, niewiastę lub młodzieńca wiosennej tkliwości — lecz nie potrafisz rozmówić się ani z Bogiem modlitwą, ani z mężem mądrością, ani ze sobą nawet samym wiarą i przekonaniem — ty, chciwy władzy,

ty, człowieku, możny zmysłami i namiętnością i siłą jakąś okropną, utajoną w tobie — nie zastawiaj się pierwszym lepszym z uwiedzionych przez ciebie — ale w imię Boga, Sędziego nas wszystkich, Pana narodów i Duchów, Pana mojego i twego, odpowiedz: — Wierzysz-li sam temu, coś tu oświadczył przed nami?!

BLAUMAN. On, czy wierzy? On! kto? Pankracy!? — ah, to już za wiele — nie bluźń takiemu Demokracie, ty Arystokrato!

ALIGIER. Wzywam cię, wzywam potęgą mi nadaną, tkwiącą w głębinach istoty mojej, za to, żem cierpiał wszystkością serca mego nad wszystkiemi cierpieniami braci moich, od kiedym rozemknął oczy i ujrzał, że piękny świat i piękne słońce — i Bóg wszechdobry i wszechmiłosierny, a Ludzkość nięszczęśliwa — a śród nieszczęśliwej Ludzkości pierwszy nieszczęściem i bolem polski mój naród! — Wzywam cię, odpowiedz mi! Gdy spojrzę na kogo, zwykle mi prawdę odpowiada. Tylem się namodlił po szczytach gór, po falach mórz i śród więzień cytadelowych i w lochach i w kopalniach i koło rusztowań i w salach sądowych, prosząc Pana za skazanymi — prosząc i za sędziami, których los gorszy czeka, niż skazanych — tylem się nabłąkał po otchłaniach ziemskich, ciągle, o ilem zdołał ja nędzny, chęcią, myślą, uczynkiem w niebiesiech — że, wierz mi, człowiecze, darmo, ty się mnie nie odejmiesz! Musisz mi prawdę przed wszystkiemi braćmi odpowiedzieć — a jeśli milczysz, to, że czujesz sam, iż nie możesz — to, że wiesz sam, żeś obłudnik i kłamca!

PANKRACY. Blaumanie, na bok mi! — Ha! Aligier, wyzywasz mnie?

ALIGIER. Jak Bóg na niebie i w każdym z nas, jak Chrystus był na ziemi i dotąd Duchem coraz silniej rozlega się po niej, zaprawdę, że wyzywam ciebie!

PANKRACY. Więc jaśniej, praktyczniej mów — o co się ty pytasz?

ALIGIER. O Sumienie twoje — o nic więcej!

PANKRACY. Praktyczniej się wyraź! Ja człowiek czynu — metafizyki nie rozumiem — nie chcę — i nie

potrzeba jej mi. Jeszcze raz, o co się ty więc pytasz mnie?

ALIGIER. W obec Tego, który między nami, choć nas dwóch tylko, trzecią przytomną Osobistością jest — tu, ot, jest — rozciąga się od ciebie po mnie, odemnie po ciebie, i wokół nas — i widnokrężnie wszędzie — wobec Najdroższego Utajonego, jak Go lud polski nazywa, pytam się ciebie, czy czujesz sercem i wiesz rozumem nieodprzekonalnie, iż dla zbawienia Polski trzeba zagłady szlachty polskiej? że dla odsunięcia głazu grobowego trzeba rękom Zmartwychwstańców rękawic z błota i krwi, a nie gromów z czystego Światła? że dla rozpoczęcia trzeciej godziny świata, którać chrystusową jest, należy wyprzeć się Chrystusa choćby na chwilkę — Miłość Jego odłożyć na później — Bogu wszechmocnemu powiedzieć: »Wyjdź teraz, a wrócisz potem — boś dziś nam naddatkowy — dopiero potrzebny pojutrze?«

PANKRACY. Julinicz, ludowy wieszczu, toś ty powinien odpowiadać mu — boć w nim wieszcz siedzi także!

JULINICZ *(wychodząc z grona chórowego)*. Ja wielki Duch, proroczy Duch! — znajcie mnie!

PANKRACY. Więc mu za spiew odspiewujże śpiewem!

JULINICZ. Nie czem innem, o bracia, jedno śmierci rozrobem kończą się Ery planety. — Otoć chwila — i wieków dwadzieścia ma umrzeć, a nim umrą, mają być wzięte na tortury za to, że zbrodniczyły wciąż a nie znały, co Duch. Dziś nie to, co niegdyś! Niegdyś modlitwa i łza i skrucha — tem było Chrześcijaństwo! Dziś moc ucieleśniona, ruch, pęd, wir, ton, władza, nakaz, uorężnienie Pańskich tchnień! Dziś do dzieła nawet łotrów dobiera Pan! Jak młotów, kos, cepów, dzid i mieczów tysiącem, niemi obraca na wsze strony i bije się po świecie, by zatracić wrogi Swe, wrogi ludu! Dla Wszechprzyszłości cóż znaczy Szlachta lacka? kilkadziesiąt tysięcy ludzi — chcesz? — kilkakroć nawet — kropla w oceanie! Jeśli jej łaknie ocean, rzucić ją! Takie dzisiejsze Chrześcijaństwo — bo się wybrał ziemię sądzić Pan i sądzi ją przez nas,

przez święte Swe, ujaśniowidnione Swe, proroki Swe! I ot, wspomnisz, ty niewierny, nadejdą burze i zawieruchy żywe, z żywych ludzi wiejne, mnóstwa, przechadzające się po zwaliskach i popiołach, ofiarujące mord Bogu — i będzie Bogu miłym mord — bo całopaleniem tylko ciągłem wstępuje w niebo on ołtarz kołujący, ten planeta, na którym Ludzkość kapłanem i ofiarnikiem wiekuistym, a zużyte jej plemiona i kasty i myśli ofiarami!

ALIGIER. Pankracy, Pankracy! Pamiętasz, jak głos z nieba wołał na ukrywającego się Adama po dopełnionym grzechu — na uciekającego Kaima po bratobójstwie? — Ty tak samo się kryjesz, ty tak samo uciekasz. — Pankracy, Pankracy, odpowiedz mi!

PANKRACY. Nieznośnyś. — Z Julinicznem hymnujcie sobie!

ALIGIER. Pankracy, Pankracy, a skąd ty się wziął? A kto wlał w Ducha twego mowę polską? a kto polski obyczaj? a kto wolności żądzę? a kto siłę czynów? Czyś ty z przyszłości się urodził? — Wszak nie? — Czemże więc ty, choć bez ojców imiennych, jeśli nie synem Matki Rzeczpospolity lackiej? — Mów mi, cobyś ty mógł mówić na ziemi i czem kłamać i czem zdradzać i czem sprzeniewierzać się przeszłości, gdyby ona właśnie wszystkiego ci nie była dała? Niewdzięczniku, ktoby głosu twego za ludem słuchał, czy śród twoich własnych, czy śród obcych, gdyby nie Chrobrych miecz, Jadwigi niepokalaność, Zygmuntów mądra miłość, Batorych hart, Zamojskich rzymska cnota, Żółkiewskich zgon, Czarnieckiego żywot, Sobieskiego trud i europejski czyn? — Nicości bez nich, czemu powstajesz ty na nich? Czemu się targasz na Wiekopomne i Niezagubialne? — na to, z czegoś ty sam — na to, bez czego i kroku jednego postawić i słowa żadnego wyrzec nie zdołasz — na powietrze piersi twoich dziejowe? Wiedź dalej, jeśli błogosławieństwo Pana z tobą, naród twój! — Lecz nie odnaradawiaj go, jak czynią okrutniki, co go rozebrały! Nie bądź czwartym katem, do trzech

onych przydanych przez piekło! — Pankracy, Pankracy!

PANKRACY. Przeklętyś z twoją przeszłością — z twoim głosem z przeszłości, bo jak z grobu wieje, a dźwięczy i dźwięczy!

ALIGIER. Upominam cię, bo w tej chwili zawód się twój cały przyszły zwierciedlani przedemną! Jeszcze czas! Wolną wolę masz. Jeśli mnie nie usłuchasz, potężny będziesz, będziesz przed ludźmi na czas i pół czasu. — Lecz przepadniesz przed Bogiem i ślad twój w sercu Boga odnaleziony nie będzie!

PANKRACY. Hej, sztuki — zabobony — przesądy — wróżby! Tak zawsze Teokracya i Arystokracya poczynają sobie! Myślisz mnie gusłami przegrodzić od czynu, od władzy, od nieśmiertelności? — a więc znaj prawdę — i wy wszyscy znajcie ją — i ty także ją znaj, Arcy-przewielebny! Kto we mnie wierzy, kto mój, niech się z chóru polskiego oddziela i staje tu przy mnie!

KIERMASZ. Niech żyje naczelnik!

BLAUMAN. Otom przy tobie.

JULINICZ. Aaronem będę w obozie twoim.

KILKU INNYCH. Demokraciśmy na rozkazy twe.

PANKRACY. Co tu wykładają, nudzi mnie oddawna. Wszystko gnuśne, religijne, filozoficzne. Żółwie takiemi samymi. Kto sądzi, że świat ukoi, temu winszuję; — świat zgniły — szlachta polska zgniła. Rady niema — być albo nie być! Ja być chcę. Kto godzi w cel, ten środków się, jak strzał zatrutych, chwyta. Przekleństwo bałamucącym na drodze dziejów, leniwym i uczonym, miłosiernym i czystym! Brud nie brudem, gdy przezeń stąpa się do Wszechludzkości. Zasady niech żyją, a niech ginie pół-Europy! Zrywam z wami wszystkiemi.

ALIGIER. Świadczę się wami, Narody i ludzie: taką odpowiedź jego! O Henryku mój, zważ i naucz się! — Ten człowiek genialnym — Duch ten potężnym — ale niema potęgi, co zdoła odpowiedzieć na najprostsze zapytanie, skoro ono zacnem, a ona niecną jest. Tak Pan chciał, aby było. — Błogosławcie Panu!

CHÓR NIEWIDZIALNY. Zatrzymaj się, obłąkany Duchu! Czy nie pamiętasz, jaką hańbą pokalan, kto nam nie dotrzyma wiary? Po tej i tamtej stronie grobu opóźnion, zewstecznion, nędzny i nikczemny będzie!

PANKRACY. Na tamtej stronie, przyjmuję, byleby nie na tej — a na tej synem dzieł moich własnych jestem! Ojcowie moi, których sam płodzę, Czyny, pomagajcie mi! Za mną, bracia!

PREZES. Chóry wszystkie, zastąpcie drogę temu niewiernemu bratu i nie puszczajcie go!

ALIGIER. Tylko błagam cię, Ojcze, nie każ drugiej części chóru polskiego, by miała stawać naprzeciwko braci własnych — bo, choć grzeszni, braciać zawsze!

PREZES. Was jednych, wierni Polacy, wyłączamy od dopełnienia rozkazu naszego. Pozostańcie na miejscu waszem!

PANKRACY. Czy myślisz, Arcy-przewielebny, że mnie, tłumem tym osaczywszy, obalisz na kolana przed sobą? że w tych głuchych podziemiach, gdy skiniesz, ty, co krwawego nie znasz nakazu, ci twoi mnie zarżną? Puszczajcie mnie, narodowe chóry!

PREZES. Łańcuchem nierozerwalnym stójcie koło niewiernego!

PANKRACY. Blaumanie, Kiermaszu, Julinicz, do puginałów!

PREZES. Ilu tych kacerzy, wnieść trumien tyle!

PANKRACY. Do broni wszyscy, do broni — za mną! Jeśli chcecie żyć i czynić, a nie marnieć, za mną! Jeśli chcecie ujrzeć na oczy to, co mózgiem myślicie, czego pożądacie piersią, za mną! — Z jakiegobądź rodu i narodu jesteście, za mną!

PREZES. Teraz trumny te ustawić rzędem — przed każdym z niewiernych jedną!

PANKRACY. Opuszczajcie te lochy, fantastyczności, poezye, widzenia! Za mną, gdzie słońce bryłowate w górze a wrogi istotne na ziemi, by z nich wytoczyła się krew, a słońca promienie radowały się, tę farbę pijąc! Czyście ślepi, głusi? czy nikt

z Włochów, Niemców, Francuzów przy mnie się nie opowie?

CHÓR NIEWIDZIALNY. Z chóru każdego po kilku przechodzi na stronę buntownika — o biedni!

PREZES. Trumien więcej, trumien więcej!

PANKRACY. Co? marzysz nas zabijać gwoździami w te pudła? czy nie widzisz w mojem ręku tych pistoletów? Bronić się będziem do upadłego!

CHOR NIEWIDZIALNY. Biedny, biedny ten człowiek! On mniema, że o zgon ciała jego chodzi! Biedny, biedny!

PREZES. Wierne chóry, ściśnijcie jeszcze bliżej ich. Tak — półkołem! A trumien dość, bo nikt więcej już nie zdradza!

PANKRACY. Hej, jeszcze, jeszcze do mnie! Hej, zawierzcie mi! O ludzie ospali, o chóry, o większości ziemskie! czyż zawsze mniejszość tylko dzielną i śmiałą, a wy nikczemne? — i przeto was ona wiecznie musi strachem i gwałtem w pęta swojej woli kuć!

ALIGIER. Tyran się z ciebie odezwał.

PREZES *(do młodzieńca)*. Synu, przyszedłeś tu szukać prawdy i zbawienia — znalazłeś zgorszenie. Lepiejby temu, który gorszy serca niewinnych, było się nie urodzić. Teraz posłuchaj nad nim wyroku!

PANKRACY Jeśli mnie i moich nie puścicie, strzelę!

PREZES. Rozdzieram szatę oną białą i czystą na piersiach przed wami wszystkiemi, narody i ludzie — bo muszę z tronu tego rzucić śmierć na jednego z żyjących — bo muszę wyrzec przekleństwo nad Duchem, któremu niegdyś, jak wszystkim wam, pobłogosławiłem!

PANKRACY. Strzelę — do Arcy-przewielebnego samego strzelę!

MŁODZIENIEC. Spójrz tu, wrogu ojców mych! Czy widzisz lufę mego pistoletu? patrzy się czarnym okiem na czoło twe — jeśli palcem na cynglu zadrgniesz, to nie ten, który na tronie, lecz tyś zginął! — Strzeż się!

PREZES. Pankracy, naznaczonyś piętnem potępieńców!

Po wieki wszystkie bywali na ziemi — kusicielką ich Pycha — czynem ich Niszczenie. Każdą Ideę nieborodną, przez Pana zesłaną w świat, odpychają od świata w niebo nazad, niecnie służąc jej — bo nie jej, ale sobie w jej imieniu służą. I Bóg od nich, przyjmowany jak Szatan, oddala się precz, blednący z gniewu, że takie sługi ma. Jesteś jednym z nich. Ty się przeniewierzysz Świętościom ogłaszanym tu! Ty zdradzisz Chrystusa, ty zdradzisz Ducha Świętego! Tyś Im Faryzeusz taki sam, jak królów pochlebcy, jak świętoszki, jak donosiciele, jak szpiegi! Albo marnie przepadniesz, albo też wstrzymasz rozwój Ludzkości — odwrócisz ją z toru wstępnego na boczne manowce — każesz jej po kałużach brudzić stopy białe — wieki przerazisz i cofną się w tył! Czegoby nie dokonał wszystkich mocarzy przebieg, moc, gwałt, ty dokonasz! Więc w imieniu Ludzkości, więc w imieniu Ducha Świętego przekleństwo na tobie kładę, o duchu zgubiony, bo, kto przeciwko Miłości wiekuistej, ten, wiedz o tem, choćby zwyciężył — ten zginie!

PANKRACY. Do widzenia w Wieczności!

PREZES. Te trumny, to pogrzeb wasz — na wiele, wiele wieków cofnięciście, o kacerze — i umieracie w tej chwili, a śmiercią gorszą, niż gdybym was kazał stracić — bobym ducha wam nie mógł kazać odebrać. — Samiście sobie odebrali go. Idźcie więc z ciałami waszemi, w tych trumnach wasze zacności i cnoty pozostają — w tych trumnach Myśli boże o was, które wami być miały samymi, a w któreście wżyć się nie podołali — w tych trumnach to, co w was ludzkiego było na ziemi!

CHOR NIEWIDZIALNY. Idei fałszerze! Idei najzaciętsze wrogi! Wy, co ją krzyżować będziecie, a szydersko, bo mianując się jej synami, wy umierający, wy, skoro za ten próg przejdziecie, umarli — idźcie, idźcie precz!

PREZES. Wszystkie chóry ziemskie, narody i ludzie, bierzcie każden do ręki gromnicę — śpiewajcie pogrzebową pieśń!

PANKRACY. Kiermasz, nie blednij tak! — Blauman, i ty także? Julinicz, czy u was, poetów, nerwy strunami lutni, że tak drgają? I cóż z tego, że tych gromnic czerwieni się krąg, że hymnów grobowych rozlega się dźwięk i to nawet sklepienie z granitu zdaje się spiewać i nam wróżyć zgon?

PREZES. Naczelnik chóru polskiego umarł. — Aligier, obejmij nad współbracią rząd i jej wodzem bądź!

PANKRACY. Ah! Arystokracyi doradzca zastępcą mym! Kordecki, Rejtan, Ligienzo, Rymszo, Kazanowski, nie pójdziecież za mną?

CHOR POLSKI. Pozostajem tu. Szabla i zacność, nie nóż i srom — oto hasło nasze!

CHOR NIEWIDZIALNY. Spiewajcie im, spiewajcie pogrzebową pieśń. Przeszłość rozdeptali — nie pojęli przyszłości — teraźniejszość potwornieje przez nich! Więc w Czasie ich niema, bo obrazili, okaleczyli, rozćwiertowali Czas! Gdzież oni są? w nicestwie Ducha są! Spiewajcie im, spiewajcie pogrzebową pieśń!

PREZES. Nieście ich trumny za nimi — odprowadźcie ich aż do tajemniczego progu. Rozemknijcie im ścianę podziemiów!

PANKRACY. Dziękuję ci, Arcy-przewielebny. Walczyć będziem ze sobą, bo ja — dobrześ powiedział — ja Niszczyciel! Lecz zdrady nie obawiaj się — powierzchnia ziemi od żadnego z nas nie usłyszy ani o tobie ani o twoich!

PREZES. Kto Judaszem wiekuistej Idei, stać się może i ludziom Judaszem.

PANKRACY. Nie — nie! — Ty nie myślisz tak o mnie!

PREZES. Żyjący z umarłymi nie mówią — dość już. — Amen.

PANKRACY. Dawajcie klucze — oto próg — duszno tu! Lepiejbyście płuc nie suszyli sobie takim spiewem — odmykajcież!

CHOR NIEWIDZIALNY. Do końca, do końca spiewajcie im pogrzebową pieśń!

PREZES. A teraz niech każdy do nich mówi: »Zgaśliście«!

PANKRACY. Kiedyż koniec będzie obrzędom tym?

PREZES. A teraz niech każdy zgasi gromnicę swą i iskry i popiół strząśnie ponad głową im!

PANKRACY. Puszczajcie!

CHÓR NIEWIDZIALNY. Umarli — umarli — umarli! Narody i ludzie, rozejdźcie się w milczeniu i ciemnościach! Zgorszeniście i smutni — za winą sąd nastąpił — nastąpiła i kara. Módlcie się i rozpamiętujcie — a pokusy nie przypuszczajcie do serca — bo wiednym Ducha grzech przeciwko Duchowi darowanym nie jest! Idźcie — na dzisiejszą noc rozwiązany Zbór!

CHÓR NIEWIDZIALNY. Narody i ludzie, rozejdźcie się w milczeniu i ciemnościach! —

ODMIANY TEKSTU.

NOC LETNIA.

Skrócenia: Noc letnia. Paryż. 1840, *16° str. 1—89 (poprawione według ściśle zapisanej kartki papieru, na której Poeta wypisał własnoręcznie wszystkie błędy druku)* = *A.* — *Autograf, zawierający cały utwór* = *R.*

Tekst według A.

* * *

Na okładce autografu u dołu, ręką Delfiny Potockiej: Zygmuntowi Krasińskiemu oddać gdy mnie nie będzie.

Str. 1 motto, w. 7: Śmierć, która w kolebce swojej wszystko usypia] Śmierć, która wszystko (usypia) w kolebce swojej usypia *R*

Str. 3 w. 11: ścierpło] skrzepło *R; w. 15:* Skry, spadłej] Skry (wziętej) spadłej *R*

W. 20 aż do końca brzmiały pierwotnie w R:

Gdziekolwiek jesteś (znane czy nieznane) o Serce
[(dawniej) mi znane
(O) Serce (dumne) niewieście, (o serce stroskane)
[i prześladowane
Serce niewieście i prześladowane
Gdziekolwiek jesteś zbliska czy zdaleka
Ty Przyjm co (ty) przyjąć możesz od człowieka!
Tę Pieśń mej duszy ja poświęcam Tobie!

Str. 4 w. 4: W świętem współczuciu i w świętej miłości] W świętym współczuciu i świętej miłości *R; w. 6:* 15 sierpnia] (2) 15 Września *R*

Str. 5 w. 3: cmentarz] cmętarz *R; w. 5:* potrząsały kwiatami potrząsały różami *R; w. 10:* I w jej kibici] I w jej (ślicznej) kibici *R; w. 11:* zrzenicach] źrzenicach *R*

Str. 6 w. 21: żagle, opadłe] żagle (ze skroni zerwane) opadłe *R; w. 27:* nad huczącą głębią — każda fala] nad huczącą głębią — (ołtarze szczęścia i pokoju widzą w każdej fali, co przelewa się w drugą) — potem (każą przysięgać córom i synom ludzkim na wierność przed niemi) — każda fala *R*

Str. 7 w. 3: Tłum rozgina się] Tłum (przed nim) rozgina się *R; w. 35:* szło] (płynęło) szło *R*

Str. 8 w. 1 i 6: wreszcie] wreście *R; w. 13:* zgrzytającem] zgrzytając(y)em *R*

Str. 9 w. 3: w duszy szczęścia przeczucie] w (Duchu) duszy szczęścia (błędnego) przeczucie *R; w 4:* Jej cienia owionęły pola i gaje] Jej cienie (niezliczonemi fałdy) owionęły (ziemię) pola i gaje *R; w. 5:* jak duchów, w błękicie ukrytych] jak Duchów (zanurzonych w błękicie) w błękicie zanurzonych *R; w. 6:* Ziemia w przepasce z ciemności wonią kwiatów tylko i westchnieniem wód odwdzięcza się] Ziemia (kochanka) wstydliwie ukryta w ciemnościach wonią kwiatów (tylko) tylko i westchnieniem wód (płaci) odwdzięcza się *R; w 8:* trzeba dla tak świetnych ślubów] trzeba (tak) dla tak świetny(m)ch ślub(om)ów *R; w. 29:* tym ostatnim] tym (ostatnich) ostatnim *R; w. 30:* zapomnieć] zapomnić *R; w. 35:* tego dnia] dnia tego *R; w. 37:* usta małmazyą] usta (w nim) małmazyą *R*

Str. 10 w. 11: naprzemian znikomym z tą i z ową połączony] naprzemian (mijającym) z tą i z ową znikomym połączony *R; w. 19:* ona z oczyma, spuszczonemi ku wiązce róż, leżącej na kolanie] ona (sama) z (spuszczonemi oczyma) oczyma spuszczonemi (bawiąc się wiązką róż) ku wiązce róż leżąc(ą)ej *R; w. 21;* wreszcie same ciernie w ręku się jej zostały] aż wreście same ciernie w (jej) ręku jej się zostały *R; w. 26:* Drżąc... drżąc] Drząc... drząc *R; w. 30:* palców zadraśniętych] palców skaleczonych *R; w. 30:* płaczesz] płaczesz, (Jedynaczko moja) *R*

Str. 11 w. 1: jej dłonie] jej (przejrzyste) dłonie *R; w. 2:* potem zaraz] potem (potem) nagle *R; w. 8:* Naokoło] (W około) Naokoło *R; w. 20:* chwili, ble-

dnącą] chwili i blednącą *R; w. 30:* na grób ostatni, najmłodszy, na grób własnej matki] na grób matki *R*

Str. 12 w. 7: kiedy tylko coraz niżej] kiedy coraz tylko niżej *R; w. 13:* Dziecię] (Córko) Dziecię *R; w. 19:* miała się skarżyć] miała skarżyć się *R; w. 21:* oburącz] (obuma rękami) oburącz *R; w. 33:* spiski] (dzikie) spiski *R*

Str. 13 w. 1: buntownika widzieć] go widzieć *R; w. 5:* smętna ofiara] słodka ofiara *R; w. 9:* jak wszystkie] tak, jak wszystkie *R; w. 14:* ślubnej pieśni] (pieśni) ślubnej pieśni *R; w. 15:* przechodziły] (wtem) przechodziły *R; w. 16:* śnieżnem kołem. — Za każdem] śnieżnem kołem. — Ich głosy zapowiadają rozdział Ojca z dziecięciem. — Za każdem *R; w. 19:* Wreszcie] Wreście *R; w. 24:* ostatni raz] (raz) ostatni raz *R; w. 27;* rozkazując] każąc *R; w. 28:* nie było jej nigdy] nie była nigdy *R; w. 30:* leżała] (rozkwitała) leżała *R; w. 31:* z którymi] z któremi *R*

Str. 14 w. 7: dyamentami] dyamenty *R; w. 9:* puhar] (kielich) puhar *R; w. 11:* pan zamku nie podziękował] pan zamku (nic nie odpowiedział) nie podziękował *R; w. 14:* płowych... włosów] czarnych... włosów *R; w. 20:* podły buntowników motłoch] podły motłoch buntowników *R; w. 22:* odkrzyknęli chórem] chórem odkrzyknęli *R; w. 35:* wstrętu] wstrętu (i zniknął) *R; w. 36:* świeżo-m] świeżąm *R*

Str. 15 w. 3: nożem greckim] nożem włoskim *R; w. 9:* brzęcząc] lekko brzęcząc *R; w. 14:* w sercu pusto, jak u zalotnicy] w sercu zimno, pusto, jak u zalotnicy. (Taka biesiada) (wesoło i zapamiętale wzdłuż nocy się) (ciągnęła się biesiada) (wzdłuż) (wśród nocy) *R*

Str. 16 w. 3: odtąd] (dotąd) odtąd *R; w. 5:* mowa wasza] mowa (wasza) (ich) wasza *R; w. 8:* kąpają się] (kąpały) kąpają się *R; w. 11:* bożego] (Bogu) Bożego *R*

Str. 17 w. 1: Zapomnijcie o mnie] Zapomnijcie o mnie, nie żałujcie mnie *R; w. 8:* jej synami — a pod cień] jej synami. Dalekie książęta hołdowały ich opatrznej radzie, a pod cień *R; w. 12:* z służalców tłumami] z (niewolniczym tłumem) służalców tłumami *R; w. 19:* najezdnikowi] (zdobywcy) najezdnikowi *R; w.*

20 po słowach: zmartwychwstanie na was! *znajduje się w R następujący ustęp, przekreślony przez poetę:*

»I już zorzę Jego widziałem. — Od dwóch lat jedenże gród królewski spłonął? gdzie najemni, ciężkozbrojni żołnierze, co nas zdeptać mieli? Słyszeliśmy w powietrzu dziękczynienie sępów, psy nad ich trupami noc całą skowyczały z radości! Lecz by skończyć zwycięstwem a odzyskać Ojców dziedzinę — (długo) długo (jeszcze) wam trzeba jeszcze krwią ciała i potem myśli pracować!«

* * *

»(Z) (Gdyście) z pokątnych terazeście na groźne męże wyrośli, teraz właśnie łudzić was zaczną królewscy różnemi ponęty — strzeżcie się kusicieli — obietnice ich, złote góry — ich dary, marne garście błota. — Podnieście (czoła) oczy, spojrzyjcie w błękity. — Dość miejsca dla dusz waszych (w) po tych błękitnych przestrzeniach zostało, nie lękajcie się więc w boju umierać! — (Ale) Lecz kto broń złoży, temu twarz Boga niechaj czarną będzie z tamtej strony grobu.

* * *

»Nie rozsypujcie się po równinie, by gonić za plonem. — Anioł stróż wasz mieszka w tych (wzgórzach) górach (i dla was jeszcze nie nadeszła pora łupów) dopiero później przyjdzie pora łupów! Słuchajcie onych Siedmiu, którzy mnie wodzem postawili (nad wami) nad waszemi młodzieńcy. — Znużone siwym trudem ich prawice lecz (ich) (Rozum w nich króluje) w nich Rozum króluje (nad ciała) (na gruzach ich ciała) (nad ciała gruzami) (gruzach ciała)

W. 24: słyszeliśmy] słyszeliśmy (nad ich trupami) *R, w. 26:* długo wam trzeba jeszcze krwią ciała pracować] długo wam (jeszcze) trzeba jeszcze krwią ciała (i potem myśli) pracować *R; w. 34:* w boju umierać. Lecz kto broń złoży, temu niechaj na zawsze twarz] w boju umierać. (Za to od was syny wasze szczęśli-

wszemi będą). Lecz kto broń złoży, temu na zawsze niechaj twarz *R; w. 39:* owych siedmiu] onych Siedmiu *R*

Str. 18 w 10: czarnem obwiązują] czarnym (obwią) obwiązują *R; w. 13:* Stój] (To) Stój *R; w. 21:* Nadeszła... puszczajcie mnie] (Teraz) Nadeszła... puszczajcie mnie, wy już prawa nie macie nademną *R; w. 24:* ciemnych włosów i zwoje] (czarnych) ciemnych włosów i (fałdy) zwoje *R; w. 25:* dłonią] (ręką) dłonią *R; w. 29:* oblubienicę] (młodą) oblubienicę *R; w, 30:* oni go zdobędą] oni (postawią na swojem, gotowi za sprawę wodza jakby za ojczystą dać gardła) go zdobędą *R; w. 34:* starca] (dopóki żyje) starca *R; w. 36 zdania:* On pierwszy usta moje nauczył imienia ojczyzny *niema w R.*

Str. 19 w. 6: ksiądz zwiąże] ksiądz połączy *R; w. 6:* chyba przeciąć] (zatem) przeciąć *R; w. 8:* w miesięcznych] w (promieniach) miesięcznych *R; w. 15:* rozstania] (pożegnania) rozstania *R; w. 18:* sny własne] sny (Jego) własne *R; w. 22 przed słowem:* powiewając *przekreślony w R wyraz nieczytelny; w. 23;* rzucili się] (oni) rzucili się *R; w. 26:* Stąd] (Stamtąd) Stąd *R; w. 28:* wód śniadych] wód (białawych) śniadych *R; w. 28:* mostem] (pomostem) pomostem *R; w. 31:* chwiejącem] chwiejącym *R; w. 33:* z olbrzymią siłą] z olbrzyma siłą *R; w. 33:* które go] co go *R; w 40:* lecz za późno — darmo krzyczą] lecz (już) za późno (już się on tym jarem od nich przedzielił na zawsze) darmo krzyczą *R*

Sir. 20 w. 1: wyciągają ręce] wyciągają ramiona *R; w. 5:* swojemu] (swemu) swojemu *R; w. 7.* opok] (Echów) opok *R; w. 8:* w tej chwili] (Lecz on) w tej chwili *R; w. 10:* nie mówi] (nie mówi do nich) nie mówi *R; w. 11:* twoich błysła iskra] twoich (wstała gwiazda) lśni się iskra *R; w. 16:* gnany zemstą] gnany (sobą samym) zemstą *R; w. 17:* sadzisz] skaczesz *R; tamże:* przelękła sowa] obudzona sowa *R; w. 19:* księżyca, milczkiem sunie] księżyca, zrywa się milczkiem i sunie *R; w. 21:* przeleciałeś] (przebiegłeś) przeleciałeś *R; w. 23:* Ty już stajesz na równinie. — Ognik

przyleciał] Ty(ś) już (doleciał równiny) (dopadasz) (stanął) stajesz na równinie (przez łąki i łany bieżysz, kąpiąc stopy w zimnej nocnej rosie). — Ognik nocny przyleciał *R; w. 29:* zgasł] zgasnął *R; tamże:* przez łąki gonisz] (gonisz) przez łąki gonisz (jak przedtem) *R; w. 33:* leżą tak przejrzysto, tak cicho, tak sennie] leżą tak słodko, tak sennie (w promieniach księżyca) *R; w. 34:* marzyć] marzeć *R*

Str. 21 w. 2: do murawy. — Zdało mu się] do murawy. Ten odgłos jak potok duszę mu obalił i przepływa po niej! wtem zdało mu się *R; w. 4:* raczej snem] raczej mglistem snem *R; tamże:* w tej mgle dźwieków uchwycił] w tym śnie uchwycił *R; w. 9:* stopami na mchu się oparł — rękoma dorwał się bluszczów] (szuka) stopami (oparcia) na (mchu) garść mchu się oparł — namiętnie dorwał się spływających bluszczów *R; w. 11:* znów w górę i mur] znowu w górę i (mury) mur *R; w. 12:* On z potrójną siłą] On (dotknąwszy się ziemi powstał z potrójną siłą) z potrójną siłą *R; w. 23:* koło głazu] obok głazu *R; w. 25:* objawiała się wygnanemu bratu] wygnanemu bratu objawiała się *R; w. 30:* granitowe koronki] marmurowe koronki *R; w. 35:* wreszcie] wreście *R*

Str. 22 w. 7: szklanne, rozwarte] rozwarte, szklanne *R; w. 8:* wymyka — i niby] wymyka (okno tam zasłoną przysłonione... *jedno słowo nieczytelne*) — i niby *R; w. 11:* krytego, podobny] krytego, chwilą nadziei omamiony, podobny *R; w. 16:* zasłonę, co... śnieżnie w powietrzu igrała] zasłony, co... śnieżnemi w powietrzu igrały włosami *R; w. 17:* cienką] cieńką *R; w. 18:* na niego czekają] (czekają na niego) (nań) na niego czekają *R; w. 19:* rękę] (dłoń) rękę *R; tamże:* bo mu się zdało] bo mu (serce mdlało) się zdało *R; w. 24:* plamy] (same) plamy *R; tamże:* iskry ogniste, co mu] ogniste iskry (ogniste iskry z głębi własnego mózgu (na zewnątrz mu się) sypnęły) co mu *R; w. 28:* zniknie. — Ogromne zwierciadło] zniknie — dopiero co widział donice pełne kwiatów i już ciemno. (Teraz) (Ogrom) (Zwierciadło w ramach złotych) Ogromne zwierciadło *R; w. 30:* manele] dyamenty *R; w. 31:*

Pod wiązaniem makat purpurowych na łożu siedzi oblubienica] Na łożu (pod wiązaniem w głębi komnaty) pod wiązaniem (z) makat (różanych) purpurowych siedzi oblubienica R

Str. 23 w. 3: sukni] (szacie) sukni *R; w. 4 po słowach:* jej białem licu *znajduje się w R następujący ustęp:*

Rozdzieliła dłonie spojone razem i szukała czegoś na piersiach — krzyżyk tam migał, u rzędu pereł zawieszony — koło nich chodziły jej palce — dotknęła się Jego a nie znalazła go i opuściła rękę zmęczoną i westchnęła smutniej jeszcze!

W. 9: w głąb] (w samą) w głąb *R; tamże:* zasłon obicia] zasłon (mury) (stojących) obicia *R; w. 11:* dalej, wreszcie] dalej (szuka ukrycia) twarz dłoniami zakrywa, wreszcie *R; tamże:* krzycząc] (z niemej) krzycząc *R; w. 12:* ostatnią nadzieję] (całą rozpacz) ostatnią nadzieję *R; w. 16:* milczenie. — Ten, którego wezwała] milczenie (jak szyba gładka (co się) w pył stłuczona od razu). Ten, którego ona wezwała *R; w. 19:* Ożyła] (Ożyła — dziwnym uśmiechem szczęścia (zakwitły) zakwitły jej usta) Ożyła *R; w. 25:* cię myślą] cię (wszędzie) myślą *R; w. 29:* na zamku] (Wracając, po cichu szeptałam sobie: — On spotka nas na drodze) na zamku *R; w. 27:* mi wszyscy] wszyscy mi *R*

Str. 24 w. 2: gdy piorun] gdy (niespodzianie w serce) piorun *R; w. 5:* zapomniał o zemście i śmierci, potężnym] zapo(mina)mniał (o ziemi) o zemście i śmierci, (o Losie) potężnym *R; w. 12:* chmury wyobraźni] chmury w powietrzu Jego wyobraźni *R; w. 17:* teraz one] teraz (cię zb) one *R; w. 21:* Czy ty wątpisz] Czy wątpisz *R; w. 25:* nadeszli, rzucę] nadeszli (masz jak mnie obronić) rzucę *R; w. 28:* przekleństwa] przekleństwa *R; w. 33:* moją] (położył) moją *R*

Str. 25 w. 4: oczu] (rys) oczu *R; tamże:* szabli twej] (twej) szabli (nie) twej *R; w. 5:* myślą] (duszą) myślą *R; w. 6:* syna. — Tysiąc] syna. (Ród nasz nie przepadnie) Tysiąc *R; w. 7:* rodu] (Jego) Rodu *R; w. 8:* twój] (mój) twój *R; w. 10:* wiesz-li] (czy wiesz) wiesz-li *R; w. 13:* wyrzutów: »Nie wątp] wyrzutów:

(Śmiercią! bo żona innego człowieka nie może być twoją na ziemi. — Ale odzyskasz mnie w świecie Duchów. — Tam jeszcze dziś dostać mi się trzeba, a ścieżka niedługa — patrz — takiej samej dłuży, co żelazo twoje). (Śmiercią — kto się staje... *trzy wyrazy nieczytelne*).

(Śmiercią! Żona innego człowieka nie może być twoją na ziemi — ale odzyskasz) Nie wątp *R; w. 24:* szczęścia, co już przeszła teraz, siłę mu wszystką odjęła] szczęścia wszystkie mu siły odjęła *R*; *w. 27:* kochanej] kochanki *R; w. 31:* przed jego] przed (nim) jego *R; w. 33:* niewierny? Albożeś] niewierny? (Takążeś mi opiekę obiecał) Albożeś *R*

Str. 26 w. 3: a jeśli] (Ustom wroga) a jeśli *R; w. 4:* wiesz-li] (a) wiesz-li *R; w. 17:* może będą powtarzać] powtarzać będą może *R; w. 18:* puharach] (pełnych konwiach) puharach *R; w. 21*: I w obłąkaniu wyciągnęła] I wyciągnęła *R; w. 23:* piekło] (Raj) Piekło *R; w. 27*: krew moją świętą piją] krew dziewiczą piją *R*; *w. 36*: spokojność osiadła] spokojność (zwierzchnia wszystkich bolów pani) osiadła *R*; *w. 37*: do piersi] do (serca) piersi *R*

Str. 27 w. 2: nie zdołał] (swoje) nie zdołał *R*; *w. 4*: szedłem] (szedłem tutaj) szedłem *R*; *w. 8*: módlmy się] módlmy się (razem) *R*; *w. 10*: przewodzić] przewodniczyć *R*; *w. 11*: Ja w czyscu] Ja (w Czyscu] w (czyscu) czyscu *R*; *w. 12*: tam] (na) tam *R*; *w. 20*: przekroczy] (przejdzie) przekroczy *R*; *w. 22*: czyjebym] (w co) czyjebym *R*; *w. 23*: burzy? — na czyich] burzy? (w czyich komnatach zasiąść) na czyich *R*; *w. 24*: O, idźmy stąd razem] O, (chodźmy) idźmy razem *R*; *w. 25:* idziemy] idziemy (niemasz zdrady) *R; w. 32:* tyś pan i mąż mój] tyś mój mąż i pan *R*

Str. 28 w. 1: On ukląkł] On zbliżył się i ukląkł *R; w. 3:* i rzekł] (porwie się i zawoła) i rzekł *R; w. 5:* z okolicznych gajów] (w) z okolicznych (gajach) gajów *R; w. 9:* zamkowem] zamkowym *R; w. 10*: śniado] (ukośnie) śniado *R; tamże:* jego ostatnie] ostatnie jego *R; w. 12*: zasłony, przetkane] zasłony (wśród nich igrają jutrzenki) przetkane *R; w. 15 przed słowem*:

oczyma *przekreślony w R wyraz nieczytelny; w. 18:* pola] pola (wolności) *R; w. 22:* w góry, a śmiało] w (niebiosa) góry i śmiało *R; w. 31:* może już] może (nie słyszała) (nie) już *R; w. 33:* hałasy i z ukosa błysnęły] hałasy i błysnęły *R*

Str. 29 w. 6: samej, jaki piękny] samej, to (anioł mój) piękny *R; w. 8:* upadającą przycisnął do piersi, w drugiej] upadającą zawiesił na piersiach, w (drugą rękę) drugiej *R*

Str. 30 w. 13: smętnie] (spuszcza smętnie) smętnie *R; w. 20:* sto innych] sto świeżych *R; w. 23:* źrzenicą] (chciwą) źrzenicą *R*

Str. 31 w. 6: śpiewając] spiewając *R; w. 11:* padać mu] mu padać *R; w. 13:* gwałtownemi kroki. — Darmo] gwałtownemi kroki. (Na przemiany króla i zięcia i siebie jękami przeklina. — Odmęt rozpaczy, dumy, (p) wahań i postanowień wplótł mu serce na koła męki. — Lecz nie pęknie serce, zanim wejdzie pierwszy promień słońca) Darmo. *R; w. 16:* wahań] (odmiennych) wahań *R; w. 23:* wciąż mu] wciąż (Jemu) mu *R; w. 31 słów:* wciąż mu się zdaje *niema w R*

Str. 32 w. 6: zimną] (jako lód) zimną *R; w. 10:* tem samem] tym samym *R; w. 16:* starcowi; ręce] starcowi (z rękoma w krzyż złożonemi na piersiach) ręce *R; w. 18:* znana, kochana kiedyś] znana (kochana, twarz żony nieboszczki) (kochana niegdyś) kochana niegdyś *R; w. 22:* nie mógł ręki wyciągnąć, jedno musiał] nie mógł — chciał się jej (dłoni) dotknąć, a nie mógł dłoni wyciągnąć, jedno (mu) musiał *R; w. 25:* zbrojownię] zbrojownią *R; w. 27:* na wschody, drzwi] na wschody, snuła się aż do pierwszych drzwi, drzwi *R; w. 33:* łożem ślubnem, naprzeciwko] łożem, naprzeciwko *R; w. 35:* wygnańca] (synowca) Wygnańca *R*

Str. 33 w. 1: ręku — usłyszał] ręku (a głos córki brzmiał tak) usłyszał *R; w. 3:* ojciec już mnie wprzódy zabił] wprzódy już mnie ojciec zabił *R; w. 4:* to mówiąc] (mdlejąc) to mówiąc *R; w. 15:* krużganku. — Pan młody podchmielony] krużganku, (zerwał się starzec i patrzy i czeka, niemą rozpaczą Boga wzywając).

Pan młody (wpada do komnaty) podchmielony *R; w. 17*: przyrósł] nagle przyrósł *R; w. 19*: za nim. — Strach] za nim, z wniesionemi rękoma rzucił się na wygnańca. — Strach *R; w. 20*: rzuca] (rzucił) rzuca *R; w. 25*: po drugich] po drugiej *R*

Str. 34 w. 1: przewinęła mu się] przewinęła się *R; w. 7*: korytarze] korrydarze *R; w. 18*: rozczochrane] rozczuchrane *R; w. 27*: Mów prawdę] (nie milcz) mów prawdę *R; w. 29*: śmierci] (sam) śmierci *R; tamże*: tak, jak] tak (teraz jak) jak *R; w. 31*: Powiedz] (Wszak) Powiedz *R; w. 34*: drży całem] drzy całym *R*

Str. 35 w. 1: Zadrżały] Zadrzały *R; w. 14*: przekroczył] prze(chodzi)kroczył *R; w. 19*: odjękuje odgłosowi] odjękuje (krokom) (ich następującym krokom) odgłosowi *R; w. 22*: ślubnej] (weselnej) ślubnej *R; w. 26*: drzwiom] (on) drzwiom *R; w. 27 przed słowami*: A kiedy stawał *znajduje się w R następujący przekreślony ustęp*:

(A kiedy stawał na progu, właśnie rumiana, ogromna twarz słońca wlepiła mu się w oczy. — Olśniony, (idzie na przebój) idzie omackiem na przebój, aż ciemności spadły mu z oka — lepiej było (oku) zrzenicy przytulić je do siebie na wieki! bo senne mary stały się jawem, stopy Jego w krwi brodzą, (tuż przed nim leży ciało córki, ciało synowca, chyba że on już nie na ziemi, ale w czyscu złudzeń, w piekle nasłanych widziadeł) Tuż przed nim ciało córki i ciało synowca — szklnią się ich nieprzywarte zrzenice w promieniach coraz bielszych słońca — głowa jej spoczywa na kolczudze rycerza — snadź on jeszcze padając (znać) otoczył jej szyję ramieniem —)

Str. 36 w. 1: służebni] (rycer) służebni *R; w. 10*: i na pancerzu wodza i na piersiach oblubienicy] i na śnieżnych szatach (dziewczyny) panny młodej i na pancerzu (męża) wodza *R; w. 12*: śniadym] śniadem *R; w. 31*: spuścił] (schylił) spuścił *R*

Str. 37 w. 17: ciszej, wiara — ciszej] ciszej — ciszej *R; w. 11*: ściskały] (tam) ściskały *R; w. 13*: rękoma] ramionami *R; w. 21*: mocuj] (pasuj) mocuj *R; w. 22*: Przerażony sługa wymknął się] Przerażony wy-

mknął się *R; w. 25*: ten sen okrutny] tę okrutną próbę *R; w. 26*: szedł] (spokojniej szedł dalej) szedł *R; w. 29*: Owoż] Owóż *R; w. 32*: herbowych flagach] (flagach, powiewnych herbami) herbownych flagach *R*

Str. 38 w. 24: dziecię, dobre dziecię] dziecię (moje), słodkie dziecię] *R; w. 30*: głośno] (rozśmiał się) głośno *R; tamże*: czekają] (słuchając) czekają *R; w. 35*: ja] (przebudzić) ja *R*

Str. 39 w. 3: po kilku] (na wier) po kilku *R; w. 6*: błękitami (chłodami) błękitami *R; w. 10*: ciało] (trup) ciało *R; w. 14*: na rączych] (udali się wszyscy) na rączych *R; w. 16*: książęciu] (księciu) książęciu *R*; *w. 22*: zwiady] wzwiady *R*

Str. 40 w. 1: ciebie] (o tobie) ciebie *R*

POKUSA.

Tekst według wydania: Noc letnia. Paryż, 1830, 16°, *od str. 91—101.*

DZIENNIK Z PODRÓŻY PO SYCYLII.

Tekst i odmiany według autografu.

* * *

Tytuł domyślny — autograf bowiem nie ma go wcale.

Str. 65 w. 19: ich (pisk) krzyk

Str. 66 w. 36: także (w sklepienie zagięte) zagięte sklepieniem

Str. 68 w. 9: Z (prawej) jednej strony; *w. 10*: port, (dziwnie) w równych; *w. 16*: takie (słodkie) lube.

Str. 70 w. 3: cienie (chmur) obłoków; *w. 18*: tam (wejść i zniknąć) wśród

Str. 71 w. 3: a (wielu ludziom) niektórym

Str. 72 w. 21: niewzruszone *(przekreślony silnie wyraz nieczytelny, jakby*: obrzydliwe), smutne

Str. 77 w. 4: drodze (kamiennej) brukowanej; *w. 13*: tą (pieczarą) jaskinią; *w. 21*: w (przepaści) rozłomy; *w. 23*: długich (fałdzistych) szatach

Str. 78 w. 22: gdy (szedł) (wszedł) wchodził; *w. 33*: błyszczy (kwiat) samotny

Str. 79 w. 24: zieleni się (piękniej) jaśniej; *w. 37*: siedzenie z (kaszmirów) kaszmirowych wezgłowiów

TRZY MYŚLI.

Skrócenia: Trzy myśli, pozostałe po ś. p. Henryku Ligenzie, zmarłym w Morreale 12 kwietnia 1840 roku. Nakładem Stefana, Szczęsnego, Bogdana Mielikowskiego. Paryż. 1840, *8°, str. XVII, 64 i 8 nl.* = *A.* — *Autografy: a)* »Syna cieniów«, *b)* »Snu Cezary« = *R.* — *Tekst według A.*

SYN CIENIÓW.

Tytułu i motta niema w R. Utwór rozpoczynają następujące cztery zwrotki, przekreślone w autografie:

Życie jest drogą — co z głębin otchłani
Wiedzie na coraz powietrzniejsze szczyty.
Na dole Ciemność a w górze błękity,
W głębi błękitów gwiazda, życia Pani.

Po drodze ciernie i straszliwe Larwy —
Lecz niechaj pielgrzym do tej gwiazdy wzdycha —
Tam Jego szczęście i tam Jego pycha,
On (na niej) kiedyś wzdzieje (!) (wiecznej wiosny) wie-
[cznych wiosen barwy.

Przez długie bole — przez wieków męczeństwa
Rozbierze siebie z szaty człowieczeństwa —
Ogień, co pali, krew własna, co krwawi
Smiertelność Jego wyźre i przetrawi —

Coraz on groźniej wchodząc patrzy w niebo
I coraz dumniej tą ziemią pomiata —

Drze się schodami na piątra wszechświata —
Bogiem mu zostać — jest Boga potrzebą!

Str. 93 w. 1 i n. Zamiast pierwszych dziewięciu zwrotek, od słów: »Syn cieniów« *aż do słów* »na zaguby morze« *znajdują się w R dwie następujące zwrotki*:

Syn cieniów patrzy w oddal — w błękit — w niebo —
Choć z ziemi rodem (tą) ziemią tą pomiata,
Drze się z jej nizin na piątra Wszechświata
Nektar dróg mlecznych — ust Jego potrzebą!

Przez długie klęski — przez wieków męczeństwa
On się rozbierze z szaty człowieczeństwa
(Ogień, co pali) Myśl, która gryzie, krew własna, co [krwawi
Śmiertelność z (serca) Niego wyżre (mu i) i przetrawi —

Str. 94 w. 21—22 brzmi w R:

Złe przejściem tylko — tylko pyłem drogi
Jeśli piorunem — to (znikomej) nie wiecznej burzy —

w. 27—28 brzmiały pierwotnie w R:

Bo gwiazdy nieba zalsną tu na ziemi
I on zabłyśnie przez świat nakształt tęczy

poczem znajduje się w R następująca przekreślona zwrotka:

Co wszystkie łukiem spoiła przestrzenie
(Bo) Noc dolin wzięła w ramion swych promienie
A czoło górą w równi z słońcem trzyma
Tam, gdzie wre światło — a już nocy niema!

w. 29—30 brzmią w R:

Coraz więc dalej, o synu (Ciemności) Światłości
Stąpaj ku twojej zwitej z gwiazd koronie) światów
([nieodkrytych stronie!

w. 32: na drogach] na ścieżkach *R*

Str. 95 w. 2: coś przeczuł natchnieniem] coś wyspiewał pieniem *R; w. 5;* świeże] całe *R; w. 12—14 brzmią w R:*

Póki nie wyjdzie jak dziecię z ukrycia,
Póki nie błyśnie jak zorza z powicia!
Bądź ty jak Tytan...

W. 20: z lazurów] z jasności *R; po w. 23 znajduje się następująca przekreślona zwrotka:*

Znów będziesz wzdychał ty Aniół, ty święty,
Do tego Boga, co jest niepojęty
I za nim pójdziesz miłością niesiony
W świat inny — piękny — dobry — nieskończony. —

W. 29: twój jeszcze] twój (dotąd) jeszcze *R; w. 32:* Ty, na nie patrząc] Stojąc nad niemi *R; w. 34 i n. brzmią w R:*

Dotąd ci czegoś brak, Synu światłości!
Ostatek bolu w twoim sercu gości,
Cień twoich skrzydeł przed tobą się toczy,
Mgła niepamięci jeszcze ćmi ci oczy,
I jeszcze wołasz do Boga: »O Boże!«
Aż poznasz Pana jakoś ty poznany,
I przejrzysz siebie — a w tej samej chwili
(Dzień) Noc niepamięci w tobie się przesili.

Str. 96 w. 11: mijał] minął *R; w. 16:* W jednem wspomnieniu po długim] Jednem wspomnieniem po długiem *R; w. 17:* Tyś zlał się z sobą — Tyś przypadł do siebie] Złałeś się z sobą — przypadłeś do siebie *R; w. 27:* i wiecznie Jedynym] a wiecznie Jedynem *R; w. 29:* a oprócz Ciebie] i prócz jednego Ciebie *R; w. 31:* stwarzaj wieczne niebo w niebie] i twórz niebo w niebie *R*

SEN CEZARY.

Autograf tego utworu jest połączony z dzienniczkiem poety, nazwanym przekładem »dziennika Cesara Alberti w Emelina *Jean Paula« następującem zdaniem:*

Tu, jak zwykle w Jean-Paulu, przerywa się nagle dziennik Cesara Alberti i zaczyna się ułamek —

SEN CESARA ALBERTI.

Str. 97 motta niema w R; w. 6: wejść do niej, wstępuję ciasnemi wschody] wejść otwartą bramą, wstępuję wschodami *R; w. 8:* grube mury] mury grube *R*

Str. 98 w. 1: szeroki, tam] szeroki, cichy, tam *R; w. 5:* roztoczyła się przedemną. Zdało mi się] roztoczyła się naokoło mnie. Oparłem się na poręczach, by nie zemdleć z zawrotu głowy. — Zdało mi się *R; w 8:* złotem i ciszą] złotem, milczeniem i ciszą *R; w. 10:* dźwięki poważne, jakby] dźwięki długie, poważne, pełne, jakby *R; w. 12:* wschodzą z dolnego kościoła — idą] w schodzą — idą *R; w. 14:* A za każdym akkordem] Kościół dolny napełnił się brzmieniem i leje, gdyby w czarę drugą, potoki dźwięku do cudnej Dzwonnicy! — A za każdym akkordem *R; w. 15:* źrenice] (zrzenica) zrzenice *R: w. 22:* krzyk ich mowy] ich krzyki, mowy *R; w. 23:* wszczynał, a czasem] wszczynał, grzmoty huczały, a czasem *R; w. 24:* i szli] i szli dalej, szli *R; w. 26:* krwawe słońce] jaskrawe słońce *R; w. 27:* kołujące] duże, kołujące *R; w. 32:* jakby za pogrzebem] jak gdyby szło za pogrzebem *R; w. 35:* szabel] połamanych szabel

R; w. 36: dłoniach] rękach *R; w. 40:* ślady swoje krwią, z ran płynącą] ślady krwią własną *R*

Str. 99 w. 3: kwiaty] kwiatami *R; w. 5:* bez narzekania] bez westchnień *R;* w. *6:* tę samą. Długom patrzał] zawsze tę samą! — Bo wszędzie, wszędzie, gdzie tylko spotkali się z ludźmi, musieli się bronić i przedzierać i pasować się. Długom patrzał *R; w. 11:* w poprzek] na poprzek *R; w. 20:* oni bili się] oni się bili *R; w. 23:* połyskami przetkana] sinemi gwiazdami przetkana *R; w. 24:* skwarno] skwarno i nieznośnie *R; w. 25:* i groty] ich dzidy, ich groty *R; w. 28:* I każden z nich wzniósł] Każden z nich wzniósł wtedy *R; w. 29*: sieroto] aniołku *R; w. 30*: i przepaść] i że przepaść *R; w. 32*: jak rój białych aniołków] jak stado białych gołębi *R; w. 35*: się rozpoczęła] rozpoczęła się *R; w. 38*: klął] przyklął *R; tamże*: błagał] (prosił) błagał *R; w. 39*: głosy] głos *R; tamże*: Żyjcie i bądźcie] (pod) żyjcie a bądźcie *R*

Str. 100 w. 10: A owym aniołom bladym roztworzyły się oczy i każda odrzekła] A Anioły owe blade rozemknęły powieki i rzekły *R; w. 12*: naszą i grób] naszą — grób *R; w. 13*: miłości nieskończonej] nieskończonej miłości *R; w. 15*: umierających, jak stał z podniesionym mieczem, tak utopił go] umierających podniósł miecz i utopił go *R; w. 20*: na zielonej murawie] na murawie *R; w. 23*: jeszcze dotąd] dotąd jeszcze *R; w. 27*: patrz, patrz] patrz *R; w. 28*: od akkordu] od okropnego akkordu *R; tamże*: lochów] grobów *R; w. 29*: co bije] co uderza *R; w. 32*: wciąż nad sobą] nad sobą *R*; *w. 33*: dźwiękiem] głosem *R*; w. *40*: ruczajów] wody *R*

Str. 101 w. 4: anielski mój] Anielski *R*; *w. 6*: głosu] głosu tego kochanego *R*; *w. 8*: otoczona, białych wiosek] otoczona i białych wsi *R*; *w. 10*: woła] wołał *R*; *w. 11*: Ku wschodom] na wschody *R*; *w. 15*: wzrastającym] wzrastającem *R*; *w. 17*: słychać] słychać było *R*; *w. 19*: przyciszanych] przyciszonych *R*; *w. 22*: rzekł: »Cezara] zawołał: »Cezara, Cezara *R*; *w. 29*: wszędzie u stóp] wszędzie pod sklepieńmi, wszędzie u stóp *R*; *tamże*: na szczytach słupów gotyckich i na

arkadach] na szczytach kolumn i po arkadach *R*: *w. 32*: od mgły ledwo widzialnej, co się przesuwała w przestrzeni] a mgła jakaś ledwo widzialna, jak rąbek przejrzysty przesuwała się w przestrzeni *R*; *w. 38*: krzyżem krwi] krzyżem krwi i koroną krwi *R*; *w. 39*: pod krzyżem] pod koroną *R*

Str. 102 w. 2: zdało] wydało *R*; *tamże*: jakby] jakoby *R*; *w. 4*: teraz chwytam, słucham nuty] teraz (chwytam) słuchem chwytam nuty *R*; *w. 5*: podobne] podobne, błądzące w powietrzu *R*; *w. 11*: śpiew] spiew *R*; *w. 14*: raz tylko] ale raz tylko *R*; *w. 17*: szli polegli, szli umarli] szli umarli, szli polegli *R*; *w. 20*: pęknięte oręże] pęknięte krzyże i połamane oręże *R*; *w. 21*: ze spuszczonem] z spuszczonem *R*; *w. 23*: katedry i zaczęli stąpać w stronę wielkiego ołtarza] katedry i rzędem czarnym zaczęli stąpać ku wielkiemu ołtarzowi *R*; *w. 32*: w powietrzu i, ważąc się w powietrzu] w powietrzu, (jasnemi oczęt) ważył się *R*; *w. 34*: ku nim, ku nadchodzącym] ku nim, ku umarłym, ku nadchodzącym *R*; *w. 39*: z radości i z objęć mężów zstąpiły na ziemię i podnosząc] z radości i zmartwychwstały z szczęścia i z objęć mężów zstąpiły i podnosząc *R*

Str. 103 w. 2: twarzyczki, przesuwające się, jak kwiaty i gwiazdy, nad niemi] twarzyczki, kwitnące jak kwiaty, błyszczące jak gwiazdy, przesuwające się jak powiew wiosenny nad niemi *R*; *w. 4*: Aż drugi] Drugi *R*; *tamże*: wtedy w pustych] i w pustych *R*; *w. 7*: niewiasty i wnet zdały się na nowo bardzo blade] niewiasty cichie (!) łzy lejąc a potem znów zdały się bardzo blade *R*; *w. 9*: poskładawszy] poskładali *R*; *w. 11*: ale o nic] i o nic *R*; *w. 12*: z bolu i znużenia] z wielkiego znużenia *R*; *w. 13*: mgły, zstępujące z sklepień, wiły się] Mgły bladawe zstępowały z sklepień i wiły się *R*; *w. 15*: gasły jedna za drugą — tony owe miękkie i tkliwe cichły pod jękami organów] gasły jedne po drugich — owe tony tkliwe i słodkie cichły pod ciężarem akkordów, grzmiących w organach *R*; *w. 19*: zanurzył się w mrok szary — aż] zanurzył się w noc szarą, kilką tylko gromnicami oświeconą —

aż *R*; *w. 21*: huku] dźwięku *R*; *w. 23*: Ona] Ona (sama) *R*; *w. 24*: jak drzewo] jak młodziuchne drzewo R; *w 25*: stanęła... i pojrzała] stanąwszy... pojrzała *R*: *w. 27*: jak dyamentu] jak dyamentu i lazur niebios unosił się koło skroni Jej *R*; *w. 35*: ale płynąc] ale jak słup Jasności płynąc *R*; *w. 40*: Czemu] czemuż *R*

Str. 104 w 4: gromnica] gromnica w kościele *R*; *w 7*: śpiewający] spiewający zwolna *R*; *w. 9*: niech ostygną] niech te sklepienia (wam) lekkiemi wam będą — niech ostygną *R*; *w. 10*: serca] myśli *R*; *tamże*: przyjdzie na was i na ziemię] przyjdzie na ziemię *R*; *w. 13*: siłą wam; bo Pan czuwa nad waszemi trumny i czeka, aż chwile przeznaczone miną. A teraz] siłą wam, ta śmierć zbawieniem. Pan czuwa nad waszemi trumny — Pan wskrzesi was, gdy chwile przeznaczone miną.

I przebudzicie się z bronią w ręku —

I powstaniecie z gwiazdą Jutrzenki na czole wy i siostry wasze, wszyscy aż do ostatniego, boście (wszyscy) poszli wszyscy za Panem do grobu. — Słowik na mogiłach ziemi waszej spiewać wam pieśń powrotu będzie.

A teraz *R*; *w. 17*: słowa, co pierwej: »Cezara] słowa: »Cezara *R*; *w. 20*: ślad jeszcze po nich na ziemi] ślad po nich (jeszcze jeden) ostatni na ziemi *R; w. 22:* I naglem] (I nagłem) I naglem *R; tamże:* modrych] szarych *R; w. 23:* a w samym środku ich] a na ich tle modrem *R; tamże*: malowany, powiewany powiewami] malowany powiewami *R; w. 25*: niewieścią] niewieścią w bieli *R; w. 26*: z smutku wiecznego wyrazem na czole. — Jej szaty] z wyrazem smutku nieokreślonego na czole. — I smutek był jakoby jej życiem jedynem. — Jej szaty *R; w. 28*: płynęły, takie białe] płynęły, stapiając się z jej kibici kształtem *R; w. 29*: w przestrzeni. I dumny] w przestrzeni. I ten wzrok zdawał się wiecznem pożegnaniem światu. — I dumny *R; w. 30*: łzawy — i harde] mglisty — i podniesione *R; w. 33*: »Strzeż jej, Cezara] Cezara, Cezara, strzeż jej *R; w. 34*: polegli] umarli *R; w. 35*: rodu tego] tego rodu *R; 36*: na ziemi] na ziemi. Z tysiąców dusz ta jedna dusza, ten cień ostatni błąka się

jeszcze dotąd z tej strony grobu *R; w. 38*: nieznajomy] nieznany *R; w. 40*: stroskane] bezludne *R; tamże*: przesłonionych] niewidzialnych *R*

Str. 105 w. 1: zżółkłych] (suchych) zżółkłych *R; w. 2*: krwią zbroczony, mgłę przecinając, prowadzi panią] biały, krwią zbroczony, mgłę piersią zranioną przecina, prowadząc Panią *R; w. 5*: smętna] smutna *R*; *w. 6*: ciągle błądząca, ciągle w milczeniu] ciągle przedemną, zawsze błądząca, zawsze w milczeniu *R*; *w. 7*: wiecznie. I gdzie] wiecznie — i zdało mi się, żem nigdy piękniejszej nie widział na ziemi — i coraz bliżej Jej stąpam — i gdzie *R*; *w. 10*: z nią razem] z nią razem! A głos anielski, co mnie wiódł długo, już ucichł — Jej milczenie jedynym głosem moim — Jej dusza jedyną pychą — Jej piękność niebem jedynem! *R*; *w. 12*: Czasem] Zdało mi się, że czasem *R*; *w. 13*: chmurami, czasem] chmurami, czasem gwiazd kilka, czasem *R*; *w. 14*: niekiedy poza mgłą słyszę miast] Zdało mi się, że słyszę poza mgłą miast *R*; *w. 15*: i w górze] to znowu huk morza, to znowu w górze *R*; *w. 16*: pod stopami, zdało mi się, że słyszę płacz] w przepaści płacz *R*; *w. 19*: za nią] za nią, tylko pójdę za nią *R*; *w. 21*: ta sama] (nas) ta sama *R*; *w. 22*: Ona] A ona *R*; *w. 24*: Cezara] Cezara (Cezara) *R*; *w. 25*: z mgły śnieżną dłoń wychyli] z mgły, co ją obwiewa, śnieżną rękę wychyli *R*; *w. 27*: idziem] idziem razem *R*; *w. 28*: ożyć] żyć *A*; *tamże*: Gdzieś słońce to samo świeci, gdzieś grób ten sam czeka na nas] Gdzieś grób ten sam czeka na nas, gdzieś słońce to samo świeci dla nas *R*; *w. 38*: gdzie] kędy *R*; *w. 39*: żem ujrzał] żem pod wieczór ujrzał *R*; *tamże*: mgłę wymknięty] mgłą sterczący *R*; *w. 40*: I Duch tam siedział, podobny całkiem do czerstwego] I stał tam Duch jakiś samotny, podobny całkiem do człowieka, do czerstwego *R*

Str. 106 w. 2: bezpiórne] długie, bezpiórne *R*; *w. 3—10 brzmią w R*: A siedząc nad przepaścią, trzymał w ręku Harfę czarną o jednej strunie tylko i spiewał spokojnym głosem:

»Młody, niedoświadczony, wstrzymaj się u stóp

mojej skały, bo tu granica między światem życia a doliną Śmierci. Jeśli ją przekroczysz, dusza twoja się rozwiąże i osłabnie na wieki.

I zdało mi się, że tknął ową strunę, a żelazny jęk się rozległ i (zdjął) strach mnie ogarnął:

— (Opuść, o opuść tę, która nie ożyje nigdy — Piękność jej) Opuść, o opuść tę *R; w. 11:* gdy spójrzy] kiedy czasem spojrzy *R; w. 12:* poda — bo iskry] poda — bo znaku nadziei niema na tem czole — bo iskry *R; w. 13:* źrenicy] zrzenicy *R; w. 16:* stanęła i obróciła] stanęła. — Zdało się, że słyszy słowa Ducha — stanęła i obróciła *R; tamże:* Wszystkie sny] wszystkie boleści, wszystkie sny *R; w. 19:* na niej] na Jej rysach *R; w. 21 słów:* A Duch znów zaśpiewał *niema w R; 22—28 brzmią w R;* »Nie patrz! Uciekaj drogą, którąś przybył — (Co zmartwychwstać nie może, niechaj się dłużej nie łudzi) — Wracaj i żyj pośród (braci) ludzi, w słońca promieniach. — A ja tu z nią zostanę i spiewać Jej będę spiew mój ciężki, długi, bez końca, bez nadziei na tej jednej strunie — ostatniej! — bo inne przebrzmiawszy odwiązały się a niektóre pękły — wszystkie niegdyś razem zwały się wiarą, nadzieją, kochaniem. — Ta jedyna dzisiaj zowie się nicością.

Lecz ja na postać tylko, na postać patrzałem — (na to podniosłe czoło, białe, czyste, dumniejsze z konających wspomnień, niż inne z rosnących nadziei!)

(I zdało mi się wtedy) A wtedy ów Duch powstał i Harfą rozciął mgłę....

w. 29: wielkie] (nieskończone) wielkie *R; w. 30:* próchen, koni] próchen — w piasek wbite ornaty, płaszcze, korony i miecze i siodła — koni *R; w. 32 słów:* ubranych w płaszcze, w ornaty, w korony, wśród pancerzy i mieczów i siodeł *niema w R; w. 34:* kaplice i ruiny] kaplice, ruiny *R; tamże:* na brzegach] na brzegu *R; w. 36:* ocean, ścięty mrozem na niebie] ocean w górze, ścięty mrozem na wieki *R; w. 37—40 brzmią w R:* A Duch, wstrząsłszy skrzydła, wskazał Harfą te milczące przestrzenie i rzekł: »Wybieraj!«.

A w tej samej chwili zdało mi się, że po drugiej

stronie skały rozwiodła się zieloność i błękit zaświecił. — Tam świat ludzi żywych! (w jednem mgnieniu oka roztoczył się przedemną) tam na tysiącach wież bielejących tysiące sztandarów....

Str. 107 w. 2: żywe] szare *R; w. 3—4 brzmią w R:* Ale wnet odciągnąłem oczy i znów je wlepiłem w twarz postaci. A twarz ta zdała mi się coraz bardziej piękniec i szlachetnieć, lecz zarazem i konać! — *W. 5:* że, zebrawszy.... ona postąpiła] że postać, zebrawszy.... postąpiła *R; w. 7:* ludu swego rozemdleć się i zniknąć] ludu swojego zniknąć na wieki *R; w. 9:* Duch szczytu] Duch rzekł ze szczytu *R; w. 10:* Wybieraj] Ostatni raz wybieraj *R; w. 12:* W tej samej chwili głos jej zawołał: »Cezara!« A jam] I tknął strunę — (Ona (zabrzękła) zagrzmiała, jak krzyk umierającego świata). W tej samej chwili zdało mi się, że postać odchodzi odemnie. A jam *R; w. 12:* za tą] za nią *R; w. 13:* na śmierci cmętarze. Snieg krąży] za Świętą moją, na śmierci cmętarze. (I znów idę z nią — i znów jestem przy niej. I wiem teraz, kędy koniec drogi mojej — wiem, że na wielkiej mogile!) Snieg krąży *R; w. 15—36 brzmią w R:*

Orzeł, co leciał przed nią, padł, plusnął krwią i skonał. Białe Jego skrzydła wśród umarłych Sępów rozciągnione leżą — Ona wśród zawiei znika — Ledwo już mogę dostrzedz jej rozpuszczonych włosów — Raz ostatni poszukam jej dłoni (w w) wśród cieniów tę dłoń ścisnę raz jeszcze — a potem Tej, którąm ukochał, nie będzie już ze mną! Zostawi mnie samym wśród gruzów — samym wśród umarłych na zawsze! Ta, którąm ukochał, wśród zawiei znika!

I sen mój się nie przerwał — uczułem wszystkie próżnie nicości — Zdało mi się, że postać Chrystusa oszukała ich, zstępując z niemi do grobu — bo oni się już (się) nie przebudzą! — I że postać Tej, którąm kochał, mnie oszukała, bo ona też już nie powróci nigdy. — I usiadłem na brzegach morza tego i prosiłem się Duszy mojej, by mnie opuściła!

A głowęm trzymał na dłoniach, a przez palców szpary widziałem na lodach cień owego Ducha, z Harfą

czarną przechadzający się w oddali. I przechadzając się, śmiał się ze mnie.

On tylko jeden żywy w tej nieskończoności zmierzchu (— i milczenia) — On jeden tylko i Ja.

I on, usiadłszy na wzgórzu lodowatem naprzeciwko mnie, zaspiewał:

»A co teraz?«.

I z pod stóp Jego porwało się stado kruków i każden z nich, ciągnąc mi ponad głową, powtórzył krakając:

»A co teraz?«.

W. 37—39 niema w R

Str. 108 w. 1: bez żadnego brzęku zerwał] zerwał bez żadnego brzęku *R; w. 5:* głos anielski, co mi śpiewał] głos kochany, co mi na wzór słowika spiewał *R; w. 7:* za temi] za (tam) tamtemi *R; w. 14 od słów:* nie udzielą połowy *aż do końca brzmi w R:* nie udzielą połowy? Patrz! (I ona) Ona powraca, bo śmierć jej (tylko) była tylko złudzeniem. — I ty zbawiony, bo ona ci odda życie twoje!«.

Jak noworonarodzona gwiazda postać wschodziła z kończyń (!) widnokręgu. — (Twarz) Wzrok jej obrócon, ręce wyciągnięte ku mnie. — Woń fiałków płynie, (jaskółki) złote jaskółki wiją się przed nią łańcuchem. — Gdzie przeleci, tam w dole znikają lody i wykwita błękit, tam w górze mgła się zwija i wykwita światło. — Uczułem, że będę nieśmiertelny, bom nieśmiertelną ukochał.

I koło mnie z prochu dźwigali się męże, naród ten cały — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — —

Tu, jak zwykle, Jean Paul przerywa i na punktach kończy. —

* * *

O TRÓJCY W BOGU I O TRÓJCY W CZŁOWIEKU.

Tekst pierwszej części aż do str. 152 według »Biblioteki Warszawskiej« 1903 t. II. str. 12—35. Tekst i odmiany drugiej części od str. 153 według kopii autografu, sporządzonej przez prof. J. Kallenbacha.

* * *

Str. 153 w. 3: i (tylko) być.

Str. 154 w. 12 po słowie: zupełnem *dopisane ołówkiem ręką Z. Krasińskiego (?):* Złe jest przez sie ujemne i zaprzeczne, przecież może w nienawiści dobra i piękna s w a w o l n i e utraconego osądzić się na całą wieczność.

Str. 155 w. 36: wyższego (który jest Żywotem wiecznym) t. j. do Żywota wiecznego.

Str. 156 w. 3: tym (nazwalis) zowiemy; *w. 8:* z idei (i) z jednego.

Str. 157 w. 3: (bo) gdyż.

Str. 158 w. 6: którą ma (się) przeprowadzić przez świat i (na nim) urzeczywiścić; *w. 9:* narodowego (działała) jeszcze.

Str. 160 w. 3: dotknięty (rozsypany) nadwerężony; *w. 22:* bez śladu (się rozmdlewają) znikają; *w. 30:* bez (oznaczonego) pojęcia.

Str. 161 w. 39: Naturę (czuły żywo) przejęte.

Str. 162 w. 5: bożego (tylko) spostrzegali; *w. 8:* zważając (niejako) na te; *w. 11:* życia (powszechnego)

Bożego; *w. 25:* żywot wieczny (to postęp.... *słowo nieczytelne*.... do osiągnięcia najwyższego szczytu Ludzkości) Rozwojem; *w. 30:* przewalczą (by tą) a potem.

Str. 163 w. 29: głuchego (i) ślepego (i) niemego.

Str. 165 w. 4: wszystkie (doskonale nazwane średniemi) (wszystkie) wieki; *w. 6:* przyszłe (olbrzymie) żywe; *w. 12:* zostawiła (wyrobioną) zewnętrzne.

Str. 167 w. 6 po słowie sposobiących (W przyszłości idzie o pojednanie tych wszystkich idei i o urzeczywistnienie ich czynem na ziemi); *w. 9:* ideę (ludzkości) Narodowości.

Str. 169 w. 17: przebój (rozstrój) klęski; *w. 30:* żywota (dowiedział się) że; *w. 35:* rzeczywiście wszystek (ciąg losów, mogących dotknąć) (jakiej narodowości i niemi właśnie objawił niepodobieństwo zgonu) (ziemską narodowość i niemi właśnie objawił prawdę niepodobieństwa zgonu dla niego) ciąg losów.

Str. 170 w. 38: Ludzkości (wynaleźć się członek) wynaleźć.

Str. 171 w. 6: posad (przyszłej Ludzkości) na których.

Str. 172 w. 38: jeszcze (Chrystusem) chrześciańską.

Str. 173 w. 7: (One wtedy uniami z nim się zrastają) Uniami; *w. 8:* upaństwiania się. (Lecz na to potrzeba mu śród tych ludów jaśnieć oświatą a zatem samemu oświatę mieć) Lecz na to; *w. 23:* połączone razem (i zlane zup) owszem.

Str. 174 w. 9: sobie (właśnie) zgubę; *w. 20:* barbarzyńskie (boby nie zdołał podwyższać takim sposobem niższych) bo wtedy; *w. 27:* świata (oddzielać) odgraniczać.

Str. 175 w. 1: pilnował (korzyści) zysku bytowego, cielesnego (li tylko) jedynie, owszem, zawsze (jedynie) tylko; *w. 18:* namiętnie, (zostawiając) poruczając; *w. 24:* i goreć (musi to być narod miłości).

Str. 177 w. 3: (wielomóstwa) wielomówstwa; *w. 27:* swój (przeszły) przeminiony; *w. 29:* grzechy i (winy) błędy.

Str. 178 w. 8: widzenie (— przez nie ona się) — wiedza; *w. 21:* wiary, ale (dowodzenia i rozumowania

przedmiotu) przekonania; *w. 35:* przysposabiającej (w czyscu) (śmierci) czyścowym.

Str. 181 w. 26: I dusza (owa) ona.

Str. 182 w. 21: (A teraz zastanówmy się. Jestże taki pierwowzór tylko przypuszczeniem naszego rozumu, tylko możnością wytkniętą) A teraz; *w. 27:* Istniejeż (w dziejach świata) na ziemi; *w. 31:* męki (śmiertelne) nieopisane.

Str. 183 w. 18: z jej (przeznaczeniem) stanowiskiem; *w. 19:* sławiańskich. (Jedno służy za warunek drugiemu i nawzajem) Naszem; *w. 26:* więc ich z (szczepem German) temi dwoma.

Str. 184 w. 4: gardząc (Ideałem, któryby) Ideą, którąby; *w. 20;* do ostateczności skore (gotowe raz serdecznym podrzutem wyrozwznieślić się aż do najnieoględniejszego hohaterstwa, to znów zmarnieć aż do kramarstwa) zarówno zdatne; *w. 21:* wojenną (słynne) głośne; *w. 28:* szczęśliwie (losem rodu człowieczego) rodu; *w. 31:* (Wtóre Giermańskie wbrew przeciwnego usposobienia, o kształt zewnętrzny, rozmaity mniej dbając, wszędzie tylko wewnętrznej, Idealnej treści się pilnując — Albo ją sercem rozlaną jedną i tąż samą (wszędzie rozlaną sercem czuje) wszędzie rozlaną uczuje a wtedy w uczuciu jego powstaje mistycyzm — albo nad daną w Religii rozumuje, a wtedy w jego dziejach zdarza się Reforma, albo daną odprawiwszy innej, szerszej, nowej, jedniejszej szuka)

(Wtóre Giermańskie (wprost) wbrew).

(Wtóre Giermańskie wbrew przeciwnego usposobienia o kształt zewnętrzny rozmaity bytu (wszelki) wszelkiego mniej dbając, wewnętrznej tylko, idealnej treści, Jedności, wszystko sprzęgającej, wiecznie się pilnuje) Wtóre, giermańskie.

Str. 185 w. 10: myśli człowieczej (wzniósł władzę świecką królów i książąt) dał się ułowić; *w. 12:* zwoływa (ostatn) synody; *w. 13:* przeżytych (rozwianych) już; *w. 19:* ale każdego (cesarza, króla, książęcia) pana; *w. 35:* dwóch plemion (jakby śród dwóch ostateczności wyłącza się) występuje; *w. 37:* fanatycznie (rozma-

rzone w) zapatrzone; *w. 40:* od wieków (swojskiej czy obcej niewoli uciska) (jarzmo je uciska) uciska.

Str. 186 w. 6: po naturze rozlanym (a skąd nieszczęścia polityczne, doznawane od wieków, przekonały ich, że miłość bez czynów równie) a skądinąd; *w. 19:* ani w (przemyśle) filozofii; *w. 24:* ludzi (wszędzie w porządkach onych przebija) we wszystkich słowiańskich wykształtach (przebija dążenie do zapewnienia największej wolności każdemu osobnikowi, a zarazem do najwalniejszego zebrania (sił, ich wszystkich społem ku jednemu celowi) sił, im wspólnych, w jedną zbiorową, dążącą ku temu samemu celowi) przebija dążenie; *w. 27:* zbiorową (do jednego celu społem) dążącą; *w. 37:* niebieskich z (ziemskiemi) świeckiemi.

Str. 187 w. 2: i (Boga) do miłowania; *w. 19:* chrześciańską (ideą) miłością; *w. 24:* Lucifuga natio (Równie) (I za naszych czasów proste czucie słowiańskie szczere i niewymuszone, zawierające przeczuciowo we wnętrzach swoich dążenie do urzeczywistnienia (takich pojęć) takowych pojęć, także od mędrców germańskich i Romańskich statystów potępione, wyśmiane i okrzyknięte za utopią lub prostoduszność) Za dni.

Str. 188 w. 6: na giełdach (fabrykach) na zakładach; *w. 29:* Wszechstworzenia (I cóż dotąd nawet mimo, że zwolna bardzo, jednak wciąż przemagało w dziejach rodu ludzkiego?) Rozstrzygnęłyż; *w. 31:* Filozofia? (Kogoż usłuchały wieki, kiedy im kazał iść naprzód o krwi i pocie czoła na zdobycie dobra, oświaty, postępu); *w. 36:* Chrystusa skinieniem. (Co może byt oderwan od myśli? co potrafi myśl oderwana od bytu? nie są sobą samemi, jakżeby z siebie stworzyć co zdołały? pełni żywota nie urodzi ani najprzebieglejsza dyplomacya ani najdzielniejsze bohaterstwo wojenne ani żaden (praktyczny) przypadek, okoliczności, zdarzenie praktyczne, bo im zbywa na świadomości ostatecznych powodów i celów i przecież same się trafu ślepego wiecznemi igrami uznają. Nie wyda jej też z siebie żadna (żadna świadomość powodów i celów) ni teorya ni wiedza świadoma powodów i celów, ale pozbawiona (potęgi) wcielań potęgi pojmująca (przeszłość w przy-

szłości) wszystko, ale nie bytująca w zdarzennem ruchu obecności, bo nią rządzi nie już ślepy traf, ale nieubłagana konieczność własnej jej logiki i tem srożej błądzi, im, począwszy od mylnej zasady, wynikliwiej rozumuje. Czegoż jeszcze potrzeba więcej, czegoż trzeciego na to, by te dwie pobocznice przyjść mogły do siebie i skojarzyć się w jednią żywota (na to) (pierwszą nazwaćby można ciałem przedmiotowem, drugą zaś duszą przedmiotową historyi) pierwsza z nich t. j. polityka stanowi jakoby ciało, druga t. j. Filozofia jakoby duszę przedmiotową historyi —)

Str. 189 w. 5: Nie wyda też (całości żywej) owej pełni; *w. 9:* wszystko (ale nie bytuje w niczem); *w. 13:* zasady (rozumnie), ją przeprowadza; *w. 19:* w (poi) osobniku; *w. 29:* żadnego (wieku) okresu; *w. 40:* w tej jedynej do (do serca) do serc.

Str. 190 w. 1: grom (uderza) zstępuje; *w. 11:* ale (ciągła, ubytniona, wrodzona) ciągła, ale (ciągła) ubytniona; *w. 24:* nastroju (dotąd na świecie) nie było; *w. 25:* (Na pierwszą) Szczep słowiański; *w. 26:* wygląda (szczep słowiański) i rozwój.

* * *

W listach do Stan. Małachowskiego (Kraków 1885, str. 15 — 20 = A) i w listach do Adama Sołtana (Lwów, 1883, str. 259 — 265 = B) znajdują się następujące dwa urywki, będące streszczeniem pewnych części traktatu »O trójcy w Bogu i o trójcy w człowieku«.

Tekst podany według A, tytuły według B.

O TRÓJCY I SŁOWIE WCIELONEM.

W tem Łaska boża, że nas stworzył, że nam udzielił Bytu[1]) że w nas podobną Swojej Osobistość tchnął. W tem Rozum i Logika boża, że nas nie od razu doskonałymi i niebiańskimi stworzył, ale poczynającymi od początku, kształcącymi się postępowo, zmuszonymi się zasługiwać, czyli siebie samych dotwa-

[1]) Bytu udzielił *B*;

rzać i róść ku niemu. W tem nareście Miłość boża, że nas ostatecznie zbawi i opatrznie doprowadzi do żywota wiecznego, który jest niebieską Harmonią, bez końca wznoszącą i dostrajającą się coraz wyżej i pełniej, czyli postępem, nie przerwanym już śmiercią, przemienianiem się następnem przy wszelkiej świadomości i z własnej woli. Z łaski więc bożej osiągujem[1]) byt czyli ciało! Z rozumu bożego osiągujemy[1]) świadomość tego bytu, wiedzę jego niezbędnych warunków i celu — czyli Duszę, z Miłości bożej wreszcie dochodzim do najwyższego zlania się Bytu z Myślą, Ciała z Duszą, czyli stajem się Duchami żywymi, nieśmiertelnymi, przeznaczonymi do Anielstwa, Archanielstwa i wszystkich innych przemienień się duchowych w nieskończoności żywota, tu i tam i wszędzie!

Z tego trojakiego stosunku Boga do nas i nas do Boga Trójca i jej Osoby wynikają. — Osoba Łaski to Jehowa, który jest, bo jest, który stwarza nas, bo stwarza; Łaska albowiem to to, co danem dla niczego, tylko dlatego, że danem: jest ona, bo jest. — Osoba Rozumu, (Inteligencyi), przyczynowatości, osoba, nakazująca nam pracę i zasługę, czyli kształcenie się i postęp, jako drogę logiczną, konieczną, jedyną do niebios, to Słowo (Logos), a wcielona[2]), to Chrystus, który właśnie objawił rodowi ludzkiemu prawo wieczne jego zasługi i postępu, by mógł ród ten dojść[3]) do Anielstwa[4]) — wreszcie osoba Miłości, kojarząca dwie poprzednie, równo z jednej jak z drugiej wynikająca[5]), spójnia Łaski bez przyczyny z Swiadomością i Rozumem, przyczynę w sobie zawierającym, połączenie wolności w Bogu stworzycielu z koniecznością w Bogu objawicielu[6]), to osoba Ducha, to Duch święty, który w stosunku do nas wyraża najprzedziw-

[1]) osiągamy *B*; [2]) a gdy się wcieli *B*; [3]) dójść *B*; [4]) do końca dziejów swoich *B*; [5]) *słów* równie z jednej jak z drugiej wynikająca *niema w B*; [6]) wolności Boga Stworzyciela z koniecznością logiczną Boga Objawiciela *B*;

niejsze[1]) zlanie się w jedno żywota, danego z łaski, z prawem koniecznem zasługi i postępu, czyli zbawienie, czyli Harmonię ostateczną, cel ostatni nasz, żywot nasz wieczny[2]), uzupełnioną Miłość bożą ku nam i w nas![3]) I oczywiście, że takim sposobem zarówno z Ojca i z Syna pochodzi — z Jehowy i z Słowa wcielonego, bo jest ich zlewem, ich przepojeniem się, ich jednią, tak, jak zbawienie nasze ostateczne będzie zlaniem się[4]) w jedno w nas Łaski bożej i własnej zasługi![5]).

Zatem na początku Łaska, a w końcu Miłość. Łaska tylko być może dla niebędących jeszcze, Miłość być tylko może dla będących już, ale jej godnych, ale na nią zasłużonych; — pośrodku zatem i jako przejście od Łaski do Miłości — Rozum! W stosunku do nas Rozum boży znaczy Logikę życia[6]), znaczy trud, krwawą pracę, suchy niewczas, męczeństwo, słowem zasługę![7]). I oczywiście, by stworzonych z Łaski przeprowadzić stopniowo[8]) do godności niebiańskiej, do Anielstwa[9]), do żywota wiecznego Duchów, trzeba koniecznie było ich zasługi[10]) — czyli trzeba było, żeby im jej konieczność Rozum boży objawił i nakazał, bo inaczej Łaska byłaby bezrozumna i Miłość w końcu też ślepa, bezrozumna też[11]), a zatem nie żadną Miłością, tylko znowu Łaską; — więc nie byłoby żadnego rozwoju[12]) od pierwszej do ostatniej, żadnego biegu życia, dziejów żadnych ludzkich byćby nie mogło — na początku i na końcu to samo: jedna ogromna martwość, jeden stan, jeden raj nieprzemienny, głuchy, niewinny, ale też nieżywy i zwierzęcy[13]). Przej-

[1]) najpełniejsze *B*; [2]) żywot wieczny nasz *B*; [3]) i w nas i z nas *B*; [4]) ostatecznem zlaniem się *B*; [5]) Łaski Bożej, danej przez Jehowę, i własnej zasługi, nakazanej przez Chrystusa *B*; [6]) w stosunku do nas czemże Rozum Boży? co nam nakazuje? co objawia nam? On znaczyć musi dla nas Logikę życia naszego, a zatem trud *B*; [7]) Zasługę nam nakazywać *B*; [8]) *tego wyrazu niema w B*; [9]) do przeanielenia się *B*; [10]) zasługi, i to stopniowej *B*; [11]) też bezrozumna i ślepa *B*; [12]) żadnego rozwoju, żadnego przejścia żadnego rośnienia *B*; [13]) to samo, wszystko byłoby

ście więc czyli życie[1]) nastąpić musiało[2]), bo Bóg jest Bogiem nie umarłych, ale żywych[3]). Pośrednikiem więc w istocie w tem przejściu między Łaską i Miłością, Łącznikiem i usprawiedliwicielem ich obu musiał być Rozum boży, który, wcielony i objawiony, w rodzie ludzkim Rozum ludzki obudził. Stąd Chrystus jest Zbawcą[4]), Odkupicielem, Pośrednikiem, i tylko przechodząc przez Niego można[5]) dojść do zbawienia. Jest prawdą, światłem na ziemi i w najwyższem[6]) znaczeniu Drogą, jak sam wyrzekł o Sobie — i tylko tą drogą dojść można[7]) do Miłości ostatecznej! A że w stosunku do nas ta droga jest trudem, pracą, zasługą, zatem Chrystus wcielony musiał ją[8]) życiem i śmiercią odbić, wyrazić[9]), uczynić; — wszystek Trud przejścia od Łaski do miłości[10]) w Nim przedstawiony[11]); dlatego żył ciągle jak ofiara paląca się i skonał krzyżowo. Lecz że wskazywał i objawiał, do czego wiedzie przejście przez Rozumu drogę, że objawiał Miłość ostateczną za cel tej drogi[12]), że wskazywał niebo[13]) i żywot wieczny za wynik jej konieczny, musiał też i Cel ten czyli Niebo wyrazić i ukazać w poczęciu[14]) się niepokalanem, w Przemienieniu na Taborze, w Zmartwychwstaniu i Wniebowstąpieniu, w tych nadludzkich cudach a rzeczywistościach anielskich. Kiedyś[15]) pokaże się, i już w nim objawionem jest[16]), że prawem, rządzącem naturą Ducha — jest Cud[17]).

---

tożsamością stanu Łaski, wszystko jedną ogromną niewzruszonością, a zatem martwością, jednym chyba Rajem nieprzemiennym i niewinnym, ale za to głuchym, nieżywym, dziecinnym, zwierzęcym *B*;

[1]) Życie i Ruch *B*; [2]) musiały *B*; [3]) Żywi zaś są ci, którzy idą naprzód, nie ci, którzy stoją na jednem miejscu *B*; [4]) Wtajemniczycielem, Zbawcą *B*; [5]) przez Niego przechodząc może ród ludzki *B*; [6]) najwyższem a najściślejszem *B*; [7]) może się dostać *B*; [8]) te wszystkie jej cechy *B*; [9]) wyrazić, odbić *B*; [10]) miłości, od Alfy do Omegi *B*; [11]) przedstawion *B*; [12]) *tego zdania niema w B;* [13]) *tego wyrazu niema w B*; [14]) w Sobie a uczynił to w poczęciu *B*; [15]) kiedyś albowiem *B*; [16]) a w nim objawionem już było *B*; [17]) to Cud. Skoro Duch dostępuje pewnej miary wykształcenia,

O ŻYWOCIE WIECZNYM.

Zawsze się tak dzieje, że zmysłowa część Ducha ludzkiego upatruje niebo w przeszłości i zowie je Rajem, bo Raj był niebem dla ciała[1]) ludzkiego. Umysłowa zaś część Ducha[2]) upatruje Raj w przyszłości i zowie[3]) go niebem. Niebo[4]) chrześcijańskiej epoki, kończące się na kontemplacyi i wiecznym spokoju, jest tem Rajem, pojętym przez Myśl człowieczą. Duch zaś wszystek, Jaźń cała powinna się starać, by ten Ideał przeszłości i ten[5]) przyszłości zlały się w jedno wiecznie teraźniejsze życie. Owa Teraźniejszość zarazem rajska i niebieska, cielesna i myślna[6]), zacznie się przy ciał Zmartwychwstaniu. To to, co zowiemy Anielstwem. Raj, czyli doskonałość ciała, zlać należy z niebem, czyli doskonałością myśli, a wypadnie doskonałość Ducha człowieczego czyli przeanielenie, stan, w którym każda chwila teraźniejszości ma być już[7]) wielką, świętą, wielmożną! Raj był apotezą ciał — Niebo dusz, Duchów zaś przebóstwieniem będzie żywot wieczny, nieskończony, przemieniający się jeszcze[8]) ale świadomie i wolnie, co chwila wyższy, miłośniejszy[9]) piękniejszy, głębiej uczuty, mądrzej pomyślany, w urodziwszych kształtach[9]) upostaciowany. — Raj był niebem na ziemi — Niebo rajem za ziemią, za światem, gdzieści[8]). Żywot wieczny Rajem jest i niebem zarazem, wszędzie, gdziekolwiek wszechświat, gdziekolwiek[10]) Duch Pański

wywyższenia, świętości, wiedzy, woli, słowem skoro dochodzi do położenia dostatecznej zasługi, wola jego, przez niego wyrobiona, i wiedza też wstępują w zgodę z wiedzą i Wolą Boga, a wtedy czyn takiej Wiedzy i Woli podobnym się staje w pewnej mierze do Bożych czynów, to jest staje się tem, co my dotąd zowiemy Cudem *B;*

[1]) niebem ciała *B*; [2]) a umysłowa znów część człowieka *B*; [3]) i za wszechświatem zowie *B*; [4]) bo Niebo *B*; [5]) na kontemplacyi i wiecznem pokoju kończące się, jest Rajem myśli człowieczej. Dla Myśli — ale dla Myśli tylko — nie wyższego nad kontemplacyę niemasz Duch zaś cały, Jaźń cała człowieka *B*; [5]) i ten ideał *B*; [6]) umysłowa *B*; [7]) ma już być *B*; [8]) *tego wyrazu niema w B;* [9]) w liczniejszych coraz kształtach *B;* [10]) wszechświat, gdziekolwiek my sami, gdziekolwiek *B*;

w rzeczywistej [1]) nieskończoności, podzielonej na skończone chwile, byty, stany, które przelewają się w siebie [2]) coraz wyżej, chyżej, bez granicy, bez miary, bez końca — a to przy zachowaniu nigdy nieprzerwanej świadomości [3]). Żywot wieczny jest tworzeniem ciągłem, postępowem samych sobie w Bogu, przez własną twórczość i łaskę Boga — jest miłością, rozwijającą się coraz wyżej [4]) naszą ku Bogu i Boga przez to samo ku nam, bo [1]) Historya i rozwój szystkich światów, to rozwój ich miłości ku Bogu. Coraz goręcej zakochują się w Tym, który przedwiecznym i zawiecznym i nadwiecznym zarazem. Im Go lepiej znają, tem więcej kochają; im więcej kochają, tem znają lepiej; im [5]) głębiej znają, im mocniej kochają, tem dzielniej stają się twórczymi na podobieństwo Jego, czyli tem bardziej czynią — z miłości swej do Niego wciąż przeradzają się, rodzą się na nowo idą w górę sami, kształcą, budują, tworzą siebie samych [6]) doskonalej i wyżej, i jak posągi boże rosną w Bogu in aeternum.

Oto ślub nieskończoności [7]), oto niepokalane poczęcia, powtarzające się wciąż, oto rodzące się Syny boże, postępowo z siebie samych. — Oto Aniołów, Archaniołów, Serafinów, wszystkich Duchów coraz wyższych, rodowód i rodociąg. Do grobu nie schodzą ich kształty, ni też ich kształty ze zgniłości wschodzą — ale wiją się i rozwijają i przetwarzają się z mocy wewnętrznej, z Ducha własnego, który się już posiadł i opanował całkiem wewnątrz, więc na zewnątrz przytomnie i zgodnie z wolą bożą i rozumem bożym działa i cudami żyje. Cud ich sposobem bycia. Natura nasza ziemska raczej jest cudem niesforności i gmatwaniny, a to, co zowiemy cudem, raczej naturą naszą we-

---

[1]) *tego wyrazu niema w B;* [2]) chwile, stany, przelewające się w siebie, następnie coraz *B*; [3]) bez końca przy zachowaniu nigdy już śmiercią nie przerywanej świadomości, czyli że *B*; [4]) czyli rozwijająca się coraz olbrzymiej Miłością *B*; [5]) a im *B*; [6]) czynią! A im bardziej czynią, tem siebie samych wyczyniają, kształcą, budują, tworzą, siebie samych tworzą *B*; [7]) *ustęp od słów* Oto ślub nieskończonośsi *aż do końca brzmi w B:* Niedo-

wnętrzną, ostateczną, prawdziwą. Kto z Boga, ten do Boga; i ten musi być po bosku, — »a będziecie jako Bogi« rzekł wąż. Biedny wąż może myślał, że kłamie ludziom, a on im przepowiedział rzeczywisty ich cel! I wyszli z Raju ludzie — i wyszli — i poszli — i dojdą!

O JULIUSZU SŁOWACKIM.

Tekst według »Tygodnika literackiego« Poznań, 1841 z dn. 24 i 31 maja.

* * *

PRZEDŚWIT.

Tekst według wydania: »Przedświt« Paryż 1843 8^{0} *str. XXI + 54 i 1 nl.*

* * *

PSALMY PRZYSZŁOŚCI.

Tekst podług wydania: »Psalmy przyszłości przez Spiridiona Prawdzickiego.« Edycya druga pomnożona. Paryż. Nakładem Księgarni polskiej 1848. 8^{0} *str. 102 i 2 nl.*

Porównanie tekstu trzech pierwszych psalmów tego wydania z wydaniem pierwszem z r. 1845 nie wykazało żadnych różnic.

* * *

rosną go nigdy, bo tu gonitwa za nieskończonym nieskończoną jest, na tem ich nieśmiertelność zależy; inaczejby się zlali z Nim i zatracili się, jak kropla w morzu, lub dorównali Mu, i wielu byłoby Bogów takich, jak Bóg jeden, co jest nonsensem w samem nawet wyrażeniu. Ale możnaby powiedzieć, że będą jako Bogowie w Bogu, jako wielu zwanych Bogami w Tym jednym, który się nazywa Bóg. I to zaraz na początku wąż im obiecał; tylko oni myśleli, że odrazu, bez pracy, bez zasługi, bez przejścia można tego dostąpić. Lecz wyjście z raju było skąd innąd, jak sam Św. Augustyn mówi, felicissima culpa, bo było zaczęciem drogi dziejów ludzkich, pierwszym krokiem ku Anielstwu, walką i pasowaniem się i nędzą, mającą kiedyś skończyć się tryumfem! I wyszli — i poszli — i dojdą! Amen.

DZIEŃ DZISIEJSZY.

Skrócenia: »Dzień dzisiejszy, przez autora wiersza Do mistrzów słowa«. Paryż, W Księgarni Katolickiej polskiej 1847. *8° str. 52 i 4 nl.* = *A.* — *Ustęp o 20-tu wierszach, przytoczony w liście poety do Gaszyńskiego* (Listy *t. I. str. 156*) = *B.* — *Autograf, obejmujący pierwszy rzut tego utworu* = *R.* — *Tekst według A.*

* * *

Tytuł w R:

Neapol, Luty 1840 r.

FANTAZYA KONANIA.

Str. 321 w. 4 po słowie nie zgoi *następuje w R zwrotka:*

Proszę o pokój — nie chcę kłótni z wami —
Bić się w ostatniej nie będę godzinie
Z Rozsądkiem waszym Goryczy słowami —
Wolno wam sarkać, gdy mój Duch przeminie.

w. 8 po słowach uwag szpony:
Dla mnie ten błękit — to okrąg mogiły,
Dla mnie ta ziemia — to dno twardej trumny,
A Był wasz tutaj — tylko wyraz szumny,
Dla mnie bez Treści jak dla was bez Siły. *R*

w. 14 i 15 brzmią w R:
Bym na to przystał, że dobrze na świecie,
Bym na to płakał, że umieram młody.

w. 20 po słowach wam raczy *w R*:
Jest we mnie Iskra, której nikt nie zdusi,
Jest we mnie Duma, której nikt nie skusi
By pokłon panom widomym oddała —
Niechaj więc ginie nietknięta i cała!

w. 22: do biesiad] do godów *R*

Str. 322 w. 8: dotąd] wieczne *R; w. 13 sześciu zwrotek od słów* Nad grobem świętym *aż do słów:* serca ze stali *niema w R*

Str. 323 w. 6 brzmi w R:
Przez łąk moczary i przez zbożów fale.

w. 11: A w każdym] I w każdym *R; tamże:* męczennik] zabity *R; w. 12:* śpiewa] spiewa *R; tamże po słowie* śpiewa *jest w R:*
W powietrznem nawet chmury tam pogrzebie
Płynę jak trumna za trumną po niebie
I tęcza szary widnokrąg przecina
Jak krew, co stygnie, czerwona i sina.

w. 13: Na polach wokół najemne] Pod tą krwią niebios najemne *R; w. 15:* stare ołtarze] Boga ołtarze *R; w. 26:* od sędziów] przez Sędziów *R; w. 27 i 28 brzmią w R:*
Za to, że wygnan śmiał wrócić na pola,
Gdzie (sióstr kościoły i gdzie Ojców) groby Ojców
[i ojcowska rola.

w. 30: zaczyna] poczyna *R*

Str. 324 w. 8 po słowie odżyła *następują w R trzy wyskrobane, nieczytelne zwrotki.*

W. 9: ze mną] we mnie *R; w. 10:* prysnął przedemną] prysł tu przedemną *R; w. 13 i 14 brzmią w R:*
Naród więc cały, mój naród w mogile!
Dni tylem płakał, prosił Boga tyle....

w. 17: mnie] (tu) mnie *R; w. 18:* z temi umartemi] ja tu leżeć z niemi *R; w. 21:* już nic] ja nic *R; w. 22:* mojego Anioła[białego Anioła *R; w. 25 i 26 brzmią w R:*

Ot! proście Jego — niech chwilę poczeka —
Ja pójdę zaraz — patrzcie! — do człowieka....

Str. 325 w. 2: bratem] ojcem *R; w. 4:* i ja] a ja *R; w. 12:* nicestwa roli] Nicości Roli *R; w. 29:* na coś] (czemuś) na coś *R; w. 31 i 32 brzmią w R:*
Żyć nigdy nie chciał na murawach ziemi
Tylko w Ciemnicach roił sny bez końca.

Str. 326 w. 4: a zaśniesz] i zaśnij *R; w. 11:* I wtedy] I za to *R; w. 12:* Żeś wprzód nam bluźnił] Żeś śmiał nam bliźnić *R; wierszy 13—18 niema w R; w. 22:* Fałsze więc prawi nadęto i szumnie] Ja, choć, umieram, odpowiem mu dumnie! *R; w. 23:* ten siostrzany, biały] ten piękny, ten biały *R; w. 25:* zgonu] śmierci *R*

Str. 327 w. 2 brzmi w R:
Na zmarszczkach twoich czerni się Niedola

w. 4: nie wiesz] nie znasz *R; w. 5:* Żądza] Wola *R; w. 8:* cudów zaród] Bogów Zaród *R; wierszy od 9—32 niema w R*

Str. 328 wierszy 1—4 niema w R; w. 5—7 brzmią w R:
W niej Wszechmoc drzemie — ona zdoła wroga
Zbić z dróg przyszłości — ona weźmie Boga
W piersi dziewicze i pospoi razem....

w. 9: Duchu] wieczna *R; tamże:* sługą] siostrą *R; w. 12 brzmi w R:*
Wstyd Tobie, Duchu — Tyś pojął za mało!

w. 13: bez Czynu i Woli] bez serca, bez woli *R; w. 14:* k'woli] gwoli *R; w. 17—20 niema w R; wiersze 21—28 brzmią w R:*

Idź innych zwodzić — jak żyłem, tak zginę —
W serca tęsknocie, w Żądzy upragnieniu,
By lud mój kiedyś wyjrzał z mogił cieniu
I zmazał czynem senną ojców winę!

Prawdęś ty wyrzekł. — Ja żyłem na grobie —
Łez moich pełno na więzach mych braci;
Bóg te łzy kiedyś wstydem twym odpłaci
I dni mi odda, co zeschły w żałobie.

w. 29—32 niema w R

Str. 329 w. 1—16 niema w R; w. 61: zwątpień

znamie] blade znamie *R; w. 20 po słowie* kłamie *jest w R następująca zwrotka:*

On wam gnić kazał martwej skruchy gniciem
By proch wasz kiedyś stał się w wrogach — Życiem!
— Tak błoto w kwietnie przerabia się zboże! —
Lecz Duch inaczej — bo Duch walczyć może!

w. 24: ziemi przychylicie nieba] kiedyś wrócicie do nieba *R; w. 25—28 niema w R; w. 32 brzmi w R:*

Bo wyrwał z serca nadziei nadzieję

tamże: Co wyrwał *B*

Str. 330 w. 3: Wiek wołał: »Czekaj!«] »Czekaj!« świat wołał *R, B; w. 5:* com kochał] com marzył *R, B; w. 6 brzmi w R i B:* Snów moich krzyże sterczą tam po błoniach; *w. 9:* w węgiel] w popiół *B; w. 12 po słowach* nad równiną świeci *znajduje się w B zwrotka, umieszczona na str. 323 w. 5—8 ze zmianą, podaną powyżej według R; w. 13—18 brzmią w R:*

Wszystko, com kochał, w ziemi pogrzebałem
Gdzie święta moja — gdzie moja stracona?
Gdzie dusza duszy mej, siostra rodzona?
Ah! ciężko — ciężko — pod wspomnień nawałem —
Źle spiewać miłość, kiedy serce kona,
Gdy wieko trumny już wisi nad ciałem!

Nikt z was na oczy nie widział piękności,
Bo piękność dotąd jak sen w niebie gości;

w. 23: Ah, ona była nadejścia] Ta, którąm kochał, nadejścia *R; w. 26:* Z nieba] Z (blask) nieba *R; tamże po słowach* na tych dni padole *znajduje się w R następujący ustęp:*

W oku jej czarnem jak przepaść — Natchnieni,e
Z lazurów jednak każden wzrok tych oczu —
A choć ból serca tli w twarzy przezroczu,
Gdy usta zrani — przedźwięcza się w pienie!

Jak sprzecznych duchów w (czarodziejs) czarnoksię-
[skiem kole
Walka się sprzęga w cud potęgi razem —

Tak Miłość z dumą na białem jej czole
Lśnią harmonijnej Nadoby wyrazem!

Ziemia jej sercu nie była za mało,
Bo ziemskich bolów tysiąc wycierpiało,
Lecz Duch jej wiecznie darł się w odwiedziny
Nad mgłę tajemnic, do Słońca krainy.

Nieraz, ah! pomnę wejdzie do kościoła
Pod cichy wieczór i w zmierzchu uklęknie —
Klęczy tak smętno, tak wzniośle, tak pięknie,
Łez i słów szmerem tak do Boga woła!

Nie prosi Szczęścia — lecz o mniej Rozpaczy —
Potem łzy otrze i jak Aniół wzdzięku (!)
Uśmiech z własnego wyłudzając jęku
Światu za Ucisk — (n) Nadzieją przebaczy!

Bo Świat jej kazał jako Niewolnicy
(Praw) Nie mieć praw żadnych — i jak Męczennicy
Znosić na zawsze — pobożnie — i karnie,
Zarzmo na szyi a w sercu męczarnie!

Płaszcz Jej królewski rozdarł na łachmany —
Wieńczył ją w troski, ubierał w potwarze —
Za wieczną Wierność — co dawał? — Kajdany!
Za wieczną Tkliwość — pogardę niósł w darze!

Stał dniem i nocą przy niej, kata wzorem,
Z Musu kleszczami i Hańby Toporem
Ścieląc jej krokom do Wieczności domu
Dwie drogi tylko — Nieszczęścia lub Sromu!

By pewniej zgubić, czasem ją też nęci!
Chcąc blizny obelg zetrzeć z jej pamięci,
W świątyniach fałszu bije przed nią czołem —
Tę, którą więzi — przezywa Aniołem!

Usta jej poi szumiących pian czarą,
Tęcze jej wiąże (ze) z mydlanych promieni,

I strój narzuca ze szklannych kamieni
By strojną w próżność zwieść podchlebstwa marą!

(W każdej przysiędze)
W każdem spojrzeniu, w każdej słów iskierce
Dymy kadzideł wonnych dla niej pali —
A (z) milczkiem z tyłu trzyma nóż ze stali,
By ufającą oszczerstwem pchnąć w serce!

w. 27: jak] ah! *R*

Str. 331 w. 3: tłum ludzki] tłum podłych *R; w. 6*: Duch, wszystek z bólu i promieni] Lecz na jej czole leżał promień *R; zamiast w. 7—10 znajduje się w R następujący ustęp*:

Nie ten — co wschodząc z Jutrzenką rumiany
Krasi jagody sennych jeszcze dzieci!
Lecz ten jaskrawszy, co z burzy wyleci
I tchem błyskawic jątrzy serca rany —

A walkę jednak takim blaskiem stroi,
W tak złotą otchłań pruje nocy cienia,
Że piorun życia w niebios akkord zmienia
I bolem Bogów ból serc ludzkich goi!

To druga wiara — nie ta pierwsza Duchą,
Kędy Raj kwitnie i modli się Skrucha!
To druga wiosna — co, wszczęta wśród burzy,
Spali na popiół wszystkie listki Róży.

To drugi Spokój — własną Dumą dumny —
Lecz niepodzielny na świecie z innemi —
To drugie Szczęście — ostatnie na ziemi —
To Boga Tęcza — lecz nad brzegiem Trumny!

O, tak przechodząc, znikła z oczu ludzi —
Świat długo myślał, że świętą tę złudzi,
Gdy jej pieśń kłamstwa powtórnie zanuci —
Świat długo czekał, czy Piękna nie wróci —

Nie mógł zapomnieć niebieskiego wzroku,
Tęsknił do czarnej z jasnych róż korony —

I poszedł pytać się na wszystkie strony,
Czy kto nie spotkał Królowy Uroku?

Wybrał się w drogę do chat opuszczonych,
Goni jej ślady po puszczach zielonych —
(Dniem i nocą woł) Szuka Jej wszędzie — woła na-
Ona nie wróci — bo ona jest Zemną! [daremno,
— — — — — — — — — — — —

Czemuż mnie teraz — ponad grobu progiem
Wraca chwil pamięć, w których byłem Bogiem!

Widzę te same słońca i księżyce,
Te same wzgórza i lasy i skały,
Te łąki w kwiatach i w gronach winnice,
Ten jasny, cichy Widnokrąg mój cały!

Ot! u stóp moich z szmaragdu dolina
Gdzie każden kwiatek, gdy kwitnie, pamięta,
Gdzie każden słowik, gdy nuci, wspomina,
Że tą doliną przechodziła Swięta!

*) Ot! Kościół pusty, biały, wiekuisty,
Tęczami okien tak złoto przejrzysty,
Ot! ołtarz w głębi — gdzie codzień szła z rana
Za kochanego modlić się kochana!
W ciszy drzew wiejskich, ot! dziedziniec domu
I próg samotny, niewidny nikomu,
Gdziem żył z nią razem. — Czuję woń Rezedy,
Co pod jej oknem rozkwitała wtedy!

Gdzie te dni uszły, tygodnie spłynęły?
Kędy dziś wszystkie te fiałki wiosenne,
Hortensye lata i Dalie jesienne,
Co nam tak długo — tam, w raju — kwitnęły?

Daruj mi, Boże! ja wtedy myślałem,
Że dość na ziemi kochać sercem całem,

*) Fr(y)iburg. (*przypisek Kr.*)

By już twa ręka — nie cisnęła gromu
Na Duchów dwoje w jednym Szczęścia domu!

A jednak ona poszła wprzód odemnie
Tam, gdzie dziś idę — w wiekuiste ciemnie!
Ona odeszła — jam został na ziemi —
I długo żyłem pomiędzy żywemi

Jak gdyby gwiazda Życia mi świeciła!
Lecz świat mi odtąd jak jedna mogiła!
I dzień mi każden nie biały, lecz czarny —
I noc mi każda jak dzień biały, skwarny
I lata wszystkie jak wyrzut Sumienia —
Jako myśl jedna — nieskończona — Bolu!
Na gruzach szczęścia — na Nicości polu,
Gdzie przy mnie siada Widmo jej wspomnienia!

Ah! teraz wszystkie — te wszystkie obrazy
Walą się na mnie, jak grobowe głazy
I coraz bielej padają w noc ciemną
W noc, co jest we mnie — i w tę noc — przedemną!

Mrzy w moich uszach szmer lekki, szmer dźwięku
Jak dźwięk strun Harfy, co brzmiały w jej ręku!
Sen o jej twarzy tu śni się przedemną
W powietrza próżni — widzę twarz oczyma —
Gdy rękę ściągam, pod ręką nic niema —
Tylko gdzieś słyszę pieśń cichą — podziemną!

Mówcie mi, bracia, spokojne pacierze —
W ostatnich zgonu podrzutach już leżę. —

Śni mi się Wieczność — Szczęście mi się marzy,
Jak gdyby ona z odległych cmętarzy
Przyjść tutaj mogła — szła już do mnie — cała
Zbawiona, piękna, wolna, zmartwychwstała,
I nazad ze mną wniebowstąpić miała!

A to żart Śmierci — (Choroby) Gorączki szyderstwo!
Życia, nim pryśnie, uścisk przedostatni,

Uścisk Judasza zdradziecki a bratni
Po którym wieczne nastąpi Morderstwo!

Bo ona nigdy, już nigdy nie wróci!
Rąk mi nie ściśnie, rąk mi nie zarzuci
Wiankiem na szyję — ah! nie powie blada,
Jak niegdyś, łzawe schylając powieki:
»Jam twoja teraz — Ja twoja na wieki«.

Niech się już kończy długa Losu zdrada!
Ot, nożem lepiej pchnijcie mnie tu w serce,
Bo w każdej Ducha mojego iskierce
Wre razem Żądza i Śmierć nieskończona!
Walczę i wątpię — mdleję i wyzieram —
Myśl życia we mnie — Unieśmiertelniona!
Byt życia we mnie — gdzież jest? — Ja umieram!

Prawda? — W tym mózgu już kipi szaleństwo,
Męczarni Bytu ostatnie Zwycięstwo!
Gdy Niebo zwiędło, Niebo przypominać
Bogów strąconych — a nie ludzi — męka!
Od Jędz mych wspomnień — leksza Śmierci Ręka!
Boże! sam widzisz — Jam nie chciał przeklinać!

po w. 14: Jeden z przytomnych] Głos jeden *R; w. 21—24 brzmią w R*:

Czwarty
Gdy kochał, kochał. — Serce Jemu wrzało
Goręcej w piersiach, niż u innych ludzi! *(por. str. 335 w. 33—34!)*

Ustępu od w. 21 na str. 331 do w. 34 na str. 335 niema w R

Str. 335 w. 35: Dziewiąty] Inny *R*

Str. 336 w. 1: Dziesiąty] Inny *R; pomiędzy w. 12 a 13 znajduje się w R następujący dwuwiersz*:

.... ciężar ciała,
Nad niem już czuję wzrastające kwiaty,
Lśnią mi w powietrzu białe skrzydła — szaty —
A już nie marzę....

w. 17: Wiecznie] Wszędzie *R; w. 19*: [Chór Chór przyjaciół *R; w. 21*: winszujemy tobie] wyleczysz się

może R. *Ustępu od w. 22 na str. 336 do w. 3 na str. 339 niema w R*

Str. 339 w. 6—8 brzmi w R:

W życia przeszłości. — Bratem mi na ziemi
On był, a teraz z Nami Umarłemi
Przyszłam go zbratać....

w. 10 po słowach: wysłuchaj mnie, Panie! *następuje w R ustęp, kończący cały autograf:*

— O jakiejkolwiek Wszechświata godzinie
Dawny kształt skona i Duch stary minie,
Gdziekolwiek będzie Ciała Zmartwychwstanie,
Czy pod tem Niebem, czy na innem Niebie,
Daj, bym go wtedy znów w pieśń otuliła
I w gwiazd pożarach zaniosła do Ciebie!
By ta, co siostrą ludzkich dni mu była, —
Ta, co, konając, kochać obiecała,
Ta, co za grobem kochała serdecznie —
— I w dniu przetworzeń wiary dotrzymała,
Jak dzisiaj kocha, mogła kochać wiecznie!

A teraz, bracie, zamknę ci powieki
I za mną pójdziesz w świat smętny, — daleki!
— Nie trwóż się, bracie — przez Śmierci doliny
Ja cię Umarła powiodę bezpiecznie,
Aż wejdziem kiedyś do Bogów krainy,
Gdzie serca zmarłych odkwitają wiecznie!

Za mną — chodź — za mną — nowonarodzone
Ty Grobu dziecię! — Duszo brata mego!
My wchodzim teraz w świat przejścia, w świat Złego —
Lecz ty mi ufaj — i patrz w tych gwiazd stronę!

OSTATNI.

Tekst według wydania: Ostatni. Przez autora wiersza »Do mistrzów słowa«. Paryż. W Księgarni Katolickiej polskiej. 1847 8°. *str. 31 i 1 nl.*

* * *

NIE-BOSKIEJ KOMEDYI CZĘŚĆ PIERWSZA.

Skrócenia: Autograf, obejmujący ostateczną redakcyę całego utworu = A. — Autograf, zawierający pierwszą scenę »Wstępu« *(str. 381—390), trzecią i początek czwartej sceny* »Weneckich podziemi« *(str. 348—483 w. 18) = B. — Autograf pierwszego rzutu części* »Snu« *(str. 416 w. 27—418 w. 7) = C.* — Sen. Pieśń z niedokończonego Poematu, wyjęta z pozostałych rękopismów po świętéj pamięci J. S. — Leszno. Nakładem i drukiem Ernesta Günthera. 1852. 8^{0} *w., str. 63 i 1 nl. = D.*

Tekst całego utworu, z wyjątkiem »Snu«, *według A; tekst* »Snu« *według D.*

Wydania paryskiego tego utworu z r. 1860 p. t. »Niedokończony Poemat« *nie wzięto pod uwagę, jako dokonanego bez współudziału autora na podstawie autografu A.*

* * *

Str. 381 w. 1: Góry w okolicach Wenecyi — wschód] Góry. — Wschód *B; w. 8*: brzegi tych bladych potoków] te blade potoki *B; w. 9*: ostro, tak daleko] ostro, daleko *B; w. 15*. Co tobie] Aligier, co tobie *B; w. 16*: zaczęli] (zaczęli jazd) zaczęli *B; w. 20*: gdy od grania] (gdy krew w każdej piersi zawre) gdy od grania *B; w. 21*: sosen i ziemia] sosen (wszystkie łozy brzegów) i ziemia *B*

Str. 382 w. 7: nagi dostać] nagi (rozdarty) do-

stać *B; w. 8*: musim — tam kryształy] musim (tam dzikie zwieszają się kozy, tam, mówią, że rosną kryształy) — tam kryształy *A; w. 20*: widzę przecież — widzę] widzę — widzę *B; w. 25*: które już nigdy] które (nigdy nie słyszały o śmierci) już nigdy *B; w. 35*: Czemu oni] Czemuż oni *B*

Str. 383 w. 3: nie skrócisz, to wielu] (nie) nie skrócisz, wielu *B; w. 11*: Duch] (dusza) Duch *A, B; w. 12*: strzegę] (miłuję) strzegę *B; w. 13*: przejrzał] (przejrzała) przejrzał *B; tamże*: nad nim.... pod nim, ale też i] nad (nią) nim.... pod (nią) nim, ale i *B; w. 13*: mu] (jej) mu *B; w. 18*: bo serce] bo (zbliża się do niego) serce *B; w. 20*: Wspomnijże] (Wspomnij i o mnie) Wspomnijże *B; w. 31*: nocy wiecznej] wiecznej nocy *B*

Str. 384 w. 2: doczesna] docześna *B; w. 7*: jodłą] (sosną) jodłą *B; w. 17*: już wieczór] już wieczór blizki *B; w. 25*: Słuchaj tylko] Słuchaj tylko, słuchaj *B; w. 31*: moich Tyrolczyków, powiadam] moich, powiadam *B*

Str. 385 w. 2: wydobywa się] się wydobywa *B; w. 7*: wdzierają się] (wdarli się) wdzierają się *B; w. 11*: Ojce moi] Moi ojce *B; w. 12*: Dubeltówkęm rzucił] Strzelbę rzuciłem *B; w. 14*: na piersiach] na (barkach) piersiach *A; tamże*: człowiek, chciał] człowiek (opasał mnie) chciał *A; w. 29*: takim] takiem *B; w. 33*: które trzymasz] które (która) (które trzymasz) trzymasz *B; w. 39*: Lecz ty] ale ty *B*

Str. 386 w. 2: tego anioła] tego Anioła, panie *B; w. 29*: gardło dał niejeden z Ojców moich i w jakim leży pochowan kościele] gardło dał (każden) niejeden z ojców moich i w jakim leży kościele *B* — gardło dał (każden z ojców moich) niejeden z Ojców moich i w jakim leży pochowan kościele *A*

Str. 387 w. 6: Tak — czuję jeszcze twój uścisk] Tak — (wid) czuję jeszcze (jak mnie przycisnąłeś do piersi) twój uścisk *B; w. 24 po słowach* czegoż więcej nam trzeba *znajduje się w B następujący ustęp*: Mówią, że przyjaźń jak blady posąg wygląda przy żywym Aniele Miłości. — Wiesz, że jeszczem nigdy się

nie kochał, ale czuję, że to kłamstwo. Aligier, świętszej i szczęśliwszej chwili niema na ziemi nad tę, która teraz przemija! — *Ten sam ustęp, przepisany z małemi zmianami w pisowni, jest w A przekreślony.* — *W. 26*: ojciec mi] ojciec (umarł) mi *A; w. 29*: dalekiej] w dalekiej *B; w. 36*: myśl] (duch) myśl *A, B; w. 38*: śród ludzi — śród duchów] wśród ludzi — wśród (dusz) duchów *B*

Str. 388 w. 2: każden] każdy *B; w. 9*: roztacza mi się] roztacza (się przed mojemi) mi się *B; w. 11*: o brzasku] o szarem brzasku *B; w. 13*: gdzież się podział] gdzież się podział? (i ten głaz ogromny, mchem porosły, z strzaskanym filarem?) *B; w. 24*: nas] nasi *B; w. 31*: aż w mózgu] aż (mózg) w mózgu *B; w. 38*: w dół] na dół *B*

Str. 389 w. 4: obok] obok (ciebie) *B; w. 8*: na tronie] na tronie, z brodą *B; w. 9*: nie, już teraz] (otóż) nie, już teraz *A; w. 10*: w przedziale] w przedziale (skał) *B; w. 17*: czyściec] (cmętarz) czyściec *A; tamże*: ciał — przed chwilą] ciał (czy mnie te stare nieboszczyki urzekły) przed chwilą *B; w. 23*: Oprzyj się] (Daj rękę) Oprzyj się *B; w. 28*: Dobrze] Dobrze mówisz *B; w. 29*: na wietrze tym] na tym wietrze *B; w. 30*: idźże] idźże (za mną) *B; w. 35*: oczy tak ci] oczy ci *B; w. 36*: wyższy] (chudszy) wyższy *A*

Str. 390 w. 1: i znów się pokazuje] i znów (ulatuje) się pokazuje *A, B; w. 3*: ku ziemi] (do) ku ziemi *B; w. 5*: oglądał] spotkał *B* — (widział) (spotkał) oglądał *A*

* * *

Str. 391 w. 1: k'niemu] ku niemu *A; w. 9*: szare brzaski] szare (maski) brzaski *A; w. 20*: czyszcząc] (gładząc żelazne lufy) czyszcząc *A; w. 22*: znikomym] znikomem *A*

Str. 392 w. 12: kolce bagnetów] ostrza bagnetów *A*

Str. 393 w. 12: i nadzieje] i (ukryte) nadzieje *A; w. 28*: w jednem się nie zmieszczą] się w jednem nie zmieszczą *A; w. 35*: w łachmanach] (który) w łachma-

nach *A*; *w. 40*: dziś rano] dziś (w południe) rano *A*

Str. 395 w. 12: cmentarze] cmętarze *A*; *w. 26*: bronią, jak rzędy] bronią (każdy posągiem) jak rzędy *A*

Str. 396 w. 6: podścielając] podścielając *C*; *w. 14*: gzymsów] gzympsów *A*; *w. 30*: rzemiosł] rzemiósł *A*

Str. 397 w. 13: szczerym] szczerem *A*; *w. 25*: anioł] Aniół *A*; *w. 30*: do Boga, jedno] do Boga (jedno robić, by zjeść co a nie umrzeć — i znów robić, by jeść. — Zmiłuj się nad nami!«) jedno *A*

Str. 398 w. 18: na ciemne] na (sam) ciemne *A*; *w. 19*: postacie] postaci *A*; *w. 34*: każdą kroplę] (kropelkę) kroplę *A*

Str. 399 w. 13: i smacznej] i (miękkiej) smacznej *A*; *w. 14*: cienkich] cieńkich *A*; *w. 20*: i kły] i (zęby) kły *A*; *w. 29*: szczęsnymi] szczęsnemi *A*

Str. 400 w. 7: szemrzącym] (szmerowym) szemrzącym *A*

Str. 402 w. 18: starców] (ludzi) starców *A*; *w. 19*: kropielnicą] kropilnicą *A*; *w. 21*: ponurym] (starym i) ponurym *A*; *w. 23*: starców] (ludzi) starców *A*; *tamże*: nieskończone żale] (grzechy swoje) nieskończone żale *A*; *w. 34*: wołając] wołając (do Boga) *A*

Str. 403 w. 13: drugi tam] drugi już tam *A*; *w. 16*: klęczącą] klęczącą (postać) *A*; *w. 17*: że miasto długich włosów] że (zamiast) miasto włosów długich *A*; *w. 21*: postacie] postaci *A*

Str. 404 w. 13: bezmiłosną] bezmiłośną *A*; *w. 18*: chytrość zgrzybiałą szatanów] chytrość zgrzybiałą szatanów. (Ksiądz i Matka, niby błogosławiąc, strasznem je gubią słowem — słowem Obowiązku! — Odtąd każda podłość ich panów obowiązkiem im! — Każda zbrodnia ich obowiązkiem im! — i pijąc tych serc jady one powiędną na wieki!) *A*; *w. 24*: tem jednem, tem śmiertelnem] tym jednym, tym śmiertelnym *A*; *w. 28*: Boga] Bogu *C*

Str. 405 w. 28: rozerwała mi serce] rozerwała mi serce (za to, że on mnie nienawidził) *A*; *w. 31*: krzyknęła: O, jakże] krzyknęła (do Boga: Zmartwychwstaję, dzięki ci, Panie!) O, jakże *A*

Str. 406 w. 17: w piersiach krew] w piersiach (stygnie mu już krew) krew *A*; *w. 30*: tych ciemnic] tych (ciemności) ciemnic *A*

Str. 407 w. 8: własnych] o (swoich) własnych *A*

Str. 408 w. 30: tu i owdzie] tu i ówdzie *A*

Str. 409 w. 30: ogromy mgieł] (pręgi) ogromy mgieł *A*

Str. 410 w. 3: ulotniona] (spiekła) ulotniona *A*; *w. 12*: z pod] z (nich) pod *A*

Str. 411 w. 1: stojący] (o suszach i powodziach) stojący *A*; *w 3*: szept] (szmer) szept *A*; *w. 22*: nad ich] nad (niemi) ich *A*

Str. 412 w. 1: lub rękodzielni] lub (fabryki) rękodzielni *A*; *w. 5*: miecze, kolczugi] miecze (i tarcze) kolczugi *A*; *w. 15*: tarcz] (kolcz) tarcz *A*; *w. 22*: syny dzielnych] syny (szlacheckie) dzielnych *A*; *w. 29*: Piekło] (»Biada im — bo piekło) Piekło *A*

Str. 414 w. 22: Dziś, po tylu] (Codzień ich łudzę i wstrzymuję tysiącznemi kłamstwy. — Inaczej oddawnabyście już przepadli!) Dziś, po tylu *A*; *w. 30*: przekrysztalił] przekrzysztalił *A*

Str. 415 w. 1: prapradziad] (prapraszczur) prapradziad *A*

Str. 416 w. 13: gzymsów] gzympsów *A*; *w. 17*: śród] wśród *A*; *w. 27* i nast. Widmo ujęło go za rękę] — *Ustęp ten brzmi w C*:

(Widmo ujęło go za rękę i poszło przodem coraz to niżej zstępując po białych szczeblach z mgieł, jakby w otchłań (przedziwnej białości) przedziwnie cichą, pełną (spokojnych) (śnieżnych) uspionych chmur, a gdy tak spływa(li)jąc (po tych) temi śnieżnych wschod(ach)ami, ozwało się znów:)

I zdało mu się, że z pośród tych mgieł oddzieliły się jakoby stopnie przedziwnej białości wpół przejrzyste, zstępujące w głąb pełną cichych i niewzruszonych chmur — a widmo ujęło go za rękę i wiodąc za sobą (w) (po tych) (temi wschodami spływało) coraz to niżej (w dół) spływało temi wschodami w dół i tak zanurzając się rzekło: »Teraz przykazano mi, bym ci pokazał czyściec dni teraźniejszych — a nim staniem w pro-

gach Jego, dowiedz się, że jedno szlachetni oczyszczać się mogą — jedno ci, którzy mimo błąd i klęskę zachowali dość wiary i sił, by rozebrać się z win i w lepszą odziać się przyszłość. — Każde oczyszczenie jest męką o próbach wielu i oto ujrzysz naród cały, niegdyś pełen życia i wolności, potęgi i sławy a dziś przechodzący przez próbę grobu na Czyscu równinach«.

Śmierci niema — ale są straszne marzenia o niej — pan nigdzie i nigdy jej nie pomyślał ni stworzył, bo wszędzie i zawsze sam żyje. — Własnem znikczemnieniem tylko zadać sobie można wiekuisty zgon — a kto tak umrze, temu ni życia ni grobu już niemasz — spodlił się do nicości i znicestwiał przez podłość — nie szukaj go nigdzie — chciał i zabił się — wolno mu było! Taki ni oczyszcza się ni zmartwychwstaje już. Lecz kto odżyć ma, ten przemienić się musi — każde przemienienie do czasu nosi pozór śmierci — oto próba grobu!

»A w niej pełno szyderstwa i łez i bolu i złudzeń — »Osobniki i całkie plemiona i ludzkość i światy mu»szą ją wytrzymać — (wszystko co) każde Ja nieśmier»telne musi się jej dotknąć — kto jej nie zniósł, ten »zginął na zawsze. — Bądźże dużego serca teraz, bo »pomiędzy tych złudzeń kształty ja wprowadzę ciebie. »Lecz nie wątp o życiu, choć zbledniesz tknięty myślą »śmierci — Myśl albowiem acz wiecznie kusi ku praw»dzie, nie całą prawdą — acz wiecznym skrzydłem »porywa do Boga, nie samym Bogiem, jedno częścią »prawdy i Boga jest!«

A gdy cień Danta domawiał tych słów tajemniczych, chmury rozdarły się po obu stronach wschodów i jak (tysiące zwichniętych) tysiąc skrzydeł zwichniętych (tysiąca) opadły — w górze błysnęła pełń księżyca nie już na granitowym sklepieniu, lecz na szcze-

rych błękitach — i gwiazd żywych krocie zamignęły — i zdało się młodzieńcowi, że wschody, któremi wstępują, same już jedne śnieżno wiszą w powietrzu, a pod niemi ujrzał wielką i pustą równinę jakby step (wiośni) wiosenny zieloności — a w miarę jak zbliżał się kniemu, one topniały, aż gdy dotknął ziemi stopami, z nich nie zostało się nic — wtedy Widmo puściło mu rękę a on spojrzał w niebo i (wolnym) odetchnął jak szczęśliwy ptak!

Cicho — dobrze — błogo w majowej pustyni — zarośla, kępy i smugi i łąki majaczeją naokół — miodowy zapach dzikich ziół i kwiatów rozlany w powietrzu — aż duszy mojej rodzinnie się stało — gdzieś, kiedyś, po (takich) tych samych stepach, przy miesiącu takim, wśród woni takowej ty hasałaś, duszo! i teraz łzawo — mile — dziecinnie ci znowu — czy nie dom twój tam? czy nie łany zbóż młodocianych? czy nie sianożęci twoje? Niby i on się zbliża — niby (pamiątki) się rozbudzasz już — ale nie — oto sen mój wzmógł się (za) na nowo — I wbród przez gęste trawy (na wskroś koniczyny (poszłaś) poszedłem za cieniem mistrza) poszedłem za cieniem mistrza, a on (stąpał w stronę wzgórzów, która ciernisty u (równin) (kresu) tych kresu równin) cały przejrzysty księżycową jasnością, lekko przemijał i snuł się w stronę wzgórzów, które czerniały u kresu tych równin!

A oto (jęk śmiertelny) głos wielki przeciągnął w przestrzeni — i zdało mi się, że on (za temi) z za tych wzgórz(ami)ów rodem — (a wzbiwszy się nad nie, po tych ich szczyty, teraz gdzieś koło mnie się rozpłynął i skonał) a był to głos mnóstwa boleści jakoby jęk złożony z jęków tysiąca — a gdy przepłynął, drugi się podniósł i również przeleciał i skonał — i znów cicho było w majowej pustyni a ja drżący zapytałem się »panie mój, co znaczy to straszne wołanie« a mistrz (nie odwracając) nic odwracając (się) się (lecz idąc wciąż

naprzód) wskazał ręką na wzgórza one i rzekł »(Tam za niemi leży) Za temi szczytami czysca równina« i (nie odwracając się) szedł dalej ku nim aż (stanął dopiero)

(I szedł zielonym obszarem milcząc wciąż — aż owóż zdało mi się, że stanął nad płowym) (I nie odwracając się szedł dalej, aż stanął nad płowym ugorem i zdało mi się, że pochylił głowę jakoby blizki smutku wielkiego) (aż stanął nad szarą przestrzenią pola niby) (po nad) (nad płowym odłogiem i pochylił głowę jakoby blizki smutku wielkiego i zapytał się mnie:)

(I nie odwracając się szedł dalej, aż nad szarą przestrzenią pola, nad płowym odłogiem zatrzymał się — i pochylił głowę jakoby blizki smutku wielkiego) (i zdało mi się) (i że) zapytał się mnie: »Azaż (nic ty) nic nie widzisz«) (a gdy)

(I szedł dalej nie odwracając się) (Zatrzymał się) Przybył nad szarą przestrzeń(ią) niezmiernego pola; (zdało mi się, że nad płowym) (niby) który wydał (!) mi się pustym odłog(iem)iem — a tu pochylił głowę jakoby blizki smutku wielkiego i zapytał (się): »niczе nie widzisz« a gdy (sama) dusza moja odrzekła:« prócz nieba i stepu nic, mistrzu mój« (on dodał: siłą widzeń, którąś przeniknął nikczemne, ujrzeć nie możesz szlachetnych — powtórną wzrok więc wzrok twój winną posięże potęgę a poznasz, żeś u wstępu do czysca na błoniach przeszłości. Gdzie jesteś!« (i zdało mi się że dotknął mi czoła) (powiek) rzekłszy, obwiódł mi czoło znikomym dłoni powiewem. Zdało)

Uczułem jakby zasłonę rozdzierającą się we mnie — (i usta) przedemną na tym polu szarem z pod (srebrn) księżycowej jasności wyjrzała ku mnie ciżba kształtów wielu na tym polu szarem stało wiele kaplic i grobów w pół rozwalonych)

Zdało mi się, że okrążył mi czoło (znikomem) dłoni powianiem, mówiąc: »Tą samą siłą, którąś przenikał »nikczemne, widzić (!) nie możesz szlachetnych — Weź »więc (inny) powtórny a odmienny dar i patrz i poznaj, »gdzie jesteś«.

I wnet się niewidzialność rozemknie przedemną! (Zdało mi się, że teraz odłóg szary okryty) Obaczę na tym polu szarym mnóstw(em)o starodawnych kaplic i grobów, a na tych grobach (ujrzałem) jakoby tłum siedzących rycerzy — każden z nich tak samo głowę (miał) (ma) (opartą) (oparł) w przyłbicy ma opartą na dłoniach (i spuszczoną (ma) przyłbicę) ręce (oparte) złożone na mieczu — Srebrne skrzydła tu i ówdzie (wysterczając się im z) tkwiąc im u ramion, (i) świecą czystym blaskiem ponad nimi w powietrzu — ale ich schylone szyszaki i pancerze — (kute ze) od rdzy pociemniałe nie odbijają księżycowej jasności — i pochwy ich szabel podarte na włókna — (i tarcze ich herbowe (z herbami) zblakłe i pęknięte leżą pod ich stopami) — i tarcze z zblakłemi herbami pęknięte u stóp ich leżą! a wszyscy niewzruszeni i w jednakiej postawie, lekko oddychają i milczą, jakby w śnie dziwnem o przeszłości marzyli —

(Mistrz zszedł z zielonej łąki, wstąpił na cmętarz, pomiędzy dumające — i przesuwał się od grobu do grobu — (i) czasem słychać westchnienie lub głuchy (stęk) chrzest — czasem który z nich podniesie głowę jakby przebudzony i (zaraz od) (nazad) przyłbicą o (żelazne) rękawice żelazne uderzy (i) zasypiając znowu—(a oto w kaplicy na marmurowym pomniku) (i zdało mi się że przechodzim obok rzędu kaplic, a którzy byli w kaplicach, na hełmach swych mieli książęce i królewskie korony ale odarte z klejnotów) I cień Danta (stanął) zatrzymał się przed rzędem kaplic na pół rozwalonych — (a ci) a na hełmach tych, co spali tam, zdało mi się, że (widzę) (żem ujrzał) świecą (książęce i) królewskie ko-

rony ale odarte z klejnotów — a do jednego z nich, który siedział na marmurowym pomniku (w ferezyi podartej na łachmany) mistrz rzecze:)

Mistrz zszedł z zielonej łąki, wstąpił na cmętarz (po)między dumające (i przesuwa się od grobu do grobu) — czasem (słychać westchnienie; słychać nagły chrzęst) — z boku (nagle) nagle słychać chrzęst lub westchnienie — (lekki) — Czasem któren z nich, gdy przechodzim, podniesie głowę (i) lecz nazad wnet przyłbicą o (żela) rękawice żelazne uderzy i zasypia (znów) znowu — a teraz idziem wzdłuż kaplic kilku — (ci, co spią w głębi ich) w ich głębiach (bielejące się) bieleją (marmurowe) z marmuru pomniki i (szyszaki) hełmy śpiących tam świecą królewskiemi korony — a szyszak taki jeden (poderwał) zerwał się z nad rąk (swoich) na których leżał i (chrapliwy, twardy z pod blachy jego zawołał głos) z wnętrza jego (zawołał) zapytał (twardy) sierdzisty głos: »Czy już (godzina) czas? czy już na wzgórza trzeba nam?« a gdy mistrz (i ja milczeli) (milczał) nic (odpo) nie odpowiedział, podniósł się rozgniewany król i szedł z wielkim chrzęstem ku progom kaplicy — a Cień Danta (wtedy) (rzecze mu) (do niego) wtedy: Rozkryj oblicza (!) i (pokaż temu) i mów do tego, który za mną stoi« (A) Lecz on (odparł) z wstrętem: Czemuście wy sen mi przerwali, krótki sen mój (przed) kiedy nie czas jeszcze« — i głowa mu opadnie na piersi i w rozmarzeniu (za)woła: »Elekcye (swawola) (złota równość) sejmiki — zajazd — pospolite ruszenie — złota wolność (szlachecka) swawoli — a dziś żelazna (równość) (zaguby) jassyru — kajdany — (więzy) jarzmo — (bicze) (biczowanie) (więzienie) (pustynia) tułactwo (wygnanie) lub (niewola) (ucisk) niewola — i hańba lub zgon!« — (a tak wołając odwrócił się i odszedł i padł (znów) na marmury swoje powtarzając (wraz z naj) Mości panie! (zannulować ich) kilku ich więcej usannulować (!) (więcej) trzeba mi było«, a tak wołając wstrząsł berłem i odwrócił się i padł znów na marmury swoje.

Z przybocznej kaplicy (ozwał) wydobył się mniej twardy a (żałobliwszy) żałobliwszy głos: »Zaśnij, Stefanie, zaśnij! alboż i ja nie prorokował im dnia, kiedym złożył (koronę) państwo, że na syny ich przyjdzie rozerwanie (i męka upadek i niewoli krzyż) i (krzyż) niewoli krzyż — a oto spełniło się wszystko — Amen« I błysnęło mi (przed oczyma), gdym spojrzał w ciemń tej kaplicy, coś nakształt purpury kardynalskiej, nad którą ruszała się misiurka ukorowana także — (ale Mistrz dalej mnie pociągnął a) (minęliśmy kapli) (a gdym patrzał w ciemn) (ciemń) (tej kaplicy) (Lecz to półksiędza, pół-wojownika mi się) (nie odezwało się — i przeszliśmy — a Mistrz) (stąpał) (stąpa wciąż w stronę wzgórzów, które rosną przed nami)

Z przyległej kaplicy wydobył się inny mniej twardy głos: »Jeszcze nie pora wstawać — uspokój się, Stefa»nie! uspokój! przecież i ja prorokował im dnia, gdym »państwo składał, że przyjdzie na nich obcego ucisku »krzyż i że w sługi sług swoich przemienieni będą — »a teraz spełniło się wszystko — Amen« — I błysn(ęło)ie mi (gdym zajrzał w ciemń) pod ciemnią tych arkad coś nakształt purpury kardynalskiej, nad którą ruszała się misiurka ukoronowana — lecz zaledwo wyszły te słowa z niej, (aliści opuściła się (na) w dół) ona w dół się opuści i (zmartwi(ała)enie jak głaz) wzorem głazu zmartwieje a Cień Danta pociągnął mnie — (dalej mija(my)) mijamy dalej od grobu (do grobu Mistrzu i (on) (on) stąpa(ł) wciąż w stronę wzgórzów (które rosły) które (stopniami) co chwila wyżej rosną przed nami — aż znów wzbił się stamtąd jęk podobny słyszanym już wprzódy i rozegrzmiał się nad całym cmętarzem — Na odgłos ten kilku (spiących) mężów koło nas się ocknie — zdało mi się, że się (dźwigają) (zgięli) przegięli i (szukają) i tarcz swoich....

I wnet uczuł się porwanym i niesionym wśród ciemności, jakby przestrzeń była duszą żywą a on jedną

z myśli Jej płynącą w niej — a gdy tak przerzynał powietrze, wieniec (Mistrza) Laurowy (iskrząc się wciąż leciał) wciąż iskrzył się przy nim — I ręka Mistrza spoczęła na jego ręce, a to dotknięcie było jakoby (wspomnienia) dotknięcia wspomnieniem — i wśród (tej) ciszy wielkiej znów (ozwał) ozwał się Mistrza głos:

* * *

Str. 417 w. 7: że przed sobą] że (na polach) przed sobą *A*

Str. 420 w. 1: na czystem polu] na czystym polu *A*

Str. 421 w. 6: rozległ się] (rozszedł) rozległ się *A*; *w. 16*: ramiony] (rękoma) ramiony *A*

Str. 422 w. 14: piekło i rozpad] piekło i (wiekuista śmierć) (wewnętrzny zgon) rozpad *A*; *w. 18*: Wszakem] Wszakiem *A*; *w. 26*: Cień Danta] — *przed temi słowami znajduje się w A następujący przekreślony ustęp*:

Cień Danta jeszcze raz skupił się w kształt i objawił całkiem śród napływającego światła. Lecz głos Jego był inny, jakby już daleki, już wracający tam, skąd przybył. »Dotąd na waszym świecie Piekło tylko i Czyściec, ale Duch Pana zamieszkał wam w piersiach. Wiarą wzbudźcie w głębi serca te ukryte błękity — wolą uwidomcie je — przed sobą, nad sobą, koło siebie rozwiedźcie je czynem — wtedy i owo trzecie, wtedy i niebo będzie na ziemi«.

I mdlejąc wśród światła poranku *itd. jak w wydaniu — na końcu słowa*: Koniec Wstępu.

* * *

Str. 427 w. 15: Czemu mnie zatrzymujesz, maseczko] (Czego) Czemu mnie zatrzymujesz (pani) maseczko *A*; *w. 18*: ścieżeczek] (ścieżek) ścieżeczek *A*;

Str. 428 w. 5: zawczoraj] (wczoraj) zawczoraj *A*; *w. 10*: Co mi tu] (Co tu najmil) Co mi tu *A*; *w. 16*: dalej jakimże] dalej (gdyby puklerz jeden widnokrężny) jakimże *A*; *w. 19*: porządnych masek] porządnych (wytwornych) masek *A*

Str. 429 w. 3: zapowiadam] (zapowiem) zapowiadam *A*; *w. 28*: dziewczyną] (panią) dziewczyną *A*

Str. 430 w. 26: czy rymami] czy (poczyą) rymami *A*

Str. 431 w. 4: oto mi] oto (oko) mi *A*; *w. 19*: książe] (hrabia) (książe) książe *A*; *w. 22*: Przeszła! tak przeszła, jak sen!] Przeszła! (jak sen) tak przeszła, jak sen! (jak sen, co gdzieś już mi przyśnił się) *A*; *w. 25*: Głęboko] (Strasznie) Głęboko *A*

Str. 432 w. 31: Angielka, że] Angielka, (na pewno) że *A*

Str. 433 w. 5: niema różnicy] niema różnicy (co z północy, to wszystko tożsamo) (ogólną Russa nazwą wszystkich północnych mianujemy gości) *A*; *w. 11*: i to w pobliżu dóbr] i to (nawet) w pobliżu (nawet) dóbr *A*; *w. 15*: Czemuż] (Czemu) Czemuż *A*; *w. 16*: pędzącym] (skaczącym) pędzącym *A*; *w. 33*: obdarza siłą] obdarza (potęgą) siłą *A*; *w. 36*: miał, na] miał (każ) na *A*

Str. 434 w. 3: despota] despota (że nieszczęśliwą z nim była) *A*; *w. 7*: wykrzykuj] (wymawiaj) wykrzykuj *A*; *w. 18*: niewypowiedzialne] (niesły) niewypowiedzialne *A*; *w. 28*: Bogów] (Jowiszów) Bogów *A*; *w. 32*: niema] (czy) niema *A*

Str. 435 w. 1: czytują sprawozdania] czytują (policyi) (rapporta) (sprawow) sprawozdania *A*; *w. 6*: Wie wszystko] Wie wszysko (domyśla się jeszcze więcej) *A*; *w. 7*: rzeczami w państwie — i prześliczną] rzeczami (i ludźmi) w państwie — (do tego) i prześliczną *A*; *w. 13*: Polska] (kraj polski) Polska *A*; *w. 27*: cię jeszcze ostrzedz o jednym] cię (ostrzedz) jeszcze ostrzedz o jednym (obyczaju) *A*; *w. 30*: wesołymi] (rubasznymi) wesołymi *A*; *w. 40*: zechcesz] (chcesz) zechcesz *A*

Str. 436 w. 15: *przed słowem* stu *przekreślony w A wyraz nieczytelny*; *w. 22*: Ajent] (Grego) Ajent *A*; *w. 24*: Jakże mi] (Jakże miło będzie spać tej nocy) Jakże mi *A*; *w. 26*: zasępił się] (zdziczał) zasępił się *A*; *w. 38*: gdzie się] gdzie (odchodzisz) się *A*

Str. 437 w. 2: w żyłach] (w krwi) w żyłach *A*; *tamże*: pewno z niego] (Musi i on także Jakóbinem być) pewno z niego *A*

* * *

Str. 438 w. 25: to aż markotno] to (jakby rzucił zarzewiem) aż markotno *A*

* * *

Str. 448 w. 11: tak, dobre] (teraz) tak, dobrze *A; w. 13:* skoroś tylko] jakieś tylko *A; w. 15:* mnie lubemi] (lubemi mi) mnie lubemi *A; w. 22:* potrzeba. Tem silny] potrzeba (siła, która mnie wiedzie, to moc Ducha). Tem silny *A; tamże:* potrzeba. Tem silny jestem, tem zdrów w tej chwili, że chcę i muszę w świat przeczuciów, w świat] potrzeba. Siła, która mnie wiedzie, to (siła) moc Ducha! tem silny jestem, iż wiem, że mój koniec blizki. — Człowiecze, wieszże ty, co to koniec człowieka? — tem zdrów w tej chwili, że przed tym końcem chcę i muszę w świat wspomnień i przeczuciów, w świat *B — w A to samo, tylko różnice między tekstem a B przekreślone. — W. 26:* Odchodzący] Umierający *B;* (Umierający) Odchodzący *A*

Str. 449 w. 6: daleki] (oddalony) daleki *A; w. 26:* święte] ścięte *B; w. 29:* do katakómb] do (zgrzybiałości) katakómb *B; w. 35:* przeczuwać, wspominajcie] (wspominać, przeczuwajcie) przeczuwać, wspominajcie *A, A; w. 36:* stawiać] (odkryć) stawiać *B*

Str. 450 w. 1: więcej — skądże] więcej — (gdzież my jesteśmy? (gdzie jesteśmy) czyż znów sen cudowny mnie chwyta?) skądże *B; w. 18:* gwiazdarnie] (gwiazdzarnie) gwiazdarnie *B; w. 20:* gdyby palące] jak palące *B; w. 26:* ich szaty] ich piersi *B*

Str. 451 w. 23: wszedł] wszedł *B; tamże:* piramid] (pyr) piramid *A; w. 35 pomiędzy* zły *a* Tyfon *jest w A przekreślone nieczytelne słowo; w. 37:* a Ciebie nie] a Ciebie nie (I... *(słowo nieczytelne)* i Ftasa, Krufisa i Feniksa, cnej Trójcy w Tobie) *A*

Str. 452 w. 1 — przed słowem radosna *dwa wyrazy w A przekreślone, nieczytelne — to samo przed słowami* wszak my ; *w. 2:* trupy] (zabalsamowane) trupy *A; w. 9:* my, najstarsze] my (bracia Hes.....y) *(nieczytelne!)* najstarsze *A; w. 27:* pustynio, uciekajcie] pustynio (schylcie się obeliski przed pierwszą prawdziwą

pięknością) uciekajcie *B; w. 35*: przed nami coś] przed nami (w powietrzu) coś *B; w. 37*: wybłyska] wybłysła *B*

Str. 453 w. 5; z sierpem] (z zło) z sierpem *B; w. 39:* nam] (zaczyna) nam *B; tamże*: marzyć] marzeć *B*

Str. 454 w. 2: będą w popiele] będą (śród gruzów) w popiele *B; w. 11:* Nie zjawiż się] Nie (przyjdzież) zjawiż się *B; w. 36*: Ty pytasz] Ty się pytasz *B*

Str. 455 w. 1: mórz] (wód) mórz *A; w. 14*: zadźwiękły] (zadźwięczały) zadźwiękły *A; w. 21*: twoją] (rękę) twoją *A*; *w. 28*: Ah, kraj szaty] (Ah! szatę tylko znikającą gdzieś na górze, szatę błękitną kraj szaty błękitnej w tem Świetle bezmiernem i stopy białe stopy tylko stopy jak dwie gołębice śnieżne w niebo wstępujące!) Ah, (szaty) kraj szaty *B*

Str. 456 w. 11: Syn człowieczy] (Syn Boży skonał) Syn człowieczy *B*

Str. 457 w. 12: wątpień] (zwątpień) wątpień *B; w. 36*: wyschłe] (blade) wyschłe *B*

Str. 458 w. 15: Paraklet obiecany] Paraklet (kiedyż Pocieszyciel) obiecany *A; w. 16*: Dla nas dziś] Nam dziś *B; w. 19*: Nam nie mieć] Nam (się nie spodziewać) nie mieć *B; w. 29*: Puhar niedopity] (Puhar życia wylatuje z rak naszych) Puhar niedopity *B; w. 30*: inne usta] (W ręce Templariu) inne usta *B; w. 35*: syny Twe] syny twoje *B*

Str. 459 w. 1: morduje] (przydusza) morduje *A*; *w. 12*: płacz i psalmów] płacz (kilka psalmów i krzyk), psalmów *B; w. 20*: bliźni] (twoi) bliźni *A; w. 26*: na stos] (do stosu) na stos *B*

Str. 460 w. 10: u dłoni] (w dłoniach) u dłoni *B*; *w. 35*: a już] a (nie) już *B*

Str. 461 w. 8 przed słowem owiała *przekreślony w B wyraz nieczytelny, jakby* pocar ; *w. 19*: stwardniał a Ducha] stwardniał i najeżył się a Ducha *B*— stwardniał (i najez) a Ducha *A; w. 30*: w dniu] w (dzień) dniu *A*

Str. 462 w. 6: czy duszy] czy (duszy) myśli *B; w. 25*: starzy, już] starzy (strawieni pracą), już *B*; *w. 35*: opowiadali] mówili *B*

Str. 463 w. 13: z nad karku europejskich] z ponad europejskich *B*; *w. 25*: siłę] (słowo te) siłę *B*

Str. 464 w. 2: wielkiego] (ciemnego) wielkiego *B*; *w. 17*: Spyszniało—chce] spyszniało (samo sobie wystarczyć chce) chce *B*; *w. 26*: O narody] (O narody! o światła na ziemi! gaśniecie, gaśniecie) O narody *A*; *w. 35*: nieskończoną zbrodnię] (cne złe) nieskończoną zbrodnią *B*

Str. 465 w. 8: Aligier.] (Alig. Ci trzej, co wstępują po wschodach katafalku) Aligier. *B*; *w. 16 przed słowem* krew *dopisane w A ołówkiem ręką poety* skrystalizowaną *a potem przekreślone.*

Str. 466 w. 2: ciał ludzkich] ciał (poddanych) ludzkich *B*; *w. 8*: Młodzieniec] (Młodz. Nigdy, nigdy nie zaśniecie ni tu na ziemi, ni tam w grobie) Młodzieniec *B*; *w. 10*: Tyś wstał] (Wstań) Tyś wstał *B*; *w. 14*: berły] (berłami] berły *B*; *tamże*: naszemi] (jak młotem) naszemi *A*; *w. 15*: takie] (zawsze) takie *A*; *w. 16*: choć my] (choćmy) choć my *A*, *B*; *w. 21*: przypadkowy] (ślepy) przypadkowy *B*; *w. 21*: O Bogu myśl to gorączka ciał] gorączka ciał to o Bogu myśl *B*; *w. 29*: który spi] który (do czasu spi) spi *B*

Str. 467 w. 3: gdzie] gdzie (się podziali) *B*; *w. 8*: i ono] i ono(by) *A*; *w. 15*: w ich duszach] w ich (piersiach) duszach *B w. 28 słowa* Illuminaci *niema w B, w A jest ono dopisane prawdopodobnie obcą ręką w. 30*: Chór wszystkich] (Chór wszystkich (Mularzy) Mistrzów podnosi wyciągnięte dłonie w znaku wielkiego poważania) Chór wszystkich *A*; *tamże* Chór wszystkich Mularzy] Chór Mularzy wszystkich *B*; *w. 31*: Zwycięstwo lub śmierć] (śmierć lub zwycię) Zwycięstwo lub śmierć *A*, *B*; *w. 39*: Dzisiaj nienawiści] Miłość powszechna zda się na później, ale dzisiaj nienawiści *B* — *to samo w A przekreślone.*

Str. 468 w. 1: Bez litości] (Będziecież) Bez litości *B*; *w. 3*: a nie] a (nic nie zdziałały) nie *B*; *w. 7*: nie wiemy nic] mało wiemy *B* — (mało wiemy) nie wiemy nic *A*; *w. 26*: wszystkich Mularzy] Mularzy wszystkich *B*; *tamże*: Mak benak] (Jukin) Mak benak *A*; *w. 32*: nasamprzód] (wprzód) nasamprzód *B*

Str. 469 w. 15: społeczeństwa] (braterstwa) społeczeństwa *B*

Sz. 470 w. 7: Wszędzie Strach] Wszędzie (jeden Wielmożny) strach *B; w. 23:* Chór Mularzy] Chór Mularzy (do Illuminatów) *A; tamże*: o Mistrze najwyżsi] o (najwyżsi) Mistrze (arcyprzewielebni) najwyżsi *A; w. 26*: i z nich] i (poło) z nich *B*; *w. 23*: ni dla ciała] dla ciała *B*; *w. 35*: mgłą] (smętn) mgłą *A*

Str. 47 1 w. 3: śpiących] spiących *B*; *w. 7:* co poczniem? co?] co poczniem? co poczniem? *B; w. 11*: tylko Snem] snem tylko *B*; *w. 13*: po bruku] (po) na bruku *B; w. 14*: na nogach] (jeszcze) na nogach *B*; *w. 16:* Chór Mularzy] Chór Mularzy (mularzy) (mistrzów) *A*; *w. 22:* nie mogącym nic] Niemogącym nic! (Illuminaci! Wyście nas zdradzili — Wielki Budowniku wszechświatów ukarz Was młotem!) *A — (te przekreślone wyrazy prawdopodobnie napisane ręką obcą)* ; *w. 31*: Krążcie] (Wzlećcie) Krążcie *B*

Str. 472 w. 15: postaci tej] (Cienia tego) postaci tej *B*

Str. 473 w. 23: się wzbijają] (wschodzą) się wzbijają *B*; *w. 24:* tysiące widzę] tysiące (się wznoszą) widzę *B*

Str. 474 w. 1: zamierzcha znów] znów zamierzcha (mierzchnie) (ciemnieje) (ciemnieje) *B*; *w. 8:* do dawnych] do (dawnej siedziby) dawnych *B*; *w. 10:* jadą] (siedzą) jadą *B*; *w. 13*: aż po ziemi się wloką] aż (do) po ziemi (spłynęły) się wloką *B; w. 39:* sami wtedy] sami (szyje tłuste) wtedy *B*

Str. 475 w. 3: wiarę] (Miłość) Wiarę *B; w. 16*: Daremno] (Co zbrodnia sprzęgła) Daremno *B*; *w. 20:* Wszak od] (Wszak już dość dawno) Wszak od *B*; *w. 25:* do grobu] do (ludzkiego grobu) grobu *B*; *w. 39:* tak] (jak) tak *B*

Str. 476 w. 25: tonów] (dźwięków) tonów *B*; *w. 26:* rozedrgało] (rozdz) rozedrgało *B*; *w. 34*: Syna jest] Syna (zarówno) jest *B*; *w. 37:* w piersiach Nieskończoność czuję] (czuję nieskończoność w piersiach) w piersiach nieskończoność czuję *B*

Str. 477 w. 3: tchnieniem] (wylewem) tchnieniem *A* — wylewem *B*

* * *

Str. 478 tytuł tej sceny brzmi w B: Weneckie podziemia. Scena 2-ga. Zaraz następna po 1-szej, gdzie wszystkie towarzystwa tajne Historyi się przesuwają przed oczyma młodzieńca.

Scenaryusz: sala. — Sciany] sala. — Zgromadzenie tajnego towarzystwa. — Ściany *B*; Po prawej stronie mównica.] Po lewej stronie kamienna mównica *B*

W. 1: wprowadzasz do Zboru] wprowadzasz między nas, o Duchu bratni, o Duchu kochany *B* — wprowadzasz (między nas? o Duchu bratni, o Duchu kochany?) do Zboru *A*; *w. 2*: pozbawione] (bez duszy) pozbawione *B*; *w. 10:* bez początku] bez początku (i końca) *B*; *w. 12: ustęp od słów* Na pielgrzymkę *aż do słów* przyjmcie go *brzmi w B:*

Na podróż tę (wiekuistą: dwa skrzydła (jedno) białe (i) (drugie) duszę mu dano — on niemi wieki czasu i bytu przestrzenie przerzyna) ciało i duszę mu dano — on ciągle jeden, ten sam, nieśmiertelny — one tylko odpadające i odrastające naprzemian. — On ich zgonami i odrodzeniami żyje! — Co (kształtów) ciał już zsypał, co dusz już strząsł z siebie! — jak pióra za nim leżą, on ich nie widzi, on się nie ogląda — on (leci) (idzie) idzie dalej! — Kiedyś zobaczy je wszystkie w dniu przypomnienia i Sądu! — a teraz oto, przyszedł do was, do braci, którzy tę samą w Wszechświecie odbywacie drogę. — Równocześnie z łona wieczności wyście wystąpili i dziś postacią ludzką zabłysnęli razem — a kiedyś, kiedyś on jak wy, zrzuci ludzki strój i (przeanieli się) podwyższy się. — Lecz wprzód dzieje planety, wspólne wszystkim wam, dzieje wasze, rozwiązane być muszą. — (Dnie) Dni wielkie, nadejść mające — (i ów ostatni za niemi leżący ów dzień anielski przemienienia!) Ja was proszę, ja wam mówię: przyjmcie go!

W. 16: wyższy przybierze] wyższy (wdzieje) (w wyższy się odzieje) przybierze *A*

Str. 479 w. 4: gdy człowiekiem się rodził] gdy raz ostatni się rodził *B*; *w. 13*: że wiesz się Duchem] żeś stał się Duchem *B*; *w. 16*: zdradził. Teraz] zdradził. Poniżysz się i cofniesz na drodze podwyższań! więc później ujrzysz, później uczujesz, co Wszechmiłość

i Wszechżycie. — Teraz *B*; *w. 17 i n. — porządek chórów jest w B inny. Najpierw przemawia tam chór włoski, a potem kolejno: giermański, irlandzki, francuski, sławiański i polski — W 19*: miłosierni] spokojni *B*; *w. 22*: katolicką] Chrystusową *B*; *w. 23*: My, trupy... itd. aż do słów — pozdrawiamy ciebie] Przyparci do dna grobu wiekami i czynów i chwały, my trupy, pokryte (wiekiem) lazurami niebios, my dotąd nie wskrzeszeni, ale gotowi wstać, ale pragnący żyć, pozdrawiamy ciebie *B*; *w. 30*: kapłany, my, co byli, a nie żyli, my, pragnący żyć] kapłany, my, którym wszystko przyszłe już przyśniło się, jak prorokom! my gotowi żyć, my pragnący żyć *B*

Str. 480 w. 1: nas woła. Więc] nas woła, ale czujem w sobie kipiącą krew. Więc *B*; *w 3*: za nas odezwą się] za nas, nie urodzonych jeszcze, a już gotowych żyć, odezwą się *B*; *w. 4*: na sen! Od lat] na sen, ale wstąpili na (walkę) trud — od lat *B*; *w. 6*: wszystkich, Naród-Duch] wszystkich niech mówi do ciebie! Naródduch *B*; *w 9*: Człowieczeństwa] Ludzkości *B*; *w 12*: człowiekiem] (tylko) człowiekiem *B*; *w. 14*: twej] twojej *B*; *w 15*: umarłych wszystkie potęgi] umarłych potęgę *B*; *tamże*: Obchodź się... itd. *aż do słów* Wrzkomo żadnego] Musisz niczego nie potrzebować, jak trup, O żadną próżność ni zysk ni pychę nie dbać, jak trup! Wrzkomo żadnego *B*; *w. 22*: biały płaszcz] płaszcz biały *B*; *w. 30 słów* Tak, jak ci kazali *niema w B*; *w. 31 i n. — w tem miejscu znajduje się w B następujący przekreślony ustęp*:

PREZES

I ja też od ciebie, synu, żadnej nie żądam przysięgi — kogo Aligier prowadzi, temu zaufam ja i (wszystkie) chóry ziemskie — chcę tylko, byś mi z próby odbytej sprawę zdał.

MŁODZ.

Gotów jestem, Ojcze i Mistrzu!

PREZ.

Patrzałeś na mary tych śmiałych, którzy po wszystkie czasy w głębiach ziemi opierali się rządzącym jej

powierzchnią. — Niemi otoczony, przez dwa światy, co przeszły, przeszedłeś. Zrozumiałeś, czem przedchrystusowy, czem pochrystusowy wiek? Czego pragnęli w prawdzie tęsknoty wiecznej a w fałszu nieraz użytych środków owi wszyscy tajemni, wyrywający się ku coraz dalszej przyszłości? Mów, coś widział tej nocy!

MŁODZ.

W pierwszych jej godzinach widziałem Ciało pogańskie wszelkie, tęskniące do Chrześciańskiej Duszy, aż dostąpiło objawu niebianki.

PREZ.

A w następnych?

MŁODZ.

Widziałem rój myśli nowych, świętych, rozwieszon nad światem. Lecz nie spuszczały się na dół, by osypać ziemię — niebieskie kwitły tylko w niebiesiech!

PREZ.

Cóż dalej, synu?

MŁODZ.

(Słyszałem płacz) Wtedy mnie otoczył płacz ciał wszystkich — dawniej duszy nie miały — a teraz, gdy im się urodziła, odeszła od nich — widzą ją nad sobą, a nie mogą do piersi jej sciągnąć — (o życiu nie wiedzą, a jednak brak im życia jest) więc zaczęły zgrzytać z rozpaczy — a potem i krwią pluskać!

PREZ.

Umarłych wszystkie zrozumiałeś skargi. Starożytne konspiratory wyglądały dusz powszechnego kościoła — nowożytni powszechnego społeczeństwa ciał — a możeż jedno bez drugiego być? a ze zlania obu czyż nie trzecie wstanie? I tamtym i tym połowy tylko rozebrane Ludzkości, nie wszystka Ludzkość w sercu biła — połowy, to mary. Całość tylko rzeczywistością na ziemi i w niebie. Wszak wiesz o tem?

MŁODZ.

Wiem, Ojcze.

PREZ.

Odpowiadaj dalej! Czy wierzysz w Ojca, w Słowo,

w Ducha Świętego, w tę trójcę przedwieczną, na której podobieństwo i obraz Wszechświat (ród ludzki) i z nas każdy stworzon? bo jusciż od najniższych do najwyższych potęg, od kamyka do Serafa w rozmaitem zestroju znajdziesz w każdem jestestwie Byt, myśl i życie — ciało duszę i ducha!

MŁODZ.

Wierzę w nią.

PREZ.

I wierzysz, że Słowo stało się ciałem, że Bóg-człowiek mieszkał między nami?

MŁODZ.

Wierzę.

PREZ.

Uważaj! Jeślić człowiekiem był Chrystus, więc zjawił się w pewnem miejscu (w przestrzeni) i o pewnej chwili (śród czasu). — Jeślić Bogiem, panował wszystkim miejscom i czasom. Jeślić Bogiem-człowiekiem, (musiał ogarniać) ogarniał (wszyskie) wszelkie losy (przyszłe) planety tego! I są też słowa Jego niektóre ludzkie — (i) są niektóre niebieskie — i są planetarne— do dni swoich mówi, do państwa rzymskiego, gdy ogłasza, że przyniósł miecz i niezgodę! — Wszechwieczności tchnie, gdy każe o Miłości, o tym Wszechprawie praw — (jednakim na ziemi) (po gwiaz)(i w niebie). Wreście prorokuje człowieczeństwu, gdy żegnając ukochanych swych (po ostatniej wieczerzy) w wigilią męki (obiecuje im przyjście Ducha) oznajmia im, że (zstąpi duch) kiedyś Pocieszyciel przyjdzie. — Czy pamiętasz (synu tę chwilę) to miejsce pisma?

MŁODZ.

Obietnicę pamiętam.

PREZ.

Ja ci słowa powtórzę — kto przytomny, niech klęka.

W 36: w fałszu] w fałszu (i zbrodni) *A*

Str. 481 w. 4: myśli świętych, rozwieszon] myśli nowych, świętych, Bożych, rozwieszon *B; w. 9:* twoich] twych *B; w. 10:* mnie] (mię) mnie *A; w. 11;* nie

znały, a teraz już urodziła się im, widzą ją nad sobą] nie miały, a teraz (widzą ją nad sobą) widzą ją nad sobą, już urodziła się im *B; w. 13:* więc zaczną] życie już znają, a brak im życia jest, więc zaczną *B; w. 19:* rozłożone] rozebrane *B; w. 21:* to złudy, a czasem i zbrodnie] to mary *B* — to (mary) złudy a czasem i zbrodnie *A; w. 22:* na ziemi] na (niebie) ziemi *B; w. 25:* w oną] w tę *B; w. 28:* wszelka arcy-potęga] wszelka nieskończoność *B; w. 29:* dostały w dziale Byt, dostały w dziale Myśl] dostały w podziale byt, dostały myśl *B; w. 32:* że Słowo] że (ciało skąds) Słowo *A; w. 37:* to panował] toć panował *B; tamże:* i czasom] i (chwilom) czasom *B*; *w. 39:* tego. Czy pamiętasz, jak w wigilią... *itd. aż do słów* Pocieszyciel przyjdzie?] tego. Są słowa Jego niektóre ludzkie — są niektóre niebieskie — i są planetarne. Dni swoje upomina, państwu rzymskiemu grozi, gdy mówi, że przyniósł miecz i rozdarcie. Wszechwiecznością tchnie, kiedy pokój swój daje swoim, gdy każe o Miłości, tym Wszechprawie praw — a prorokuje przyszłość społeczeństwa, gdy w wigiliją męki oznajmia ukochanym, że kiedyś Pocieszyciel przyjdzie. — Czy pamiętasz? *B*

Str. 482 w. 6: Ojcze, możesz] Możesz *B; w. 8:* Prezes. Mamci wam]

PREZ. (czyta)

»Lecz teraz idę do onego, który mnie posłał, a żaden z was nie pyta mnie, dokąd idziesz?«

»Ale żem wam to powiedział, smętek napełnił serce wasze«

»Lecz ja wam prawdę mówię, wamci to pożyteczno, abym ja odszedł, bo jeśli nie odejdę, Pocieszyciel on nie przyjdzie do was, ale jeśli odejdę, poślę go do was«

Czy słyszysz, synu, a nie tylkoć uszyma?

MŁODZ.

Słuchem duszy całej!

PREZ.

A dalej: »Mamci wam *B*

IV 16: Ojciec księgę zamknął — możecie wstać] Wstańcie! *B; w. 18:* Wyższej przepowiedzi] (Wyższego

proroctwa) Wyższej przepowiedni *B; w. 19:* będzie] będzie kiedy w Wszechświecie *B; tamże:* o Sobie, że się wleje w ziemię trzecim wlewem Swym! Za dni] o Sobie, że wróci kiedyś trzecią osobą swą, że się wleje w ziemię trzecim kształtem swym. — Czy nie drzysz? czy łez u oczu nie słyszysz? (Za dni Jehowy nad ziemią) Za dni *B; w. 21:* Jehowy proroki] Jehowy (już Syna przed sobą proroki Ojca oglądały) proroki *A*; *tamże:* oglądały] widziały *B; w. 23:* Człowiek zwierciadłem] (alboż człowiek nie na obraz i podobieństwo Pana?) Człowiek zwierciadłem *B*; *w. 25:* odbić się musi następnie] odbić następnie się musi *B; w. 30:* Ojcze] ojcze (mój) *B*; *w. 31*: do nich wszystkich jeszcze mówi Pan: »Znieść] do nich jeszcze dotąd (mówi Pan) mówi Pan »(ale teraz) znieść *B*; *w. 33:* który przepis ...udotykalni] który myśl jego przejmie we wszelkiej prawdzie — przepis (wykona) we wszelkiej rzeczywistości (tchnienie) uwidomi *B*; *w. 35:* sama] sama (o sobie) *B*; *w. 37:* Pocieszycielem. A gdzież] Pocieszycielem (ale ani osobnikowi) A gdzież *B*

Str. 483 w. 2: jak w każdej innej piersi] jak w każdem innem sercu *B*; *w. 4:* Ani osobnikowi] (Ani osobnikowi) (komu z was) Ani osobnikowi *B*; *w. 6:* jeśli aż pod] jeśli jej piersiami nie ściągną własnemi aż pod *B*; *w. 7:* rąk] rąk własnych *B; w. 9:* przewiewa ponad ziemskim padołem — jeśli go] przewiewa w górze — (jeśli go nie słyszym, nie znamy) jeśli go *B*; *w 11 słów:* jeśli siebie samych nie przeołtarzym Jemu *niema w B; w. 14:* My dziś] Dawniej rozkazywano — my dziś *B; w. 15:* pojął] pojmie *B; w. 16 — 29 ustęp od słów:* Póki ciało z duszą ... *aż do słów* i wszelka Teraźniejszość *brzmi w B:* Póki ciało nieskojarzone z duszą, póty czynu powszechnego niemasz — póty rozstrojem i bitwą dzieje Ludzkości — Świat zamętem — cząstka każda nienawistna drugiej (a każdej o to tylko) (każda) o to tylko dba, by się nienaruszoną utrzymała, wytępiając inne. — Lud, naród, państwo, stan, (prawo) zasada, ustawa, prawo każde nie o postęp, ale o coraz starszą starość sie stara. Co dłużej trwa, temu hołdują, nie że święte, ale że obaliło prze-

ciwników wielu — przedawniałość prawowitością. Przyszłość dotąd zawsze tylko buntem, świętokradztwem, gwałtem. Jak kat (do szkieletu siedzącego) przed szkieletem, siedzącym na stolicy, tak ona (przychodzi do siostry swej) staje przed siostrą swą, przyszłością — i wszelka Teraźniejszość....; *w. 21:* chce, wytępiając] chce (o to tylko dba, by się nienaruszoną utrzymała) wytępiając *A; w. 22:* o postęp] o (rozwój) postęp *A*; *w. 33:* Ojcze, nieraz to samo łzy mi moje pisały] (każden) Ojcze, co teraz słówmi wypowiadasz, łzy nieraz mi moje (pis) pisały *B*; *w. 39:* potępionym być] zapomnianym być *B*; *w. 40:* ze siebie] (ze) z siebie *B*

Str. 484 w. 1: śmierci — oto rozwój] śmierci przemieniać się i przeobrażać coraz wyżej — oto rozwój *B*; *w. 2—22 od słów* Narody go na ziemi *aż do słów* wierzyć tobie i dziękować ci — *brzmią w B:* Narody dostąpić go powinny, nim każden osobnik go dostąpi — bo Ludzkość jest szkołą ludzi! bo Ziemia przedwstępem Niebios! i każden z nas tu (nauczyć) nauczyć się musi własnej nieśmiertelności i wiednej i wolnej! Duszę z ciałem (pojednać i zestroić) wszędzie pojednać i zestroić trza! Niech przestaną być rozerwanemi osoby Trójcy tej, co w nas jak w Bogu istnieje — (niech oboje padną na kolana przed własnym Duchem i przelecą się w Niego)! — Wtedy to człowiek przyjdzie do siebie, odziedziczy siebie, owładnie podobieństwem swem do Boga! — wtedyć objawi się Jemu, że i on Stwórcą budownikiem, mistrzem arcydzieł, Dopełnicielem prac niebieskich urodzon! — Jak oblubieniec spieszy do oblubienicy, tak każda przyszłość do każdej przeszłości w one dni przychodzić będzie — i wszelka teraźniejszość ukochaną (córką) im córką się narodzi! Wszak rozumiesz mnie, Synu — uważaj — utop wzrok twój w oczy moje! Wprzód społeczny skład, ludy, państwa, Idee zaczną nieumierać, jedno przeciągać się — coraz dalej same się tworzyć — żyć! aż każda pierś ludzka przepoi się tem powszechnem tchnieniem — dorówna światu swemu całemu i uczuje się nieśmiertelną! (i podniesie się w inny! — Nie co innego kościół ci oznajmia) — a wtedyć inny, wyższy nastąpi

świat! nie co innego kościół ci oznajmia — na dniu zmartwychwstania. Chrystus w chwale powróci — zasiądzie na wspomnień stolicy — wskrzesi przed tobą wszystkie uczynki tw(oje)e. Czyż one nie przeszłością? twą a onaż czem? czy nie (dziejami) cząstką dziejów człowieczego rodu? Bo byłżeś kiedy sam na świecie? Czyś nie wspólnie, przez wszystkie czasy z bracią twą przemijał i działał? Lecz od dnia sądu już ty nie będziesz jako dawniej rodził się i (znikał) gasł i odradzał, rozpowity do każdej trumny i powity do każdej kolebki niewidzialnemi rękoma. — Śmierci już niema i Bóg piastunką twą w śmierci już nie jest! nieskazitelne przyoblokłeś ciało, bo (wiesz) już wiesz, bo już umiesz, jak je odtwarzać, (przeobrażać) jak je przeobrażać wciąż! — I wszelką myśl i wszelki kształt twój własną wolą przędziesz, własną twą. Ty sam! Żywot Anielski danym ci! — Ależ na to jak wyarcydziełować musisz siebie samego! jakżesz znadziemczyć, wybóstwić wolę swą! — Ah! (na toć, na to) na toć to, na to cierpisz i krwawisz się i znoisz i wzdychasz i płaczesz, od kiedyś się począł przed wiekami wieków! — Boś ty się począł u Ojca w Niebiesiech a na to, byś wcielił się, spadłeś na łono Matki Ziemi! Inni ojce twoi, inne matki wszystkie, kiedyś pokaże się, że byli tylko braćmi i siostrami twemi, przyjaciółmi i opiekunkami! On jeden na wieki ci Rodzicem — Ona jedna od wieków Karmicielką! I przez Nią ty wracasz do Niego. — Więc rozważ, jaka fala czasu przepływa po niej i niesie cię dzisiaj! słuchaj, jaka godzina bije na planecie tym! Wszak wiesz, styrał się i przeminął wiek ciał — starożytności dzień? przeminął i drugi, dany duszy czas! Walka między niemi przewalczona już. — Cóż pozostaje, synu? czyż nie ostatnia, najwyższa pora nadchodzi?

MŁODZ.

Ducha wiek!

(PREZES)

(Ślepy kto nie widzi! głuchy kto nie słyszy! niemy kto nie opowiada o wieszczych znakach poprzedzających go! — Spójrz na kościoł Piotrowy — z drugiej

strony spójrz na córkę protestantyzmu, na ostatnią wszystkich kacerstw wnuczkę, na Germańską myśl! Niby doszły do najzaciętszej walki! Niby w niczem nie podobne do siebie — (Tam kształt i obrządek martwy bez nat) (tu mądrość) (Tu mądrość a bez żył i krwi, wiedza, co wie o wszystkiem a nie wie o życiu) Tam kształt i obrządek bez natchnienia — Tu mądrość bez krwi i żył, wiedza, co wie o wszystkiem a nie wie o życiu ni Bogu ni o losach człowieka! Gdzież dalej jedno (z ty) krzepnąc w drugie, rozlatniać się będzie? Czyż to nie dwa nurty u stóp tychże samych, u Chrystusowych poczęte?)

PREZ.

Ślepy kto nie widzi! głuchy kto nie słyszy! niemy kto nie opowiada o wieszczych znakach, poprzedzających go! — Spójrz na kościół Piotrowy — z drugiej strony spójrz na córkę protestantyzmu, na ostatnią wszystkich kacerstw wnuczkę, na Germańską myśl! Na nie rozdzieliło się Chrześciaństwo — i (rozdzielone) rozpadłe potęgi doszły do najwyższej między sobą sprzeczni! Tam kształt i obrządek sam, bez natchnienia już — Tu mądrość a bez krwi i żył, wiedza, co wie o wszystkiem lecz ani o ży(ciu)wym Bog(a)u ani o losach nieśmiertelnych człowieka nic nie wie! — gdzież dalej odbiegać od siebie będą! gdzież i jak walczyć, kiedy jednego początku i jednego końca są! Alboż to nie dwa nurty u stóp tychże samych, u Chrystusowych, wytrysłe? Wrzkomo tylko każden w stronę przeciwną popłynął, bo (wprawdzie) płyną oba ku jednemu morzu — a gdy ono je połączy, nie będą już jedną kroplą jak u źródła — będą (już) jednym Oceanem! Zaprawdę, synu! idzie godzina, że wyższą miłością (Chrystus) uwielbim Chrystusa — Spoim jego słowo rozdarte, odbudujem je na drugim końcu wieków! Ażaz nie czujem my wszyscy dzisiejsi, że coś się rozgłębia, rozdala, rozszerza w nas samych — jakieś Ameryki (nieodkryte) wewnętrze, nietknięte dotąd, występują w głębiach serca naszego — a i zewnątrz nas codzień Wszechświata przybywa. Szkłami (oczarowane) przy-

wabione drogi mleczne spuszczają się ku nam, (słońc miliony zstępują z niebieskich wysokości) ku nam z wyżyn niebieskich słońc zstępują miliony! a między niemi, gdziekolwiek spojrzeć, Chrystusowe prawo — wszędzie osobnik sługą powszechności i sam trwa przez nią — wszędzie braterstwo i wspólny złoty trud— zgoda jedna, ruch rozmaity i blask nieskończony! Zewsząd, o zewsząd: i z nieba i z ziemi i aż z pod kory drzew i aż z pod pyłku kwiatów słychać głos jakiś, co wieczną jakąś Ewanieliją szepta! a ludy nie miałyby według niej się przekształcić? państwa się rozpaść lub skojarzyć? Rządy, polityka uklęknąć przed tem odrodzonem tchnieniem życia i miłości? Alboż ołtarze Boga tylko pod katedr sklepieniem? Wszędzie, (czy) i w izbie poselskiej i na trybunale i w kole wyborców (czy) i w kole wybranych, i na stolicy władzcy i na rynku pospolitym i w rękodzielni i w giełdzie i handlu wszelkiem i w sztuce każdej i w każdej umiejętności Pan dojrzan, poznan, uczczon i wykonan być musi i będzie! — Oto powrót Zbawiciela pod postacią Ducha! (oto Wszechprzytomnego Wszechprzytomnienie się na ziemi! Oto Wszechobecnego Wszechobecnienie się na ziemi) (Nie duchowny stan rządzić ma świeckim z niewidzialnych (szczy) ze szczytu wyżyn niewidzialnych, ale świecki stanie się świętym, stanie się sam Religiją! Czy wierzysz w nie, czy spodziewasz się (jego) go?) Oto tryjumf Ukrzyżowanego! Oto jawność (Wszechprzytomności) utajonej Wszechobecności! Taborem przemienienia tego Europejski ląd. — Tu zaczną białe szaty wybłyskać na piersi Człowieczeństwa! Nie stan duchowny z góry świeckim rządzić ma — ale świecki zduchownieje (wszystko, co spaja i łączy ludzi, spójnią boską (związku) się stanie) ziemia (przepoi się) przesiąknąć musi niebem — (co dotąd nie należało (się Bogu) do Religii, należeć do niej (ma) (się) będzie) Każden trud w posłannictwo, każda przysługa w kapłaństwo się zmieni! i czcią Tego, który jest, będzie być (!) i żyć. — Czy czujesz we wnętrznościach istoty twej, że się spodziewasz takiej przyszłości, że wierzysz w nią i kochasz ją?

MŁODZ.

(Od kiedy oddycham, żyję śród bolów ludzkich, śród szpetnych zdarzeń, śród potwornych klęsk — a każdem serca uderzeniem pożądam piękności, wolności, szczęścia!) Od kiedy oddycham, każdem serca uderzeniem pożądam (piękności i szczęścia) (piękna, wolności i) piękna, wyzwolenia, szczęścia, a żyję śród szpetnych zdarzeń i potwornych klęsk! — (Wszak ideału mojego urzeczywistnienie obiecujesz mi, ojcze! mówisz, że co wlane we mnie przez Boga, to Bóg rozprowadzi przedemną — o wierzę, wierzę tobie!) Młodym nigdy nie byłem — a ty mi świata młodość obiecujesz, ojcze! (Nową) (Wielką zwiastujesz) Rzadkom się uśmiechał, a ty (mi zwiastujesz) uśmiech kładziesz przedemną na usta wszystkich, wszystkich! Jakżesz nie mam wierzyć tobie i dziękować, Ojcze! —

W. 29: nie dziś] nie dziś (nie jutro) *A; w. 35:* ustanowione od Boga? Gdzie] ustanowione (i kształcone przez wieki i Boga) od Boga (a kształcone przez wieki!) Gdzie *B; w. 40:* Powiedziałeś] (Tak, o narodowościach) Powiedziałeś *B Str. 485 w. 1:* wszędzie] (opatrznie) wszędzie *B; tamże:* kusi wolę] kusi, drażni, wywołuje wolę *B; w. 3:* ukojenia] pojednania *B; w. 4:* Wolność] Wolność (jest) *B; w. 5 słów:* Młodzieniec. Słucham, Ojcze — *niema w B; w. 6:* wolność] ją *B; w. 7:* wyarcydziełował] podniósł *B;* — wyarcydziełował (wolą własną) *A; w. 8:* z drugimi] z drugiemi *B; w. 9:* dokonany] (dopełniony) dokonany *B; w. 12—18 od słów* wolne tylko narody *aż do słów* Jak z głazu posąg *brzmią w B:* wolne tylko narody jak (lutnie) (struny) Lutnie, brzmiące miłością, wyprowadzą z siebie Ludzkość, najdoskonalszy (arcydźwięk) wszechdźwięk swój! najwyższe (dz) i ostatnie dzieło swe! — Niech więc nie zapominają o Miłości, bez której nic postawić i zbudować nie można. Świat ich — niech tylko one będą — niech tylko się wypracują na siebie! Niechże wiedzą, że nie to, co nieruchome i zbite jak stado — że nie Chiny jakie — — Świętością na Ziemi! — ni też co szalone, co wysadzające skałę w powietrze — nie rok 93-ci natchnie-

niem i czynem — ale że prawdziwą mądrością, wybornem pięknem to, co płynne wciąż, co wstępujące coraz w górę wyżej a jednak toż same, jak światła wschód nieskończony; *w. 30:* Czyż nie wie polskiego chóru naczelnik, że] (Czyż on nie wie, że) Czyż nie wie polskiego chóru naczelnik, że *A*; *w. 35:* i uporem] i (narażasz) uporem *A; w. 36: A* ty, Ojcze] (Na co? kto się nie lęka niczego, ten się narażać nie może) A ty, Ojcze *A*

Str. 486 w. 3: miłosierdziem] (pokorą) miłosierdziem *A*; *w. 18:* młodzik] (chłopiec) młodzik *A; w. 30:* otóż ja] (słuchaj mnie) otóż ja *A*; *w. 33:* nad ich] nad (ich) (jej) ich *A*

Str. 487 w. 17: odezwaniem się, A pozwól] odezwaniem się — (choć Duch mnie podrywa i czuję jakoby skrzydeł niewidzialnych pęd, co mnie niesie na mównicę tę) A pozwól *A*; *w. 18:* na tę] na (nią) tę *A*; *w. 27:* stargał prawo] stargał prawo, więc Ty wstąp i mów, gdy czujesz się w obowiązku ratowania tej duszy młodzieńczej, miotanej rozpaczą! *A; w. 32:* Wypowiedziałem nieunikalne] (kan) Wypowiedziałem (nieuk) nieunikalne *A*

Str. 488 w. 1: Inny] (kilku innych) Inny *A; w. 13:* obywatelowi, że ci] obywatelowi (przeciwko temu w przyszłości Człowiekowi Wszechludowemu) że ci *A*; *w. 34:* kraj] (Lud) kraj *A*

Str. 489 w. 1: możny] (silny) możny *A; w. 6:* przed nami] (nam) przed nami *A*; *w. 7:* On] (On) On *A; w. 8:* Demokracie] (Obywatelowi) Demokracie *A*; *w. 14:* że piękny świat i piękne] że (pięknym) piękny świat i (ożywcze) piękne *A*; *w. 24:* po otchłaniach] po (czyścach i piekłach) otchłaniach *A*

Str. 490 w. 15: Chrystusa] (Chrystusowej miłości) Chrystusa *A; w. 25:* Nie czem innem] (W proch, na kolana, w proch przedemną, przed Wolą Bożą we mnie, jawiąca się wolnymi objawy) Nie czem innem *A*; *w. 30:* skrucha] skrucha (i żal) *A; w. 33:* Jak młotów] (Jak młotami, kołami, mieczami tysiącznemi niemi obraca i bije się po świecie, by zatracić Wrogi swe) Jak młotów *A*

Str. 491 w. 3: przechadzające się] przechadzające się (radośnie) *A; w. 9:* myśli ofiarami] myśli (zarzynanemi ofiary!) (wiecznie zarzynanemi ofiary!) ofiarami *A; w. 26:* ktoby głosu] (ktoby głosu twego) (mowy twojej) (słuchał czy śród obcych, czy śród ziomków) ktoby głosu *A*

Str. 492 w. 4: wieje] wieje (ku mnie) *A*; *w. 6:* bo w tej] bo (się) w tej *A*; *w. 20:* Niech żyje naczelnik] (Vivat wódz) Niech żyje naczelnik *A*; *w. 22:* twoim] twoim (a postępowy Mojżesz!) *A*; *w. 29:* ten] ten (się) *A; tamże:* zatrutych] (chwyta) zatrutych *A*

Str. 493 w. 3: Po tej] (Z tej i tamtej strony grobu) Po tej *A; w. 10:* nie puszczajcie go] nie puszczajcie go (Taki rozkaz mój!) *A*; *w. 15:* Prezes. Was jednych] (Prezes. Od rozkazu naszego wyłączamy was, wierni Polacy. — Pozostańcie na miejscu niewzruszeni (waszem)! (Pankr.) Prezes. Was jednych *A*; *w. 40:*tę farbę] (pijąc tę purpurę) tę farbę *A*

Str. 494 w. 10: o zgon] o (śmie) zgon *A*; *w. 18 pomiędzy słowami* przeto *a* was *krótki wyraz nieczytelny przekreślony (może:* nas); *w. 21:* odezwał] odezwał (Witam mongolskiego Ducha w Arcymistrzu Wolności!) *A*; *w. 25:* nad nim] (jego) nad nim *A*; *w. 36:* widzisz lufę] widzisz (lufę mojej krócicy) lufę *A*

Str. 495 w. 13: odwrócisz] (imie jej) odwrócisz *A*; *w. 24:* kacerze] kacerze (Duchem) *A*; *w. 26:* ducha] (wam) ducha *A*; *w. 29:* pozostają] (zasługi) pozostają *A*

Str. 496 w. 2: strunami] (także strunami) strunami *A; w. 3:* tak drgają] tak (latają) drgają *A; w. 10:* Ligienzo, Rymszo] Ligienzo (Bujwid, Jasielkowski) Rymszo *A; w. 12:* Pozostajem tu. Szabla] (Pozostaniem) Pozostajem tu. (Zacność, nie srom — Szabla, nie nóż) Szabla *A*; *w. 26:* usłyszy] usłyszy (nic) *A; w. 33:* próg] próg (odmykajcież) *A*

Str. 497 w. 2: iskry i popiół] iskry (jej w czoło rzuca im) i popiół *A; w. 7:* nastąpiła] (za winą) nastąpiła *A*; *w. 9:* bo wiednym Ducha] (bo grzech przeciwko Duchowi wiednym Ducha) bo wiednym Ducha *A*

* * *

Do autografu A dołączył Poeta rękopis dawniejszej redakcyi początku ostatniej sceny poematu (str. 478—485 w. 26) (= E). Rękopis ten jest złożony w arkuszyku papieru z napisem: Pierwszej (!) sceny Zarys — poprawiony jak wyżej. — *Dla uniknięcia zbytniego zamieszania zestawiamy go tu z tekstem A osobno.*[1])

Str. 478 w. 12: Na pielgrzymkę nieskończoności duszę i ciało mu dano] Na podróż tę ciało i duszę mu dano *E*; *w. 15—19*: umierające i odżywające naprzemian ....rozwiązane być muszą] odpadające i odrastające naprzemian. On ich zgonami i odrodzeniami żyje— co (dusz) ciał już zasypał, co (ciał) dusz już ztrząsł z siebie! — jak pióra za nim leżą. — On ich nie widzi — on się nie ogląda — on idzie dalej — kiedyś zobaczy je wszystkie w dniu Przypomnienia i Sądu! — a teraz oto przyszedł do was, do braci, którzy tę samą w Wszechświecie odbywacie drogę. — Równocześnie z łona Wieczności wyście wystąpili i dziś postacią ludzką zabłysnęli razem — a kiedyś, kiedyś, on jak wy, zrzuci ludzki strój i podwyższy się. Lecz wprzód dzieje planety, wspólne wszyskim wam, dzieje wasze, rozwiązane być muszą *E*

Str. 479 w. 1: dni poprzednie, wielkie] dni wielkie *E*; *w. 3*: nam powie] powie nam *E*; *w. 13*: że wiesz się] żeś stał się *E*; *w. 16*: zdradził. Teraz niech] zdradził. Poniżysz się i cofniesz na drodze podwyższań! — Więc później ujrzysz, później uczujesz, co Wszechmiłość i Wszechżycie! Teraz niech *E*; *w. 17 i następne: porządek chóru w E:* włoski, germański, irlandzki, francuski, sławiański, polski. — *W. 19*: miłosierni i cisi zaczynają zwyciężać, pozdrawiamy] spokojni i cisi zaczynają zwyciężać, my, zwiastuny bezkrwawej przyszłości, pozdrawiamy *E*; *w. 22*: katolicką] chrystusową *E*; *w. 23—26 brzmią w E:* Przyparci do dna grobu wiekami i czynów i chwały, my trupy, przykryte lazurami niebios, my dotąd nie wskrzeszeni,

---

[1]) *Chronologiczny porządek autografów* Pierwszej części Nie-Boskiej Komedyi *jest następujący; tekst C, tekst B, tekst E a wreszcie tekst A.*

ale gotowi wstać, ale pragnący żyć, pozdrawiamy Ciebie! Ufaj czarnym płaszczom *itd.; w. 30—31 brzmią w E:* my, Idei kapłany (my gotowi żyć) my, którym wszystko przyszłe już przyśniło się, jak prorokom! my gotowi żyć, my pragnący żyć, pozdrawiamy Ciebie! *w. 32:* greckich mędrców] mędrców greckich *E*; *w. 33*: rapierom] rapirom *E*

Str. 480 w. 1: nas woła. Więc podnosim]nas woła, ale w sobie czujem kipiącą krew, więc podnosim *E*; *w. 2:* Niechże za nas odezwą się do ciebie ci, którzy] niech za nas, nie urodzonych jeszcze, a już gotowych żyć, odezwą się Ci, którzy *E*; *w. 4*: na sen. Od lat] na sen, ale zstąpili na trud. Od lat *E*; *w. 6:* wszystkich, Naród-Duch] wszystkich niech mówi do Ciecie Naród-Duch *E*; *w. 9:* Człowieczeństwa] Ludzkości *E*; *w. 15:* wszystkie potęgi] potęgę *E*; *tamże*: Obchodź się bez niczego] Musisz niczego nie potrzebować *E*; *w. 17*: dbaj] dbać *E*; *tamże*: czuj] czuć *E*; *w. 20 słowa* braci *niema w E*; *w. 24*: to znak] znak to *E*; *w. 30 słów:* Tak, jak ci kazali, *niema w E*; *w. 35*: wiek] (świat) wiek *E*

Str. 481 w. 4: świętych] nowych, świętych *E*; *w. 11:* znały] miały *E*; *tamże*: już urodziła się im, widzą ją nad sobą] widzą ją nad sobą, już urodziła się im *E*; *w. 13*: ściągnąć, więc] ściągnąć, życie już znają, a brak im życia jest, więc *E*; *w. 19:* rozłożone] rozebrane *E*; *w. 21:* złudy a czasem i zbrodnie] mary *E*; *w. 25*: w oną] w tę *E*; *w. 27:* cząstka] cząsteczka *E*; *w. 28*: arcy-potęga] Nieskończoność *E*; *w. 29:* dostały w dziale Byt, dostały w dziale Myśl] dostały w podziale Byt, dostały Myśl *E*; *w. 39*: *od słów* Czy pamiętasz *do słów* Pocieszyciel przyjdzie] I czyż nie tak jest? — Są słowa Jego niektóre ludzkie — są niektóre niebieskie — i są planetarne! — Dni swoje upomina, państwu rzymskiem grozi, gdy mówi, że przyniósł *Miecz* i *Rozdarcie*. — Wszechwiecznością tchnie, kiedy spokój swój daje swoim, gdy każe o Miłości, tem Wszechprawie praw — i prorokuje przyszłość Człowieczeństwa, gdy w wigilią męki oznajmuje ukochanym, że kiedyś Pocieszyciel przyjdzie? — czy pamiętasz? *E*

Str. 482 w. 8: Prezes. — »Mamci wam jeszcze]

Prezes: »Lecz teraz idę do Onego, który mnie posłał, a żaden z was nie pyta mnie, dokąd idziesz?« — »ale żem wam to powiedział, Smętek napełnił serca wasze.« — Lecz Ja wam prawdę mówię, wamci to pożyteczno, abym ja odszedł, bo, jeśli nie odejdę, Pocieszyciel on nie przyjdzie do was, ale, jeśli odejdę, poślę go do was.« — Czy słyszysz, Synu, a nie tylkoć uszyma?

MŁODZ.

Słuchem duszy całej.

PREZES

A dalej: — Mamci wam jeszcze *itd. E.*

W. 16—17 brzmią w E: Wstańcie ; *w. 20:* że się wleje w ziemię trzecim wlewem Swym. Za dni] że wróci kiedyś trzecią osobą Swą. Czy nie drzysz? Czy łez u oczu nie czujesz? Za dni *E*; *w. 21:* oglądały] widziały *E*; *w. 25*: odbić się musi następnie] odbić następnie się musi *E*; *w. 31*: wszystkich jeszcze] jeszcze dotąd *E*; *w. 33*: który przepis Jego we wszelkiej] który Myśl Jego przejmie we wszelkiej prawdzie, przepis we wszelkiej *E*

Str. 483 w. 2 brzmi w E: W Tobie, jak w każdem innem sercu ; *w. 5*: pod same niebiosa] pod niebiosa *E*; *w. 6*: rąk] rąk własnych *E*; *w. 9*: ponad ziemskim padołem] w górze *E*; *w. 10*: wyczynim] wyczynnim *E*; *w. 11 słów*: jeśli siebie samych nie przeołtarzym Jemu *niema w E*; *w. 14:* My dziś] Dawniej rozkazywano, my dziś *E*; *w. 15*: pojął] pojmie *E*; *w. 16—21 brzmią w E*; Póki ciało nie skojarzone z duszą, póty czynu powszechnego niemasz, póty rozstrojem i bitwą dzieje Ludzkości. — Świat zamętem! — cząstka każda nienawistna drugiej o to tylko dba, by się nienaruszoną utrzymała, wytępiając inne. Naród *itd*; *w. 25—29*: Wszelka nadzieja .....*aż do słów* siostry swej, przeszłości] Przyszłość dotąd (tylko) zawsze (buntem) tylko buntem, świętokradztwem, gwałtem. — Jak kat przed szkieletem, siedzącym na stolicy, tak ona staje przed siostrą swą przeszłością *E*; *w. 30*: Ojcze, co teraz słowami wypowiadasz, łzy moje mi nieraz pisały *E w. 39*: potępionym] zapomnianym *E*

Str. 484 w. 1: omdlenia] chwili *E*; *w. 2*: go na ziemi dostąpić] dostąpić go *E*; *w. 3*: go w zaświatach dostąpi] go dostąpi *E*; *w. 4—16 od słów* bo Człowieczeństwo *aż do słów* i kochasz ją *brzmią w E*: bo Ludzkość jest szkołą ludzi, bo ziemia przedwstępem Niebios! — i każden z nas tu nauczyć się musi własnej Nieśmiertelności i wiednej i wolnej! — Duszę z Ciałem wszędzie pojednać i zestroić trzeba! — Niech przestaną być rozerwanemi Osoby Trójcy tej, co w nas, jak w Bogu, istnieje!

Wtedyć to człowiek przyjdzie do siebie, odziedziczy siebie, owładnie podobieństwem swem do Boga! — Wtedyć objawi się Jemu, że i on twórcą, że i on budownikiem, mistrzem arcydzieł, dopełnicielem prac niebieskich urodzon! — Jak oblubieniec spieszy do oblubienicy, tak każda przyszłość do każdej przeszłości w one dni przy(chodzić)stępować będzie — i wszelka teraźniejszość ukochaną (córką) im się narodzi! — Wszak rozumiesz mnie, Synu? — uważaj — utop wzrok twój w oczy moje! — wprzód społeczny skład, ludy, państwa, idee zaczną nieumierać, jedno przeciągać się — coraz dalej same się tworzyć — żyć! — aż każda pierś ludzka przepoi się tem powszechnem tchnieniem, dorówna światu swemu całemu i uczuje się nieśmiertelną! a wtedyć inny, wyższy nastąpi świat! — Nie co innego Kościół ci oznajmia — na dniu Zmartwychwstania Chrystus w chwale powróci — zasiądzie na wspomnień stolicy — wskrzesi przed Tobą wszystkie uczynki twe — czyż one nie przeszłością twą? — a onaż czem? — czyż nie dziejami człowieczego rodu? — Bo byłżeś kiedy sam na świecie? Czyś nie wspólnie po wszystkie czasy z bracią twą przemijał i działał? Lecz od dnia Sądu już ty nie będziesz, jak dawniej, rodził się, gasł i odradzał, rozpowity do każdej trumny i powity do każdej kolebki niewidzialnemi rękoma. — Śmierci już niema i Bog piastunką twą w śmierci już nie jest! Nieskazitelne przyoblokłeś ciało, bo już wiesz, bo już umiesz, jak je odtwarzać, jak je przeobrażać wciąż — i wszelką myśl i wszelki kształt twój własną wolą przędziesz, własną twą, Ty sam! Żywot anielski

danym Ci! — Ależ na to jakżeż wyarcydziełować musisz siebie samego! — jakżeż znadziemczyć, wybóstwić wolę swą! — ah! na toć to, na to cierpisz i krwawisz się i znoisz i wzdychasz i płaczesz, od kiedyś się począł, przed wiekami wieków! — Boś ty się począł u Ojca w niebiesiech, a na to, byś wcielił się, spadłeś na łono matki ziemi. — Inni ojce twoi, inne matki (twoje) wszystkie, kiedyś pokaże się, że byli tylko braćmi i siostrami twemi, przyjaciółmi i opiekunami! — On jeden na wieki ci Rodzicem — ona jedna od wieków Karmicielką! I przez nią ty wracasz do Niego! — Więc rozważ, jaka fala czasu przepływa po niej i niesie cię dzisiaj — słuchaj, jaka godzina bije na planecie tym! — Wszak wiesz, styrał się i przeminął wiek ciał, Starożytności dzień? — przeminął i drugi, dany Duszy Czas! — walka między niemi przewalczona już — cóż pozostaje, Synu? — Czyż nie ostatnia, najwyższa pora nadchodzi?

MŁODZ.

Ducha wiek?

PREZ.

Ślepy, kto nie widzi, głuchy, kto nie słyszy, niemy, kto nie opowiada o wieszczych znakach, poprzedzających Go! — Spójrz na Kościół Piotrowy — (z drugiej strony) po drugiej stronie spójrz na córkę protestantyzmu, na ostatnią wszystkich kacerstw wnuczkę, na Giermańską myśl — na nie rozdzieliło się Chrześciaństwo — i rozpadłe potęgi doszły do najwyższej między sobą sprzeczni! — Tam kształt i obrządek sam, bez Natchnienia już — tu mądrość a bez krwi i żył, Wiedza, co wie o wszystkiem, ale ani o żywym Bogu ani o losach nieśmiertelnych człowieka nic nie wie! Gdzież dalej odbiegać od siebie będą? — gdzież i jak walczyć, kiedy jednego początku i jednego końca są? — Alboż to nie dwa Nurty u stóp tychże samych, u Chrystusowych, wytrysłe? Wrzekomo tylko każden w stronę przeciwną popłynął, lecz płyną oba ku jednemu morzu, a gdy ono je połączy, nie będą już jedną kroplą jak u źródła — będą jednym Oceanem! — Zaprawdę, Synu, idzie godzina, że wyższą miłością uwielbim Chry-

stusa — spoim jego słowo rozdarte — odbudujem je na drugim końcu wieków! — azaż nie (czujemy) czujem, my wszyscy dzisiejsi, że coś się rozgłębia (rozdala) rozdala, rozszerza w nas samych? — Jakieś ameryki (nieodkryte dotąd) wewnętrzne, nietknięte dotąd, występują w głębiach serca naszego — a i zewnątrz nas codzień Wszechświata przybywa. — Szkłami Teleskopów przywabione drogi mleczne spuszczają się ku nam — ku nam z wyżyn niebieskich słońc zstępują miliony! — a między niemi, gdziekolwiek spojrzeć, Chrystusowe prawo — wszędzie osobnik sługą powszechności i sam trwa przez nią, a jednak wolny, potężny, (jest) samodzielny jest! — Wszędzie braterstwo i wspólny, złoty trud, zgoda jedna, ruch rozmaity i blask nieskończony (blask)! — Zewsząd, o zewsząd, i z nieba i z ziemi, i aż z pod kory drzew, i aż z pod pyłku kwiatów słychać głos jakiś, co Wieczną jakąś Ewangelią szepcze! — a Ludy nie miałyżby według Niej się przekształcić? Państwa się rozpaść lub skojarzyć? Rządy, polityka, stronnictwa uklęknąć przed tem odrodzonem tchnieniem życia i Miłości? — Alboż ołtarze Boga tylko pod katedr sklepieniem? Wszędzie: i w izbie poselskiej i na Trybunale i w kole wyborców i w kole wybranych i na stolicy władnej i na rynku pospolitym i w rękodzielni i na Giełdzie i w handlu wszelkim i w sztuce każdej i w każdej Umiejętności Pan dojrzan, poznan, uczczon i wykonan być musi — być musi i będzie! — Oto powrót Zbawiciela pod postacią Ducha! Oto tryjumf Ukrzyżowanego, oto jawność utajonej Wszechobecności! Taborem przemienienia tego Europejski ląd — tu zaczną białe szaty wybłyskiwać na piersi (c)Człowieczeństwa. — Nie stan duchowny z góry świeckim rządzić ma — ale świecki zduchownieje — ziemia przesiąknie niebieskiemi wpływy — każden trud w posłannictwo, każda posługa w kapłaństwo się zmieni — i czcią tego, który jest, będzie być i żyć! — Czy czujesz we wnętrznościach Istoty twej, że się spodziewasz takiej przyszłości, że wierzysz w Nią i kochasz Ją?

II. 19: śród potwornych] śród szpetnych zdarzeń

i potwornych *E; tamże:* nigdy się nie czułem] nigdy nie byłem *E; w. 21:* dziękować ci] dziękować ci, Ojcze! *E*

Str. 485 w. 1: kusi wolę] kusi, drażni, wywołuje wolę *E; w. 5 niema w E; w. 6:* wolność] ją *E; w. 7:* wyarcydziełował] podniósł *E; w. 8:* drugimi] drugiemi *E; w. 10:* ze siebie] z siebie *E; w. 12:* lutnie różnobrzmiące, wydźwięczą z siebie] Lutnie, brzmiące Miłością, wyprowadzą z siebie *E; w. 14:* nie sposób] nie można *E; w. 17—25 od słów* one będą *aż do słów* wschód nieskończony *brzmią w E:* one będą! niech tylko się wypracują na siebie samych, niech wiedzą, że nie to, co nieruchome i zbite, jak skała, że nie Chiny jakie świętością na ziemi, ni też co szalone, co wściekłe i wysadzające skałę w powietrze, nie rok 93ci natchnieniem i czynem, ale że prawdziwą mądrością i wybornem pięknem to, co płynne wciąż, co wstępujące coraz w górę wyżej, a jednak toż same, jak światła wschód nieskończony!

* * *

Na arkuszyku, w który włożony jest cały rękopis, znajduje się następująca notatka, odnosząca się niewątpliwie do przedostatniej sceny:

7. stop. kapł. Egipskich

1-szy Zbór 1. Uczeń
2. Towarzysz
3. Mistrz — Czarny kolor

2-gi Zbór 4. Christosy — Christoforosy — Zielony kolor
5. Chemicy
6. Astionomy

3-ci Zbór 7. Proroki

OBJAŚNIENIA WYDAWCY.

NOC LETNIA.

Str. 3 w. 1: Wiersz dedykacyjny zwrócony jest do p. Joanny z Morzkowskich Bóbr-Piotrowickiej. O jej stosunku do Z. Krasińskiego zob. VIII tom tego wydawnictwa.

Str. 5 w. 7: »w sutych dalmatykach« — dalmatyka (łać. *dalmatica*) biała, długa szata rzymska z rękawami; obecnie noszą ją duchowni pod ornatem.

Str. 5 w. 19: »krewnych i powinnych« — powinny, wyrażenie staropolskie, dziś: powinowaty.

Str. 6 w. 17: »żądze przezwane rzeczywistości imieniem« — pragnienia swe chcą koniecznie przemienić w rzeczywistość.

Str. 7 w. 8: »znikome usta« — znikomy, ledwie dostrzegalny pocałunek.

Str. 7 w. 29: »boleść kształtem uśmiechu zakrzywiona« — boleść, która skrzywiła wargi jakby do uśmiechu.

Str. 8 w. 8: »jego oblicza« — tak zarówno w autografie jak w pierwszych wydaniach.

Str. 9 w. 11: »wzięty u króla« — mający u króla wziętość, poważanie.

Str. 9 w. 35: »tureckie handżary«; handżar lub kandżar, broń wschodnia w kształcie noża, wygiętego ku środkowi.

Str. 9 w. 37: »małmazyą« lub »winem małmaskiem« nazywano w Polsce wina greckie lub wogóle południowe.

Str. 10 w. 26: »przewiódł na sobie« — przemógł się, zmusił się do tego.

Str. 14 w. 36: »kindżał« — długi, obosieczny, zakrzywiony nóż turecki.

Str. 18 w. 1: »siwym trudem« — trudem, który przynosi siwiznę.

Str. 18 w. 32: »wdzięczny« — mający wdzięk, urok.

Str. 19 w. 33: »wyrywa pień«, który tworzył kładkę, łączącą dwa brzegi przepaści.

Str. 22 w. 30: »manele« — ozdoby, noszone przez kobiety zwykle na lewej ręce, naramienniki a zwłaszcza branzolety.

Str. 25 w. 17: »takiej samej dłuży« — takiej samej długości.

Str. 26 w. 23: »sadzone dyamenty« — wypisane dyamentami.

Str. 31 w. 28: »książe przybyłe« (por. powyżej str. 39 w. 8: »obce książe«) — zamiast przybyły, na wzór dawnej polszczyzny, w której słowo »książę« było rodzaju nijakiego.

Str. 31 w. 31: »wymów nad nim klątwę rozwodu« — słowa rozwodu, które będą dla niego klątwą, przekleństwem.

Str. 35 w. 32: »Olsnął«; olsnąć — pod wpływem silnego światła stracić na chwilę zdolność patrzenia.

Str. 37 w. 16: »zmora« — widziadło, urojenie.

POKUSA.

Str. 43 w. 1: »Matko, po sześćkroć zabita«. — Nie ulega wątpliwości, że mowa tu o Polsce — dlaczego jednak poeta nazywa ją »po *sześćkroć* zabitą«, trudno wytłómaczyć. Być może, że powodem tego była chęć uczynienia alegoryi niezupełnie przejrzystą, bo i społeczeństwo rosyjskie, o którem następnie jest mowa, przedstawione jest umyślnie, przynajmniej co do zewnętrznych oznak, fałszywie (n. p. czarne stroje, szpady u boku i t. d.).

Str. 45 w. 9: »ledwo, że młody« — ledwo doszedł wieku młodzieńczego, ledwo, że nie dziecko.

Str. 46 w. 9 i n.: Modlitwę tę por. z modlitwą Aligiera str. 383 w. 21 i n.

Str. 47 w. 23: »kłaniali« — forma bez »się«, na wzór dawnej polszczyzny.

Str. 48 w. 14 i 15: »wzorem czarnych owadów« — jak czarne owady; «rój dobrych w błękitnawe iskry« — rój dobrych myśli, podobnych do błękitnawych iskier.

Str. 50 w. 33: »niemasz siódmego« — (por. w. 9) t. j. ojczyzna nie może już po raz siódmy upaść, gdyż sześć pagórków symbolizuje sześciokrotny upadek (»po sześćkroć zabita«).

Str. 51 w. 16: »sam jeden zostanę na świecie« — bez przyjaciela, którego będę musiał zabić — por. str. 57 w. 20 i n.

Str. 52 w. 39: »urodziwej, jak twarz Antychrysta«. — Antychryst, według pojęcia, pochodzącego jeszcze z pierwszych wieków chrześcijaństwa, postać, którą Szatan ma wysłać na świat tuż przed powtórnem zjawieniem się Chrystusa (por. t. I. str. 310—311), aby

wszystkie potęgi piekielne zjednoczyła do walki z Kościołem Chrystusa.

Str. 54 w. 26: »w uroczystym przewodzie« — w uroczystym pochodzie.

Str. 35 w. 18: »Zatrute zdrowia« — toasty, które zatruwały duszę młodzieńcowi swą treścią, sprzeczną z jego uczuciami.

Str. 55 w. 20: »rozwiązał członki«, wyrażenie, przejęte z Homera = ubezwładnił członki.

Str. 56 w. 19: »przepada w framugach«; framuga — zagłębienie w murze, nisza.

Str. 57 w. 12: »w poczet odrzuconych« — wzgardzonych odstępców.

Str. 58 w. 27: »bezwidomych kajdan« — niedostrzegalnych.

Str. 59 w. 4: »słowo przepomnienia« — zapomnienia, przebaczenia.

DZIENNIK Z PODRÓŻY DO SYCYLII.

Str. 63 w. 15: »Kampanię rzymską« — por. t. I. obj. do str. 82 w. 11.

Str. 64 w. 30: »poliszynel« — błazen, pajac. Por. t. I. obj. do str. 21 w. 5.

Str. 65 w. 8: »grób Augusta« *(mausoleum Augusti),* grobowiec cesarza Augusta, którego ruiny stoją do dziś nad Tybrem.

Str. 65 w. 31: »lapis lazuli« — kamień błękitny, z którego wyrabiają farbę.

Str. 66 w. 15: »dorady« (łać. nazwa: *Coryphaenae),* gatunek ryb morskich. Podanie o objawach ich śmierci, przytoczone przez Poetę, jest naturalnie tylko podaniem.

Str. 67 w. 3: »bat« (włoskie: *batto,* franc. *bateau)* — łódź żaglowa większych rozmiarów.

Str. 67 w. 7: »do kabiny«; kabina (angiel. *cabin)* — pokoik na okręcie, kajuta.

Str. 68 w. 3: »jak Centaur w grzbiet konia« — por. t. I. obj. do str. 59 w. 9.

Str. 68 w. 26: »Starvation come« (ang.) — śmierć głodowa się zbliża.

Str. 70 w. 34: »syreny«, postaci mitologiczne, w połowie kobiety, w połowie ryby, wabiły podróżnych swym czarującym śpiewem, a następnie pociągały za sobą w otchłań morską.

Str. 70 w. 35: »Scylla i Charybda«, słynne i groźne w starożytności wiry morskie w cieśninie pomiędzy półwyspem Apenińskim a Sycylią.

Str. 71 w. 4: »miecz Damoklesa« — Damokles, dworak Dyonizyusza, tyrana Syrakuz, tak uporczywie wysławiał błogie życie swego chlebodawcy, że ten po-

stanowił przedstawić mu je symbolicznie: kazał zastawić przed nim wspaniałą ucztę, a nad jego głową zawiesić na włosieniu ostry miecz. Stąd »miecz Damoklesa«, oznacza grożące ciągle niebezpieczeństwo.

Str. 71 w. 24: »oasis« — oaza, urodzajne i roślinnością pokryte miejsce w pustyni.

Str. 72 w. 25: »hardość hidalgów«. — »Hidalgo, tytuł niższej szlachty hiszpańskiej (w Portugalii: fidalgo).

Str. 72 w. 30: »wyjęczyć od niego bajoka«. — Bajok (wł. *bajocco*) drobna moneta w dawnem państwie kościelnem, setna część »skuda«, odpowiadająca wartością naszemu halerzowi. Na Sycylii nazywano dawniej »bajokiem« drobną monetę neapolitańską, setną część t. zw. »ducato«, o wartości nieco mniejszej.

Str. 73 w. 24: »Emir«, słowo arabskie, oznaczające dowódcę, jest tytułem naczelników plemion arabskich.

Str. 73 w. 28: »z ostatkiem maurytańskich arabesków«. — Arabeskami nazywają się ornamenty malarskie lub rzeźbiarskie, polegające na fantastycznem połączeniu linii, kwiatów, zwierząt, potworów i t. d.

Str. 74 w. 1: »wiernych Konradynowi« — Konradyn, właściwie: Konrad, książę Szwabii, ostatni potomek rodu Hoenstaufów, pokonany i schwytany w wojnie o należne mu królestwa Włoch i Sycylii, został ścięty na rynku neapolitańskim w r. 1268 w siedmnastym roku życia. W czasie wojny wywołali jego zwolennicy powstanie na Sycylii przeciw władającym nią Francuzom.

Str. 74 w. 8: »starego Procydę«; Jan Procyda, główny sprawca słynnych »nieszporów sycylijskich« (dn. 30 marca 1282).

Str. 75 w. 19: »far messyński«; far — latarnia morska (od greckiej wyspy *Faros*, na której była słynna latarnia morska).

Str. 77 w. 1: »Tam żyła i skonała św. Rozalia«. — Św. Razalia, patronka miasta Palermo, miała być księżniczką normandzką i umrzeć w XII w.

Str. 78 w. 35: »muzyka Roberta« — muzyka »Roberta Dyabła«, opery Meyerbeera (wystawionej w r. 1831).

Str. 78 w. 38: »synowica Wilhelma Normanda« — św. Rozalia (zob. wyżej).

Str. 79 w. 30: »sklepieniem z framug« — framuga, tutaj: łuk, arkada (por. obj. do str. 56 w. 19).

Str. 79 w. 36: »na tym tarasie«; taras, właściwie: terasa, rodzaj obszernych schodów ziemnych, lub nasypu, ściętego ostro, zwykle ochronionego murem.

Str. 80 w. 5: »króla Rogiera« — Rogier II, król sycylijski, panował 1101—1154.

Str. 80 w. 9: »meczetu nie tknęli«; — meczet, świątynia mahometańska.

Str. 80 w. 14: »podobną do tyftyku«; — tyftyk (perskie *tiftik)*, tkanina wschodnia, zwykle szkarłatna, przetykana złotem.

Str. 80 w. 15: »kapitel« — por. t. I. obj. do str. 45 w. 3.

TRZY MYŚLI.

Przedmowa wydawcy.

Rzecz jasna, że »wydawca« tych utworów, »Stefan, Szczęsny, Bogdan Mielikowski, przydomku i herbu Gozdawa« jest postacią tak samo zmyśloną, jak Henryk Ligenza, i że celem tego zmyślenia (często wówczas używanego) było jedynie tem lepsze ukrycie przed domysłami czytelników rzeczywistego autora.

Str. 86 w. 1: »Romanse Balzaków, Szatobriandów«. Honoryusz Balzak, jeden z najznakomitszych powieściopisarzy francuskich (1799—1850). Franciszek René August Châteaubriand, znakomity pisarz francuski i mąż stanu (1768—1848).

Str. 87 w. 9; »biorę cię na Cycerona« — dowcipne pomięszanie dwu podobnych wyrazów: *ciceróne* (czyt.: *cziczerone),* przewodnik i Cicero (Marek Tuliusz), znakomity mowca i filozof rzymski (żył od r. 106—43 przed Chr.).

Str. 88 w. 8: »chciał freski tłómaczyć«. — Fresk (włoskie: *al fresco* — na świeżo) jest to malowidło ścienne, wykonane bezpośrednio na mokrym tynku muru.

Str. 88 w. 15: »obwiedziona mozaiką zieloną i złotą«. Mozaika — obraz, ułożony z małych, różnobarwnych kawałeczków szkła lub kamienia.

Str. 88 w. 25: »Eccolo« — otóż on.

Str. 88 w. 34: »piaster« — włoska nazwa hiszpańskiej monety srebrnej, wartości około pięciu koron.

Str. 88 w. 39: »z osiem kartek w Niesieckim«. — W istocie, rodzinie Ligęzów herbu Półkozic poświęca Niesiecki w swym herbarzu sporo miejsca. Por. »Ko-

rona polska przy złotej wolności...« i t. d. Lwów, 1740, 4to, t. III. str. 104—108.

Str. 90 w. 4: »wykieruję cię na Vetturyna« — vetturino = woźnica.

Str. 90 w. 35: »Kiedy Świętego Piotra na własne oczy widziałem« — naturalnie kościół św. Piotra w Rzymie.

Str. 91 w. 3: »wyperswadujesz« (z łać. *persuadeo*), wytłumaczysz, przekonasz.

Str. 92 w. 13: »Śmiercią... godzien żalu«, składnia łacińska—»godzien żalu dlatego, że umarł wśród obcych«.

Str. 92 w. 31: »podpora w Koloseum«. — Koloseum (włoskie: *colosseo*), popularna nazwa olbrzymich ruin amfiteatru Flawiuszów w Rzymie.

Str. 92 w. 32: »błota pontyńskie« — ogromne bagno (45 kilom. długie a 15 kilom. szerokie) w Prowincyi rzymskiej.

* * *

SYN CIENIÓW.

Str. 93 w. 3: »Dzika wilczyca piersią wykarmiła« — aluzya do podania o Romulusie i Remusie, których, porzuconych nad Tybrem, miała wilczyca wykarmić.

Str. 93 w. 4: »pod Tytanem«. — Tytanami nazywano w mitologii greckiej starodawne pokolenie bogów, synów Uranosa (nieba) i Gai (ziemi). Jeden z nich, Zeus, pokonał ojca Kronosa i resztę Tytanów, wtrącił ich spętanych do Tartaru (por. w. 16 »Tytanów męczeństwa«), a sam objął panowanie nad światem.

Str. 93 w. 12: »nektar« — napój, którego używali bogowie w Olimpie — przenośnie: doskonałość.

Str. 94 w. 12: »glinę mu z serca wyżre«. — Glina, z której Bóg miał ulepić człowieka, symbol ziemskości, więc: wszystko, co ziemskie, cielesne (»znów się rozbierze z szaty człowieczeństwa«).

Str. 95 w. 15: »Wszędzie kolebki — niema nigdzie trumny«. — Co do myśli por. str. 417 w. 23 i n.

Str. 96 w. 11: »jak fal miliony« — czytaj: »mili-o-ny«.

* * *

SEN CEZARY.

Str. 97 w. 2: »Cezara, Cezara!« — W odmianie tego imienia jest pewna anormalność. Opowiadający jest mężczyzną (str. 98 w. 29: »i ujrzałem...« str. 99 w. 20: »gdym spójrzał« i t. d.) imię zaś jest kobiece i odmieniane według deklinacyi słów żeńskich. W autografie (por. str. 516) brzmi tytuł: »Sen *Cezara* Alberti« — i tam jednak używa poeta w przypadku piątym formy: »Cezara« zamiast »Cezarze«.

Str. 98 w. 35: »Wielu z nich dźwigali« i w. 39: »Wielu z nich znaczyli« — składnia, w której orzeczenie stosuje się do myśli, do treści podmiotu, a nie do jego formy gramatycznej, t. zw. »*constructio ad sensum*«.

Str. 101 w. 23: »wnątrz« — wnętrze.

Str. 104 w. 23: »obraz malowany, powiewany powiewami wiatru« — jest to zapewne błąd drukarski, zamiast, jak jest w autografie: »obraz, malowany powiewami wiatru«.

* * *

LEGENDA.

Str. 109 w. 2: »idę przez Kampanią« — por. t. I. obj. do str. 82 w. 11. — »Pogańskie groby« — grobowce starożytnych Rzymian.

Str. 109 w. 6: »Stare wodociągi« — W okolicy Rzymu znajdują się do dnia dzisiejszego ruiny kamiennych wodociągów z czasów rzeczypospolitej i cesarstwa rzymskiego.

Str. 110 w. 35: »w bazylice Piotra« — sławnym kościele św. Piotra; por. t. I. obj. do str. 162 w. 8.

Str. 112 w. 4: »Amen« — słowo hebrajskie, znaczy: tak jest, istotnie.

Str. 112 w. 36: »przez Forum« — »*Forum Romanum*«, rynek w starożytnym Rzymie, plac, na którym skupiało się niegdyś całe życie publiczne Rzymian. Do dziś stoją na nim starannie zachowywane ruiny wspaniałych budynków, które go zdobiły.

Str. 112 w. 37: »amfiteatr Flawiana« — olbrzymi cyrk, zwany »Colosseum« — (por. obj. do str. 92 w. 31)

Str. 113 w. 5: »Kapitol« — zamek na wzgórzu Kapitolińskiem, ognisko życia religijnego i politycznego starożytnych Rzymian. Przebudowany w XVI w. według planów Michała Anioła, jest obecnie siedzibą króla włoskiego.

Str. 113 w. 7: »Hosanna, Hosanna!« — (hebrajskie *hosziana)*, okrzyk radosny, znaczący dosłownie: ratuj, zbaw!

Str. 113 w. 20: »Zamek Anioła« — (w starożytności *Moles Hadriani)* wielki, okrągły budynek na prawym brzegu Tybru, z zewnątrz wyłożony marmurem. Początkowo grobowiec cesarza Hadriana, w wiekach średnich zamieniony na twierdzę, otrzymał nazwę od kapliczki, zbudowanej na jego szczycie na cześć Archanioła Michała.

Str. 113 w. 32: »u stóp portyku«. — Portyk jest to dach, oparty na szeregu kolumn — tutaj: przedsionek kościoła św. Piotra.

Str. 113 w. 39: »Czyż i ona teraz« — prawdopodobnie błąd drukarski, zamiast »czyż i teraz ona«, nacisk bowiem pada na słowo »teraz«, przeciwstawione słowu »dotąd«.

Str 114 w 17: »rozklamrowali płaszcze« — rozpięli klamry płaszczów.

Str. 114 w. 33: »od strony Watykanu«. — Watykan, największy na świecie pałac, a raczej kompleks pałaców i kaplic, na wzgórzu Watykańskiem, siedziba papieży.

Str. 116 w. 28: »Ite, missa est!« (łać.) — idźcie, spełniło się.

Str. 116 w. 40: »Głowa twoja ostatniej wieczerzy spoczęła na piersi Pańskiej i tyś nigdy nie umarł na ziemi«. — Św. Jan Ewangelista. W początkach chrześcijaństwa było przekonanie, że św. Jan dożyje powtórnego przyjścia Chrystusa (por. t. I. str. 310 i n.) — później zaś urosło z tego podanie, że on nie umarł i że w ukryciu śpi, oczekując powrotu Zbawiciela.

Str. 118 w. 21: »baldakim« — baldachim (śr. łać. *baldakimus* od miasta Baldak — Bagdad), daszek, rozpięty na drążkach nad tronem lub przeznaczony do noszenia.

Str. 119 w. 14: »Pan odwdzięczy im« — odwdzięczy się im.

O TRÓJCY W BOGU I O TRÓJCY W CZŁOWIEKU.

Rękopis, który powyżej (str. 121—190) po raz pierwszy w całości jest wydrukowany, przejrzeli na życzenie, wyrażone przez Z. Krasińskiego, OO. Kajsiewicz i Semeneńko i w osobnem piśmie wydali sąd swój o tym traktacie. Pismo to brzmi:

»My niżej podpisani — przejrzeliśmy rękopis, pozostały po ś. p. Zygmuncie Krasińskim, mający za tytuł: *O Trójcy w Bogu i o Trójcy w człowieku,* według jego własnego życzenia, gdy był jeszcze przy życiu, również jak według zyczenia tych, którym poruczył opiekę nad swemi pozostałościami umysłowemi — i wziąwszy go pod rozbiór i sąd, powodowani równie przyjaźnią jak prawdą Bożą, sądzimy, że tego utworu żadną miarą ogłaszać nie wypada i że jego ogłoszenie byłoby krzywdą, wyrządzoną zacnemu zmarłemu. Powód do tego naszego sądu jest ten, że to pismo jest niechrześcijańskie tak w swojej pierwszej zasadzie, jak w ostatnich następstwach. Wyszło ono z pod pióra autora w młodszych jeszcze jego latach, w owej chwili przejścia i walk wewnętrznych, w owej burzy umysłu, którą ten wysoki Duch musiał przebyć i zwyciężyć, nim mógł był wyjść na jaśnię światła Bożego i używać owej pogody niebieskiej, która mu przy końcu tak pięknie świeciła.

Jest ten utwór, powiadamy, niechrześcijański, a jest nim dlatego:

1. Że nie przypuszcza różnicy między stanem przy-

rody czystej, a stanem nadprzyrody w człowieku; owszem, ten ostatni utwór uważa za przyrodzony, a przeciwnie stan przyrodzony i sam byt uważa za Łaskę i za to, co Chrześcijaństwo nazywa stanem nadprzyrodzonym, a tem samem wywraca samą podstawę Chrześcijaństwa.

2. Że wskutek tego inaczej pojmuje posłannictwo Chrystusa, odkupienie nasze i dzieło Zbawienia, aniżeli to pojmuje chrześcijańska nauka i Kościół.

3. Że przez to inaczej pojmuje cały stosunek Osób Boskich między sobą i ich stosunek z człowiekiem.

4. Że prowadzi koniecznie do *Panteizmu* czyli Wszechbóstwa, a szczególniej do *Autoteizmu* czyli Własnobóstwa, błędu głównego filozofii niemieckiej, od którego się nie różni, jedno powierzchownie innem wystawieniem tej samej rzeczy.

5. Że stąd w moralności, w środkach do dopięcia ostatecznego celu i w naturze tego celu ostatniego błądzi tym samym sposobem.

Zacny nasz zmarły daleko od siebie wszystkie te błędy odrzucił i w ostatnich utworach przeciwne zupełnie tamtym, a prawdziwie chrześcijańskie i katolickie położył zasady i wyraził nauki.

Wygrzebywać tamto pierwsze i posypywać tym prochem jasne oblicze oczyszczonego potem krwawą pracą geniuszu, byłoby to nie tylko najwyższą niesprawiedliwością, ale jeszcze okrutnem niemiłosierdziem, którego się nie dopuści ręka przyjacielska.

Takie jest nasze zdanie.

Rzym dnia 7 maja 1860.

X. Hieronim Kajsiewicz.
X. Piotr Semenenko.

Za zgodność odpisu świadczą:

Jerzy Lubomirski
Włodzimierz Czacki.

W Lugdunie 8 października 1860 r.«

Ogłoszenie tego rękopisu drukiem wbrew opinii powyższego pisma tłómaczy wnuk poety, Adam hr. Krasiński bardzo słusznie w następujący sposób:

»Sąd OO. Zmartwychwstańców opierał się oczywiście na zasadach dogmatycznych Kościoła i uznał, że »Traktat« wyszedł z pod pióra autora w młodszych jeszcze jego latach... Z różnych powodów oświadczyli się OO Kajsiewicz i Semeneńko przeciw ogłaszaniu »Traktatu« drukiem. Względy i ostrożności ich byłyby całkiem słuszne, gdybyśmy ogłaszali »Traktat« jako absolutną i niewzruszoną wiarę Autora. Tak jednak nie jest. Mamy w »Traktacie« nie ostateczną krystalizacyę zasad i wiary poety, ale tylko etap ważny i ciekawy w rozwoju jego myśli filozoficznej, jedno stanowisko w szeregu innych, które Zygmunt Krasiński w sumieniu swem przewalczył.

Po latach zaś przeszło pięćdziesięciu mówić o tem stanowisku nie tylko wolno, ale należy, a to tem bardziej, że fragment tego »Traktatu« był już przed 20-tu laty drukowany w »Listach do Adama Sołtana« pod skróconym tytułem: »O Trójcy i Słowie Wcielonem — O Żywocie wiecznym«. Mamy tam początek, mamy koniec części pierwszej; ale niema tak pełnego rozwinięcia myśli, jakie daje całość, tu po raz pierwszy drukowana«.

(»Biblioteka Warszawska« 1903, t. II. str. 4—5).

* * *

Objaśnień rzeczowych do tego utworu nie podajemy ze względu na to, że sięga on w dziedzinę filozofii i że skutkiem tego nawet bardzo obfite objaśnienia nie zdołałyby go uprzystępnić szerszym warstwom czytelników.

O JULIUSZU SŁOWACKIM.

Str. 194 w. 26; fiat lux (łać.) = niech się stanie światło.

Str. 194 w; 27· ab origine rerum (łać) = od początku.

Str. 195 w. 22; »jak Tytan« — por. t. I. obj. do str. 80 w. 2.

Str. 196 w. 13; morituras (łać.) = ten, która ma umrzeć.

Str. 197 w. 37; »*serio* lub *buffo*«; — *serio* (łać) = poważnie — *buffo* (włosk.) = komicznie.

Str. 198 w. 15; »Dantowi bardziej doma było w piekle, niż w niebieskich podniosłościach.«—Pierwsza część »Boskiej Komedyi« Dantego, opisująca »piekło«, jest pod względem artystycznym o wiele wyższa od części trzeciej, opisującej »raj«.

Str. 198 w. 36: »Homer« — por. t. I. obj. do str. 90 w. 3.

Str. 198 w. 37: »Niebelungów śpiew« — »Niedola Niebelungów«, słynna epopeja staroniemiecka.

Str. 198 w. 38: *Divina Comedia* = »Boska Komedya« Dantego.

Str. 199 w. 8: »można w duchu Słowackiego« = możliwa, taka, którą duch Słowackiego mógł stworzyć.

Str. 199 w. 17: »z Achillesem, z Zygfrydem« — Achilles, bohater »Iliady« Homera, Zygfryd, bohater starogermański, opiewany w Eddzie (por. t. I. obj. do str. 270 w. 17) i w »Niedoli Niebelungów«.

Str. 199 w. 23: »z majestatem nadgoplańskim« = z królem Popielem.

Str. 199 w. 34: »groteski« = ozdoby (ornamenty), złożone z kwiatów, liści, postaci ludzkich i zwierzęcych, potworków, masek itd.

Str. 199 w. 39: »w ludzkiej, rzeczywistej instytucyi i wypadków« — rozumie się: w formie (w postaci) instytucyi (urządzeń) i wypadków historycznych (por. w. 37).

Str. 200 w. 11: consumatum est (łać) = spełniło się.

Str. 201 w. 12: »uśmiechu, jak sam Słowacki się wyraża, ariostowskiego« — tj. podobnego do subtelnej ironii, którą się odznacza »Orland Szalony«, najznakomitszy utwór poety włoskiego, Ludwika Ariosta (1474 do 1533). — Słowacki wspomina o tem podobieństwie w przedmowie do »Balladyny«. (»Wychodzi na świat Balladyna z ariostycznym uśmiechem na twarzy« — »Dzieła«, wyd. H. Biegeleisena, t. II, str. 201.)

Str. 201 w. 15: »wibracya« — drganie, ruch wahadłowy.

Str. 201 w. 20: »z kilku wierszy pieśni gminnej«. Właściwie źródłem »Balladyny« była nie pieśń ludowa, ale ballada Al. Chodźki »Maliny«, osnuta na podaniu ludowem. Z »pieśni gminnej« korzystał więc Słowacki tylko pośrednio.

Str. 201 w 32: »Antygonę sławiańską«. — Antygona, bohaterka słynnej tragedyi Sofoklesa, naraża i oddaje życie w obronie czci zmarłego brata.

Str. 202 w. 9: »pedanci« — por. t. I. obj. do str. 56 w. 38.

Str. 202 w. 13: »Kastor i Polluks« — por. t. I. obj. do str. 93 w. 12.

Str. 202 w. 34: »Laokoon« — por. t. I. obj. do str. 91 w. 29.

Str. 202 w. 38: »u rzeźbiarza greckiego« — powinnoby być właściwie: rzeźbiarzy greckich, słynna bowiem grupa Laokoona jest dziełem trzech rzeźbiarzy: Agesandra, Atanodora i Polidora.

Str. 202 w. 39: »toskańskiego Gibelina« — tj. Dantego, w którego »Boskiej Komedyi« (»Piekło«, pieśń XXXII i XXXIII) znajduje się słynny ustęp o Ugolinie, wyżerającym mózg arcybiskupowi Ruggieri degli Ubal-

dini. Jest to kara za straszliwą zbrodnię, której obaj się dopuścili. — »Gibelinami« nazywano w średnich wiekach stronników cesarza, w przeciwieństwie do stronników papiestwa, nazywanych Gwelfami lub Welfami.

Str. 203 w. 20: »miary« — naturalnie: wierszowe.

Str. 204 w. 12: »niesione nutami Beethovena, płyną farby Correggia, farby Rafaela« — Ludwik Beethoven, (1770—1827) jeden z najznakomitszych kompozytorów muzycznych świata; Correggio (1494—1534) i Raffael (1483—1520), znakomici malarze włoscy.

Str. 204 w. 14: »Michała Anioła«. — Michał Anioł Buonarotti (1475—1564), rzeźbiarz, malarz, budowniczy i poeta włoski, jeden z największych mistrzów świata.— Przeciwstawieniem olbrzymiej siły, tchnącej z dzieł Michała Anioła, subtelnym utworom Correggia i Raffaela charakteryzuje Krasiński różnicę, zachodzącą pomiędzy Mickiewiczem a Słowackim.

Str. 204 w. 26: »dowcip Cerwanta«. — Cervantes Saavedra (1547—1616), znakomity pisarz hiszpański, autor słynnego »Don Kiszota«.

PRZEDŚWIT.

Str. 206, dedykacya (podobizna karty tytułowej pierwszego wydania): »poświęca Konstanty Gaszyński«. — Gaszyński podpisał tę dedykacyę, jak gdyby sam był autorem »Przedświtu«, na prośbę Krasińskiego, który pragnął w ten sposób ukryć swoje autorstwo dwu równocześnie utworów: »Przedświtu« i »Trzech myśli, pozostałych po śp. H. Ligenzie«.

Str. 205 w. 5: »politeizm« = wiara w istnienie wielu bogów. — »Augur«, rzymski kapłan-wróżbita.

Str. 205 w. 6: »sofista« — por. t. I. obj. do str. 173 w. 29.

Str. 205 w. 10: »quot capita, tot sensus« = ile głów, tyle poglądów.

Str. 205 w. 11: Epikureizm, Stoicyzm, Platonizm— por. t. I. obj. do str. 111 w. 13, 14 i do str. 187 w. 33.

Str. 205 w. 13: »proskrypcye«. — Wyraz ten oznaczał w Rzymie masowe karanie obywateli, posądzonych o zdradę stanu. Nazwiska ich, spisane na tablicach, wystawiano na widok publiczny z oznajmieniem, że majątek ich skonfiskowano na rzecz państwa i że każdemu wolno ich bezkarnie zabić.

Str. 205 w. 15: »plebejanin Maryusz i patrycyusz Sulla«. — Gaius Marius (155—86 przed Chr.), znakomity wódz rzymski, głowa stronnictwa ludowego (plebejuszów), prowadził nader krwawą walkę Luciusem Corneliusem Sullą (137—78), stojącym na czele stronnictwa arystokratycznego (patrycyuszów).

Str. 206 w. 3: »podania Grakków«. — Dwaj bra-

cia, Tiberius i Gaius, Gracchowie, obrońcy praw ludu rzymskiego (zginęli w r. 133 i 121 przed Chr.).

Str. 206 w. 4: »Bogi Many Appiuszów«. — Bogi Many« — por. t. I. str. 304 obj. do str. 110 w. 27.— »Appiuszów«, t. j. Appiusa Claudiusa (um. 448 przed Chr.), słynnego z okrucieństwa decemwira, i Appiusa Claudiusa Ślepego *(Caecus)*, wsławionego tem, że za jego staraniem zbudowano świetne drogi i wodociągi.

Str. 206 w. 33: »jacta alea est« = Kość rzucona; aluzya do gry w kości, w znaczeniu: sprawa rozstrzygnięta.

Str. 208 w. 1: »Discite historiam exemplo moniti« = (łać.) upomnieni przykładem, zaznajamiajcie się z dziejami.

Str. 208 w. 7: »Dantona, Saint-Justa, Robespiera« = postaci z czasów rewolucyi francuskiej, wsławione strasznem okrucieństwem.

Str. 208 w. 8: »chrześcijański Cezar« = Napoleon.

Str. 208 w. 11: »kwoli« — por. t. I. obj. do str. 63 w. 4.

Str. 208 w. 34: »Consumatum est« = spełniło się, skończyło się.

Str. 209 w. 2: »Encyklopedystów francuskich«. — Tak nazywano najpierw współpracowników wielkiej encyklopedyi, wydawanej (1751—1763) przez Diderota i d'Alemberta, a później także kierunek filozoficzny, który w tej encyklopedyi po raz pierwszy znalazł swój wyraz w artykułach Diderota, d'Alemberta, Voltaira, Rousseau'a, Holbacha i t. d.

Str. 210 w. 28: »drugim w historyi Aniołem« — pierwszym był, według pojęcia Krasińskiego, Cezar — por. wyżej str. 206.

Str. 210 w. 32: »a syn jego jedyny (umarł) w stolicy nieprzyjaciela«. — Książe Reichstadzki, jedyny syn Napoleona I., zmarł w Schönbrunie pod Wiedniem w r. 1832.

Str. 201 w. 1: »zapoznane« = te, które się ze sobą zapoznały.

Str. 211 w. 32: »planetarna« = ziemska.

Str. 212 w. 18: »szczególne« = poszczególne.

Str. 213 w. 11: »Jedne narodowości są kreacyi bożej« = tylko narodowości są tworem bożym.

Str. 213 w. 23: »Reformy« = reformacyi.

Str. 213 w. 25: »machiawelizm« (czyt.: makiawelizm) = chytry, przewrotny i niesprawiedliwy sposób postępowania, nazwany tak od pisarza włoskiego, Mikołaja Machiavelli (1469—1527), który go (szczerze?) uważał za przywilej panujących. Zapatrywania te wypowiedział w głośnej rozprawie »Il principe« (»Książe«).

Str. 213 w. 38: »antychrystycznie« = na sposób Antychrysta, tj. wbrew zasadom chrystyanizmu.

Str. 214 w. 17: »factum« = rzecz dokonana.

Str. 214 w. 18: »wsumienił się« — neologizm = przejrzał swe sumienie.

Str. 214 w. 27: »płciowość, polarność« — Płciowość = podział na dwie płci; polarność (biegunowość), sprzeczność właściwości pewnego ciała, np. wręcz przeciwne zachowywanie się biegunów magnesu, których działanie nawzajem się znosi.

Str. 215 w. 21-22: *Domini es terra etc.* — znaczy dosłownie: do Boga należy ziemia i wszystko, co zapełnia świat, i wszyscy, którzy na świecie mieszkają.

Str. 217 w. 5: »Jak Dant — przez piekło przeszedłem za życia«. — Dante w swej »Boskiej Komedyi« przedstawia piekło jako zwiedzane przez siebie pod przewodnictwem Wergilego.

Str. 217 w. 21: »Tu niema nadziei.« — Na bramie, prowadzącej do piekła, umieszcza Dante długi napis, kończący się słowami: Wy, którzy tu wchodzicie, porzućcie wszelką nadzieję« (pieśń trzecia).

Str. 217 w. 29: »I ja też miałem Beatrycze moją«. Beatrice Portinari, przedmiot gorącej, czystej miłości Dantego, zmarła w 24 roku życia. W »Boskiej Komedyi« ona oprowadza Dantego po raju. »Beatriczą« swą nazywa Krasiński Delfinę z Komarów hr. Potocką.

Str. 218 w. 6: »Tyś z bratem twoim została na ziemi«. — Aluzya do wczesnej śmierci Beatriczy.

Str. 218 w. 29: »spójni« = spojeni.

Str. 225 w. 14: »Chce pozbawić ludzkośń serca«.— »Sercem ludzkości« nazywa Krasiński Polskę.

Str. 229 w. 19: »Antenatów« (łać.) = przodków.

Str, 231 w. 18: »Hetman« = Stefan Czarniecki.

Str. 231 w. 22: »buzdygan« (tur.) = buława.

Str. 232 w. 20: »żyć w innych ludów modle« = żyć na modłę (na sposób) innych ludów.

Str. 236 w. 31: »buńczuk« — drzewce z ogonem końskim u góry, oznaka godności baszy tureckiego.

Str. 237 w. 6: »otęcza« — neologizm = okrywa tęczą.

Str. 243 w. 9—10: Ale tylko z niebios rodem, a nie rodem z swego męstwa« — tj. wielkość swą i zespolenie narodowe zawdzięcza nie własnemu męstwu, lecz tylko łasce bożej.

Str. 245 w. 9: »w tę porwaną... postać« — porwaną »wichrem bożym« — por. w. 15.

Str. 250 w. 33: »przeanieli« — neologizm = przemieni w anioła.

PSALMY PRZYSZŁOŚCI.

Str. 259 w. 5: »lecz on nie umiera« — on, tj. duch. — Krasiński rozróżnia w człowieku ciało, duszę i ducha. Duch, tj. rozum, czucie, wola, jest w jego pojęciu nie ulegającą zniszczeniu cząstką Boga, dusza zaś jest jedną z funkcyi ciała organicznego i ginie razem z niem. (Por. cenną rozprawę E. Porębowicza p. t. »Tryady Z. Krasińskiego« Lwów, 1900, str. 17).

Str. 260 w. 27: »przeteraźniejsza« — neologizm = przemienia się w teraźniejszość.

Str. 265 w. 19: »niewinnie umęczony...« i t. d. = Polska.

Str. 267 w. 1: »kazana« = głoszona w kazaniach.

Str. 267 w. 22: »proroczy« = prorokuje, przepowiada.

Str. 271 w. 5: »nęcić polski Lud, by niósł Szlachcie polskiej mord.« — Mowa tu o książce Henryka Kamieńskiego, wydanej pod pseudonimem Filareta Prawdowskiego: »O prawdach żywotnych narodu polskiego« (Bruksela, 1844). Mówiąc o przyszłem powstaniu, Kamieński radził wciągnąć szlachtę do działania, groził jej jednak zagładą na wypadek, gdyby występowała przeciw ruchowi i przeciw uwłaszczeniu chłopów. Cały »Psalm miłości« jest właściwie tylko odpowiedzią na ten ustęp książki Kamieńskiego i polemiką z nim.

Str. 271 w. 23: »znieść niewolę« = usunąć niewolę, wybić się na wolność.

Str. 272 w. 13—14: »Kto chce iskier z czarta kuźni, by przepalić czarta moc« — tj. kto za pomocą niego-

dziwych środków dąży do wzniosłego celu, za pomocą rzezi pragnie zbawić naród.

Str. 273 w. 6: »dyktator« — por. t. I. obj. do str. 106 w. 1.

Str. 273 w. 11: »terroryzm« — system panowania, oparty na postrachu i przymusie.

Str. 273 w. 15: »Francyi Cezar nowy« = Napoleon.

Str. 274 w. 5: »zachwycon zdarzeń ściekiem = pochwycony biegiem zdarzeń.

Str. 275 w. 1: »Na hiszpańskich *Sierrów* szczycie« — *sierra* = pasmo górskie. Aluzya do zdobycia Somosierry przez Szwoleżerów polskich w r. 1808.

Str. 276 w. 35: »tych czarnych myśli«, wypowiedzianych przez Kamieńskiego.

Str. 277 w. 10: »Tem, że stoi, już kusiciel« — tj. samym faktem istnienia swego kusi ludzi, nasuwając im myśl, że »chyba Boga niema«.

Str. 277 w. 18: »przekaci« — neologizm = przemieni w katów.

Str. 278 w. 4: »odwszetecznia« — neologizm = usuwa wszeteczność, podłość, uszlachetnia.

Str. 278 w. 26: »Serafinem.« — Serafowie, według proroków Starego Testamentu istoty niebieskie o postaci ludzkiej, z sześciu skrzydłami, otaczające tron Boga.

Str. 280 w. 22: »zsamobójczona« — neologizm = po popełnieniu samobójstwa.

Str. 281 w. 8: »prości« = prostuje.

Str. 282 w. 1: »carycy« = Katarzyny II.

Str. 282 w. 24: »Tamci lepsi« = lepsi byli ci, którzy rozebrali Polskę, niż ci, którzy chcą odebrać jej cześć.

Str. 287 w. 4: »przed bezbożnej pamięci miesiącem Lutym 1846 r.« — Jest to data wybuchu rzezi galicyjskiej, wywołanej przez rząd austryacki, a wykonanej przez chłopów na przygotowującej powstanie t. zw. inteligencyi galicyjskiej.

Str. 287 w. 5: »napisano pieśń w podobnym ich kształtowi kształcie«. — Mowa o wierszu J. Słowackiego »Do autora trzech psalmów«. (por. »Dzieła«, Lwów, 1894, t. IV str. 331 i n.) Wiersz ten, znany początko-

wo na emigracyi z licznych odpisów, wydano bezimiennie w Lipsku w. r. 1848.

Str. 288 w. 10: »wszelkiego szlachty owej przypomniciela«. — Słowacki nie występuje właściwie przeciw »przypomnicielom szlachty«, lecz przeciw tym, którzy uwłaszczają ludowi:

Ten, kto ojcu powie: »Raka«,
Ten przeklęty — więc się bój!
Polski lud, to ojciec twój i t. d.

Str. 289 w. 1: »Więc strach, mówisz, mówił ze mnie...« — O »strachu«, z którego miał wyniknąć »Psalm miłości«, mówi Słowacki kilkakrotnie: najdobitniejszy ustęp brzmi:

Tylko jakieś sny czerwone...
Przestraszyły cię, żeś krzyknął:
»Stójmy tak! na Ojców kości!«

Str. 290 w. 6: »Od wersalskich dzieci«. — Krasiński błędnie przypisuje rzeź galicyjską Centralizacyi Towarzystwa demokratycznego, którą, od jej siedziby, Wersalu, nazywa »dziećmi wersalskiemi«. Centralizacya starała się wywołać powstanie przeciw państwom zaborczym, a rzeź była środkiem, za pomocą którego rząd austryacki chciał przeszkodzić właśnie wybuchowi tego powstania,

Str. 292 w. 14: »Cóż o Duchu ci się śni?« — Mowa tu o następującym ustępie »Wiersza do autora trzech psalmów:«

Więc się bój — bo duch się wdziera
I podważa miasta — wieże!
Słaby, mówisz, rzeź wybiera;
A czy wiesz, co on wybierze?
— Może ludów zatracenie?
Może nam przyniesie w dłoni
Komet wichry i płomienie,
W których drży król, matka roni,
Działa, wozy, hufce, konie
Ogień pali, ziemia chłonie,
A nikt z mogił nie korzysta,

Jeno wszczynający ruch,
Wieczny rewolucyonista,
Pod męką ciał żyjący duch!?

Str. 292 w. 17: »Kataklizm« (gr.) = gwałtowny przewrót.

Str. 292 w. 20: »inkwizytor« — przewodniczący sądu, który miał badać, czy oskarżone osoby dopuściły się kacerstwa, tj. odstępstwa od dogmatów katolicyzmu. Tutaj aluzya do słynnej z okrucieństwa inkwizycyi hiszpańskiej.

Str. 292 w. 21: »wandalskich dni«. — Wandalowie, plemię germańskie, które w V. wieku po Chr. przeszło zachodnią Europę w pochodzie do Afryki, zasłynęło ze strasznych spustoszeń.

Str. 292 w. 25: »Attyla« — sławny ze zniszczenia krajów zachodnio-europejskich król Hunów, zwany »Biczem bożym«.

Str. 293 w. 16: »gdy ludzkie rysy idea pokładnie« = gdy idea włoży na siebie ludzkie rysy, gdy przedstawicielem jej jest człowiek.

Str. 294 w. 1: »wylutni« — neologizm = wydźwięczy na lutni.

Str. 294 w. 20: »Jozafackie pole« = dolina Jozafata, w górach Juda, mająca być, według proroka Joela, miejscem sądu ostatecznego.

Str. 297 w. 13—14: »My piekielni, pókiśmy rozdzielni« = dopókiśmy rozdzieleni (sporami), jesteśmy godni piekła.

Str. 298 w. 5: »przepostacieni« = w zmienionych postaciach.

Str. 298 w. 10: »wieca« = wiec, zebranie.

Str. 298 w. 14: »stworzenny« — neologizm = mający siłę stwarzania.

Str. 299 w. 5: »Ze świętości Duch jednolit« = Duch nic składa się z niczego innego, oprócz świętości.

Str. 299 w. 15: »przepiekielnić« = po piekielnemu, po szatańsku przemienić.

Str. 300 w. 11: »zwierzęcieć« — neologizm = zamienić się w zwierzę.

Str. 300 w. 14: »odczłowieczać się« — neologizm = tracić właściwości człowieka.

Str. 300 w. 25: »Zwątp rozpaczy« = rozpaczliwe zwątpienie.

Str. 300 w. 32: »zbożyć się« — neologizm = przemienić się w Boga.

Str. 301 w. 27: »nieodmiłośniony« — neologizm = nie pozbawiony miłości.

Str. 301 w. 30: »nieskalalnie« = niepokalanie.

Str. 301 w. 31: »żalnie« = żałośnie.

Str. 303 w. 7: »Iwany Groźne«. — Iwan IV. Groźny, słynny z okrucieństwa car rosyjski (1534—1584).

Str. 303 w. 10: »klubowe tyrany« = tyrani, połączeni przymierzem; aluzya do mocarstw, które rozebrały Polskę.

Str. 306 w. 14: »Duchoborce—Roskolniki«. — Poeta zaopatrzył te dwa słowa w pierwszem wydaniu w następujący przypisek: »Nazwiska sekt, powstałych na łonie Grecko-rosyjskiego kościoła, a których krwawe obrzędy przypominają to, co najszkaradniejszego było pod względem rozpusty i okrucieństwa w starożytnych wschodnich, fenickich i kartagińskich religiach«. — Wyjaśnienia te polegają na zupełnie błędnych informacyach. Duchoborce = walczący duchem, jest to sekta religijna, która powstała z początkiem XVIII w. Według niej każdy człowiek jest »świątynią Boga«, nie wolno go zatem bić lub zabijać, a tem samem nie wolno służyć w wojsku. Rząd rosyjski prześladował tę sektę z wielką zaciekłością. Roskolniki (Raskolniki), najstarszy odłam od kościoła prawosławnego, składający się z licznych sekt. Pozostają w ciągłej walce z prawosławiem i rządem rosyjskim.

Str. 306 w. 17: »Moloch« — bożyszcze fenickie, któremu składano ofiary z ludzi.

Str. 306 w. 19: »z tarpejskich skał« — por. t. I. obj. do str. 186 w. 40.

Str. 306 w. 29: »czerwonym sztandarem«, symbolem krwawych przewrotów.

Str. 307 w. 27: »Bożoczłowieczym czynem« = czynem takim, jakim był czyn Boga-człowieka, chrystusowym.

Str. 311 w. 9: »ewenieliczy« — neologizm = zmusza do wprowadzenia w życie ewanielii.

Str. 311 w. 18: »Kapitol«, por. t. I. obj. do str. 79 w. 21. — »z życia Kapitolu« = ze sławnych wyżyn życia.

Str. 311 w. 25: »wsmętniony«—neologizm = smutnie zatopiony w czemś.

Str. 312 w. 18: »ugodnił« — neologizm = obdarzył taką godnością.

Str. 313 w. 6: »odkrólewszczona« — neologizm = straciła godność królewską.

Str. 313 w. 20: »odpancernieni« — neologizm = pozbawieni pancerza.

Str. 315 w. 33: »płynna« — ta, która płynęła.

Str. 316 w. 23: »iściźnie« = istocie.

DZIEŃ DZISIEJSZY.

Str. 321 w. 17: »starzeć« = starzeć się.

Str. 327 w. 20: »W cud się zolbrzymi« — neologizm = wzrośnie tak, że stanie się cudem.

Str. 327 w. 16: »beznadzieja« — neologizm = brak nadziei.

Str. 328 w. 12: »temu się udało« = temu dostała się szczęśliwa dola w udziele.

Str. 330 w. 26: »Z nieba dni przyszłych« = dni, które niebo ześle.

Str 332 w. 14: »et caetera« = i tak dalej.

Str. 332 w. 15: »Komunizm« — jest to system gospodarstwa społecznego, w którym własność osobista byłaby niemal zupełnie zniesiona, a cała wytwórczość i rozdział jej owoców pomiędzy członków społeczeństwa lub gminy spoczywałby w rękach rządu.

Str. 332 w. 33: »despotyzm» (gr.) = samowolna nieograniczona władza.

Str. 333 w. 12: »Sen Żust — Marat« — (właściwie: Sę Züst, *Saint Juste)* postaci z czasów rewolucyi francuskiej, wsławione strasznem okrucieństwem.

Str. 333 w. 26: »szczególnik w społeczeństwie« = każda jednostka, każdy poszczególny członek społeczeństwa.

Str. 333 w. 28: »dyktatura« — por. t. I. obj. do str. 106 w. 1. Tutaj: władza, państwo.

Sts. 333 w. 33: »centralizacya« = system rządzenia, polegający na skupieniu wszystkich władz w jednem miejscu (w stolicy).

Str. 333 w. 38: »konfiskata« = zabranie na rzecz państwa.

Str. 334 w. 8: »podnieść Moskwę jakby do kwadratu«. — »Podnieść do kwadratu« znaczy w matematyce: pomnożyć pewną liczbę przez nią samą. Tutaj: powiększyć wszystkie wady Moskali w dwójnasób.

Str. 335 w. 30: »Tak dowielmożni i tak dochrześciani« (czytaj ze względu na rytm: do-chrze-ścia-ni)— neologizmy = podniesie do takiej godności i do takiego uosobienia zasad chrześcijaństwa.

Str. 336 w. 7: »dni« = dnieje.

Str. 337 w. 12: »z entuzyazmem« = z zapałem.

Str. 338 w. 18: »Nie mem mi mojem zbawieniem zbawienie, lecz ich i Polski« = zbawieniem, ostatecznym celem moim jest nie sprawa mego osobistego zbawienia, lecz zbawienia ich i Polski.

Str. 341 w. 9: »Wy zdobywce — lecz Uniami« = wy, którzyście tylko zapomocą układów, związków rozszerzali granice. Aluzya do Unii lubelskiej.

Str. 341 w. 24: »wprzyszlić« — neologizm = zamienić w przyszłość.

Str. 341 w. 28: »w człowieczać« — neologizm = zamienić w człowieka i wcielić.

Str. 341 w. 35: »otchłań Kurcyuszowa«. — Według podania rzymskiego otworzyła się (w r. 362 przed Chr.) na rynku w Rzymie otchłań. Wieszczkowie twierdzili, że jej istnienie zagraża całości i szczęściu państwa i że otchłań zamknie się, pochłonąwszy to, co Rzym ma najdroższego. Wtedy znakomity młodzieniec, Marcus Curtius, twierdząc, że Rzym nie ma nic droższego nad broń i męstwo, rzucił się dla ocalenia państwa w pełnym rynsztunku w otchłań, która się nad nim natychmiast zawarła.

Str. 343 w. 8 i nast.: »Krew się wzdyma przed oczyma« itd. — obraz rzezi r. 1846.

Str. 344 w. 14: »Flag purpury« = purpurowe chorągwie.

Str. 346 w. 13 i nast.: Ustęp od słów: »Patrz, nóż błyska» — aż do w. 10 na str. 347 do słów: »Do moskiewskich kancelaryi« napisany był osobno jako

»Odpowiedź na Wielopolskiego: »Lettre d'un gentilhomme polonais au prince de Metternich«, w którym Wielopolski namawia do połączenia się z Rosyą«. Ustęp ten wyszedł też w osobnej odbitce w Paryżu w roku 1847 p. t. »Program Judasza«.

Str. 348 w. 7: »dyalektycznych sprzeczni« (czytaj: dja-lektycznych) = sprzeczności, pochodzących z umiejętnego rozprawiania.

Str. 348 w. 20: »Alfa i Omega« — nazwa pierwszej i ostatniej głoski w alfabecie greckim = początek i koniec.

Str. 348 w. 32: »od pruskich niosę włości« — jako wyznawca teoryi słynnego filozofa niemieckiego, Hegla, który z początkiem XIX w. głosił podobne zasady z katedry uniwersytetu berlińskiego (por. str. 349 w. 17: »jakem Heglista«).

Str. 349 w. 31: »Katylina« — por. t. I. obj. do str. 119 w. 38.

Str. 350 w. 9: »bratni« — neologizm = zamienia w braci.

Str. 351 w. 25: »zeżniwi« — neologizm = zbierze owoce (swej myśli).

Str. 354 w. 34: »iście« = istotnie.

Str. 355: w. 6: »Ten, co z serc waszych pasował się, wiarą« = Szatan, por. str. 325 i n.

OSTATNI.

Str. 360 w. 8: »...anioł, który zdziera z bram mamertyńskich śród nocy zawiasy i święte Pańskie z rąk katów wydziera«. — Aluzya do znanej legendy o uwolnieniu św. Pawła przez anioła z więzienia mamertyńskiego w Rzymie.

Str. 360 w. 16: »marzył pół-boże koleje« = marzył dla siebie o losach pół-bogów.

Str. 361 w. 31: »odczłowieczon« — neologizm = pozbawiony godności człowieka.

Str. 363 w. 17: »me pośmiertne jazdy« — bo od chwili uwięzienia nie uważa się już za żyjącego.

Str. 364 w. 2: »instrument kazienny« (ros.) = własność rządowa.

Str. 364 w. 5: »wszechprzytomni« = wszechprzytomności.

Str. 364 w. 11: »posilenie« (właściwie: posielenie) = osiedlenie, wygnanie.

Str. 365 w. 14: »wziął... w dziele« = wziął w udziale.

Str. 365 w. 23: »oniemią« = oniemieją.

Str. 366 w. 17: »odkrzyżowane« — neologizm = pozbawione śladów ukrzyżowania.

Str. 366 w. 21: »obiecanego wszem ludom Syonu«.— Syon (właściwie: Zion), góra w pobliży Jerozolimy, od której nazwano jedno przedmieście tego miasta; prorocy i poeci Starego testamentu nazywali Syonem całą Jerozolimę. Tutaj więc: obiecanej wszystkim ludom (Nowej) Jerozolimy, Królestwa bożego na ziemi. Por. t. I. obj. poety do str. 137 w. 12. — (str. 310—311).

Str. 367 w. 24: »Sławian Słowo boże« = Polska.

Str. 368 w. 1: »Wynieśmiertelniam się« = staję się nieśmiermiertelny i przez to uwalniam się.

Str. 368 w. 3 »Wszech mi obecność dana magnetyczna« — na mocy jasnowidzenia magnetycznego (hypnotycznego) mam świadomość wszystkiego, co się gdziekolwiek dzieje.

Str. 368 w. 9: »trumniano się ciemi« = wygląda czarno, jak trumna.

Str. 370: *w. 6*: »gromnie« = z szybkością gromu.

Str. 370: *w. 31*: »mitrężyć« = marnować czas.

Str. 372 w. 21: »rozodpierścienić — neologizm = rozerwać złączone ze sobą pierścienie.

Str. 373 w. 31: »Niebieskie, ziemskie — jeden zawód — włości« = i niebo i ziemia zawodzą pokładaną w nich nadzieję.

Str. 374 w. 3: »przepiekielniony« — neologizm = zamieniony w piekło.

Str. 375 w. 14: »przemienne« = przemijające, zmieniające się.

NIE-BOSKIEJ KOMEDYI
CZĘŚĆ PIERWSZA.

Str. 387 w. 1:3 »lodnik Hewaldyny« — nazwa zmyślona; takiego lodowca niema w Alpach.

Str. 386 w. 17 i n.: »Ot, widzę ten stary budynek« itd. Całe opowiadanie Młodzieńca jest oparte na zdarzeniu z życia Krasińskiego. Por. t. VII. str. 75 i n.

Str. 390 w. 12: »człowiek ten zwiedził Piekło i Czyściec i w raju był« — Dante, twórca »Boskiej Komedyi«.

* * *

Str. 392 w. 34: »U starych potępieńców« — t. j. u tych, których niegdyś widział w piekle.

Str. 393 w. 5: »drgliwy« = drżący, drgający.

Str. 393 w. 24: »tam już nie czas« — rozumie się: zapobiedz wybuchowi zbrojnego ruchu.

Str. 393 w. 31: »makata« — tkanina wełniana lub jedwabna, przetykana złotem albo srebrem.

Str. 397 w. 14: »jeszcze z tamtej strony grobu« — tj. jeszcze za mego życia, przemawia bowiem cień dawno zmarłego Danta.

Str. 307 w. 17: »szarłat« — (wł. *scarlatto,* niem. *Scharlach*) = szkarłat, materya jedwabna lub wełniana, ubarwiona purpurą.

Str. 397 w. 20: rudlować = sterować, kierować okrętem (rudel (niem.) = ster).

Str 403 w. 27: »Beatryks« — por. obj. do str. 217 w. 29 tego tomu.

Str. 404 w. 6: »ziemią mogił i krzyżów« — por. t. I. obj. do str. 211 w. 13.

Str. 404 w. 22: »ten sztylet wpadnie« tj. kiedy pogarda wpadnie jak sztylet.

Str. 406 w. 9: »żywotnie« = jakby były żywe.

Str. 407 w. 25: »olsnęła« — tutaj: zgasła. Por. obj. do str. 35 w. 32 tego tomu.

Str. 412 w. 5: »Kolczuga« — por. t. I. obj. do str. 57 w. 25.

Str. 412 w. 15: »damasceńskie złoto« — w klingach damasceńskich były zmieszane ze stałą żyłki złota.

Str. 412 w. 17: »buzdygan« — por. obj. do str. 231 w. 22 tego tomu.

Str. 412 w. 21: »Kord« — (tur. *kard*), rodzaj szabli.

Str. 413 w. 1: »niedotkliwy« — taki, którego nie można dotknąć.

Str. 414 w. 4: »przepaść« — tj. część piekła, opisana powyżej (str. 398 w. 10 i nast.).

Str. 416 w. 3: »całkie« = całkowite, całe.

Str. 421 w. 18: »Rozkazuję« = rozkazuję ci.

Str. 423 w. 1: »wzbudźcie je w jaśń« = wzbudźcie je w sobie i sprawcie, aby wyszły na jaśń, zajaśniały.

Str. 423 w. 4: »rozwidnokrężcie« — neologizm = rozszerzcie aż po szerokie widnokręgi.

* * *

Str. 427 w. 1: »Eulaloe lana« — niezrozumiały wykrzyknik.

Str. 427 w. 1: »Archipelag« — por. t. I., obj. do str. 88 w. 31.

Str. 427 w. 2: »seraj« — ta część domu tureckiego, którą zamieszkują kobiety.

Str. 428 w. 14: »tęczano-mozaikowy« = z mozaiką o barwach tęczy (por. obj. do str. 88 w. 15 tego tomu).

Str. 428 w. 18: »pod same portyki«; portyk = dach, oparty na szeregu kolumn, zwykle stanowiący część jakiegoś budynku.

Str. 428 w. 38: »Stoją metaliki sto dwa i świerć« —

wyrażenie giełdowe, oznacza, że akcye pewnej fabryki metalurgicznej, o nominalnej wartości stu jednostek monetarnych, można sprzedać po sto dwie i ćwierć takichże jednostek (złotych, franków itd).

Str. 429 w. 13: »arlekin« (wł.) = błazen, pajac.

Str. 429 w. 16: »grand hiszpański« = magnat hiszpański.

Str. 429 w. 17: »Kawaler złotego runa, Kommandor Moncenigo«; »złote runo«, por. t. I. obj. do str. 57 w. 25. — »Kommandor«, tytuł osoby, posiadającej najwyższy stopień jakiegoś orderu. — Moncenigo, znakomita rodzina wenecka.

Str. 430 w. 15: »wybohatyrzać się« — neologizm = wyrabiać w sobie bohaterskość.

Str. 430 w. 28: »Pieniądz dziś, czem było papiestwo dawniej« — to znaczy: ci, którzy mają pieniądze, muszą obecnie czynić to, co niegdyś czynili papieże, tj. popierać rozwój sztuk pięknych.

Str. 430 w. 31: »Mecenasem tego miasta.« — Gaius Cilnius Maecenas (um. w. r. 8 po Chr.), sławiony przez Horacego i Vergilego protektor poezyi w starożytnym Rzymie.

Str. 430 w. 32: »z Medyceuszów rodem«. — Medyceusze *(Medici)*, potężna rodzina florencka, wsławiona popieraniem sztuk pięknych.

Str. 431 w. 4: »per Baccho«—na Bakchusa, zaklęcie. Por. t. I. obj. do str. 101 w. 15.

Str. 432 w. 19: »Napoleonów w złocie« (fr. »*Napoleondor*«) 20to i 40to frankowa moneta złota, wybijana za Napoleona I-go i III-go.

Str. 432 w. 26: »Ja już gdzieś tę postać... spotkałem« — por. str. 403 w 3 i nast.

Str. 433 w. 17: »Mandaryn«, nazwa wysokich urzędników i uczonych chińskich.

Str. 434 w. 28: »poliszynel« — por. t. I. obj. do str. 21 w. 5.

Str. 437 w. 3: »Jakóbin« — por. t. I. obj. do str. 16 w. 25.

* * *

Str. 439 w. 30: »waszej Sygnoryi.« — Signoria (czyt.: *sinjorja*) rada czterdziestu za czasów rzeczypospolitej weneckiej, przenośnie: dygnitarz.

Str. 439 w. 34: »pałac Kornerów« — jeden z piękniejszych pałaców weneckich nad Wielkim Kanałem.

Str. 440 w. w. 5: »na mszę do San Giorgio.« — San Giorgio Maggiore, jeden z najsławniejszych kościołów weneckich, położony na wyspie tejże nazwy.

Str. 440 w. 27: »przez Adryatykę, i Dożowie...« — Adryatyka = morze Adryatyckie; doża, tytuł naczelnego zarządcy dawnej rzeczypospolitej weneckiej.

Str. 441 w. 4: »zrzenicujące« — neologizm = patrzące.

Str. 443 w. 11: »wypłaskorzeźbion« = odtworzony jakby w płaskorzeźbie.

Str. 444 w. 8: »rozwiązujesz się z potęg« = pozbawiasz się potęgi.

Str. 444 w. 36: »marmur... paryjski« = marmur z Paros, najsłynniejszy i najpiękniejszy biały marmur.

Str. 444 w. 38: »Posąg medycejskiej« — rozumie się: Wenery; sławna rzeźba starożytna.

Str. 445 w. 35: »nielekkomyślny« = ciężkomyślny, niedomyślny.

Str. 447 w. 15: »gdzie ja z nią zetknięt« = gdzie ja się z nią zetknąłem, spotkałem.

* * *

Str. 449 w. 10: »różnych zdarzeń moc« = różnych zdarzeń jest bardzo wiele.

Str. 450 w. 17: »nadpowietrzne ogrody... wystrzelone ku niebu gwiazdarnie« — t. zw. »wiszące ogrody« Semiramidy w Babylonie i obserwatorya astronomiczne tnmże. Chaldejczycy (Babylończycy) zajmowali się bardzo pilnie badaniem biegu gwiazd.

Str. 450 w. 31: »Ormuzd i... Aryman«. — Według religii ludów irańskich (zreformowanej przez Zoroastra — zob niżej) rządy świata spoczywają w rękach dwu bogów: Ormuzda, władcy światła i wszystkiego, co dobre, i Arymana, władcy ciemności i sprawcy wszystkiego, co złe.

Str. 451 w. 4: »Zoroaster, zesłannik Ormuzda«. —

Zoroaster lub Zaratustra«, reformator religii ludów irańskich, żył na dwa lub trzy tysiące lat przed Chrystusem.

Str. 451 w. 26: »Memnon« — mityczny władca Egiptu; około r. 1500 przed Chr. postawiono na jego cześć dwa olbrzymie posągi, wysokości około 30 m.; jeden z nich, do dziś w całości zachowany, nosi nazwę »Memnona«.

Str. 451 w. 34: »dobry Ozyrys, zły Tyfon i smętna Arneryda« — bóstwa egipskie.

Str. 452 w. 1: »my zachowali trupy« — aluzya do egipskiego zwyczaju balsamowania ciał (mumie).

Str. 452 w. 6: »z Labiryntu skrętów.« — Labirynt egipski, olbrzymi gmach, 200 m. długi a 170 m. szeroki, zawierający (według Herodota) 3000 komnat, o jednem tylko, niezmiernie trudnem do odszukania wyjściu.

Str. 452 w. 23: »Zeus pokonał Tyfona«. — Tyfon, postać mitologiczna grecka, potwór ze stu wężowemi głowami i ognistemi oczami, chciał zdobyć dla siebie panowanie nad światem; ale Zeus (rzym. Jowisz) pokonał go w krwawej walce uderzeniem piorunu.

Str. 45 w. 24: »gdzie wąż potwór legł pod strzałami Słońca« — Apollo, bóg światła, zabił wkrótce po swem urodzeniu za pomocą strzał potwornego węża Pytona, który pustoszył Grecyę.

Str. 452 w. 25: »gdzie na pianie morskiej Afrodyty kołysana postać«. — Według podania greckiego bogini miłości, Atrodyta (rzym. Venus), zrodziła się z piany fal morskich.

Str. 452 w. 26: »gdzie na wzgórzach Pallady posągi«. — Dwa posągi bogini Pallas Atene (z tych jeden wykonany przez Fidyasza ze złota i kości słoniowej), stały na Akropolis ateńskiem.

Str. 452 w. 29: »Psyche odszuka Erosa«. — Aluzya do alegorycznej opowieści greckiej o stosunku Psychy (= duszy) z Erosem (= miłością).

Str. 452 w. 38: »niepokalana Eleusis«. — Eleusis, miasto w Attyce, sławne w starożytności z powodu tajemniczych nabożeństw, urządzanych na cześć bogiń Demetry (Cerery) i Persefony (Prozerpiny), a zwanych

od niego *misteryami* (= tajemnicami) *eleuzyjskiemi*. Obchód odbywał się corocznie przy wyłącznym udziale »wtajemniczonych«, którzy przeszli rodzaj nauki przygotowawczej, a do których mógł należeć każdy wolny obywatel, mający »ręce i serce czyste«. Uroczystości, którym przewodniczyli kapłani i kapłanki (najwyższy godnością nazywał się Hierofantem), miały na celu rozszerzenie wzniosłych pojęć religijnych, przedewszystkiem wiary w nieśmiertelność duszy,

Str. 453 w. 4: »Hierofant« — por. wyżej.

Str. 453: *w. 17*: »Eimarmene«. — właściwie: Heimarmene (gr.) = los, przeznaczenie.

Str. 453 w. 40: »jak posąg Fidyaszowy« — por. wyżej obj. do str, 452 w. 26.

Str. 454 w. 13: »na Eteru błoniach« — eter, materya, nie podlegająca przyciąganiu, a więc nic nie ważąca, wypełniająca według zdania niektórych przyrodników wszechświat; »na e. błoniach« = na drugim świecie, po śmierci.

Str. 454 w. 26: »pierwsi zakonnicy Karmelu«. — Karmel, góry w Palestynie; już w czwartym wieku zaczęli je zamieszkiwać pustelnicy chrześcijańscy—później, w r. 1156, założyli oni klasztor Karmelitów.

Str. 454 w. 34: »świat już nie wie o Essenczykach«. — Essenczycy, żydowska sekta religijna, która powstała w drugim wieku przed Chr., a zalecała czystość i życie ascetyczne. Nie składali krwawych ofiar, nie brali udziału w wojnie; oddawali się uprawie roli, tworząc gminy, oparte na wspólności majątku.

Str. 455 w. 28: »Kraj tylko szaty« — rozumie się: wstępującego w niebo Chrystusa.

Str. 455 w. 37: »pełna win, a zbawiona przez Miłość« — św. Marya Magdalena.

Str. 456 w. 8: »Syonie świętoszku«. — Syon = Jerozolima. Por. wyżej obj. do str. 366 w. 20.

Str. 457 w. 18: »szarłat« = szkarłat; por. wyżej obj. do str. 397 w. 17.

Str. 457 w. 19: »zrzymianił się« — neologizm = zaczął postępować tak, jak starożytni Rzymianie, dumnie, bezwzględnie.

Str. 457 w. 24: »za dni Albigensów«. — Albigensi, sekta religijna, która w XI w. rozszerzyła się w południowej Francyi, nazwana od miasta Albi, tamże położonego. Z powodu prostego, obyczajnego życia nazywano ich »dobrymi ludźmi«. Posądzono ich jednak o herezyę, a piepież Innocenty III ogłosił przeciw nim w r. 1209 wyprawę krzyżową, która w długiej wojnie tak wytępiła Albigensów, że ledwie resztki ich zdołały ujść do Bośni.

Str. 458 w. 15: »Paraklet obiecany«.—Parakletem(= pomocą) nazywa św. Jan w swej ewangielii obiecanego przez Chrystusa uczniom »Boga prawdy« = Ducha św.

Str. 458 w. 31: »O Templaryusze«. — Templaryusze, zakon rycerski, założony w r. 1118 w celu ochrony chrześcijańskich pielgrzymów do Ziemi świętej przed napadami Saracenów. Później rozszerzono cel zakonu: miała nim być walka z niewiernymi i odzyskanie Grobu św. z jednej, a doskonalenie się moralne przez ascezę klasztorną z drugiej strony. Za staraniem króla fancuskiego Filipa IV., łaknącego ich bogactw, zniósł papież Klemens V. zakon w r. 1312, a ostatni mistrz Templaryuszów, Jakób Molay, zginął wraz z wielu towarzyszami tegoż roku na stosie.

Str. 459 w. 27: »na białych płaszczach czerwony krzyż« — strój Templaryuszów.

Str. 460 w. 36: »w ręce Różokrzyżowców«. — »Różokrzyżowcami« nazwano członków tajnego stowarzyszenia, założonego rzekomo przez niejakiego Chrystyana Rosenkreuza w XIV w. celem naprawy Kościoła i zapewnienia trwałego szczęścia państwom i jednostkom. Stowarzyszenie takie nie istniało jednak nigdy i było tylko wymysłem teologa niemieckiego Jana Andrei, który z początkiem XVII w. rozgłosił jego istnienie w szeregu broszur (najsłynniejsze z nich: »Confessio Roseae Crucis« i »Fama Fraternitatis R. C.«, wyd. 1614 r.). Celem Andrei było prawdopodobnie wyszydzenie współczesnego upodobania w tajemniczości i zwrócenie uwagi na braki Kościoła i urządzeń państwowych. Pisma jego wywołały próby stworzenia istotnie podobnego związku.

Str. 460 w. 39: »*Gloria Deo in excelsis*« — chwała Bogu na wysokościach.

Str. 462 w. 12: »Alchemicy« — ludzie, którzy zajmowali się (w średnich wiekach i z początkiem czasów nowożytnych) *alchemią*, t. zn. nauką, dążącą do odkrycia t. zw. »kamienia filozoficznego«, tj. ciała, za pomocą którego możnaby zamienić kruszce nieszlachetne w złoto.

Str. 462 w. 38: »Kamień mądrości« = kamień filozoficzny, zob. wyżej.

Str. 464 w. 1: »Kartuzów« — zakon o bardzo ostrej regule, założony w r. 1086 i do dziś dnia istniejący.

Str. 464 w. 14: »czy w Rzymie, czy w Augsburgu« — tj. w kościele rzymsko katolickim i protestanckim; mowa o »wyznaniu augsburskiem« z r. 1530, zawierającem najważniejsze sformułowanie zasad protestantyzmu.

Str. 464 w. 24: »u stóp jej polężą« = u stóp jej zginą, bo odtąd nie będzie już narodów, tylko sama ludzkość.

Str. 464 w. 34: »Ludzkość w Narodzie« — w narodzie polskim.

Str. 467 w. 18: »Majstry mularze«. — Wolnomularstwo lub Masonerya, stowarzyszenie od dawna istniejące i rozpowszechnione, w jednych krajach jawne, w innych, jako zakazane, tajne. Powstało prawdopodobnie z resztek zakonu Templaryuszów (por. wyżej). Poza głoszonymi jawnie celami towarzystwa (dobroczynność, zwalczanie przesądów i t. d.) są także inne, okrywane tajemnicą. Członkowie dzielą się, na wzór korporacyi rzemieślniczych, na uczniów, czeladników, majstrów i t. d.

Str. 467 w. 30: »*Mak benak!*« — niezrozumiały wykrzyknik.

Str. 468 w. 19: »filantropicznie« = filantropijnie, z miłością, miłosiernie.

Str. 469 w. 5: »Giliotyny« — por. t. i. obj. do str. 72 w. 22.

Str. 469 w. 15: »dusza... ucieka na Tebaidę.« —

Tebaida, okolica Teb w południowym Egipcie; w pierwszych wiekach chrześcijaństwa przebywało tam wielu pustelników, więc: na Tebaidę = do pustelni.

Str. 469 w. 23: »przedchwilami« = chwilami, poprzedzającemi inną.

Str. 469 w. 35: »ohydne larwy«. — Larwa = mara, widmo.

Str. 470 w. 16: »teraz w imieniu Człowieka lud zarzyny króle i kapłany« — mowa o wielkiej rewolucyi francuskiej.

Str. 471 w. 29: »Ezechielaż wraca mi widzenie?«— Ezechiel, jeden z proroków izraelskich, żył w VI w. przed Chr. W pismach swych, pełnych symbolów i alegoryi, opisuje rozmaite swe »widzenia« — tu mowa zapewne o tem, w którem przedstawia rozległą dolinę, zapełnioną kośćmi zmarłych, nawiązując do tego kwestyę zmartwychwstania.

Str. 474 w. 20: »Święty pokój ogłoście«. — »Święty związek«, nazwa przymierza, zawartego w r. 1815 przez Rosyę, Austryę i Prusy, do którego następnie przystąpiły wszystkie państwa europejskie z wyjątkiem Anglii i państwa kościelnego. Związkowi monarchowie przyrzekali w niem sobie wzajemną miłość i zapewniali, że będą bronili religii, sprawiedliwości i powszechnego pokoju.

Str. 476 w. 9: »Gens aeterna, in qua nemo nascitur« = wieczny naród, w którym nikt się nie rodzi.

* * *

Str. 478 w. 16: »zrzuci ludzki strój i inny, wyższy przybierze« = przestanie być człowiekiem i zamieni się w doskonalszą istotę.

Str. 479 w. 21: »wolność katolicką Erynu«.—Erin = Irlandya.

Str. 479 w. 24: »podwójnej chwały« — tj. z czasów rozkwitu państwa rzymskiego i rozkwitu sztuki w dobie odrodzenia.

Str. 479 w. 33: »rapier« — długa, obosieczna szpada.

Str. 483 w. 11: »siebie samych przeołtarzym Jemu«; przeołtarzyć, neologizm = zamienić się w ołtarz.

Str. 483 w. 20: »zesamolubić się« — neologizm = połączyć się w celach samolubnych.

Str. 484 w. 13: »będzie być« — tak w autografie.

Str. 485 w. 7: »wyarcydziełować« — neologizm = uczynić coś doskonałem, zmienić w arcydzieło.

Str. 485 w. 18: »Jak z głazu posąg, tak niech się podniosą« — tj. jak pod dłutem artysty niekształtny głaz zamienia się w posąg, tak pod dłutem własnej woli mają ludzie przybrać doskonalszą postać.

Str. 486 w. 3: »dopokoić się« — neologizm = dojść do czegoś przez pokój, bez walki.

Str. 486 w. 27: »co ojców masz« — tj. co znasz swoich przodków.

Str. 486 w. 30: »jak Tytany« — por. t. I. obj. do str. 80 w. 2:

Str. 486 w. 39: »wygluzować« = usunąć, zetrzeć.

Str. 487 w. 2: »odurodzić« — neologizm = uczynić coś wprost przeciwnego urodzeniu, tj. zabić.

Str. 487 w. 21: »laokonowe drgania« — cierpienia podobne do tych, których doznawał Laokoon, opasany przez węże; por. t. I. obj. do str. 91 w. 29.

Str. 488 w. 21: »słuchaj *się* rady mojej« — tak w autografie.

Str. 489 w. 40: »metafizyki nie rozumiem«. — Metafizyka, nauka, wykrywająca i badająca prawa, wspólne wszystkim rzeczom i zjawiskom.

Str. 490 w. 9: »nieodprzekonalnie« — neologizm = tak, że tego przekonania zmienić nie można.

Str. 490 w. 22: »Julinicz« nazwisko, utworzone z imienia Słowackiego, którego wiersz »Do autora trzech psalmów« jest w przemówieniu Julinicza sparodyowany.

Str. 490 w. 32: »Dziś do dzieła nawet łotrów dobiera Pan«. — Jest to aluzya do następującego ustępu wiersza »Do autora trzech psalmów«:

Bo ty nie myśl, że z anioły
Tylko boża myśl przychodzi!
Czasem Bóg ją we krwi rodzi,
Czasem rzuca przez Mongoły.

Str. 491 w. 31: »Sobieskiego europejski czyn« = odsiecz wiedeńska.

Str. 492 w. 7: »zwierciedlanić« — neologizm = odbijać się, jak w zwierciedle.

Str. 492 w. 13: »Teokracya« = rządzenie państwem przez kapłanów, rządy kapłańskie.

Str. 492 w. 22: »Aaronem będę w obozie twoim«.— Aaron, starszy brat Mojżesza, miał dziedziczną godność najwyższego kapłana Izraelitów.

Str. 495 w. 3: »nieborodny« — neologizm = taki, który stwarza niebo.

Str. 495 w. 24: »kacerz« — odszczepieniec, odstępca, porzucający prawdę dla fałszywej idei.

OMYŁKI DRUKU.

Strona:	*wiersz:*	*zamiast:*	*czytaj*
110	26	pystynia	pustynia
110	35	bazylie	bazylice
191	—	O krytyce w ogólności. (Kilka słów o Juliuszu Słowackim)	O Juliuszu Słowackim
231	24	Niasto	Miasto
239	20	seregi	szeregi
253	28	częstka	cząstka
287	27	dawnozmarłych	dawno zmarłych
303	7	grożne	Groźne
307	30	bo boleścią	boleścią
444	36	paryski	paryjski
457	15	szarłarłat	szarłat

LP
K39654

Krasiński, Zygmunt, Hrabia
Pisma ... Syd. ... Józefa Kallenbacha.
Vol.2.

499054

DATE.

NAME OF BORROWER.

University of Toronto
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET

Acme Library Card Pocket
LOWE-MARTIN CO. LIMITED